

**Arturo Pérez-Reverte**

# **Obleżenie**

przełożyła Joanna Karasek

*Dedykuje Jose Manuelowi  
Sanchezowi Ron,  
amicus usque ad aras*

*Kiedy zgłębiamy tajemnice natury, bardzo ważnym jest wiedzieć, czy ciała niebieskie oddziałują na siebie wzajemnie przez pęd, czy też poprzez przyciąganie; czy działa pomiędzy nimi subtelna i niewidzialna materia, która popycha jedne ciała ku innym, czy też wyposażone są w ukrytą i tajemną cechę, przez którą wzajemnie się przyciągają.*

Leonard Euler

*Listy do księżniczki niemieckiej, 1772*

*Za sprawą bogów stać wszystko się może.*

Sofokles

Ajas

(przekł. Antoni Mierzyński)

# Rozdział I

Po szesnastym ciosie związany mężczyzna na stole mdleje. Jego skóra stała się żółta, niemal przezroczysta, głowa zwisa znad brzegu blatu. W świetle wiszącej na ścianie olejnej lampy widoczne są ślady łez na jego brudnych policzkach i strużka płynąca z nosa. Człowiek, który go bił, na chwilę przestaje, niepewny, z batogiem w jednej ręce, podczas gdy drugą ociera sobie znad brwi pot plamiący mu koszulę. Potem odwraca się do trzeciego mężczyzny, który stoi za jego plecami w mroku, oparty o drzwi. Ten z batogiem ma teraz spojrzenie psa swego pana, proszącego o wybaczenie. Wielki dog, ostry i niezdarny.

W ciszy znów dobiega od plaży w dole, poprzez zamknięte okiennice, szum Atlantyku. Nikt nie odezwał się ani słowem, od kiedy umilkły krzyki. Na tle twarzy mężczyzny w drzwiach pojawia się dwukrotnie jasny żar cygara.

– To nie on – odzywa się w końcu.

Wszyscy mamy punkt załamania, myśli. Choć nie mówi tego głośno. Nie wobec tego tępego audytorium. Każdego można złamać w pewnym punkcie, jeśli tylko potrafimy człowieka do niego doprowadzić. Wszystko jest kwestią subtelnych odcieni. Wiedzy, kiedy przerwać i w jaki sposób. Jeden gram więcej na wadze i wszystko idzie w diabły. Pęka. Czyli zmarnowana robota. I czas, wysiłek. Bicie na ślepo, a tymczasem prawdziwy cel umyka. Zmarnowany pot, podobnie jak ten pot, który właśnie ociera sobie z czoła człowiek trzymający w ręce batóg i czekający na rozkaz, czy bić dalej, czy przestać.

– Z tego pieca chleba już nie będzie.

Oprawca patrzy na niego tępo, nie rozumiejąc. Nazywa się Szafot. Dobre nazwisko do tego fachu. Mężczyzna, który stał w drzwiach z cygarem w zębach, podchodzi do stołu i pochylając się nieco, przygląda się nieprzytomnemu: tygodniowy zarost, skorupy brudu na szyi, rękach i pośród fioletowych sińców widocznych na całej piersi. O trzy ciosy za dużo, szacuje. Może cztery. Przy dwunastym wszystko wydawało się oczywiste, ale należało się upewnić. W tym przypadku nikt nie będzie protestował. To żebrak znad mierzei. Jeden z wielu odpadków przyniesionych do miasta przez wojnę i francuskie oblężenie, tak jak śmieci wyrzucane przez morze na plażę.

– To nie on zrobił.

Człowiek z batogiem mruga, starając się pojąć sens słów. Niemal widać, jak informacja ciężko telepie się po wąskich, wyboistych wertepach jego mózgu.

– Jeśli pan pozwoli, to ja jeszcze mogę...

– Nie bądź durniem. Mówię, że to nie on.

Przygląda się leżącemu jeszcze chwilę, z bardzo bliska. Oczy na wpół otwarte, szkliste i nieruchome. Wie, że nie jest martwy. Rogelio Tizón widział wystarczająco dużo trupów w ciągu swego życia zawodowego, żeby rozpoznać oznaki śmierci. Żebrak oddycha słabo, a żyła na szyi, napęczniała wskutek pozycji ciała, pulsuje powoli. Pochylając się, komisarz czuje jego zapach: kwaśna wilgoć na brudnej skórze, mocz oddany na stół pod wpływem bicia. Pot strachu, stygnący teraz na bladej skórze zemdlonego, zupełnie różny od zapachu zwierzęcego potu na człowieku z batogiem. Tizón z niesmakiem ssie cygaro i wciąga kłęb dymu, który wypełnia mu drogi oddechowe, usuwając wszystko inne. Podnosi się i podchodzi do drzwi.

– Kiedy się obudzi, daj mu kilka monet. Tylko go uprzedź, że gdyby chciał się skarżyć, to żarty się skończą. Obedrzymy go ze skóry jak królika.

Upuszcza na ziemię niedopałek cygara i rozgniata go czubkiem nosa wysokiego buta. Potem bierze leżący na krześle okrągły kapelusz, laskę i szary płaszcz, popycha drzwi i wychodzi na zewnątrz, na oślepiające światło plaży, z rozciągającym się w dali za Bramą Ziemi Kadyksem, białym jak żagle statku ponad murami z kamienia wyrwanego morzu.

Brzęczenie much. W tym roku wcześniej się pojawiły, przyciągnięte przez trupy. Zwłoki dziewczyny nadal leżą na atlantyckim brzegu mierzei, po przeciwnej stronie wydmy, na której szczycie wschodni wiatr rozwiewa obłoki piasku. Przy zwłokach klęczy kobieta, którą Tizón kazał sprowadzić z miasta, i gmera między udami martwej dziewczyny. Jest to znana akuszerka i stała konfidentka. Ludzie zwą ją ciotką Pietruchą, swego czasu była dziwką w Merced. Tizón bardziej ufa jej i własnemu instynktowi niż lekarzowi, który zazwyczaj współpracuje z policją – jest to pijany rzeźnik, przekupny nieuk. Do takich spraw jak ta sprowadza więc tę kobietę. To druga ofiara w ciągu trzech miesięcy. Albo czwarta, jeśli doliczyć karczmarkę zasztyletowaną przez swojego męża i właścicielkę pensjonatu zabita z zazdrości przez młodego studenta. Ale tam chodziło o zbrodnie w afekcie, oczywiście takie jakich wiele. Rutynowe sprawy. Natomiast te młode dziewczyny to inna historia. Wyjątkowa. Ponura.

– Nic – mówi ciotka Pietrucha, gdy cień Tizona uprzedza jego obecność. – Nietknięta, odkąd urodziła ją matka.

Komisarz patrzy na pokrytą piaskiem twarz zakneblowanej młodej zabitej, z włosami w nieładzie. Czternaście, może piętnaście lat, chuda drobina. Poranne słońce czerni jej skórę i sprawia, że rysy wydają się opuchnięte, ale to nic przy widoku jej pleców rozoranych uderzeniami kańczuga aż do kości bielejących pośród zrytej skóry i skrzepów krwi.

– Tak samo jak tamta – dodaje baba.

Obciąga spódnicę dziewczyny, zasłania jej uda i podnosi się, otrzepując piasek. Potem bierze chustkę zabitej, rzuconą nieopodal, i zakrywa jej plecy, odpędzając rój much. Chustka jest z burej flaneli, równie skromna jak reszta ubrania. Dziewczyna została zidentyfikowana jako służąca w gospodzie przy drodze prowadzącej przez mierzeję, w połowie odległości między Bramą Ziemi a Cortadurą. Wczoraj po południu, jeszcze przy świetle dnia, wyszła do miasta, żeby odwiedzić chorą matkę.

– A co tam żebrak, panie komisarzu?

Tizón wzrusza ramionami, a ciotka Pietrucha przygląda mu się badawczo. To wielka, przysadzista kobieta, zniszczona bardziej przez życie niż przez wiek. Zachowała kilka tylko zębów. Siwe odrosty widać pod farbą, którą przyciemnia tłuste włosy związane pod czarną chustką. Na szyi nosi cały pęk medalików i szkaplerzy, na sznurku związanym w pasie ma zawieszony różaniec.

– To też nie on? A wrzeszczał tak, jakby to zrobił...

Komisarz ostro spogląda na akuszerkę, a ta odwraca wzrok.

– Lepiej trzymaj język za zębami, inaczej i ty sobie powrzeszczysz.

Ciotka Pietrucha zbiera szmaty. Zna Tizona od dawna, dość długo, żeby wiedzieć, kiedy nie ma nastroju do zwierzeń. I dzisiaj nie ma.

– Przepraszam, panie Rogelio, żartowałam.

– Żartować sobie będziesz ze swoją pieprzoną matką, jak się spotkacie w piekle. – Tizón sięga do kieszonki kamizelki, wyciąga srebrną monetę i rzuca ją kobiecie. – A teraz wynoś się.

Kiedy kobieta odchodzi, komisarz rozgląda się wokół, nie wiadomo który dziś raz. Wschodni wiatr zatarł wczorajsze ślady. W dodatku liczne odciski stóp, które pojawiły się po tym, jak pewien mulnik natknął się na zwłoki i powiadomił o wszystkim pobliską gospodę, zamazały wszelkie wcześniejsze ślady. Przez chwilę Tizón pozostaje bez ruchu, rozglądając

się w poszukiwaniu szczegółów, które mogły mu umknąć, ale poddaje się, zawiedziony. Tylko jeden, długi ślad – szeroka bruzda na brzegu wydmy, tam gdzie rosną niewielkie krzaki – przykuwa jego uwagę; idzie tam i przykłęka, żeby lepiej się mu przyjrzeć. Przez chwilę, tkwiąc w tej pozycji, ma wrażenie, że już to kiedyś przeżył. Że widział już dawniej siebie samego w identycznej sytuacji. Że przyglądał się śladom na piasku. Nie jest jednak w stanie jasno uświadomić sobie, czego dotyczy owo wspomnienie. Może to tylko jeden z jego dziwnych snów, które potem wydają mu się prawdziwym życiem, albo jakieś niedające się wytłumaczyć przekonanie, przemykające przez myśl, że to, co się dzieje teraz, już się zdarzyło wcześniej. Na koniec wstaje, nie doszedłszy do żadnych wniosków ani na temat doświadczonych wrażeń, ani na temat śladów: tę bruzdę mogło zrobić jakieś zwierzę, ciągnięte ciało, wiatr.

Kiedy wracając, przechodzi obok zwłok, widzi, że wiatr odbijający się od wydmy uniósł spódnicę zabitej dziewczyny i odstąpił jej nogę do kolana. Tizón nie jest człowiekiem skłonny do tkliwości. W związku z twardym rzemiosłem, jakie wykonuje, i z powodu pewnych szorstkich rysów charakteru od dawna jest zdania, że zwłoki to nic więcej jak kawał mięsa, które gnije tak samo w słońcu, jak w cieniu. Materiał do pracy, kłopoty, papierkowa robota, śledztwa, wyjaśnienia przed zwierzchnikami. Nic, co jego, Rogelia Tizona Peñasco, komisarza do spraw włóczęgów, próżniaków i ulic, w wieku skończonych pięćdziesięciu trzech lat – z tego trzydzieści dwa na służbie, jak stary, bezpański pies – mogłoby szczególnie zaniepokoić. Ale tego dnia twardy policjant nie potrafi uciec przed niejasnym uczuciem wstydu. Okuciem laski przesuwając rąbek spódnicy na miejsce i nasypuje na nią trochę piasku, żeby nie podniosła się znowu. Robiąc to, dostrzega na wpół zakryty kawałek błyszczącego, skręconego metalu w kształcie korkociągu. Przykuca, waży go w ręce, rozpoznaje w jednej chwili. To fragment kartacza, odłamek, jaki pozostaje po wybuchu francuskich pocisków. Są w całym Kadyksie. Ten przyleciał zapewne z podwórza gospody Kulawego, gdzie jedna z takich bomb spadła niedawno.

Rzuca na ziemię odłamek i idzie do pobielonego ogrodzenia gospody, gdzie czeka grupka ciekawskich, utrzymywanych w pewnej odległości od zwłok przez dwóch żołnierzy i kaprała przysłanych przed południem przez oficera ze strażnicy Świętego Józefa na prośbę Tizona, pewnego, że widok kilku mundurów wzbudzi odrobinę respektu. Wśród gapiów są służący i pokojówki z pobliskich gospód, mulnicy, woźnice bryk i dwukótek i ich pasażerowie, gromada rybaków, kobiety i dzieci z okolicy. Na czele, przed wszystkimi, uprzywilejowany dlatego, że jest właścicielem karczmy i osobą, która zawiadomiła władze o znalezieniu zwłok, stoi Kulawy Franek.

– Mówi się, że to nie był ten, którego macie – komentuje karczmarz, kiedy Tizón się zbliża.

– Słusznie się mówi.

Żebrak od dawna włóczył się po okolicy i ludzie z gospód wskazali na niego, kiedy natknęto się na zwłoki dziewczyny. Kulawy Franek osobiście przytrzymał go pod lufą swojej myśliwskiej strzelby do przyjazdu policji, nie pozwalając, żeby go specjalnie maltretowano: tylko kilka szturchańców i razów. Teraz rozczarowanie jest widoczne na twarzach wszystkich, zwłaszcza chłopaczków, zawiedzionych, że nie mają w kogo rzucać kamieniami, którymi wypchali sobie kieszenie.

– Jest pan pewien, komisarzu?

Tizón nie zadaje sobie trudu, żeby odpowiedzieć. Przygląda się uważnie ogrodzeniu, zniszczonemu przez wybuch francuskiego pocisku. Jest zamyślony.

– Kiedy spadła tu bomba, kolego?

Kulawy Franek staje obok niego, obydwa kciuki zatknięte za pas, z respektem, ale zachowując ostrożność. On też zna komisarza i dobrze wie, że „kolega” to zwykła formułka, która w ustach kogoś takiego może się okazać niebezpiecznym słowem. Zresztą Kulawy

Franek nigdy nie utykał, jego dziadek dotknięty był tym kalectwem, ale w Kadyksie przezwiska dziedziczy się częściej niż pieniądze. Podobnie jak fach. Kulawy ma białe bokobrody i ciągnie się za nim powszechnie znana przeszłość marynarza i przemysłowca. Tizón wie, że piwnica karczmy pełna jest towarów z Gibraltaru, a nocami, kiedy morze jest spokojne i wiatr niezbyt silny, plaża w ciemności ożywa, pojawiają się postacie i łodzie, które przybijają do brzegu ze szmuglowanymi ładunkami, a potem odpływają. Czasem nawet przywożą bydło. W każdym razie dopóki Kulawy Franek płaci ile należy celnikom, żołnierzom i policji – w tym samemu Tizonowi – za to, że kiedy trzeba, patrzą w inną stronę, to, co się dzieje na plaży, nie sprawi nikomu kłopotów. Zupełnie inaczej by było, gdyby karczmarz zechciał wykazać się nadmiernym sprytem albo postanowił zbyt oszczędzać na opłatach, albo szmuglował dla wrogów, jak to robią niektórzy w mieście i poza nim. Ale nic nie wiadomo, żeby tak się działo. Koniec końców, od zamku Świętego Sebastiana do mostu Zuazo wszyscy znają się od zawsze. Nawet podczas wojny i oblężenia nadal obowiązuje zasada „żyj i daj żyć innym”. Dotyczy to również Francuzów, którzy od dawna już nie atakują poważnie, ograniczając się do bombardowania z daleka, jakby to była czcza formalność.

– Bomba spadła wczoraj rano, około ósmej – wyjaśnia karczmarz i wskazuje na wschód w kierunku zatoki. – Przyleciała z przeciwka, od Cabezueli. Moja żona akurat rozwieszała pranie i widziała wystrzał. Potem był odgłos uderzenia i zaraz bomba wybuchła tam z tyłu.

– Były jakieś straty?

– Niewielkie: zniszczony kawałek ogrodzenia, gołębnik i kilka kur... Dużo większy był strach, jasna sprawa. Moja żona zemdląca. Trzydzieści kroków bliżej i szkoda gadać.

Tizón grzebie paznokciem w zębach – po lewej stronie w ustach ma złoty kieł – i patrzy na jezioro morza szerokości mili, który w tym miejscu oddziela mierzeję, tworzącą razem z Kadyksem półwysep, z plażami po jednej stronie i zatoką, portem, salinami i Lwią Wyspą po drugiej, od stałego lądu, okupowanego przez Francuzów. Za sprawą wschodniego wiatru powietrze jest przejrzyste, dzięki czemu gołym okiem można zobaczyć cesarskie fortyfikacje zbudowane obok kanału Trocadero: fort Ludwika po prawej stronie, po lewej na wpół zrujnowane mury Matagordy, a nieco wyżej, w głębi, obwarowane baterie artyleryjskie w Cabezueli.

– Spadło tu więcej bomb?

Kulawy zaprzecza ruchem głowy. Potem znów wskazuje na mierzeję, po jednej i drugiej stronie gospody.

– Czasem coś uderzy w okolice Aguady, i dużo częściej w Puntales: tam codziennie coś wali, żyją jak krety... Tutaj to był pierwszy raz.

Tizón kiwa głową, zamyślony. Patrzy w kierunku francuskich linii, mrużąc oczy od słońca odbijającego się od białego muru, wody i wydm. Oblicza trajektorię pocisku i porównuje do innych. Jest coś, nad czym wcześniej się nie zastanawiał. Niewiele wie o sprawach wojskowych i bombach, wcale nie jest pewien, czy dobrze myśli. To tylko niejasne przecucie. Rodzaj szczególnego niepokoju, dyskomfortu, który miesza się z pewnością, że to wszystko już przeżył kiedyś wcześniej. Jakby chodziło o ruch na szachownicy – w mieście – którego, choć został wykonany, Tizón nie zauważył. Dwa pionki w sumie, z tym dzisiejszym. Dwie zbite figury. Dwie dziewczyny.

Może istnieje między nimi związek, stwierdza. On sam, siedząc przy stoliku w kawiarni Pocztowej, widział bardziej skomplikowane kombinacje. Nawet sam osobiście je wymyślał i przeprowadzał, albo stawiał im czoło, gdy ich autorem był przeciwnik. Przecucie jak błyskawica. Nagła, nieoczekiwana wizja. Bezpieczne ustawienie figur, spokojna gra; i nagle, przyczajone za skoczkiem, hetmanem czy byle pionkiem, Zagrożenie i Dowód na nie: zwłoki na brzegu wydmy, przysypane piaskiem osadzonym przez wiatr. I unoszące się nad tym wszystkim, niczym mroczny cień, niewyraźne wspomnienie czegoś widzianego lub przeżytego, owo przyklęknięcie nad śladami, zastanowienie. Gdybym tylko mógł sobie

przypomnieć, myśli, już by wystarczyło. Nagle czuje potrzebę natychmiastowego powrotu za mury miasta, żeby przeprowadzić właściwe dochodzenie. Roszada i refleksja. Ale wcześniej, bez słowa, wraca do zwłok, szuka w piasku metalowego skręconego odłamka i chowa go do kieszeni.

O tej samej porze, w odległości trzech czwartych francuskiej mili na wschód od karczmy Kulawego, Simon Desfosseux, kapitan ze sztabu generalnego artylerii drugiej dywizji Pierwszego Korpusu wojsk cesarskich, senny i nieogolony, klnie przez zęby, opisując i chowając do akt list, który właśnie dostał z odlewni w Sewilli.

Według informacji zarządcy andaluzyjskiej fabryki dział pułkownika Fronchara, defekty wykryte w trzech dziewięciocalowych działach dostarczonych wojsku oblegającemu Kadyks – metal pęka po kilku wystrzałach – są wynikiem sabotażu, jaki zdarzył się podczas procesu odlewania: świadomie wprowadzono zmianę w proporcjach stopu, przez którą powstają rysy, zwane w żargonie artyleryjskim chrząszczami i dziuplami. Dwaj robotnicy i ich nadzorca zostali rozstrzelani z rozkazu Fronchara przed czterema dniami, gdy sprawa została ujawniona; to jednak nie jest żadnym pocieszeniem dla kapitana Desfosseux. Łączył spore nadzieje z haubicami, które okazały się bezużyteczne. A co jeszcze gorsze, nadzieje te dzielił z marszałkiem Victorem i resztą najwyższych dowódców, nalegających teraz, żeby rozwiązał problem, którego on rozwiązać nie jest w stanie.

– Zwiadowca!

– Na rozkaz!

– Proszę zawiadomić porucznika Bertoldiego, że będę na górze, na wieży.

Kapitan Desfosseux odsuwa stary koc przysłaniający wejście do jego baraku i wychodzi na zewnątrz, wspina się po drewnianej drabinie wiodącej do wyższej części punktu obserwacyjnego i przez otwór strzelniczy przygląda się odległemu miastu. Stoi tak z odkrytą głową w pełnym słońcu, ręce trzyma z tyłu, na połach kurtki z kolorze indygo z czerwonymi wypustkami. W żadnym razie nie jest przypadkiem, że obserwatorium, wyposażone w rozliczne teleskopy i najnowocześniejszą lunetę mikrometryczną Rochona z podwójnym okularzem o soczewkach z kryształu górskiego, jest umiejscowione na lekkim wzniesieniu pomiędzy fortem artyleryjskim Cabezuela a kanałem Trocadero. Właśnie Desfosseux wybrał to miejsce po bardzo dokładnej analizie ukształtowania terenu. Można stąd obserwować cały pejzaż Kadyksu i zatoki aż do Lwiej Wyspy, a przy użyciu lunety nawet most Zuazo i drogę do Chiclany. W pewnym sensie to jest jego królestwo. Przynajmniej teoretycznie: przestrzeń wody i lądu, jaką oddali w jego władanie bogowie wojny i dowództwo Armii Cesarskiej. Teren, na którym władza marszałków i generałów, w pewnych okolicznościach, musi ustąpić przed jego rozkazami. Pole szczególnej bitwy, której specyfiką są problemy techniczne, próby i niepewność – a także bezsenność – gdzie walka nie toczy się w okopach, poprzez posunięcia taktyczne ani rozstrzygające szarże na bagnety, ale opiera się na rysowaniu na papierze parabol, obliczeniach trajektorii i kątów, rozwiązywaniu równań matematycznych. Jednym z wielu paradoksów trudnej hiszpańskiej wojny jest fakt, że prowadzenie tej niezwyklej walki, gdzie ważniejszy jest skład procentowy funta prochu i szybkość spalania spłonki niż odwaga dziesięciu regimentów, powierzone zostało posępnemu kapitanowi artylerii.

Zespół obiektów wroga od strony lądu jest nie do zdobycia. Z tego, co wiadomo Simonowi Desfosseux, nikt takimi słowami nie odważył się opisać sytuacji cesarzowi, ale tak właśnie rzecz wygląda. Miasto połączone jest z lądem jedynie wąską groblą z kamienia i piasku o długości prawie dziesięciu kilometrów. Obrońcy dodatkowo ufortyfikowali wiele punktów na tym jedynym przesmyku, inteligentnie umieszczając na przemian forty i szeregi baterii, do których dochodzą jeszcze dwa miejsca nadzwyczajnie obwarowane: Brama Ziemi, leżąca tam, gdzie zaczyna się właściwe miasto, i wyposażona w sto pięćdziesiąt dział, oraz twierdza Cortadura, umiejscowiona w połowie grobli, na razie jeszcze w budowie. Na samym



końcu, tam gdzie międzymorze łączy się ze stałym lądem, znajduje się Lwia Wyspa, naturalnie chroniona systemem kanałów i salin. Do tego trzeba dodać angielskie i hiszpańskie okręty wojenne, zakotwiczone w zatoce, i lekką flotę niewielkich łodzi strzelniczych, które operują przy plażach i w przesmykach wodnych. Każdy atak francuski z lądu, w obliczu takiego arsenału środków, byłby samobójstwem, zatem rodacy Desfosseux ograniczają się do wojny pozycyjnej wzdłuż całej linii, oczekując na lepsze czasy lub zmianę sytuacji na półwyspie. Zanim jednak nadejdzie ten moment, rozkaz mówi, że należy zacieśnić blokadę oraz intensyfikować bombardowanie obiektów wojskowych i cywilnych: strategia, co do której ani francuskie dowództwo, ani rząd króla Józefa nie mają specjalnych złudzeń. Niemożność zamknięcia oblężenia wokół portu sprawia, że Kadyks ma otwartą swoją główną bramę, którą jest morze. Statki różnych bander wpływają i wypływają pod bezsilnym wzrokiem cesarskich artylerzystów, a miasto prowadzi handel z hiszpańskimi portami zbuntowanymi wobec władz napoleońskich i z połową świata; występuje tu smutna sprzeczność polegająca na tym, że oblegani są znacznie lepiej zaopatrzeni niż oblegający.

Jednak dla kapitana Desfosseux wszystko to jest względne. Albo raczej niewiele go obchodzi. Ogólny rezultat oblężenia Kadyksu, a nawet dalsze losy wojny w Hiszpanii mniej ważą na szalach jego emocji niż praca, jaką tam wykonuje. To ona pochłania całą jego wyobraźnię i talent. Wojna, którą serio zajmuje się od niedawna – wcześniej był profesorem fizyki w Szkole Artylerii w Metz – jego zdaniem polega na praktycznym zastosowaniu teorii naukowych, którym w ten czy inny sposób – teraz w mundurze wojskowym, a przedtem w cywilnym ubraniu – poświęca życie. Jego bronią, jak lubi mawiać, jest tabliczka mnożenia, a jego prochem – trygonometria. Miasto i otaczająca je przestrzeń, rozciągająca się przed jego oczyma, nie są celem do zdobycia, ale wyzwaniem technicznym. Nie mówi tego głośno – mógłby za te słowa zapłacić przed sądem wojennym – ale tak właśnie myśli. Dla Simona Desfosseux walka nie jest kwestią narodowego zrywu, ale problemem balistyki, gdzie przeciwnikiem nie są Hiszpanie, ale przeszkody stawiane przez prawo grawitacji, tarcie i temperaturę powietrza, stan płynów lepkich, prędkość początkowa i parabola zakreślona przez poruszający się przedmiot, w tym wypadku bombę, zanim osiągnie – lub nie – cel, do którego próbuje dotrzeć w sposób odpowiednio skuteczny. Niechętnie, ale podporządkowując się rozkazom zwierzchników, Desfosseux kilka dni wcześniej podjął próbę wyjaśnienia tego członkom komisji, złożonej z Francuzów i Hiszpanów, przybyłych z Madrytu po to, by sprawdzić, jak postępuje oblężenie.

Wspominając to, uśmiecha się złośliwie. Członkowie komisji przyjechali z El Puerto de Santa Maria w cywilnych wozach, turkoczających na drodze wiodącej wzdłuż rzeki San Pedro: czterej Hiszpanie i dwaj Francuzi, spragnieni, zmęczeni, mający ochotę skończyć to wszystko jak najprędzej i obawiający się, czy aby wróg nie zechce przywitać ich kanonadą z fortu Puntales. Zeszli z wozów, otrzepując kurz z surdutów, płaszczy i kapeluszy, i rzucali wokół podejrzliwe spojrzenia, starając się – bez specjalnego sukcesu – sprawiać wrażenie nieustraszonych. Hiszpanie pełnili wysokie funkcje w rządzie króla Józefa, jeden z Francuzów był sekretarzem królewskiego dworu, a drugi, o nazwisku Orsini, dowódcą szwadronu i adiutantem polowym marszałka Victora, który w stosunku do odwiedzających zachowywał się jak przewodnik. Proszę sprawę przedstawić zwięźle, zasugerował. Po to, by panowie zrozumieli, jak ważną rolę odgrywa w oblężeniu artyleria, a potem w Madrycie mogli powiedzieć, że aby rzecz zrobić dobrze, trzeba ją robić powoli. *Chi va piano, va lontano*, dodał. – Adiutant Orsini był nie tylko Korsykaninem, ale i żartownisiem. – *Chi va forte, va a la morte*. I tak dalej. A Desfosseux złapał sens i pociągnął temat. Problem, powiedział, budząc profesora ukrytego w mundurze, jest podobny do tego, jaki mamy, kiedy rzucamy kamień. Gdyby nie istniało prawo ciężenia, kamień leciałby po linii prostej. Ale grawitacja istnieje. Dlatego pociski napędzane siłą wybuchu prochu nie poruszają się po linii prostej, ale po paraboli, będącej wynikiem ruchu poziomego o stałej prędkości nadanej w

chwili ich wystrzelenia oraz ruchu pionowego spadania, którego prędkość rośnie proporcjonalnie do czasu, jaki pocisk spędza w locie. – Rozumieją panowie? – Jasne było, że ledwo nadążają myślą za jego słowami, ale widząc, jak jeden z członków komisji potakuje głową, Desfosseux postanowił zwiększyć dawkę wiedzy. – Rzecz więc, panowie, polega na tym, by osiągnąć taką siłę, jaka potrzebna jest, by kamień dotarł jak najdalej, równocześnie redukując do minimum czas, jaki spędza w powietrzu. Bo problem naszych kamieni polega na tym, że są bombami z lontami zapłonowymi, które do wybuchu mają ograniczony czas, bez względu na to, czy osiągną cel, czy nie. Dodatkowymi problemami są: siła tarcia powietrza, odchylenia spowodowane wiatrem i innymi czynnikami, takimi jak osie pionowe, odległości rosnące do kwadratu liczb pierwszych, zgodnie z prawem powszechnego ciężenia, i tak dalej. – Nadążają panowie?

– Przekonał się z satysfakcją, że nikt już nie nadążał za jego wywodem. – No tak, sami panowie rozumieją. Tak to wygląda.

– Ale bomby docierają do Kadyksu czy nie? – zapytał jeden z Hiszpanów, streszczając ogólne odczucie wszystkich członków komisji.

– Nad tym właśnie pracujemy, panowie. – Desfosseux popatrzył z ukosa na adiutanta Orsiniego, który wyjął z kieszonki zegarek i sprawdzał godzinę. – Nad tym pracujemy.

Z okiem przytkniętym do okularu lunety mikrometrycznej kapitan artylerii patrzy na białe miasto, otoczone murami obronnymi – Kadyks, lśniący pośród zielononiebieskich wód zatoki. Bliski i nieosiągalny – być może ktoś inny dodałby: niczym piękna kobieta, ale Simon Desfosseux nie należy do takich mężczyzn. Francuskie bomby docierają do wielu miejsc za liniami wroga, do Kadyksu także, jednak na granicy zasięgu i często nie wybuchają. Ani teoretyczne prace kapitana, ani ofiarność i doświadczenie cesarskich weteranów artylerii nie są w stanie sprawić, by bomby doleciały dalej niż na 2250 węzłów, odległość, która pozwala dotrzeć do wschodnich murów i przyległej do nich części miasta, ale nie dalej. I na dodatek większość bomb spada bezwładnie, ponieważ ich lonty gasną podczas długiego lotu, średnio dwadzieścia pięć sekund dzieli wystrzał i uderzenie w cel. Podczas gdy techniczny ideał, do którego dąży Desfosseux, marzenie, które w nocy nie pozwala mu spać, każąc prowadzić obliczenia przy płomieniu świecy, a we dnie tonąć w koszarze logarytmów, to bomba, której lont mógłby palić się ponad czterdzieści pięć sekund, wystrzelona z działa pozwalającego jej dolecieć na odległość ponad trzech tysięcy węzłów. Na ścianie swojej kwatery polowej, nad mapami, wykresami, tablicami i arkuszami kalkulacyjnymi, kapitan ma przypięty plan Kadyksu, na którym zaznacza miejsca, gdzie spadają bomby: czerwona kropka tam, gdzie wybuchają, i czarna kropka tam, gdzie spadają zgaszone. Czerwonych kropek jest beznadziejnie mało, na dodatek są zgromadzone, podobnie jak wszystkie czarne kropki, w części wschodniej miasta.

– Panie kapitanie, melduję się na rozkaz!

Porucznik Bertoldi właśnie wszedł na wieżę. Desfosseux, który nadal patrzy w okular, poruszając miedzianym kółkiem do pomiaru wysokości i odległości wież kościoła Carmen, odsuwa oko od lunety i spogląda na swojego adiutanta.

– Złe wieści z Sewilli – mówi. – Ktoś przesadził z ilością cyny przy produkcji haubic dziewięciocalowych.

Bertoldi marszczy nos. Jest niskim, brzuchatym Włochem o jasnych bakach i wesołej twarzy. Pochodzi z Piemontu, od pięciu lat na służbie w cesarskiej artylerii. Oblegający Kadyks nie mówią wyłącznie po francusku. Są tam Włosi, Polacy i Niemcy, między innymi. I wojska hiszpańskie, które przysięgały wierność królowi Józefowi.

– Przypadek czy sabotaż?

– Pułkownik Fronchard mówi, że sabotaż. Ale zna go pan... Ja mu nie ufam.

Bertoldi uśmiecha się słabo, co nadaje jego twarzy wygląd młodzieńczy i sympatyczny. Desfosseux lubi swojego adiutanta, mimo jego nadmiernej słabości do wina z okolic Jerezu i

panienek z El Puerto de Santa Maria. Są razem, od kiedy przed rokiem przekroczyli Pireneje, po klęsce pod Bailen. Czasem, kiedy Bertoldi wypije za dużo, zwraca się do niego na ty, po przyjacielsku. Desfosseux nigdy z tego powodu nie czyni mu wyrzutów.

– Ani ja, panie kapitanie. Hiszpańskiemu dyrektorowi huty, pułkownikowi Sanchezowi, nie wolno nawet zbliżyć się do pieców... Fronchard osobiście czuwa nad wszystkim.

– Najszybszą metodą zrzucił ze swoich barków odpowiedzialność. W poniedziałek kazał rozstrzelać trzech hiszpańskich robotników.

Uśmiech Bertoldiego staje się wyraźniejszy, do tego jeszcze dodaje gest otrzepania rąk.

– No to sprawa załatwiona.

– Właśnie. – Desfosseux kiwa głową z goryczą. – A my nie mamy haubic.

Bertoldi podnosi w górę palec, oponując.

– Bynajmniej! Jeszcze zostaje nam Fanfan!

– Tak, ale on nie wystarczy.

Mówiąc, kapitan spogląda przez otwór strzelniczy w kierunku pobliskiej reduty, osłanianej kosztami i usypanymi wałami, gdzie leży ogromny walec z brązu, pochylony pod kątem czterdziestu pięciu stopni i nakryty płótnem: dla przyjaciół Fanfan. Jest to – chrztu dokonał Bertoldi za pomocą manzanilli, białego wina z El Puerto de Santa Maria – prototyp dziesięciocalowego moździerza Villantroysa-Ruty'ego, zdolnego przenosić osiemdziesięciofuntowe bomby do wschodnich murów Kadyksu, ale ani węzła dalej jak dotąd. I to jedynie przy sprzyjającym wietrze. Kiedy wieje wiatr zachodni, pociskom udaje się tylko straszyć ryby w zatoce. Na papierze haubice odlane w Sewilli powinny spisywać się lepiej dzięki doświadczeniom i obliczeniom dokonanyom za pomocą Fanfana. Jednak na razie, przynajmniej przez jakiś czas, sprawdzenie tego w praktyce nie będzie możliwe.

– Bądźmy dobrej myśli – proponuje Bertoldi z rezygnacją.

Desfosseux przeczy ruchem głowy.

– Jestem, sam pan wie. Jednak Fanfan ma swoje ograniczenia... Ja też.

Porucznik obserwuje go i Desfosseux wie, że mierzy sine kręgi pod jego oczami. Niedogolona broda też niespecjalnie pomaga, obawia się. Nie ma marsowego wyglądu.

– Powinien pan więcej spać.

– A pan – porozumiewawcze spojrzenie łagodzi ostry ton głosu Desfosseux – powinien zajmować się swoimi sprawami.

– Ta sprawa dotyczy i mnie, panie kapitanie. Osobiście będę się musiał kontaktować z pułkownikiem Fronchardem, jeśli się pan rozchoruje... Zanim do tego dojdzie, przejdę na stronę wroga. Raczej przepłynę. Sam pan wie, że w Kadyksie żyje się lepiej niż tutaj.

– Każę pana rozstrzelać, Bertoldi. Osobiście. A potem zatańczę na pańskim grobie.

Właściwie Desfosseux dobrze wie, że niepowodzenia, jakie wystąpiły w Sewilli, nie mają wielkiego wpływu na sprawę. Czas, jaki spędził na froncie pod Kadyksem, pozwala mu wnioskować, że w szczególnych warunkach oblężenia ani konwencjonalne działa, ani haubice nie pozwalają skutecznie pokonać przeciwnika. On sam[ po przestudiowaniu podobnych sytuacji podczas oblężenia Gibraltaru w roku 1782, jest zwolennikiem użycia moździerzy większego kalibru, jednak żaden ze zwierzchników nie podziela jego zdania. Jedyne, którego udało mu się po wielu wysiłkach przekonać, dowódcy artylerii, generała Aleksandra Hureau, barona de Senarmont, już tutaj nie ma, nie może służyć mu wsparciem. Odznaczony pod Marengo, Frydlandem i Somosierrą generał był nazbyt pewny siebie i nie doceniał Hiszpanów – mówił o nich „manole”, tak jak wszyscy Francuzi – do tego stopnia, że kiedyś, podczas inspekcji baterii Villatte'a, umieszczonej na wprost Lwiej Wyspy od strony Chiclany, uparł się, żeby wypróbować nowe ławety w towarzystwie pułkownika Dejermona, kapitana Pindonella, dowódcy baterii, i samego Simona Desfosseux, przydzielonego tam do służby. Generał zażądał, żeby wszystkie siedem dział tego stanowiska otworzyło ogień w kierunku hiszpańskich linii, konkretnie na baterie w Gallineras, a kiedy Pindonell zauważył, że to może

sprovokować ostrzał ze strony wroga, tam akurat bardzo dobrze uzbrojonego, generała, który uważał się za bohaterskiego artylerzystę, zdjął kapelusz i rzekł, że do niego złapie każdy granat od manola, jaki do nich dotrze.

– Proszę strzelać i nie dyskutować – rozkazał.

Pindonell posłusznie wydał rozkaz ognia. I fakt, Hureau, mówiąc o kapeluszu, pomylił się jedynie o kilka cali w swoim wyliczeniu: pierwszy pocisk armatni, jaki dotarł w odpowiedzi, wybuchł pomiędzy nim, Pindonellem a pułkownikiem Dejermonem, wyrzucając ich wszystkich w powietrze. Desfosseux ocalał, bo akurat odszedł na bok, żeby oddać mocz, szukając dyskretnego miejsca za kosztami oblężniczymi, które zamortyzowały skutki wybuchu. Trójkę zabitych pochowano w Pustelni Świętej Anny obok Chiclany i razem z baronem de Senarmont pogrzebana została nadzieja kapitana Desfosseux, że Kadyks można będzie pokonać za pomocą moździerzy. Na pocieszenie pozostała mu przynajmniej możliwość opowiedzenia tej historii.

– Gołąb. – Porucznik Bartoldi celuje palcem w niebo.

Desfosseux patrzy w niebo, w kierunku wskazanym przez adiutanta. To prawda. Lecąc w linii prostej z Kadyksu, ptak przelatuje nad zatoką, z dala omija dyskretny gołębnik ustawiony obok baraku artylerzystów i frunie nad wybrzeżem w kierunku Puerto Real.

– Żaden z naszych.

Obydwaj wojskowi patrzą na siebie, potem adiutant opuszcza wzrok porozumiewawczo. Bertoldi jest jedyną osobą, z którą kapitana Desfosseux łączą tajemnice zawodowe. Jedną z nich jest wiedza, że bez gołębi pocztowych umieszczanie czerwonych i czarnych punktów na planie Kadyksu byłoby niemożliwe.

Statki na oprawionych obrazach wiszących na ścianach i modele wykonane w skali i ustawione w gablotach zdają się płynąć w mroku niewielkiego gabinetu urządzonego mahoniowymi meblami, wokół kobiety, która pisze, siedząc przy biurku, w prostokącie oświetlonym wąskim słonecznym promieniem, wpadającym przez niemal zasunięte zasłony w oknie. Kobieta nazywa się Lolita Palma i ma trzydzieści dwa lata, w tym wieku każda średnio rozgarnięta mieszkanka Kadyksu straciłaby wszelkie nadzieje na zamążpójście. Jednak małżeństwo już od dawna nie należy do jej głównych trosk, a nawet wcale o nim nie myśli. Martwią ją inne sprawy. Na przykład godzina przypływu. Albo wyczyny francuskiej korsarskiej feluki, która zazwyczaj kręci się pomiędzy Rotą i zatoką Sanlucar. Dzisiaj to wszystko wiąże się z bliskim przyplłynięciem do portu statku, którego j eden ze służących wyposażony w teleskop wypatruje z punktu obserwacyjnego znajdującego się na tarasie domu, od czasu, kiedy na wieży Tavira ukazało się ogłoszenie o pojawieniu się od zachodu statku pod pełnymi żaglami, który wpłynął do zatoki dwie mile na południe od płycizny przed Rotą. Może to być „Marek Brutus”, dwustuosiemdziesięcotonowa brygantyna wyposażona w cztery działa: jest spóźniona dwa tygodnie w drodze powrotnej z Veracruz i Hawany, wioząc ładunek kawy, kakao, modrzejca i kapitał wartości 15300 pesos, a jej nazwa wpisana została do niepokojącej tabeli – rejestru zdarzeń dotyczących wszystkich statków związanych z handlem tego miasta – zawierającej cztery kolumny: *spóźnione*, *bez wieści*, *zaginione*, *utracone*. Czasem po nazwie statku, która znalazła się w jednej z dwóch ostatnich kolumn, następuje dodatkowy komentarz, definitywny i nieodwoalny: *z całą załogą*.

Lolita Palma pochyla głowę nad kartką papieru, na której pisze po angielsku list, przerywając, by sprawdzić liczby na stronach grubej księgi zawierającej kursy, miary i wagi handlowe, która leży otwarta na stole obok kałamarza, srebrnego kubka z pękiem dobrze naostrzonych piór, pudełeczka z piaskiem i przyrządów do lakowania. Pracuje, opierając się o skórzaną teczkę, która kiedyś należała do jej ojca i nosi jego inicjały: T.P. Tomas Palma. List, z nagłówkiem zawierającym metrykę firmy – Palma i Synowie, zarejestrowaną notarialnie w Kadyksie w roku 1754 – jest skierowany do jej przedstawiciela w Stanach Zjednoczonych i

zawiera opis pewnych nieprawidłowości we frachcie 1210 korców mąki, który czterdzieści pięć dni płynął z Baltimore do Kadyksu w ładowniach galeonu „Nueva Soledad”. Statek przybił do portu przed tygodniem, a przywiezione nim towary zostały dalej wyekspediowane do Walencji i Murcji, gdzie panuje głód, a mąkę sprzedaje się po cenie zmielonego złota.

Każdy ze statków zdobiących jej gabinet ma własną nazwę i Lolita Palma zna je wszystkie, niektóre tylko ze słyszenia, bo zostały sprzedane, rozebrane albo zaginęły na morzu, zanim jeszcze ona sama przyszła na świat. Po pokładach wielu innych chodziła jako dziecko, razem z rodzeństwem, widziała je pod pełnymi żaglami w zatoce, kiedy wypływały albo wracały, słyszała ich dźwięczne, nabożne, często enigmatyczne nazwy – „El Birroño”, „Piękna Mercedes”, „Miłość Boża” – podczas niezliczonych rozmów rodzinnych: ten jest spóźniony, tamten dopadła burza z północnego zachodu, inny znów musiał uciekać przed korsarzami od Azorów po przylądek Sao Vicente. Wszystko związane z portami i ładunkami: miedź z Veracruz, tytoń z Filadelfii, skóry z Montevideo, bawełna z La Guaira... Nazwy dalekich miejsc, znane równie dobrze w tym domu, jak ulica Nueva, kościół Świętego Franciszka czy Alameda w ich mieście. Listy od przedstawicieli, depozytariuszy i wspólników wypełniają grube tomy przechowywane w domu w głównym biurze, mieszczącym się w oficynie na parterze, obok magazynu. Porty i statki: z tymi słowami łączyła się nadzieja lub niepewność, od zawsze, jak tylko Lolita Palma sięga pamięcią. Wie, że od tych statków, ich powodzenia podczas żeglugi, ich zachowania w ciszy na morzu i podczas burz, zuchwałości marynarzy i zdolności załóg do unikania niebezpieczeństw na morzu i lądzie, zależy od trzech pokoleń pomyślność rodziny Palma. Jeden ze statków – „Panna Dolores” – nawet nosi jej imię. Czy raczej nosił, do niedawna. Swoją drogą, to był szczęśliwy statek. Po żywocie na morzu, przynoszącym poważne zyski najpierw pewnemu angielskiemu kupcowi handlującemu węglem, a potem rodzinie Palma, teraz dożywa starości przycumowany – już bez nazwy i bez bandery – w rozbieralni obok przylądka Clica nad kanałem Carraca i nigdy nie został ofiarą gniewu morza ani chciwości piratów, korsarzy czy statków nieprzyjacielskich bander, nigdy też nie zasmucił żadnej rodziny żałobą wdów ani sierot.

Stojący obok drzwi w gabinecie angielski zegar-barometr na nodze z drzewa orzechowego wybija trzy niskie uderzenia i niemal równocześnie inne zegary wtórują mu srebrzyście z oddali. Lolita Palma, która właśnie skończyła list, posypuje piaskiem ostatnie linijki i czeka, żeby wysechł atrament. Po chwili za pomocą liniału składa w czworo kartkę papieru – walencjańskiego, białego i grubego, najlepszej jakości – i po wpisaniu adresu na odwrocie zapala zapałkę i lokuje uważnie złożony papier. Robi to powoli, tak samo dokładnie jak wszystko, co czyni w życiu. Następnie kładzie list na drewnianej tacy z intarsją z kości wieloryba i wstaje z szelestem domowej sukni – chiński jedwab przywieziony z Filipin, ciemny, w delikatne wzory – sięgającej jej do stóp, obutych w aksamitne pantofle. Stąpnęła na egzemplarz „Dziennika Handlowego”, który upadł na podłogę, na chodnik z Chicalany. Podnosi go i kładzie na stosie leżących na podręcznym stoliku innych gazet: „Redaktora Generalnego”, „Kuriera”, kilku zagranicznych, angielskich i portugalskich, ze starszą datą.

Na dole śpiewa młoda służąca, podlewając na patiu paprocie i pelargonie, które rosną w donicach wokół marmurowego ocembrowania studni. Ma dobry głos. Piosenka – modny w Kadyksie kuplet opiewający zmyślony romans pewnej markizy z patriotą przemysłowcem – brzmi wyraźniej i czyściej, kiedy Lolita Palma wychodzi z gabinetu, przemierza przeszkloną galerię na pierwszym piętrze domu i wspina się po schodach z białego marmuru dwa piętra wyżej, na taras na dachu. Zaskakuje ją ogromny kontrast z półmrokiem panującym wewnątrz. Popołudniowe słońce odbija się od pobielonego wapnem murku wokół tarasu i rozgrzewa kafelki z terakoty, a wokół rozciąga się miasto niczym biały pracowity ul umieszczony pośrodku morza. Drzwi prowadzące do narożnej wieży są otwarte, Lolita Palma wchodzi po kolejnych schodach, teraz drewnianych, węższych i kręconych, wreszcie dociera na szczyt

wieży obserwacyjnej, podobnej do tych, jakie są na wielu budynkach w Kadyksie, głównie na domach rodzin związanych z portem i żegluga: armatorów, handlowców, konsygnatariuszy. Z wysokości tych wież można rozpoznać statki wpływające do portu, a gdy się zbliżają, da się zobaczyć przez lunetę znaki zawieszane na rejach, prywatne kody, którymi posługuje się każdy kapitan chcący poinformować armatorów albo ich przedstawicieli o warunkach podróży i wiezionym frachcie. W mieście handlowym, takim jak to, gdzie morze jest powszechnie uczęszczanym szlakiem i łańcuchem pokarmowym, zarówno w czasie pokoju, jak i wojny, fortuny powstają dzięki łutowi szczęścia albo dobrze wykorzystanej okazji, a konkurenci mogą się w jednej chwili okazać bankrutami albo wzbogacić, jeśli potrafią szybko ustalić, do kogo należy wpływający statek i jakie wieści przekazują jego flagi.

– Nie wygląda na „Marka Brutusa” – mówi człowiek obserwujący morze.

Nazywa się Santos i jest starym majordomusem, w rodzinie służy jeszcze od czasów dziadka Enrica, kiedy w wieku dziewięciu lat został przyjęty jako chłopiec okrętowy na jeden z jego statków. Kaleki na jedną rękę, ale ma dobre, marynarskie oko, potrafi rozpoznać kapitana ze sposobu brasowania żagli podczas omijania płycizn Puercas. Lolita Palma bierze od niego teleskop – niezły angielski dixey ze składaną tubą ze złoconego mosiądzu, opiera go na gzymsie i obserwuje odległy statek: takielunek krzyżowy, dwa maszty całe przykryte płótnem, żeby wykorzystać świeży zachodni wiatr, który popycha go od lewej burty, ale też żeby oddalić się od innej jednostki, która – jak się wydaje – usiłuje przeciąć mu drogę od strony przylądka przy Rocie, z dwoma żaglami łacińskimi i fokiem wyprężonym na wietrze do granic wytrzymałości.

– Czy to korsarska feluka? – pyta, wskazując w tamtym kierunku.

Santos potakuje skinieniem głowy, równocześnie przesłaniając oczy kaleką dłonią, której brakuje palców małego i serdecznego. Na nadgarstku, obok starej blizny, można dostrzec niewyraźny tatuaż, odbarwiony przez słońce i czas.

– Zauważyli, że się zbliża, i forsują żagle, ale nie sądzę, żeby go mogła dopaść. Płynie daleko od lądu.

– Wiatr może się odwrócić.

– O tej porze, za pozwoleniem, pani Lolito, najwyżej trzech rumbów mogłoby mu zabraknąć przy wpływaniu do zatoki. Gorzej miałby ten drugi, z wiatrem w dziób... Powiedziałbym, że za pół godziny Francuz zostanie całkiem z tyłu.

Lolita Palma patrzy na groble przy wejściu do Kadyksu, jeszcze niezalane wodą przyptywu. Bardziej na prawo, na zewnątrz, stoją okręty angielskie i hiszpańskie zakotwiczone między bastionem Świętego Filipa a Bramą Morza, ze zwiniętymi żaglami i opuszczonymi rejami.

– Mówisz, że to nie nasza brygantyna?

– Myślę, że nie. – Santos kręci głową, nie odrywając wzroku od morza. – Raczej mi wygląda na bryg.

Lolita Palma znów patrzy przez lunetę. Mimo dobrej widoczności, jaka panuje przy zachodnim wietrze, nie jest w stanie dostrzec flag sygnalizacyjnych. Ale faktem jest, że choć statek płynie pod żaglami rejowymi, maszty z daleka wydają się pozbawione bocianich gniazd i z tyłu nie ma gafla, czyli to nie konwencjonalna brygantyna, jaką jest „Marek Brutus”. Rozczarowana odwraca wzrok ze złością. Zbyt długie to spóźnienie, myśli. Zbyt poważne sprawy wchodzi w grę. Utrata statku i jego ładunku byłaby niebywale poważnym ciosem – już drugim takim w ciągu trzech miesięcy – tym bardziej że z powodu francuskiego oblężenia prywatny kapitał ryzykują teraz jedynie właściciele i armatorzy, a ich strat nie pokrywa żadne ubezpieczenie.

– Tak czy inaczej, zostań tutaj. Aż sprawa się wyjaśni.

– Jak pani sobie życzy, doña Lolita.

Santos nadal nazywa ją Lolitą, podobnie jak reszta dawnych pracowników i starej służby domowej. Młodszy zwracają się do niej „doña Dolores” albo „proszę pani”. Ale dla społeczności Kadyksu, która zna ją od dziecka, jest Lolitą Palmą, wnuczką starego don Enrica. Córką Tomasza Palmy. Tak znajomi mówią o niej podczas spotkań towarzyskich, wieczorków i dyskusji, tak się do niej zwracają podczas spacerów po Alamedzie, po ulicy Ancha albo na południowej mszy w niedziele i święta w kościele Świętego Franciszka – panowie trzymając kapelusze w dłoni, panie z lekkim skinieniem głowy nakrytej mantylką, stanowi obiekt zainteresowania wszystkich, którzy lubią być na bieżąco – panna z najlepszego towarzystwa, świetna partia, która z powodu nieszczęśliwych okoliczności musiała zająć się całą firmą. Odebrała nowoczesne wykształcenie, naturalnie. Podobnie jak cała młodzież z dobrych rodzin w tym mieście. Skromna i żyjąca niewystawnie. Nie tak, zapewniam, jak te leniwe pannice ze zgniłej arystokracji, które potrafią tylko zapełniać swoje karnety balowe nazwiskami konkurentów i stroić się, kiedy ojczulek je sprzedaje, łącznie z tytułem, temu, kto da najwięcej. Bo w tym mieście pieniądze nie należą do starych dobrych rodów, ale są w rękach kupców. Praca jest tutaj jedyną szanowaną arystokracją, a dziewczynki są wychowywane, jak Bóg przykazuje: odpowiedzialne za swoje rodzeństwo już od małości, pobożne bez pozerstwa, mają praktyczny zawód i znają obce języki. Nigdy nie wiadomo, kiedy będą musiały pomóc w rodzinnym interesie, zając się korespondencją i podobnymi sprawami lub czy gdy wyjdą za mąż albo owdowieją, nie będą musiały zająć się sprawami, od których będzie zależał los wielu rodzin i bruchów, nie wspominając nawet o pomyślności społecznej w ogóle. Tylko proszę popatrzeć. Wiemy z dobrego źródła, że Lolicie – jej dziadek był znanym syndykiem miejskim i radnym – ojciec kazał uczyć się arytmetyki, międzynarodowego handlu, przeliczania obcych miar, wag i walut, a także księgowości i rachunkowości. Na dodatek mówi, czyta i pisze po angielsku, zna też francuski. Podobno dziewczyna nawet wie sporo o botanice. Znaczy, o roślinach, kwiatach i tak dalej. Szkoda, że została starą panną.

Właśnie słowa „szkoda, że została starą panną” są powtarzającą się końcówką opowieści – złe intencje nie przekraczają w niej granic rozsądku – jaką społeczność Kadyksu, jednym głosem, komentuje cnoty domowe i obywatelskie oraz talenty handlowe Lolity Palmy, której znakomitej pozycji w świecie interesów, jak powszechnie wiadomo, nie towarzyszą prywatne przyjemności. Ostatnie nieszczęścia dopiero niedawno pozwoliły jej zdjąć żałobę: zanim jej ojca zabrała epidemia żółtej gorączki, dwa lata wcześniej jej jedyny brat, oczywista nadzieja na kontynuację w rodzinnej firmie, zginął w bitwie pod Bailen. Ma też młodszą siostrę, bardzo wcześnie wydaną za mąż, jeszcze za życia ojca, za jednego z handlowców z Kadyksu. No i ma matkę, naturalnie. Taką matkę.

Lolita Palma schodzi z tarasu na drugie piętro. Z obrazu wiszącego na półpiętrze nad schodami i lamperią z portugalskich kafelków młody przystojny mężczyzna, w marynarce o wysokich kłapach, z szerokim czarnym krawatem, spogląda na nią z miłym, nieco kpiącym uśmiechem. To przyjaciel ojca, przedstawiciel w Kadyksie poważnej francuskiej firmy handlowej, który utonął w siódmym roku, kiedy statek, którym płynął, rozbił się na płycznach koło Aceitery, naprzeciwko przylądka Trafalgar.

Schodząc po schodach i mimowolnie patrząc na obraz, Lolita Palma sunie palcami po poręczy z białego marmuru, delikatnie żyłkowanego. Choć minęło już wiele lat, dobrze pamięta tego mężczyznę. Dokładnie. Młodzieniec nazywał się Miguel Manfredi i uśmiechał się tak samo jak na płótnie.

Na dole służąca, która ma na imię Mari Paz i jest też pokojówką Lolity – skończyła podlewać rośliny w doniczkach. Popołudniowa cisza panuje w domu na ulicy Baluarte, o krok od samego serca miasta. Jest to czteropiętrowy budynek o grubych murach z kamienia wapiennego, z dwuskrzydłową bramą ze złoconego brązu z kołatkami w kształcie statków, która zazwyczaj jest otwarta, i z obszerną chłodną sienią wyłożoną białym marmurem,

prowadzącą na oddzielone żelazną kratą patio, wokół którego mieszczą się magazyny delikatnych towarów i biura, zajęte w godzinach pracy przez licznych pracowników. O dom dba siódemka służby: stary Santos, służąca, czarnoskóra niewolnica, kucharka, młoda Mari Paz, lokaj i stangret.

– Jak się czujesz, mamó?

– Tak jak zawsze.

Sypialnię, chłodną w lecie i ciepłą w zimie, wypełnia łagodne światło. Krucyfik z kości słoniowej wisi nad żelaznym łóżkiem ozdobionym białą laską, zaopatrzone w żaluzje wysokie okno z balkonem ozdobionym balustradą z kutego żelaza wychodzi na ulicę, na balkonie stoją rzędy paproci, pelargonii i bazylii w donicach. Toaletka z lustrem, naprzeciwko wisi duże lustro, obok szafa z lustrzanymi drzwiami. Dużo lusterek i dużo mahoni, styl typowy dla Kadyksu, klasyczny. Obraz Matki Boskiej Różańcowej nad niską biblioteczką, też z mahoni, z siedemnastoma tomami *in octavo* kompletnej edycji „Kuriera dla Pań”. A właściwie to szesnastoma, bo tom siedemnasty leży otwarty na kołdrze, na piersi kobiety, która oparta o poduszki przechyliła nieco twarz, żeby córka pocałowała ją w policzek. Pachnie olejkiem z Makasaru, którym naciera sobie dłonie, i pudrem z plumerii, mającym wybielić jej twarz.

– Sporo czasu zajęło ci przyjście do mnie. Nie śpię już od dawna.

– Pracowałam, mamó.

– Ty zawsze pracujesz.

Lolita Palma przysuwa krzesło i siada przy matce, wcześniej poprawiwszy jej poduszki. Cierpliwa. Przez chwilę myśli o swym dzieciństwie, kiedy marzyła, żeby opłynąć cały świat na jednym z tych statków o białych żaglach, które powoli przemierzały zatokę. Potem myśli o brygantynie, brygu, czy jakkolwiek to był statek. Nieznanej jednostce, która w tej chwili płynie z zachodu pod wszystkimi możliwymi żaglami, z naprężonym całym olinowaniem, umykając przed francuskimi korsarzami.

Trzymając się wanty bezanu, Pepe Lobo obserwuje ruchy feluki, która stara się odciąć mu drogę do zatoki. To samo robi dziewiętnastu członków jego załogi, stojących przy masztach i na dziobie, w cieniu całej masy płótna rozciągniętego w górze nad nimi. Gdyby kapitan brygu – który wypłynął z Lizbony pięć dni wcześniej z ładunkiem sztokfisa, sera i smalcu – nie znał tak dobrze morza, jego podstępów i kaprysów, byłby spokojniejszy. Francuz jest jeszcze daleko, a „Risueña” dobrze płynie przy wysokiej fali, na świeżym wietrze z lewej burty, półwiatrem, który doprowadzi ją, jeśli sprawy się nie skomplikują, do portu pod ochronę dział fortów Świętej Katarzyny i Matki Boskiej Gromniczej.

– Spokojnie zdążymy, kapitanie – mówi pierwszy oficer.

Jest to ponury osobnik w wełnianej czapce, z tygodniowym zarostem, ma tłustą skórę. Od czasu do czasu spogląda podejrzliwie na dwóch marynarzy, którzy zajmują się kołem steru.

– Zdążymy – mówi pod nosem jeszcze raz, jakby się modlił.

Pepe Lobo podnosi do góry dłoń, w geście nakazującym ostrożność.

– Niechże pan da spokój, pilocie. Lepiej nie mówić hop...

Oficer słuwa do morza ze złością wyraźnie niezadowolony.

– Nie jestem przesądny.

– A ja jestem, więc zamknij pan swój cholerny dziób.

Krótko cisza. Pełna napięcia. Woda opływa kadłub. Wiatr gwizdże w olinowaniu, maszty i wanty skrzypią w okuciach statku, kiedy ten tnie morze z rozpędem. Kapitan nadal patrzy w kierunku korsarza. Pierwszy oficer patrzy na kapitana.

– Pan się znęca nade mną. Nie mogę się zgodzić...

– Powiedziałem, żeby się pan zamknął. Albo sam pana uciszę.

– Grozi mi pan?

– Oczywiście!



Pepe Lobo mówi spokojnie, nie odrywając wzroku od drugiego statku, równocześnie rozpinając złote guziki kurtki z niebieskiego sukna. Wie, że wszyscy członkowie załogi dają sobie znaki łokciem, nadstawiając uszu i wysilając źrenice, żeby nie stracić żadnego szczegółu.

– To niedopuszczalne – protestuje oficer. – Zamelduję o tym, kiedy przybijemy do portu. Ci wszyscy ludzie są świadkami.

Kapitan wzrusza ramionami.

– W takim razie zeznają, że panu rozwalilem łeb za odmowę wykonania rozkazu, kiedy nas ścigał statek korsarski.

Za szerokim czarnym pasem, teraz widocznym, błyska mosiężne wykończenie drewnianej rękojeści pistoletu. Broń nie jest przeznaczona do walki ze zbliżającym się wrogiem, ale do tego, by zachować wszystko pod kontrolą na własnym statku. Nie byłoby to pierwszy przypadek, gdy członek załogi traci życie w trakcie skomplikowanego manewru. Nie byłoby precedensem, jeśli przyszło co do czego, że kapitan załatwia sprawę ostatecznie. Jego zastępca to typ niespokojny, przekorny i wyszczekany, który kiepsko znosi fakt, że to nie on dowodzi brygiem. To już czwarta podróż, podczas której wyraźnie domaga się surowego potraktowania, jakiego żaden morski sąd nie zakwestionuje – jeśli sprawa trafiłaby przed sąd – biorąc pod uwagę, że trwa wojna. Zwłaszcza przy perspektywie utraty statku, ładunku, pójścia do niewoli nie ma czasu na pogaduchy.

Zmienia się rytm wibracji wanty, której trzyma się Pepe Lobo. Staje się bardziej nieregularny. Słychać lekki łopot płótna powiewającego w górze.

– Niech się pan bierze do swojej pracy, poruczniku. Łopocze marsel na bezanmaszcie.

Ani na chwilę podczas rozmowy nie spuszcza wzroku z feluki: ma przynajmniej sto ton wyporności, wąski kadłub biorący wiatr w pięciu rumbach, z jednym masztem pochylonym do dziobu, a drugim ku rufie, z żaglami łacińskimi i fokiem naprężonymi jak brzytwa. Fały ma gołe, bez bandery narodowej – „Risueña” też jej nie podniosła – ale nie ma żadnych wątpliwości, że jest francuska. Nikt inny nie wypłynąłby w morze z tak oczywistymi zamiarami jak ten łajdak. Jest to korsarz od dawna krążący po zatoce, który zazwyczaj przyczaja się obok Roty, doświadczona załoga feluki, używając swoich dział, łatwo rozprawi się z brygiem, jeśli zdoła podejść wystarczająco blisko. Bryg jest statkiem handlowym o wyporności stu siedemdziesięciu ton, uzbrojonym wyłącznie w działka czterofuntowe, kilka muszkietów i szabli, nie dysponuje niczym poważnym wobec dwóch karonad dwunastofuntowych i sześciu dział sześciofuntowych, w jakie wyposażona jest, jak mówią, feluka. Jej wyczyny zdobyły już sławę. Zanim „Risueña” trzy tygodnie temu wypłynęła do Lizbony, jej załoga słyszała, że ofiarą feluki padła hiszpańska szebeka z bardzo cennym ładunkiem, między innymi dziewięciuset kwintali prochu, i pewna roztargniona północnoamerykańska brygantyna, płynąca blisko lądu, pochwycona przez korsarza po trzydziestu dwóch dniach żeglowania z Rhode Island do Kadyksu z ładunkiem tytoniu i ryżu. Najwyraźniej protesty handlowców z miasta wobec bezkarności, z jaką się spotykają poczynania korsarzy, nie zmieniły sytuacji. Pepe Lobo wie, że zaledwie kilku angielskich i hiszpańskich okrętów wojennych używa się do ochrony portu i linii obrony, poza tym eskortują one konwoje i przewożą pocztę, kurierów i wojsko. Z kolei zaś kanonierki i inne mniejsze jednostki są przydatne jedynie przy wietrze i przyboju do portu. I to tylko wtedy, gdy nie są zajęte ochroną przejścia przy Trocadero, nocną strażą w zatoce albo eskortowaniem konwojów płynących do Huelvy, Ayamonte, Tarify i Algeciras. Tylko jeden hiszpański okręt, ten o numerze 38, pływa regularnie między pływacznią koło Sanlucar a Kadyksem, bez większych rezultatów. W związku z tym korsarzowi łatwo jest rano wypłynąć na zwiad na odległość mili od końca zatoki, w której ma swoją kryjówkę, zapolować i razem z łupem, jeśli go zdobędzie, szybko i bez specjalnego ryzyka wrócić na wybrzeże, które w tamtej okolicy w całości zajmują Francuzi. Jest jak pajak w środku swojej sieci.

Pepe Lobo patrzy wreszcie na dziób skierowany na miasto: szare mury w oddali z niezliczonymi wieżyczkami na pobielonych wapnem domach, z zamkiem Świętego Sebastiana i latarnią morską, wyglądającymi jak okręt zakotwiczony przy ławicy piasku. Cztery mile dzielą ich od Puercas i Diamante, szacuje po ustaleniu na oko pozycji w stosunku do przylądka przy Rocie i do miasta. Wejście do Kadyksu nie jest przyjemne, kryje się tam mnóstwo podwodnych skal i jest bardzo niebezpiecznie, kiedy woda opada przy silnym odpływie; ale mają sprzyjający wiatr i powinien być przypyływ, kiedy bryg, nie zmieniając kursu, przepłynie obok płycizn i zanim będzie musiał wyostrzyć w zatoce i w porcie, znajdują się już pod ochroną artylerii oraz zakotwiczonych hiszpańskich i angielskich statków, których maszty już wkrótce powinny być widoczne w oddali.

Angielscy sprzymierzeńcy. Choć Hiszpania jest już czwarty rok w stanie wojny z Napoleonem, słowo „sprzymierzeńcy” na określenie Anglików wywołuje szyderczy grymas na twarzy kapitana brygu: szanuje tych ludzi na morzu, ale nienawidzi ich jako narodu. Gdyby sam był Anglikiem, pewnie byłby takim samym aroganckim złodziejem jak oni wszyscy i w nocy spałby spokojnym snem. Jednak rządzący tymi sprawami przypadek sprawił, że urodził się Hiszpanem w morskiej bazie wojennej w Hawanie: ojciec Galisyjczyk, bosman w Królewskiej Flocie, matka Kreolka, morze przed oczami i pod stopami od dziecka. Na statku od jedenastego roku życia, przez większość tych trzydziestu jeden lat, jakie pływa – chłopiec okrętowy, majtek na statku wielorybniczym, wachtowy, nawigator, patent kapitański zdobyty z wielkim wysiłkiem i mnóstwem poświęceń – unikał piractwa i podstępów Brytyjczyków, zawsze bezlitosnych dla przeciwnika. Nie zna takiego morza, na którym brytyjska bandera nie zapowiadałaby niebezpieczeństwa. Sądzi, że dobrze zna Anglików, uważa ich za chciwych, pysznych, gotowych zawsze znaleźć wygodną ekskuzę, żeby cynicznie złamać dane słowo lub umowę. On sam ma takie właśnie doświadczenie. Zmienne losy wojny i polityka sprawiły, że teraz Anglia gra rolę sprzymierzeńca Hiszpanii stawiającej opór Napoleonowi, lecz to niewiele zmienia. Dla niego, czy to w czasie pokoju, czy pod ogniem dział, Anglicy zawsze byli wrogami. I w pewnym sensie nadal nimi są. Dwukrotnie był ich więźniem – raz na barce koło Portsmouth i raz w Gibraltarze. I tego nie zapomni.

– Korsarz odpada, kapitanie.

– Widzę.

Strach silniej działa na nawigatora niż uraza. Jego ton był już niemal pojednawczy. Kątem oka Pepe widzi, jak niespokojnie spogląda na chorągiewkę wskazującą kierunek wiatru, a potem patrzy na niego. Wyczekująco.

– Myślę, że powinniśmy... – zaczyna podwładny.

– Proszę milczeć!

Kapitan obserwuje żagle, a potem zwraca się do sterników:

– Ostrzyć jeszcze dwa rumby. Tak trzymać, dobrze... Pilocie! Ślepy pan czy głuchy? Proszę złapać ten szot.

W każdym razie jego zły humor nie ma nic wspólnego z Anglikami. Ani nawet z feluką, która w ostatnim wysiłku, żeby podejść do brygu, zaczęła płynąć pełniej i stara się dopaść ich od południowego wschodu, licząc na szczęśliwą salwę, zmianę wiatru albo nieudany manewr, który uszkodziłby omasztowanie „Risueñi”. Nie tym martwi się Pepe Lobo. Tak pewny jest, że zostawią korsarza w tyle, że nawet nie każe przygotować dział, jakimi dysponuje na pokładzie, a które swoją drogą na nic by się nie zdały w walce z przeciwnikiem, jednym wystrzałem z karonady mogącym zmieść wszystko z ich pokładu. Strach przed bitwą może wprowadzić zamęt w załodze, która wcale nie jest świetna: poza półtuzinem doświadczonych marynarzy, reszta to portowe męty zamustrowane za odrobinę tylko więcej niż jedzenie. Nie pierwszy raz ludzie mu się kryją pod pokładem mimo alarmu bojowego. Już raz kosztowało go to statek i ruinę ekonomiczną w roku 1797, nie wspominając nawet o pobycie na barce w Portsmouth. Dzisiaj wszystko dobrze pójdzie, jeśli nikt nie będzie miał żadnych wątpliwości i

każdy zajmie się swoją robotą. Co zaś do ludzi, którymi dowodzi, to ma nadzieję, że już niedługo przybije do portu w Kadyksie i raz na zawsze straci ich z oczu.

Bo to jeszcze inna sprawa. Kapitan „Risueña” wie, że odbywa ostatnią podróż na tym statku. Kiedy wypływał przed dziesiętnastoma dniami, już były złe jego stosunki z właścicielem, armatorem z ulicy Consulado, Ignaciem Usselem, i jeszcze się pogorszą, kiedy sprawdzi – on czy klient, który wynajął statek – deklarację przewozową. Pechowy rejs, ze słabym wiatrem i silną falą obok przylądka Sao Vicente, awaria stewy rufowej, przez którą musieli stać na kotwicy przez półtora dnia pod osłoną przylądka Sines, i jakieś problemy administracyjne w Lizbonie, to wszystko sprawiło, że bryg dociera spóźniony i z połową przewidzianego ładunku. To będzie kropla, która przepelni dzban. Przedsiębiorstwo Ussela, jak i wiele innych, w Kadyksie będące tylko przykrywką kilku firm francuskich – do niedawna żaden obcokrajowiec nie mógł bezpośrednio negocjować z hiszpańskimi portami w Ameryce – ma trudności, od kiedy zaczęła się wojna. Starając się nadrobić straty i wyciągnąć jak najwięcej korzyści z tych okazji, jakie wojna daje handlowcom bez skrupułów, pan Ussel dąży do jak najwyższego zysku jak najmniejszym kosztem, ze stratą dla swoich pracowników: płaci późno i marnie pod byle jakim pretekstem. To właśnie popsuło w ostatnich czasach stosunki armatora i kapitana „Risueña”, który wie, że kiedy tylko zrzuci kotwicę na czterech czy pięciu sążniach głębokości, będzie musiał poszukać sobie nowego statku, żeby zarobić na życie. A to trudne zadanie w Kadyksie, przeludnionym z powodu francuskiego oblężenia, gdzie choć pływa wszystko, co jest w stanie unosić się na wodzie, nawet zgniłe drewno, brakuje statków i dobrych marynarzy, jest nadmiar kapitanów, a w portowych tawernach, gdzie obowiązkowy pobór powoduje wyraźne straty, znaleźć można tylko hołotę, gotową zamustrować się za cztery miedziaki.

– Francuz zawraca! Odpływa!

Owacje słyhać na brygu od dziobu po rufę. Brawa i okrzyki satysfakcji. Nawet nawigator zdejmuje wełnianą czapkę i ociera czoło z ulgą. Wszyscy stłoczeni przy lewej burcie obserwują, jak korsarz odpada i porzuca pościg. Przez chwilę jego fok łopocze na długim bukszprycie, a kapitan bierze hals na sterburtę i płyną z powrotem do zatoki przy Rocie. Po zwrocie nowy kąt oświetlenia pozwala zobaczyć wysoki masz grotzągla i smukły, czarny kadłub feluki z podniesionym kasztelem pod rejką na rufie. Szybka i niebezpieczna. Podobno jest to portugalski statek handlowy, w ubiegłym roku zdobyty przez Francuzów na wysokości Chipiony.

– Odpadnij trochę. – Pepe Lobo wydaje komendę sternikom.

– Rumb na wschód-południowy wschód.

Kilku członków załogi uśmiecha się do kapitana, z aprobatą kiwają głową. Dużo mniej obchodzi, czy mają dla niego uznanie, czy nie. Teraz jest po wszystkim. Odchodząc od want, zapina kilka guzików kurtki, zasłaniając pistolet zatknięty za pas. Potem zwraca się do nawigatora, który nie spuszcza z niego wzroku.

– Proszę podnieść banderę i wybrać ten żagiel... Za pół godziny ludzie mają być gotowi do zwijania marsli.

Kiedy marynarze ciągną brasy, ustawiając reje i żagle na nowy kurs, a wypłowiła bandera handlowa z dwoma paskami czerwonymi i trzema żółtymi wznosi się na szczyt bezanmasztu, Pepe Lobo obserwuje wybrzeże, ku któremu zmierza korsarska feluka, teraz pokazując im swoją rufę. „Risueña” płynie dobrze, wiatr nadal wieje z właściwego kierunku, nie trzeba będzie halsować, żeby opłynąć Puercas. To znaczy, że będą mogli wejść do zatoki bez narażania się na spotkanie z podwodnymi głazami przy wejściu do portu i na ogień francuskiej baterii z tego drugiego zamku Świętej Katarzyny, stojącego obok El Puerto de Santa Maria i skąd zazwyczaj strzelają do statków, które manewrując, zbyt się zbliżą do lądu. Zamek znajduje się o przeszło pół mili na zachód, patrząc przez bakburtę brygu; a dalej, po drugiej stronie zatoki przy Rocie, obok ujścia rzeki San Pedro, zaczyna być widać gołym

okiem półwysep Trocadero ze stojącymi tam francuskimi bateriami wycelowanymi w Kadyks. Lobo bierze lunetę z szafki na busole, rozciąga ją i przemierza soczewką linię wybrzeża, od północy na południe, aż zatrzymuje się na fortyfikacjach – opuszczonym forcie Matagorda, leżącym nisko przy plaży, na twierdzy Ludwika i na forcie w Cabezueli, położonym najbardziej z tyłu i najwyżej, z dwoma działami wycierającymi z otworów strzelniczych. W tym momencie dochodzi go cichy wystrzał z jednego z nich i przez chwilę wydaje mu się, że widzi francuską bombę, maleńki czarny punkcik, zakreślający parabolę nad portem w kierunku miasta.

Siedząc pod otoczonym kolumnami patiu kawiarni Pocztovej, z nogami wyciągniętymi pod stolikiem, plecami opierając się o ścianę – pozycja, w jakiej zazwyczaj siada w miejscach publicznych – komisarz do spraw włóczęgów, próżniaków i ulic Rogelio Tizón wpatruje się w leżącą przed nim szachownicę. W prawej ręce trzyma filiżankę z kawą, a drugą ręką głaszcze miejsce, gdzie jego bokobrody łączą się z wąsami. Ludzie, którzy wyszli na ulicę Rosario po usłyszeniu wybuchu, teraz zaczynają wracać, opowiadając, co się zdarzyło. Bilardziści znów biorą w dłonie kije i kule z kości słoniowej, w czytelnicy i przy stolikach na patiu goście podnoszą porzucone gazety, wszyscy ponownie zajmują swoje krzesła, tworzą się te same co zwykle grupki, słychać gwar rozmów, a kelnerzy rozpoczynają kolejny obchód sali z dzbankami pełnymi kawy w ręce.

– Spadła za Świętym Augustynem – mówi profesor Barrull, siadając na swoim krześle. – I jak zwykle, nie wybuchła. Tyle że napędziła strachu.

– Pański ruch.

Barrull patrzy na policjanta, który nie oderwał wzroku od szachownicy, a potem sprawdza ustawienie figur.

– Jest pan równie uczuciowy jak smażona flądra, komisarzu. Podziwiam pańską zimną krew.

Tizón dopija kawę i stawia filiżankę z boku przy szachownicy, obok zbitych figur – sześciu własnych i sześciu przeciwnika. W rzeczywistości równowaga jest pozorna. Partia wcale nie zapowiada się dobrze dla niego.

– Zagraża pan mojej wieży gońcem i pionkiem... W takiej chwili trudno tracić czas na bomby.

Przeciwnik chrząka z satysfakcją, doceniając cynizm komentarza. Ma gęste siwe włosy, pociągłą, końską twarz, zęby pożółkłe od tytoniu i melancholijne oczy za stalowymi oprawkami okularów. Wielbiciel tabaki, spodni za kolana z czarnymi skarpetami – które zawsze nosi pomarszczone – staroświeckich surdutów, kieruje Kadyksańskim Towarzystwem Naukowym i uczy podstaw łaciny i greki dzieci z dobrych domów. Jest też groźnym szachistą, którego zazwyczaj uprzejme i łagodne zachowanie zmienia się przy szachownicy. Jego gra jest bezlitosna, prawie niegrzeczna, pełna morderczej zaciekłości. W ferworze walki zdarza mu się czasem naubliżać przeciwnikom, nawet Tizonowi: a niech was piekło pochłonie, szlag by to, psiakrew, synu jeden. Słowo honoru, żem gotów pana za coś takiego na kawałki posiekać, zanim słońce zajdzie. Skórę z pana zedrę wąskimi pasami i tak dalej. Przekleństwa wyszukane, kunsztowne; Barrull nie na darmo jest dobrze wykształcony. A komisarz znosi to dobrze. Znają się i grają w szachy od dziesięciu lat. Są przyjaciółmi, albo prawie. Raczej prawie. Przynajmniej w tym niejasnym sensie, jaki słowu „przyjaźń” nadaje komisarz.

– Ruszył pan tego przeklętego konia, jak widzę.

– Nie mam innego wyjścia.

– Owszem, ma pan. – Nauczyciel śmieje się przez zęby. – Ale na pewno nie podpowiem panu jakie.

Tizón daje znak stojącemu w kuchennych drzwiach właścicielowi lokalu, Paco Celisowi, który czuwa nad salą, a ten zaraz posyła do niego kelnera, który ponownie napełnia filiżankę komisarza i stawia obok szklanek wody. Skupiony na grze Barrull kręci przecząco głową, odprawiając w ten sposób chłopca z dzbankiem z kawą.

– A niech go pan sobie połknie – mówi, przesuwając niespodziewanie pionka.

Komisarz zastanawia się nad zagrywką, nie dowierzając. Barrull stuka palcami w stół, z arogancją, i patrzy na przeciwnika, jakby chciał strzelić mu w pierś przy pierwszej okazji.

– To będzie szach w następnym posunięciu – stwierdza Tizón, cedząc słowa przez zaciśnięte zęby.

– I mat w kolejnym.

Pokonany wzdycha i zbiera bierki. Nauczyciel uśmiecha się z podstępą miną, nie przerywając mu. *Vae Victis*, mówi. Mina komisarza jest zrezygowana w takim samym stopniu, jak rozradowana jest twarz przeciwnika. Policjant przyjmuje to ze stoickim spokojem, z przyzwyczajenia. Jego partner miażdży go w trzech na każde pięć partii.

– Można pana znienawidzić, profesorze.

– Proszę, niech pan sobie płacze! Niech pan płacze jak kobieta, skoro nie potrafił pan obronić partii jak mężczyzna.

Tizón układa w pudełku czarne i białe bierki, przypominające zwłoki wrzucone do wspólnego grobu, oczekujące na warstwę wapna palonego. Szachownica opustoszała niby piaszczysta plaża podczas odpływu. Obraz zabitej dziewczyny znów zaprzęta jego myśli. Wkładając dwa palce do kieszeni, dotyka skreconego ołowiu, który znalazł przy zwłokach.

– Profesorze...

– Słucham.

Przez moment ma wątpliwości. Jest bardzo trudno, stwierdza, sprecyzować to uczucie, które dręczy go od karczmy Kulawego. Klęczy przy zabitej dziewczynie. Łoskot morza i ślady na piasku.

– Ślady na piasku – powtarza głośno.

Barrull wymazał z twarzy morderczy uśmieszek. Wróciwszy do normalności, przygląda się policjantowi z uprzejmym zaskoczeniem.

– Przepraszam, co?

Trzymając ciągle palce w kieszeni i dotykając metalowego odłamka, Tizón robi niewyraźną minę. Bezsilną.

– Zapewne nie potrafię tego lepiej wyjaśnić... To jakby szachista patrzący na pustą szachownicę. I ślady na piasku.

– Żartuje pan sobie ze mnie – śmieje się nauczyciel, poprawiając na nosie szkła. – To jakaś zagadka? Kalambur?

– Nic takiego. Szachownica i ślady, dokładnie tak, jak mówię.

– I coś więcej?

– Nic więcej.

– Czy to jakaś kwestia naukowa?

– Tego nie wiem.

Profesor, który właśnie wyciągnął z kamizelki emaliowane pudełko z tabaką i otwiera je, przerywa w pół gestu.

– Jaką szachownicę ma pan na myśli?

– Też nie wiem. Ale myślę, że Kadyks. I tę zabita dziewczynę na plaży.

– Do diaska, przyjacielu – mówi, wdychając szczyptę zmielonej tabaki. – Coś bardzo pan dziś tajemniczy. Kadyks to szachownica?

– Tak. Albo nie... No cóż, tak, mniej więcej.

– Proszę powiedzieć, jakie mamy figury.

Tizón rozgląda się wokół. Kawiarnia to dokładne odbicie życia w obłożonym mieście: na patiu i w salonach lokalu tłum mieszkańców, handlowców, próżniaków, uchodźców, studentów, księży, urzędników, dziennikarzy, wojskowych i deputowanych do Kortezów, które właśnie przeniosły się do Kadyksu z Lwiej Wyspy. Są tu marmurowe lichtarze, drewniane i wiklinowe stoły, wyplatane krzesła, miedziane popielniczki i spluwaczki, kilka waz z czekoladą i dużo kawy, taki tu zwyczaj: garnce kawy mielonej w kuchni, podawanej na wrząco, co nasycza powietrze jej zapachem, tłumiąc nawet zapach dymu tytoniowego, który przesłania wszystko szarym obłokiem. W kawiarni Pocztovej bywają mężczyźni – kobiety nie mają tu wstępu poza karnawałem – wszelkich klas i rozmaitego pochodzenia: obok znoszonych ubrań emigrantów bez środków do życia spotyka się modne stroje i stare kurty z zamaskowanymi łatami, obok nowych wysokich butów widać dziurawe podeszwy, barwne sukno mundurów lokalnych ochotników obok budzących wstyd cerowanych mundurów oficerów Królewskiej Floty, którzy nie dostają wypłaty od półtora roku. Jedni drugich pozdrawiają bądź ignorują, zbierają się w grupy według wspólnych interesów albo wzajemnych niechęci lub podobieństw; rozmawiają przy każdym stoliku, dyskutują o treści gazet, grają w bilard albo szachy, zabijają czas w samotności lub w towarzystwie, rozprawiając o wojnie, polityce, kobietach, cenie kampešzynu, tytoniu i bawełny bądź o ostatnim, wydrukowanym dzięki niedawno wprowadzonej wolności prasy – którą wielu popiera i liczni przeklinają – paszkwilu przeciwko Iksińskiemu, Igrekowskiemu i wszystkiemu, co chodzi.

– Nie wiem, jakie są figury – odpowiada Tizón. – Oni, jak sądzę. I my.

– Francuzi?

– Może. Nie wykluczam, że też mają coś z tym wspólnego.

Profesor Barrull nadal nie rozumie.

– Z czym?

– Nie potrafię panu powiedzieć. Z tym, co tu się dzieje.

– Jasne, że tak. Przecież oni nas oblegają!

– Nie o tym mówię.

Teraz Barrull przygląda mu się uważnie, pochylony nad stołem. Potem, zupełnie naturalnym gestem, bierze szklanekę wody, nietkniętej przez Tizona, i powoli pije. Skończywszy, ociera usta chustką, którą wyciąga z kieszeni surduta, patrzy na pustą szachownicę i znów podnosi wzrok. Znają się dobrze na tyle, by wiedzieć, kiedy mówią serio.

– Ślady na piasku – mówi poważnie.

– Właśnie.

– Może pan powiedzieć coś dokładniej? Bardzo byłoby to pomocne.

Tizón niepewnie kiwa głową.

– Sprawa chyba ma coś wspólnego z panem. Z czymś, co pan zrobił albo powiedział dawno temu. Dlatego o tym panu mówię.

– Coś takiego, drogi przyjacielu! Przecież tak naprawdę nic mi pan nie mówi!

Kolejny wybuch, tym razem bardziej odległy, przerywa rozmowy. Detonacja, przytłumiona przez odległość i budynki dzielące od niej kawiarnię, wprawia w wibracje szyby w oknach lokalu.

– Ta spadła dalej – ocenia ktoś na sali. – W okolicach portu.

– Cholerne żabojady – dodaje ktoś inny.

Teraz znacznie mniej ludzi wychodzi na zewnątrz z ciekawości. Po chwili jeden z tych, co wrócili, mówi, że bomba spadła po zewnętrznej stronie murów, obok nabrzeża Cruz. Żadnych ofiar ani strat.

– Zobaczę, co sobie przypomnę – obiecuje Barrull bez większego przekonania.

Rogelio Tizón żegna profesora, bierze kapelusz i laskę, i wychodzi na ulicę, gdzie światło dnia już gaśnie i promienie słońca padają poziomo, barwiąc na czerwono pobielone wieże

obserwacyjne na dachach. Na balkonach są jeszcze ludzie, którzy patrzą w kierunku, gdzie wybuchła ostatnia bomba. Kiepsko wyglądająca kobieta, od której czuć winem i która widocznie zna Tizona, odchodzi na bok na jego widok, międląc jakieś słowa między zębami. Stare krzywdy. Udając, że jej nie słyszy, komisarz odchodzi ulicą w stronę centrum.

Białe i czarne pionki, myśli. Na tym to polega. A szachownicą jest Kadyks.

Preparowanie zwierząt oznacza nie tylko ich wypychanie, lecz także nadawanie im pozorów życia. Świadomy tego człowiek w szarym kitlu i gumowym fartuchu, z miarką w ręce, podejmuje właściwe kroki, zgodne z nauką i sztuką. Drobnym pismem, ściśłym i starannym, notuje w zeszycie wszystkie wyniki pomiarów: długość od ucha do ucha i od głowy do ogona. Potem, za pomocą cyrkla, mierzy odległość kąta wewnętrznego od zewnętrznego każdego oka, określa ich kolor jako ciemnobrązowy. Kiedy w końcu zamyka zeszyt, rozgląda się wokół i stwierdza, że coraz mniej światła wpada przez kolorowy witraż w uchylonych drzwiach prowadzących na taras. Zapala więc olejowy kinkiet, umieszcza szklany klosz nad wysokim płomieniem, żeby dobrze oświetlić zwłoki psa leżące na marmurowym stole.

To trudny moment. Bardzo trudny. Zły początek niweczy całe dzieło. Sierść psa może wypaść po krótkim czasie – jakaś larwa lub jajeczko owada ukryte w wypełniających zwierzę pakułach, wełnianych Makach albo morskiej trawie rujnuje cały trud. Ta sztuka ma swoje ograniczenia. Niektóre preparaty w gabinecie, oświetlane płomieniem kinkietu, upływ czasu oszpecił: kształt odbiega od pierwotnego, widać szkody poczynione przez światło, kurz i wilgoć, zmiany koloru wynikające z nadmiaru kamienia winnego lub wapna albo z użycia niedoskonałych żywic i werniksów. Nauka też ma ograniczenia. Nieudane dzieła, grzechy młodości i braku doświadczenia, są tu nadal, na świadectwo lub ku przestrodze, by pamiętać, jak niebezpieczne w tych sprawach, jak i we wszystkich innych, są błędy: ściągnięte mięśnie, które zmieniają normalną postawę zwierzęcia, niezbyt naturalne pozycje, pyszczki lub dzioby źle wykończone, pomyłki podczas układania wewnętrznej konstrukcji, niezręczne użycie igły do mumifikacji... Wszystko w tym gabinecie ma znaczenie, choć wojna i aktualna sytuacja miasta sprawiają, że nie da się należycie pracować. Coraz trudniej zdobyć nowe cenne egzemplarze i nie ma innego wyjścia, jak dawać sobie radę z tym, co jest. Co się napatoczy. Z tymi egzemplarzami i środkami, jakie są dostępne.

Preparator podchodzi do czarnego mebla ustawionego między uchylonymi drzwiami wychodzącymi na schody na taras, piecem a witryną, z której ryś, sowa i marmozeta patrzą na gabinet nieruchomymi oczami z masy i szkła. Wybiera tam, spośród rozmaitych narzędzi, stalowe szczypce i skalpel z rączką z kości słoniowej. Trzymając je w ręce, wraca do stołu i pochyla się nad zwierzęciem: młodym psem średniej wielkości, z białą plamką na piersi i drugą podobną na czole. Piękne kły. Dobry egzemplarz, trucizna, która go zabiła, nie pozostawiła na skórze żadnych śladów. Przy świetle kinkietu preparator – z ogromną uwagą i biegłością – szczypcami wyjmuje oczy, skalpelem przecina nerw wzrokowy, puste oczodoły czyści i pudruje mieszanką ałunu, garbnika i mineralnego mydła, która leży przed nim w mózdzierzu. Potem wypełnia oczodoły kulkami waty. Na końcu, sprawdzwszy, że wszystko jest jak należy, układa na stole zwierzę na grzbiecie, zatyka wszystkie otwory ciała pakułami, rozkłada łapy, rozcina ciało od mostka do brzucha i zaczyna je patroszyć.

W głębi gabinetu, pod przytwierdzoną do ściany żerdzią, na której znajdują się wypchane ptaki: bażant, sokół i sęp, w półmroku ledwo można dostrzec rozłożony na biurku plan miasta: duży druk, z podwójną skalą na dole – we francuskich węzłach i kastylijskich sążniach. Na nim leżą cyrkiel, liniały i ekierki. Plan, pokreślony wyrysowanymi ołówkiem dziwnymi liniami prostymi, układającymi się w wachlarz od wschodu, cały upstrzony jest krzyżykami i kółkami, niby bliznami po złowrogiej ospie. Można pomyśleć, że to pajęczyna rozciągnięta nad miastem, gdzie każdy punkt i znak wygląda jak złapany lub pożarty owad.

Powoli zapada noc. Kiedy preparator przy świetle kinkietu nacina skórę psa i ostrożnie oddziela ją od mięsa i kości, na tarasie słychać gruchanie gołębi.



## Rozdział II

Dzień dobry. Co słyhać? Dzień dobry. Proszę pozdrowić ode mnie żonę. Dzień dobry. Do widzenia, bardzo mi miło. Ukłony dla całej rodziny. Niezliczone rozmowy, pospieszne i uprzejme, uśmiechy znajomych, czasem krótka pogawędka, zainteresowanie zdrowiem małżonki, nauką syna czy też interesami zięcia. Lolita Palma przechadza się pomiędzy grupkami ludzi, którzy rozmawiają albo patrzą na wystawy sklepowe. Ulica Ancha w Kadyksie, późny poranek. Towarzyskie serce miasta w pełnej krasie. Biura, agencje, konsulowie, przedstawiciele handlowi. Łatwo można odróżnić rdzennych mieszkańców miasta od przybyszów i emigrantów, obserwując ich zachowanie i słuchając rozmów: ci ostatni, tymczasowi lokatorzy pensjonatów na ulicy Nowej, mieszkań przy Flamencos Borrachos i domów w dzielnicy Avemaria, przechadzają się przed wystawami drogich sklepów i wejściami do kawiarni, podczas gdy tamci, zajęci procentami i interesami, biegają w tę i z powrotem z teczkami, papierami i gazetami. Jedni rozprawiają o kampaniach wojennych, strategicznych ruchach, klęskach i nieprawdopodobnych zwycięstwach, drudzy mówią o cenie tkanin z Nankinu, indygo czy kakao, o tym, że cena hawańskich cygar skoczy powyżej czterdziestu ośmiu reali za funt. Natomiast deputowani do Kortezów o tej porze nie wychodzą na ulicę. Zbierają się w kościele Świętego Filipa, kilka kroków stąd, gdzie galeria dla publiczności zawsze jest pełna – francuskie oblężenie sprawia, że wielu ludzi w mieście siedzi z założonymi rękami – a korpus dyplomatyczny jest zaniepokojony tym, co się szykuje, angielski ambasador śle raporty do Londynu każdym statkiem.

Dopiero po drugiej deputowani wyjdą i rozpierzchną się po okolicznych gospodach, będą komentować wydarzenia dzisiejszej sesji, po drodze wzajemnie odsądzając się od czci i wiary, jak zwykle, według ideologii, niechęci lub sympatii: duchowni, świeccy, konserwatyści, liberałowie, rojaliści, zaskorupieni matuzalemowie, gniewni młodzi radykałowie, każdy w swojej grupce, ze swoją gazetą pod pachą. Hiszpania i jej zamorskie prowincje w miniaturze. Wiele z nich buntuje się, wykorzystuje wojnę do niepodległościowych powstań.

Lolita Palma właśnie wychodzi ze sklepu z modnymi ubraniami przy placu Świętego Antoniego, na wprost kawiarni Apollo. To najelegantszy magazyn w mieście – przedtem nazywał się Moda Paryska, a teraz, zgodnie z koniunkturą, Moda Hiszpańska – tamtejsze modele i materiały są pożądane przez wszystkie panie i panny z socjety Kadyksu. Mimo to właścicielka firmy Palma i Synowie nie zamawia tam swoich sukni, są one szyte przez krawcową i hafciarkę, według prostych wzorów projektuje je sama, czerpiąc pomysły z francuskich i angielskich czasopism. Bywa w sklepie po to, by wiedzieć, co się nosi, i żeby kupić tkaniny lub dodatki: służąca, idąca trzy kroki za nią, niesie dwa kartonowe pudełka, starannie zapakowane, w których znajduje się sześć par rękawiczek, tyle samo pończoch i koronka do bielizny.

– Kłaniam się nisko, Lolito!

– Do zobaczenia. Proszę pozdrowić małżonkę.

Główna ulica to wartki potok twarzy, często znajomych męskich głów, które są odkrywane na jej widok. To przecież jest ulica Ancha.

O tej porze niewiele tu kobiet. Dlatego Lolita przyciąga więcej męskich spojrzeń. Ukłony i uchylenie kapelusza, uprzejme skinienia głów. Wszyscy, którzy mają tu jakieś znaczenie, znają kobietę, która zarządza z rozwagą i powodzeniem, mimo że jest płci raczej słabej, przedsiębiorstwem odziedziczonym po zmarłych dziadku i ojcu. To Kadyks taki jak zawsze: handel zamorski, statki, inwestycje, ryzyko na morzu. Lolita nie jest taka jak inne panie związane z handlem, głównie wdowy, które ograniczają się do pożyczania swojego kapitału, zyskując na prowizjach i procentach. Ona ryzykuje, gra, traci lub zyskuje. Daje pracę i umożliwia zarabianie innym. Bezpieczny kapitał i nieposzlakowane życie. Przyzwoite. Wyplacalność, zaufanie i prestiż. Półtora miliona peso kapitału, ocenia się na oko. Co najmniej tyle. Jedna z naszych, bez wątpienia. Z tych dwunastu czy piętnastu rodzin, które się liczą. Dobra głowa na ramionach, o których mówi się, że są ładne, choć nikt nie może się pochwalić, że wie to najlepiej. Jeszcze do wzięcia przy swoich trzydziestu dwóch latach, choć z coraz mniejszymi szansami.

– Do widzenia. Miłego dnia!

Idzie środkiem, z uniesioną brodą. Spokojnie stuka obcasami. To jest jej ulica i jej miasto. Ubrana w ciemne szarości, z jedyną nutą koloru obszywką w niebieską szachownicę peleryny z wełnianej flaneli. Do kompletu mała torebka, mantylka, włosy zebrane ciasno na karku, skręcone loki na skroniach, obok lnianych posrebrzanych bucików, to jedyna ozdoba podczas spaceru; suknia jest prosta, wygodna, najzupełniej poprawna, używa jej do pracy i przyjmowania klientów w biurze. O tej porze tam właśnie zazwyczaj bywa, ale dziś wyszła w delikatnej sprawie finansowej: trzy tygodnie temu nabyła budzące wątpliwości weksle, które po negocjacjach szczęśliwie odsprzedała przed godziną bankowi San Carlos, z odpowiednią prowizją. Rękawiczki, pończochy i koronki z Mody Hiszpańskiej – dawniej Mody Paryskiej – to w pewnym sensie świętowanie z tej okazji. Dyskretne. Jak wszystko, co myśli i czyni.

– Gratulacje z powodu „Marka Brutusa”! Czytałem w „Strażniku Morskim”, że dotarł bez szwanku.

To jej szwagier Alfonso. Z firmy Sole i Spółka: angielskie tkaniny i towary z Gibraltaru. Wyniosły i chłodny, jak zazwyczaj, w orzechowym surducie i kamizelce w kolorze malwy, jedwabne pończochy, laseczka z indyjskiego bambusa. Kapelusz, którego nie zdejmuje, ogranicza się jedynie do przytknięcia dwóch palców do ronda i podniesienia go o cal. Lolicie Palmie wydaje się równie niesympatyczny teraz, jak sześć lat wcześniej, kiedy żenił się z jej siostrą Caridad. Stosunki rodzinne między nimi, co najwyżej poprawne, sprowadzają się właściwie do spotkania podczas odwiedzin matki raz w tygodniu.

Posag w wysokości dziewięćdziesięciu tysięcy peso nigdy nie był dla Alfonsa Sole satysfakcjonujący; rodzina Palma też nie była zadowolona ze sposobu, w jaki pieniądze te zostały zainwestowane: z niewielkim rozsądkiem i marnym zyskiem. Poza pewnymi nieporozumieniami natury handlowej różni ich także spór sądowy o teren w Puerto Real, do którego zdaniem Alfonsa ma on prawo poprzez małżeństwo. Sprawa zaczęła się po otwarciu testamentu Tomasa Palmy, trafiła do rąk notariuszy i adwokatów, krąży po sądach, choć z powodu wojny wszystko jest teraz w zawieszeniu.

– Przypłynął, Bogu dzięki. Ładunek już spisywaliśmy na straty.

Wie, że Alfonsa niewiele obchodzi los „Marka Brutusa”: równie dobrze statek mógłby leżeć na dnie morza czy stać we francuskim porcie. Ale jesteśmy w Kadyksie, tu ważne są dobre manieri.

O czymś trzeba porozmawiać, choćby krótko, kiedy spotyka się szwagierkę na ulicy Ancha, na oczach całego miasta. Nie przetrwa tu żadna firma, jeśli nie budzi zaufania i społecznego respektu, co zależy także od manier lub ich braku.

– Jak się miewa Cari?

– Dobrze, dziękuję. Do zobaczenia w piątek.

Alfonso znów dotyka róna kapelusza i odchodzi, pożegnawszy się. Zimny i sztywny aż po czubek łaski. Ze swoją siostrą Caridad Lolita też nie utrzymuje serdecznych stosunków. Nigdy ich zresztą nie miały, nawet kiedy były dziećmi. Uważają za leniwą egoistkę, zbyt przyzwyczajoną do życia kosztem pracy innych. Śmierć ich ojca ani nawet śmierć brata, Francisca de Paula, nie doprowadziły do zbliżenia między nimi: wspólna żałoba, smutek, a potem każda poszła w swoją stronę. Teraz matka jest jedynym łączącym je ogniwo, choć są to więzy bardziej formalne lub towarzyskie niż cokolwiek innego; cotygodniowa wizyta na ulicy Baluarte, czekolada, kawa i podwieczorek, bez poważniejszych rozmów niż komentarze na temat pogody, francuskich bomb czy doniczek na balkonach. Tylko kiedy pojawia się kuzyn Toño, jowialny, sympatyczny stary kawaler, atmosfera się ożywia. Małżeństwo z Alfonsem Sole – człowiekiem ambitnym i pozbawionym skrupułów, którego ojciec importuje tkaniny na mundury dla miejscowych wolontariuszy, a matka jest kobietą zarozumiałą i głupią – jeszcze podkreśla dzielące je różnice. Ani Caridad, ani jej mąż nigdy nie wybaczyli Tomasowi Palmie braku zgody na wejście zięcia do rodzinnego przedsiębiorstwa, ani tego, że wszelkie prawa młodszej córki do swego majątku uznał za wyczerpane po przekazaniu posagu oraz domu przy ulicy Guanteros, gdzie teraz żyją państwo Sole: wspanialej trzypiętrowej rezydencji, szacowanej na trzysta pięćdziesiąt tysięcy reali. Tyle to więcej niż dość, mawiał ojciec. A co do mojej córki Lolity, to ma wszystko, czego trzeba, żeby iść do przodu. Popatrzcie tylko. Mądra i wytrwała. Sama daje sobie radę, a ufam jej tak jak nikomu innemu; wie, jak zarobić pieniądze, i wie, jak ich nie stracić. Taka jest od dziecka. Jeśli kiedyś postanowi wyjść za mąż, nie będzie spędzała dnia na czytaniu romansów albo na pogaduszkach w cukierniach, podczas gdy jej mąż miałby harować jak wół. Wiercie mi. Ona jest z innej gliny.

– Lolito, wyglądasz ślicznie jak zawsze. Bardzo miło cię spotkać. Jak się czuje mama?

Emilio Sanchez Guinea trzyma kapelusz w jednej ręce, a w drugiej gruby plik dokumentów i korespondencji; zażywny sześćdziesięciolatek o rzadkich siwych włosach. I przenikliwym spojrzeniu. Ubrany z angielska, podwójna dewizka między kieszonką a guzikami kamizelki, ledwo zauważalne zmęczenie, cecha wspólna wszystkich handlowców w pewnym wieku i z określoną pozycją. W Kadyksie, gdzie nie ma gorszego uchybienia towarzyskiego jak nieuzasadnione nicnierobienie, do dobrego tonu należy pewne zaniechanie w wyglądzie – krawat albo krawatka lekko rozluźnione, kilka zagięć na ubraniu o dobrym kroju i ze znakomitego materiału – które jest dowodem, że ma się za sobą uczciwie i ciężko przepracowany dzień.

– Już słyshałem, że statek wreszcie dotarł. To wielka ulga dla wszystkich.

Stary, kochany przyjaciel, człowiek w pełni zaufany. Kolega ze studiów świętej pamięci Tomasa Palmy, wspólnik rodzinnej firmy w wielu przedsięwzięciach handlowych, dzieli z Lolitą interesy i ryzyko. Starał się nawet czas jakiś temu, żeby została jego synową – chciał ożenić z nią swojego syna Miguela, dziś jego wspólnika i szczęśliwego małżonka innej młodej kobiety z Kadyksu. Brak związków rodzinnych nigdy nie stał się powodem pogorszenia świetnych stosunków między rodzinami Palma i Sanchez Guinea. Don Emilio doradzał Lolicie, kiedy stawiała pierwsze kroki w handlu po śmierci ojca. Nadal to robi, jeśli tylko ona odwoła się do jego opinii i doświadczenia.

– Idziesz do domu?

– Nie, do księgarni Salcedo. Sprawdzę, może już dotarły zamówione książki.

– Pójdę z tobą.

– Z pewnością ma pan ważniejsze sprawy do załatwienia.

Stary handlowiec śmieje się jowialnie.

– Kiedy cię widzę, o wszystkim zapominam. Chodźmy.

Podaje jej ramię. Po drodze rozmawiają o ogólnej sytuacji, poruszają tematy interesujące ich oboje. Powstania w Ameryce Południowej komplikują wiele spraw. Więcej nawet niż

francuskie oblężenie. Eksport towarów z drugiego brzegu Atlantyku spadł alarmująco, kapitał napływa w minimalnym stopniu, brakuje gotówki, wiele osób wpada w pułapkę inwestowania w królewskie papiery wartościowe, które potem bardzo trudno jest zamienić na pieniądze. Lolicie jednak udaje się równoważyć brak płynności finansowej ruchami na nowych rynkach: import mąki i bawełny ze Stanów Zjednoczonych, niedawny eksport towarów do Rosji, przechowywanie towarów w tranzycie, co jest możliwe dzięki dobremu położeniu miasta, a także ostrożne inwestycje w weksle i ryzykowne przedsięwzięcia morskie – operacje te są specjalnością rodziny Sanchez Guinea, i zazwyczaj przy nich firma Palma i Synowie wchodzi w spółkę poprzez zaliczki kapitałowe na zamorskie podróże handlowe, spłacane z procentem, premią i zyskiem. Jest to instrument finansowy, który – dzięki doświadczeniu i zdrowemu rozsądkowi don Emilia – przynosi całkiem pokaźny dochód, zwłaszcza w mieście, gdzie zawsze potrzebna jest gotówka.

– Trzeba zacząć myśleć, Lolito, o tym, że pewnego dnia skończy się wojna i wtedy pojawią się prawdziwe problemy. Kiedy na morzu zrobi się luźniej, będzie zbyt późno. Nasi rodacy po drugiej stronie oceanu przyzwyczaili się do bezpośredniego handlowania z jankesami i Anglikami. A my tymczasem targujemy się tutaj o to, co sami mogą sobie wziąć, bez naszego udziału... Bałagan w Hiszpanii pozwala im zrozumieć, że wcale nas nie potrzebują.

Lolita Palma, trzymając go pod rękę, idzie ulicą Ancha. Mijają szerokie bramy, dobre sklepy, domy handlowe. W sklepie jubilerskim Bonalto jest, jak zwykle, liczna klientela. Dalej kolejne grupki ludzi, nowe pozdrowienia przechodniów i znajomych. Służąca idzie z tyłu, niosąc pakunki. To młodziutka Mari Paz, która ładnym głosem śpiewa kuplety, podlewając rośliny w doniczkach.

– Uda nam się znów stanąć na nogi, don Emilio... Ameryka jest bardzo duża, nie tak łatwo zerwać z językiem i kulturą. Zawsze tam będziemy. Poza tym są też nowe rynki. Proszę tylko pomyśleć o Rosji. Jeśli car wypowie Francji wojnę, będą potrzebowali dosłownie wszystkiego.

Mężczyzna kręci głową sceptycznie. Mam dużo lat, mówi. I dużo siwych włosów. To miasto straciło swoją siłę, dodaje. Rację bytu. Kiedy w 1778 roku zniesiony został monopol w handlu zamorskim, wydano na nie wyrok. Niech mówią, co chcą, ale niezależność amerykańskich portów jest faktem nieodwracalnym. Kreolów nikt już nie poskromi. Dla Kadyksu kolejne kryzysy i wojna są gwoźdźmi do trumny.

– Niechże pan nie będzie takim fatalistą, don Emilio!

– Fatalistą? Ileż nieszczęść przeżyło to miasto!? Angielska wojna kolonialna bardzo nam zaszkodziła. Potem nasza wojna z rewolucyjną Francją, później z Anglią... Wtedy pograżyliśmy się naprawdę. Pokój w Amiens przyniósł więcej spekulacji niż prawdziwych korzyści: pamiętasz te francuskie firmy, działające od zawsze, które tutaj zaczęły schodzić na psy... Potem mieliśmy kolejną wojnę z Anglikami, blokadę i wojnę z Francją... Mówisz, że to fatalizm, moje dziecko? Od dwudziestu pięciu lat wiatr wieje nam w oczy.

Lolita Palma uśmiecha się, delikatnie ściskając mu ramię.

– Drogi przyjacielu, nie chciałam pana obrazić.

– Nigdy mnie nie obrażasz, dziecko. Tego by brakowało!

Na rogu ulic Ancha i Amargura, przy brytyjskiej ambasadzie, mieści się kantor handlowy i mała kawiarnia, do której zaglądają cudzoziemcy i oficerowie marynarki. Dzielnica ta położona jest daleko od wschodnich murów, gdzie spadają bomby, nigdy jeszcze żadna tutaj nie dotarła. Kilku Anglików, rozluźnionych, korzystając z dobrej pogody, siedzi przed drzwiami i czyta stare gazety w swoim języku; jasne bokobrody, odważne kamizelki. Kilka czerwonych kurtek wojskowych.

– Popatrz na tych naszych sprzymierzeńców. – Sanchez Guinea ścisza głos. – Przyciskają do muru Regencję i Kortezy, żeby uchylić wszelkie ograniczenia w handlu z Ameryką. Jak

zawsze, dbają o własne interesy, pozostają wierni swojej polityce, która nie dopuszcza do powstania dobrego rządu w żadnym miejscu Europy... Z Wellingtonem na półwyspie chwytają trzy sroki za ogon: pilnują Portugalii, wyniszczają Napoleona i przy okazji my zaciągamy u nich dług, który odbiorą, kiedy tylko znajdą okazję. Ten sojusz jeszcze drogo nas będzie kosztować.

Lolita Palma wskazuje na zgiełk, jaki ich otacza: grupki rozmawiających ludzi, przechodnie, otwarte sklepy. Właśnie do kiosku z gazetami w środku ulicy dociera paczka egzemplarzy „Dziennika Handlowego” i tłumek kupujących wyrwa gazety z rąk sprzedawcy.

– Może i tak. Ale proszę popatrzeć na miasto... Buzuje życiem, interesami...

– To wszystko złudzenie, moje dziecko. Cudzoziemcy odjadą, kiedy skończy się blokada, i będzie nas znowu sześćdziesiąt tysięcy, jak zawsze. Co wtedy zrobią ci, którzy teraz podnoszą czynsze i żądają potrójnej ceny za befsztyk? Ci, którzy zbili majątki na cudzym nieszczęściu? To, co widzimy, to okruchy na dzisiaj i jutrzejsza nędza.

– Ale Kortezy pracują.

Kortezy, warczy pod nosem stary kupiec, są w innym świecie. Konstytucja, monarchia, Ferdynand VII. Te wszystkie sprawy nie mają nic do rzeczy. W Kadyksie pragnie się wolności, oczywiście.

I postępu ludzkości. Właściwie na tym właśnie opiera się handel. Ale z nowymi prawami czy bez nich, po ustaleniu, czy władza królewska ma pochodzenie boskie, czy też królowie są wyrazicielami narodowej suwerenności, sytuacja nie ulegnie zmianie: amerykańskie porty pozostaną w obcych rękach, a Kadyks popadnie w ruinę. Kiedy minie czas konstytucyjnej gorączki, nastaną chude lata.

Lolita Palma śmieje się serdecznie. Jej śmiech jest niski, dźwięczny. Młody. Zdrowy.

– Zawsze sądziłam, że jest pan liberałem...

Nie puszczając jej ramienia, Sanchez Guinea staje pośrodku ulicy.

– I jestem nim, przebóg! – Toczy wokół wściekłym spojrzeniem, jakby szukał kogoś, kto chciałby w to wątpić. – Ale takim, który daje pracę i buduje pomyślność... Polityczna euforia sama nikogo nie wyżywi. Ani mojej rodziny, ani nikogo innego. Te Kortezy tutaj to pobożne życzenia, a nie rzeczywista korzyść. Weź choćby ten milion peso, którego żądają od nas, kupców, na wydatki wojenne. Po tym wszystkim, co już od nas wyciągnęli! A tymczasem taki radca stanu bierze do kieszeni miesięcznie czterdzieści tysięcy reali, a minister – osiemdziesiąt tysięcy!

Idą dalej ulicą. Jest już blisko do księgarni Salcedo, jednej z wielu znajdujących się przy placzkach Świętego Augustyna i Correo. Zatrzymują się na chwilę przy witrynach i stołach. W księgarni Navarro są wystawione książki w wydaniu zeszytowym, z nierozciętymi kartami, i dwa wielkie tomy, pięknie oprawione, z których jeden otwarty jest na karcie tytułowej: *Historia podboju Meksyku* Antonia de Solis.

– Przy takich widokach na przyszłość – kontynuuje Sanchez Guinea – lepiej zbierać pieniądze i wchodzić w pewne inwestycje. Mam na myśli domy, nieruchomości, ziemię... Lokowanie pieniędzy w to, co zachowa wartość, kiedy skończy się wojna. Handlu takiego, jaki był w czasach twojego dziadka, więcej już nie będzie nigdy... Bez Ameryki Kadyks nie ma żadnego sensu.

Lolita Palma patrzy na wystawę. Coś za długa ta rozmowa, myśli.

O tym wszystkim mówili już wcześniej sto razy, a jej towarzysz nie jest człowiekiem, który marnowałby czas w godzinach pracy. Dla don Emilia pięć minut bez zysku to pięć minut straconych. A ta pogawędka trwa już piętnaście.

– Pan chce mi coś powiedzieć.

Przez chwilę obawia się, że padnie kolejna propozycja przemytu, a trzy takie już odrzuciła w ostatnich miesiącach. Nic nadzwyczajnego, dobrze wie. Ani poważnego. Przemysł jest tutaj

zwykłym sposobem zarabiania, od czasu pierwszych zamorskich galeonów. Ale czym innym jest to, co robią pozbawieni skrupułów kupcy od chwili rozpoczęcia blokady: handel ze strefami okupowanymi przez Francuzów. Firma Sanchez Guinea daleka jest od szargania swojej reputacji takimi ruchami; czasem jednak, w nieprzejrzystej smudze, jaką tworzą wojna i obowiązujące prawa, niektóre ich ładunki przechodzą przez Bramę Morza bez zapłacenia należnych ceł. W Kadyksie szanowani kupcy nazywają to pracą lewą ręką.

– Niech pan będzie tak dobry i powie mi wreszcie, o co chodzi.

Kupiec patrzy na wystawę, choć Lolita dobrze wie, że podbój Meksyku wcale go nie obchodzi. Zyskuje na czasie. Myślę, że dobrze dajesz sobie radę, mówi po chwili. Obniżasz koszty, Lolito, rezygnujesz z luksusów. To mądre. Wiesz, że dostatek nie będzie trwał wiecznie. Udało ci się utrzymać to, o co w tym mieście najtrudniej: wiarygodność. Twój dziadek i ojciec byliby dumni. Co mówię? Są dumni, patrząc na ciebie z nieba. I tak dalej.

– Niech mi pan nie kadzi, don Emilio. – Znów się śmieje, nie puszczając jego ramienia. – Proszę, niechże pan przejdzie do rzeczy.

Mężczyzna przygląda się ziemi między czubkami wyglansowanych butów. Kolejne spojrzenie na książki. Wreszcie patrzy jej w twarz zdecydowanie.

– Przygotowuję wyprawę korsarską... Kupiłem patent in blanco.

Mówiąc to, komicznie mruży oko, jakby spodziewał się ciosu.

Potem patrzy na nią wyczekująco. Kobieta kręci głową. Spodziewała się tego, na ten temat wielokrotnie wcześniej dyskutowali.

A o patencie korsarskim słyszała już plotki. Szczwany lis. Doskonale pan wie, mówi, a jej mina to potwierdza, że nie podobają mi się inwestycje tego rodzaju. Nie chcę się mieszać w podobne sprawy: wojna, tacy ludzie.

Sanchez Guinea podnosi rękę w geście oznaczającym prośbę o wybaczenie i równocześnie przyjacielski protest.

– To interesy, moje dziecko. „Tacy” ludzie to ci sami ludzie, z którymi stykasz się każdego dnia na statkach handlowych... A wojna dotyczy ciebie w tym samym stopniu co wszystkich.

– Nienawidzę piractwa. – Puściła jego ramię i obiema dłońmi ścisła torebkę, jakby chciała się bronić. – Musieliśmy je znosić wielokrotnie, zawsze wysokim kosztem.

Kupiec przekonuje ją kolejnymi argumentami. Z prawdziwym zapałem. Z dobrą radą. Korsarz to nie pirat, Lolito. Dobrze wiesz, że korsarstwo rządzi się ścisłymi zasadami. Pamiętaj, że twój ukochany ojciec myślał inaczej. W szóstym roku we dwóch wynajęliśmy i uzbroiliśmy korsarski okręt i poszło nam wyśmienicie. Teraz jest odpowiedni moment. Są nagrody za przejście statku, odpowiednie zachęty. I nieprzyjacielskie jednostki, którym można rzucić wyzwanie. Wszystko legalne, przejrzyste jak kryształ. Tylko trzeba włożyć kapitał, tak jak ja to zrobię. Zwyczajny interes. Ryzyko na morzu, takie samo jak każde inne.

Lolita Palma obserwuje ich odbicie w witrynie. Wie, że rozmówca wcale jej nie potrzebuje. Przynajmniej niekoniecznie. To przyjacielska oferta. Podsuniecie okazji, niemal jak w rodzinie, do interesu, który jest zyskowny. W Kadyksie nie brak chętnych do podobnych inwestycji, jednak spośród wszelkich możliwych współników Sanchez Guinea wybiera ją. Mądrą, poważną dziewczynę. Respekt i zaufanie. Wiarygodność. Córkę swego przyjaciela Tomasa.

– Niech pan mi pozwoli się namyślić, don Emilio.

– Jasne. Namyśl się.

Kapitan Desfosseux czuje się nieswojo. Generałowie nie są jego ulubionym towarzystwem, a dziś ma ich wielu w pobliżu. Czy raczej na głowie. Wszyscy uważnie słuchają jego słów, co nie pomaga mu myśleć spokojnie: marszałek Victor, szef sztabu Semelle, generałowie dywizji Ruffin, Villatte i Leval oraz bezpośredni przełożony Desfosseux, dowódca artylerii Pierwszego Korpusu, generał Lesueur, następca zabitego

barona de Senarmont. Pojawili się u niego około południa, kiedy księciu de Bellune wpadło do głowy przyjechać na inspekcję do Trocadero ze swojego punktu dowodzenia w Chiclanie z solidną eskortą huzarów z czwartego regimentu.

– Chodzi o to, żeby w naszym zasięgu znalazła się cała przestrzeń miejska – tłumaczy Desfosseux. – Do teraz było to niemożliwe, jesteśmy na granicy naszych możliwości, zmagamy się z różnymi problemami. Z jednej strony kwestia odległości, a z drugiej – zbyt szybkiego zapłonu lontów... To poważne przeszkody, bo zgodnie z moimi rozkazami na miasto powinny spadać bomby wybuchające, takie jak granaty. Do tego potrzebne są zapłoniki opóźniające; odległość do pokonania jest tak duża, że wiele bomb wybuchą, zanim dotrą do celu... Zaprojektowaliśmy nowy zapłonnik, w którym lont pali się wolniej i nie gaśnie podczas lotu.

– Czy już go używamy? – interesuje się generał Leval, dowódca drugiej dywizji, stacjonującej w Puerto Real.

– Będziemy nim dysponować za kilka dni. Teoretycznie powinien wytrzymać trzydzieści sekund, ale nie zawsze jest dokładnie tak. Czasem tarcie powietrza przyspiesza zapłon. A czasem gasi lont...

Pauza. Generałowie, stęziali ponad haftowanymi kołnierzami swoich mundurów, patrzą na niego uważnie, wyczekująco. Marszałek siedzi, reszta stoi, podobnie jak Desfosseux. Na pulpicie plan miasta i obok plan zatoki. Przez otwarte okna baraku dobiegają głosy saperów pracujących na placu, gdzie rozmieszczona jest nowa bateria. Na tle prostokąta słońca na deskach podłogi latają muchy wokół rozgniecionego karalucha. W barakach i w okopach Trocadero są tysiące i karaluchów, i much. Ale też szczurów, pluskiew, wszy i komarów, wystarczyłoby dla całej cesarskiej armii.

– To prowadzi nas do drugiego problemu, jakim jest zasięg. Wymaga się ode mnie, by pociski docierały na odległość trzech tysięcy węzłów, co pozwoliłoby na pokrycie całej przestrzeni miejskiej, od końca do końca. Przy środkach, jakimi dysponuję, nie mogę zagwarantować zasięgu większego niż dwa tysiące trzysta węzłów; należy też wziąć pod uwagę, że wiatry w zatoce mają ogromny wpływ na odległość i na trajektorię... To pozwala nam docierać do terenu ciągnącego się stąd... dotąd.

Wskazuje miejsca po wschodniej stronie miasta: Brama Morza, okolice Urzędu Celnego. Nie wymienia nazw, bo wie, że wszyscy znają mapę: od rokują studiują i przyglądają się miastu przez lunety. Jego palec wskazujący przebiega po zewnętrznej linii murów, niewiele tylko zahaczając o plan zabudowań: kilka zaledwie ulic w dzielnicy Pópulo, obok Bramy Ziemi. Tak to wygląda, potwierdza palec wolno sunący po papierze. Desfosseux odsuwa rękę i patrzy na swojego bezpośredniego szefa, generała Lesueura. Jakby sugerując, że *reszta to już pańska sprawa, generale*, równocześnie prosząc milcząco o pozwolenie odejścia. Opuśczenia tego miejsca i powrotu do obliczeń, teleskopu i gołębi pocztowych. Do swoich spraw. Ale nie odchodzi, oczywiście. Wie, że to, co najgorsze, dopiero teraz się zacznie.

– Statki nieprzyjaciela stojące w porcie znajdują się w zasięgu bomb. – Generał Ruffin zadaje pytanie: – Dlaczego ich też nie bombardujemy?

Francois Amable Ruffin, dowódca pierwszej dywizji, to osobnik chudy i poważny, o nieobecnych spojrzeniu. Weteran spod Austerlitz i Frydlandu, między innymi. Człowiek rozsądny, cieszący się wśród żołnierzy dobrą opinią. Młody jak na swoją szarżę, ma dokładnie czterdzieści lat. Odważny. Z tych, co umierają młodo, taki los mają już zapisany. W statki nie uderzamy, odpowiada Desfosseux, bo są za daleko: angielskie bardziej na zewnątrz i hiszpańskie – w głębi. Jedne i drugie przylepione do miasta, można by powiedzieć. Wcale niełatwo je trafić z tej odległości. Byłoby to strzelanie na oślep, nieprecyzyjne. Na chybił trafił. Co innego, jeśli bomby spadają na miasto, wszystko jedno tu czy tam, a zupełnie co innego, jeśli trzeba trafić w konkretny punkt. Tego nie można zagwarantować. Proszę na

przykład popatrzeć na budynek Urzędu Celnego. Tutaj. Tu urzęduje rząd buntowników. Ani jednego trafienia.

– Przy środkach, jakimi dysponujemy – mówi na zakończenie – niemożliwy jest dalszy zasięg i większa precyzja.

Jest o krok, żeby dodać jeszcze coś. Waha się, czy to zrobić, a generał Lesueur, który słuchał w milczeniu razem z innymi, odgaduje jego zamiar i unosi brew ku przestrodze. Nie ładuj się w tarapaty, mówi ostrzegawcza mina dowódcy artylerii. Nie komplikuj życia sobie i mnie. To rutynowa inspekcja. Powiedz im to, co chcą usłyszeć, reszta to moja sprawa. Koniec, kropka.

– Jeśli zrezygnujemy z precyzji i skupimy się na zasięgu, uważam, że lepsze wyniki możemy osiągnąć, używając moździerzy, a nie haubic.

Powiedział. I nie żałuje, choć Lesueur piorunuje go teraz spojrzeniem.

– To bezsens – odpowiada sucho. – Próba, której dokonaliśmy w listopadzie z dwunastocalowym moździerzem Dedona, wyprodukowanym w Sewilli, była zupełną katastrofą... Pociski nie osiągnęły nawet dwóch tysięcy sążni.

Marszałek Victor rozparł się na krześle i władczo patrzy na Lesueura, który jest starym artylerzystą, znającym się na rzeczy: jest drobiazgowy i kategoryczny, należy do tych, którzy jeśli mówią, to wiedzą o czym. Marszałek zna się z nim z czasów oblężenia Tulonu, kiedy Victor nazywał się jeszcze Claude Perrin i razem bombardowali reduty rojalistów oraz hiszpańskie i angielskie statki w towarzystwie swojego kolegi, kapitana Bonaparte. Niech artysta wyjaśni, o co mu chodzi, mówi jego mina. Ciebie mam blisko na co dzień, a ten tutaj zna się na rzeczy, przynajmniej tak mi go sprzedają. Po to przyjechaliśmy. Żeby mi wszystko powiedział. Zatem Lesueur zamyka usta, a książę de Bellune odwraca się do Desfosseux, zachęcając go do mówienia dalej.

– Stwierdziłem w pewnym momencie, że dedon nie był odpowiednim modelem – kontynuuje kapitan. – Miał łożo kłocowe i kulistą komorę. Nieprecyzyjny w celowaniu i niebezpieczny w obsłudze. Trzydzieści funtów prochu, jakie były potrzebne, by go naładować, to zbyt wiele – proch nie zapalał się równocześnie i niska energia przy wyrzucie ograniczała zasięg... Nawet konwencjonalne działa były pod tym względem skuteczniejsze.

– Typowa partanina Dedona – mówi marszałek.

Wszyscy się śmieją, atmosfera jak w salonie, poza Desfosseux i Ruffinem patrzącym w zamyśleniu przez okno, jakby szukał na zewnątrz jakichś szczególnych znaków. Generał Dedon jest człowiekiem zniechęconym w cesarskiej armii. To inteligentny teoretyk i doświadczony artylerzysta, jednak jego arystokratyczne pochodzenie i maniery drażnią dobrych żołnierzy, którzy wybili się w czasie rewolucji, jak sam Victor – zaczynał jako doboz trzydzieści lat temu w Grenoble, zdobył honorową szablę pod Marengo i zastąpił Bernadotte'a pod Frydlandem. Wszyscy starają się skompromitować projekty Dedona i pogrzebać jego moździerze w zapomnieniu.

– Niemniej sam pomysł jest dobry – stwierdza Desfosseux z profesjonalną pewnością siebie.

Cisza, która teraz zapada, jest tak gęsta, że nawet generał Ruffin się odwraca i patrzy na kapitana lekko zainteresowany. Z kolei Lesueur nie podnosi już ostrzegawczo jednej brwi. Unosi obie brwi i przeszywa swojego podwładnego na wskroś wściekłym spojrzeniem, wiele obiecującym.

– Problem z częściowym zapłonem ciężkich ładunków prochu mają też inne działa – niewzruszenie ciągnie Desfosseux. – Na przykład haubice Villantroysa albo Ruty'ego.

Jeszcze większa cisza. Książę de Bellune wpatruje się w Desfosseux, wplatając w zamyśleniu palce w bujną, nadającą jego głowie lwi wygląd, siwą czuprynę, którą mu pielęgnuje hiszpański fryzjer z Chiclany. Kapitan wie, że wyrażanie się bez należącego szacunku o tych haubicach to podnoszenie ręki na ulubione działo oblegających. Jego



przełożony, Lesueur, od dawna już głosi chwałę i zalety tej broni. Podsycając głupio w sztabie generalnym nadzieje, które Desfosseux uważa za całkiem nieuzasadnione.

– Istnieje podstawowa różnica – mówi marszałek. – Cesarz uważa, że właściwą bronią, by pokonać Kadyks, są właśnie haubice... Sam osobiście wysłał nam projekty pułkownika Villantroysa.

Bzyczenie much. Wszystkie spojrzenia kierują się na Desfosseux, który przełyka ślinę. Co ja tu robię, myśli sobie. Wbity w ten mundur z niewygodnym kołnierzem prowadzę absurdalne dyskusje, zamiast wykładać w Metz fizykę. Cholerny świat. W najdalszym zakątku Hiszpanii bawię się w żołnierzyków z waśniakami obwieszonymi galonami, którzy chcą słyszeć tylko to, co im odpowiada. Z tym bydlakiem Lesueurem, który wie to samo co ja, ale rzuca mnie na pastwę tej watahy.

– Z całym szacunkiem dla wiedzy cesarza, ja uważam, że Kadyks można pokonać moździerzami, a nie haubicami.

– Z całym szacunkiem – powtarza marszałek, uśmiechając się.

Jego zamyślony uśmiech mógłby przyprawić o drżenie każdego wojskowego. Ale kapitan Desfosseux jest cywilem w mundurze. Żołnierzem jest chwilowo, dopóki ma miejsce do przeprowadzenia badań. Teraz to Kadyks. Dano mu mundur i przysłano tu z Francji w tym celu. Jego królestwo nie jest z tego świata.

– Ekscelencjo, nawet błędy w lontach z opóźnionym zapłonem mają związek... Granaty wystrzeliwane z haubic muszą mieć nieodpowiednie zapłonniki. Natomiast bomba o większej średnicy, jaką wystrzeliwuje moździerz, pozwala zastosować zapłonniki większego rozmiaru. Dodatkowo, ponieważ jest cięższa, pozwala, by w komorze spalił się cały proch i przez to zwiększa swój zasięg.

Marszałek, dowódca Pierwszego Korpusu, nadal się uśmiecha. Teraz jednak z jego twarzy przebija zaniepokojenie. Co jest niebezpieczne u marszałków, generałów i ludzi tego pokroju.

– Cesarz ma odmienne zdanie. Proszę nie zapominać, że jest artylerzystą, i to dumnym ze swego fachu. Zresztą ja podobnie.

Desfosseux kiwa potakująco głową, ale już nikt nie jest w stanie go powstrzymać. Czuje nieprzyjemne gorąco pod kurtką i ma nieprzepartą ochotę, żeby rozpiąć pod szyją sztywny wysoki kołnierz. W każdym razie musi iść za ciosem, być może nigdy więcej nie będzie miał okazji, żeby wyjaśnić sytuację. Na pewno nie, jeśli znajdzie się przed plutonem egzekucyjnym albo w karczerze. Zatem, po kilku głębokich wdechach, odpowiada, że nie podważa artyleryjskich zasług Jego Cesarskiej Wysokości ani też Jego Ekscelencji księcia de Bellune. Właśnie ze względu na nie ma odwagę mówić to, co właśnie mówi, bez żadnego innego oparcia niż własne sumienie i nauka. Lojalność względem sztuki artyleryjskiej i tak dalej. Francja ponad wszystko i wszystkich. Ojczyzna i tak dalej. A co do haubic, to sam marszałek Victor był obecny na Trocadero, kiedy wykonywano próby. Żaden z ośmiu pocisków, wystrzelonych pod kątem czterdziestu czterech stopni, nie pokonał odległości większej niż dwa tysiące sążni. Wiele pocisków wybuchło w powietrzu.

– Z powodu niewłaściwej mieszanki użytej do zapalników – precyzuje generał Lesueur ze złymi intencjami.

– W żadnym wypadku nie dotarłyby do miasta. Z każdym kolejnym wystrzałem zasięg był coraz mniejszy. Niewiele pomogły spłonki.

– A to dlaczego? – interesuje się marszałek Victor.

– Bo przy każdym wystrzale haubice były coraz słabsze. A przez to malała siła miotająca.

Tym razem cisza jest dłuższa niż poprzednio. Marszałek przez chwilę uważnie przygląda się mapie. Za oknem, do którego znów odwrócił się generał Ruffin, nadal słychać pracujących na zewnątrz saperów. Uderzenia kilofów i łopat. W końcu marszałek odrywa wzrok od Kadyksu.

– Powiem to panu inaczej, kapitanie... Jak się pan nazywa? Proszę przypomnieć mi swoje nazwisko.

Słychać glups. Wymuszone przełknięcie śliny brzmi jak strzał z pistoletu. Mucha – hiszpańska, gnojowa – fruwa po izbie, przelatując z generała na generała.

– Simon Desfosseux, Ekscelencjo.

– Niech pan posłucha, Desfosseux... Mam trzysta dział dużego kalibru wycelowanych w Kadyks i odlewnie w Sewilli pracują dwadzieścia cztery godziny na dobę. Mam sztab główny artylerii i mam pana, a jak mnie zapewniał ten biedak Senarmont, który niech w pokoju spoczywa, pan jest geniuszem teorii... Oddałem panu do dyspozycji wszelkie środki techniczne i władzę... Czego więcej panu trzeba, żeby zbombardować dupy tych pieprzonych manoli?

– Moździerzy, Ekscelencjo.

Mucha właśnie siada na nosie księcia de Bellune.

– Moździerzy, mówi pan.

– Właśnie. Większego kalibru niż model Dedona: czternaście cali.

Victor odpędza muchę szybkim ciosem ręki. W tym geście widać brutalnego żołdaka, prostaka w mundurze z szamerunkiem i galonami.

– Niech pan zapomni o moździerzach, słyszy pan?

– Owszem, Ekscelencjo.

– Jeśli cesarz mówi, że mamy strzelać z haubic, strzelamy z haubic i nie ma o czym gadać.

Kapitan Desfosseux unosi rękę, prosząc o uwagę. Tylko minutkę, nie więcej. Bo w takim razie musi zadać panu marszałkowi jeszcze jedno pytanie. Czy Ekscelencja życzy sobie, żeby bomby wybuchły w Kadyksie, czy może wystarczy, by tam spadały? Mówi te słowa i milknie, czekając. Po chwili wahania, wymieniwszy spojrzenie ze swoimi generałami, Victor stwierdza, że nie wie, o co właściwie chodzi kapitanowi. Ten znów wskazuje mapę na pulpicie i odpowiada, że chciałby wiedzieć, czy celem jest spowodowanie rzeczywistych szkód w mieście, czy też chodzi o to, żeby bombami złamać morale mieszkańców. Może nie ma znaczenia, czy bomby będą wybuchać, czy nie. Może wystarczą tylko względne szkody.

Marszałek jest wyraźnie skonsternowany: Drapie się po nosie w miejscu, gdzie siedziała mucha.

– Co pan rozumie przez względne szkody?

– Wyrządzone przez spadanie bezwładnych lub litych osiemdziesięcifuntowych bomb, które to i owo niszczą i robią hałas.

– Kapitanie – Victor już nie wydaje się zirytowany – tak naprawdę to chciałbym zrównać z ziemią ten przeklęty półwysep, a potem zdobyć go bagnietami moich grenadierów... Ale skoro to nie jest możliwe, staram się, żeby przynajmniej w Paryżu pisano w „Monitorze”, nie kłamiąc, że trzęsiemy całym Kadyksem, od końca do końca.

Wreszcie i Desfosseux się uśmiecha. Pierwszy raz. Nie jest to jednak bezczelna mina, nieodpowiednia do sytuacji i jego rangi. To tylko dyskretny grymas. Obiecujący.

– Dokonałem kilku prób z haubicą kalibru dziesięciu cali, która wystrzeliwuje specjalne kule. Właściwie są one zupełnie proste, bez prochu. Ani lontu, ani ładunku wybuchowego. Jedne z litego żelaza, inne wypełnione ołowiem. Wyglądają interesująco ze względu na swój zasięg, teraz pozostaje tylko do rozwiązania kilka problemów ubocznych.

– I jakie szkody powodują?

– Łamią i rozbijają wszystko. Przy odrobinie szczęścia można trafić w budynek. Czasem zabijają albo kaleczą ludzi. I robią bardzo dużo hałasu. Być może uda się zwiększyć zasięg o sto, dwieście sążni.

– Jakie efekty taktyczne?

– Żadnych.

Victor wymienia spojrzenie z generałem Lesueurem, który potwierdza jego słowa przesadnie pewną miną, choć Desfosseux dobrze wie, że nie ma on pojęcia, o czym właściwie mówią. Prawdziwe wyniki ostatnich prób z Fanfanem znają tylko porucznik Bertoldi i on sam.

– Dobrze. To zawsze coś. Na razie wystarczy, żeby pisali w „Monitorze”. Ale niech pan nie zaniedbuje haubic z konwencjonalnymi bombami, z lontami i tak dalej. Nigdy nie zaszkodzi zapalić Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek.

Ksiązę wstaje. Odruchowo wszyscy się prostują. Słyszając skrzypienie krzesła, generał Ruffin przestaje patrzeć przez okno.

– Jeszcze jedno, kapitanie. Wszystko jedno, czy miałaby wybuchnąć, czy nie, jeśli choć jedną bombą trafi pan w kościół Świętego Filipa Neri, ten gdzie się zbiera ta ich bandycka rada, którą nazywają Kortezami, awansuję pana na pułkownika. Słyszysz pan? Daję na to moje słowo.

Na twarzy generała Lesueura pojawia się grymas i Victor to zauważa.

– O co panu chodzi? – pyta wyniośle. – Uważa pan, że to niewłaściwe?

– Nie o to chodzi, panie generale – przeprasza indagowany. – Kapitan Desfosseux już dwa razy odrzucił propozycję awansu, którą właśnie Wasza Ekscelencja raczył mu złożyć.

Mówi to i patrzy na zainteresowanego z widoczną mieszaniną uczuć: lekkiej zawiści i piękającej podejrzliwości. W jego świecie zawodowych wojskowych każdy, kto nie chce awansować, jest istotą podejrzaną. Stoi to w wyraźnej sprzeczności z postawą obowiązującą wśród napoleońskich weteranów: awansowanie i zdobywanie honorów od szeregowca jak najwyżej się da, tak jak ksiązę de Bellune i sam generał Lesueur, łupienie ziem, wiosek i miast i wysyłanie zdobyczy do swych rezydencji we Francji. Trzy dekady chwały w Republice, Konsulacie i Cesarstwie, łykając dym i ogień bez mrugnięcia okiem, doskonale komponują się z tym, by umrzeć w zamożności i – jeśli się uda – w łóżku. To kolejny powód, by nie ufać komuś, kto – jak Desfosseux – próbuje maszerować we własnym rytmie. Gdyby nie cieszył się sławą wybitnego teoretyka, Lesueur już dawno posłałby go do jednej z redut pośród niezdrowych kanałów otaczających Lwią Wyspę, żeby tam zgnił. Depcząc błoto.

– Coś takiego – komentuje Victor. – Widzę, że mamy tu indywidualistę. Może patrzy z góry na nas, którzy, owszem, awansujemy.

Znów zapada gęsta cisza. Uzasadniona, z drugiej strony. Przerwana przez wybuch śmiechu marszałka. To typowe dla Victora.

– Dobrze, kapitanie. Niech pan robi swoje i proszę pamiętać o tej bombie na Świętego Filipa Neri. Moje oferta nadal jest aktualna. Chyba że jest coś, na czym panu bardziej zależy.

– Moździerz kalibru czternastu cali, Ekscelencjo.

– Precz z moich oczu. – Bohater spod Marengo wskazuje na drzwi. – Niech już pan sobie idzie, przeklęty łotrze.

Preparator zwierząt wcześniej wchodzi do mydlarni Frasquita Sanlucara. Mieści się ona na ulicy Bendición de Dios, tuż przy Mentidero. Sklep jest ciemny i chłodny, wąski, z oknem i wewnętrznym patiem, z ladą w głębi, przed zasłoną, za którą znajduje się magazyn. Poustawiane jedna na drugiej skrzynie, pudełka ze szklanymi pokrywami, pozwalającymi zobaczyć towar. Flakony na delikatne produkty. Kolory i aromaty, zapach mydeł i esencji. Na ścianie barwny oleodruk z portretem króla Ferdynanda VII i stary barometr ze statku, długi i wąski, w kształcie kolumny.

– Dzień dobry, Frasquito.

Mydlarz ma na sobie szary kitel. Jest rudowłosy, bardziej wygląda na Anglika niż Hiszpana, wbrew swojemu nazwisku. Nosi okulary. Duże piegi sięgają aż po zakola we włosach, rzadkich i kędzierzawych.

– Dzień dobry, don Gregorio. Czym mogę służyć?

Gregorio Fumagal – bo tak się nazywa preparator – uśmiecha się do mydlarza. Jest stałym klientem, bo produkty u Frasquita Sanlucara są najlepsze i w największym asortymencie w całym Kadyksie: od pomad i przezroczystych, delikatnych mydeł toaletowych, przywiezionych z zagranicy, po zwykłe, hiszpańskie, do prania.

– Potrzebuję farby do włosów. I proszę dwa funty białego mydła, tego, które brałem kilka dni temu.

– Okazało się dobre?

– Znakomite. I miał pan rację. Doskonale czyści skórę zwierząt.

– Mówiłem panu. Jest lepsze od tego, którego używał pan wcześniej. I tańsze.

Do sklepu wchodzi dwie kobiety. Nie spieszy mi się, mówi preparator i odchodzi od lady na czas, kiedy Sanlucar je obsługuje. To sąsiadki z dzielnicy, raczej niezamożne: chusty z nieczesanej wełny i grube spódnice, włosy spięte szpilkami, koszyki z zakupami na ręce. Swobodne i wesołe, jak zazwyczaj bywają kobiety w tym mieście. Jedna z nich jest drobna i ładna, o jasnej cerze i delikatnych dłoniach. Gregorio Fumagal obserwuje, jak myszkują w pudełkach i workach.

– Zważ mi, Frasquito, pół funta tego złotego.

– Nie ma mowy. To nie dla ciebie, moja mała, ma dużo łoju.

– I co w tym złego?

– Jest za tłuste, jak się umyjesz, zostanie trochę świński zapaszek... Dam ci trochę tego, jest z delikatniejszego tłuszczu, z olejkiem sezamowym. Prawdziwy luksus.

– Na pewno też jest droższe. Dobrze cię znam.

Frasquito Sanlucar robi niewinną minę, zrezygnowany.

– Jest odrobinę droższe, to prawda. Ale zasługujesz na mydło najwyższej jakości, jak królowa. Jesteś taka ładna. A tego właśnie mydła używa, żeby daleko nie szukać, cesarzowa Józefina.

– Naprawdę? A niech tam używa. Ja nie chcę mydła zabojadów.

– Daj spokój, dziewczyno. Używa go też królowa Anglii. I portugalska infantka Carlota. I hrabina...

– Ty to masz gadane, Frasquito!

Mydlarz bierze pudełko i zaczyna zawijać je w kolorowy papier. Kiedy klientami są kobiety, zazwyczaj używa rzucających się w oczy opakowań z etykietką. Reklama dla sklepu.

– Ile funtów chciałaś, moja droga?

Gdy dziewczyny się zegnają, Gregorio Fumagal odchodzi na bok, żeby zrobić im przejście, obserwując je, kiedy wychodzą.

– Przepraszam, don Gregorio. – Mydlarz zwraca się do niego.

– Dziękuję za pańską cierpliwość.

– Widzę, że u pana świetne zaopatrzenie, mimo wojny.

– Nie skarżę się. Dopóki mamy wolny port, niczego nie brakuje. Docierają nawet francuskie produkty. I dobrze, bo Kadyks to miasto, które docenia zagraniczne rzeczy, a hiszpańskie mydło nie ma dobrej opinii... Mówi się, że fałszujemy receptury.

– Pan też to robi?

Sanlucar przybiera minę pełną godności. Są mieszanki dobre i złe, odpowiada. Proszę spojrzeć, dodaje, wskazując na pudełko z kostkami nieskazitelnie białymi. Mydło niemieckie. Ma dużo łoju, bo tam nie mają oliwy, ale czyszczą je tak długo, aż staje się bezwonne. Natomiast nikt nie chce hiszpańskich mydeł toaletowych. Oszukaństwa było tyle, że ludzie już im nie ufają. Koniec końców, zawsze sprawiedliwi płacą za grzeszników.

Słychać głuchy wybuch, gdzieś daleko. Bum! Zaledwie słaby wstrząs drewnianej podłogi i wibracja szyb w oknie. Obaj nasłuchują uważnie przez chwilę.

– Martwicie się tutaj bombami?

– Niespecjalnie. – Z obojętną miną Sanlucar owija w szary papier dwa funty mydła i flakon farby do włosów. – Ta dzielnica leży daleko. Bomby nie docierają nawet do Świętego Augustyna, a co dopiero dalej.

– Ile jestem winien?

– Siedem reali.

Preparator kładzie srebrną monetę na ladzie i czeka na resztę, lekko zwrócony w stronę, z której dotarł odgłos uderzenia.

– Mimo wszystko spadają coraz bliżej.

– Niezupełnie, dzięki Bogu. Dziś rano jedna uderzyła w ulicę Rosario. Ta spadła najbliżej, i sam pan widzi, stąd o tysiąc łokci! Dlatego dużo ludzi z tamtej części miasta, ci, co nie mają żadnych krewnych, żeby do nich pójść, śpi tutaj, przy placu.

– Na ziemi? Ładny widok!

– Dobrze pan mówi. Jest ich coraz więcej, przychodzą z kołdrami, kocami i szlafmycami, kładą się w bramach, gdzie mogą i gdzie im pozwolą... Mówi się, że władze zrobią dla nich baraki przy forcie Świętej Katarzyny, za koszarami.

Kiedy Gregorio Fumagal wychodzi ze sklepu z pakunkiem pod pachą, widzi tamte dwie młode kobiety, idą przed nim, zaglądając do sklepów. Preparator zwierząt patrzy na nie ukradkiem i zostawiając za plecami Mentidero, kieruje się ku wschodniej części miasta ulicami prostymi i dobrze zaprojektowanymi – w ten sposób, by stały na przeszkodzie wiatrom ze wschodu i z zachodu – w okolice placu Świętego Antoniego. Po drodze zatrzymuje się w aptece przy ulicy Tinte, gdzie kupuje trzy ziarna sublimatu, sześć uncji kamfory i osiem białego arszeniku. Potem idzie do skrzyżowania ulic Amoladores i Rosario, gdzie przed drzwiami sklepu siedzi grono klientów i osusza butelkę wina, przyglądając się budynkowi, który o dziewiątej rano został trafiony przez bombę. Dom stracił część fasady. Z ulicy widać było obraz zniszczenia – trzy piętra zburzone od góry do dołu, połamane belki, drzwi wychodzące na pustkę, oleodruki i obrazy przekrzywione na ścianach, łóżko i meble utrzymujące równowagę nad przepaścią. Pejzaż domowej intymności ukazany w swej nagości w sposób niemal obsceniczny. Sąsiedzi, żołnierze i strażnicy podpierają budowlę i przeszukują ruiny.

– Były jakieś ofiary? – pyta Fumagal sklepikarza.

– Nic groźnego, dzięki Bogu. Nie było nikogo w tej części, która się zawaliła. Właścicielka i służąca tylko są ranne... Bomba spadła i wszystko zniszczyła, ale obeszło się bez większego nieszczęścia.

Preparator podchodzi do miejsca, gdzie grupka ciekawskich ogląda odłamki pocisku z żelaza i ołowiu pośród rumowiska. Wąskie kawałki ołowiu, długości pół piędzi, zwinięte jak korkociąg. To jest dom – Fumagal słyszy, co opowiadają – francuskiego kupca, zatrzymanego trzy lata temu na barce w zatoce. Jego nowi posiadacze urządzili w nim pokoje do wynajęcia. Właścicielkę wydobyto spod gruzów i teraz leży w szpitalu z połamanymi obiema nogami. Służąca wyszła z tego z kilkoma tylko zadraśnięciami.

– Urodziły się drugi raz – stwierdza jedna z sąsiadek, żegnając się znakiem krzyża.

Uważny wzrok preparatora dostrzega wszystko. Kierunek, z którego nadleciała bomba, kąt uderzenia, szkody. Dziś wieje wiatr ze wschodu. Umiarkowany. Starając się nie zwracać na siebie uwagi, Fumagal idzie od miejsca, w które spadł pocisk, do rogu z kościołem Rosario, licząc kroki i odmierzając odległość, jakieś dwadzieścia pięć sążni. Dyskretnie notuje to ołówkiem w zeszyciku z kartonowymi okładkami, który wyjmuje z kieszeni płaszcz; wynik naniesie później na mapę, którą ma rozłożoną na stole w pracowni. Linie proste i krzywe. Miejsca wybuchów na strukturze w kształcie pajęczyny, rosnącej powoli na planie miasta. Pochłonięty obliczeniami dostrzega, że dwie kobiety widziane w sklepie mydlarza przyszły popatrzeć na miejsce, gdzie spadła bomba. Obserwując je z daleka, preparator zderza się z człowiekiem o ogorzałej cerze, który idzie w przeciwnym kierunku,

ubrany w kurtkę z niebieskiego sukna ze złotymi guzikami, w czarnej czapce. Fumagal krótko przeprasza go i każdy podąża w swoją stronę.

Pepe Lobo nie zwraca uwagi na czarno odzianego mężczyznę, który powoli odchodzi z dwoma pakunkami w długich bladych rękach. Myśli marynarza zajęte są teraz innymi sprawami. Jedną z nich jest aktualny zbieg pechowych wypadków w jego życiu. W ruinach domu, w którym mieszka – czy raczej mieszkał do dziś – jest pogrzebana jego skrzynia z całym ekwipunkiem żeglarskim. Nic wielkiego, ale są tam trzy koszule i trochę bielizny, kurtka, spodnie, angielska luneta i sekstans, przenośny zegar, mapy morskie, dwa pistolety i kilka najniezbędniejszych rzeczy, między innymi jego patent kapitański. Żadnych pieniędzy, tak niewiele ich ma, że może je nosić przy sobie. Niemal nie słyszy w kieszeni ich brzęczenia. Resztę, to, co są mu winni za skończony rejs, nie wiadomo kiedy będzie mógł odebrać. Jego ostatnia wizyta u armatora „Risueńi” miała miejsce pół godziny temu i jej rezultaty nie są zachęcające. Niech pan przyjdzie za parę dni, kapitanie. Trzeba zrobić bilans tego nieszczęsnego rejsu i wszystko pozalać. Najpierw musimy zapłacić wierzycielom, u których zadłużyliśmy się z powodu spóźnienia statku. Pańskiego spóźnienia. Mam nadzieję, że tę sprawę weźmie pan na siebie. Słucham? Ach tak, no przykro mi. Nie mamy na widoku żadnego innego statku, który moglibyśmy panu powierzyć. Naturalnie, że pana poinformujemy, gdyby jakiś się trafił. Z pewnością. A teraz przepraszam. Życzę pomyślności.

Przechodzi na drugą stronę ulicy i zbliża się do ludzi zebranych przed domem. Komentarze pełne oburzenia, obelgi pod adresem Francuzów. Nic nowego. Mija tłum gapiów, aż sierżant wolontariuszy mówi mu, niegrzecznie, że dalej iść nie wolno.

– Mieszkam w tym domu. Jestem kapitan Lobo.

Sierżant mierzy go spojrzeniem od stóp do głów.

– Kapitan?

– Tak.

Tytuł nie wydaje się robić wrażenia na mężczyźnie ubranym w niebiesko-biały mundur miejskiej straży, ale ponieważ jest to mieszkaniec Kadyksu, nos podpowiada mu, że ma przed sobą przedstawiciela marynarki handlowej, i jego zachowanie staje się łagodniejsze. Kiedy Lobo wyjaśnia mu sprawę skrzyni, sierżant oferuje pomoc żołnierza, który razem z nim przekopie rumowisko, może coś uda się jeszcze uratować z tych ruin. Lobo dziękuje mu, zdejmując kurtkę i w samej koszuli bierze się do roboty. Nie będzie łatwo, myśli z niepokojem, przerzucając kamienie, cegły, połamane kawałki drewna, znaleźć inne przywoite lokum. Napływ cudzoziemców spowodował całkowity brak mieszkań. Liczba mieszkańców Kadyksu się podwoiła: zajazdy i pensjonaty są pełne, wynajmuje się lub podnajmuje nawet pokoje i tarasy prywatnych domów po zawrotnych cenach. Niczego nie można znaleźć za mniej niż dwadzieścia pięć reali za dzień, a roczny czynsz za skromne mieszkanie przekracza dziesięć tysięcy. Nie wszyscy są w stanie zapłacić takie sumy. Niektórzy uchodźcy należą do szlachty, dysponują środkami, dostają pieniądze z Ameryki albo docierają do nich dochody z ich posiadłości znajdujących się na terenie wroga, poprzez domy bankowe z Paryża i Londynu; jednak większość stanowią zrujnowani ziemianie, patrioci, którzy nie zgodzili się zostać poddanymi króla najeźdźcy, zwolnieni urzędnicy, pracownicy dawnej administracji przyniesieni falą wojennej tułaczki, którzy dotarli tu wraz z rodzinami w ślad za uchodzącą Regencją, po tym jak Francuzi weszli do Madrytu i Sewilli. Niezliczeni emigranci tłoczą się w mieście, bez środków, by prowadzić wystawne życie, a ich liczba rośnie każdego dnia o uciekinierów z ziem okupowanych i tych, które w każdej chwili mogą zostać podbite. Na szczęście nie brak jedzenia i ludzie radzą sobie, jak mogą.

– Czy to pańska skrzynia?

– Cholerny świat... Tak, była moja.

Dwie godziny później Pepe Lobo, brudny, spocony i zrezygnowany – nie pierwszy raz zostaje właściwie z tym tylko, co ma na sobie – przechodzi obok Bramy Morza, niosąc płócienny worek z dobytkiem ocalałym po jego osobistej katastrofie morskiej: kilka przedmiotów, które udało mu się uratować ze zmiążdżonej skrzyni. Ani sekstans, ani luneta, ani mapy morskie nie przeżyły zawalenia domu. Reszta – z wielkim trudem. W każdym razie, gdyby wcześniej nie poszedł spotkać się armatorem „Risueñi”, mogłoby być dużo gorzej. Może sam by się znalazł wśród ruin. Bomba i jesteś z aniołkami w niebie, czy gdzie tam się idzie, kiedy wybijie twoja godzina. Krótka mówiąc, nieprzyjemna sytuacja. Skomplikowana. Tak czy inaczej, takie miasto jak Kadyks zawsze pozostawia pole manewru: ta myśl odrobinę go pociesza, kiedy krąży po ulicach i tawernach w okolicach Boquete i Merced, wśród marynarzy, rybaków, dziwek, portowej hołoty, cudzoziemców i uchodźców z najniższych warstw społecznych. Tam, na ulicach o wymownych nazwach, jak Trumienna czy Świerzbowa, zna miejsca, gdzie człowiek morza za kilka monet dostanie siennik, na którym może spędzić noc, choć może trzeba będzie spać z kobietą, z otwartymi oczami i z nożem pod zrolowaną kurtką, która musi robić za poduszkę.

Wydaje się, że czas zastygł w ciszy nieruchomych zwierząt ustawionych przy ścianach gabinetu. Światło wpadające przez szyby w drzwiach, które wiodą na taras, odbija się w szklanych oczach wypchanych ssaków, w lakierze pokrywającym skórę gadów, w wielkich szklanych słojach, gdzie unoszą się w chemicznej nieważkości, w pozycji płodowej nieruchome stworzenia o żółtawej skórze. W mieszkaniu słychać tylko pospieszne skrobanie ołówka po papierze. W środku tego dziwnego świata Gregorio Fumagal pisze ścisłym, drobnym pismem na małej, bardzo cienkiej karteczce. Ubrany w kitel i wełniany beret preparator zwierząt stoi lekko pochylony nad wysokim pulpitem, służącym za stół do pisania. Od czasu do czasu podnosi wzrok, by spojrzeć na plan Kadyksu rozłożony na stole, w dwóch przypadkach bierze lupę i podchodzi przypatrzeć mu się z bliska, po czym wraca do pulpitu i pisze dalej.

Słychać dzwony z kościoła Świętego Jakuba. Fumagal rzuca spojrzenie na zegar z brązu stojący na komodzie, szybko kreśli ostatnie linijki i bez ponownego czytania zwija papierek, tworząc z niego krótki, cieniuteńki walec, który wsuwa w pojemnik z trzonu ptasiego pióra, wyjęty z szuflady, po czym zalepia go lakiem z obu stron. Następnie otwiera przeszklone drzwi i wchodzi po stopniach na taras. Kontrast między przytłumionym światłem panującym w gabinecie a gwałtowną jasnością rani wzrok. W odległości mniej niż dwustu kroków niedokończona kopuła i budowane od niedawna dzwonnice nowej katedry, jeszcze otoczone rusztowaniami, odcinają się na tle miejskiego nieba, ponad rozległym pejzażem morza z linią piasku, białą od słońca i falującą w odbijającym się świetle, która wzdłuż grobli oddala się kręto w kierunku Sancti Petri i wzgórz Chiclany, niby wał, nad którym zaraz przeleje się ciemny błękit Atlantyku.

Fumagal odhacza sznurek, który przytrzymuje drzwi do gołębnika, i wchodzi do środka. Jego obecność jest czymś codziennym, ptaki prawie nie reagują. Krótki łopot skrzydeł. Gruchanie ptaków na wolności i w klatce, znajomy zapach siemienia konopnego i suchej wyki, ciepłe powietrze, pióra i odchody, wszystko to otacza preparatora, kiedy wybiera spośród zamkniętych w klatkach gołębi odpowiednią sztukę: silnego samczyka o szaroniebieskim upierzeniu i białej piersi z zielonymi i fioletowymi refleksami na szyi, bohatera wielu podróży w tę i z powrotem przez zatokę. To bardzo dobry egzemplarz, jego znakomita orientacja sprawiła, że stał się wiernym posłańcem cesarza, weteranem rozlicznych wypraw w słońcu, deszczu i na wietrze, nietkniętym szponami drapieżników ani kulami podejrzliwych nieopierzonych dwunogów. Inni bracia z gołębnika nie powrócili ze swoich niebezpiecznych akcji, a ten zawsze dociera do celu podróży trwającej dwie do pięciu minut zależnie od wiatru i klimatu, lecąc odważnie po linii prostej przez zatokę i wracając

szczęśliwie w potajemnej klatce ukrytej na łodziach przemytników, opłacanych francuskim złotem. Ptak prowadzi swoją walkę – osobistą, maleńką wojnę z Hiszpanią – na wysokości trzystu stóp.

Mężczyzna bierze gołębia do ręki i ostrożnie przytrzymuje go wolem do góry, stwierdza, że ptak jest zdrowy, ma całe lotki i sterówki.

Potem jedwabną, nawoskowaną nitką przywiązuje rurkę z wiadomością do jednego z silnych piór w ogonie, zamyka gołębnik i staje przy wychodzącej na wschód balustradzie tarasu, z tej strony wieże obserwacyjne wznoszą się nad miastem, zasłaniając zatokę i stały ląd. Bardzo ostrożnie, upewniwszy się, że nikt z sąsiednich tarasów go nie obserwuje, Fumagal wypuszcza ptaka, który wydaje świst szczęścia z powodu niespodziewanej wolności i przez pół minuty fruwa wkoło coraz wyżej, odzyskując orientację. Wreszcie, kiedy jego wrażliwy zmysł precyzyjnie lokalizuje miejsce, do którego powinien dotrzeć, odlatuje szybko, miarowo poruszając skrzydłami, w kierunku francuskiej linii na Trocadero – coraz mniejszy punkt na niebie, po chwili niemal niedostrzegalny, w końcu znika z oczu.

Stojąc nieruchomo na tarasie, z rękami w kieszeniach szarego kitla, Gregorio Fumagal przygląda się dłuższą chwilę dachom i wieżom miasta. Potem odwraca się, schodzi w dół po schodach do gabinetu, który teraz wydaje się kompletnie ciemny w porównaniu z ostrym światłem na tarasie. Za każdym razem, kiedy posyła na wschód gołębia, preparator czuje dziwną wewnętrzną euforię. Wrażenie nieskończonej mocy, duchowej łączności z niewytlumaczalną energią, niemal magnetyczną, wyzwalającą się po drugiej stronie zatoki za sprawą jego osobistej woli i uporu. Nic mniej banalnego czy naiwnego, podsumowuje, niż ten gołąb, teraz już daleko, niosący nieświadomie klucz, katalizator skomplikowanych związków pomiędzy istotami żywymi, ich losem i śmiercią.

Ostatnie słowo jego rozumowania ciąży nad nieruchomymi zwierzętami. Na wpół spreparowany pies nadal leży na marmurowym stole, przykryty białym płótnem. I jedna praca wymaga cierpliwości, i druga. Są odpowiednie dla ludzi opanowanych. Niektóre części ciała już zostały wzmocnione drutami podtrzymującymi kości i stawy, naturalne zagłębienia wypełnia włosie. Puste oczodoły nadal są zatkane kulkami bawełny. Zwierzę mocno śmierdzi chemikaliami, które zapobiegają jego rozkładowi. Preparator rozbija i miesza w mózdzierzu mydło od Frasquita Sanlucara, łączy je z arsenikiem, sublimatem i alkoholem etylowym, pędzlem z włosia starannie nakłada mieszankę na skórę psa, delikatnie idzie z włosem, gąbką osuszając pianę.

Kiedy zegar na komodzie wybija jedno uderzenie, Fumagal rzuca w jego stronę szybkie spojrzenie, nie przerywając pracy. Gołąb pewnie już doleciał do celu, myśli. Z wiadomością. A to oznacza nowe linie proste i krzywe, uderzenia i wybuchy. Potężne siły znów zostaną dziś uruchomione, zagęszczając pajęczynę na mapie, na której ostatnią bombę już oznaczył krzyżykiem.

O zmroku, postanawia, pójdzie na spacer. Długi. O tej porze roku noce w Kadyksie są cudowne.

Rogelio Tizón właściwie nie pije wina, najwyżej przed południem zjada umoczoną w winie bułkę. Teraz popija kolację wodą, jak zwykle. Zupa, gotowane udko kurczaka. Trochę chleba. Jeszcze ogryza kość, kiedy ktoś stuka do drzwi. Służąca – starsza kobieta, drobna i pożółkła – idzie otworzyć i wprowadza Hipolita Barrulla, który dźwiga tekę z papierami.

– Nie wiem, czy dobrze robię, komisarzu, że panu przeszkadzam o tej porze. Ale taki pan był zainteresowany, pamięta pan? Tymi śladami na piasku.

– Jasne. – Tizón wstaje, ocierając usta i dłonie serwetką. – A pan nigdy nie przeszkadza, profesorze. Może się pan poczęstuje?

– Nie, dziękuję. Przed chwilą zjadłem kolację.



Policjant spogląda na swoją żonę, siedzącą po drugiej stronie stołu: przeraźliwie chuda, o ciemnych, zgaszonych oczach, podkrążonych ze zmęczenia, wyraźnie wygląda na wyczerpaną. Surowe usta z zaciśniętymi wargami. Wszyscy w mieście wiedzą, że ta wysuszona i smutna kobieta kiedyś była piękna. I może szczęśliwa, winnych czasach. Dopóki nie straciła swojej jedynej córki, mówią jedni. Dopóki nie wyszła za męża, mówią inni ze znaczącą miną. Co tu dużo gadać, sąsiadko. Taki już jest Kadyks. Zostać żoną komisarza Tizona to jak dożywocie. Czy to prawda, że ją bije? To, proszę pana, wcale by nie było najgorsze. Mówię panu. Żeby tylko ją bił.

– Przejdziemy do saloniku, Amparo.

Kobieta nie odpowiada. Ogranicza się do nieobecnego uśmiechu w stronę nauczyciela i nadal siedzi nieruchomo, palcami lewej ręki, na której nosi obrączkę, toczy niezgrabną kulkę z chleba po obrusie. Przed nietkniętym talerzem.

– Proszę usiąść, profesorze. – Tizon podniósł zapaloną lampę i kręci kółeczkiem knota, żeby zwiększyć płomień. – Czy chce pan kawy?

– Nie, dziękuję. Nie mógłbym spać całą noc.

– A mnie jest wszystko jedno: z kawą czy bez, ostatnio nie mogę zmrużyć oka. Ale cygaro razem ze mną pan zapali. Niech pan da spokój tabace.

– Tego nie odmówię.

Salonik jest wygodny, okna – teraz zamknięte – wychodzą na Alamedę, fotele z rzeźbionego drewna, obite adamaszkim, niski stolik, przenośny piecyk, przy ścianie pianino, na którym nikt nie gra od jedenastu lat. Kilka niezgrabnie namalowanych obrazów i reprodukcji wisi na pokrytych tapetą ścianach, narożnik z drewna orzechowego z jakimś trzydziestoma książkami: trochę historii Hiszpanii, kilka rozpraw na temat higieny miejskiej, królewskie dekryty w miękkiej oprawie, słownik języka hiszpańskiego, *Don Kichote* w wydaniu Sanchy w pięciu tomach, *O gwarach i słownictwie* Juana Hidalgo i dwa tomy *Annalów Hiszpanii i Portugalii* Juana Alvareza de Colmenar, poświęcone Kadyksowi i Andaluzji.

– Proszę spróbować. – Tizon otwiera cygarnicę. – Dotarli przed trzema dniami prosto z Hawany.

Tytoń darmowy, trzeba dodać. Wzięty bez skrupułów. Komisarz dostał osiem porządnych pudełek znakomych cygar jako część zapłaty – reszta to dwieście reali w srebrze – za potwierdzenie ważności bardzo wątpliwych paszportów pewnej rodziny emigrantów. Obaj mężczyźni palą nad metalową popielnicą z podobizną psa myśliwskiego. Odłożywszy na nią świeżo zapaloną hawanę, Hipolito Barrull poprawia szkła, otwiera teczkę i kładzie przed Tizonem kilka ręcznie zapisanych kartek. Po czym znów bierze cygaro, pociąga je i rozpiera się w fotelu, lekko uśmiechając się z zadowoleniem.

– Ślady na piasku – powtarza, powoli wypuszczając dym. – Myślę, że to pan miał na myśli.

Tizon przygląda się papierom. Wyglądają dość znajomo, rozpoznaje na nich pismo samego Barrulla.

*Ciągle uważam, o synu Laerta, że łowy urządzasz na zgubę wrogów<sup>1</sup>...*

Już to czytał, potwierdza. Dawno temu. Stronice są ponumerowane, ale nie ma tytułu ani nagłówek. Tekst ma formę dialogu: Atena, Odyseusz. *Jak skrzętnie polujesz, tropy świeżutkie, jakby za węchem lakońskiej wyżlicy sprawiasz się z śladem...* Z cygarem w zębach podnosi wzrok, prosząc o wyjaśnienie.

– Nie przypomina pan sobie? – pyta Barrull.

– Słabo.

---

<sup>1</sup> Wszystkie fragmenty *Ajasa* Sofoklesa na podstawie przekładu Antoniego Mierzyńskiego.

– Dałem panu kilka stron do przeczytania, dawno temu. To mój okropny przekład *Ajasa* Sofoklesa.

W kilku słowach profesor stara się odświeżyć wspomnienia komisarza. W młodości Barrull przez jakiś czas poświęcał się nigdy niedokończonemu dziełu przetłumaczenia na hiszpański tragedii Sofoklesa, zebranych w jednym tomie, ogłoszonym drukiem we Włoszech w szesnastym wieku. Jakież trzy lata temu, przed wojną z Francuzami, kiedy wspominał o sprawie Tizonowi podczas partii szachów w kawiarni Pocztowej, ten okazał swoje zainteresowanie *Ajasem*, gdy nauczyciel opowiedział mu, że pierwszy akt rozpoczyna się niemal policyjnym śledztwem Ulissea. Wśród kolegów znanego bardziej jako Odyseusz.

– Oczywiście! Jakież jestem głupi!

Rogelio Tizón stuka palcem w kartki i pociąga cygaro. Wreszcie wszystko sobie przypomina. Barrull pożyczył mu wtedy rękopis tragedii Sofoklesa, a on przeczytał tekst z zaciekawieniem, choć sama historia nie była nadzwyczajna. Jednak z tamtej lektury pozostał mu w pamięci obraz Odyseusza, który podczas oblężenia Troi prowadzi śledztwo w sprawie zabicia przez Ajasa, czy inaczej Ajaksa, wielu owiec i krów w obozie greckim. Ajas oszalał z powodu zniewagi ze strony swych towarzyszy, związanej ze zbroją zabitego Achillesa. Przy braku możliwości zemsty wyładowuje swoją wściekłość na zwierzętach, które torturuje i zabija w swoim namiocie.

– Miał pan rację co do plaży i śladów na piasku... Proszę to przeczytać.

Tizón czyta, nie roniąc ani słowa:

*I teraz cię widzę przy morskich namiotach, gdzie Ajas na skrzydle obóz rozłożył, tropy świeżutkie na piasku rozważasz...*

A więc to było to wspomnienie, myśli zaskoczony. Kilka stron przeczytanych przed trzema laty. Grecka tragedia.

Wydaje się, że Hipolito Barrull dostrzega rozczarowanie policjanta.

– To mniej, niż się pan spodziewał, prawda?

– Nie, profesorze. To z pewnością będzie przydatne... Ale muszę ustalić, czy istnieje jakiś związek między tym, co pamiętam z pańskiego Ajasa, a aktualnymi wydarzeniami.

– Nic mi pan nie powiedział tamtego dnia o naturze obecnych wydarzeń... Ma pan na myśli francuskie oblężenie czy śmierć owych biednych dziewcząt?

Tizón przygląda się żarowi cygara, szukając odpowiedzi. Wreszcie wzrusza ramionami. Tu właśnie leży problem, odpowiada. Wydaje mi się, że te sprawy coś łączy.

Barrull potrząsa głową, rozciągając końską twarz w sceptycznym grymasie.

– Mówi to panu policyjny węch, komisarzu? Za przeproszeniem, cytując dalej klasyka, węch lakońskiej wyźlicy? Proszę wybaczyć szczerłość, ale to jakiś absurd.

Grymas zniecierpliwienia. Przecież wiem, mruczy Tizón pod nosem, przewracając kartki i czytając poszczególne wersy. Na razie żadnego przebłysku. Barrull przygląda mu się w milczeniu, z wyraźnym zaciekawieniem, wypuszczając kółka dymu.

– Do diabła, Rogelio – mówi. – Jest pan pełen niespodzianek.

– Dlaczego pan tak uważa?

– Nigdy nie sądziłem, że ktoś taki jak pan będzie mieszał do tego Sofoklesa.

– A kim jest ktoś taki jak ja?

– No wie pan... Kimś raczej twardym...

Kolejne kółka dymu. Cisza. Jest pan komisarzem policji, dodaje Barrull po kilku chwilach. Na co dzień ma pan do czynienia z tragediami rzeczywistymi, a nie na papierze. I znam pana, jest pan raczej typem racjonalnym. Rozsądnym. Zastanawiam się więc, czy naprawdę można ustalić sensowne związki. Z jednej strony mamy mordercę albo wielu morderców. Z drugiej – sytuację zgotowaną przez Francuzów. Ale to już wszystko.

Komisarz uśmiecha się krzywo, tą stroną ust, gdzie nie ma cygara. Tam też pobłyskuje złoty kiel.

– Mam też pańskiego przyjaciela Ajasa, żeby sprawa nie była zbyt prosta. Oblężenie Troi, oblężenie Kadyksu.

– I śledczy Odyszeusz. – Barrull odsłania żółte zęby. – Pana kolega po fachu. Choć, sądząc po pańskiej minie, te papiery też niewiele wyjaśniają.

Tizón robi niezdecydowany gest.

– Musiałbym jeszcze raz to przeczytać, powoli.

Płomień lampy odbija się w szklach na nosie nauczyciela.

– Proszę się nie krępować, tekst jest do pańskiej dyspozycji, według woli... W zamian oczekuję pana jutro przy stoliku, nad szachownicą. I jestem gotów zetrzeć pana na proch, bez litości.

– Jak zazwyczaj.

– Tak, jak zazwyczaj. Jeśli nie ma pan nic innego do roboty, naturalnie.

Kobieta stoi w drzwiach do saloniku. Nie zauważyli, jak weszła. Rogelio Tizón dostrzegają i odwraca się w jej kierunku, poirytowany, bo sądzi, że słuchała ich rozmowy. Nie pierwszy raz. Żona daje krok w przód i kiedy płomień oświetla jej smutne rysy, komisarz pojmuję, że przynosi wiadomość, która wcale nie jest dobra.

– Przyszedł po ciebie stójkowy. Znalaziono następną zabitą dziewczynę.

## Rozdział III

Świt zastaje Rogelia Tizona nad słabym płomieniem lampy olejowej ustawionej na ziemi. Dziewczyna – to, co z niej zostało – jest młoda, ma nie więcej niż szesnaście, siedemnaście lat. Włosy jasnokasztanowe, drobna budowa. Jest zakneblowana, leży na brzuchu z rękami związanymi na podołku. Jej nagie plecy są tak zmaltretowane, że kości wystają na czarnym, posiniaczonym ciele, pokrytym suchymi skrzepami krwi. Nie ma innych widocznych ran. Wydaje się oczywiste, że podobnie jak inne została zabita kańczugiem.

Ani sąsiedzi, ani przechodnie, nikt niczego nie widział ani nie słyszał. Knebel na ustach, odosobnione miejsce i pora, kiedy się to zdarzyło, były gwarancją bezkarności mordercy. Ciało zostało znalezione na opuszczonym gruncie wychodzącym na ulicę Amoladores, gdzie zazwyczaj wyrzuca się odpadki, które każdego dnia zbiera wóz śmieciarzy. Dolna część ciała jest ubrana, sam Tizón osobiście uniośł spódnicę, żeby to sprawdzić. Halki i cała reszta są na swoim miejscu, co w zasadzie wyklucza bardziej perwersyjne rodzaje agresji, o ile słowo „bardziej” uznamy za odpowiednie do tej sytuacji.

– Przyszła ciotka Pietrucha, panie komisarzy.

– Niech zaczeka.

Akuszerka, po którą posłał chwilę wcześniej, stoi na końcu zaułka razem z policjantami utrzymującymi w pewnej odległości tych niewielu obudzonych sąsiadów, którzy mimo wczesnej pory z ciekawością przyglądają się wszystkiemu. Gotowa, żeby wydać definitywną opinię, kiedy komisarz zapyta. Lecz Tizonowi się nie spieszy. Od dobrej chwili siedzi nieruchomo na kupie gruzów, z kapeluszem nasuniętym na oczy, w płaszczu zarzuconym na ramiona, z rękami opartymi na brązowej główce laski. Przygląda się. Jego ostatnie wątpliwości, czy dziewczyna została zabita tutaj, czy przyniesiono ją tu po śmierci, wydają się rozwiewać w jasności dnia, która pozwala dostrzec plamy krwi na ziemi i kamieniach przy zwłokach. To w tym miejscu, z całą pewnością, związana i zakneblowana, by nie było słychać krzyków, dziewczyna została zabita uderzeniami kańczuga.

Rogelio Tizón – jak wczoraj wieczorem zauważył z szorstką szczerością profesor Barrull – nie jest człowiekiem sentymentalnym. Okropieństwa, z jakim spotyka się w życiu zawodowym, powodują, że jego wzrok i sumienie są twarde, a i on sam jest dodatkowym powodem strachu. W całym Kadyksie uchodzi za typa niebezpiecznego i nieprzyjemnego. Jednak, pomimo surowej biografii, bliskość zmaltretowanego ciała sprawia mu przykrość, powoduje szczególny niepokój. Nie chodzi o zwykłe współczucie, jakie budzi każda ofiara, ale dziwne poczucie wstydu pogwałconego do kresu wytrzymałości. Teraz jest ono bardziej intensywne niż pięć miesięcy temu, kiedy stanął nad zwłokami pierwszej dziewczyny zabitej w ten sposób, i bardziej niż za drugim razem, przy zabójstwie na mierzei. Nieznośna przepaść zdaje się pogłębiać tuż przed nim. To trudna do określenia pustka, gdzie rozbrzmiewają smutnie dźwięki domowego pianina, którego klawiszy nikt już nie dotyka. Daleki zapach, nigdy niezapomniany, dziecięcego ciała, złej gorączki stygnącej w suchym bólu pustego pokoju. Samotność w ciszy bez łez, które jednak kapią, okrutne jak tykanie zegara. Nieobecne spojrzenie kobiety, która teraz błąka się po domu i życiu Rogelia Tizona jak wyrzut, świadek, duch albo cień.

Policjant podnosi się, mrugając, jakby wracał z daleka. Teraz jest czas na badanie ciotki Pietruchy, gestem daje znak, by ją przepuszczono. Nie czekając, Tizón pozostawia bez odpowiedzi pozdrowienie akuszerki i odchodzi od zwłok dziewczyny. Przez chwilę wypytuje sąsiadów, którzy przyszli z kocami, kapami lub pelerynami, narzuconymi byle jak na nocne stroje. Nikt niczego nie widział ani nie słyszał. Nie wiedzą też, czy dziewczyna jest z tej dzielnicy.

Nikomiu nie wiadomo, żeby ktoś zaginął. Tizón wydaje polecenie swojemu pomocnikowi Szafotowi, by zaraz po badaniu przez akuszerkę zabrano stąd ciało, żeby inni sąsiedzi już go nie widzieli.

– Zrozumiano?

– Tak.

– Co to, do cholery, ma znaczyć? Zrozumiano czy nie?

– Zrozumiano, panie komisarzu. Zwłoki schować, żeby nikt już ich nie widział.

– Gęba na kłódkę. Żadnych wyjaśnień. Powiedziałem wyraźnie?

– Jak najwyraźniej, panie komisarzu.

– Jeśliby się komuś rozwiązał język, to sam mu go wyrwę i jeszcze napluję w dziurę po nim. – Wskazuje na ciotkę Pietruchę, klęczącą teraz nad ciałem dziewczyny. – Powtórz moje słowa tej starej kurwie.

Uznając sytuację za opanowaną, Rogelio Tizón odchodzi z laską w ręce, rozglądając się po okolicy. Pierwsze światło dnia dociera do ulicy Amoladores od strony murów obronnych i pobliskiej zatoki, obrysowując na szaro fasady domów. Na razie nie widać wyraźnych kształtów, jedynie cienie, które rozmazują zarysy portali, krat, zakamarków. Kroki komisarza dźwięczą na bruku, kiedy idzie po krótkim odcinku ulicy, rozglądając się nie wiadomo właściwie za czym: wskazówką, pomysłem. Czuje się jak gracz, który w trudnej sytuacji, nie mając prostego rozwiązania, wpatruje się w figury, czekając na nagłe olśnienie, żeby droga dotąd niedostrzeżona stała się inspiracją kolejnego ruchu. To wrażenie wcale nie jest przypadkowe. Echo rozmowy prowadzonej z Hipolitem Barrullem pobrzmiwa w jego pamięci. Węch Iakońskiej wyżlicy. Ślady. Profesor odprowadził go wczoraj wieczorem na miejsce zbrodni, rzucił okiem i zaraz potem, z typową dla niego delikatnością, zniknął. Przełożmy na później tę partię szachów, dodał na odchodne. Już za późno, by cokolwiek odkładać, miał na końcu języka Tizón, który myślami był całkiem gdzie indziej. On sam rozgrywa, od długiego czasu, partię bardziej złożoną i mroczną. Trzy pionki poza szachownicą, ukryty gracz i oblężone miasto. Komisarz pragnie teraz wrócić do domu i przeczytać czekający na fotelu manuskrypt *Ajasa*, choćby tylko po to, żeby odrzucić błędne, absurdalne skojarzenie. Dobrze wie, jak niebezpieczne bywa zaplątanie się w malownicze pomysły, w fałszywe tropy, które prowadzą do ślepych zaułków, do pułapek wyobraźni. W sprawach kryminalnych, w których rzadko pozory mylą, droga oczywista zazwyczaj jest tą właściwą. Szukanie drugiego dna prowadzi człowieka na manowce, jałowe, a często i niebezpieczne. Dziś jednak nie może uciec przed myślami, i to go niepokoi. Tych kilka przeczytanych wczoraj linijek wraca mu do głowy w rytm kroków, kiedy idzie przez miasto o szarym świetle. Stuk, stuk, stuk. Jak skrzętnie polujesz, by się przekonać. Stuk, stuk, stuk. Tropy świeżutkie na piasku rozważasz. Stuk, stuk, stuk. Kroki i ślady. Kadyks jest ich pełen. Nawet bardziej niż piasek na plaży. Nakładają się tu jedno na drugie. Tysiące pozorów ukrywają lub zacierają tysiące prawd dotyczących skomplikowanych, sprzecznych i złych istot ludzkich. Do tego wszystkiego dochodzi dziwaczne oblężenie, w jakim żyje miasto. W tej dziwnej wojnie.

Widok zburzonej fasady na rogu ulic Amoladores i Rosario jest jak uderzenie w twarz. To sarkastyczny dowód. Komisarz staje w miejscu, osłupiały od nieoczekiwanego – a może bardzo oczekiwanego, myśli po chwili – odkrycia. Francuska bomba spadła mniej niż dobę wcześniej w odległości trzydziestu kroków od miejsca, gdzie leży zabita dziewczyna.

Ostrożnie, niemal jakby się obawiał niezręcznymi ruchami zmienić znaki, Tizón przygląda się zniszczeniom, pionowej wyrwie, która obnaża część trzech pięter budynku, odsłania wewnętrzne ściany mieszkań, teraz podparte drewnianymi słupami. Potem odwraca się i patrzy na wschód, skąd przez zatokę nadleciał pocisk, oblicza jego trajektorię aż do miejsca, w które trafił.

Na ulicy pojawił się mężczyzna w samej koszuli, mimo porannego chłodu, w długim białym fartuchu. To piekarz, który wyszedł, by zdjąć drewnianą osłonę drzwi do piekarni. Tizón podchodzi do niego, a kiedy jest już przy drzwiach, dolatuje do niego zapach bochenków chleba świeżo wyjętych z pieca. Piekarz patrzy na niego podejrzliwie, zdziwiony, że spotyka na ulicy o tak wczesnej porze kogoś w płaszczu, kapeluszu i z laską.

– Gdzie są odłamki bomby?

Zabrali je, odpowiada piekarz, zaskoczony, że o tej porze ktoś pyta go o bombę. Tizón pyta o szczegóły i mężczyzna mu je podaje. Niektóre bomby wybuchają, a inne nie. Ta owszem, wybuchła. Uderzyła w szczyt budynku, od strony rogu ulicy. Ołowiane odłamki rozprysły się wszędzie dokoła.

– Jesteś pewien, że to był ołów, kolego?

– Tak, proszę pana. Takie kawałki, długie na palec. Takie, co przy wybuchu bomby się skręcają.

– Jak korkociąg – dodaje Tizón.

– No właśnie. Moja córka przyniosła cztery do domu... Chce je pan obejrzyć?

– Nie.

Tizón obraca się i idzie z powrotem w kierunku ulicy Amoladores. Teraz spieszy się, jego myśli też biegną szybko. To nie może być zwykły przypadek, dochodzi do wniosku. Dwie bomby i dwie zabite dziewczyny w niecałą dobę po uderzeniu bomb, niemal w tym samym miejscu, gdzie spadły. Jest w tym wszystkim zbyt dużo precyzji, by przypisać to przypadkowi. Co więcej, zbrodnie są trzy, nie dwie. Pierwsza dziewczyna, też na śmierć wychłostana kańczugiem, została znaleziona w ukrytym zaułku pomiędzy Santo Domingo a Merced, we wschodniej części miasta, blisko portu. Nikomu wtedy nie przyszło do głowy, żeby zastanawiać się, czy w pobliżu spadły jakieś bomby, i Tizón postanawia to sprawdzić. Czy raczej potwierdzić, bo przeczuwa, że tak właśnie było. Że wcześniej spadła w pobliżu bomba. Że te bomby zabijają w inny sposób, niż wyobrażają sobie Francuzi. Że na szachownicy nie ma miejsca na przypadek.

Policjant słabo się uśmiecha – choć chyba byłoby przesadą nazywać uśmiechem krzywy, posepny grymas odsłaniający złoty kiel – idąc w szarym świetle pośród odgłosu własnych kroków, machając laską. Stuk, stuk, stuk. Zamyślony. Już od dawna – zapomniał jak dawna – nie doznawał tego nieprzyjemnego uczucia, że pod ubraniem ma zjeżoną skórę. Dreszcz strachu.

Kaczka leci nisko ponad saliną, aż zostaje zestrzelona. Strzał budzi wrzask innych ptaków, które wzbijają się w niebo przestraszone. Potem wraca cisza. W ołowianej poświacie wczesnego poranka odcinają się sylwetki trzech mężczyzn. Mają na sobie szare kurty i czarne czapki francuskich żołnierzy, posuwają się pochyleni, ostrożni, ze strzelbami w dłoniach. Dwaj pozostają z tyłu, na niewielkiej piaszczystej skarpie, osłaniając swoją broń trzeciego, poszukującego w zaroślach ptaka, który spadł na ziemię.

– Niech się pan nie rusza – szepcze Felipe Mojarra.

Leży na brzegu wąskiego kanału, z nagimi nogami i stopami w solankowym błocie, w rękach trzyma strzelbę, blisko twarzy. Obserwuje Francuzów. Obok niego kapitan inżynierii Lorenzo Virues zachowuje się zupełnie cicho, opuszcza głowę, ściskając skórzaną teczkę – z przypiętym paskiem, tak by móc ją zawiesić na plecach – w której nosi lunetę, zeszyty i przyrządy do rysowania.

- Oni są po prostu głodni. Kiedy znajdą swoją kaczkę, zaraz znikną.
- A jeśli dotrą tutaj? – pyta oficer, znów szeptem.

Mojarra wodzi palcem wskazującym po bezpieczniku swojej broni, dobrego muszkietu Charleville – zdobyty na wrogu dość dawno temu, niedaleko mostu Zuazo – z którego strzela się okrągłymi ołowianymi kulami niemal całowej średnicy. W zapiętym w pasie kartuszu, który nosi na wierzchu, na szerokim rzemieniu, obok tytkwy z wodą, jest jeszcze dziewiętnaście naboji z tymi kulami, owiniętych w woskowany papier.

- Jeśli podejda zbyt blisko, zabiję jednego i reszta zostanie z tyłu.

Kątem oka dostrzega, że kapitan Virues wyjmuje pistolet, który nosi za pasem, obok szabli, i trzyma go teraz pod ręką, na wszelki wypadek. Wojskowy jest człowiekiem zaprawionym w bojach, Mojarra uznaje więc za zbędne dawanie mu rady, by bezpiecznik odciągnął dopiero w ostatniej chwili, bo w ciszy nad salinami każdy dźwięk słychać z bardzo daleka. W każdym razie Mojarra wolałby, żeby Francuzi jak najszybciej znaleźli kaczkę i wrócili do swoich okopów. Wiadomo, jak się zaczynają historie ze strzelaniem, ale nigdy nie wiadomo, jak się skończą; a warzelnikowi soli wcale nie podoba się pomysł, by wracać na linię hiszpańskie, oddalone o jakieś pół mili, przez ziemię niczyją, z żabojadami na karku, poprzez bagienny labirynt wodnych przesmyków, strumyków i kałuż. Cztery godziny zajęła mu przeprawa, podczas której prowadził swojego towarzysza przez kanał San Fernando, po to, by o świcie znaleźć się w odpowiednim miejscu: na punkcie obserwacyjnym, z którego wojskowy może zrobić szkice fortyfikacji wroga na reducie zwanej Granaderos. Potem, już w spokoju, daleko na tyłach, notatki zmieniają się w dokładne plany i mapy, a sporządzający je kapitan Virues ma mistrzowską rękę, jak słyszał Mojarra – bo kompetencje jego samego ograniczają się do deptania błota w salinach.

- Odchodzą. Znaleźli zwierzynę.

Trzej Francuzi odchodzą tak samo czujnie, jak przyszli, rozglądają się wokół, ze strzelbami gotowymi do strzału. Z ich ostrożnego sposobu poruszania się Mojarra wnioskuje, że są to weterani – zapewne fizyliery z dziewiątego regimentu piechoty liniowej, który stoi w najbliższej położonych okopach – przyzwyczajeni do niespodzianek, jakie spotykają ich ze strony zbrojnej partyzantki działającej wzdłuż ufortyfikowanej linii broniącej Lwiej Wyspy, poza meandrami kanału Sancti Petri i przesmykiem Cruz. Wie o dziewiątym regimencie dlatego, że jakiś miesiąc temu niedaleko stąd poderżnął gardło pewnemu Francuzowi, który kuczał, załatwiając swoją potrzebę, i przeczytał to na metalowej tabliczce przywieszanej do czaka.

- Ruszamy. Proszę iść jakieś sześć, siedem kroków za mną.
- Jesteśmy daleko?
- Prawie na miejscu.

Felipe Mojarra unosi się nieco, żeby rozejrzeć się w terenie, powoli rusza przed siebie, pochylony, ze strzelbą w ręce, wzdłuż odnogi kanału, z wodą sięgającą mu do połowy łydki. Gęsta solanka w parę godzin każdego człowieka pozbawiłaby butów, a stopy wyżarłaby do kości, ale on urodził się w salinach. Jego stopy, zahartowane przez całe życie kłusownika, pokryte żółtawą skórą skamieniałą jak odcisk, twardą jak stary rzemień, są w stanie bez kłopotu stąpać po ostrych kamieniach i kolcach. Idąc ostrożnie, Mojarra słyszy cichy chlupot pod wojskowymi butami swojego towarzysza. W odróżnieniu od niego, mającego na sobie spodnie długie do kolan, koszulę z pospolitego płótna, krótką flanelową kurtkę i za pasem nóż długości półtorej piędzi, kapitan ubrany jest w niebieski mundur z fioletowymi wyłogami i kołnierzem, do którego przymocowane są metalowe miniaturki szybów kopalnianych, symbol korpusu inżynierskiego. Dobry chłop, mierzący według oceny Mojarry blisko sześć stóp wysokości, ma jakieś trzydzieści kilka lat, pszeniczne włosy i takiż wąs, staranne maniery. Warzelnik nie jest zdziwiony, że oficer zawsze, z uporem – to już piąty zwiad, na który wychodzą razem – nosi kompletny mundur, tylko bez regulaminowej krawatki, co jest

jedynym ustępstwem na rzecz wygody. Niewielu hiszpańskich żołnierzy rezygnuje z pełnego umundurowania, kiedy wychodzą na akcje nie całkiem regulaminowe. Gdyby któryś został schwytany, mundur gwarantuje, że Francuzi będą go traktowali jako równego sobie, jako jeńca wojennego; zupełnie inny los czeka cywilów, tak też byłoby w przypadku Mojarry. I nie ma znaczenia, jak jesteś ubrany. Jeśli wpadniesz w ręce Francuzów, normą jest sznur na szyi i gałąź na drzewie albo kulka w łeb.

– Ostrożnie, kapitanie. Proszę przejść na drugą stronę... O tak. Jeśli tam pan wejdzie, może się zapaść grunt. To bagno jest gotowe pochłonąć całego jeźdźca, z koniem i wszystkim.

Felipe Mojarra Galeote ma czterdzieści sześć lat i pochodzi z Lwiej Wyspy, którą opuszcza tylko wtedy, gdy wybiera się do Chiclany, do sąsiednich portów i do miasta, Kadyksu, gdzie jego córka, Mari Paz, pracuje jako służąca w dobrym domu, u bogatych kupców. Tę córkę i jeszcze trzy pozostałe – jedyny chłopak umarł, zanim skończył cztery lata – obok żony i starej, na poły niedołącznej teściowej, wszystkie je utrzymywał ze swojej pracy warzelnika soli i kłusownika na nadmorskich mokradłach i w pobliskich kanałach, gdzie każdy zakątek zna lepiej niż własne myśli. Jak wszyscy ci, którzy w czasach pokoju zarabiali na życie w podobny sposób, Mojarra od roku jest w szeregach kompanii strzelców, nieregularnego oddziału działającego w salinach, a zorganizowanego przez sąsiada z tej samej wyspy, Cristobala Sancheza de la Campa. Od czasu do czasu coś mu płacą i dają jedzenie. Poza tym Mojarra nie lubi Francuzów: kradną chleb biedakom, wieszają ludzi, gwałcą kobiety i są wrogami Pana Boga i króla.

– Tam jest reduta żabojadów, panie kapitanie.

– To reduta Granaderos, jesteś pewien?

– Nie ma tu żadnej innej. Dwieście kroków stąd.

Leżąc na plecach na łasze piasku, z muszkietem między nogami, Mojarra obserwuje wojskowego, który wyjął z torby swoje narzędzia pracy, a kiedy rozciągnął lunetę, pokrywa błotem mosiężne części i soczewkę, na której środku zostawia jedynie małeńki czysty punkt. Potem, czołgając się pół sążnia w stronę grzbietu bruzdy, kieruje lunetę ku pozycjom nieprzyjaciela. Nie jest to przesadna ostrożność, bo na porannym niebie nie ma ani jednej chmury, słońce, które zaczyna złocić horyzont, niedługo już się ukaże między Mediną Sidonią a sosnowymi lasami Chiclany. O tej właśnie porze kapitan Virues najbardziej lubi robić swoje szkice, bo jak kiedyś powiedział Mojarze, poziome światło znakomicie podkreśla szczegóły i kształty.

– Zobaczę, czy nic nam nie grozi – szepcze warzelnik.

Czołga się ze strzelbą w ręce i gdy dociera do szparagów rosnących wzdłuż bruzdy, obserwuje okolicę: niewielkie piaszczyste wydmy, krzaki, trzciny, góry błota i wyschnięte przestrzenie pokryte białą łuską, gdzie sól chrzęści pod stopami. Poza fortem nie ma śladu Francuzów. Kiedy wraca, wojskowy odłożył już lunetę i pracowicie rysuje ołówkiem w swoim notatniku. Raz jeszcze Mojarra podziwia talent kapitana do tych rzeczy, szybkie i precyzyjne ruchy, jakimi przenosi na papier linie bastionu, mury zbudowane z gliny, kosze, faszyny i działa w otworach strzelniczych. Pejzaż, który tylko z niewielkimi zmianami powtarza się wzdłuż łuku długości dwunastu mil, między Trocadero a zamkiem w Sancti Petri, oddzielającym Lwią Wyspę od samego Kadyksu. Temu ofensywnemu łukowi odpowiada linia hiszpańska: gęsta sieć baterii ustawionych wzdłuż kanałów, których ogień się krzyżuje, uniemożliwiając jakkolwiek bezpośredni atak wojsk cesarskich.

W forcie dźwięczy trąbka. Warzelnik unosi nieco głowę i widzi, że na jeden z masztów wznosi się flaga czerwono-biało-niebieska, która obwisa nieruchomo. Pora na śniadanie. Wkłada rękę do torby i wyjmuje kawałek twardego chleba, który po namoczeniu w wodzie z tykwy zaczyna żuć.

– Jak leci, panie kapitanie?



– Świetnie. – Wojskowy odzywa się, nie podnosząc głowy, skupiony na rysunku. – A jak tam dokoła?

– Jak bajoro oleju, wszystko w największym spokoju.

– Znakomicie. Jeszcze pół godzinki i idziemy.

Mojarra zauważa, że w pobliskim kanałiku zaczyna odpływać woda, odsłaniając jego brzegi. To oznacza, że tam dalej, w zatoce, obniża się poziom wody. Odpływ. Łódka, którą zostawili jakieś półtorej mili z tyłu, wkrótce będzie leżała płaskim dnem w błocie. Za parę godzin, na ostatnim odcinku powrotnej drogi do Carraki, muszą płynąć pod prąd, co przysporzy im dodatkowego wysiłku. To normalne sprawy w tej dziwacznej wojnie, prowadzonej w salinach. Podnoszenie się i opadanie wody, związane z przyptykami i odpływami na niedalekim Atlantyku, tylko podkreśla szczególny charakter tutejszych operacji wojskowych: partyzanckie ataki, krzyżowy ogień baterii strzelniczych, subtelne ruchy kanonierek, które przy bardzo niewielkim zanurzeniu manewrują ukradkiem w tym labiryncie nadmorskich mokradeł, kanałów i przesmyków.

Pierwszy promień słońca, poziomy i czerwony, przechodzi przez zarośla i oświetla kapitana Viruesa, nadal skoncentrowanego na swoich szkicach. Czasem, w chwilach bezczynności – poranne działania Felipe Mojarry i jego towarzysza obfitują w pełne ostrożności pauzy i chwile cierpliwego wyczekiwania – warzelnik widział, jak powstają inne rysunki, tworzone z obserwacji natury: roślin, węgorzy, raków. Zawsze szybko i sprawnie. Pewnego razu, w Nowy Rok, kiedy musieli czekać, aż zapadnie noc, żeby odejść, nie będąc widzianymi z francuskiej baterii ustawionej w zakolu rzeki San Diego – przez co spędzili cały dzień, szcękając zębami z zimna, ukryci w rozwalającym się młynie soli – kapitan zabijał czas, rysując samego Mojarrę, który wyszedł na portrecie bardzo do siebie podobny: wielkie jak ostrze siekiery bokobrody, współzawodniczące o pierwszeństwo na twarzy z krzaczastymi brwiami, głębokie bruzdy na czole, uparty, oschły wyraz twarzy człowieka wychowanego na słońcu i wietrze, w szorstkiej soli kanałów nadmorskich. Portret ten kapitan Virues podarował swojemu towarzyszowi, kiedy wrócili na hiszpańskie linie, a ten, bardzo zadowolony z podobieństwa, oprawił go w starą ramkę, bez szyby, i trzyma w swym skromnym domostwie na Lwiej Wyspie.

W oddali słychać trzy francuskie wystrzały armatnie – jakieś pół mili w głąb kanału Zurraque – i po chwili odpowiada im kanonada hiszpańska. Pojedynek trwa dobrą chwilę, w tym czasie kilka przestraszonych ptaków zrywa się do lotu nad salinami, a po chwili znów wraca cisza. Z ołówkiem w zębach kapitan Virues bierze lunetę i wraca do obserwowania fortyfikacji przeciwnika, wymieniając szeptem szczegóły, jakby chciał utrwalić je sobie w pamięci. Potem wraca do zeszytu. Mojarra lekko się unosi i rozgląda wkoło, żeby sprawdzić, czy na pewno panuje spokój.

– Jak panu idzie, kapitanie?

– Skończę za dziesięć minut.

Warzelnik kiwa głową zadowolony. Zależnie od czasu, miejsca i okazji, dziesięć minut może znaczyć tyle, co cały świat. Klęcząc, stara się nie podnosić zbytnio ciała, rozpina rozporek i sika do kanału. Następnie wyjmuje z kieszeni zieloną, wypłowiałą chustkę, którą zazwyczaj wiąże sobie dookoła głowy, kładzie ją na twarz, ustawia muszkiet między nogami i zasypia. Jak dziecko.

Biuro jest małe, brzydkie, z wąskim zakratowanym oknem wychodzącym na ulicę Mirador i na róg Królewskiego Więzienia. Na ścianie wisi portret – nieznany autor, fatalna technika – Jego Królewskiej Mości Ferdynanda VII. Są tu dwa krzesła obite popękana skórą i biurko z szufladami, na którym stoi komplet złożony z kałamarza i piór, leżą też ołówki, drewniana taca pełna dokumentów i plan Kadyksu, nad którym pochyla się Rogelio Tizón. Od dobrej chwili komisarz przypatruje się trzem punktom, oznaczonym kółkami narysowanymi

ołówkiem: gospoda Kulawego na mierzei, róg ulic Amoladores i Rosario i miejsce, gdzie zostało znalezione ciało pierwszej dziewczyny zamordowanej w ten sam sposób co potem następne – zaułek przy zbiegu ulic Sopranis i Gloria, w pobliżu kościoła Świętego Dominika, od którego w odległości zaledwie pięćdziesięciu kroków dzień wcześniej spadła bomba. Na planie łatwo daje się zauważyć, że wszystkie trzy zbrodnie popełniono w miejscach na łuku biegnącym przez wschodnią część miasta, w zasięgu rażenia artylerii francuskiej, strzelającej z fortu Cabezuela na Trocadero, odległego o dwie i pół mili.

To niemożliwe, mówi sobie kolejny raz. Jego zawodowy rozsądek doświadczonego policjanta przyzwyczajonego, by w śledztwie opierać się na dowodach, każe mu odrzucić związek – podsuwany przez instynkt – między zbrodniami a miejscami, gdzie spadły bomby. To tylko malownicza hipoteza, niezbyt prawdopodobna, pośród wielu możliwych. Niewyraźne podejrzenie, pozbawione poważnych podstaw. A jednak ta absurdalna myśl podminowuje pewność Tizona, wprowadzając go w niewytłumaczalne ośpienie. Kiedy w ostatnich dniach przesłuchiwał mieszkańców okolicy, gdzie blisko pół roku wcześniej spadła pierwsza bomba, dowiedział się, że ona też wybuchła. I że, podobnie jak dwie pozostałe, zasypała całe sąsiedztwo odłamkami – kawałkami ołowiu identycznymi jak te, które teraz ma w szufladzie biurka: pół piędzi długości, cienkie i skręcone, podobne do metalowych narzędzi, jakie na gorąco nakłada się na włosy kobiet, żeby uczesać je w loki.

Z palcem na planie, śledząc rysunek ulic i kontur murów obronnych, Tizón w wyobraźni wędruje po okolicy, którą zna w każdym szczególe: place, ulice, zaułki, wieczorami pograżające się w ciemności, miejsca leżące w zasięgu francuskich bomb i te oddalone, które pozostają bezpieczne. Niewiele wie o technikach wojskowych i jeszcze mniej o artylerii. Wie tyle, co każdy mieszkaniec Kadyksu od dziecka oswojony z Armią, Królewską Flotą i działami umieszczonymi w otworach strzelniczych murów i w kluzach statków. Dlatego kilka dni wcześniej udał się do specjalisty. Chciałbym dowiedzieć się wszystkiego o bombach, jakimi do nas strzelają Francuzi, powiedział.

O powodach, dla których jedne wybuchają, a inne nie. O tym, gdzie spadają i dlaczego. Ekspert, kapitan artylerii o nazwisku Viñals, stary znajomy z kawiarni Pocztovej, siedząc przy jednym z lichtarzy na patiu, opisywał mu, rysując ołówkiem na marmurze, położenie nieprzyjacielskich baterii, rolę Trocadero i Cabezuela w oblężeniu miasta, trajektorie bomb, miejsca w zasięgu Francuzów i te poza nim.

– Proszę mi o tym opowiedzieć. – Tizón podniósł rękę, kiedy dotarli do owego tematu. – O zasięgu.

Wojskowy uśmiechnął się jak ktoś, kto zna już tę śpiewkę. Był to jegomość w średnim wieku, z siwymi bakami i gęstym wąsem, w niebieskiej kurtce ze szkarłatną stójką, właściwą dla jego rodzaju broni. Na każde cztery tygodnie trzy spędzał w forcie Puntales, na wysuniętej placówce, o niecałą milę od linii nieprzyjaciela, pod ciągłym ostrzałem.

– Francuzi nie mają łatwego zadania – powiedział. – Do tej pory nie udało im się przekroczyć wyobrażonej linii podziału, którą moglibyśmy poprowadzić z północy na południe miasta. Choć bardzo się starają.

– Proszę mi powiedzieć coś o tej linii.

Biegnie z góry na dół, wyjaśnił artylerzysta. Od Alamedy na zachodzie do dawnej katedry. Przeszło dwie trzecie miasta, dodał, znajdują się poza tym sektorem. Z tego właśnie powodu Francuzi starali się wydłużyć zasięg swoich strażów, co im się nie udało. Dlatego wszystkie granaty, które spadły na Kadyks, skupiają się w części wschodniej. Było ich jakieś trzy tuziny, spośród których tylko nieliczne zdołały wybuchnąć.

– Trzydzieści dwa – uściślił Tizón, który dokładnie przestudiował sprawę. – A wybuchło tylko jedenaście.

– To normalne. Docierają tu z daleka, z lontami, które gasną podczas długiej drogi w powietrzu. Czasem znów lonty okazują się zbyt krótkie i granaty wybuchają w pół drogi. A

wypróbowywali już wszelkie rodzaje zapalników! Kiedy udaje się nam jakieś przejąć, sam je dokładnie studiuję: za każdym razem inny rodzaj metalu i drewna, zastosowali już co najmniej dziesięć różnych rodzajów mieszanek wybuchowych.

– Czy istnieją różnice techniczne pomiędzy jednymi a drugimi bombami?

Istotne, wyjaśnił artylerzysta, są nie tylko granaty, które docierają do Kadyksu, ale także działa, z których są wystrzeliwane. Generalnie należą do trzech typów: zwykle armaty dalekosiężne, moździerz i haubice. Przy odległości niemal pół mili między Cabezuelą a murami miasta pierwsze są bezużyteczne. Ich zasięg jest niewystarczający i kule wpadają do morza. Dlatego Francuzi zastosowali broń strzelającą w górę, z krzywą trajektorią, czyli moździerz i haubice.

– Z tego, co wiemy, panowie z naprzeciwka dokonali pierwszych prób z moździerzami pod koniec ubiegłego roku, były kalibru ośmiu, dziewięciu i jedenastu cali, przywieziono je z Francji, ale nie udało się im pokonać zatoki. Wtedy zwrócili się do niejakiego Pere Rosa z zamówieniem na nowe moździerz... Zna pan, komisarzy, to nazwisko, prawda?

Tizón skinął głową. Według jego raportów i kontaktów ów Ros był zaprzysięgłym zwolennikiem króla Józefa, Katalończyk z Seo de Urgel, uczył się w Królewskiej Odlewni w Barcelonie i w akademii w Segowii. Teraz pracuje w Sewilli jako nadzorca w fabryce broni artyleryjskiej, na służbie u Francuzów.

– Właśnie Pere Rosowi – ciągnął opowieść Viñals – zaborcy zleciły wykonanie siedmiu dwunastocalowych moździerzy systemu Dedona, z metalową płytą i kulistą komorą. Ale wytopienie dedonów jest skomplikowane, a ich celność mało precyzyjna. Pierwszy, jaki sprowadzono z Sewilli, okazał się bezużyteczny, zawieszono więc produkcję następnych... Zastosowali broń projektu Villantroya, czyli – jak pan wie – haubice, które tak szeroką reklamę sobie zrobiły w grudniu, kiedy strzelano z nich do nas z Cabezueli: pociski ośmiocalowe, które nie pokonują odległości dwóch tysięcy węzłów... A na dodatek z każdym kolejnym strzałem ich zasięg malał.

– Dlaczego?

– Ponieważ do wystrzału potrzebne było zbyt wiele prochu, komora spustowa, jak słyszałem, szybko się rozszczelniała. Katastrofa... Nawet zaczęto o tym układać kuplety.

– Z czego teraz strzelają?

Artylerzysta wzruszył ramionami. Potem wyjął z kieszeni kurtki pudełko z krojonym tytoniem i bibułki i zabrał się do skręcania papierosa.

– Co do tego to już nie mamy pewności. Czym innym jest wiedzieć, co zdarzyło się dawniej, dzięki dezterom i szpiegom, a zupełnie czym innym znać najnowsze wiadomości... Potwierdzona jest tylko informacja, że ten kataloński renegat wytapia nowe haubice pod kierunkiem generała Ruty'ego. Wygląda na to, że są dziesięciocalowe. Granaty, które teraz spadają na Kadyks, są właśnie tego kalibru.

– A dlaczego pociski są wypełnione ołowiem?

Viñals potarł zapałką o draskę i zaczął puszczać kłęby dymu.

– Nie wszystkie. Jakies trzy tygodnie temu spadł na koniec nabrzeża pocisk jednolity, czy prawie. Inne mają w środku zwykły ładunek prochu, ale one właśnie mają mniejszy zasięg i częściej chybiają. Ten ołów stanowi tajemnicę, choć każdy ma tu swój pogląd.

– Niech mi pan przedstawi swój.

Rozmówca wypił kawę i zawołał kelnera. Jeszcze jedną, powiedział. Z odrobiną gorzałki, na trawienie. W Puntales nasze żołądki nie są w najlepszej formie.

– Francuzi – mówił dalej – mają najlepszą artylerię na świecie. Od lat prowadzą wojny i eksperymentują. I niech pan nie zapomina, że sam Napoleon jest artylerzystą. Mają też najlepszych teoretyków w tej dziedzinie. Mnie się wydaje, że użycie ołowiu jest właśnie eksperymentem. Starają się zwiększyć zasięg.

– Ale dlaczego ołów? Tego nie rozumiem.

– Bo jest najcięższym z metali. Pocisk z ołowiem wewnątrz ma większy ciężar właściwy, co pozwala na przedłużenie paraboli jego lotu. Proszę pamiętać, że odległość, jaką może pokonać granat, zależy od jego gęstości i ciężaru. Nie zapominajmy też o mocy ładunku, którego używa się do wystrzału, i o warunkach pogodowych. Prawdę powiedziawszy, to wszystko ma znaczenie.

– Skąd kształt korkociągu?

– Odłamki skręcają się pod wpływem samej eksplozji. Rozgrzany ołów jest wlewany do komory cienkimi warstwami. Podczas wybuchu te warstwy pękają i skręcają się... W żadnym razie nie wolno dać się zwieść skutkom. Wcale nie jest proste atakowanie z takiej odległości, jak oni muszą to robić. Wątpię, czy jakikolwiek hiszpański artylerzysta byłby zdolny do podobnych rzeczy. I nie z powodu braku pomysłów czy talentu, jasna sprawa. Mamy świetnych ludzi, i teoretyków, i praktyków. Mówię o braku środków. Żabojady wydają na to fortunę... Każdy z granatów, jakie nam wrzucają do miasta, musi kosztować górę pieniędzy.

Sam w swoim biurze, wspominając rozmowę z kapitanem artylerii, Rogelio Tizón studiuję plan Kadyksu, jakby przesłuchiwał Sfinksa. To za mało, myśli. Raczej zupełnie nic. Jakby ślepiec chodził po omacku. Działa, haubice, moździerze. Bomby. Ołów, jak ten korkociąg, który teraz wyjmuję z szuflady biurka i ponuro waży w ręce. Zbyt nieokreślone, zbyt nieuchwytnie jest to, czego szuka. Czy raczej sądzi, że szuka. Zbyt jest niepewne, i może nieusprawiedliwione, podejrzenie, że istnieje ukryty związek między bombami a zamordowanymi dziewczynami. Jakkolwiek długo by się nad tym zastanawiał, nie ma żadnych dowodów, żadnego rzeczywistego śladu. Tylko korkociąg, skręcony jak przecucie. Ciężar właściwy, to słowa kapitana Viñalsa. Ma wrażenie, że się pochyla, z kieszeniami pełnymi ołowiu, nad brzegiem ciemnej studni. I to wszystko. Nic, co by mogło być przydatne. Tylko plan miasta rozłożony na biurku, dziwna szachownica, gdzie ręka nieprawdopodobnego gracza przedstawia figury, a Tizón nie potrafi odgadnąć jego zamiarów. Nigdy wcześniej nie zdarzyło mu się nic podobnego. W jego wieku niepewność przeraża. Odrobinę. Też złości. Bardzo.

Z irytacją wrzuca odłamek z powrotem do szuflady i zatrząskuje ją głośno. Potem wali pięścią w stół tak mocno, że z kałamarza wypryskuje kilka kropli atramentu i plami róg mapy. A niech to szlag, przeklina. Cholerny świat. Słyszając hałas, sekretarz pracujący w sąsiednim pokoju zagląda przez szparę w drzwiach.

– Czy coś się stało, panie komisarzu?

– Niech pan się zajmie swoimi sprawami!

Sekretarz chowa głowę jak przestraszona mysz. Potrafi rozpoznać objawy. Tizón przygląda się swoim ręką, opartym na brzegu biurka. Są szerokie, chropawe, twarde. Zdolne do zadawania bólu. I kiedy trzeba, potrafią to zrobić.

Pewnego dnia dotrę do końca, stwierdza. I ktoś mi bardzo drogo za to wszystko zapłaci.

Bardzo ostrożnie Lolita Palma umieszcza w zielniku trzy liście szarłat obok kolorowego rysunku, sporządzonego przez nią samą, całej rośliny. Każdy z liści ma dwa całe i kończy się jasnym, malutkim kolcem, dzięki czemu łatwo można je sklasyfikować jako *Ancistranthus spinosus*. Nigdy wcześniej takich nie miała, te egzemplarze dotarły przed kilkoma dniami z Guayaquil, w paczce z innymi liśćmi i suchymi roślinami, wysłanej przez tamtejszego korespondenta. Odczuwa teraz satysfakcję kolekcjonera zadowolonego ze świeżego nabytku. Satysfakcję stonowaną. Rozsądną. Kiedy kropelka gumy, którą mocuje każdy egzemplarz na karcie, jest już sucha, Lolita umieszcza arkusz bibuлки na wierzchu, zamyka zielnik i stawia go pionowo na półce w wielkiej przeszklonej szafie, obok innych, podobnych, ozdobionych pięknymi nazwami opisującymi szczególne skarby Natury: Chryzantema, Wole Oko, Centaura, Pascalia. Pracownia botaniczna przylegająca do gabinetu, mieszczącego się na pierwszym piętrze domu, jest skromna, ale wystarczająca dla jej potrzeb miłośniczki botaniki

– wygodna, dobrze oświetlona przez jedno okno wychodzące na ulicę Baluarte i drugie – na wewnętrzne patio. W pomieszczeniu są cztery duże komody z szufladami opisanymi zgodnie z ich zawartością, biurko z mikroskopem, lupami i odpowiednimi narzędziami oraz biblioteczka z podręcznym księgozbiorem, zawierającym między innymi Linneusza, *Opis roślin* Cavanillesa, *Theatrum Florae* Rabela, *Icones plantarum variorum* Jacquina-Nikolausa i barwny egzemplarz w wielkim formacie *Plantas de l'Europe* Meriana. Na wychodzącym na patio przeszklonym balkoniku, jakby w oranżerii, stoi kilka skrzynek z dziewięcioma różnymi klasami paproci sprowadzonych z Ameryki, z Wysp Południowych i z Indii Wschodnich. Piętnaście innych odmian, rosnących w wielkich donicach, ozdabia patio, te balkony, do których nigdy nie dociera słoneczne światło, i inne ocienione miejsca w domu. Paprocie, antyczne *filice*, u których ani klasycy autorzy, ani współcześni botanicy nie potrafili określić oznak rodzaju męskiego – nawet jego istnienie jest wyłącznie hipotezą – zawsze były ulubionymi roślinami Lolity Palmy.

Mari Paz, pokojówka, pojawia się w drzwiach gabinetu.

– Za pozwoleniem panienki. Na dole jest pan Emilio Sanchez Guinea z drugim panem.

– Powiedz Rosasowi, żeby się nimi zajął. Ja za chwilę zejść.

Po piętnastu minutach, bo zajrzała do garderoby przy sypialni, żeby poprawić strój, schodzi, zapinając guziki szarego jedwabnego spencerka włożonego na białą koszulę i ciemnozieloną spódnicę, przecina w poprzek patio, zmierzając ku tej części domu, gdzie mieszczą się biura i magazyn.

– Witam, don Emilio! Cóż za miła niespodzianka!

Salon jest stary i wygodny. Przylega do głównego gabinetu i biur na parterze, ma boazerię z lakierowanego drewna i marynistyczne obrazki na ścianach – widoki francuskich, angielskich i hiszpańskich portów – a jego umeblowanie stanowią fotele, kanapa, zegar wahadłowy High & Evans i wąski mebel z czterema półkami pełnymi książek handlowych. Na kanapie siedzą Sanchez Guinea i drugi mężczyzna, młodszy, ciemnowłosy, o opalonej skórze. Obaj wstają na jej widok, odstawiając na stolik filiżanki z chińskiej porcelany, w których Rosas, majordomus, właśnie podał im kawę. Lolita siada na tym samym co zwykle miejscu, w obitym starym juchtem fotelu, który dawniej należał do jej ojca, i zaprasza gości, by wrócili na kanapę.

– Co dobrego pana tutaj sprowadza?

Pytanie Lolita Palma kieruje do starego przyjaciela rodziny, obserwuje jednak drugiego mężczyznę: około czterdziestki, włosy i bokobrody czarne, jasne, żywe oczy. Chyba inteligentne. Niezbyt wysoki, choć widoczne są szerokie ramiona pod niebieską kurtką, nieco przetartą na łokciach i przy mankietach, zauważa, z guzikami z pozłacanego mosiądzu. Ręce silne i szorstkie. Marynarz, nie ma wątpliwości. Od zbyt dawna kontaktuje się z tym światem, żeby nie rozpoznać na pierwszy rzut oka ludzi morza.

– Chciałbym ci przedstawić tego pana.

Don Emilio robi to krótko, praktycznie, przechodząc od razu do sedna sprawy. To jest kapitan Jose Lobo, mój dobry znajomy. Teraz w Kadyksie i bez pracy, z różnych powodów. Firma Sanchez Guinea zamierza wejść z nim w spółkę przy pewnym interesie. Wiesz, o czym mówię. Pamiętasz naszą rozmowę na ulicy Ancha.

– Czy mogę pana na chwilę przeprosić?

Obaj mężczyźni idą w jej ślady, kiedy wstaje z fotela. Zaprasza don Emilia, by poszedł razem z nią do głównego biura. Od progu, zanim zamknie drzwi, Lolita Palma spogląda ostatni raz na marynarza stojącego pośrodku salonu: wygląda na ostrożnego, choć jego twarz jest spokojna, miła. Nieco rozbawiony całą sytuacją. Ten człowiek, myśli przelotnie, należy do tych, którzy uśmiech mają w oczach.

– Co to za podstęp, don Emilio?

Stary kupiec protestuje. Nic z tych rzeczy, drogie dziecko. Chciałem tylko, żebyś poznała mojego człowieka. Pepe Lobo to doświadczony kapitan. Wartościowy, kompetentny. To dobry moment, żeby go zatrudnić, bo nie ma pracy i jest gotów wsiąść na każde pływające drewno. Mamy prawie wyposażony kuter z patentem, o którym ci mówiłem parę dni temu, i pod koniec miesiąca będzie gotów wyjść w morze.

– Już panu mówiłam, że nie pracuję z korsarzami.

– I nie musisz pracować. Wystarczy, że wejdiesz do spółki. Ja zajmę się całą resztą. Pojutrze wpłacam kaucję za osprzęt statku.

– Co to za statek?

Sanchez Guinea opisuje go z zapalem handlowca dumnego ze swojego zakupu: francuski kuter o wyporności stu osiemdziesięciu ton, który został przechwycony przez korsarzy w Algeciras i tam zlicytowany kilka dni temu. Jest stary, ale w dobrym stanie. Może być uzbrojony w osiem dział sześciofuntowych. Jego nazwa została zmieniona na „Culebra”, bo wcześniej nazywał się „Colbert”. Kupiony za dwadzieścia tysięcy reali. Osprzęt i ekwipunek – żagle i nowe olinowanie, lekka broń, proch i amunicja – mogą kosztować jeszcze dziesięć tysięcy.

– Będziemy robić krótkie wypady, od Sao Vicente po przylądek Gata, co najwyżej do Palos. Niewielkie ryzyko i spore możliwości zysku. Pieniądze mamy już w kieszeni, wierz mi... Dwie trzecie zysku należne armatorowi podzielimy po połowie. Pozostała trzecia część będzie dla kapitana i załogi. W najdrobniejszym szczególe wszystko legalne.

Lolita Palma spogląda w stronę zamkniętych drzwi.

– A ten człowiek?

– Niewiele miał szczęścia w ostatnich podróżach, ale to dobry marynarz. Już pływał przez cieśninę podczas ostatniej wojny. Dowodził brygiem z sześcioma działami, na którym dokonał wielu całkiem zyskownych operacji. Dobrze wiem, bo byłem jednym z właścicieli statku... Wszystko skończyło się dość pechowo, angielska korweta pochwyciła statek w pobliżu przylądka Tres Forcas.

– Chyba kiedyś mi pan o nim opowiadał... Czy to nie on zbiegł z Gibraltaru?

Sanchez Guinea śmieje się przebiegle, z aprobatą. Wydaje się, że wspomnienie go rozbawiło.

– Właśnie on. Był w niewoli i uciekł razem z innymi, kradnąc tartanę. Od czterech lat pływa na statkach handlowych... Teraz miał jakiś zatarg ze swoim ostatnim armatorem.

– Kto nim był?

– Ignacio Ussel.

Stary kupiec wypowiada to nazwisko, unosząc brwi, i patrzy na nią badawczo, ale i porozumiewawczo zarazem. Cały Kadyks wie, że firma Palma i Synowie od dawna ma z nim na pieńku. Podczas kryzysu roku 1796 Tomas Palma mało nie popadł w ruinę z powodu nielojalności Ignacia Ussela, przez którego stracił trzy pokaźne frachty. Córka nie zapomniała mu tego.

– Mamy patent korsarski podpisany przez Regencję na dwa lata – ciągnie Sanchez Guinea – przyzwoity statek, kapitana zdolnego skompletować niezłą załogę i wybrzeże w rękach nieprzyjaciela, wzdłuż którego pływają w tę i z powrotem statki francuskie lub te, które pochodzą ze stref okupowanych. Czego więcej można chcieć? Są jeszcze rekompensaty za zdobycie jednostek wroga, poza wartością samych statków i ich ładunków.

– Przedstawia pan wszystko tak, jakby to był nasz patriotyczny obowiązek, don Emilio.

Stary kupiec śmieje się wesoło. Bo tak jest, moje dziecko, odpowiada. A trzeba jeszcze zadbać o siebie i nie ma w tym nic złego. Wystawienie statku korsarskiego nie przynosi ujmy szanowanej firmie handlowej. Przypomnij sobie, że twój ojciec też to zrobił, bez wahania. I dobrze dał się we znaki Anglikom. To nie jest handel niewolnikami.

– Sama wiesz, że nie mam kłopotów z płynnością finansową – kończy. – I że mogę znaleźć innych współników. To jest dobry interes. Podobnie jak innymi razy, czuję, że moim obowiązkiem jest zaproponowanie ci spółki.

Cisza. Lolita Palma nadal patrzy w kierunku zamkniętych drzwi.

– Dlaczego nie sprawdzisz go sama? – Sanchez Guinea robi zachęcający gest. – To ciekawy gość. Bezpośredni. Wydaje się sympatyczny.

– Widzę, że ma pan do niego spore zaufanie. Tak dobrze pan go zna?

– Mój syn Miguel był z nim w podróży. Płynęli do Walencji i z powrotem, w czasie kiedy trwała ewakuacja Sewilli i wszędzie szalała panika. Przeżyli nawet burzę. Wrócił zachwycony, opisując go jako człowieka kompetentnego i zrównoważonego... To on wpadł na pomysł powierzenia mu „Culebry”, kiedy dowiedział się, że kapitan jest w Kadyksie i nie ma pracy.

– Pochodzi stąd?

– Nie, urodził się na Kubie, jak sędzę. W Hawanie, czy gdzieś tam.

Lolita Palma patrzy na swoje dłonie. Jeszcze są ładne: długie palce, paznokcie nieprzesadnie zadbane, ale równe. Sanchez Guinea przygląda się jej. Z zamyślnym uśmiechem. Po chwili dobrotliwie potrząsa głową.

– Wiesz, on ma coś w sobie... To ciekawa osobowość, kipi energią. Na łodzi może wydawać się trochę nieokrzesany. Określenie „dżentelmen” nie zawsze do niego pasuje. Krążą słuchy, że z kobietami czasem nie postępuje zbyt uczciwie.

– Na Boga, don Emilio. Pięknie mi go pan maluje!

Stary kupiec unosi obie ręce w obronnym geście.

– Mówię tylko prawdę. Znam takich, którzy go nienawidzą, i takich, którzy go cenią. A ci, jak mówi mój syn, są gotowi dać się za niego posiekać.

– A kobiety? Na co są gotowe?

– To już musisz sama ocenić.

Oboje się uśmiechają, patrząc sobie w oczy. Jej uśmiech jest niewyraźny, nieco smutny. Odrobinę zaskoczony, trochę zdziwiony – jego.

– W każdym razie – mówi na koniec Sanchez Guinea – tu chodzi o zaangażowanie kapitana korsarskiego okrętu. A nie o przygotowanie balu dla najlepszego towarzystwa.

Gitary. Światło olejowych lamp. Skóra tancerki jest ciemna, błyszcząca od potu, który przylepia jej czarne włosy do czoła. Porusza się jak lubieżne zwierzę, myśli Simon Desfosseux. Brudna, ciemnooka Hiszpanka. Cyganka, ocenia. Tu wszyscy wyglądają na Cyganów.

– Będziemy używać samego ołowiu – mówi do porucznika Bertoldiego.

W lokalu pełno jest ludzi: dragonów, artylerzystów, marynarzy, żołnierzy piechoty liniowej. Sami mężczyźni. Tylko oficerowie. Zbierają się wokół stołów poplamionych winem, siedzą na ławkach, krzesłach, taboretach.

– Nigdy pan nie odpoczywa, kapitanie?

– Sam pan widzi. Nigdy.

Ze zrezygnowaną miną Bertoldi opróżnia szklaneczkę i dolewa sobie wina z dzbanka stojącego przed nimi. W powietrzu wisi szara chmura dymu tytoniowego. Unosi się ostry zapach potu spod rozpiętych mundurów, kamizelek, koszul. Nawet wino – gęste i marne, takie, które upija, a nie orzeźwia – ma ten sam kwaśny zapach, jest mętne jak spojrzenia podążające za ruchami kobiety, która wygina się i kołysze prowokująco, klepiąc się dłońmi po biodrach w rytm dźwięku gitar.

– Świntucha – mruczy Bertoldi, nie odrywając od niej wzroku.

Jeszcze przez chwilę obserwuje tancerkę. Zamyślony. Potem zwraca się do Desfosseux.

– Ołów, mówi pan.

Kapitan kiwa potakująco głową. To jedyne wyjście, mówi. Bezwładny ołów. Bomby osiemdziesięcio-, dziewięćdziesięciofuntowe, bez prochu i zapalnika. Da to zasięg większy o przynajmniej sto węzłów. Może trochę więcej, przy sprzyjającym wietrze.

– Szkody będą minimalne – protestuje Bertoldi.

– Zwiększeniem strat zajmiemy się później. Teraz najważniejsze jest dotrzeć do centrum miasta... Do placu Świętego Antoniego albo w jego okolice.

– Czyli to już postanowione?

– Absolutnie.

Bertoldi unosi swoją szklanę, wzruszając ramionami.

– W takim razie: za Fanfana!

– Właśnie. – Desfosseux delikatnie dotyka własnym kieliszkiem szklaneczki adiutanta. – Za Fanfana!

Milkną gitary, mężczyźni biją brawo, rzucając nieprzyzwoite komentarze we wszystkich językach Europy. Nieruchoma kibić wygięta w tył, z ręką w górze, tancerka swoimi zupełnie czarnymi oczami wodzi po wszystkich zebranych. Jest wyzywająca. Pewna siebie. Wie, że jej taniec obudził pożądanie wokół, teraz może wybierać. Jej instynkt czy też doświadczenie – jest młoda, ale to nic nie znaczy – podpowiada jej, że każdy z obecnych rzuci pieniądze między jej uda, jeśli tylko zatrzyma na nim swój wzrok. Teraz są dobre czasy. Właściwi mężczyźni w odpowiednim miejscu, bo wojna nie zawsze oznacza nędzę. I nie dla wszystkich, przynajmniej jeśli się ma piękne ciało i ogniste spojrzenie, tak jak ona. Myśląc o tym, Simon Desfosseux cieszy oczy widokiem oliwkowej skóry ramion tancerki, kroplami potu błyszczącymi na dekolcie, gdzie piersi wyglądają nieprzyzwoicie nagie. Być może kiedyś ta kobieta, kiedy już się zestarzeje i zwiędnie, umrze z głodu w trakcie jednej z przyszłych wojen. Ale jeszcze nie podczas tej. Wystarczy popatrzeć na wbite w nią pożądliwe spojrzenia. Skrętny rachunek pod jedynie pozorną pokorą wzroku gitarzystów – ojca, brata, kuzyna, kochanka, alfonsa – którzy siedząc na niskich stołkach, z instrumentami na kolanach, rozglądają się wokół, z uśmiechem przy brawach, i obliczają zachłannie, która sakwa zadźwięczy najgłośniej tej nocy. Ile dzisiaj są gotowi zapłacić na tej niewiele oferującej giełdzie ciała za tak zwaną cnotę córki, siostry, kuzynki, kochanki, podopiecznej ci panowie z Francji w jednej z tawern Puerto Real. Bo czym innym jest móc się cieszyć z ojczyzny i króla Ferdynanda, a zupełnie czym innym – mieć co włożyć do garnka.

Simon Desfosseux i porucznik Bertoldi, wychodząc na ulicę, czują przyjemny powiew wiatru. Wszystko okrywa ciemność. Większość mieszkańców wioski odeszła przed nadejściem wojsk cesarskich, a teraz ich opuszczone domostwa są kwaterami żołnierzy i oficerów, podwórza i ogrody zamieniono w stajnie. Kościół o grubych murach został złupiony, a drewniany ołtarz, porąbany na drzazgi, stał się podpałką do biwakowych ognisk; teraz kościół służy jako magazyn broni i amunicji.

– Rozgrzała mnie ta Cyganka – mówi Bertoldi.

Idąc prosto ulicą, oficerowie docierają na brzeg morza. Nie ma księżyca, sklepienie nieba, pełne gwiazd, ukazuje się nad dachami niskich domów. Pół mili na wschód, z drugiej strony ciemnej plamy zatoki, można dostrzec kilka pojedynczych, odległych świateł w arsenałach nieprzyjaciela w Carrace i w wiosce na Lwiej Wyspie. Jak zwykle tutaj, oblężeni czują się swobodniej niż oblegający.

– Już blisko trzy miesiące nie dostaję żadnych listów – dodaje Bertoldi po chwili.

W ciemności na twarzy Desfosseux rysuje się grymas. Bez trudu prześledził bieg myśli swojego towarzysza. On sam intensywnie myśli o swojej żonie, która czeka na niego w Metz. Razem z ich synem, którego słabo pamięta. To już dwa lata. Prawie. I kto wie, ile jeszcze przed nimi.

– Cholerni manole – mruczy Bertoldi pod nosem. – Cholerni, beznadziejni bandyci.



Wygląda na to, że jego zawsze dobry humor w ostatnich tygodniach się popsuł. Tak jak on, tak jak większość dwudziestu trzech tysięcy mężczyzn okopanych między Sancti Petri a Chipioną, kapitan Desfosseux nie wie, co też może się dziać we Francji i w całej reszcie Europy. Dochodzą do niego jedynie przypadkowe informacje, domysły, plotki. Mgławica. Jakaś gazeta świeższej daty, ulotka, list – to rarytasy, które nie docierają do jego rąk. Nie otrzymują też żadnych wieści od rodzin ani rodziny od nich. Partyzanci, te bandy przestępców działające na wszystkich drogach, uniemożliwiają łączność. Podróżowanie po Hiszpanii wygląda tak samo jak podróżowanie po Arabii: kurierzy są śledzeni, pochwytani, mordowani w straszliwy sposób w lasach i pośród skał, i tylko podróżni z silną eskortą przemieszczają się z jednego miejsca w drugie bez przykrych niespodzianek. Drogi, które prowadzą do Jerezu i Sewilli, są pełne przenośnych niewielkich garnizonów, gdzie żołnierze żyją w strachu, patrząc wokół baczynym okiem, ze strzelbami gotowymi do strzału, uważając na ruchy zarówno krążących wokół wrogów, jak i mieszkańców wiosek leżących na tyłach. Po zapadnięciu nocy każdy obóz, każda droga stają się wyłącznym lennem powstańców, śmiertelną pułapką dla nieszczęśników próbujących przedostać się bez odpowiedniej ochrony, którzy kończą zmasakrowani jak dzikie bestie na skraju lasów dębowych czy sosnowych. Taka jest wojna hiszpańska, wojna w Andaluzji. Są okupantami tylko z pozoru, silniejszymi w słowach niż w rzeczywistości, wojska Pierwszego Korpusu oblegające Kadyks znajdują się zbyt daleko od wszystkiego i wszystkich. Ludzie pozbawieni niemal wszelkiej łączności, wygnańcy o wątpliwej przyszłości na wrogiej ziemi, gdzie nuda i poczucie opuszczenia, równie otępiające jak narkotyki, opanowują nawet najlepszych żołnierzy i są równie skuteczne jak ogień wroga, choroby i nostalgia.

– Wczoraj pochowali Bouviera – odzywa się ponuro Bertoldi.

Kapitan nie odpowiada. Jego adiutant wcale nie przekazuje mu wiadomości, ale wyraża na głos swoje uczucia. Louis Bouvier, porucznik artylerii, z którym odbyli podróż z Bayonne do Madrytu, a potem spotkali się w baterii San Diego w Chiclanie, od jakiegoś czasu cierpiał na zaburzenia nerwowe, które pchnęły go na skraj głębokiej melancholii. Dwa dni temu, schodząc ze służby, Bouvier zabrał strzelbę któremuś z żołnierzy, oddalił się do jednego z baraków, włożył lufę do ust, dużym palcem prawej stopy nacisnął spust i odstrzelił sobie górną połowę czaszki.

– Mój Boże, jesteśmy na zadupiu świata.

Desfosseux zachowuje milczenie. Wieje lekka bryza od morza, niesie zapach błota i alg przy odpływie. Obok ostatnich zabudowań wioski kilka ciemnych plam w pobliżu wskazuje położenie namiotów i szańców, które osłaniają plażę przed możliwym desantem wroga. Można usłyszeć hasła wymieniane przez strażników, ciche rżenie koni na patiach zmienionych w stajnie. Niewyraźny hałas niezliczonych dźwięków wydawanych w nocy przez tysiące mężczyzn śpiących lub czuwających z otwartymi oczami. Armia osiadła na mieliźnie naprzeciw miasta.

– Uważam, że przejście na sam ołów jest dobrym pomysłem – mówi Bertoldi tonem człowieka, który jest gotów złapać się każdej deski ratunku.

Desfosseux robi jeszcze kilka kroków i staje, przygląda się odległym światłom. W myśli oblicza nowe trajektorie. Nieskazitelne linie krzywe. Piękne, doskonałe parabole.

– To jedyny sposób, żeby się udało... Jutro zaczniemy pracować nad przesunięciem środka ciężkości. Odrobina rotacji wewnątrz granatu może bardzo nam pomóc.

Cisza. Długą chwilę.

– Kapitanie, wie pan, co sobie myślę?

– Nie.

– Pan to nigdy sobie nie strzeli w głowę, jak ten biedny Bouvier.

Desfosseux uśmiecha się w ciemności. Wie, że jego adiutant ma rację. Nigdy, a przynajmniej tak długo, dopóki ma problem do rozwiązania. To nie jest kwestia znużenia czy

rozpaczy. Stalowa linka, która wiąże go z rozsądkiem i życiem, jest upleciona z myśli, nie z uczuć. Nawet takie słowa jak obowiązek, ojczyzna czy koleżeństwo, kluczowe dla Bertoldiego i innych, nie mają z tym nic wspólnego. W jego przypadku rzecz dotyczy wagi, objętości, odległości, wznoszenia, gęstości metali, oporu powietrza, skutków rotacji. Tablica i suwak rachunkowy. Czyli w sumie to wszystko, co pozwala Simonowi Desfosseux, kapitanowi artylerii cesarskiego wojska, utrzymać dystans do wszelkich niepokojów, które nie mają charakteru ściśle technicznego. Namiętności gubią ludzi, ale też mogą ich ocalić. Wydłużenie zasięgu o siedemset pięćdziesiąt węzłów to jego pasja.

Trzej mężczyźni w gabinecie, pod portretem Ferdynanda VII. Poranne światło wpadające ukośnie przez firanki powoduje, że rozbłyskują złote hafty na kołnierzu, klapach i mankietach kurtki generała Królewskiej Floty, don Juana Marii de Villavicencio, dowódcy Marynarki Oceanicznej, wojskowego i politycznego gubernatora Kadyksu.

– I to już wszystko?

– Na razie tak.

Gubernator ostrożnie odkłada raport na zielony safian pokrywający jego biurko, ściąga złote okulary, które zawisają na sznurze mocującym je do dziurki w klapie i patrzy na Rogelia Tizona.

– Nie wygląda to nadzwyczajnie.

Tizón spogląda ukradkiem na swojego bezpośredniego przełożonego, generalnego intendenta i sędziego do spraw przestępczości i policji, Eusebia Gardę Pico. Siedzi on nieco z boku, z nogą założoną na nogę, z kciukiem prawej ręki zahaczonym o kieszonkę kamizelki. Twarz nieprzenikniona, jakby myślał o odległych sprawach, jak ktoś, kto jest tu tylko przelotnie. Tizón czekał dwadzieścia minut w przedpokoju, a teraz zastanawia się, o czym też ci dwaj rozmawiali, zanim został wpuszczony.

– Trudna sprawa, panie generale. – Policjant odpowiada ostrożnie. Villavicencio nadal mu się przygląda. To pięćdziesięciosześcioletni marynarz o siwych włosach, bardzo staroświecki, zahartowany w wielu morskich kampaniach. Energiczny i równocześnie obdarzony subtelnym zmysłem politycznym, mimo że jest konserwatystą wobec nowych wolności, głosi ślepą lojalność w stosunku do młodego króla, obecnie więzionego we Francji. Zręczny, szybko reagujący, cieszący się prestiżem zdobytym podczas kariery wojskowej, gubernator Kadyksu – czyli serca Hiszpanii patriotycznej i powstańczej – dobrze porozumiewa się ze wszystkimi, nawet biskupami i Anglikami. Jego nazwisko pada pośród kandydatów do nowego rządu regencyjnego, kiedy mandat obecnego wygaśnie. Człowiek z ogromną władzą, o czym dobrze wie Tizón. I z wielką przyszłością.

– Trudna – powtarza Villavicencio zamyślony.

– To właściwe słowo, panie generale.

Długa chwila milczenia. Tizón ma ochotę zapalić, ale nikt nie robi zapraszającego gestu. Gubernator bawi się okularami, znów spogląda na cztery kartki raportu, a potem uważnie odkłada je na bok, jeden z rogów układając dokładnie w odległości dwóch cali od rogu stołu.

– Czy jest pan pewien, że to ten sam morderca we wszystkich przypadkach?

Policjant tłumaczy się w krótkich słowach. Pewnym nie można być niczego, ale postępowanie jest identyczne. Podobnie jak i typ kobiet. Bardzo młode, uboższego stanu. Tak jak napisano w raporcie: dwie służące i jedna dziewczyna, której nie udało się zidentyfikować. Najprawdopodobniej była to uciekinierka, bez rodziny i bez stałego zajęcia.

– I ani śladu... no... przemocy fizycznej?

Kolejne ukradkowe spojrzenie. Szybkie. Generalny intendent nadal milczy, nieruchomy jak posąg. Jakby go tam nie było.

– Wszystkie zostały zabite kańczugiem, torturowano je bez litości. Jeśli to nie jest przemoc fizyczna, niech Bóg zstąpi z nieba i powie, co to jest.

Ostatni komentarz nie podoba się gubernatorowi, człowiekowi znanemu z głębokiej wiary. Wciąga nieco policzki i unosząc brew, wpatruje się w swoje dłonie, blade i szczupłe. Ręce człowieka z dobrej kasty, zauważa Tizón, częste u oficerów marynarki wojennej. Do Królewskiej Floty nie przyjmuje się plebejuszy. Na lewej dłoni lśni pierścień z pięknym szmaragdem, osobisty prezent od cesarza Napoleona, kiedy Villavicencio stał na czele floty francusko-hiszpańskiej w Breście, zanim wydarzył się Trafalgar, nastąpiło porwanie króla, rozpoczęła się wojna z Francją i wszystko poszło w diabły.

– Mam na myśli... Rozumie pan. Inny rodzaj przemocy.

– Nie zostały zgwałcone. Przynajmniej w widoczny sposób.

Villavicencio zachowuje milczenie, spojrzenie teraz utkwione w Tizona. Wyczekuje. Policjant czuje się zobligowany do dodatkowych wyjaśnień, ale nie jest pewien, czego życzy sobie gubernator. Został tu przyprowadzony przez intendenta. Don Juan Maria, powiedział Garcfa Pico, kiedy wchodzili po schodach – użycie imienia, nie nazwiska, stanowiło ukryte ostrzeżenie dotyczące pozycji każdego z nich – życzy sobie bezpośredniego raportu, ustnego, poza tym, który dostał na piśmie. Chce poznać więcej szczegółów. Ocenic, do jakiego stopnia istnieje niebezpieczeństwo, że sprawa może się wymknąć z rąk. Z pańskich rąk.

– W pewnym sensie – Tizón decyduje się zacząć – z ostatnią dziewczyną mieliśmy szczęście. Nikt się o nią nie upominał, nie ma żadnego zgłoszenia zaginięcia... Dzięki temu sprawę udało się utrzymać w granicach dyskrecji. Bez rozgłosu.

Lekkie skinienie gubernatora wskazuje, że idzie w dobrym kierunku. O to więc chodzi, stwierdza w duchu, powstrzymując uśmiech, który już miał się pojawić w kącikach ust. Teraz rozumie, po jakim stąpa gruncie. O co chodzi Garcii Pico. Co znaczyła uwaga na schodach.

Jakby potwierdzając to, Villavicencio wskazuje na raport Tizona niedbałym ruchem ręki, na której ma szmaragd.

– Trzy dziewczyny zamordowane w ten sposób to nie jest, hm, trudna sprawa. To bestialstwo... I stanie się publicznym skandalem, jeśli rzecz się rozniesie.

Już jesteśmy niedaleko sedna, myśli sobie Tizón. Widzę, jak się do niego zbliżasz, wielce szanowny sukinsynu.

– Właściwie to już się rozniosła – mówi ostrożnie. – Tyle, ile trzeba. Pojawiły się plotki, komentarze, pogawędki sąsiadek... To nieuniknione, jak wie wasza wielmożność. To małe miasto i pełne ludzi.

Robi przerwę, żeby ocenić efekt. Gubernator przygląda mu się pytająco, a z twarzy Garcii Pico zniknął dotychczasowy wyraz pozornej obojętności.

– Mimo wszystko – kontynuuje policjant – jeszcze utrzymujemy rzecz pod kontrolą. Użyliśmy pewnego nacisku wobec sąsiadów i świadków. Wszystko dementujemy... A dzienniki nie pisnęły nawet pół słowa.

Teraz głos zabiera intendent, wreszcie. Nie umknęło Tizonowi zaniepokojone spojrzenie, jakie rzuca gubernatorowi, zanim otworzy usta.

– Jeszcze. Ale to potworna historia. Jeśli ktoś na nią wpadnie, nie popuści. Poza tym mamy już wolność prasy, której wszyscy nadużywają. Nikt nie mógłby powstrzymać...

Villavicencio unosi dłoń, przerywając mu. Od razu widać, że ma zwyczaj przerywać w pół zdania, kiedy mu przyjdzie taka ochota. W Kadyksie generał Królewskiej Floty jest Bogiem. Podczas wojny – Bogiem Ojcem.

– Ktoś już węszy w tej sprawie. Jednym z tych, co słyszeli, że gdzieś dzwoni, jest wydawca „Patrioty”. Człowiek, który w ubiegłym czwartek bezczelnie kwestionował pochodzenie władzy królewskiej...

Przez chwilę gubernator wydaje się zdumiony, w powietrzu unoszą się jeszcze ostatnie słowa. Patrzy na Tizona, jakby zapraszał go do poważnej refleksji nad podstawami władzy królewskiej. Gazety, mówi z niechęcią w głosie. Cóż mam teraz panu powiedzieć. Sam pan wie, z jakimi osobnikami musimy się zadawać. Ja wszystkiemu zaprzeczyłem, rzecz jasna. Na

szczęście inne ochłapy można podrzucać tej hołocie. W Kadyksie zainteresowanie budzi tylko polityka, nawet wojna pozostaje na dalszym planie. Na relacjonowanie debat w kościele Świętego Filipa Neri<sup>2</sup> zużywa się całą farbę w drukarniach.

Adiutant w mundurze Królewskiej Gwardii Przybocznej stuka do bocznych drzwi, podchodzi do biurka i półgłosem zamienia kilka słów z Villavicenciem. Gubernator kiwa potakująco głową i wstaje. W ślad za nim natychmiast idą Tizón i intendent.

– Przepraszam, muszę panów na chwilę zostawić samych.

Opuszcza gabinet, krok za nim adiutant. Obydwaj mężczyźni stoją, patrząc przez okno na pejzaż, mury obronne i zatokę. Z domu gubernatora rozciągają się piękne widoki; podobnymi cieszył się poprzednik Villavicencia, generał Solano, markiz del Socorro, dopóki rozwścieczona gawiedź nie wyciągnęła go siłą na ulicę, oskarżając, że jest profrancuski. Solano utrzymywał, że prawdziwym wrogiem są Anglicy i że atak na flotę admirała Rosiły, zablokowaną w zatoce, stanowiłby zagrożenie dla miasta. Ludzie w patriotycznym uniesieniu powstania, na którego czele znalazł się portowy motłoch, przemytnicy i dziwki, bardzo źle to przyjęli. Napadnięto na budynek, Solano został wyciągnięty na kaźń, a żołnierze z garnizonu, przerażeni, nawet nie kiwnęli palcem, żeby go ocalić. Tizón też widział, jak umiera, przeszyty szpadą na ulicy Aduana, i nie zareagował. Byłoby szaleństwem mieszać się w tę sprawę, a los markiza del Socorro ani go grzał, ani ziębił. I to się nie zmieniło. Z taką samą obojętnością przyglądałby się dziś generałowi Villavicencio, gdyby zdarzyło się coś podobnego. Albo intendentowi i sędziemu Garcii Pico.

Ten ostatni przygląda mu się w zamyśleniu.

– Zakładam – odzywa się – że zdaje pan sobie sprawę z wszelkich okoliczności.

Czy ja sobie zdaję sprawę, do licha, myśli Tizón, wracając do terażniejszości. Po to mnie tu przyprowadził. Na tę zamkniętą sesję z najjaśniejszym.

– Jeśli zdarzą się następne morderstwa, nie będziemy mogli ich ukryć – mówi.

Teraz Garda Pico unosi brew.

– Do diaska. Nic nie wskazuje, żeby się miały zdarzyć... Ile czasu upłynęło od ostatniego?

– Cztery tygodnie.

– A pan nadal nie ma żadnych poważnych dowodów?

Tizonowi nie umknęło sformułowanie „pan nadal”. Przeczy ruchem głowy.

– Żadnych. Przestępca zawsze postępuje w ten sam sposób. Atakuje w odludnych miejscach samotne młode kobiety. Knebluje je i katuje na śmierć.

Przez bardzo krótką chwilę czuje pokusę, żeby powiedzieć o bombach i miejscach, w które spadły, ale nie robi tego. Musiałby dodać zbyt wiele wyjaśnień. A nie ma na to ochoty. Ani argumentów. Jeszcze nie.

– Minał już miesiąc – mówi intendent. – Być może zabójca już się zmęczył.

Tizón ma na twarzy wyraz wątpliwości. Wszystko jest możliwe, odpowiada. Ale być może czeka na odpowiednią okazję.

– Myśli pan, że znów zabije?

– Może tak. Może nie.

– W każdym razie to jest pańska sprawa. Pańska odpowiedzialność.

– To nie jest łatwe. Będę potrzebował...

Intendent przerywa mu z pełnym irytacji uderzeniem ręką w powietrze.

– Proszę posłuchać, każdy ma swoje kłopoty. Don Juan Maria ma swoje, ja – swoje, i pan też ma swoje... Pana praca polega na tym, by nie dopuścić, żeby pańskie kłopoty stały się moimi.

Ostatnie słowa wymawia, patrząc na zamknięte drzwi, za którymi zniknął Villavicencio. Potem znów zwraca się do Tizona.

---

<sup>2</sup> W kościele Świętego Filipa Neri prowadzone były prace nad konstytucją.

– Nie może być zadaniem zbyt trudnym znalezienie zabójcy postępującego w taki sposób. Sam pan powiedział: to jest małe miasto.

– Pełne ludzi.

– Kontrola nad tymi ludźmi to też pańska praca. Proszę zarzucić swoje sieci, uaktywnić konfidentów. Niech pan zarobi na swoją pensję. – Garcia Pico wskazuje na zamknięte drzwi i ścisza głos.

– Przy następnym zabójstwie będziemy potrzebowali winnego. Kogoś, kogo pokażemy publicznie, rozumie pan? Kogoś do ukarania.

Dochodzimy do definicji, stwierdza Tizón niemal rozbawiony.

– Takie rzeczy są trudne do udowodnienia bez przyznania się do winy – argumentuje.

Nie mówi nic więcej, tylko patrzy znacząco na swojego rozmówcę. Obaj doskonale wiedzą, że Kortezy mają wkrótce oficjalnie zakazać tortur i nawet sądy ani sędziowie nie będą mieli prawa na nie zezwolić.

– Proszę podjąć stosowne kroki – kończy temat Garcia Pico.

– Wszelkie kroki.

Villavicencio powraca do gabinetu. Wygląda na zmartwionego. Nieobecnego. Patrzy na nich tak, jakby nie pamiętał, co tam robią.

– Panowie wybaczą... Właśnie otrzymałem potwierdzenie, że ekspedycja generała Lapeñi wylądowała w Tarifie.

Tizón wie, co to oznacza. Czy raczej wyobraża sobie. Kilka dni wcześniej sześć tysięcy żołnierzy hiszpańskich i drugie tyle angielskich, pod rozkazami generałów Lapeñi i Grahama, opuściło Kadyks w dwóch konwojach, kierując się na wschód. Lądowanie w Tarifie prowadzić będzie do akcji wojskowych w pobliżu Kadyksu, prawdopodobnie w okolicy węzła komunikacyjnego Medina Sidonia. Może dojdzie do wielkiej bitwy, jednej z takich, których wyniki – od klęski do klęski, aż do ostatecznego zwycięstwa, jak sobie żartują miejscowi złośliwcy – opinia publiczna w Kadyksie będzie komentowała przez całe tygodnie w gazetach, kawiarniach i przy okazji towarzyskich spotkań, podczas gdy zawistni i nieznoszący się wzajemnie generałowie wraz ze swoimi zwolennikami obrzucać się będą nie tylko obelgami.

– Muszę prosić, by panowie już mnie opuścili – mówi Villavicencio. – Muszę zająć się bardzo pilną sprawą.

Tizón i Garda Pico żegnają się, ten ostatni z protokolarnymi rewerencjami, które gubernator przyjmuje z roztargnieniem. Kiedy już mają wyjść z biura, Villavicencii nagle jakby coś się przypomina.

– Powiem jasno, panowie. Żyjemy w sytuacji wyjątkowej i tragicznej. Jako odpowiedzialny za miasto pod względem politycznym i wojskowym, muszę żyć w zgodzie nie tylko z Regencją, ale też z Kortezami, angielskimi sprzymierzeńcami i mieszkańcami Kadyksu. Do tego mamy wojnę i Francuzów. Proszę jeszcze dodać zarządzanie miastem, które podwoiło liczbę mieszkańców i którego zaopatrzenie jest uzależnione w całości od morza, nie wspominając nawet o ryzyku epidemii i innych problemach... Jak mogą sobie panowie wyobrazić, to, że jakiś okrutny szaleniec wyprawia prawdziwe barbarzyństwa na dziewczynach, jest potworne, ale nie jest moim największym zmartwieniem. Przynajmniej dopóki nie stanie się publicznym skandalem... Czy pan mnie rozumie, komisarzu?

– Jak najbardziej, panie generale.

– Nadchodzą decydujące dni, ekspedycja generała Lapeñi może odmienić bieg wojny w Andaluzji. Przez pewien czas dzięki temu zbrodnie pozostaną w cieniu. Ale jeśli pojawi się kolejna zabita, jeśli cała historia nabierze zbyt dużego rozgłosu, a opinia publiczna będzie się domagała winnego, chcę go dostać natychmiast... Czy nadal to, co mówię, jest jasne?

Dość jasne, myśli policjant. Ale nie odzywa się, ogranicza się jedynie do skinięcia głową. Villavicencio odwraca się do nich plecami, podchodząc do biurka.

– A nawet – dodaje, siadając – gdyby do mnie należała ta kłopotliwa sprawa, przygotowałbym alternatywne rozwiązania... Coś, co w takim przypadku ułatwiłoby postępowanie.

– Ma pan na myśli przygotowanie zawczasu podejrzanego?

Nie zważając na poruszenie Garrri Pico i jego pełne furii spojrzenie, Tizón stoi w progu biura, oczekując odpowiedzi. A ta pojawia się po chwili ciszy, oschła, zdradzająca złość.

– Mam na myśli mordercę, koniec, kropka. Przy takiej liczbie obcego pospólstwa w mieście nie byłoby dziwne, gdyby okazał się nim ktokolwiek.

Dom rodziny Palma jest duży, wielkopański, jeden z najlepszych w Kadyksie; Felipe Mojarra przygląda mu się zadowolony, dumny, że jego córka Mari Paz tam właśnie służy. Budynek oddalony zaledwie o przecznicę od placu Świętego Franciszka zajmuje cały róg: cztery piętra z pięcioma balkonami i główną bramą od ulicy Baluarte, kolejne cztery balkony wychodzą na ulicę Doblones, gdzie znajduje się wejście do biur i magazynu. Opierając się o słupek na przeciwnym rogu ulicy, w wełnianym pledzie narzuconym na ramiona i w kapeluszu nałożonym na chustkę, którą ma związaną na głowie, Mojarra, paląc papierosa z tytoniu posiekanego nożem, czeka na swoją córkę. Warzelnik soli jest człowiekiem dumnym, o jasnych poglądach na to, gdzie jest miejsce każdego. Dlatego odrzucił zaproszenie, by zaczekał na córkę wewnątrz, na patio z kutą żelazną kratą, wyłożonym marmurowymi płytami, ozdobionym trzema lukami wspartymi na kolumnach obok głównych schodów i ołtarzyka Matki Boskiej Różańcowej umieszczonego w niszy w ścianie. To dla niego zbyt wiele. Jego miejscem są kanały i nadmorskie mokradła, spuchnięte i zniszczone stopy wciśnięte w buty na sznurkowej podeszwie, specjalnie włożone do miasta, marnie to znoszą – marzy, żeby wreszcie móc je zdjąć. Wypłynął bardzo wcześnie, z przepustką jak należy, korzystając z tego, że kapitan Virues bierze udział w naradzie dowódców i oficerów w Carrace – ma to jakiś związek z wojskową ekspedycją do Tarify – i go nie potrzebuje. Zatem, ulegając namowom żony, Mojarra przyjechał do Kadyksu odwiedzić córkę. Przez okoliczności i wojnę ojciec nie widział się z córką od czasu, kiedy dziewczyna pięć miesięcy temu zaczęła pracować w domu rodziny Palma, polecona przez proboszcza.

Wreszcie córka wychodzi drzwiami od ulicy Doblones, a Mojarra wzrusza się, widząc, jak nadchodzi w swojej szarej spódnicy z fartuszkami z białego muślinu i w chustce okrywającej głowę i ramiona. Ma ładne kolory. Wygląda zdrowo. Pewnie dobrze jada, dzięki Bogu. Lepiej się żyje w Kadyksie niż na wyspie.

– Dzień dobry, ojczy.

Nie ma buziaków ani czułych słówek. Na ulicy jest pełno ludzi, jacyś sąsiedzi patrzą z balkonów, a rodzina Mojarra to porządni ludzie, nie dają powodów, żeby o nich gadali. Warzelnik tylko uśmiecha się z czułością, stoi z kciukami zatkniętymi za pas, gdzie nosi składany nóż, i przygląda się Mari Paz zadowolony. Widzi, że się zaokrągliła. To już prawie kobieta. Ona też się uśmiecha, w jej policzkach pogłębiają się dołki, które ma od dziecka. Więcej w niej wdzięku niż urody, jej oczy są duże i łagodne. Szesnaście lat. Czysta i dobra jak tylko ona.

– Co słychać u matki?

– Zdrowa, tak jak twoje siostrzyczki i babka. Wszyscy cię pozdrawiają.

Dziewczyna wskazuje drzwi do magazynu.

– Nie chce ojciec wejść na chwilę? Rosas, majordomus, powiedział, że bym ojca zaprosiła na filiżankę kawy albo czekolady do kuchni.

– Dobrze jest na ulicy. Przejdziemy się.

Idą w kierunku czworokątnego budynku Urzędu Celnego, gdzie żołnierze z bagnietami nałożonymi na karabiny chodzą obok swoich budek strażniczych przy wejściu. Flaga powiewa spokojnie na maszcie. Wewnątrz budynku pracują panowie z Regencji, która rządzi

Hiszpanią, czy tym, co z niej zostało, w imieniu króla uwięzionego we Francji. Po drugiej stronie murów obronnych, pod bezchmurnym niebem, jaśnieje błękitna, lśniąca zatoka.

- Jak ci się układa, dziecko?
- Znakomicie, ojcze. Naprawdę.
- Jest ci dobrze w tym domu?
- Bardzo dobrze.

Waha się chwilę, dłonią gładzi twarz z bakami, jego broda od trzech dni potrzebuje ostrza dobrej brzytwy cyrulika.

- Widziałem, że ten majordomus jest... No tak. Wiesz, o co mi chodzi.
- Córka uśmiecha się dobrotliwie.
- Trochę zniewieściały?
- No właśnie.

Wielu jest takich, mówi dziewczyna, są zatrudnieni w dobrych domach. To ludzie czyści i uporządkowani, taki już w Kadyksie jest zwyczaj. Rosas to przyzwoita osoba, porządnie zarządza domem. A ona sama dobrze żyje ze wszystkimi. Szanują ją.

- Kręci się koło ciebie jakiś chłopak?

Mari Paz rumieni się, instynktownie zasłania twarz chustą, którą się okrywa.

- Niech ojciec nie wygaduje głupstw. Kto miałby się kręcić koło mnie?

Ojciec z córką idą wzdłuż murów, w stronę placu Pozos de la Nieve i Alamedy, od czasu do czasu oddalając się od nich, kiedy forty albo baterie dział skierowanych ku zatoce zastawiają im drogę. W dole szumi morze, fale rozbijają się o wystające skały, wokół fruwią gołębie. Pośród nich jeden leci prosto i zdecydowanie, wzbija się wysoko i nad morzem ginie w oddali, zbliżając się do stałego lądu po drugiej stronie zatoki.

- A jak się do ciebie odnoszą ci na samej górze?

– Bardzo dobrze. Panienska jest poważna i miła. Nie spoufała się, ale doskonale mnie traktuje.

- Stara panna, słyszałem.

– Niech ojciec nie myśli, że brakowałoby jej konkurentów, gdyby tylko chciała. I ma duży majątek. Od śmierci ojca i brata sama wszystkim zarządza, i interesami, i statkami... Wszystkim. Lubi czytać. A rośliny to jej pasja. Studiuje rzadkie rośliny, które sprowadzają dla niej z Ameryki. Ma je i w książkach, i w zielnikach, i w doniczkach.

Mojarra kręci głową filozoficznie. Odkąd poznał kapitana Viruesa i jego rysunki, już nic go nie zaskoczy.

- Ludzie są różni.

– Dobrze, że ojciec to mówi. Bo trochę trudniejsza jest wdowa, pani matka. I tak oschła, że bardziej się nie da. Cały czas leży w łóżku, twierdzi, że jest chora, ale to nieprawda. Chce, żeby wszyscy się nią zajmowali, a przede wszystkim jej córka. Mówią w domu, że nie potrafi wybaczyć paniencie, że żyje i prowadzi cały interes, gdy tymczasem panicz Francisco de Paula, jej ulubieniec, zginął pod Bailen... Mimo wszystko panna Dolores ma wiele cierpliwości dla swojej matki. Jest bardzo dobrą córką.

- Mają jeszcze jakąś rodzinę?

– Tak, kuzyna Toño, to stary kawaler, prawdziwy żartowniś, zawsze w dobrym humorze, bardzo mnie lubi. Nie mieszka w domu, ale każdego popołudnia przychodzi z wizytą... Panienska ma też zamężną siostrę, ale ona jest zupełnie inna. Bardziej wyniosła i szorstka. Nie jest równie dobrą osobą.

Teraz kolej, żeby Felipe Mojarra opowiedział córce o wszystkim, co się dzieje u nich. Opisuje szczegóły sytuacji na Lwiej Wyspie: francuskie oblężenie, militaryzacja całej okolicy, mobilizacja wszystkich mężczyzn, bieda wśród ludności cywilnej i wojna dosłownie za progiem domu. Bomby spadają każdego dnia, a prawie całe jedzenie zabiera Armia i Flota Królewska. Brakuje drewna, wina i oleju, a czasem nawet nie ma mąki na chleb. Zupełnie

inaczej niż w Kadyksie, gdzie żyje się jak u Pana Boga za piecem. Na szczęście jest w oddziale strzelców, dzięki czemu może dwa albo trzy razy na tydzień przynieść rację mięsa do rodzinnego kociołka, a czasem coś złowi w kanałach lub uzbiera małży na błotnistym brzegu, kiedy morze opadnie. W każdym razie, jak mówią ci wrogowie, co uciekają i przechodzą na naszą stronę, tam jest gorzej. Wioski złupione, a wszyscy ludzie, łącznie z Francuzami, w nędzy. Do niektórych miejsc nawet wino nie dociera, choć panują przecież nad Jerezem i El Puerto.

– Dużo ich ucieka?

– Tak, dość dużo. Z głodu albo dlatego, że mają kłopoty z dowódcami. Rzucają się w pław przez kanały i poddają się naszym strażom. Bywa, że to jeszcze dzieci, a wszyscy docierają w takim stanie, że żal ściska... Ale nie myśl sobie. Na ich stronę też przechodzą nasi. Zwłaszcza ci, którzy po tamtej stronie zostawili rodziny. Ale kiedy takich łapiemy, zaraz rozstrzelujemy, jasna rzecz. Żeby dać przykład... Jeden to nawet był twój znajomy: Nicolas Sanchez.

Mari Paz spogląda na ojca, ma usta i oczy szeroko otwarte.

– Nico? Ten z młyna Santo Cristo?

– Tak, ten. Miał żonę i dzieci w Chipionie, chciał do nich wrócić. Został zatrzymany w kanale Zurraque, jak nocą wiosłował w łódce.

Dziewczyna żegna się znakiem krzyża.

– Ojcie, to okrucieństwo.

– Francuzi też zabijają swoich, jak ich łapią.

– To nie to samo. W niedzielę powiedział ksiądz u Świętego Franciszka, że Francuzi są sługami diabła i że Pan Bóg życzy sobie, byśmy ich wybili jak pluskwy.

Mojarra robi parę kroków, patrząc na ziemię przed butami. W końcu z ponurą miną kręci głową.

– Ja nie wiem, czego chce Pan Bóg.

Idzie jeszcze kawałek i staje, nie podnosząc wzroku. Choć wygląda jak kobieta, Mari Paz jest jeszcze dzieckiem, myśli. Pewnych rzeczy nie da się wytłumaczyć. Nie tutaj, nie tak. Właściwie to on jej tego nie wytłumaczy.

– To ludzie tacy sami jak my – mówi na koniec. – Jak ja... Przynajmniej ci, których widziałem.

– Zabił ojciec wielu?

Znów cisza. Teraz ojciec patrzy na córkę. Przez chwilę myśli, żeby zaprzeczyć, ale w końcu wzrusza ramionami. Dlaczego miałbym zapierać się czegoś, co robię, myśli, jeśli to robię. Spełniania obowiązku, które Pan Bóg – a jego wyroki nie są sprawą Felipe Mojarry – oceni, jak zechce. Obowiązku wobec ojczyzny i króla Ferdynanda. Warzelnik jedynie wie na pewno, że nie lubi Francuzów, wątpi jednak, żeby wierniej służyli diabłu niż niektórzy znajomi Hiszpanie. Krwawią, krzyczą ze strachu i z bólu, tak jak każdy. Jak on sam.

– Tak, kilku zabiłem.

– No cóż. – Dziewczyna znów się żegna. – Jeśli Francuzów, to nie grzech.

Pepe Lobo odsuwa pijaka, który go zaczepia, żeby mu dał monetę na wino. Robi to spokojnie, bez przemocy, z cierpliwością, chce jedynie, żeby obdarty, brudny żołnierz nie zagradzał mu przejścia. Pijaczek zatacza się i potyka, ale znika w ciemności, oddalając się od żółtego światła latarni oświetlającej róg ulicy Sarna.

– Mamy problem – mówi Ricardo Marana.

Pierwszy oficer na „Culebrze” wyłonił się z mroku, w którym jego obecność zdradzał nieruchomy czerwonawy żar papierosa. Jest wysoki i blady. Ubrany na czarno, w wywinętych wysokich butach z cienkiej skóry, w angielskim stylu, bez kapelusza. Padające z góry światło latarni pogłębia doły pod oczami na jego szczupłej twarzy.



– Poważny?

– To zależy od ciebie.

Teraz obaj mężczyźni razem idą ulicą. Marana lekko utyka. Widać sylwetki kobiet i mężczyzn w bramach i na rogach ulic. Szepty po hiszpańsku i w innych językach. Z okien i drzwi mijanych tawern dobiegają głosy, śmiechy, obelgi. Czasem dźwięki gitary.

– Do bójki doszło jakieś pół godziny temu – wyjaśnia Maraña.

– Amerykański żołnierz został zabity nożem i szukają winnego. Brasero jest jednym z podejrzanych.

– On to zrobił?

– Nie mam pojęcia.

– Kogoś jeszcze zatrzymano?

– Gromadę sześciu czy siedmiu chłopów, ale nikogo więcej z naszych. Przesłuchują ich na miejscu.

Pepe Lobo kręci głową, zły. Od piętnastu lat zna bosmana Brasero – Majstra, jak zwą go wszyscy na pokładzie – i dobrze wie, że kiedy w grę wchodzi sfermentowane winogrono, jest zdolny wbić nóż nie tylko w amerykańskiego marynarza, ale we własnego ojca. Ale Brasero jest też podstawowym członkiem załogi, którą od wielu dni starają się skompletować. Jego strata na półtora tygodnia przed wyruszeniem w morze byłaby nieszczęściem dla całego przedsięwzięcia.

– Jeszcze są w tej tawernie?

– Tak myślę. Prosiłem, żeby mi dali znać, jeśli by miano ich stamtąd zabierać.

– Znasz oficera?

– Z widzenia. Młody porucznik. Papuga.

Pepe Lobo uśmiecha się, słysząc słowo „młody” w ustach swojego pierwszego oficera, bo Marana nie skończył jeszcze dwudziestu jeden lat. Młodszy syn w szanowanej rodzinie z Malagi, nazywany Markizem ze względu na swoje dystygowane maniery i wygląd. Ten kadet marynarki wojennej zakończył służbę w Królewskiej Flocie, mając piętnaście lat, usunięty wskutek pojedynku, w którym ranił kolegę z tej samej promocji. Od tego czasu pływa na statkach korsarskich, najpierw pod hiszpańską lub francuską banderą, teraz jako aliant Anglików. Ma niesprawną nogę, co wzięło się z rany kolana, nabytej pod Trafalgarem na pokładzie okrętu „Bahama”. Po raz pierwszy mustruje się u kapitana Lobo, ale znają się dobrze. Ostatnio pływał na keczu z czterema działami, z bazą w Algeciras, o nazwie „Corazón de Jesus”, którego patent korsarski wygasł dwa miesiące temu.

Tawerna jest jednym z wielu ciemnych lokali w okolicach portu, odwiedzanych przez hiszpańskich i cudzoziemskich marynarzy: sufit okopcony od świec i wiszących kaganków, wielkie kadzie z winem, beczki w roli stolików i niskich taboretów, czarne od brudu jak ziemia. Z lokalu usunięto biesiadników i dziwki, pozostało tylko siedmiu mężczyzn o odrażającym wyglądzie, pilnowanych przez pół tuzina papug z karabinami z nasadzonymi na lufy bagnetami.

– Dobry wieczór – mówi Lobo do porucznika.

A następnie przedstawia siebie i swojego towarzysza. Kapitan i pierwszy oficer na korsarskim kutrze „Culebra”. Podobno są tu jacyś jego ludzie. O coś podejrzani.

– O zabójstwo – potwierdza oficer.

– Jeśli ma pan na myśli tego – Lobo wskazuje na Brasera: blisko pięćdziesiąt lat, kręcone szpakowate włosy, gęste siwe wąsy, ręce szerokie jak wiosła – zapewniam, że nie ma z tym nic wspólnego. Był ze mną przez całą noc. Właśnie przed chwilą wysłałem go tu z zamówieniem... Na pewno zaszła jakaś pomyłka.

Porucznik mocno mruga. Bardzo młody, tak jak powiedział Marana. Delikatny chłopiec. Niezdecydowany. Kapitan korsarz na pewno robi na nim wrażenie. Z oficerem Armii albo

Królewskiej Floty rzeczy wyglądałaby inaczej. Ale papugi to lokalne siły porządkowe. Malowani wojacy.

– Czy jest pan pewien, kapitanie?

Pepe Lobo dalej patrzy na swojego bosmana, stojącego obojętnie pomiędzy zatrzymanymi, z rękami w kieszeniach kapoty, słowa „korsarz” i „przemytnik” ma wypisane jak na afiszu na twarzy naznaczonej solą i wiatrem, na której głębokimi bruzdami zmarszczki przecinają się z bliznami, a wszystko jakby wyrąbane siekierą. Złote kolczyki w uszach, milczący i spokojny. Niebezpieczny jak w tych czasach, kiedy razem ścigali angielskie statki handlowe w cieśninie. Cholerny wariat, mówi w myślach do siebie. Nigdy nie znosił gadających po angielsku. Ciekaw jestem, gdzie ma ten rzeźniczy nóż, który zawsze nosi zatknięty za pas. Idę o każdy zakład, że leży gdzieś pod stołem, pośród zmoczonych winem trocin. Jestem pewien, że go wyrzucił, kiedy tu weszli żołnierze. Cholerny sukinsyn.

– Ma pan moje słowo honoru.

Przez chwilę porucznik się waha, bardziej żeby pokazać swoją władzę niż z innego powodu. Przydomek papug siły porządkowe zawdzięczają lokalnemu poczuciu humoru, odnosi się on do jaskrawego munduru – czerwona kurtka z zielonym kołnierzem i wyłogami, białe lederwerki – jaki noszą tysiące obywateli Kadyksu należących do możnych klas w mieście, tworzący Korpus Dostojnych Wolontariuszy. Wewnątrz Kadyksu ludność cywilna przygotowała się do wojny zgodnie ze statusem społecznym: zjednoczeni patriotyzmem, ale każdy na swoim miejscu. Mieszczanie, rzemieślnicy i prosty lud, każda warstwa tworzy swoje oddziały, w których nigdy nie brakuje ochotników. Kto zaciąga się do tych oddziałów, unika służby w prawdziwej armii, gdzie zawsze grozi trud i niebezpieczeństwo czyhające na pierwszej linii. Dużą część zapłać wojennego wyczerpuje się prezentowaniem krzykliwych mundurów i istic marsowych min na ulicach, placach i w kawiarniach.

– Rozumiem, że bierze pan za niego osobistą odpowiedzialność.

– Oczywiście.

Pepe Lobo wychodzi na ulicę, a za nim jego ludzie, idą we trzech wzdłuż murów Santa Maria w kierunku Boquete i Bramy Morza. Nikt się nie odzywa przez spory kawałek drogi. Ulice toną w mroku, a bosman wygląda jak łagodny cień z tyłu, za oficerami. Na pokładzie statku Braserero jest człowiekiem najspokojniejszym i najbardziej godnym zaufania na świecie, z wyjątkowym darem kontroli nad ludźmi w trudnych sytuacjach. Stateczny gość, któremu od czasu do czasu, kiedy postawi nogę na lądzie, puszczają śrubki i nagle dostaje świra.

– A niechby cię licho, ech, Majstrze – wreszcie odzywa się Lobo, nie odwracając głowy.

Za jego plecami panuje ponure milczenie. Obok siebie słyszy cichy, powściągliwy śmiech pierwszego oficera. Śmiech kończy się słabym atakiem kaszlu i świszczącym, urywanym oddechem. Przechodząc obok latarni, korsarz zerka na Ricarda Marańę, który obojętnie wyjął chustkę z rękawa kaftana i przyciskają do pozbawionych krwi warg. Młody nawigator na „Culebrze” to jeden z tych, którzy wyciskają z życia każdą jego kroplę: libertyn i rozpustnik do granic możliwości, posępny do okrucieństwa, odważny do desperacji, z góry płaci wszystkie rachunki, gdy rozlicza się z życiem – jego należność to ponury wyścig z czasem – działa z zimną krwią, niespotykaną w jego wieku, wyczerpuje kredyt od życia ze świadomością braku przyszłości, zdecydowany na wszystko, w związku z nieodwołalną lekarską diagnozą stwierdzającą ostatnie stadium gruźlicy.

Zatrzymują ich strażnicy, kiedy docierają do podwójnego łuku Bramy Morza, zamkniętej o tej porze. Przepisy dotyczące wchodzenia do miasta i wychodzenia poza jego granice między zachodem a wschodem słońca są sztywne – Bramę Ziemi zamyka się po nieszporach, a Bramę Morza na komplecie – ale oficjalna przepustka albo kilka monet wsuniętych we właściwą rękę upraszczają formalności. Lobo z towarzyszymi przedstawiają się jako załoga kutra „Culebra”, okazują przepustki wydane przez kapitanat i cała trójka przechodzi pod grubym murem z cegieł i kamienia, najeżonym strażnikami i oświetlonym latarniami z obu

stron. Na lewo od nich, pod osłoną dział wycelowanych z otworów strzelniczych fortu Negros, ciągnie się szerokie nabrzeże, zakończone dwiema kolumnami z figurami świętego Servanda i świętego Germana, patronów Kadyksu. Dalej, w mroku panującym w zatoce za murem, w gromadzie przypominającej stado owiec razem stłoczonych, żeby odstraszyć wilki mogące czyhać w pobliżu, ciemne sylwetki niezliczonych statków wszelkiego rodzaju i rozmaitej wyporności łagodnie kołyszają się na kotwicach, skierowane dziobami na zachodnią bryzę, ze zgaszonymi latarniami pozycyjnymi, żeby nie ułatwiać celowania francuskiej artylerii, która stoi za wodą, w Trocadero.

– Ma pan być na pokładzie za piętnaście minut, bosmanie. I nie wolno panu wyjść na ląd bez pozwolenia nawigatora albo mojego. Zrozumiano?

Marynarz mruczy twierdząco. Jest zdyscyplinowany. Pepe Lobo podchodzi do jednej z trzech czy czterech nieruchomych postaci między ładunkami na nabrzeżu i budzi przewoźnika. Kiedy ten przygotowuje łódź i umieszcza wiosła w dulkach, mija ich grupa angielskich marynarzy, którzy tej nocy zwiedzali knajpy wokół portu. Zeszli z okrętu wojennego, a teraz wracają napełnieni winem. Trzej korsarze obserwują, jak wchodzi do swojej szalupy, a potem niezdarnie wiosłują, pośród śmiechu i śpiewów, zapewne w kierunku fregaty wyposażonej w czterdzieści cztery działa, która stoi na kotwicy naprzeciwko Corrales.

– Pieprzeni alianci – mruczy przez zęby Brasero z urazą.

Lobo uśmiecha się w duchu. Żaden z nich nie zapomniał Gibraltaru.

– Zamknij dziób, bosmanie. Na dzisiaj wystarczy.

Lobo razem z pierwszym oficerem patrzają, jak się oddala i znika w ciemności nocy, przy powolnym chlupocie wiosł, czarny kształt łodzi wiozącej Brasera. Kuter „Culebra” jest gdzieś tam w mroku, na wschód od nabrzeża, zakotwiczony w piasku czterema linami, jego jedyny maszt nie ma jeszcze takielunku i ozaglowanie jest niekompletne. Brakuje ciągle dwunastu ludzi – dwóch artylerzystów, jednego pisarza-tłumacza, ośmiu marynarzy i sprawdzonego stolarza – żeby skompletować czterdziestoosobową załogę, która będzie na nim walczyć i pływać.

– Armia zaopatrzy nas w proch – mówi Lobo. – Sto pięćdziesiąt funtów, dwadzieścia dwie butelki podpałki i jedenaście i pół funta lontu. Kosztowało mnie Bóg wie ile wysiłku załatwienie sprawy, przez zamieszanie z wyprawą do Tarify, ale już to mamy. Gubernator podpisał zgodę dziś rano.

– A sześćdziesiąt skałek do strzelb i czterdzieści do pistoletów?

– Też załatwione. Kiedy podpłyne barka, zajmij się wszystkim; ale niech niczego nie wnoszą, dopóki ja sam nie wejdę na pokład. Wcześniej muszę się zobaczyć z armatorami.

Krótki błysk wybuchu pojawia się po drugiej stronie zatoki, w okolicy Trocadero. Obaj mężczyźni stoją nieruchomo, patrząc w tamtym kierunku, i czekają, a Pepe Lobo w pamięci liczy upływające sekundy. Kiedy dochodzi do dziesięciu, słyszy odległy huk wystrzału. Siedemnaście sekund później wysoki słup morskiej piany jaśnieje w mroku niedaleko nabrzeża, pośród czarnych sylwetek stojących na kotwicy statków.

– Tej nocy blisko strzelają – stwierdza Maraña z zimną krwią.

Obaj mężczyźni idą z powrotem w kierunku Bramy Morza, gdzie latarnia oświetla strażnika obserwującego ich ze swojej budki. Maraña zatrzymuje się, spojrzawszy wcześniej na wąskie nabrzeże biegnące u stóp muru w kierunku nabrzeża Cruz i. Bramy Sewilskiej.

– Jak stoimy z papierami? – pyta.

– W porządku. Armatorzy wpłacili kaucję i w poniedziałek formalnie zamkniemy umowę korsarską.

Pierwszy oficer „Culebry” słucha z roztargnieniem. W słabym świetle odległej latarni Pepe Lobo dostrzega, jak znów spogląda na koniec nabrzeża, w kierunku Puerto Piojo, tam gdzie kilka stopni prowadzi na plażę. Widać piasek odsłaniany przez odpływ i odcinające się ciemno kąty fortów.

– Pójdę z tobą kawałek – mówi.

Towarzysz patrzy na niego przez chwilę poważnie, nieufnie. Wreszcie przywołuje na twarz uśmiech, któremu noc i odległe światło nadają posępny wyraz.

– Ilu w końcu mamy armatorów? – docieka Marana.

Idą poprzędzani przez swoje długie cienie, odgłos kroków przeplata się z chlupotem uderzającej o kamienie przy nabrzeżu wody wzburzonej bryzą, która teraz wieje chłodem od zachodu.

– Dwoje, tak jak ci mówiłem – odpowiada Lobo. – Bardzo zasobni. Emilio Sanchez Guinea i pani Palma... Czy raczej panna.

– Jaka ona jest?

– Dość oschła. Według don Emilia, nie od razu się zdecydowała. Jej zdaniem my, korsarze, nie cieszymy się dobrą sławą.

Słyszy ochryply, wilgotny śmiech. Zaraz potem krótki charkot kaszlu, zdławiony chustką.

– Podzielam jej zdanie – szepcze Marana po chwili.

– No cóż. Myślę, że taka jest jej rola. To szacowny handlowiec. W sumie ona jest szefem.

– Ładna?

– Stara panna. Ale niezła. Jeszcze.

Dotarli do stopni prowadzących na piasek. Niżej, na brzegu, Lobo ma wrażenie, że dostrzega kształt małej żaglówki i dwóch ludzi czekających w mroku. Przemycnicy, bez wątpienia. Często wypływają, zabierając różne towary na stronę wroga, gdzie nędza czterokrotnie zwiększa ich wartość.

– Dobrej nocy, kapitanie – żegna się Marańa.

– Dobranoc, pilocie.

Kiedy porucznik schodzi po stopniach i znika w ciemności, gdzie stapiają się w jedno mur, plaża i morze, Pepe Lobo stoi nieruchomo, nasłuchując szelestu płótna i linek łodzi rozwijającej żagle i oddalającej się od brzegu. W Kadyksie mówią, że chodzi o kobietę, że Ricardo Marańa ma przyjaciółkę czy dziewczynę w El Puerto de Santa Marla, w strefie okupowanej przez wroga. I że czasem w nocy, kiedy wieje pomyślny wiatr, wykorzystuje wyprawy przemycników, żeby popłynąć na drugi brzeg i odwiedzić ją po kryjomu, ryzykując wolność albo i życie.

## Rozdział IV

Płoną lasy sosnowe od strony Chiclany. Szarobury dym z jasnymi punktami wystrzałów artyleryjskich rozciąga się zawieszony między niebem a ziemią, słychać daleki odgłos wystrzałów, przytłumiony odległością. Droga biegnąca od wybrzeża w kierunku Chiclany i Puerto Real jest pełna wycofującego się francuskiego wojska, to rzeka uciekinierów, wozów załadowanych rannymi i taborem, żołnierzy starających się wyjść z tego cała. Panuje kompletny chaos, wiadomości są albo niedokładne, albo sprzeczne. Mówi się, że trwają ciężkie walki na wzgórzu Puerco, że dywizje Levala i Ruffina są w tarapatkach albo już zostały pobite przez siły hiszpańsko-angielskie, które po wylądowaniu w Tarifie posuwają się w kierunku Sancti Petri i Kadyksu, żeby przerwać oblężenie miasta. Są tacy, którzy twierdzą, że folwarki Vejer i Casas Viejas dostały się w ręce wroga, a Medina Sidonia jest zagrożona. Czyli cały łuk frontu francuskiego wokół Lwiej Wyspy może przestać istnieć w ciągu kilku godzin. Obawa, że zostaną okrążeni na wybrzeżu, odcięci od reszty ładu, sprawia, że cesarskie siły stacjonujące pomiędzy morzem a kanałem Alcornocal wycofują się na północ.

Simon Desfosseux idzie pośród rzeki uchodźców, wozów i zwierząt, ciągnącej się po horyzont. Zgubił kapelusz, idzie w samej kamizelce i koszuli, z kurtką narzuconą na ramię i z szablą w dłoni, z rzemieniami zwiniętymi wokół rękojeści i pochwy. Jak setki zdeorientowanych mężczyzn, kapitan artylerii pokonał właśnie w bród, mocząc się po pas, kanały okalające wysepkę wokół wiatraka w Almansie. Spodnie i kurtka są brudne od błotnistej wody, która przy każdym kroku chlupie mu w butach. Droga jest bardzo wąska, po jej lewej stronie znajdują się saliny i nadmorskie mokradła, a po prawej zbocze wzgórza pokrytego ostami i krzakami, zapowiadającymi bliskość sosnowego lasu. Za wzgórzem słychać niedalekie wystrzały i wszyscy patrzą w tym kierunku z lękiem, obawiając się, że w każdej chwili ujrzą tam nieprzyjaciela. Myśl, że dostaną się w ręce mściwych Hiszpanów, wszystkich niepokoi. A kiedy pomyślą o okrutnych partyzantach, niepokój zmienia się w przerażenie.

Desfosseux nie miał szczęścia. Atak wroga zaskoczył go tego ranka w odległości czterech mil od normalnego miejsca postoju: w obozie w Torre Bermeja, gdzie nocował razem z dowódcą artylerii Pierwszego Korpusu, generałem Lesueurem, i jego eskortą złożoną z sześciu dragonów. Generał, niezadowolony z braku skuteczności ognia baterii we Flechas ostrzeliwującej hiszpański szaniec ustawiony przy ujściu kanału Sancti Petri, przywiózł go tam, żeby rozwiązał problem. Czy raczej: żeby przerzucić problem na niego. Mimo wyraźnego ożywienia zanotowanego w ostatnim tygodniu wzdłuż całego frontu, po desancie w Tarifie i po próbie – dwa dni temu – nieprzyjaciela, by ustawić most z łodzi w dolnej części kanału, Lesueur postanowił nie ruszać się z miejsca. Możecie być spokojni, powiedział podczas kolacji, zapewne natchniony miejscowym winem. Hiszpanie zlikwidowali most, uciekli jak szczury. A trochę ataku podnosi morale wojska. Zgadza się ze mną, panowie? Ci zbuntowani wieśniacy wczoraj uciekali, aż się kurzyło, na widok naszych trzech regimentów liniowych, wykorzystując ciemne tło wydm, przeszli plażą i dotarli do drugiego brzegu, trzeba im oddać, co się należy. Żołnierze generała Villatte'a są naprawdę świetni. Tak, dzielne chłopaki. Nie mamy się czego obawiać. I Desfosseux, niech mi pan wyświadczy

przysługę, proszę mi jeszcze dolać wina, jeśli łaska. Dziękuję. Jutro dalej będziemy się zajmować naszą sprawą. Teraz życzę dobrego odpoczynku.

Odpoczynek był krótki. Wszystko zmieniło się nad ranem, kiedy przednia straż wroga pojawiła się na tyłach Francuzów, na wzgórzu Puerco, i podeszła do Torre Bermeja drogą z Conil po twardym piasku plaży odsłoniętym przez odpływ, podczas gdy z drugiej strony szanca Flechas Hiszpanie znów zbudowali most z łodzi nad kanałem i zaczęli po nim przechodzić. Około południa wzięto w dwa ognie dywizję Villatte'a i kiedy cztery tysiące ludzi zaczęło się wycofywać bez ładu i składu w kierunku Chiclany, generał Lesueur spiął konia ostrogami i odjechał galopem, zabierając ze sobą dragonów z eskorty, a kapitan Desfosseux, któremu jakiś beczelny typ ukradł konia – nie znalazł go w pustych stajniach, kiedy tam pobiegł – zdzierał teraz podeszwy w tłumie uciekinierów.

Coraz rzadziej słychać karabinowe wystrzały z pobliskich wzgórz graniczących z lasem. Jacyś ludzie krzyczą, że wróg jest po drugiej stronie, i wycofujący się strumień odsiewa tych, którzy się spóźniają czy spowalniają marsz. Wóz z odłamanym kołem zostaje zepchnięty z drogi, a ci, którzy na nim jechali, przesiadają się na muły i zachęcają je do pośpiechu uderzeniami pasków, roztrącając tych, którzy idą pieszo. Panika szerzy się coraz szybciej, a Simon Desfosseux przyspiesza kroku wraz innymi. Idzie z boku, przyglądając się, tak jak wszyscy, groźnemu wzgórzowi po prawej stronie. Jakoś cholernie nie ma ochoty poznać z bliska ostrzy długich hiszpańskich noży. Ani zdyscyplinowanych angielskich bagnatów.

Słychać wybuchy pośród zarośli i kilka kul ze świstem przelatuje wysoko ponad idącą kolumną. Wszyscy zaczynają krzyczeć. Kilku mężczyzn wydostaje się z tłumy, padają na ziemię albo przyklękają, kierując lufy strzelb w górę zbocza.

– Partyzanci! Partyzanci!

Inni znów twierdzą, że nie, że to są Anglicy. Ze za chwilę zostanie im odcięta droga przy drewnianym mostku, który pozwala przejść ponad kolejnym kanałem. To powoduje, że wielu dostaje szału. Popychają się na wąskiej drodze i kto może, rzuca się biegiem przed siebie. Teraz słychać więcej strzałów wokół, ale nikt nic nie widzi, nikt też nie pada ranny.

– Pospieszcie się! Chcą nam odciąć drogę do Chiclany!

Wielu żołnierzy próbuje skrócić sobie drogę przez zarośla, przez pola, lecz muliste przesmyki wodne i błoto w stawach solnych utrudniają marsz. Jakiś porucznik, którego Desfosseux identyfikuje dzięki plakietce na czaku jako oficera 94. oddziału liniowego, próbuje zorganizować posterunek, który zabezpieczyłby wzgórze i chronił uchodźców od tej strony, nikt jednak nie zwraca na niego uwagi. Ktoś nawet grozi mu bronią, kiedy porucznik chwyta go za ramię i próbuje pociągnąć za sobą. Wreszcie, rezygnując z planu, oficer włącza się do ludzkiej rzeki i daje się jej unieść.

– W tym lesie są ludzie – ktoś mówi.

Desfosseux spogląda w tamtą stronę i włos mu się jeży na głowie. Jakiś tuzin jeźdźców pojawił się na zboczu wzgórza, na granicy sosnowego lasu, z którego dalej unosi się dym. Dreszcz niepokoju przebiega przez beładną kolumnę, bo przecież może to być oddział zwiadowczy nieprzyjacielskiej kawalerii. Pada kilka pojedynczych strzałów i sam Desfosseux, przestraszony, już widzi siebie, jak ucieka przed całą falą tnących szabel. Wkrótce ogień ustaje, a Desfosseux stwierdza, że jeźdźcy są konnymi strzelcami z dywizji Dessagne'a, którzy wycofują się w kierunku baterii Santa Ana, eskortując konwój lekkiej artylerii.

Jeśli to nie jest klęska, myśli kapitan, bardzo ją przypomina. Być może to zbyt surowe słowo, aby stosować je do cesarskiego wojska, choć już były okazje po temu. Jeszcze świerzbi wspomnienie Bailen i inne, drobniejsze epizody hiszpańskiej wojny. Napoleońska Francja nie jest niezwyciężona. W każdym razie to jest pierwszy wypadek Desfosseux nad czarne urwiska żołnierskiej chwały: ludzie tracący kontrolę, zbiorowa panika, cały świat, który do wczoraj trwał w ustalonym porządku i dyscyplinie, dziś na granicy ratuj się, kto

może. Jednak pomimo wątpliwości, niezdarnego i pospiesznego kroku, pragnienia, by już poczuć się bezpiecznie w Chiclanie czy jeszcze dalej, kapitan doświadcza dziwnego wrażenia wewnętrznego rozdwojenia, tak jakby pojawił się drugi Simon Desfosseux, bliźniak, który obserwuje wszystko, co się dzieje wokół, spokojnym spojrzeniem. Naukowym. Jego dusza inżyniera jest zafascynowana całym spektaklem, dla niego zupełnie nowym i wielce pouczającym, w którym istota ludzka zdana na siebie samą odrzuca hierarchię społeczną i wojskową, zapewniającą jej bezpieczeństwo, przy ponurym szmerze czającego się w pobliżu nieszczęścia albo śmierci. Ale nie opuszcza go w tych okolicznościach naturalny instynkt, szczególnie sposób patrzenia na świat. Jak by powiedział porucznik Bertoldi, gdyby tu był – na jego szczęście, zapewne ogląda te widoki z wygodnego oddalenia, z Trocadero – Desfosseux to geniusz i wielka figura. Takie automatyczne przyzwyczajenie. Każdy strzał, jaki słychać w pobliżu, każde poruszenie tłumu odważnych mężczyzn, którzy starają się chronić jeden drugiego, sprawia, że zaczyna myśleć o wybuchach i prawdopodobieństwie, o aleatorycznych systemach, liniach prostych strzału i liniach krzywych obiektów ruchomych, uncjach ołowiu wyrzucanych do granicy zasięgu. Nowe pomysły, spojrzenie na sprawy pod nieznanym dotąd kątem. Dlatego można powiedzieć, że teraz idą we dwóch drogą do Chiclany. Jeden pod wpływem strachu idzie, biegnie, niespokojnie oddycha jako element ludzkiego uciekającego stada. Drugi, spokojny, niewzruszony, przygląda się każdemu szczegółowi fascynującego świata rządzonego skomplikowanymi uniwersalnymi regułami.

– Mamy ich za plecami! – krzyczą żołnierze.

Nowy bezpodstawny alarm. Mężczyźni popychają się nawzajem. Teraz pojawia się plotka, że generał Ruffin został zabity albo wzięty do niewoli. Desfosseux zaczyna mieć dość plotek i wybuchów paniki. Na miłość boską, myśli, i zwalnia kroku, opierając się pokusie, żeby zejść z drogi i usiąść. Jeśli coś przekracza granice beznadziejności podczas ucieczki takiej jak ta, to przeraźliwe poczucie śmieszności i osobistego upokorzenia. Profesor fizyki Szkoły Artylerii w Metz, w samej koszuli i bez kapelusza, wlecze się z setkami mężczyzn równie przestraszonych jak i on.

– Panie kapitanie, proszę nie zostawać w tyle – radzi mu wąsaty kapral, idący obok niego.

– Niech mi pan da spokój.

W pobliżu stoi mały budynek. To jeden z tych młynów, gdzie żarna poruszane są przez odpływ i przypływ morza, z domostwem obok. Podchodząc blisko, kapitan zauważa, że gospodarstwo właśnie zostało splądrowane. Rozbite w drzazgi drzwi, podłoga pokryta roztrzaskanymi meblami i świeżymi odpadkami. Kiedy zbliża się jeszcze bardziej, widzi cztery nieruchome ciała na ziemi, przy nich uwiązany jest pies, który rozjuszony wściekle szczeka na przechodzących drogą żołnierzy.

– Partyzanci – komentuje obojętnie kapral.

Kapitan sądzi inaczej. To trzech mężczyzn i kobieta, wyglądają na młynarza i jego rodzinę. Zwłoki są przebite bagnetami, strumyki burej krwi, która jeszcze nie zakrzepła, barwią piaszczystą ziemię. To oczywiście, że uciekający Francuzi tutaj pofolgowali swojemu poczuciu frustracji i wściekłości. Kolejna bezsensowna represja, stwierdza z przykrością, odwracając wzrok. Jedna z wielu.

Pies ciągle szczeka na przechodzących żołnierzy, gwałtownie rwąc się na łańcuchu, którym jest przywiązany do ściany. Prawie nie zatrzymując się, kapral idący obok Desfosseux zdejmuje z ramienia strzelbę, celuje i jednym strzałem zabija psa.

Gregorio Fumagal przyciemnia sobie włosy i bokobrody farbą z mydłami Frasquita Sanlucara. Preparat daje ciemny kolor, lekko rudawy, który pokrywa siwe włosy preparatora, w miarę jak ten nakłada farbę niewielkim pędzlem, bardzo powoli, starając się wszystko dokładnie pomalować. Po skończeniu wyciera twarz i przygląda się rezultatowi w lustrze. Zadowolony. Następnie wychodzi na taras, żeby popatrzeć na pejzaż miasta i zatoki; przez

chwile stoi nieruchomo w słońcu, słuchając odgłosów kanonady, które jeszcze rozbrzmiewają na końcu mierzei, między Sancti Petri a wzniesieniami Chiclany. Jak słyszał, kiedy kupował chleb w piekarni na ulicy Empedradores, generałowie Lapeña i Graham przerwali wczoraj, na kilka godzin, francuski front w wyniku krwawej bitwy toczonej pomiędzy wzgórzem Puerco a plażą Barrosa; jednak z powodu dzielących ich nieporozumień, zawiści i kwestii dotyczących koordynacji i kompetencji wszystko wróciło do poprzedniego stanu. Na nowo ustanowionej linii frontu trwa przeciągający się pojedynek artyleryjski, dzięki czemu Kadyks pozostaje na marginesie tego wszystkiego.

Kiedy włosy wysychają, Gregorio Fumagal schodzi na dół i przegląda się w lustrze. Dziwna jest ta jego kokieteria, mimo że nie ma żadnego życia towarzyskiego. Tak naprawdę wszystko powstaje i umiera w nim, z całkowitą dyskrecją, w jego codziennej rutynie, obejmującej wizyty w gołębniku i preparowanie zwłok zwierząt, co czyni z pełną cierpliwością zręcznością. W jego przypadku ani farbowane włosy, ani reszta osobistej pielęgnacji nie wynikają z pragnienia, jak to się dzieje w przypadku kokietów i strojnisiów, by wyglądać młodo czy pięknie. To raczej sprawa norm. Użytecznej dyscypliny. Preparator jest człowiekiem nadzwyczaj starannym, również względem samego siebie, jego sztywne wymagania obejmują wszystko, począwszy od codziennego golenia po pielęgnację paznokci i dbanie o ubiór, który on sam prasuje lub oddaje do pewnej praczkni na ulicy Campillo. W ogóle nie bierze pod uwagę innej możliwości. U mężczyzn z jego klasy, bez rodziny i przyjaciół, z dala od osądu obcych oczu, który by zawierał ich zalety i wady, własna, osobista i niepodważalna norma stała się dawno temu sposobem przeżycia. Przy braku wiary w jutro albo we własną flagę – flaga tych, którzy stacjonują po drugiej stronie zatoki, jest jedynie przypadkowym sojusznikiem – rutyna, osobiste przyzwyczajenia, ścisłe kodeksy, niemające nic wspólnego z obłudnymi i bezużytecznymi prawami ludzi, są okopem, w którym chroni się Fumagal po to, by przeżyć na wrogim terytorium, gdzie odpoczynek nie istnieje, perspektywy na przyszłość są marne i jedyną pociechę stanowi naśladowanie Natury za pomocą wypełnienia z siana, igły do balsamowania i oczu z masy plastycznej i szkła.

*Gonię za wrogiem, bo oto tej nocy czyn niestłuchany popełnił, jeśli doprawdy on sprawcą, pewności nie mamy, sąd nasz się waha. Więc biegnę za śladem, a tropy jedne rozumiem, inne zbijają mnie z toru i pojąc nie umiem, dokąd prowadzą.*

Ta strofa staje się obsesją Rogelia Tizona. Można powiedzieć, że przed dwudziestoma kilkoma stuleciami Sofokles napisał te słowa, myśląc właśnie o nim. O tym, co teraz czuje. Bardzo ostrożnie policjant przegląda jeszcze raz kartki manuskryptu sporządzonego dużym, starannym pismem – można by rzec: zawodowego skryby – profesora Barrulla. Potem zatrzymuje się nad kolejnym fragmentem, jednym z wielu, jakie sobie zaznaczył, kreśląc ołówkiem krzyżyk na marginesie:

*A teraz zgnębiony ciężką niedolą siedzi spokojnie bez jadła, napoju, wśród zwierząt zabitych krwawym żelazem, widocznie zamiar waży złowrogi.*

Tizón ze złością odkłada rękopis na stół. Fragment o zabitych zwierzętach dobrze pasuje do obrazów, jakie pamięta: dziewczęta z plecami rozdartymi uderzeniami kańczuga w ten sposób, że widać kości. Od ostatniego zabójstwa upłynęło sporo czasu, on jednak nie może przestać o nich myśleć. Pewien chirurg z Królewskiej Floty, dawny znajomy, w którego dyskrecję wierzy bardziej niż tych lekarzy, którzy zazwyczaj współpracują z policją, potwierdził jego podejrzenia: zabójca nie używa zwykłego bicia ze sznurka czy skóry; nie jest to nawet batóg, solidniejszy i bardziej groźny. Tu mamy do czynienia ze specjalnym kańczugiem, zrobionym zapewne z dodatkiem wplecionego drutu. Rzemiosło na służbie zła. Przyrząd zrobiony po to, by zadawać ból. Żeby zdzierać skórę aż do śmierci, wyrywać ciało przy każdym uderzeniu. To oznacza, że zbrodnie popełnione w ten sposób nie były wynikiem nagłego impulsu, czynami spontanicznymi dokonanyymi byle jak, na ulicy. Kimkolwiek jest,



morderca z pewnością nie działa pod wpływem chwilowej emocji. W sposób przemyślany wyszukuje ofiary, wszystko przygotowuje w najdrobniejszych szczegółach. I cieszy go to. Jest wyposażony w sprzęt zadający nadzwyczajny ból, kiedy zabija.

To zbyt trudne, myśli Tizón. Przynajmniej z tym materiałem, jakim dysponuje. Jego zadanie przypomina szukanie igły w stogu siana, miasto wskutek napływu ludzi spowodowanego wojną i francuskim oblężeniem niemal podwoiło liczbę mieszkańców, teraz jest ich już ponad sto tysięcy. Żeby je przetrząsnąć, nie wystarcza rozległa sieć konfidentów, którą – stopniowo i cierpliwie – tka od lat: dziwki, żebracy i cały wachlarz informatorów i agentów. Ma nawet pewnego proboszcza, popularnego spowiednika w kościele Świętego Antoniego, na pensji, którą jest niedostrzeżenie specyficznego sposobu – odkrytego przez Tizona mimo wielkiej tajemnicy – uprawiania apostolatu pośród grzesznych kobiet. Jedni pracują w zamian za pieniądze, bezkarność czy przywileje; inni z chęci wyrównania rachunków z bliźnimi, polityką, światem, którego nienawidzą lub który chcą zawojować. Rogelio Tizón, mając swoje lata i wykonując swój zawód, wie wszystko, co można wiedzieć – a przynajmniej wydaje mu się, że wie – o ciemnych zakamarkach ludzkiej natury, o punkcie, w którym ludzie pękają, upadają, współpracują lub pograżają się na zawsze, o nieskończonym potencjale ludzkiej podłości, który może wykorzystać każdy, jeśli napotka – lub mu się je stworzy – odpowiednie okoliczności.

Komisarz wstaje, zły, i przechodzi przez salon, obrzucając nieuważnym spojrzeniem grzbiety książek stojących na półkach biblioteczki. Wie, że można w nich znaleźć część odpowiedzi, ale nie wszystkie. Nawet w wypłowiałym rękopisie, teraz leżącym na biurku, z krzyżykami postawionymi przy pewnych fragmentach, które są bardziej niepokojące niż odkrywcze. Pytania prowadzące do następnych pytań, wątpliwości, bezsilności. Z tym ostatnim słowem w myśli Tizón przesuwając palcami po zamkniętej od lat klawiaturze pianina, na którym nikt w domu nie gra. To wszystko, co wie, odpowiedzi i pytania bez odpowiedzi, jest niewątpliwie użyteczne w pracy komisarza policji: w Kadyksie, pełnym emigrantów, wojska i ludności cywilnej, trzeba jednak wiedzieć więcej. W zasadzie każdy, kto przybywa do miasta, jest poddawany procesowi sprawdzającemu przed Sądem Terytorialnym, trzeba uwierzytelnić swoje postępowanie, by otrzymać, w odpowiednim przypadku, pozwolenie na pobyt. Jeśli ktoś nie dysponuje wystarczającymi środkami – przekupstwo nie jest na każdą kieszeń, a trudno znaleźć eksperta grafologa, który potwierdzi autentyczność fałszywych dokumentów za mniej niż sto pięćdziesiąt duros – natyka się na ogromne trudności. Dlatego przemysł ludzi, z jego wszystkimi aspektami biurokratycznymi, stał się interesem, w którym mają swój udział kapitanowie statków, urzędnicy, wojskowi i przemysłowcy. Samemu Tizonowi, jako komisarzowi do spraw włóczęgów, próżniaków i ulic, sprawa nie jest obca. Oficjalna taryfa za indult przestępstwa polegającego na nielegalnym wjeździe do miasta wynosi tysiąc reali dla małżeństwa z dziećmi, i jeszcze dwieście, jeśli towarzyszy im służąca. Takie sprawy on załatwia za czwartą część tej sumy. Albo za połowę – choć bywa, że udaje mu się skasować całość – jeśli rzecz ma polegać na odroczeniu albo zaniechaniu egzekucji decyzji o wydaleniu, wydanej przez Regencję. Przecież interesy to interesy. A życie to życie.

Podchodzi do drzwi prowadzących do pozostałych pokoi, uważnie nasłuchując. Panuje zupełna cisza, ale wie, że jest tam jego żona, w tym samym pokoju co zwykle siedzi z zaciśniętymi ustami i spuszczonego wzrokiem, haftuje albo patrzy na ulicę przez żaluzję przy balkonie. Nieruchoma jak zawsze: obojętna niczym Sfinks, milcząca jak duch czyniący wymówki. Różaniec, którego dawniej nie wypuszczała z palców, teraz leży zapomniany w pudełku z Przyborami do szycia. Nie świecą się też lampki przed obrazkiem Jezusa z Nazaretu, ustawionym w szklanej gablotce w korytarzu. Już od dawna nikt się nie modli w tym domu.

Komisarz idzie do okna wychodzącego na Alamedę, skąd ma też rozległy widok na zatokę. W oddali, jakieś dwie mile od Kadyksu, na wprost El Puerto de Santa Maria, dwa

angielskie okręty, eskortowane przez hiszpańskie kanonierki, ostrzeliwują nieprzyjacielski fort Świętej Katarzyny. Gołym okiem można dostrzec dym salw armatnich, niesiony przez bryzę, maleńkie białe piramidy żagli okrętów i łodzi, mijających się z różnych burt podczas manewrów. Można też dostrzec żagle naprzeciwko Roty. Do uważnie nasłuchującego Tizona docierają odległe odgłosy wystrzałów armatnich i odpowiedzi francuskich baterii na lądzie. Z okna nie może patrzeć na południowy wschód od miasta, w tę stronę, gdzie jest stały ląd. Wie tylko tyle co wszyscy – kilka dni temu miała miejsce krwawa bitwa na wzgórzu Puerco – i nie ma pojęcia, jak tam wygląda sytuacja. Mówi się, że bitwy toczą się na całej linii frontu i że w różnych miejscach na wybrzeżu lądują hiszpańscy partyzanci, którzy mszczą pozycje nieprzyjaciela. Tego ranka, kiedy odprowadzał dwóch więźniów do Królewskiego Więzienia, komisarz podszedł do fortu Martires, skąd zobaczył, że w dali za mierzeją i Lwią Wyspą nadal płoną sosnowe lasy w okolicach Chiclany.

Jednak to nie jest jego bitwa. Czy raczej nie czuje, żeby była jego. Rogelio Tizón nigdy nie próbował oszukiwać samego siebie. Wie, że w innych okolicznościach jego zawód postawiłby go w sposób całkiem naturalny po stronie samozwańczego króla z Madrytu, jak to się przydarzyło kolegom po fachu w strefie okupowanej przez Francuzów. Nie z powodów ideologicznych, ale przez zwykły bieg rzeczy. Jest urzędnikiem i jego jedyną ideologią jest przestrzeganie ustalonej hierarchii. Policjant to policjant; każda ustanowiona władza potrzebuje jego usług i doświadczenia. Żadnego systemu nie da się utrzymać w inny sposób. Niezależnie bowiem od idei czy flagi, zawsze stosuje się identyczne metody. Poza tym Tizón lubi swój zawód. Ma do niego talent. Posiada, i jest tego świadomy, właściwą dawkę zawodowej obojętności i braku skrupułów, służbową lojalność, jakiej wymaga ten fach. Urodził się na policjanta i przeszedł wszystkie stopnie w tym rzemiośle: od zwykłego psa po komisarza dysponującego władzą nad życiem, majątkami i wolnością innych. To też nie było łatwe. Nic za darmo. Ale jest zadowolony. Jego poletkiem jest miasto, którego pulsowanie czuje wokół siebie, stare i przewrotne, pełne ludzkich istot. Oni są tworzywem jego pracy. To teren, gdzie eksperymentuje i budzi strach. Źródło jego władzy.

Odchodzi od okna i znów zbliża się do stołu. Jest niespokojny. Miota się, stwierdza, jak zwierzę w klatce. Nie podoba mu się to. Nie tak powinno być. Złość, subtelna i precyzyjna, kłująca jak ostrze sztyletu, w ostatnich czasach torpeduje jego wszystkie zamiary. Rękopis profesora Barrulla ciągle leży na stole jak kpina. *Tropy jedne rozumiem, inne zbijają mnie z toru i pojąć nie umiem, dokąd prowadzą*, znów czyta. Ta linijka jest jak bolesna drzazga, wbita w egoizm Tizona. W zawodowy spokój jego ducha. W ciągu pół roku trzy dziewczyny zabite w identyczny sposób. Na szczęście, jak zauważył przed kilkoma tygodniami gubernator Villavicencio, wojna i francuskie oblężenie utrzymują zbrodnie na wygodnym drugim albo trzecim planie. To jednak nie osłabia odczuwanego przez komisarza niesmaku: dziwnego wstydu, który trawi go od środka za każdym razem, gdy tylko o tym pomyśli. Kiedy przygląda się milczącemu pianinu w pokoju i oblicza, że zabite dziewczyny są w takim wieku, albo prawie, w jakim dziś byłaby dziewczynka, która niegdyś wydobywała z niego dźwięki, uderzając w klawisze.

Czuje pulsowanie głuchej złości. Bezsilność, oto właściwe słowo. Zadra wcześniej nieznana, głęboka nienawiść, która jak mróz ścina każdy kolejny dzień, co stoi w sprzeczności z jego chłodnym sposobem pojmowania swojego zawodu. Gdzieś w pobliżu, pośród pozbawionego twarzy tłumu – *siedzi spokojnie wśród zwierząt zabitych krwawym żelazem* – jest człowiek, który zakatował na śmierć trzy dziewczyny. Za każdym razem, kiedy komisarz wychodzi na ulicę, spogląda w jedną i drugą stronę, śledzi wzrokiem przypadkowo wybrane osoby poruszające się w tłumie i zawsze dochodzi do wniosku, że to może być każdy. Odwiedził miejsca, gdzie spadły francuskie bomby, sprawdził każdy szczegół, przesłuchał sąsiadów w kolejnych bezowocnych próbach, by nieuchwytnie przeczucie, bezsensowne podejrzenie, którego nie może się pozbyć, zmieniło się we wskazówkę, pomysł,

w coś, co powiązałoby w całość intuicję, fakty i konkretne osoby. Wypatruje na twarzach śladu zbrodni, choć jego doświadczenie mówi mu, że nie ma zewnętrznych oznak pozwalających rozpoznać złoczyńcę, a okrucieństwa – tego dokonanego na dziewczynach i każdego innego – może dopuścić się byle przechodzień. Rzecz nie polega na tym, że świat pełen jest niewiniątek, przeciwnie, zaludniony jest osobnikami zdolnymi do wszystkiego, co najgorsze. Podstawowym problemem każdego dobrego policjanta jest przypisanie odpowiedniej osobie dokładnego poziomu nikczemności albo odpowiedzialności za zło spowodowane lub dające się spowodować. Tym właśnie – i niczym innym – jest sprawiedliwość. Tak rozumie ją Rogelio Tizón. Obciążyć każdego człowieka jego indywidualną kwotą winy i kazać mu ją zapłacić, jeśli to możliwe. Bez litości.

– Idziemy! W tył, powoli! Ruszajcie, idziemy!

Słyszając głos, Felipe Mojarra kończy ładowanie muszkietu, przesuwając stempel wzdłuż lufy i umieszcza go pod nią, patrzy w lewo i w prawo. Pora, żeby zniknąć, potwierdza. Warzelnicy soli i piechota morska tworzą oddział zgrupowany wokół młyna w Montecorto zaczynają się cofać, pochyleni, zatrzymując się od czasu do czasu, żeby wycelować i strzelić w kierunku niewielkich obłoków dymu z muszkietów, które pojawiają się nad pobliską linią Francuzów.

– Wycofujcie się do łodzi, spokojnie, bez pośpiechu. Krok po kroku.

Pak! Kula unosi piasek na skarpie pomiędzy szparagami. Mojarra nie zatrzymuje się, żeby sprawdzić, skąd do niego strzelano, ale liczy, że pierwsi nieprzyjacielscy strzelcy mogą być o niecałe pięćdziesiąt kroków. Żeby nadal trzymali głowę przy ziemi, na chwilę wstaje, mierzy i naciska spust. Potem szuka następnego naboju w swoim pasie, przegryza woskowany papier, wkłada kulę i wysypuje proch, i znów ugniata wszystko stemplem, a cały czas idzie w tył, chlupocząc w błocie, przeciekającym przez palce jego bosych stóp. Następną kulę, tym razem jeszcze bardziej niecelną, robi ziaaang nad jego głową. Słońce jest już wysoko i jak brylanty błyszczą maleńkie kałuże z białymi skorupkami, chrupiące kryształki soli pokrywające brzegi kanalików i schnących stawów. W jednym z nich, zanurzone w przybrzeżnym błocie, nadal leżą zwłoki Francuzów, które widział o pierwszym brzasku, wkrótce po wyładowaniu. Jest ich dwóch. Przechodził obok, kiedy dostali – on i jego towarzysze – rozkaz rozwinięcia tyraliery wokół właśnie zdobytej placówki, by następnie tam się usadowić i zapobiec kontratakowi wroga, podczas gdy saperzy burzyli przedpiersia fortu i chałupy w Montecorto, niszczyli francuskie działa i wszystko podpalali.

Felipe Mojarra bierze dzisiaj udział w trzecim już ataku od czasu bitwy wokół Chiclany. O ile wie, po tym, jak Francuzi odzyskali swoje pozycje, nastąpiło wiele wypadów hiszpańskich i angielskich wzdłuż całego frontu. Obejmuje to również ciągłe nękanie wroga w kanałach i na wybrzeżu, od Sancti Petri aż po Trocadero i Rotę, odbitą przed trzema dniami przez siły hiszpańskie, które zanim odplynęły bez żadnych strat, zniszczyły przedpiersia, wrzuciły do wody nieprzyjacielską artylerię i przekonały ludność do poparcia króla Ferdynanda VII. Krążą jednak plotki, że bitwa na wzgórzu Puerco nie była tak szczęśliwa, jak się opowiada, choć Anglicy walczyli przyzwoicie i wytrwale, tak jak zazwyczaj, i że generał Graham, oburzony zachowaniem swojego kolegi Lapeña podczas akcji, ma spore zastrzeżenia do Hiszpanów i odmawia przyjęcia tytułu hrabiego, księcia czy markiza – w temacie tytułów Mojarra nie czuje się zbyt pewnie – Puerco, jaki Kortezy chcą mu nadać; niektórzy mówią, że odmawia przez zatarg z Lapeña, a inni utrzymują, że ktoś mu przetłumaczył nazwę wzgórza<sup>3</sup>. W każdym razie tarcia pomiędzy jednymi a drugimi zdarzają się często: Hiszpanie zarzucają swoim aliantom arogancję, Anglicy zaś mają za złe brak dyscypliny sojuszników, i obie strony nie są bez racji. Felipe Mojarra doświadczył tego tydzień wcześniej na własnej skórze. Podczas jednego z wypadów, przewidzianego na dziewiątą rano, którego celem był atak na

---

<sup>3</sup> *Puerco* (hiszp.) – wieprz, świnia.

francuską baterię przy Coto, pół kompanii angielskiej piechoty morskiej z ośmioma warzelnikami w roli przewodników wylądowało i przez blisko trzy godziny walczyło samotnie, bo hiszpański oddział – siedemdziesięciu ludzi z regimentu z Malagi – nie pojawił się aż do południa, kiedy Anglicy zarządzili odwrót. Sam Mojarra przeklinał i zapierał się rodaków, kiedy niósł do łodzi angielskiego oficera, któremu francuska kula urwała pół ręki. Ocalał go głównie dlatego, że przed akcją ten karmazyn – na wyspie tak się przeżywa Anglików z powodu ich czerwonych kurtek – odnosił się do przewodników ze straszliwą pogardą i choć mówił tylko w swoim języku, wszystko się rozumiało. Mojarra chciał więc, żeby w przyszłości za każdym razem, kiedy Anglik spojrzy na swój kikut, o ile przeżyje, musiał sobie przypomnieć jego, brudnego spaniarda, któremu zawdzięcza ocalenie swojej rudej głowy.

Oba ciała Francuzów leżą tuż obok siebie, niemal jedno na drugim, a ich krew zabarwiła na czerwono pokryte solą brzegi stawu. Mojarra nie wie, kto ich zastrzelił, ale sądzi, że są to dwaj wartownicy zabici w pierwszych chwilach ataku, kiedy pięćdziesięciu czterech hiszpańskich marynarzy i piechurów morskich, dwunastu saperów z Armii i dwudziestu dwóch warzelników przyplłynęło na łodziach kanałem Borriquera, dostając się pod osłoną nocy w głąb terenu zajętego przez wroga. Jeden z zabitych jest szpakowaty i pół twarzy ma zanurzone w błocie, a drugi, o ciemnej cerze, z typowymi francuskimi wąsami, jest oparty plecami o swojego towarzysza i ma wyrwane oczy, usta i pół twarzy przez kulę, która go zabiła. Warzelnik dostrzega, że ktoś zabrał strzelby i lederwerki z ładownicami i szablami, zostawił jednak złote kolczyki, którymi Francuzi często ozdabiają sobie uszy. Felipe Mojarra szanuje nieboszczyków, ale w granicach rozsądku. W innych okolicznościach ostrożnie odpiąłby kolczyki, uważając, by nie rozerwać małżowiny, nie użyłby też noża, jak to czynią inni. Nie jest gruboskórny, ale jest chrześcijaninem. Chwila, kiedy razem z innymi wycofuje się do głównego kanału, a Francuzi są tuż obok, nie sprzyja subtelnościom. A zatem załatwia sprawę dwoma silnymi szarpnięciami, zawija kolczyki w chustkę i wszystko wkłada za pas. Spocony grenadier z oddziału piechoty morskiej przybiega pochylony, zatrzymuje się, żeby złapać oddech, i widzi, jak Mojarra kończy całą operację.

– Cholerny świat – mówi grenadier. – Byłeś szybszy, kolego.

Nie odpowiadając, Mojarra bierze muszkiet i odchodzi, pozostawia tamtego zajętego pospiesznym przetrząsaniem kieszeni i oglądaniem zawartości ust w poszukiwaniu złotych zębów, które można byłoby wybić kolbą. Przedzierając się przez krzaki tworzące niską roślinność salin, reszta Hiszpanów wycofuje się wzdłuż odnog głównego kanału, przez bagienne tereny zalewowe, charakterystyczne dla okolic Montecorto. Mojarra dostrzega, że przy brzegu dymią płonące szopy i chaty przy młynie i że spora część hiszpańskich oddziałów już wsiadła do łodzi osłanianych ogniem z dwóch barek stojących w Gallineras, ostrzeliwujących z przerwami pozycje francuskie. Fala po wystrzale armatnim dociera do Mojarry jako uderzenie powietrza w pierś i w bębunki w uszach. Wydaje się, że po stronie hiszpańskiej nie ma strat poza kilkoma rannymi, którzy posuwają się o własnych siłach. Razem z nimi idą dwaj francuscy jeńcy.

– Uwaga! – ktoś krzyczy.

Francuski granat robi raaaas i wybucha w powietrzu, zasypując odłamkami cały kanał. Większość ludzi – między nimi i Mojarra – kuli się w łodziach i na brzegu, słysząc wybuch, ale niewielka grupa oficerów obok niskiego muru z kamienia i gliny nadal stoi wyprostowana, zachowując żołnierską godność. Warzelnik rozpoznaje między nimi don Lorenza Viruesa, jak zawsze w niebieskiej kurtce z fioletowymi wyłogami, w kapeluszu z czerwoną rozetą i z nieodłączną skórzaną torbą zawieszoną na plecach. Kapitan wojsk inżynieryjnych wylądował wcześniej, razem z siłami dokonującymi wypadu, po to, by obejrzeć fortyfikacje wroga – Mojarra wyobraża sobie, że robił też swoje notatki – zanim saperzy nie przerobili ich na kaszę.

– Coś takiego, Felipe! – Virues zdaje się cieszyć widokiem warzelnika. – Dobrze, że widzę cię całego i zdrowego. Co tam słyhać w okolicy?

Mojarra dłubie sobie w zębach. Żeby ugasić pragnienie, gryzł koper – wylądowali na terenie wroga bez wody i pożywienia – i kawałek łydgi wbił mu się w dziąsło.

– Nic specjalnego, don Lorenzo. Mesje odstępują, ale powoli. Nasi wycofują się w porządku... Czy może czegoś pan sobie życzy?

– Nie. Zaraz odpływam, razem z tymi panami. Wracaj do swoich towarzyszy. Tu wszystko już zostało zrobione.

Mojarra uśmiecha się szczerze.

– Ma pan jakieś ładne rysunki, kapitanie?

– Tak, kilka. – Virues odpowiada z uśmiechem. – Udało mi się parę zrobić.

Warzelnik unosi palec do prawej brwi, naśladując z szacunkiem gest wojskowego salutowania. Potem spluwa śliną z kawałkiem kopru i spokojnie kroczy w kierunku łodzi. Misja wypełniona: jeszcze jedna więcej. Jego wysokość król, czy jest we Francji uwięziony, czy gdzie tam, na pewno będzie z niego zadowolony. Żeby nie było, że nic nie robił. W tym momencie ktoś przebiega blisko niego. Jest to podoficer Floty, z dwoma pistoletami za pasem, w starej kurtce pocerowanej na łokciach. Bardzo się spieszy.

– Żwawo! Ruszamy! Zaraz wybuchnie!

Zanim Mojarra zdoła odgadnąć, o co mu chodzi, z tyłu słyhać odgłos potężnego wybuchu, a fala uderzeniowa eksplozji uderza go tak, jakby zainkasował solidny cios w plecy. Odwraca się, żeby spojrzeć, zaskoczony i przestraszony, i widzi, że na łodzi unosi się ogromny grzyb czarnego dymu, od którego odrywają się, opadając na wszystkie strony, kawałki płonących desek i bali. Saperzy wysadzili właśnie francuską prochownię w Montecorto.

Wschodni wiatr zwiewa dym w kierunku kanału i pokrywa nim ostatnich odpływających. Mojarra, ściśnięty na jednej z łodzi pośród swoich towarzyszy, czuje w powietrzu zapach siarki, od którego zbiera mu się na wymioty. Ale on już od bardzo dawna nie wymiotuje.

Jest niedziela i piękny dzwon na kościele Świętego Antoniego ogłasza koniec południowej mszy. Siedząc przy stoliku obok wejścia do cukierni Burnela, pod pomalowanymi na zielono żelaznymi balustradami balkonów, preparator Gregorio Fumagal pije szklankę letniego mleka, patrząc na wiernych, którzy wychodzą z kościoła i rozpraszają się między marmurowymi ławeczkami i rosnącymi na klombach drzewkami pomarańczowymi lub powoli zmierzają ku otwartej przestrzeni z jednego końca placu, gdzie czeka kilka powozów i lekyk. Te ostatnie są przeznaczone dla pań i starszych ludzi, bo dzień jest przyjemny i większość osób wybiera spacer w kierunku ulicy Ancha lub Alamedy. Jak każdej niedzieli o tej porze są tu wszyscy, którzy się liczą w mieście, i ci, którzy chcieliby się liczyć: szlachta, najbogatsi kupcy i dobre towarzystwo, ważni emigranci, Armia, Królewska Flota i lokalna milicja. Plac jest miejscem parady wyszywanych mundurów, gwiazdek, pasów i galonów, jedwabnych pończoch, surdutów i fraków, okrągłych kapeluszy z wysoką główką lub szerokim rondem, ale też tradycyjnych kurt, peleryn, kapeluszy dwurogich, a czasem trójgraniastych, bo pośród osób wiekowych nie brakuje takich, które ubierają się po staremu. Nawet mali chłopcy idą rzędem, zgodnie z duchem czasu, w kompletnych mundurach oficerskich – zależnie od zawodu lub kaprysu rodziców – łącznie z kurtkami, kordelasami i kapeluszami z czerwonymi rozetami, które zgodnie z ostatnią modą ozdobione są monogramem FVII, ku czci króla Ferdynanda.

Preparator ma swoje poglądy na temat widowiska, jakiego jest świadkiem. Jest człowiekiem nauki i książek, a przynajmniej sam się za takiego uważa. Przez to jego spojrzenie – analityczne, zimne jak zwierzęta w jego pracowni – pozbawione jest wszelkiej życzliwości. Gołębie, które latając z jego tarasu, tkają lub pomagają tkąć, sieć linii prostych i krzywych na

mapie miasta, stoją w opozycji do tych wszystkich bażantów i pawi, które rozwijają swoje ogony, czując się jak ryba w wodzie w nikczemności ich zepsutego świata, przestarzałego i skazanego na zagładę przez nieodwołalny bieg Natury i Historii. Gregorio Fumagal jest pewien, że nawet Kortezy obradujące u Świętego Filipa Neri niczego nie zmieniają. Bo przyszła ustawa zasadnicza, w dużej części przygotowywana przez przedstawicieli kleru – połowa deputowanych to księża – i przez szlachtę, uzależnioną od dawnej władzy lub z niej się wywodzącą, nie będzie tą miotłą, która wymiecie całe zło. Idąc tą drogą, z konstytucją czy bez niej, w przebraniu czy nie, Hiszpan zawsze będzie niewolnikiem, człowiekiem niższej kategorii, pozbawionym duszy, prawości i rozsądku, bo jego nieludscy nadzorcy i kaci nigdy nie pozwolą mu ujrzeć światła. Będzie nieszczęśliwym bezmiernie poddanym ludziami takim samym jak on, w których jego głupota, nieudolność i przesady każą mu widnieć pomazańców wyższego porządku: bogów na ziemi w gronostajach, purpurze, czerni sutann i kap, którzy zawsze wykorzystywali błędy człowieka, wszędzie pod słońcem, pod każdą długością i szerokością geograficzną, żeby go zniewolić, zepsuć i uczynić występny, zniszczyć jego odwagę i dzielność. Fumagal, czytelnik lektur cudzoziemskich i zaangażowanych – jego mentorem jest baron Holbach, alias Mirabaud, odkąd dwadzieścia lat temu wpadła mu w ręce francuska edycja *Systemu przyrody* – uważa, że Hiszpania w swoim czasie straciła szansę na gilotyne: strumień krwi, który mógłby oczyścić, zgodnie z powszechnymi prawami, zatęchłe stajnie tej ziemi z ludzi nieokrzesanych i nędznych, podporządkowanych fanatycznym księżom i zdegenerowanym, ograniczonym królom. Ale jest przekonany, że jeszcze można otworzyć okna, aby dotarło tutaj światło i powietrze. Taka szansa znajduje się tuż obok, po drugiej stronie zatoki, pod znakiem cesarskiego orła, z którego dumnych szponów giną czarne armie, trzymające jeszcze w okowach część Europy.

Fumagal moczy usta, zamyślony, w szklance koziego mleka. Kilka kobiet w towarzystwie swoich mężów – wszystkie z różańcami i książeczkami do nabożeństwa oprawionymi w masę perłową lub delikatną skórę – zatrzymuje się przed cukiernią. Podczas kiedy panowie stoją, zapalają cygara, nakręcają zegarki, pozdrawiają znajomych i patrzą na inne przechodzące kobiety, ich żony wchodzą do środka, siadają przy wolnych stolikach, zamawiają napoje i ciasteczka i rozmawiają o swoich sprawach: weselach, narodzinach, chrztach, pogrzebach. Wszelkie domowe tematy. Albo towarzyskie.

Nawet się nie wspomina wprost wojny, poza skargami na wysokie ceny tych czy innych towarów lub na brak lodu – przed francuską okupacją był przywożony wozami z Rondy – do chłodzenia napojów. Fumagal spogląda na nie ukradkiem z głęboką niechęcią. Ten rodzaj pogardy od dawna odsuwa go nieodwołalnie od normalnego życia innych ludzi: całkiem fizyczny niesmak, który teraz sprawia, że zaczyna się kręcić na swoim krześle. Niemal wszystkie ubrane są na czarno albo w ciemne barwy, żywe kolory noszą tylko na rękawiczkach, torebkach i wachlarzach, koronkowe mantylki przysłaniają koki, pukle, upięcia i loki. Niektóre, zgodnie z modą, mają na rękawach rzędy guzików od łokcia do nadgarstka. Kobiety z niższych klas noszą mosiężne guziki, pomalowane na złoto; te tutaj są jednak ze złota i brylantów, podobnie jak guziki przy kamizelkach ich mężów. Każdy z takich guzików, szacuje Fumagal, kosztuje co najmniej dwieście peso.

– Co to takiego? – pyta jedna z pań, prosząc resztę przyjaciółek o ciszę.

– Nic nie słyszę, Piedito – stwierdza inna.

– Nic nie mów i posłuchaj. Gdzieś daleko.

Głuchy, mocny odgłos z bardzo daleka dociera do lichtarzy w cukierni. Panie i ich mężowie, podobnie jak reszta przechodniów, patrzą z niepokojem w kierunku rogu ulicy Murguia, gdzie znajduje się kawiarnia Apollo. Na chwilę wszyscy przerywają rozmowy, starając się ustalić, czy to rutynowa kanonada, jedna z tych, jakie każdego dnia wymieniają między sobą Puntales i Trocadero, czy też artyleria francuska – która po wydarzeniach w

Chiclanie wróciła na dawne miejsce i znów celuje w zabudowania miejskie Kadyksu – śle kolejne bomby, które próbują dotrzeć do centrum.

– Nic się nie stało – przerywa ciszę doña Piedita, znowu zajadając ciasteczka.

Z lodowatą urazą preparator spogląda na wschód. Z tej strony, myśli, pewnego dnia nadejdzie płomienny wiatr, który wszystko ustawi we właściwym porządku: ognisty miecz nauki, który posuwa się powoli, rozsiewając płonące czerwone punkciki w mieście uparcie stojącym na marginesie Historii. Ogień nauki dotrze i na ten plac. Jest tego pewien i po to działa, ryzykując życie. Bo potrzebny jest klucz do przyszłego świata. Ogień pojawi się wcześniej czy później, ogarnie tę całą nierzeczywistość, zaludnioną istotami od dawna już nierzeczywistymi. Ten pełen ropy wrzód, który z całej siły domaga się noża chirurga. Ten ślepy klin, który blokuje koło postępu i rozumu.

Panie, znów zajęte paplaniną, osłaniają twarze od słońca otwartymi wachlarzami. Kiedy Fumagał ukradkiem się im przygląda, na jego twarzy pojawia się mimowolnie okrutny uśmiech. Po chwili zdaje sobie z tego sprawę i maskuje twarz kolejnym łykiem mleka. Spadną bomby na te guziki ze złota i diamentów, cieszy się. Na jedwabne szale, wachlarze, atlasowe buciki. Spadną skręcone odłamki pocisków.

Głupie zwierzęta, mówi w myślach. Próżne, chore odpadki świata, od samego urodzenia zarażone błędem. Chciałby zabrać którąkolwiek z nich do siebie jako szczególne trofeum pośród innych, bardziej konwencjonalnych egzemplarzy, jakie zdobią jego dom, łącznie z bezdomnym psem, jego ostatnim, całkiem zadowolającym dziełem, stojącym teraz na czterech łapach i patrzącym w pustkę lśnącymi szklanymi oczami. I tam, w przytulnym, chłodnym półmroku pracowni, preparowałby tę nagą kobietę na swoim marmurowym stole.

Myśląc o tym, preparator doznaje niespodziewanej erekcji – ma na sobie wąskie spodnie z dzianiny, rozpięty surdut i okrągły kapelusz – co chcąc zamaskować, jest zmuszony do zmiany pozycji i założenia nogi na nogę. Bo w sumie, stwierdza, wolność człowieka nie jest niczym innym jak poskramianiem wewnętrznych potrzeb.

Gwar rozmów. Bez muzyki, bo trwa Wielki Post. Poza tym pałacyk, wynajęty przez angielskiego ambasadora na przyjęcie – recepcja, takiej dyskretnej nazwy używa się ze względu na czas – lśni blaskiem kandelabrow, srebra i delikatnych kryształów pośród bukietów kwiatów, pod rozświetlonymi zyrandolami u sufitu. Świętuje się angielsko-hiszpański sukces na wzgórzu Puerco, choć mówi się też, że jest to dyplomatyczny zabieg, by załagodzić napięcie między aliantami po utarczce generała Grahama z generałem Lapeña. Taki też właśnie może być powód, dla którego ambasador Wellesley nie urządza przyjęcia w swojej rezydencji przy ulicy Amargura, ale na neutralnym terenie, płacąc za wynajem – a te szczegóły bardzo interesują wszystkich w Kadyksie – piętnaście tysięcy reali, które właśnie zainkasowała Regencja; budynek jest własnością markiza Mazatlan i został zajęty, ponieważ jego dawny pan przysiągł wierność najeźdźcy, Józefowi Bonaparte. Co do potraw i napojów, nie są specjalnie wyszukane: hiszpańskie i portugalskie wina, angielski poncz, którego nie próbuje nikt poza Brytyjczykami, przekąski z ryby, owoce, zimne napoje. Ogromne koszty pochłonęło woskowe i olejne oświetlenie, cały dom olśniewa od schodów aż po salony. Na ulicy, gdzie gości przyjmuje służba w liberiach, świecą latarnie i płoną pochodnie, podobnie jest na tarasie, którego balustrada, z pałacymi się świecami, wychodzi na pasaż wzdłuż murów obronnych i na ciemność zatoki, z nielicznymi światłami w El Puerto de Santa Maria, Puerto Real i Trocadero.

– Przyszła wdowa po pułkowniku Ortedze.

– Bardziej niż na wdowę po pułkowniku wygląda na kochankę sierżanta.

Cała grupka wybucha śmiechem, który kobiety maskują wachlarzami. Autorem żartu jest, jak zwykle, kuzyn Toño. Zajmuje centralne miejsce na kanapie otoczonej krzesłami i taboretami, obok wielkich przeszklonych drzwi na taras, Lolita Palma siedzi tam pośród

innych kobiet. Razem jakieś pół tuzina pań i panien. Towarzyszy im kilku panów, którzy stoją z kieliszkami i cygarami w rękach, w ciemnych frakach, w białych krawatach lub koronkowych żabotach, odsłaniając kamizelki, zgodnie z ostatnią modą. Jest tam również dwóch hiszpańskich wojskowych w galowych mundurach i młody deputowany do Kortezów Jorge Fernandez Cuchillero, delegat z Buenos Aires, przyjaciel rodziny Palma.

– Nie bądź niedobry. – Lolita karci czule kuzyna Toño, pociągając go za rękaw.

– Przecież tylko po to ze mną siadacie – ten odpowiada, swobodnie żartując. – Żebym właśnie był niedobry.

Kuzyn Toño – Antonio Cardenal Ugarte – jest starym kawalerem, od zawsze w świetnych stosunkach z rodziną Palma, kultywującym od lat niemal codzienny rytuał popołudniowych wizyt w domu Lolity i jej matki, będących miłą przyprawą każdego dania, po których poziom wina w każdej postawionej przed nim butelce spada poniżej stanu krytycznego. Jest też stałym bywalcem kawiarni w mieście, bardzo wysoki i pozbawiony wdzięku, trochę krótkowzrostny, lekko już brzuchaty, ubiera się z miłą niedbałością: zazwyczaj ma przekrzywione okulary na nosie, krawat zawiązany byle jak i kamizelkę pobrudzoną popiołem z hawańskiego cygara. Stan jego finansów jest zadowalający, choć nie pracował nigdy w życiu: nie wstaje nigdy przed południem i żyje ze środków pochodzących z pewnych dóbr, jakie posiada w Hawanie, których napływ, mimo wojny, nigdy nie został przerwany. Poza tym niezajmujący się polityką kuzyn Toño jest zaprzyjaźniony ze wszystkimi. Zawsze dowcipny i bystry, jego niezmiennie dobry humor sprawia, że staje się duszą każdego towarzystwa, w jakim się znajdzie. Posiada nadzwyczajną łatwość gromadzenia wokół siebie młodzieży, najpiękniejszych kobiet i najdowcipniejszych pań; przy każdej okazji towarzyskiej, jakkolwiek poważna by była, grupka, w której się znajduje, zawsze zwraca powszechną uwagę przez swoją wesołość i gwar.

– Nie próbuj niczego z tych tac, moja mała. Same okropności. Nasz sprzymierzeniec Wellesley wydał wszystko na świecę: dużo blasku, niewiele konkretów.

Lolita Palma, zgorszona, kładzie mu palec na ustach, spoglądając ukradkiem na angielskiego ambasadora. Ubrany w żakiet z fioletowego aksamitu, pończochy z czarnego jedwabiu i buty z dużymi srebrnymi klamrami brat generała Wellingtona wita gości w drzwiach do salonu. Towarzyszy mu kilku oficerów w czerwonych kurtkach i kilku innych w niebieskich mundurach z galonami brytyjskiej marynarki. Między nimi stoi także wyniosły, o surowym obliczu, czerwony jak gotowana krewetka generał Graham. Bohater ze wzgórza Puerco.

– Nie mów tak głośno, bo cię usłyszą.

– A niech mnie słyszą, do licha. Zagłodzą nas na śmierć.

– Myślałem, że o to starają się Francuzi, czyż nie? – pyta z rozbawieniem jeden z mężczyzn. To wojskowy okazałej postury, wyróżniający się na Lwiej Wyspie. Lolita zna go ze spotkań towarzyskich, na które czasami przychodzi do swojej matki chrestnej, doñi Conchity Solis. Oficer jest jej bratankiem. Nazywa się Lorenzo Virues. Z Hueski. Kapitan wojsk inżynieryjnych.

– Żadni Francuzi, skądże – pokpiwa sobie kuzyn Toño. – Patrząc na te przekąski, nie mam wątpliwości: nasz wróg jest tutaj, na miejscu.

Kolejne śmiechy. Kuzyn Toño rzuca jeden dowcip za drugim, a jego śmiech – dźwięczny jak śmiech dziecka – dudni w całym rogu salonu. Poza nim najgłośniej się śmieje, potrząsając lokami, Curra Vilches, najlepsza przyjaciółka Lolity Palmy: drobna, ładna, zaokrąglona, choć o dobrej figurze, którą tej nocy podkreśla tureckim szalem przewiązanym na biuście tuniki z jedwabnej krepy. Wyszła za mąż za kadyksańskiego kupca o wysokiej pozycji, który często podróżuje i pozostawia żonie swobodę towarzyską, jest kobietą o niespożytych zasobach energii i wesołości i świetnie rozumie się z kuzynem Toño. Znają się z Lolitą od dziecka: łączy je wspólna nauka w akademii dla panien doñi Rity Norris i razem spędzane letnie



wakacje w Chiclanie, między lasami sosnowymi i morzem. I wzajemne zwierzenia, lojalność i bezgraniczna serdeczność.

– Jeszcze się pani czegoś napije? – proponuje kapitan Virues.

– Tak, jeśli pan taki miły, proszę lemoniadę.

Wojskowy oddała się, szukając kelnera, a tymczasem kuzyn Toño objaśnia damom, dlaczego inkwizycja – której likwidacja dyskutowana jest w tych dniach przez Kortezy – sprzeciwia się stosowaniu rozporka w męskich spodniach, uznając go za niemoralny, i popiera, jako przywoitszą, klapkę z dwoma rzędami guzików.

– Ja sam, jak panie widzą, ten nakaz wypełniam bez mrugnięcia. No bo, drogie panie, dlaczego miałbym się skazywać na wieczne potępienie z powodu czterech guzików?

Uwaga, jak zwykle zabawna i błyskotliwa, wywołuje nowe śmiechy i ruchy wachlarzy. Rozpromieniona Lolita Palma rozgląda się wokół. Widzi kilka kościelnych sutann. Grupa mężczyzn, bez kobiet, rozmawia przy jednym ze stołów. Lolita zna ich niemal wszystkich. W większości są to ludzie młodzi, należą do grupy reformatorów, która zaczyna być znana jako liberalna, wśród nich jest kilku deputowanych do Kortezów: słynny Argüelles, przywódca całego klanu, i Jose Maria Queipo de Liano, hrabia Toreno, który choć właściwie jest jeszcze chłopcem, został posłem z Asturii. Towarzyszą im literat Quintana, poeta Francisco Martinez de la Rosa – przystojny, o wielkich oczach i wyglądzie Cygana, młody Antoñete Alcalá Galiano, syn brygadiera zabitego pod Trafalgarem, Lolita zna go jeszcze z dzieciństwa, oraz Angel Saavedra, książe Rivas: kapitan, który przyciąga spojrzenia kobiet nie tylko z powodu urody dwudziestolatka, sznurów sztabu głównego zdobiących jego kurtkę i eleganckich rosyjskich wysokich butów w stylu Suworowa, ale też dlatego, że swojego czasu został ciężko ranny podczas bitwy pod Ocaña, a teraz ma zabandażowane czoło z powodu ciosu bagnetem, jaki mu zadano w walkach pod Chiclaną. W innej grupce w otoczeniu oficerów i adiutantów stoją gubernator Villavicencio, generał Cayetano Valdes, dowódca lekkiej floty w zatoce, oraz generałowie Blake i Castellanos, natomiast generała Lapeñi, ostatnio ostro rozsierzonego na Anglików, nigdzie nie widać. Pomiędzy pozostałymi mundurami odznaczają się barwnością wolontariusze, obciążeni haftami i sznurami w proporcji odwrotnej do ich zaangażowania na wojennym froncie. Wśród kobiet łatwo można odróżnić rodowite mieszkanki Kadyksu od obcych arystokratek i zamożnych dam, które ubierają się jeszcze w stylu francuskim, z podniesionym stanem; te pierwsze noszą się z angielską, z przysłoniętymi dekolantami i w spokojniejszych barwach. Niektóre starsze imigrantki mają jeszcze włosy skręcone w loki na czole, przycięte na karku, według mody nazywanej gilotynową, która dawno już tu minęła.

Lolita jak zwykle ubrana jest dyskretnie. Tego wieczoru zrezygnowała z codziennych czerni i szarości na rzecz niebieskiej sukni z obcisłym gorsetem, nisko odciętej, na ramiona narzuciła mantylkę ze złotej koronki, włosy upięła dwoma niewielkimi srebrnymi grzebieniami. Jej jedynym klejnotem jest dzisiaj rodzinna kamea w cienkiej złotej oprawie na szyi. Prawie nigdy nie uczestniczy w takich przyjęciach, chyba że może to mieć wpływ na jej interesy. I to jest właśnie ten przypadek. Zaproszenie angielskiego ambasadora pojawiło się w chwili, kiedy firma Palma i Synowie stara się zdobyć kontrakt na dostawy marokańskiej wołowniny dla brytyjskiego wojska. Należało się tu pokazać, jednak zamierza wcześniej się pożegnać.

Wraca kapitan Virues, za nim postępuje służący z lemoniadą na tacy. Fernandez Cuchillero, który niedawno dostał list od rodziny z Buenos Aires, opowiada, jak mają się rzeczy nad La Platą, gdzie powstańcze władze odmawiają dalszego uznawania zwierzchnictwa Regencji. Lolita bierze do ręki szklanekę, dziękuje wojskowemu za uprzejmość i wtedy, ku swemu zaskoczeniu, widzi, że do salonu wchodzi don Emilio Sanchez Guinea, w towarzystwie syna Miguela oraz marynarza o nazwisku Lobo: obaj handlowcy w ciemnych frakach, korsarz w kurtce z granatowego sukna ze złotymi guzikami i w białych spodniach. Obecność tego ostatniego lekko ją drażni, zresztą nie po raz pierwszy. Nie

pojmuje, dlaczego panowie Sanchez Guinea przyprowadzili go tu dzisiaj. Przecież jest tylko współnikiem mniejszościowym, podwładnym. Pracownikiem ich wszystkich. Nikim więcej.

– No proszę – komentuje kapitan Virues, który spojrział w kierunku, gdzie patrzy Lolita. – Kogo my tu mamy. Człowieka z Gibraltaru.

Lolita odwraca się do wojskowego zdumiona.

– Zna go pan?

– Trochę.

– Dlaczego z Gibraltaru?

Virues zwleka kilka chwil z odpowiedzią. Kiedy wreszcie to robi, uśmiecha się dziwnie.

– Byliśmy tam obaj uwięzieni, w tysiąc osiemset szóstym.

– Razem?

– Nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego.

Lolita Palma zauważa pogardliwy ton tego komentarza, nie chce jednak być niedyskretna ani okazywać zbytniego zainteresowania. Virues dołączył do ogólnej rozmowy. Siedząc na kanapie, Lolita widzi, że Sanchez Guinea wita się z ambasadorem i kilkoma gośćmi, a potem, kiedy ją dostrzeżga, zmierza w jej stronę, przechodząc przez cały salon. Jego syn Miguel i korsarz idą kilka kroków za nim. Z jakiejś przyczyny, którą zrozumie dopiero po chwili, wstaje i idzie na spotkanie starego kupca. Nie ma ochoty witać się z nim w obecności reszty grupy, stwierdza, przy Viruesie z tym jego dziwnym uśmiechem.

– Wyglądasz przepięknie, Lolito. Gdyby mógł cię teraz widzieć twój ojciec!

Wymiana serdecznych uprzejmości. Podchodzi do niej też Miguel Sanchez Guinea, miły i przystojny mimo dość niskiego wzrostu, z rysów podobny do swojego ojca. Kapitan Lobo pozostaje z tyłu, przyglądając się całej scenie, a kiedy Lolita w końcu spogląda na niego, krótko skłania głowę, nie ruszając z miejsca i nie otwierając ust. Kobieta ujmuje don Emilia pod ramię i prowadzi na bok, ścisząc głos.

– Co ci wpadło do głowy, żeby tu z nim przychodzić?

Stary kupiec tłumaczy się. Pepe Lobo pracuje dla niego, dla niej zresztą też. To świetna okazja, żeby przedstawić go pewnym osobom, Anglikom i Hiszpanom, z którymi znajomość może okazać się korzystna dla ich przedsięwzięcia. Nie szkodzi posmarować zawiasy niektórych drzwi, żeby potem nie skrzypiały. To jest Kadyks.

– Na miłość boską, don Emilio. Przecież to korsarz.

– Oczywiście. A w jego wyprawę zainwestowałaś tyle samo pieniędzy co ja. Powodzenie tego interesu jest równie ważne dla ciebie, jak dla mnie.

– Ale to jest przyjęcie... Zrozum, każda sprawa ma swoje miejsce. I swój czas.

Wypowiadając te słowa, rozgląda się wokół, zakłopotana. Sanchez Guinea przygląda się jej.

– Chodzi ci o to, co sobie pomyślą, tak?

– Oczywiście.

– Nie rozumiem twoich zastrzeżeń. To marynarz jakich wielu. Faktem jest tylko, że bardziej od innych gotowy na ryzyko.

– Dla pieniędzy.

– Tak samo jak ty, moje dziecko. I jak ja. Ta motywacja cieszy się równie długą i dobrą tradycją w tym mieście jak każda inna.

Lolita Palma zerka ponad ramieniem swojego rozmówcy. Kapitan korsarz, stojący kilka kroków dalej, obok Miguela Sancheza Guinei, przygląda się napojom na tacy, z którą zatrzymał się przed nimi służący w liberii. Po chwili, zapewne na zastanowienie, odmawia ruchem głowy. Kiedy podnosi wzrok, jego spojrzenie napotyka oczy kobiety, która zaraz spogląda w inną stronę.

– Bo panu się podoba ten człowiek. Tak pan mi powiedział.

– Tak, i Miguelowi też się podoba. Jest kompetentny i poważny. I potrzebuje naszego zaufania. Powinnaś tak na to spojrzeć.

– A mnie wcale się nie podoba.

Handlowiec spogląda na nią badawczo.

– Naprawdę? Wcale?

– Dobrze pan słyszy.

– Jednak weszłaś z nami w spółkę.

– To inna sprawa. Weszłam w spółkę z panem, tak jak innymi razy.

– No to zaufaj mi, tak jak innymi razy. Nigdy źle na tym nie wyszłaś. – Sanchez Guinea wziął w ręce jej dłoń i głaszcze ją serdecznie. – Przecież wcale cię nie proszę, żebyś go zapraszała do siebie na filiżankę czekolady.

Bez pośpiechu Lolita oswobadza rękę.

– To już impertynencja, don Emilio.

– Nie, moje dziecko. To wyraz czułości, jaką mam dla ciebie. Dlatego nie rozumiem, co się z tobą dzieje.

Zmieniają temat, bo Miguel Sanchez Guinea dołączył do nich. Korsarz pozostaje z boku, chwilami Lolita Palma śledzi go wzrokiem, kiedy kapitan przechadza się po salonie z rękami założonymi z tyłu na połach kurtki, spokojny, choć lekko nieobecny. Może jest tu trochę nie na swoim miejscu. Lolita uznaje, że tak podpowiada jej wyobraźnia, bo po chwili, kiedy znów na niego patrzy, widzi, jak swobodnie rozmawia z osobami, których wcześniej raczej wydawał się nie znać.

– Wasz kapitan Lobo łatwo nawiązuje znajomości – komentuje, zwracając się do Miguela Sancheza Guinei.

Ten uśmiecha się, zapalając cygaro.

– Po to tu przyszedł. Nie należy do ludzi, którzy mogliby się zagubić w takim miejscu jak to, ani zresztą w żadnym innym. Gdyby wpadł do morza, wyrosłyby mu skrzela i płetwy.

– Twój ojciec mówi, że zawrócił ci w głowie.

Miguel wypuszcza dym z serdecznym śmiechem. Znają się z Lolitą od dziecka. Razem bawili się pod sosnami w Chiclanie, w okolicach podmiejskich domów ich rodzin. Jest matką chrzestną jego pierworodnego syna.

– To wspaniały człowiek – podsumowuje. – Z takich, jacy bywali kiedyś.

– Mówicie też, że dobry marynarz.

– Najlepszy, jakiego spotkałem. – Miguel przestaje ssać cygaro, żeby wskazać nim w kierunku korsarza, który teraz rozmawia z adiutantem generała Valdesa. – Należy do tych spokojnych mężczyzn, którzy nie denerwują się, choćby podczas burzy mieli łąd po zawietrznej i maszty łamałyby się jak zapalki... Zdobędzie dobre łupy, przy odrobinie szczęścia.

– Podobno był w Gibraltarze.

– Był tam wielokrotnie. A raz jako więzień Anglików. Dawno temu.

– I co tam się wydarzyło?

– Uciekł. Całkiem bezczelnie. Ukradł łódź.

Przechodzą różne osoby, witają się, tworzą grupki, komentują losy wojny i stan interesów, co często się wiąże. Lolita Palma należy do kobiet – co zawsze fascynuje przybyszów – które zabierają głos w tego typu rozmowach; przezorna jak zawsze, słucha uważnie i zachowuje dla siebie własne opinie, nawet wtedy, gdy ją o nie proszą. Na dłuższą chwilę podchodzą do niej i panów Sanchez Guinea znajomi, rozmawiają o sprawach handlowych i wyrażają swoje zaniepokojenie powstaniem w Ameryce, buntem i blokadą Buenos Aires, lojalnością Kuby, chaosem i stanem hiszpańskich interesów po drugiej stronie Atlantyku, gdzie awanturnicy i oportuniści mogą obłowić się w mętnej wodzie. Ceną, jaką Anglicy wcześniej czy później każą sobie zapłacić za pomoc podczas wojny w Hiszpanii.

– Przepraszam panów. Jestem zmęczona i muszę zacząć się żegnać.

Wychodzi na kilka minut do gotowalni, gdzie nieco się odświeża. W połowie drogi powrotnej, jaką musi przejść, by dołączyć do grupy znajomych, w której dźwięczą salwy śmiechu kuzyna Toño, natyka się na kapitana Lobo. Po chwili zastanowienia Lolita stwierdza, że kapitan przemieścił się – nie ma miejsca na przypadek w takich manewrach – podobnie jak to czyni okręt, który szykuje się do ataku na statek wroga: oblicza szacunkowo jego pozycję i miejsce, w którym musi się pojawić w określonym momencie, a potem na środku oceanu zasadza się i czeka, ostrożnie i cierpliwie. Wygląda, że korsarz jest bardzo sprawny w tego typu obliczeniach.

– Chciałem pani podziękować.

– Za co?

– Za to, że przyłączyła się pani do naszego przedsięwzięcia.

Po raz pierwszy przygląda mu się z bliska, rozmawiając. Przed miesiącem, w biurze przy ulicy Baluarte, widzieli się tylko przez chwilę. Był tam wtedy Sanchez Guinea. Lolita Palma zastanawia się, pełna podejrzeń, czy to nie stary kupiec albo jego syn doradzili marynarzowi to spotkanie.

– Nie wiem, czy jest pani informowana na bieżąco – dodaje.

– Wyruszamy na morze za tydzień.

– Wiem, powiedział mi o tym don Emilio.

– A mnie powiedział, że nie lubi pani korsarzy.

Wprost, z miłym uśmiechem. Na tyle bezczelnie, żeby nie było to nieuprzejme czy niegrzeczne. Skrzela, mówił przed chwilą Miguel. Wpadnie do morza i wyrosną mu skrzela.

– Pan Sanchez Guinea czasem mówi zbyt wiele. Nie wiem tylko, dlaczego miałyby to wpływać na pana obowiązki.

– Nie wpływa w żaden sposób. Ale być może dobrze byłoby wyjaśnić, na czym one polegają.

Z bliska jego twarz nie jest nieprzyjemna, jednak wydaje się pozbawiona subtelności. Duży nos, toporny profil. Lolita zauważa na w pół ukrytą pod bokobrodami i kołnierzem kurtki ukośną bliznę nad lewym uchem, która ciągnie się od nasady włosów aż po kark. Kapitan ma oczy jasnozielonego koloru, podobnego do barwy świeżo wymytych winogron.

– Doskonale wiem, na czym polegają – odpowiada. – Wychowałam się pośród statków i ładunków, i niejedną raz interesy mojej rodziny ucierpiały przez osoby pańskiego fachu.

– Rozumiem, że nie byli to Hiszpanie.

– Hiszpanie czy Anglicy, wszystko jedno. Moim zdaniem korsarz to nikt więcej niż pirat z królewskim patentem.

Żadnej reakcji na cios, stwierdza. Nic. Jasne oczy dalej spokojnie na nią patrzą. Zmieniają się jak u kota, w zależności od ilości światła, dochodzi do wniosku.

– Pani jednak – uśmiechem łagodzi zarzut – weszła w spółkę, bo to może się opłacać.

Ton marynarza jest bardziej ostrożny niż uprzejmy. Wskazuje na pewną edukację, choć bez przesady. Bez zbyt wielu subtelności. Lolita Palma wykrywa skromne pochodzenie w głębokim głosie i w ostrych, wyraźnie męskich rysach twarzy mężczyzny, który stoi przed nią. I słowo „mężczyzna”, stwierdza, nie jest tutaj przypadkowe. Mógłby być zdrowym, silnym wieśniakiem, który każdego dnia pochyla się nad rolę, albo draniem z portowej knajpy, przywykłym do dymu cygar, potu i majchra. Może właśnie, myśli z niepokojem, jest tym ostatnim. Bez kłopotu można go sobie wyobrazić w podejrzanych lokalach między Bramą Ziemi a Bramą Morza albo w pełnych zgiełku i łatwych kobiet knajpach w La Caleta. Przynajmniej co do tego uprzedził ją Emilio Sanchez Guinea. W jego spojrzeniu nie ma nic dżentelmeńskiego, nie wygląda też na kogoś, kto chciałby za dżentelmena uchodzić.

– Moja motywacja to moja sprawa, kapitanie. Wołałabym o niej nie rozmawiać z panem.

Korsarz milczy chwilę, nie odrywając od niej wzroku. Jest bardzo poważny.

– Widzi pani... A może lepiej, żebym mówił „panno”?

– Pani, z łaski swojej.

– Proszę posłuchać. Pani i don Emilio inwestujecie w nasz kuter pieniądze, które moglibyście równie dobrze przeznaczyć na inny cel. Ja wkładam wszystko, co mam. Jeśli coś pójdzie źle, tracicie tylko to, co zainwestowaliście.

– Zapomina pan o naszej wiarygodności jako armatorów...

– Być może. Ale wiarygodność można odzyskać. Macie na to dość środków. Ja natomiast idę na dno razem ze statkiem.

Lolita bardzo wolno kręci głową. Bez mrugnięcia wytrzymuje spojrzenie mężczyzny.

– Nadal nie rozumiem, co to ma wspólnego z naszą rozmową. Z pańską potrzebą wyjaśnienia mi wszystkiego.

Kapitan pierwszy raz wygląda na zakłopotanego. Tylko przez chwilę. Krótki cień, który nie pasuje do niego jak źle skrojone ubranie. Choć w jego przypadku, myśli Lolita złośliwie, raczej nie pasowałoby ubranie dobrze skrojone. Pepe Lobo patrzy na swoje ręce – szerokie, silne, z krótkimi paznokciami – a potem odwraca wzrok i lustruje salon. Lolita zauważa, że ma na sobie tę samą kurtkę z przetartymi rękawami, w której był u niej w biurze na ulicy Baluarte: jest wyszczotkowana i ma wyprasowane klapy, ale to ta sama. Podobnie koszula, czysta i wykrochmalona, strzępi się lekko na kołnierzyku, ponad krawatką z czarnej tafty. Nie wiadomo czemu rozczulają to nieco. Choć w jej przypadku rozczulenie to zbyt wiele. Może to nawet niebezpieczne. Dlatego szuka właściwego określenia. Wzrusza ją – chyba znalazła. Albo uspokaja.

– No cóż, nie jestem pewien, prawdę mówiąc – odpowiada marynarz. – Nigdy nie byłem zbyt gadatliwy... A jednak z jakiegoś powodu, którego sam nie rozumiem dobrze, czuję potrzebę, by pani wszystko wyjaśnić.

– Mnie?

– Tak, pani.

Lolita, która jeszcze do końca nie przetrwała poprzedniej przykrości, nową irytację przyjmuje niemal z ulgą.

– Czuję pan potrzebę, tak? Mnie wyjaśnić? Proszę posłuchać, kapitanie. Obawiam się, że przypisuje pan sobie zbyt wielką wagę.

Kolejna cisza. Teraz korsarz patrzy na nią z zastanowieniem. Może on zabijał ludzi, nagle ona myśli. I patrzył na nich tymi kocimi, obojętnymi oczami.

– Nie chcę dłużej pani przeszkadzać – odzywa się naraz. – Przepraszam, że niepokoiłem, doña Dolores... Czy może mam się do pani zwracać „pani Palma”?

Stoi wyprostowana, uderzając zamkniętym wachlarzem o drugą dłoń, stara się ukryć swoje zmieszanie. Jest zmieszana tym, że czuje zmieszanie. W jej wieku. Właścicielka firmy Palma i Synowie.

– Niech się pan zwraca do mnie, jak pan chce, byle z szacunkiem.

Mężczyzna lekko skłania głowę i odwraca się, żeby odejść. Zatrzymuje się na chwilę, w pół gestu. Wygląda, że zastanawia się jeszcze. W końcu unosi nieco rękę, jakby prosił o rozejm.

– Wypływamy w nocy w przyszły wtorek, jeśli wszystko dobrze pójdzie – mówi prawie szeptem. – Może byłaby pani zainteresowana tym, żeby wcześniej odwiedzić „Culebrę”? Naturalnie z don Emiliem i Miguelem.

Lolita Palma, niewzruszona, wytrzymuje jego spojrzenie. Bez mrugnięcia.

– Dlaczego miałabym być zainteresowana? Już wiele razy byłam na pokładzie kutra.

– Dlatego że ten statek należy też do pani. A mojej załodze dobrze by zrobiło, gdyby się przekonała na własne oczy, że jednym z szefów, nazwijmy to tak, jest kobieta.

– I czemu miałyby to służyć?

– No cóż. Trudno to wytłumaczyć rozsądnie... Powiedzmy, że nigdy nie wiadomo, kiedy pewne sprawy mogą się przydać.

– Wolę nie poznawać pańskiej załogi.

Wydaje się, że słowo „pańskiej” dało korsarzowi do myślenia. Chwilę później wzrusza ramionami. Uśmiecha się teraz zamyślony, jakby już był gdzieś indziej. Albo w drodze.

– To jest też pani załoga. I dzięki niej może się pani wzbogacić.

– Myli się pan, kapitanie Lobo. Ja już jestem bogata. Dobranoc.

Wymija korsarza, żegna się z panami Sanchez Guinea, z Fernandezem Cuchillero, z Currą Vilches i z kuzynem Toño. Ten ostatni chce odprowadzić ją do domu, ona jednak się nie zgadza. Dobrze się bawisz tu, pośród przyjaciół, a ja mieszkam blisko. W westybulu, kiedy czeka, żeby przyniesiono jej pelerynę, spotyka Lorenza Viruesa. Oficer również opuszcza przyjęcie, bo – jak mówi – musi być na Lwiej Wyspie bardzo wcześnie rano. Razem schodzą po jasno oświetlonych stopniach i wychodzą na ulicę, mijając ciekawskich sąsiadów, którzy zbierają się przy powozach, w jasności świec i pochodni. Lolita nasunęła na głowę obszerny kaptur swojej aksamitnej peleryny. Wojskowy grzecznie idzie po jej lewej stronie, w dwurogim kapeluszu na głowie, z płaszczem na ramionach i szablą pod bokiem. Idą w tę samą stronę i Virues jest zaskoczony, że kobieta wraca sama.

– Mieszkam o trzy przecznice stąd – odpowiada Lolita. – A to jest moje miasto.

Noc płynie spokojnie, pogodna. Dość chłodno. Kroki rozbrzmiewają na prostych wybrukowanych ulicach. Oliwne kaganki oświetlają figurkę Matki Boskiej na rogu ulicy Consulado Viejo, gdzie nocny stróż z włócznią i latarnią, rozpoznając Lolitę i dostrzegając mundur jej towarzysza, zdejmuje czapkę z głowy.

– Dobry wieczór, pani Lolito.

– Dziękuję, Pedro. Wzajemnie.

Z tarasów w mieście, zauważa kapitan Virues, można obserwować kometa, która w tych dniach przelatuje po niebie Andaluzji i o której wszyscy mówią. Wielkie nieszczęścia w Hiszpanii i w całej Europie przepowiadają ludzie, którzy twierdzą, że się znajdują na takich rzeczach. Jakby tu potrzebna była jakakolwiek wiedza. Przy tym wszystkim, co się dzieje.

– Co się wydarzyło w Gibraltarze?

– Przepraszam?

Chwila ciszy. Słysząc tylko echo kroków. Dom Lolity Palmy jest już bardzo blisko, a ona wie, że nie zostało jej dużo czasu.

– Mówię o kapitanie Lobo – dodaje.

– Ach, tak.

Kolejny kawałek drogi i dalej bez odpowiedzi. Lolita zwalnia, a kapitan dostosowuje do niej swój krok.

– Byliście tam razem, wcześniej pan wspominał. Uwięzieni. Pan i on.

– To prawda – przyznaje Virues. – Pojmano mnie podczas angielskiego ataku na linię okopów, które próbowaliśmy zbudować pomiędzy wieżą Diabło a szansem Świętej Barbary. Zostałem ranny i odwieziono mnie do szpitala wojskowego w Gibraltarze.

– Mój Boże! Czy to było coś poważnego?

– Niespecjalnie. – Virues unosi lewe ramię i odwraca nadgarstek. – Jak pani widzi, dość dobrze mnie naprawili. Nie miałem żadnego przemieszczenia ani zakażenia, nie było konieczności amputacji. Po trzech tygodniach spacerowałem po Gibraltarze, pod słowem honoru, oczekując na wymianę jeńców.

– I tam poznał pan kapitana Lobo.

– Tak. Tam go poznałem.

Relacja wojskowego jest zwięzła: znudzeni oficerowie zabijali czas, pozostając na wikcie angielskiej dobroczynności albo ratując się skromnymi środkami, jakie otrzymywali ze strony hiszpańskiej, i czekali na zakończenie wojny lub porozumienie, zgodnie z którym będą mogli

wrócić do swoich. Byli mimo wszystko klasą uprzywilejowaną w porównaniu z prostymi żołnierzami i marynarzami, trzymanymi w więzieniach i na tratwach, którzy mieli minimalne szanse na wymianę. W dwudziestce hiszpańskich oficerów cieszących się swobodą poruszania po mieście, którzy dali słowo honoru, że nie uciekną, byli ludzie z Armii i Królewskiej Floty, a także pojmani kapitanowie korsarskich statków. Do tej ostatniej grupy nie każdy mógł się dostać, jedynie marynarze z patentem kapitańskim, którzy dowodzili jednostkami o sporym tonażu i wyporności. Było takich dwóch, może trzech, a wśród nich Pepe Lobo. Chadzał swoimi ścieżkami, nie spotykał się z oficerami. Wyglądało, że lepiej czuje się pośród portowego motłochu.

– Dziwki i tak dalej? – rzuca zaciekawiona Lolita lekkim tonem.

– Mniej więcej. Środowisko niespecjalnie godne polecenia, to jasne.

– Ale nie dlatego pan go nienawidzi.

– Nigdy nie mówiłem, żebym go nienawidził.

– To prawda. Nie mówił pan. Powiedzmy, że nie czuje pan do niego sympatii. Albo: gardzi nim.

– Mam powody.

Wchodzą na ulicę Baluarte. Przed domem rodziny Palma Lolita kładzie dłoń na ramieniu wojskowego. Jest zdecydowana domagać się szczerości.

– Niech pan nawet nie myśli odejść, zanim pan nie opowie, co wydarzyło się w Gibraltarze między panem a kapitanem Lobo.

– Dlaczego tak panią interesuje ten człowiek?

– Pracuje dla moich wspólników... W pewnym sensie dla mnie także.

– Rozumiem.

Virues postępuje kilka kroków zamyślony, patrząc na ziemię przed swoimi butami. Potem podnosi głowę.

– Nic się tam między nami nie wydarzyło – mówi. – Właściwie prawie się nie spotykaliśmy... Już wspominałem, że raczej unikał towarzystwa hiszpańskich oficerów. Prawdę mówiąc, nigdy nie był jednym z nas.

– I uciekł, prawda?

Wojskowy milczy. Robi tylko dwuznaczny gest. Jest zażenowany. Lolita dochodzi do wniosku, że Lorenzo Virues nie należy do ludzi mówiących źle o innych za ich plecami. A przynajmniej nie za wiele.

– Mimo danego słowa honoru – dodaje zamyślona.

Po następnej chwili milczenia Virues potwierdza. Lobo istotnie dał słowo. Dzięki temu mógł się swobodnie poruszać po Gibraltarze, tak jak wszyscy. I je złamał. Pewnej bezksiężycowej nocy on i dwaj jego ludzie, którzy pracowali wśród galerników w porcie i których uwolnił, przekupując strażników – jeden z nich, Maltańczyk, zdezerterował i uciekł razem z nimi – dotarli wpław do jednej z zakotwiczonych tartan, wyciągnęli kotwicę, podnieśli żagle i wykorzystując silny wiatr wschodni, popłynęli do hiszpańskiego wybrzeża.

– Brzydka sprawa – zgadza się Lolita. – Zrobił to mimo danego słowa, wyobrażam sobie, że to się nie mogło podobać.

– To nie wszystko. Podczas ucieczki jednego człowieka zabili, drugiego ranili. Towarzysz maltańskiego strażnika został zasztyletowany. A marynarza, który pełnił wartę na tartanie, kiedy Lobo i jego ludzie na nią weszli, znaleziono w wodzie z rozbitą głową... Po jego ucieczce odebrano nam, wszystkim pozostałym oficerom korzystającym ze swobód pod słowem honoru, ten przywilej i zostaliśmy zamknięci w Moorish Castle. Ja spędziłem tam siedem tygodni, do czasu wymiany jeńców.

Lolita Palma zrzuca kaptur. Stoją przed bramą jej domu, oświetloną dwiema latarniami, ustawionymi tam przez Rosasa, majordomusa, na przyjście pani. Virues zdejmuje kapelusz, stuka obcasami i żegna się. Było przyjemnością móc pani towarzyszyć, mówi. Prosi o

pozwolenie, by czasem ją odwiedzić. Wojskowy jest miłym człowiekiem, znów myśli Lolita. Budzi zaufanie. Jest wiarygodny. Gdyby był kupcem, robiłaby z nim interesy.

– Czy później panowie jeszcze się spotkali?

Virues, który już wkładał kapelusz na głowę, zatrzymuje się w pół gestu.

– Nie. Ale jeden z młodych towarzyszy, porucznik artylerii, spotkał go w Algeciras i wyzwiał na pojedynek... Z całkowitym lekceważeniem Lobo roześmiał mu się w twarz i odesłał go z kwitkiem. Nie chciał walczyć.

Wbrew swojej woli, niemal rozbawiona w duchu, Lolita wyobraża sobie doskonale tę scenę. Jak z operetki.

– Nie wygląda na tchórzeza.

Nie jest w stanie zapobiec, by uśmiech pojawił się na jej ustach. Wojskowy dostrzega go, unosi brew i skłania się lekko, trzaskając znów obcasami, w sposób nieco zbyt formalny. Niezlomny wobec kobiety, wzgardliwy w stosunku do człowieka, o którym rozmawiają.

– Nie sądzę, żeby był tchórzem. Moim zdaniem to, że nie chciał walczyć, nie ma nic wspólnego z odwagą. To raczej sprawa braku przyzwoitości... Dla osobników takich jak on słowo honoru nic nie znaczy. Obawiam się, że tacy są ludzie dzisiaj... Bo takie czasy. I tacy będę w czasach, które nadchodzą.

W odległości dwóch i trzech dziesiątych mili, z płaszczem na ramionach i prawym okiem przystawionym do okularu achromatycznego teleskopu Dollonda, kapitan Simon Desfosseux obserwuje odległe światła pałacyku, w którym angielski ambasador wydaje przyjęcie. Dzięki gołębiom pocztowym i informacjom krążącym z ust do ust marynarzy i przemysłowców artylerzysta jest poinformowany, że Wellesley, wysocy rangą dowódca wojsk angielsko-hiszpańskich i cała śmietanka towarzyska Kadyksu świętują tego wieczoru francuską porażkę pod Chiclaną. Silne soczewki przyrządu optycznego pozwalają Desfosseux łatwo umiejscowić budynek, wyzywająco oświetlony na ciemnej linii murów otaczających miasto od morza, gdzie kilka czarnych sylwetek zakotwiczonych statków rysuje się niewyraźnie w słabym świetle księżyca.

– Trzy przecinek pięć powinno dać równowagę. Uniesienie czterdzieści cztery... Niech się pan postara, Bertoldi, trafić. Niech pan będzie dobrym chłopcem.

Obok niego, siedząc na skrzyni, z tablicami strzelniczymi oświetlonymi małą lampką o matowych szybach, porucznik Bertoldi kończy obliczenia, wstaje i schodzi po drewnianych stopniach w kierunku reduty, gdzie w świetle pochodni płonących po drugiej stronie skarpy ochronnej można dostrzec walcowaty kształt Fanfana, ogromny i czarny. Haubica kalibru dziesięciu cali jest nakierowana na swój cel, Bertoldi podaje obsłudze działa ostatnie korekty. Odstępując od teleskopu, Desfosseux podnosi głowę i kieruje wzrok ku białej plamie odcinającej się na czarnym niebie: to płócienny rękaw zawieszony na maszcie nad punktem obserwacyjnym. Słychać flop, flop. Wieje dość słaby wiatr. Według ostatniego pomiaru pojawiają się szkwały z południa-południowego wschodu. Stąd korekta około trzech i pół punktu w lewo, żeby zrównoważyć siłę bocznego wiatru. Zawsze mogło być gorzej, oczywiście, ale tej nocy lepiej by było, gdyby wiał słabszy wiatr; a jeszcze bardziej korzystny, wyobrażając sobie warunki idealne, takie, przy których zaciera się dłoń z przewidywanej pirotechnicznej satysfakcji, byłby wiatr ze wschodu-południowego wschodu, silny, równy i stały. Prawdziwy prezent od boga Marsa zmienia w rzeczywistość doskonałe – albo prawie – linie proste i parabole, z korektą zaledwie zero przecinek niemal zero. Artyleryjska szczęśliwość, upojenie prochem i wybuchem. Sława i chwała. Do tego potrzeba kilku cennych, dodatkowych węzłów, zapewniających wystarczający zasięg i celność strzału poprzez zatokę. Czynniki, które Desfosseux, honorowy artylerzysta, stara się jak najstaranniej ze sobą zgrać; dziś jednak szczególnie byłyby cenne, żeby spełnić marzenie o przyłączeniu



się do bankietu angielskiego ambasadora. I nad tym pracują on i jego ludzie o dziesiątej i bez kolacji. Nad precyzją strzału.

Desfosseux rzuca ostatnie spojrzenie w okular teleskopu, schodzi z punktu obserwacyjnego i zmierza do reduty. Tam, za usypaną z ziemi skarpą ochronną, pomiędzy ustawionymi działami baterii, haubica Villantroya-Ruty'ego kalibru dziesięciu cali ma swoje miejsce: przestronny kwadratowy okop, w którego centrum znajduje się dział z groźną rurą lufy, uniesioną pod kątem ponad ogromną lawetą o żelaznych kołach, która podtrzymuje 7371 funtów brązu wycelowanych zgodnie ze wskazówkami, jakie porucznik Bertoldi właśnie przekazał artylerzystom. W świetle pochodni widać ich przetłuszczoną cerę i senne twarze. Jest tam sierżant, dwóch kaprali i ośmiu żołnierzy z podkrążonymi oczami, brudnych, nieogolonych. Chłopaki od Fanfana. Wszyscy, łącznie z podoficerem – wąsatym mrukiem z Owernii o nazwisku Labiche – są ubrani niedbale, mają na sobie koszarowe czapki, rozpięte brudne płaszcze, sztylpy poplamione zaschniętym błotem. W odróżnieniu od oficerów, którzy mogą spać poza terenem i rozerwać się w Puerto Real albo w El Puerto de Santa Maria, oni żyją jak krety, zawsze pośród wałów, okopów i szańców, śpiąc pod dachem zbitym z desek uszczelnionych ziemią do ochrony przed ogniem hiszpańskich baterii odpowiadających na ich ogień z wysuniętego fortu Puntales na mierzei.

– Jeszcze tylko chwila, panie kapitanie – mówi Bertoldi. – I już jestem na rozkaz.

Desfosseux przygląda się pracy artylerzystów. Wykonali tę samą operację nieskończoną liczbę razy, teraz z Fanfanem, a przedtem z moździerzami Dedona kaliber dwanaście cali i z ośmiocalowymi haubicami Villantroya. Dla nich jest to rutyna: wycior, stempel, lontownica, krok w tył i otwarte usta, żeby wybuch nie rozwaliał bębenków w uszach. Co w dłuższym czasie i tak się stanie. Labiche i jego ludzie mają w głębokim poważaniu, czy tej nocy celem jest budynek, w którym wydaje przyjęcie angielski ambasador, czy bielizna matki, która go urodziła. Za chwilę, czy uda się trafić do celu, czy nie, podoficer i żołnierze wrócą do swoich zapluskwionych legowisk, a jutro dostaną taką samą marną rację jedzenia z kiepskim, rozwodnionym winem. Jedyne pocieszenie stanowi fakt, że w tym garnizonie wróg jest właściwie niegroźny. Ryzyko jest znane i nawet do pewnego stopnia pod kontrolą, w odróżnieniu od innych miejsc w Hiszpanii, gdzie ruchy wojsk narażają człowieka na przypadkowe bitwy albo przerażające spotkania z partyzantami; choć też jest prawdą, że tam trafia się szansa na rekompensatę ryzyka poprzez zdobycie łupów, napełnienie plecaka podczas ataków, marszów i na kwaterach; podczas gdy w okolicach Kadyksu, pośród tysięcy Francuzów, Włochów, Polaków i Niemców stanowiących tu istną plagę – zwłaszcza Niemcy są szczególnie brutalni w stosunku do ludności cywilnej – nic nie zostało do ograbienia. Inaczej by było, gdyby oblężone miasto, bogate jak mało które, wreszcie padło. Ale co do tego nikt sobie nie robi złudzeń.

– Jest dokładnie trzydzieści funtów, Labiche?

Sierżant, który bez entuzjazmu stanął na baczność na widok Desfosseux, splota na ziemię przeżutym tytoniem, grzebie głęboko w nosie i kiwa głową. Trzydzieści funtów prochu jest w komorze, a lufa ma pochylenie czterdziestu czterech stopni, zgodnie z ostatnimi korektami podanymi przez porucznika Bertoldiego. Osiemdziesięciofuntowa żelazna bomba jest wypełniona ołowiem, piaskiem i tym razem tylko w jednej trzeciej prochem, ze specjalnym zapalnikiem z drewna i metalu, który płonie – a przynajmniej powinien – przez trzydzieści pięć sekund. To dość czasu, żeby wewnętrzny lont płonął aż do chwili, kiedy bomba dotrze do celu.

– Rozwiązał pan problem mechanizmu spustowego?

Labiche gładzi wąsy, zwlekając z odpowiedzią. Miedziany cylinder, gdzie następuje zapłon ładunku w haubicy, ma tendencję do rozkręcania się przy każdym wystrzale z powodu ogromnej siły eksplozji wyrzucającej pocisk z lufy. Przez to rozszczelnia się komora zapłonowa, zmniejszając zasięg strzału.

– Myślę, że tak, panie kapitanie – odzywa się wreszcie, jakby się nad tym zastanawiał. – Na zimno znów go skrzyliśmy bardzo starannie. Myślę, że będzie dobrze, ale nie mogę niczego gwarantować.

Desfosseux uśmiecha się, przesuując spojrzeniem po artylerzystach.

– Mam nadzieję, że się uda. Dziś w nocy manole mają święto w Kadyksie. Powinniśmy je ożywić, nie sądzicie?

Żart wywołuje na twarzach żołnierzy tylko słabe, znużone grymasy. Odbija się od tłustej skóry i zmęczonych oczu. Widać wyraźnie, że Labiche i jego zgorzkniali ludzie entuzjazm pozostawiają oficerom. Im jest wszystko jedno, czy pocisk dotrze do celu, czy nie. Czy zabije wielu, nielicznych czy nikogo. Chcą tylko skończyć pracę tego wieczoru, przegryźć coś, odejść do baraku i chrapać.

Kapitan wyjął zegarek z kieszeni kamizelki i sprawdza godzinę.

– Za trzy minuty: pal.

Bertoldi, który podszedł do niego, sprawdza godzinę na swoim zegarku. Potakuje gestem głowy, wydaje rozkaz artylerzystom.

– Przygotować lontownicę, Labiche. Wszyscy na miejsca, ale już!

Simon Desfosseux zamyka pokrywkę zegarka, chowa go do kieszeni i bardzo ostrożnie wraca na wieżę obserwacyjną, uważając, żeby się nie potknąć i nie złamać nogi. Nie byłoby to wcale zabawne. Już na górze zarzuca sobie na ramiona płaszcz, przykładając prawe oko do okularu teleskopu i spogląda na oświetlony budynek w oddali. Potem podnosi głowę i czeka. Jakże byłoby miło, myśli, delikatnie stukając paznokciami o miedzianą tubę, gdyby Fanfan wydał dzisiejszej nocy piękną nutę, wspaniałe do z całej piersi, wrzucając przez okno ambasadorowi i jego gościom osiemdziesiąt funtów stali, ołowiu, prochu i sympatii. Z najlepszymi pozdrowieniami od księcia de Bellune, cesarza i osobiście Simona Desfosseux, w odpowiedniej proporcji.

Buuum! Wybuch wstrząsa drewnianą konstrukcją wieży obserwacyjnej, ogłuszając kapitana. Z jednym okiem otwartym – drugie zamknął, żeby eksplozja go nie oślepiła – widzi, jak ogromna, krótkotrwała jasność wystrzału oświetla wszystko wokół, wycinając w ostrym świetle cienie fortu, pobliskich baraków, punktu obserwacyjnego ponad czarną wodą zatoki. To wszystko trwa sekundę, potem znów wraca ciemność, a wtedy Desfosseux patrzy już drugim okiem przez teleskop, nastawiając ostrość na miejsce, które chce obserwować. Siedem, osiem, dziewięć, dziesięć, liczy, nie poruszając wargami. W kręgu soczewki, przy lekkiej oscylacji spowodowanej dużą odległością, lśni oświetlenie budynku, w który wycelowany został Fanfan, stanowiąc jasne tło dla niewyraźnych masztów na statkach stojących bliżej. Już jest przy siedemnastu. Osiemnaście. Dziewiętnaście. Dwadzieścia. Dwadzieścia jeden.

Czarny pióropusz, słup wody i piany, wznosi się pośrodku kręgu soczewki w połowie wysokości masztów, zasłaniając na chwilę oświetlony budynek na lądzie. Strzał zbyt krótki, stwierdza kapitan z rozpaczą, że wściekłością kogoś, kto postawił na jakąś kartę i widzi, że wychodzi inna. Bomba, mimo świetnie obliczonego celu, wpadła do morza, nie osiągając dwóch tysięcy sążni, co przy włożonym w to wysiłku jest odległością śmieszną. Być może nad celem jest inny wiatr, albo – jak się zdarzało innymi razy – pocisk wydostał się z lufy zbyt wcześnie, zanim proch zapalił się w całości. Albo znów mechanizm spustowy poszedł w diabły. Resztę refleksji Desfosseux postanawia zostawić na później, bo seria kolejnych wybuchów z fortu Puntales wskazuje, że hiszpańscy artylerzyści odwzajemniają nocny salut ogniem armatnim w kierunku Trocadero. Jak może najszybciej, schodzi po drewnianych stopniach z punktu obserwacyjnego i spieszy do najbliższej kazamaty – tym razem mniej dbając o środki ostrożności niż wcześniej – dokładnie w chwili, kiedy raaka, odgłos pierwszego hiszpańskiego granatu, rozdziera ciemność nocy nad jego głową, wybuch następuje jakieś pięćdziesiąt sążni na prawo, między Cabezuelą a fortem Matagorda.

Trzydzieści sekund później, ściśnięty razem z Bertoldim, Labiche'em i resztą artylerzystów w schronie, w oleistym świetle kaganka, Desfosseux czuje, jak pod hiszpańskim ogniem drży ziemia i drewniana konstrukcja podtrzymująca mury i zadaszenie, a po chwili w pobliżu słyszy odpowiedź ze strony cesarskich dział z fortu Ludwika, w ostrym pojedynku artyleryjskim między dwoma brzegami.

Kątem oka kapitan widzi, jak sierżant Labiche spluwa tytoniem na ziemię pomiędzy dawno nienaprawiane sztylpy.

– Może nie było warto – mruczy podoficer, puszczając oko do jednego z towarzyszy – budzić ich wszystkich o tej porze.

## Rozdział V

Biała królowa cofa się, upokorzona, poszukując ochrony u skoczka, którego sytuacja – dwa czarne pionki krążą wokół w złych zamiarach – też nie jest najlepsza. Głupia gra. Bywają dni, kiedy Rogelio Tizón nienawidzi szachów, i taki jest właśnie dziś. Przy zagrożonym królu, braku możliwości wykonania roszady i przewadze jednej wieży i dwóch pionków przeciwnika partia trwa tylko z powodu uprzejmości wobec Hipolita Barrulla, który czuje się przy szachownicy jak ryba w wodzie i bawi się znakomicie. Tak jak zwykle. Krwawa rzeźnia zaczęła się na lewej flance po głupim błędzie Tizona: pionek ruszony bez zastanowienia, kusząca luka i nieprzyjacielski goniec wbity niczym sztylet w środek jego własnych szeregów, co zrujnowało w dwóch posunięciach obronę sycylijską, wypracowaną z dużym wysiłkiem, bez żadnego praktycznego skutku.

– Obedrę pana ze skóry, komisarzu – śmieje się szczęśliwy Barrull. Bezlitosny.

Użył tej samej taktyki co zawsze: cierpliwie czai się, niczym pająk w środku sieci, dopóki przeciwnik nie popełni błędu, a wtedy rzuca się z zębami, nie posiadając się z radości, kiedy z paszczy spływa mu krew. Prawdopodobieństwo, że w tym momencie gry profesor pozwoli sobie na nieuwagę, jest minimalne. Zawsze precyzyjny i bezwzględny w końcówce. Urodzony kat.

– A niech pan sobie pofolguje.

Czarny pionek zamyka okrążenie. Oblężony skoczek przypomina dręczonego konia, który szuka miejsca, gdzie mógłby przeskoczyć płot i uciec. Bezlitosna twarz Barrulla, poorana niezliczonymi godzinami ślęczenia ze zmarszczoną brwią nad setkami książek, wydłuża się za okularami w kpiącym uśmiechu. Jak to się zwykle dzieje przy szachownicy, jego zwyczajowa uprzejmość ustępuje miejsca agresywnej, bezczelnej złośliwości. Niemal morderczej. Tizón patrzy na malowane płótna zdobiące ściany kawiarni Pocztovej: nimfy, kwiaty, ptaszki. Stamtąd nie przyjdzie żadna pomoc. Zrezygnowany bije pionka, godząc się na stratę skoczka, zabitego w jednej chwili przez przeciwnika z pomrukiem uciechy.

– Zostawmy to już – prosi policjant.

– Nie zagra pan jeszcze partyjki? – Barrull wydaje się rozczarowany, jego pragnienie krwi nie zostało zaspokojone. – Nie chce pan rewanzu?

– Na dziś mi wystarczy z nawiązką.

Zbierają pionki i figury do pudełka. Dokonawszy rzezi, Barrull wraca do normalnego stanu. Jego końska twarz jest znów uprzejma. Jeszcze minuta, a będzie takim jak zawsze miłym i serdecznym człowiekiem.

– Gracz uważny zwycięża zręczniejszego – stwierdza, ofiarowując pokonanemu pocieszenie. – Cała rzecz polega na zaczajeniu się. Ostrożność i cierpliwość... Czy nie mam racji?

Tizón potakuje zamyślony. Z nogami wyciągniętymi pod stołem, rozparty na krześle przystawionym do ściany, przygląda się ludziom wokół. Jest przed wieczorem. Zachodzące słońce złoci szklany dach pokrywający patio. Rozmowy, otwarte gazety, kelnerzy rozcinają dym z cygar i fajek podczas swoich kursów z filiżankami czekolady, dzbankami z kawą i szklankami z zimną wodą. Kupcy, deputowani do Kortezów, wojskowi, imigranci, zamożni i

niezamożni, osobnicy chcący wyłudzić pożyczkę albo zaproszenie siedzą przy stołach i niskich marmurowych stolikach, kręcą się po salonie bilardowym i czytelnicy. Męska część miasta oddaje się przedwieczornemu lenistwu na zakończenie dnia. Huczący ul, gdzie nie brak wałkoni i pasożytów, których doświadczony policjant rozpoznaje metodycznym, rutynowym spojrzeniem.

– Jak panu idzie ze śladami na piasku?

Barrull, który wyciągnął tabakierę i bierze się do zażywania tabaki, śledzi spojrzenie Tizona. Daleki już od namiętności walki między czarnymi i białymi figurami ma dobrotliwy wyraz twarzy. Łagodny.

– Dawno nie wspominał pan o tej sprawie.

Policjant znów potakuje ruchem głowy, nie odrywając wzroku od ludzi. Przez chwilę nic nie mówi. W końcu drapie się po baku ponuro.

– Zbrodniarz już od dawna zachowuje się spokojnie.

– Może nie będzie więcej zabijał – sugeruje Barrull.

Tizón wzrusza ramionami z powątpiewaniem. Naprawdę tego nie wie.

– Naprawdę tego nie wiem – wyznaje.

Długa chwila milczenia. Barrull przygląda mu się uważnie.

– Do diabła, komisarzu. Wygląda tak, jakby pan żałował, że może się i tak zdarzyć.

Teraz Tizón wytrzymuje spojrzenie Barrulla, a ten wygina wargi, jakby miał zagwizdać, zadziwiony.

– Na Boga. A więc to prawda? Jeśli nie zabije kolejny raz, nie będzie nowych tropów. Pan się obawia, że morderca tych biednych dziewczyn przestraszył się własnych czynów albo już się nimi nasycił, prawda? Ze pozostanie w mroku i nigdy więcej nie wystawi się na pański cel.

Tizón nadal przygląda mu się obojętnie, nie milcząc. Jego rozmówca strzepuje resztki tabaki pomietą chusteczką wyjętą z kieszeni. Potem podnosi palec wskazujący i celuje nim w górny guzik kamizelki komisarza niby z pistoletu.

– Można by pomyśleć, iż się pan obawia, że już więcej nie będzie zabijał... Że los zatrzyma go z dala od pana.

– Postępuje z jakąś precyzją – poważnie stwierdza policjant, patrząc na wycelowany w siebie palec. – Dokładnością. Nie sądzę, żeby w grę wchodził los.

Barrull wydaje się zastanawiać nad tymi słowami.

– Ciekawe – podsumowuje, rozpieirając się na krześle. – Faktem jest, że można tu mówić o precyzji. Być może mamy do czynienia z fanatykiem.

Tizón patrzy na pustą szachownicę. Bierki są w swoim pudełku.

– Może on gra?

To pytanie brzmi naiwnie w ustach kogoś takiego jak on. Nagle uświadamia to sobie i wie, że jest śmieszny. Czuje się zakłopotany. Ze swojej strony Barrull uśmiecha się ostrożnie. Lekko podnosi rękę, jakby unikając odpowiedzialności.

– Być może. Nie potrafiłbym powiedzieć. Wszystkich nas motywuje gra. Wyzwania. Ale zabijanie w ten sposób to coś więcej... Istnieją ludzie, u których – podobnie jak u zwierząt – budzą się instynkty z jakiegoś powodu: hałas bomb, odczucia... Kto wie. Powiedziałbym, że ten przypadek ociera się o szaleństwo, gdybyśmy nie mieli jasności, że jego granice nie zawsze bywają wyraźne.

Wołają kelnera, który napełnia ich filiżanki dwiema uncjami ciemnego płynu z odpowiednią warstwą pianki. Kawa jest dobra, gorąca i aromatyczna. Najlepsza w całym Kadyksie. Pijąc kawę, Rogelio Tizón obserwuje grupkę siedzącą po drugiej stronie patio. Znajduje się w niej podejrzany imigrant – jego ojciec w Madrycie służy obcemu królowi – i deputowany do Kortezów, którego pocztę komisarz polecił otwierać w tajemnicy; ten środek

ostrożności, na dyskretne polecenie generalnego intendenta, stosuje do niemal wszystkich deputowanych, i cywilnych, i duchownych. Tizón angażuje wielu agentów do tej sprawy.

– Morderca być może rzuca wyzwanie całemu światu – odpowiada policjant. – Całemu miastu. Życiu. Mnie.

Kolejne uważne spojrzenie Barrulla. Policjant zauważa, że przygląda mu się w taki sposób, jakby odkrywał w jego duszy zakamarki, których istnienia nie podejrzewał.

– Martwi mnie, komisarzu, to pańskie osobiste podejście do sprawy. Pan... Coś takiego.

Pozostawia zdanie w zawieszaniu i kręci głową pokrytą gęstymi siwymi włosami. Teraz bawi się tabakierą. Wreszcie odkłada ją na czarne pole na szachownicy, jakby to była figura szachowa.

– Wyzwanie, mówi pan – ciągnie po chwili. – Być może z pańskiego punktu widzenia tak to wygląda. Ale snujemy jedynie domysły. Budujemy zamki z piasku... To tylko rozmowa.

Tizón nadal przygląda się klienteli kawiarni. W mieście nie brak szpiegów, którzy kontaktują się z Francuzami; wczoraj odbyła się egzekucja jednego z nich w zamku Świętego Sebastiana. Dlatego zostało wydane polecenie zaostrożenia kontroli emigrantów, nawet wtedy, kiedy przedstawiają się jako uciekinierzy z terytorium wroga, i zatrzymywania wszystkich, którzy docierają tu bez ważnych dokumentów. Mają teraz więcej pracy i kłopotów, ale Tizonowi bardzo to odpowiada: zarówno ostatnio przybyłe rodziny, jak i ci mieszkańcy i właściciele kwater, którzy je przyjmują, rozumieją, że musiały wzrosnąć oficjalne opłaty urzędowe, a w konsekwencji i te, które wręczają się jemu pod stołem. Właściciel zajazdu przy ulicy Flamencos Borrachos, który przyjezdnym wynajmuje pokoje bez odpowiedniego pozwolenia, zapłacił czterysta reali, żeby uniknąć trzykrotnie wyższej kary, natomiast pewien imigrant, którego paszport został sfalszowany za pomocą kwasu chlorawego, uniknął więzienia i wydalenia, wykładając dwieście reali żywą gotówką. To w sumie daje dzisiaj komisarzowi zysk trzydzieści peso, okrągłych jak trzydzieści słońc. Okrągła dniówka.

– *Ajas* – mówi głośno.

Hipolito Barrull, zaskoczony, spogląda na niego spod filizanki.

– Mówię o podobieństwie z rękopisem, który mi pan pożyczył – ciągnie Tizón. – Kilka dni temu znalazłem, niemal jeden obok drugiego, dwa wersy, które mnie zaniepokoiły. *Niewiasto! Milczenie niewiast ozdoba!* – brzmi jeden. A drugi: *Zali swych głośnym nie zawodził słowem, lecz głucho jęczał, by wół dziki rycząc.*

Barrull, odstawivszy na stolik filizankę, dalej przygląda mu się z uwagą.

– I co?

– Te dziewczyny były zakneblowane, kiedy je torturował... Nie widzi pan związku?

Rozmówca kręci głową z niechętną miną. Widzę natomiast, odpowiada, że posuwa się pan za daleko. Co doprowadzi pana do obsesji. *Ajas* to tylko tekst. Zbieg okoliczności.

– Zdziwiający, trzeba przyznać.

– Myślę, że pan przesadza. Zbyt wiele własnych spekulacji włącza pan do tej sprawy. Sądziłem, że jest pan rozsądniejszy... Zaczynam żałować, że pożyczyłem panu rękopis.

Chwila ciszy, kiedy Barrull zastanawia się nad swoimi słowami. To oczywiste, że poważnie traktuje całą sprawę.

– To musi być przypadek – stwierdza. – Nie sądzę, by morderca mógł to czytać. W Hiszpanii dotąd nie opublikowano tłumaczenia... Chyba że to ktoś bardzo wykształcony. A nie ma tu nadmiaru takich osób. Nawet biorąc pod uwagę imigrantów i przyjezdnych. Musielibyśmy go znać.

– Może go znamy.

Tego nie można wykluczyć, przyznaje profesor. Ale najpewniej to całkowity przypadek. Inna sprawa, że Tizón dostrzega związki. Ze w jego wyobraźni pojawiają się związki prawdziwe lub wymyślone. Czasami osoba z wyobraźnią okazuje się mniej zdolna do prawidłowej analizy. Podobnie jak w szachach. Fantazja może prowadzić dobrą drogą, ale

często rozprasza. W każdym razie warto nie ufać nadmiarowi własnej wiedzy, bo zdarza się, że człowiek przypisuje zbyt wiele cech faktom i przez to je ubarwia. A często to, co proste, okazuje się trafne.

– Najdziwniejsze – ciągnie Barrull – nie jest to, że ów zwyrodnialec zabija dziewczyny za pomocą kańczuga, ani to, że ofiary zawsze znajduje się w miejscach, gdzie spadły bomby... Ciekawe, komisarzu, jest to, że wszystkie te okoliczności zachodzą równocześnie. Rozumie pan? Razem. Wracając do szachownicy, to jest taki moment w rozgrywce, gdy pozycje różnych figur tworzą sytuację ogólną. Jeśli przyglądamy się każdej z nich z osobna, nie jesteśmy w stanie przeanalizować całości. Zbyttna bliskość utrudnia analizę tego, co widzimy.

Tizón wskazuje otoczenie, lokal wypełniony hałaśliwymi gośćmi.

– Teraz to skomplikowane miasto.

– Nie tylko. Kadyks jest konglomeratem ludzi, przedmiotów, stanowisk, terenem o szczególnym układzie. Być może morderca widzi miasto, jakiego my nie widzimy. I snuje swoją intrygę. Dostrzega plan, którego my nie dostrzegamy... Może gdyby pan spojrzął na wszystko z jego perspektywy, mógłby pan przewidzieć kolejne ruchy.

– Jak w szachach, ma pan na myśli?

– Może.

Profesor, zamyślony, bierze tabakierkę i wkładają do kieszonki w kamizelce. Potem stawia palec z pozółkłym paznokciem na pustym polu.

– Być może powinien pan – dodaje – nakazać pilnowanie tych miejsc, gdzie wybuchają bomby.

– Już to robię – mówi Tizón. – Kiedy tylko mogę, zawsze stawiam agentów w miejscach, które wydają mi się właściwe. Bez skutku. O ile wiemy, nie podjął kolejnych prób.

– Może ich obecność odwołuje go od tego zamiaru.

– Nie wiem. Może.

– Zgoda. – Barrull poprawia sobie okulary. – Postawmy jednak, komisarzu, pewną hipotezę.

Powoli, zatrzymując się od czasu do czasu, żeby uporządkować myśli, profesor przedstawia swoją teorię. Kiedy francuskie bomby zaczęły spadać na miasto, złożony świat umysłu mordercy mógł zacząć się rozwijać w nieprzewidzianym kierunku. Być może zafascynowała go potęga nowoczesnej techniki, zdolna posłać bomby w bardzo odległe miejsca.

– To wymagałoby pewnej kultury – upiera się Tizón.

– Bynajmniej. Nie jest ona niezbędna do pewnych uczuć czy przeczuć. Może je mieć każdy. Pański morderca może być człowiekiem wyrafinowanym albo kompletnym analfabetą... Wyobraźmy sobie kogoś, kto widząc, że niektóre bomby nie zabiły, decyduje się zrobić to za nie... Mogą do tego doprowadzić wyrafinowane procesy intelektualne albo zwykła głupota, wynik jest identyczny.

Barrull nabiera energii w miarę mówienia. Tizón obserwuje, jak się pochyla, opierając dłonie na stole po obu stronach szachownicy. Z tą samą miną, jaką przybiera, kiedy gra w szachy.

– Gdyby popełnianie zbrodni było, nazwijmy to, pierwotnym impulsem – ciągnie profesor – rozwiązanie takiego problemu zależałoby w większym stopniu od szczęścia niż od analizy – czy morderca znów zabije, popełni błąd, będzie miał świadków albo okoliczności pozwolą złapać go in flagranti... Rozumie pan, co mam na myśli, komisarzu?

– Tak sędzę. Sugeruje pan, że im inteligentniejszy jest sprawca, tym słabszy, wrażliwszy się okazuje.

– Istnieje i taka możliwość. Ten wariant daje więcej punktów zaczepienia pańskiemu śledztwu. Intryga, jakkolwiek skomplikowana czy perwersyjna by była, zawsze ma racjonalną

motywację, nawet jeśli tworzy ją zaburzony umysł. Zawsze pojawia się nitka, która pozwala rozplątać kłębek.

– Im więcej racjonalności, tym mniej śladów?

– Właśnie.

Tizón błyska złotym kłem. Zaczyna rozumieć.

– Mówi pan o logice makabry.

– Tak właśnie. Proszę sobie wyobrazić, na przykład, że morderca chce, z wyrachowania lub z powodu nieodpartego impulsu, coś upamiętnić w związku z bombami. Na przykład złożyć hołd technice. Poprzez zabijanie. Rozumie pan? Proszę zwrócić uwagę, że to ma sens: precyzja, technika, bomby i zbrodnie, wszystko się łączy. – Barrull odchyła się w tył, zadowolony. – Jak się to panu podoba?

– Interesujące. Ale nieprawdopodobne. Zapomina pan, że rozmawia z głupim i prostackim policjantem. W moim świecie jeden plus jeden zawsze daje dwa. I jeśli nie ma tych dwóch jedynek, nie ma też ich sumy.

– Puszczamy wodze fantazji, komisarzu. Z pańskiej inicjatywy. To tylko słowa, nic więcej, kawiarniane teorie. I to jedna z nich: morderca zabija tam, gdzie spadły bomby, które wybuchły, nikogo nie zabijając. Wyobraźmy sobie, że jego intencją jest poprawienie błędu techniki, który wystąpił z powodu pomyłki albo niedokładności. To byłoby fascynujące, nie sądzi pan? Dotrzeć tam, gdzie nauka nie dotarła. W ten sposób dochodzi do zbieżności między wybuchem bomby a ludzkim życiem... Podoba się panu taka teoria? Moglibyśmy stworzyć ich przynajmniej pół tuzina. Jedne ze sobą zgodne, inne sprzeczne. A żadna z nich niewarta funta kłaków.

Tizón słucha, ale zachowuje dla siebie komentarz, który już miał na ustach. Te nieszczęsne dziewczyny, zakatowane kańczugiem, jednak były rzeczywiste, myśli sobie. Ich rozszarpane ciało krwawiło, ich wnętrzności śmierdziały. Nie ma to nic wspólnego z arabeskami intelektu. Z salonowymi filozofiami.

– Uważa pan, że nie powinienem odrzucać możliwości, że to ktoś o dużej kulturze? Człowiek nauki?

Barrull robi nieokreślony ruch ręką. Jest niezadowolony. Zbyt konkretne pytanie jak dla mnie, znaczy ten gest. Nie zamierzałem posuwać się tak daleko. Ale chwilę później, jak się wydaje, zastanawia się nad tym.

– Nie zawsze kultura i nauka idą w parze – argumentuje, patrząc na pustą szachownicę. – Historia dowodzi, że mogą się one poruszać w przeciwnych kierunkach... Ale tak. Nasz morderca mógłby mieć pewną słabość do techniki. I, kto wie, może też gra w szachy.

– Szerokim gestem obejmuje całą kawiarnię. – Może teraz jest tu, gdzieś blisko. Składa hołd metodzie.

Upał. Jasne światło. Gwar ludzi bosych albo w słomianych butach, którzy znają się przez całe życie i dla których nie istnieje pojęcie intymności. Ciemne, niemal arabskie oczy. Skóra ogorzała od oceanu i słońca. Głosy młode i wesołe, niezrozumiałe dla obcych, z akcentem typowym dla niższych klas społeczności Kadyksu. Niewysokie domy, kobiety krzyczące do siebie z balkonów, rozwieszane pranie, klatki z kanarkami, brudne dzieciaki bawiące się na ziemi na wąskich, niewybrukowanych prostych ulicach. Krzyże, figury Chrystusa, Matki Boskiej i świętych w wykładanych kafelkami niszach na każdym rogu. Zapach bliskiego morza, spalonej oliwy i ryb w każdej z możliwych postaci – surowych, smażonych, pieczonych, suszonych, marynowanych, zgniłych, łby i ości, pośród których grzebią koty z zatłuszczonymi wąsami i wyliniałymi od świerzbu ogonami. Dzielnica La Viña.

Gregorio Fumagal skręca na lewo z ulicy Palma i ulicą Świętego Feliksa wchodzi w głąb dzielnicy rybaków i marynarzy. Idzie w tłumie, kierując się powonieniem, wzrokiem i słuchem, po niewielkiej przestrzeni, którą ten pstrokaty i kipiący życiem świat pozostawia



wolną. Preparator jest jak ostrożny owad poruszający czułkami. Dalej, tam gdzie kończą się domy, odsłania się widok przypominający otwarte drzwi albo szyjkę odkorkowanej butelki: ukazuje się część esplanady Kapucynów i obronne mury Vendaval, wyposażone w otwory strzelnicze z działami wycelowanymi na południe, ku Atlantykowi. Fumagal zatrzymuje się na chwilę, żeby zdjąć kapelusz i obetrzeć pot, a potem idzie dalej, szukając cienia tuż przy fasadach białych, niebieskich i w kolorze ochry. Pot jest szczególnie uciążliwy, bo rozpuszcza nową angielską farbę do włosów, kupioną wczoraj u Frasquita Sanlucara, która wszystko nieprzyjemnie brudzi na ciemny kolor. Cięży mu też zbyt gruby surdut, a jedwabna chustka, zawiązana jak krawat pod kołnierzykiem koszuli, uwiera bardziej niż zwykle. Słońce stoi już wysoko, co się czuje, bryza jest słaba w tej części miasta, a zbliżający się początek lata zapowiada, że będzie ono gorące. W otoczonym przez wodę Kadyksie, gdzie wiele ulic jest do siebie prostopadłych, żeby zasłaniać drogę podmuchom wiatru, wilgotny upał w stojącym powietrzu może być katastrofalny.

Mulat jest tam, gdzie być powinien, przychodzi na spotkanie równocześnie z Fumagalem. Można powiedzieć, że bardziej niż idzie – tańczy lekkimi, starannie obliczonymi, powolnymi krokami w rytm pierwotnej melopei, którą tylko on jeden słyszy. Jest w słomianych butach, bez skarpet i bez kapelusza. Ma na sobie spodnie do kolan z rozpiętymi na dole nogawkami, rozchełstana na piersi koszula pod krótką, wytartą kamizelką jest ściśnięta szerokim karminowym pasem. Przemysłowcy i rybacy w tej dzielnicy często noszą taki strój. Mulat jest wnukiem niewolników, urodzonym już na wolności, posiada niewielką łódź, na której odwiedza brzegi przyjacielskie i nieprzyjacielskie – bardziej jest przemysłowcem niż kimkolwiek innym. Właśnie ta afrykańska połowa krwi – która wyraźniej przejawia się w rysach twarzy niż w jej kolorze, dość jasnym pod opalenizną – sprawia, że jego ruchy są leniwe, ale gibkie. Wysoki, atletycznej budowy i z płaskim nosem ma grube wargi, baki i skręcone włosy przetykane siwizną.

– Małpka – mówi Mulat. – Wysoka na pół łokcia. Piękny egzemplarz.

– Żywa?

– Jeszcze tak.

Jestem zainteresowany, odpowiada Fumagal. Obydwaj mężczyźni zatrzymali się przed typową w tej dzielnicy knajpką: winiarnia z wąskimi ciemnymi drzwiami, z dwiema wielkimi kadiami z czarnego drewna w głębi, wióry na podłodze, kontuar i dwa niskie stoły, mocny zapach wina i zmiędzonych oliwek w misce stojącej w pobliżu na beczie. Rozmawiają głośno, Mulat zamawia dwie szklanki czerwonego wina i stają przy krótkim, lepiącym się kontuarze, obok marmurowego zlewu, pod wiszącym na ścianie obrazem przedstawiającym partyzanta o przydomku Krnąbrny. Małpa, wyjaśnia Mulat na tyle głośno, że barman wszystko słyszy, dotarła tu przed czterema dniami na pokładzie amerykańskiego statku. Ma długi ogon i jest cholernie brzydka. Rzadki egzemplarz, powiedział marynarz, który mu ją sprzedał. Makak z Indii Wschodnich. I raczej smutna, pewnie przyzwyczaiła się do statku i morza. Je owoce, pije bardzo mało wody, całe dni spędza w klatce, siedzi z rozłożonymi łapami i trze sobie kutasa.

– Wolę, żeby była martwa – mówi Fumagal. – Nie chcę komplikacji.

– Nie ma sprawy, proszę pana, zabiję ją.

Kiedy barman zdążył już poznać powód ich spotkania, obydwoj mężczyźni szybko opróżniają szklanki i wychodzą na ulicę, udają się w kierunku esplanady niedaleko murów i oceanu, z dala od niedyskretnych uszu. Mulat niesie w ręce – o skórce stwardniałej od wioseł, lin i sznurów – garść oliwek. Co dziesięć, dwanaście kroków unosi twarz i daleko wypluwa pestkę z głośnym mlaskiem języka i warg. Dochodząc do esplanady, zaczyna śpiewać kuplet, który od marca cieszy się w Kadyksie dużym powodzeniem:

*Raz trzy tysiące Francuzów*

*Zginęło w bitwie na wzgórzu  
Żeby rachunek był równy,  
Jeden pies padł od ich bomby.*

Melodia jest pocieszna, podobnie jak i tekst. I choć Mulat śpiewa, patrząc na fort Martires i pobliskie morze, z miną wskazującą, że myśli o innych sprawach, Gregoria Fumagala ogarnia irytacja.

– Proszę oszczędzić sobie tych głupstw – mówi.

Tamten spogląda na niego, unosząc brwi, z fałszywym zaskoczeniem na twarzy, które słabo maskuje bezczelność.

– To nie pańska wina – odpowiada ze spokojem w głosie.

– I tego proszę sobie oszczędzić. Moje winy to też nie pańska sprawa.

– Przejdźmy do spraw praktycznych. Do sedna.

– Z łaski swojej. Zbyt wiele ryzykujemy, żeby jeszcze tracić czas.

Przemytnik ukradkiem rozgląda się wokół. Nikogo nie ma w pobliżu. Jedynie o pięćdziesiąt kroków od nich więźniowie naprawiają mur uszkodzony przez morze.

– Pańscy przyjaciele kazali mi panu powiedzieć...

– To są także pańscy przyjaciele – precyzuje Fumagal.

– No cóż. – Mulat robi dwuznaczną minę. – Mnie oni płacą, proszę pana, jeśli już o tym mowa. Jak smarują, to jadę. Prawdziwych przyjaciół to ja mam gdzie indziej.

– Proszę się streszczać. Co ma mi pan do powiedzenia?

Przemytnik odwraca się bokiem, wskazuje ulicę, którą przyszli, i środek miasta.

– Z Cabezueli chcą strzelać jeszcze dalej. Przynajmniej do placu Świętego Franciszka.

– Do tej pory jeszcze tam nie docierają.

Nie moja sprawa, Mulat mówi obojętnym tonem. Ale taki mają zamiar. Potem przedstawia ich oczekiwania: nowe bombardowania zaczną się za tydzień i francuska artyleria potrzebuje planu wszystkich miejsc, gdzie spadną bomby. Codziennych informacji, z godzinami i odległościami, z zaznaczeniem, które wybuchły, a które nie, choć w większości będą bez prochu. Jako punktu odniesienia dla określenia odległości Fumagal ma używać dzwonnicy kościelnej.

– Będą mi potrzebne kolejne gołębie.

– Parę przywozłem z powrotem ze sobą. Belgijskie, roczne. Kosze są tam gdzie zwykle.

Obaj mężczyźni idą wzdłuż tarasu na esplanadzie Kapucynów. Za fortem, za otworami strzelniczymi z działami, widoczne jest morze z lekko wygiętą linią brzegu, podkreśloną murami aż do Bramy Ziemi i niedokończony jeszcze kopuły nowej katedry, a dalej faluje w drgającym rozgrzanym powietrzu odległa biała smuga piasku na mierzei.

– Kiedy wraca pan na tamtą stronę? – pyta Fumagal.

– Nie wiem. Prawdę mówiąc, sprawy mi się komplikują. Prawie nie ma tygodnia, żeby straże morskie nie wsadziły do paki kogoś, kto pływa po zatoce bez dobrych papierów. Władze nie mogą spać spokojnie z powodu imigracji i szpiegostwa... I nawet smarując, gdzie trzeba, nie zawsze można liczyć na wolność.

Idą spory kawałek bez słowa, mijają pracujących więźniów ze szmatami zawiązanymi na głowach, z nagimi torsami błyszczącymi od potu, który jak lakier pokrywa blizny i tatuaże. Z bagnietami nasadzonymi na lufy kilku żołnierzy w krótkich kurtkach i okrągłych kapeluszach galisyjskich wolontariuszy pilnuje ich bez przesadnego rygoru.

– Kilka dni temu była egzekucja kolejnego szpiega – nagle odzywa się Mulat. – Niejakiego Pizarra.

Preparator kiwa głową. Słyszał o tym, choć nie zna szczegółów.

– Znał pana?

– Na szczęście nie. – Cyniczny śmiech. – Gdyby tak było, nie spacerowalibyśmy sobie tutaj tak spokojnie.

– Mówił?

– Też pytanie! Wszyscy mówią, proszę pana.

– Sądzę, w takim razie, że pan też by mnie zdradził.

Krótką, znacząca chwila milczenia. Spoglądając ukradkiem, Fumagal zauważa kpiący uśmiech na grubych wargach swojego towarzysza.

– A pan?

Preparator zdejmuje kapelusz, żeby znów zetrzeć pot wilgociący futrówkę. Cholerna farba, mówi w myśli, patrząc na czubki palców.

– Mnie złapać jest trudniej – odpowiada. – Żyję dyskretnie. Ale pan ryzykuje, pływając swoją łodzią w tę i z powrotem.

– Jestem znanym przemytnikiem, to nic groźnego w Kadyksie, gdzie motyka może przyganiać gracy... Tutaj za to nie idzie się na ścięcie... Daleko do podejrzeń o szpiegostwo i stryczka. Dlatego nigdy nie noszę przy sobie żadnych papierów. – Mulat uderza się dłonią w czoło. – Wszystko mam tutaj.

A wracając do rzeczy, mówi dalej, są jeszcze inne kwestie. Przyjaciele z drugiej strony chcą dostać informacje o pływającej platformie, która być może szykuje się do kontratakowania baterii na Trocadero. I o tym, co robią Anglicy na redutach w Sancti Petri, Gallineras Altas i Torregordzie.

– To nie moje sprawy – oświadcza Fumagal.

– Sam pan wie najlepiej. Ja tu tylko pośredniczę. Są też bardzo zainteresowani wszelkimi wiadomościami o przypadkach zgniłej gorączki albo febry w Kadyksie... Rozumiem, że modlicie się, by wróciła żółta febra, która zabija wszystkich równo.

– To nie wydaje się prawdopodobne.

Kolejny raz rozbrzmiewa pełen kpiny śmiech przemytnika.

– Nadzieja umiera ostatnia, a letnie upały sprzyjają... Gdyby wybuchła epidemia, statki z zaopatrzeniem przestałyby zawijać do portu i źle by tu wszystko zaczęło wyglądać.

– Wątpię. Dzięki ubiegłorocznym zachorowaniom wielu ludzi nabrało odporności. Nie liczyłbym na takie rozwiązanie.

Mewy wśród głośnych krzyków szybują nad rozległym tarasem, znęcone przez rybaków. Mieszkańcy pobliskich domów spuszczają wędki do morza przez otwory strzelnicze, a znudzeni strażnicy obchodzą mury nic nie robią, żeby im przeszkodzić. Pągrusy, prażmy i dorady suną w górę, zawieszane na haczykach machają ogonami, dławią się powietrzem i przyskają wodą, lądując w koszach i drewnianych wiadrach. Żołnierze ze strzelbami na ramieniu podchodzą zapytać, czy ryby biorą, proszą o ogień i nawzajem z rybakami częstują się tytoniem. Pomimo wojny Kadyks pozostaje miejscem, gdzie się żyje i pozwala żyć.

– Nasi przyjaciele pytają o ludzi – ciągnie Mulat – co mówią, jak się czują. Czy są niezadowoleni i tak dalej... Oni chyba ciągle wierzą, że tu ludzie zaczną się burzyć, ale raczej tak nie będzie. Tutaj nie ma głodu. A na wyspie, gdzie mają gorzej z tymi bombardowaniami i są blisko frontu, wojskowi wszystko trzymają w garści.

Gregorio Fumagal nie odpowiada. Czasem sam siebie pyta, w jakim obłoku nierzeczywistości żyją ci ludzie po drugiej stronie zatoki. Oczekiwanie, że ludność Kadyksu wzniesie bunt, żeby poprzeć Napoleona, świadczy o kompletnej nieznajomości realiów. Prości ludzie wyznają przesadny wręcz patriotyzm, popierają wojnę na śmierć i życie i są zwolennikami liberalnej frakcji Kortezów. Wszyscy w mieście, od wojskowego gubernatora po najskromniejszego sklepikarza, boją się ludu i mu schlebiają. Nikt palcem nie kiwnął, kiedy wywlekano z domu gubernatora Solano. A kilka dni temu, gdy jeden z deputowanych z partii rojalistycznej sprzeciwił się wywłaszczeniom majątków arystokracji, trzeba było

zapewnić mu eskortę aż na pokład okrętu Królewskiej Floty, bo wiele dziwek i buntowników chciało dostać go w swoje ręce i się z nim policzyć.

Jednym z powodów, dla których nie pozwala się, by do sali u Świętego Filipa Neri wchodzono w płaszczach i pelerynach, jest troska, żeby publiczność nie wносиła broni.

– Myślę o tym nieszczęśniku – odzywa się Mulat. – O tym straconym.

Idą jakieś dwadzieścia kroków w ponurej ciszy, w której rozbrzmiewa jeszcze ostatnie słowo. Przemysłnik kołysze się na swoich długich nogach w lekkim tańcu, jakim jest jego chód. Nieco z tyłu, zachowując dystans, Gregorio Fumagal posuwa się krótkimi, ostrożnymi krokami, tak jak zazwyczaj chodzi. Każdy jego ruch wydaje się efektem przemyśleń, aktem świadomym, nigdy nie mechanicznym.

– Nie bardzo lubię sobie wyobrażać – dodaje Mulat – siebie z pętlą na szyi, z powrozem trzykrotnie zakreconym na gardle i z językiem na wierzchu... A pan?

– Niech pan nie gada bzdur.

Na wysokości klasztoru Karmelitów Bosych mijają kilka kobiet, które idą po esplanadzie śmiałym krokiem z dzbanami wody. Jedna z nich jest bardzo młoda. Fumagal, nieswój, dotyka włosów, żeby sprawdzić, czy nadal farbują. Cofa dłoń i widzi, że tak. Czuje się jeszcze bardziej brudny. I groteskowy.

– Myślę, że nie zostanę długo w tym interesie – mówi naraz Mulat. – Może nawet porzucę tę sieć, zanim ją wyciągną ze mną w środku... Zbyt długo dzban wodę nosi.

Znów milknie, idzie kilka kroków naprzód i spogląda na Fumagala.

– Naprawdę ryzykuje pan z własnej woli? I za darmo?

Preparator idzie przed siebie, nie odpowiadając. Kiedy kolejny raz zdejmuje kapelusz i ociera pot chustką, widzi, że jest cała zafarbowana i mokra. Zanoszą się na ciężkie lato, stwierdza. Pod każdym względem.

– Proszę nie zapomnieć o mojej małpce.

– O czym?

– O moim makaku z Indii Wschodnich.

– Ach, no tak. – Przemysłnik patrzy na niego, trochę zdezorientowany. – Małpa!

– Poślę po nią dziś wieczorem. Ma być zabita, tak jak się umówiliśmy... Jak pan zamierza to zrobić?

Mulat wzrusza ramionami.

– Sam nie wiem... Pewnie ją otruję. Albo uduszę.

– Wolę ten drugi sposób – mówi chłodno preparator. – Pewne substancje uniemożliwiają konserwację ciała. W każdym razie proszę uważać, żeby nie uszkodzić skóry.

– Oczywiście – odpowiada Mulat, patrząc na kroplę ciemnego potu spływającą po czole Fumagala.

Piątkowe popołudnie. Płótno rozciągnięte na wysokości górnego piętra tamuje światło wpadające na patio domu, gdzie wielkie donice z paprociami, pelargonie, bujane fotele i plecione krzesła rozstawione wokół ocembrowania studni stwarzają przyjemną, świeżą atmosferę. Lolita Palma pije łyk maraskino z wiśni, stawia kieliszek na szydełkowy obrus na niskim stoliku, obok srebrnego serwisu i butelek z likierami, i pochyla się nad matką, żeby jej poprawić poduszki na fotelu. Oschła, ubrana na czarno, z włosami schowanymi pod koronkowy czepek, z różańcem na szalu zakrywającym jej gors, Manuela Ugarte, wdowa po Tomasie Palmie, zajmuje najważniejsze miejsce podczas rodzinnego zgromadzenia, jak każdego dnia, kiedy ma nastrój odpowiedni, żeby wstać z łóżka. W domu przy ulicy Baluarte jest właśnie pora wizyt. Jest tam Cari Palma, siostra Lolity, ze swym mężem, Alfonsem Sole. A także Amparo Pimentel, leciwa wdowa z sąsiedztwa, która jakby należy już do rodziny, Curra Vilches i kuzyn Toño, stali bywalcy domu każdego dnia o tej porze i nie tylko o tej.

– Nie uwierzycie – mówi ten ostatni. – Mam najświeższe wieści.

– Uwierzę we wszystko, jesteście w Kadyksie – odpowiada Curra Vilches.

Ze swoją zwykłą swadą kuzyn Toño opowiada, co się wydarzyło. Ostatni pobór, zgodnie z którym do wojska mają zostać powołane setki sąsiadów z pierwszej kategorii rekrutacji – kawalerowie i żonaci oraz bezdzietni wdowcy – został zlekceważony, z każdych dziesięciu stawiała się tylko piątka. Reszta dekuje się w domach, próbuje zdobyć zaświadczenia albo zwolnienia lub zapisuje się do oddziałów miejscowych wolontariuszy, żeby tylko uniknąć wcielenia do armii. Niedawna bitwa z Francuzami pod Albuera, w Estremadurze, wygrana kosztem olbrzymich strat – półtora tysiąca Hiszpanów i trzy i pół tysiąca Anglików zabitych i rannych – nie sprawia, by zapał ogarnął nowych rekrutów. Dlatego też Kortezy wymyśliły pewną sztuczkę mającą rozwiązać problem: pobór został rozszerzony na rekrutów drugiej i trzeciej kategorii, po to żeby ci ostatni zadenuncjowali tych opieszalszych z poprzednich kategorii.

– Czyżby ciebie, kuzynie, dotyczyło to rozporządzenie? – pyta z kpiną Cari Palma, wachlując się.

– W żadnym wypadku. Jestem najdalszy od tego, by wojować o chwałę i laury. Pobór mnie nie dotyczy dlatego, że jestem synem wdowy, a poza tym zapłaciłem piętnaście tysięcy reali za zwolnienie od zaszczytu używania broni.

– To, że zapłaciłeś, rozumiem. Ale ten drugi powód? Przecież ciocia Carmela umarła przed ośmiu laty.

– Ale jednak umarła jako wdowa. – Z kieliszkiem w jednej ręce i butelką wina w drugiej kuzyn Toño ogląda pod światło szybko niknącą zawartość. – Zresztą jest tylko jedna kampania wojenna, w której chętnie wziąłbym udział: odbicie dla ojczyzny winnic w Jerez i w Sanlúcar.

– Z pewnością tam walczyłybyś jak lew – stwierdza Lolita z rozbawieniem.

– A żebyś wiedziała, moja miła. Z bagnetem czy bez niego. Krok za krokiem, piwnica za piwnicą... A swoją drogą, znacie tę historię o królu Pepe<sup>4</sup>, który przyjeżdża do Jerezu z wizytą i naraz wpada do kadzi z winem? Wszyscy Francuzi zaczynają krzyżeć: „Rzućcie mu linę, rzućcie mu linę!”. A on wystawia głowę i odpowiada: „Nie! Rzućcie mi trochę szynki i sera!”.

Lolita śmieje się tak jak wszyscy, choć szwagier Alfonso śmieje się tylko tyle, ile to konieczne. Jediną osobą, która pozostaje poważna i wyniosła, jest matka. Pobłażliwa, nieobecna mina, która informuje o zażyciu pięciu kropli laudanum rozpuszczanych trzy razy dziennie w szklance wody z kwiatem pomarańczy po to, by koić cierpienie spowodowane toczącym ją powoli rakiem. Manuela Ugarte ma sześćdziesiąt dwa lata i nie jest świadoma, że jej choroba jest śmiertelna; wie o tym tylko jej starsza córka, ta jednak nakazała milczenie lekarzowi, który postawił diagnozę. Wie, że w żaden inny sposób nie można jej pomóc. Zapowiada się, że choroba będzie rozwijała się dość wolno, finał nie jest przewidywany w najbliższej przyszłości; matka coraz wyraźniej odczuwa symptomy, ale na razie są one znośne, naprawdę silny ból jeszcze nie nadszedł. Z natury hipochondryczka przestała wychodzić na ulicę, zanim pojawiła się choroba, o której istnieniu jeszcze nie wie: spędza całe dni w łóżku w swoim pokoju i tylko popołudniami schodzi na chwilę, wsparta na ramieniu starszej córki, by latem usiąść na patiu, a w zimie – w salonie, i przyjąć gości. Jej życie płynie ustalonym rytmem, wśród domowych kaprysów, którym nikt się nie sprzeciwia, i opiatów, w nieświadomości rzeczywistego stanu zdrowia. Wyniszczenie powodowane tajemną chorobą łatwo można przypisać wiekowi, zmęczeniu, codziennej rutynie pustego, bezcelowego życia. Manuela Ugarte przestała być żoną dawno temu, rolę matki wypełniała w możliwie minimalnym stopniu, przekazując wszelkie obowiązki mamkom, nianiom i nauczycielkom. Lolita nie przypomina sobie, żeby kiedykolwiek została spontanicznie

---

<sup>4</sup> Zdrobienie imienia króla Józefa Bonaparte.

pocałowana. Jedynie jej starszy brat, poległy syn, sprawiał, że matowe oczy matki nabierały blasku. Francisco de Paula Palma, swobodny, dobrze wychowany, podróżujący, z praktyką w firmach handlowych w Buenos Aires, Hawanie, Liverpoolu i Bordeaux, miał kierować rodzinnym przedsiębiorstwem i wzmocnić jego pozycję poprzez korzystne małżeństwo z córką innego miejscowego kupca o nazwisku Carlos Power. Francuska inwazja zmusiła ich do przełożenia daty ślubu. Od pierwszej chwili w szeregach batalionu Strzelców Kadyksańskich, Francisco de Paula zginął 16 lipca 1808 roku, walcząc w gajach oliwnych w Andujar, podczas bitwy pod Bailen.

– Pamiętacie czasy wznoszenia fortyfikacji w Cortadurze? – pyta Curra Vilches. – Cały Kadyks jako ekipa budowlana, wszyscy nosili kamień, ramię w ramię. Święto ludowe z muzyką i posiłkami. Obok siebie szlachcic, kupiec, ksiądz i pospólstwo... Tyle tylko, że już po paru dniach niektórzy zaczęli płacić, żeby inni tyrali za nich. W końcu pracowała tylko garstka ludzi.

– Szkoda krat – stwierdza Cari Palma.

Matka potakuje ruchem głowy, nie otwierając ust, z gorzką miną. Wspomnienie krat w Cortadurze nie jest miłe w tym domu. W związku z robotami przy budowach obronnych w roku 1810, kiedy Francuzi już stali u bram, Regencja poza nałożeniem na miasto kontrybucji wysokości miliona peso zburzyła wszystkie podmiejskie rezydencje wypoczynkowe, które stały w okolicach mierzei – również tę należącą do rodziny Palma, która z powodu nadejścia Francuzów straciła już wcześniej dom letni w Chiclanie – i zażądała od mieszkańców Kadyksu dostarczenia żelaza z ogrodzeń i okien. Rodzina Palma posłusznie wysłała swoje kraty, łącznie z piękną kutą furką, która zamykała patio; była to ofiara zbędna, bo żelazo zostało zmarnowane, kiedy linia frontu ustaliła się na Lwiej Wyspie, a fortyfikacje Cortadury okazały się niepotrzebne. Jeśli coś oburza handlowego ducha rodziny Palma, nie są to poświęcenia spowodowane wojną – przede wszystkim strata syna i brata – ale bezsensowne wydatki, nadmierne kontrybucje i marnotrawstwo. Zwłaszcza że to właśnie dzięki kupcom, i w czasie pokoju, i w czasie wojny, Kadyks zawsze żyje.

– Wycisnęli nas jak cytryny – stwierdza szwagier Alfonso, zły jak zwykle.

– Do paelli – precyzuje kuzyn Toño.

Alfonso Sole zachowuje dystans, siedzi sztywno na brzegu wiklinowego fotela, nigdy się nie odpręża. Dla niego wizyty w domu przy ulicy Baluarte są przykrym obowiązkiem towarzyskim. Widać to po nim, a on nie stara się tego ukryć. W przypadku kupca z jego pozycją copiątkowe wizyty u szwagierki i teściowej są taką samą rutyną jak załatwianie korespondencji. To zastosowanie się do niepisanych norm obyczajowych socjety w Kadyksie. Związki rodzinne zobowiązują tu do pewnych zachowań wobec własnej klasy. Poza tym, kiedy w grę wchodzi firma Palma i Synowie, nigdy nic nie wiadomo. Przestrzeganie form towarzyskich jest też niezawodnym sposobem uzyskiwania kredytu finansowego. Jeśli pojawią się kłopoty – wojna i handel obfitują w niepomyślne przypadki – wszyscy wiedzą, że szwagierka nie odmówi pomocy, żeby utrzymał się na powierzchni. Nie ze względu na niego, naturalnie. Ze względu na siostrę. Ale wszystko zostanie w rodzinie.

Rozmowa nadal toczy się wokół pieniędzy. Alfonso Sole pomiędzy łykami herbaty – lubi bowiem podkreślać, iż kształcił się w Londynie – wyraża swój niepokój, że biorąc pod uwagę, jak wygląda sytuacja, Kortezy mogą nałożyć kolejne kontrybucje na kupców w Kadyksie. To byłoby fatalne, mówi, zwłaszcza że w Urzędzie Celnym zatrzymano przeszło pięćdziesiąt tysięcy peso należących do osób, które znajdują się na okupowanym terytorium kraju. Może je bezpośrednio przejąć skarb państwa.

– To byłaby niecna grabież – protestuje Lolita.

– Nazwij to, jak chcesz. Ale lepiej grabić ich niż nas.

Cari Palma potakuje każdemu zdaniu, otwierając i zamykając wachlarz. Najwyraźniej zadowolona ze stanowczości swojego męża spojrzeniem wyzywa każdego, kto by się

sprzeciwił. Oczywiście, kochany, mówi jej twarz. Nie może być inaczej. Naturalnie, najdroższy. Lolita już od dawna krytycznie patrzy na swoją siostrę. Fizycznie są bardzo podobne – Cari jest ładniejsza dzięki jasnym oczom i małemu zgrabnemu noskowi – lecz już od dziecka miały przeciwstawne charaktery. Lekkomysłna i niestała, podobna bardziej do matki niż do ojca, młodsza z panien Palma uznała swoje aspiracje za spełnione, wychodząc stosownie za męża, mimo że na razie jeszcze bezdzietna, już uzyskała odpowiednią pozycję społeczną. Kochająca swojego męża lub pewna, że go kocha, Cari patrzy na świat oczyma Alfonsa i mówi jego słowami. Lolita przyzwyczaiła się do tego, ale gdy ją dziś obserwuje, odczuwa pewien żal, nie o terażniejszość – domowe życie siostry nic jej nie obchodzi – ale o przeszłość: dzieciństwo, młodość, samotność, melancholia, szyby zasłonięte kroplami deszczu. Samotne popołudnia, kiedy pochylała się nad podręcznikami i zeszytami, uczyła się angielskiego, arytmetyki, księgowości handlowej, czytała o podróżach i zagranicznych obyczajach, podczas gdy Cari, zawsze frywolna i powierzchowna, układała sobie loki przed lustrem albo bawiła się w dom lalkami. Potem zabrakło brata, nadeszła odpowiedzialność za rodzinę – ciężar często trudny do udźwignięcia – matkę, zawsze oschłą i przesadnie wymagającą. Pojawiło się nieprzyjemne traktowanie, kiepsko maskowane – w tym także podczas cotygodniowych wizyt – ze strony szwagra Alfonsa i Cari, ślicznej królowej na balu, niezadowolonej, ze zmarszczonym noskiem, dlatego że Lolita, rezygnując z tylu innych rzeczy, prowadzi teraz rodzinną firmę, dziedzictwo rodziny Palma, stara się, by dobrze prosperowała, zyskując szacunek w mieście. I nie pozwala, żeby szwagier dobrał się do konfitur.

Brzęczy dzwonek przy żelaznej kracie i Rosas, majordomus, przechodzi przez patio, a gdy po chwili wraca, zapowiada nowych gości. Wchodzi kapitan Virues, w mundurze, w kapeluszu obszytym galonami i z szablą pod pachą, w towarzystwie Jorge Fernandeza Cuchillero, Kreola, który przebywa w Kadyksie jako przedstawiciel Buenos Aires w Kortezach: dwudziestosześcioletek, jasnowłosy, elegancki, przystojny, ubrany w popielatoszary frak, w podwójnym krawacie o końcach ściętych w szpic, w amerykańskim stylu, spodnie z paskiem i wysokie buty. Ma bliznę na twarzy. To chłopiec dobrze wychowany, uprzejmy, częsty gość w domu rodziny Palma, wywodzi się z kupieckiej rodziny pochodzącej z Asturii, z którą od lat istniały bliskie stosunki, teraz zakłócone przez rozruchy nad La Platą. Podobnie jak w przypadku innych deputowanych reprezentujących amerykańskie prowincje, w których trwa powstanie, polityczna sytuacja Fernandeza Cuchillero jest skomplikowana, odpowiednio do trudnych czasów, jakie stanęły przed hiszpańską monarchią: jest delegatem na kongres w Kadyksie z ramienia junty, która kieruje zbrojnym buntem przeciwko metropolii.

– Trzeba przynieść więcej wina – sugeruje kuzyn Toño.

Rosas odkorkowuje kolejną butelkę, schłodzoną w studni, a nowi goście siadają, komentując podwyżkę czynszu do czterdziestu reali, których domaga się właścicielka mieszkania od argentyńskiego deputowanego; był zmuszony wystąpić o pomoc do Kortezów.

– Tyle nie braliby nawet bandyci w Sierra Morena! – stwierdza.

Rozmowa schodzi na wydarzenia toczące się nad La Platą, działania podjęte z bazy morskiej w Montevideo w reakcji na poczynania powstańców i angielską propozycję mediacji przy pacyfikacji zbuntowanych prowincji w Ameryce. Fernandez Cuchillero opowiada, że w tych dniach debatuje się u Świętego Filipa Neri nad możliwością przyznania Anglii, w zamian za jej interwencję dyplomatyczną, przywileju ośmiu miesięcy wolnego handlu z amerykańskimi portami. On i inni zamorscy deputowani są zwolennikami takiego rozwiązania.

– To żałosne – surowo protestuje szwagier Alfonso. – Jeśli Anglicy raz dostaną wolny dostęp do tych portów, już ich nie opuszczą... Wiemy, jacy oni są!

– Sytuacja do tego dojrzała – potwierdza flegmatycznie amerykański deputowany. – Mówi się nawet, że jeśli ich propozycja nie zostanie przyjęta, są gotowi wycofać się z Portugalii, odstąpić od oblężenia Badajoz i zrezygnować z nowej bitwy, jaką planowali, by pokonać marszałka Soult...

– To czysty szantaż.

– Bez wątpienia, szanowny panie. Ale w Londynie nazywa się to dyplomacją.

– W takim razie Kadyks musi się postawić. Podobne rozwiązanie oznaczałoby koniec naszego handlu z Ameryką. Upadek miasta.

Lolita bawi się wachlarzem – czarnym, w chińskim stylu, z rysunkiem kwiatów pomarańczy – który leży złożony na jej podołku. Złości ją fakt, że w czymś zgadza się ze swoim szwagrem. Ale tak właśnie jest. I mówi to głośno.

– Stanie się tak wcześniej czy później – stwierdza. – Z ich mediacją czy bez niej. Zbuntowana Ameryka jest zbyt kusząca dla Anglii. Cały ogromny rynek amerykański do ich dyspozycji... Bardzo przez nas zaniedbany. I bardzo odległy. Obciążony podatkami, akcyzami, restrykcjami i biurokracją... Anglicy postąpią jak zwykle: będą grali rozjemców i zarazem piekli swoją pieczeń, tak jak teraz robią to w Buenos Aires. Są mistrzami łowienia ryb w mętnej wodzie.

– Nie powinnaś tak mówić, Lolito, to nasi sojusznicy.

Matka milczy, ma opuszczoną głowę i nieobecny minę. Równie dobrze może słuchać rozmowy, co unosić się w oparach laudanum. Napomnienie pochodzi od Amparo Pimentel. Ze swoim kieliszkiem anyżówki w ręce – sąsiadka pije już trzeci, jakby współzawodnicząc z miłośnikiem wina, kuzynem Toño – wygląda na oburzoną. Lolita nie jest tylko pewna, czy niezgoda dotyczy jej niepocholebnej opinii o angielskim narodzie, czy też tego, że kobieta wypowiada się swobodnie na tematy polityczne i handlowe. Jej ulubiony proboszcz z parafii Świętego Franciszka krytykuje czasami w swoich niedzielnych kazaniach takie niezależne zachowania pań ze śmietanki towarzyskiej Kadyksu. Lolita nie przejmuje się tym – dobrze by zrobiło każdemu proboszczowi zobaczyć trochę świata poza Kadyksem; ale sąsiadka, choć często bywa w domu rodziny Palma, zawsze miała wąskie horyzonty i staroświeckie poglądy. Jest klasycznie zachowawcza. Bez wątpienia Cari Palma stanowi dla niej wzór kobiety: zamężna, ostrożna, dbająca o swój wygląd i rodzinne szczęście swojego męża. Nie taka herod-baba, z palcami poplamionymi atramentem i donicami pełnymi paproci i dziwnych roślin zamiast porządnych kwiatów.

– Sojusznicy? – Lolita spogląda na nią lekko krytycznie. – Widziała pani kwaśną minę ambasadora Wellesleya?

– Albo minę jego brata Łelinktona? – dodaje rozbawiona Curra Vilches.

– Oni są sojusznikami tylko siebie samych – ciągnie Lolita.

– Przybyli na nasz półwysep wyłącznie po to, żeby osłabić Napoleona... Wcale im nie zależy na nas, Hiszpanach, a Kortezy mają za ognisko wywrotowych republikańskich idei. Pozwolić im na mediację w Ameryce to jakby wpuścić lisa do kurnika.

– Matko Boska, święty Boże. – Pani Pimentel żegna się znakiem krzyża.

Nie umknęły uwagi Lolity zadumane, dyskretne spojrzenia, jakie w jej stronę rzuca Lorenzo Virues. To nie pierwszy raz, kiedy wojskowy odwiedza dom przy ulicy Baluarte. Nigdy nie przychodzi sam ani się nie narzuca, jest przecież dobrze wychowanym oficerem. Złożył wizytę już trzykrotnie od przyjęcia u angielskiego ambasadora: dwa razy z Fernandezem Cuchillero i raz, kiedy przypadkowo spotkał kuzyna Toño na placu Świętego Franciszka.

– Czy powstanie w Ameryce Południowej bezpośrednio państwa dotyka? – pyta Virues.

Pytanie skierowane jest do Lolity, a jego zainteresowanie wydaje się szczere, wybiegające poza zwykłą uprzejmą rozmowę. Odpowiada, że owszem, dotyka. Bardziej, niżby tego chcieli. Niewola króla i ekscesy obecnej władzy skomplikowały całą sytuację: gubernator



Wenezueli i wicekrólowie nad La Platą i w Nowej Grenadzie są gotowi do buntu, a paraliż handlu i brak dopływu kapitałów pochodzących z tamtych stron mogą spowodować w Kadyksie poważne problemy z płynnością finansową, natomiast wojna z Francją, upadek krajowego rynku i przemysł niszczą tradycyjny handel. Niektóre miejscowe firmy, jak na przykład przedsiębiorstwo rodziny Palma, próbują odrobić szkody, zajmując się innymi działami gospodarki, reeksportem, spekulacją finansową i gruntową, wracając do starej zasady obowiązującej w czasach kryzysu: lepiej być pośrednikiem niż właścicielem.

– Ale są to tylko tymczasowe półśrodki – podsumowuje. – Na dłuższą metę nasze miasto jest skazane na upadek.

Szwagier Alfonso kiwa potakująco głową, niemal zaciskając zęby. Patrząc na jego kwaśną minę, można byłoby powiedzieć, że Lolita kradnie mu argumenty. I pieniądze.

– Sytuacja jest nieznośna. Dlatego nie stać nas na najmniejsze ustępstwa ani wobec Anglików, ani nikogo innego.

– Przeciwnie – stwierdza Fernandez Cuchillero, broniąc swojego stanowiska. – Trzeba negocjować, zanim będzie zbyt późno.

– Jorge ma rację – odpowiada Lolita. – Kupcy zapominają o przeciwnościach, kiedy mogą odrobić straty w nowych transakcjach... Jeśli Ameryka Południowa będzie rzeczywiście niepodległa, a porty dostaną się w ręce Anglików i Amerykanów z północy, nie będziemy mieli czym się pocieszyć. Straty będą nie do odrobienia.

– Dlatego nie można odpuścić ani na pół cala – twierdzi szwagier Alfonso. – Popatrzcie na Chile, jest nadal wierne Koronie. Podobnie Meksyk, mimo rewolty tego szalonego księdza, co gorsza, Hiszpana... A w Montevideo generał Elio dobrze sobie radzi. Ma silną rękę.

Ostatnim słowem towarzyszy aprobujący trzask wachlarza Cari Palmy. Lolita kręci głową, nie zgadza się z opinią szwagra.

– To właśnie mnie martwi. W Ameryce silna ręka się nie sprawdza. – Z sympatią opiera dłoń na ramieniu Fernandezza Cuchillero.

– Nasz przyjaciel jest tego najlepszym przykładem... Nie kryje, że popiera przeprowadzenie radykalnych reform w swoich okolicach, a mimo to jest w Kortezach. Wie, że to okazja, by walczyć z wszystko zatruwającym samowładztwem i despotyzmem.

– Tak właśnie jest – potwierdza Kreol. – To historyczna okazja, byłoby niewybaczalne, gdybym z niej nie skorzystał... A mówi to ktoś, kto walczył w Buenos Aires razem z generałem Liniersem pod hiszpańskim sztandarem.

Lolita zna ten epizod i wie, że jej gość jest skromny, ograniczając się tylko do takiej wzmianki. W latach 1806 i 1807 podczas angielskich inwazji w głąb rzeki La Plata Fernandez Cuchillero, podobnie jak inni młodzi ludzie z najlepszych rodzin, walczył w długiej, ciężkiej kampanii aż do kapitulacji wroga; w tej wojnie Wielka Brytania poniosła straty liczące przeszło trzy tysiące zabitych i rannych. Najlepszym świadectwem jego zaangażowania jest blizna na prawym policzku, zadrażnienie od kuli, która raniła go podczas obrony domu O’Gormana na ulicy Paz w Buenos Aires.

– Kiedy to się skończy, trzeba będzie stawić czoło nowemu światu – mówi Lolita. – Może będzie on bardziej sprawiedliwy, nie wiem. Ale będzie inny... Czy stracimy Amerykę, czy nie, czy Kadyks się uratuje, czy popadnie w ruinę, z Anglikami czy bez nich, o naszych więzach z Ameryką będą stanowić ludzie tacy jak Jorge.

– I handel – szorstko dodaje szwagier Alfonso.

Lolita się uśmiecha z wyrazem smutnej ironii na twarzy.

– Oczywiście. I handel.

Spojrzenie kapitana Viruesa nadal spoczywa na niej, co jej schlebia. Wojskowy jest przystojnym mężczyzną, niebieska kurtka z fioletowymi wyłogami i kołnierzem dodają jego wyglądowi dystynkcji. Lolita doznaje wewnętrznej przyjemności, jakby delikatnej pieszczoty jej kobiecej dumy, to jej wystarcza i nie tolerowałaby niczego więcej. Nie pierwszy raz

mężczyzna patrzy na nią w ten sposób, oczywiście. W swoim czasie była dość ładną dziewczyną i mimo wieku ma jeszcze sporo uroku, jej skóra jest jeszcze biała i jędrna, oczy ciemne i żywe, kształty powabne. Wąskie dłonie i małe stopy wskazują na dobre pochodzenie. Choć ubiera się z umiarem, zawsze na ciemno, od śmierci ojca – ten kolor sprawdza się, kiedy prowadzi pertraktacje handlowe – ma dobry gust kobiety wykształconej, jej suknie i buty są zawsze modne. Jeszcze należy do tej kategorii, którą w Kadyksie określa się jako *dziewczyna z możliwościami*, choć lustro pokazuje, że możliwości te maleją z każdym dniem. Wie jednak, że jest łakomym kąskiem dla łowców majątku. Jak często mawia kuzyn Toño, niejeden wilk krążył już wokół tej owieczki – Lolita też nie ma złudzeń. Nie należy do kobiet, które oszołomi eleganckie zachowanie, delikatne dłonie, frak zgodny z ostatnią modą albo krzykliwy mundur. Jej ojciec wychował ją tak, by miała świadomość, kim jest, a to pozwala jej przybrać zawsze, przy każdym męskim hołdzie, postawę uprzejmą, jakby lekko nieobecną. Udać obojętność, która pokrywa jej nieufność. Jak doświadczony pojedykowiec, który bez teatralnych gestów staje profilem do przeciwnika, żeby zminimalizować ryzyko zostania trafionym.

– Mówi się, że straciłaś statek – odzywa się Alfonso Sole.

Lolita patrzy na szwagra niemile zaskoczona. Zarozumiała arogant, myśli. Niezadowolony z kierunku, w jakim rozwinęła się rozmowa, próbuje się odpłacić z niemal dziecięcą zawziętością. Niezręczny, jak tylko on potrafi być. Z każdym dniem jest coraz bardziej wdzięczna swojemu ojcu, niech spoczywa w spokoju, że nie uczynił go swoim współnikiem.

– Tak. Razem z ładunkiem.

Można tak powiedzieć w skrócie. Nieprzyjemna sprawa. Przed czterema dniami „Tlaxcala”, szkuner płynący z Veracruz, z ładunkiem tysiąca dwustu sztab miedzi, trzystu pudełek z butami i pięciuset pięćdziesięciu kwintali cukru, przyjętym w konsygnację przez firmę Palma i Synowie, został przechwycony przez Francuzów już niemal u celu podróży trwającej sześćdziesiąt jeden dni. Dokonała tego korsarska feluka, która zazwyczaj wypływa z zatoki obok Roty i którą rybacy widzieli, jak ścigała szkuner dwie mile na zachód od przylądka Candor.

– Przynajmniej spadła cena polis ubezpieczeniowych po zawarciu pokoju z Anglią – zauważa szwagier złośliwie. – Może uda ci się szybko odrobić straty przy pomocy swojego korsarza.

Lolita, która w tej chwili patrzy na Lorenza Viruesa, widzi, jak przez jego twarz przemyka cień, kiedy słyszy słowo korsarz. Od czasu rozmowy po przyjęciu u angielskiego ambasadora żadne z nich nie wspominało o Pepe Lobo, ona jednak zakłada, że Virues na bieżąco śledzi kroki marynarza. Od chwili, kiedy korsarski kuter został uzbrojony przez firmy Sancheza Guinei i Palmy, niejednokrotnie pisały o nim gazety w Kadyksie. Pierwszą zdobyczą był bryg załadowany trzema tysiącami półkorców pszenicy, a potem doszło do szczęśliwego odbicia brygantyny płynącej z Puerto Rico z ładunkiem kakao, cukru i drzewa kampszewego, który sam jeden zapewnił zwrot początkowej inwestycji. Ostatnie wiadomości opublikowane w „Strażniku Kadyksu” dokładnie tydzień temu brzmiały: „Francuski kecz wpłynął razem z załogą pojmaną przez korsarski kuter «Culebra». Płynął z Barbate do Chipiony, wioząc okowitę, skóry, pszenicę i listy na pokładzie”... W gazecie nie napisano, że na pokładzie było też sześć dział ani że zdobyczy statek stawiał silny opór, a kiedy zrzucił kotwicę w porcie, przywiózł do Kadyksu dwóch członków załogi „Culebry” ciężko okaleczonych, a dwóch innych ludzi Pepe Lobo pochował w morzu.

Ogromny grot łopocze na wysokiej fali, pod silnymi podmuchami wiatru drży maszt i czarny kadłub statku. Na rufie, obok dwóch sterników pracujących przy żelaznym, pokrytym skórą rumplu, stoi Pepe Lobo i stara się utrzymać żagle w łopocie, na wietrze wiejącym od dziobu luźno powiewa sztaksel, a długi bom kołysze się nad jego głową. Czuć zapach

dymiących lontów armatnich tuż obok czterech dział sześciofuntowych na sterburcie, które pod okiem bosmana Brasero są wycelowane w tartanę unieruchomioną nieopodal, w zasięgu strzału z pistoletu; na niej luźno łopoczą obydwie trójkątne żagle z puszczoneymi szotami. Lobo wie, że na tym etapie lufy dział wycelowane wprost w kadłub ofiary bardziej służą wzbudzaniu respektu niż czemukolwiek innemu. Nie da się tak wystrzelić, żeby nie trafić przy okazji swoich ludzi, właśnie dokonujących pod dowództwem Ricarda Marańi abordażu; wrzeszczący oddział uzbrojony we włócznie, topory, pistolety i bułaty przez rufę atakuje załogę tartany, złożoną z około półtora tuzina zaskoczonych mężczyzn, zbitych w tłumek i cofających się przez pokład przed agresorami, którzy właśnie wskakują na statek. Na prawej burcie, pod mocowaniami want grotmasztu, pokrycie kadłuba i część relingu są rozbite w drzazgi: w ten sposób oznaczone jest miejsce, gdzie po pościgu i po abordażu – tartana próbowała uciec, nie zważając na sygnalizację – korsarski statek przybił do burty swojej ofiary na tyle czasu, ile potrzeba było, by dwudziestu uzbrojonych mężczyzn przeskoczyło z jednego pokładu na drugi.

Maraña jest w tym rzemiośle bardzo dobry. Jak nikt inny. W sytuacjach takich jak ta nie można pozwolić przeciwnikowi na chwilę namysłu, więc porucznik przykłada się do roboty i jest równie skuteczny jak zwykle. Pepe Lobo z dłońmi opartymi o reling kutra, bacząc na pozycję żagli i szotów w stosunku do wiatru, co pozwala utrzymać się na trawersie w stosunku do tartany, obserwuje, jak pierwszy oficer porusza się po pokładzie pojmanego statku. Błady, z gołą głową, ubrany na czarno od stóp do głów porucznik z „Culebry” trzyma szablę w prawej dłoni, w lewej ma jeden pistolet, a za pasem – drugi. Od kiedy przeszedł przez burtę, ani on, ani żaden z jego ludzi nie musieli oddać choćby jednego strzału, nie zadali jednego ciosu. Zaskoczeni szybkością napadu, wrzaskiem i wyglądem korsarzy marynarze z tartany nie stawiają oporu. Niektórzy robią gesty, jakby chcieli się bronić, ale w końcu rezygnują i cofają się. Przeraża ich gwałtowne zachowanie napastników, ich krzyki i groźby, zuchwały wygląd młodego dowódcy, który bezczelnie, z dezynwolturą kieruje ku nim czubek szabli, rozkazując, by oddali broń. Napadnięci cofają się aż do rumpla, który obija się o burty, bo nikt go nie trzyma. Bandera z dwoma paskami czerwonymi i trzema żółtymi, używana zarówno przez statki handlowe sprzyjające Józefowi Bonaparte, jak i królowi Ferdynandowi, powiewa na krótkim maszcie na zwieńczeniu rufy. A tam ktoś, kto wydaje się dowódcą tartany, macha ramionami, jakby zachęcał swoich ludzi do stawiania oporu albo może ich od tego odwodził. Z „Culebry” widać, jak rosły mężczyzna, trzymając w ręku duży nóż lub maczetę, staje naprzeciw Marani, ten jednak odsuwa go jednym pchnięciem, z zimną krwią toruje sobie przejście wśród załogi, dociera do dowódcy i nie tracąc ani odrobiny fasonu, opiera mu na piersi lufę pistoletu, a drugą ręką przecina krótkim ruchem szabli fał bandery, która spada do morza.

To samobójca, sukinsyn, mruczy przez zęby Pepe Lobo. Zawsze idzie pod pełnymi żaglami wprost do piekła. Markiz. Na dodatek uśmiecha się, odwracając się do bosmana Brasero.

– Klar na pokładzie – rzuca komendę. – Zablokujcie działa i spuście szalupę na wodę.

Bosman gwizdże i zaraz przebiega sześćdziesiąt pięć stóp długości kutra, wydając odpowiednie okrzyki. Na tartanie oddział abordażowy rozbiera przeciwników i zamyka ich pod pokładem. Marana podchodzi do relingu i daje znak, że statek poddał się i jest pod kontrolą: ramiona w górze, skrzyżowane nadgarstki. Potem odwraca się do zejściówki i znika. Lobo wyjmuje zegarek z kieszonki w kamizelce, sprawdza godzinę – jest dziewiąta czterdzieści osiem rano – i mówi pisarzowi pokładowemu, żeby odnotował wszystko w księdze zdobyczy. Potem spogląda przez lewą burtę w kierunku niewyraźnego kształtu słabo widocznego w szarej mgle, zasłaniającej linię brzegu: znajdują się na wschód od płycizny koło Aceitery, jakieś dwie mile na południe od przylądka Trafalgar. W ten sposób kończy się pościg rozpoczęty przy pierwszym świetle wschodu, kiedy z pokładu „Culebry” dostrzeżono

żagle kierującej się na północ tartany, bliskiej już przejścia Cieśniny Gibraltarskiej. Choć podpływali bez bandery, tamci zaczęli coś podejrzewać i próbowali forsować żagle na wschodnim wietrze, żeby schronić się w Barbate. Jednak „Culebra”, znacznie szybsza, z kadłubem pokrytym miedzią, ze wszystkimi żaglami w górze, łącznie z lataczami, dopadła statku w ciągu półtorej godziny. Korsarze podnieśli francuską banderę, tartana odpowiedziała podniesieniem swojej, nie zwalniając ani odrobinę – na oszukańczym morzu trudno spotkać kretynów – po czym kapitan Lobo kazał w końcu opuścić banderę francuską i podnieść hiszpańską korsarską, pieczętując ten ruch wystrzałem z działa. Zarzucił szoty za reling tartany, ustawił „Culebrę” burta w burtę, tak żeby wskoczył na nią Marana ze swoimi ludźmi, i to cała historia. Na razie.

– Majster!

Podbiega bosman Brasero. Czerstwy, o ogorzałej skórze, siwych włosach i wąsach. Bosonogi, jak niemal wszyscy na pokładzie. Jego twarz poprzecinana bruzdami, jakby wyciętymi nożem, promienieje radością ze zdobyczy. Załoga korsarskiego kutra jest teraz szczęśliwa: mężczyźni, spuszczać swoją szalupę na wodę i zbierając załogę, która zaprowadzi tartanę do portu w Kadyksie albo w Tarifle, snują domysły na temat towarów, jakie może wieźć przechwycona jednostka w swoich ładowniach, i w jakiej sumie zamknie się zysk dla każdego z nich, kiedy zdobycz już zostanie spieniężona na lądzie.

– Wyślij na górę dwóch ludzi z lunetą, niech pilnują, czy przypadkiem nie zbliża się jakiś statek. Zwłaszcza od nawietrznej... Żeby nas nie złapała brygantyna z Barbate, gdybyśmy na chwilę przestali uważać.

– Rozkaz, panie kapitanie.

Pepe Lobo jest przezornym marynarzem, woli unikać niespodzianek. Francuzi używają kotwicowiska między ujściem rzeki Barbate a mielizną przy Sanlucar jako miejsca postoju dla dość szybkiej, wyposażonej w dwanaście dział brygantyny, wyjątkowo złośliwej, która służy jako ich straż przybrzeżna. W morskiej zabawie w kotka i myszkę role się czasem odwracają i myśliwy staje się ściganym. Wszystko jest kwestią szczęścia, ale też dobrego oka i marynarskiego instynktu w tym zawodzie, gdzie rozsądne wątpliwości i ustawiczna nieufność wobec pogody, morza, wiatru, żagli, nieprzyjaciela, a nawet wobec własnych ludzi są cechami pomagającymi zachować wolność i życie. Przed tygodniem ze zgrzytaniem zębów musieli porzucić zdobycz, która już opuściła banderę – był to mały szkuner, którego dopadli w zatoce Bolonii – bo dostrzegli żagle francuskiej brygantyny szybko zbliżającej się od zachodu, a co więcej zmuszeni byli do bardzo niewygodnych manewrów przy wejściu do cieśniny, aby znaleźć się pod osłoną hiszpańskich baterii w Tarifie.

Szalupa wioząca pisarza, podoficera i załogę, która poprowadzi schwytany statek, już odbija od burty „Culebry”, marynarze mocno wiosłują na wysokiej fali. Tartana jest nadal w odległości strzału z pistoletu, w zasięgu głosu. Ricardo Maraña znów pojawia się na pokładzie z mosiężną tubą w ręce i krzyżąc, informuje Lobo o nazwie, ładunku i przeznaczeniu statku. Jest to „Teresa del Paño”, uzbrojona w dwa działa czterofuntowe, zarejestrowana w Maladze, w drodze z Tangeru do ujścia Barbate, z ładunkiem skór, oliwy, kadzi z oliwkami, rodzynek i migdałów. Pepe Lobo kiwa głową zadowolony. Przy tym ładunku i porcie docelowym każdy sąd morski uzna, że to właściwa zdobycz. Patrzy na wiatromierz, a potem przygląda się stanowi morza i chmur biegnących wysoko po szarym niebie. Wschodni wiatr zaczął wiać ostatniej nocy i utrzyma swoją siłę, nie będzie więc problemu z doprowadzeniem tartany do Kadyksu pod eskortą „Culebry”. Od trzech tygodni przemierzają wody między Gibraltarem a przylądkiem Santa Maria. Kilka dni w porcie wszystkim dobrze robi – coraz niższe wskazania barometru też do tego zachęcają, a może został już wydany wyrok w sprawie którejś z poprzednich zdobyczy, dzięki czemu oficerowie i załoga mogliby odebrać zysk, jaki zgodnie z Regulaminem Korsarskim i kontraktem z armatorami im się należy: załozde przypada jedna trzecia, z czego siedem części należy się kapitanowi, pięć – pierwszemu

oficerowi, po trzy dla bosmana i pisarza, po dwie dla każdego marynarza i po jednej dla chłopców pokładowych i służby, nie licząc ośmiu części zarezerwowanych dla ciężko rannych, sierot i wdów oraz na pogrzeby.

- Działa przejęte i zabezpieczone, kapitanie. Żadnych żagli w zasięgu wzroku.
- Dziękuję, Majstrze. Kiedy wróci pan Marana i oddział abordażowy, wybieramy szoty.
- Kierunek?
- Kadyks.

Na twarzy bosmana maluje się szeroki uśmiech, cieszy się także pierwszy sternik – mężczyzna silny i jasnowłosy o przydomku Szkot, choć nazywa się Machuca i pochodzi z San Roque – który słyszał ich rozmowę. Potem, kiedy Brasero zmierza na dziób, żeby sprawdzić, czy wszystko na pokładzie jest przygotowane, szoty i fały sklarowane do manewrów, zapalniki do dział pogaszone, naboje z prochem umieszczone w ładowni, a kule armatnie ułożone w jarzmach i nakryte płótnem, uśmiechem zaraża się reszta załogi. Nie są tacy najgorsi, jeśli wziąć pod uwagę, że Armia i Królewska Flota zabierają każdego, kto jest w stanie utrzymać strzelbę albo ciągnąć linę. W tych czasach wcale niełatwo było ich zamustrować. Spośród czterdziestu dziewięciu ludzi na pokładzie – łącznie z dziewięcioletnim chłopcem okrętowym i czternastoletnim pomocnikiem – jedna trzecia to ludzie morza, rybacy i marynarze znęcani perspektywą dobrych łupów i wypłatą stu trzydziestu reali co miesiąc – Lobo dostaje pięćset, a jego porucznik trzysta pięćdziesiąt – na poczet przyszłych zysków. Reszta to portowy motłoch, byli więźniowie bez krwi na rękach, którzy uniknęli poboru, przekupując urzędników na lądzie zaliczką, jaką dostali po zaciągnięciu się na „Culebrę”, i kilku cudzoziemców, zamustrowanych w ostatniej chwili w Kadyksie, Algeciras i Gibraltarze, żeby skompletować załogę, uzupełniając luki po stratach: dwóch Irlandczyków, dwóch Marokańczyków, trzech neapolitańczyków, angielski artylerzysta i jeden maltański Żyd. „Culebra” pływa od czterech miesięcy i siedem przechwyceń statków w tym czasie – na razie sąd morski rozstrzyga, czy są zgodne z prawem – to znakomity wynik. Wystarczający, żeby wszyscy ludzie na pokładzie byli zadowoleni z pływania po morzu i udziału w bitwach: krew polała się na szczęście tylko w dwóch akcjach.

Pepe Lobo zdejmuje kapelusz, podnosi twarz i spogląda na bocianie gniazdo ponad rogiem żagla, który cały czas łopocze, podczas gdy zawieszenie bomu piszczy na coraz wyższej fali.

- Widać coś od strony Barbate?

Z góry odpowiadają, że nie, morze jest czyste. Szalupa już wraca z tartany, wioząc na pokładzie Ricarda Marańę z jego ludźmi i pisarza, który przyciska do piersi księgę zdobyczy. Lobo wyjmuje z kieszeni krzesiwo, staje na zawietrznej tuż przy rufie i zapala cygaro. Statek składa się z drewna, smoły, prochu i innych substancji łatwopalnych, tylko kapitan i pierwszy oficer mogą palić na pokładzie o każdej porze, nie prosząc o pozwolenie, choć on stara się korzystać z tego przywileju możliwie najrzadziej. Nie jest zresztą tak uzależniony jak Ricardo Marańa, który – choć ma chore płuca i wszystkie chustki płami krwią – pali cygara tuzinami, jedno po drugim.

Kadyks. Perspektywa zawinięcia do tamtejszego portu podoba się też korsarzowi. Kuter potrzebuje kilku napraw i uzupełnień, a jemu nie zaszkodzi przejść się po sądach, żeby naoliwić dłonie, które przekładają papiery, choć wierzy, że panowie Sanchez Guinea, mając na względzie swoje udziały, sami już się tym zajmują. Pomijając sprawę sędziów i urzędników, kapitanowi „Culebry” dobrze zrobi rozprostowanie nóg na stałym lądzie. I o tym myśli, kiedy wypuszcza dym między zębami. Powłóczyć się po uliczkach w okolicach Santa Maria i po gospodach w Calecie. Tak. Jemu też potrzeba kobiety. Albo wielu kobiet.

Lolita Palma. To wspomnienie wywołuje na jego ustach grymas kpiny i zastanowienia, odnoszących się do niego samego. Opierając się o poręcz relingu, patrząc na zarys przylądka Trafalgar majaczący w oddali w podnoszącej się przybrzeżnej mgłę, Pepe Lobo snuje

refleksje i wspomnienia. Jest coś w tej kobiecie – i nie ma to nic wspólnego z pieniędzmi, rzecz doprawdy niecodzienna – co budzi niezwykle u niego emocje. Nie jest człowiekiem skłonny do introspekcji, ale sprawnym myśliwym, poszukującym zysku, szczęśliwego trafu, o jakim marzy każdy marynarz, fortuny, jaką przynosi morze temu, kto stara się i ryzykuje. Kapitan Lobo jest korsarzem z potrzeby, nie z powołania, taki ma sposób na życie. W takich czasach przyszło mu żyć. Odkąd zamustrował się pierwszy raz w wieku trzynastu lat, widział zbyt wiele ludzkich ruin, które kiedyś były tym, kim on jest teraz. Nie chce skończyć w portowej tawernie jako gawędziarz opowiadający – albo wymyślający – swoje życie młodym marynarzom za szklaneczkę wina. Dlatego myśli, uparcie i cierpliwie, o przyszłości z dala od tej niebezpiecznej okolicy, do której nigdy nie wróci, jeśli tylko uda mu się ją raz wreszcie porzucić: o kawałku własnej ziemi, dającym skromny dochód, domu z gankiem, gdzie można usiąść w słońcu, o miejscu, gdzie nie trzeba ciągle znosić chłodu i wilgoci deszczu i zimy. I o kobiecie, która ogrzeje łóżko i brzuch, dzięki czemu nie będzie musiał nasłuchiwać złowrogiego szumu wiatru ani niespokojnie spoglądać na barometr.

Kiedy wspomina Lolitę Palmę, po głowie błakają mu się złożone myśli. Zbyt złożone jak na jego zwyczaj. Choć jego szefowa i współpracowniczka jest właściwie nieznaną, z którą zamienił zaledwie kilka słów, korsarz wyczuwa u niej dziwną bliskość, nutę sympatii, pewną serdeczność i ciepło fizyczne. Pepe Lobo w zbyt wielu portach rzucał kotwicę, żeby się nadal okłamywać. Dlatego przypadek Lolity Palmy go zaskakuje. I niepokoi, bo tym razem jedne sprawy mieszają się z innymi. Ma dostęp do kobiet młodych i pięknych, choć często trzeba z góry uiścić należność, co właściwie jest uspokajające. Wygodne. Dziedziczka rodu Palma tymczasem z pewnością nie jest piękna. Czy raczej nie odpowiada kanonom kobiecej urody. Choć jest wcale niebrzydka, absolutnie. Ma regularne, ładne rysy, inteligentne oczy, można odgadnąć kształtne ciało pod strojem, który je okrywa. A przede wszystkim jest w niej, w jej sposobie mówienia i milczenia, w jej pogodnej powściągliwości, niezwyklej spokoj, powaga, która go intryguje i jakoś – korsarz nie ma jasności co do tego najważniejszego punktu całej sprawy – pociąga. I to właśnie go zaskakuje. I niepokoi.

Pierwszy raz zauważył to podczas wizyty, jaką pod koniec marca dożyła Lolita Palma na pokładzie „Culebry”, kiedy korsarska załoga szykowała się do wypłynięcia w morze. Pepe Lobo zaproponował jej takie odwiedziny, a ona – choć nie od razu – pojawiła się na pokładzie razem z panami Sanchez Guinea. Przytępnęła nagle z portu łodzią, z parasolką od słońca w ręku, w towarzystwie don Emilia i jego syna Miguela. Wizytę zapowiedziano w ostatniej chwili, zdążyli jednak doprowadzić kuter do stanu, w jakim można go oglądać, choć część wyposażenia nie została jeszcze zamontowana, jedna z dziesięciokwintalowych kotwic leżała na pokładzie, bom i reszta sprzętu obok gołego masztu, łódź z dodatkowym żelaznym balastem przycumowana do burty. Ale każdy fał leżał na swoim miejscu, olinowanie naprężone i świeżo nasmołowane, kadłub właśnie drugi raz pomalowano na czarno powyżej linii zanurzenia, reling i poręcze pachniały olejem tekowym, a pokład świeżo wymyto szczotkami ryżowymi i piaskiem. Dzień był słoneczny i przyjemny, woda wyglądała jak lustro i kiedy Lolita Palma weszła na pokład – nie chciała, żeby wciągnięto ją tam w gondoli, ale zdecydowanym krokiem przeszła po drewnianej kładce od sterburty, unosząc lekko spódnicę – kuter wyglądał pięknie, nieruchomo zakotwiczony na wprost cypla La Vaca i baterii w Corrales, ustawiony dziobem na lekki wiatr wiejący wzdłuż mierzei.

Sytuacja była dziwna. Po pierwszych powitaniach Ricardo Marana w czarnej kurtce z naprędcie zawiązanym krawatem czynił honory domu z elegancką powagą wyniszczonego abnegata pochodzącego z dobrej rodziny. Mężczyźni pracujący na pokładzie usuwali się na bok, sztywni i uśmiechnięci, z głupimi minami, jakie z niezręczną nieśmiałością przybierają skromni marynarze przyzwyczajeni do portowych dziwów, kiedy widzą damę lub kobietę, która może za taką uchodzić. Pepe Lobo, nieco z tyłu razem z panami Sanchez Guinea, obserwował, jak odwiedzająca ze swobodą poruszała się po statku, dziękując za wszystko

miłym uśmiechem, skinieniem głowy, trafnym pytaniem na ten czy inny temat. Ubrana była w ciemne szarości, z kaszmirowym szalem na ramionach, w angielskim słomkowym kapeluszu z szerokim rondem, lekko odchylonym do spodu, który obramowywał twarz, podkreślając jej inteligentne spojrzenie. Zwróciła uwagę na wszystko: na osiem dział sześciofuntowych, po cztery z każdej burty, z dwoma wolnymi otworami strzelniczymi na dziobie, gdzie można zamontować działa podczas pościgu; zagłębienia do instalacji katapult i działek mniejszego kalibru; listwy ustawione w wachlarz pod rumplem, tak żeby sternik mógł się na nich oprzeć przy większych przechyłach; pompę zęzową umieszczoną za świetlikiem w kokpicie; kluzy za masztem, przez które można spuszczać liny kotwiczne, i długi bom, niemal poziomy, ustawiony na bakburtę ponad przejściem. To wszystko jest charakterystyczne, wyjaśniał uprzejmie pierwszy oficer, dla tego typu szybkich i lekkich jednostek, mogących rozwinąć bardzo dużo żagla na jednym maszcie, znakomicie nadających się do korsarstwa, wożenia poczty i do przemytu, zwanych przez Anglików *cutter*, a przez Francuzów – *cotre*. Wbrew temu, czego się spodziewał, Pepe Lobo zauważył, że właścicielka rodzinnej firmy Palma porusza się swobodnie w tematyce morza i statków; do tego stopnia, że interesowała się takielunkiem i manewrami, zdziwił ją brak zewnętrznych drewnianych odbojnic, natomiast bardzo zaciekał wspaniałym maszt, wyraźnie nachylony w kierunku rufy: drzewo z Rygi, elastyczne i wytrzymałe, bez sęków, pochodzące z wielkiego francuskiego statku wyposażonego w siedemdziesiąt cztery działa, który należał do eskadry admirała Rosily'ego.

Przez chwilę pozostali sam na sam – po raz drugi, od kiedy Pepe Lobo ją zna – gdy Lolita Palma zrezygnowała z odwiedzenia międzypokładu. Wolę zostać tutaj, powiedziała. Jest piękny dzień, a ja nie czuję się najlepiej wewnątrz statków, trudno się tam oddycha. Darujcie mi, panowie, proszę. Ricardo Marańa zszedł z panami Sanchez Guinea pod pokład, gotów poczęstować ich tam kieliszkiem porto, a ona została na górze, oparta w rogu między rufą a relingiem, osłaniając się od słońca otwartą parasolką, i przyglądała się poprzez rozedrgane powietrze pobliskiej imponującej bryle ufortyfikowanej Bramy Ziemi, żaglom dużych i mniejszych jednostek pływających w różnych kierunkach. Tam właśnie Pepe Lobo i dziedziczka rodu Palma gawędzili przez kwadrans, nie rozmawiając o niczym nadzwyczajnym ani głębokim, tylko o statkach, wojnie, mieście i ruchu morskim, i pod koniec korsarz utwierdził się w przekonaniu, że ta kobieta, jeszcze młoda, nadzwyczajnie wykształcona i światła – był zaskoczony jej znajomością angielskiej i francuskiej terminologii żeglarskiej – nie jest taka jak kobiety, które poznał wcześniej. Ze jest w niej coś innego: spokojna wewnętrzna stanowczość, wiara w siebie i naturalna intuicja, z jaką ocenia ludzi wedle ich czynów i słów. Poza tym posiada pewien szczególny czar, trudny do określenia – choć słowo „ciepło” raz po raz przychodzi tu Pepe Lobo do głowy – związany z przyjemnymi cechami jej skóry, kobiecej i jasnej, z delikatnymi niebieskawymi żyłami widocznymi na nadgarstkach pomiędzy koronkowymi mankietami a ałasowymi rękawiczkami, jakie miała tego dnia, miłymi ustami, lekko rozchylonymi, kiedy słuchała tego korsarza, który nie zdawał się cieszyć jej najżywszą sympatią – tak przynajmniej wywnioskował z jej uprzejmego i nieco wyniosłego zachowania. Można powiedzieć, że dzięki swej ciekawości, równocześnie spontanicznej i wykalkulowanej, w stosunku do wszystkiego, co ją otacza, Lolita Palma nie straciła zdolności, by dać się zaskoczyć tym, co zadziwia w świecie zaludnionym istotami, które w ostatecznym rachunku nie zaskakują jej nigdy.

– Wszystko w porządku, kapitanie – melduje Ricardo Marańa.

– Potwierdzamy ładunek i port docelowy, wszystko bez zmian. Kazałem zabić i zapieczętować luki.

Nigdy w obecności załogi nie zwraca się do niego na ty, a Lobo odwzajemnia się tym samym. Cały oddział abordażowy już wrócił z tartany. Mężczyźni zostawiają broń w wiklinowych koszach stojących obok masztu i rozpierzchają się po pokładzie, hałaśliwi i zadowoleni, opowiadają swoim towarzyszom, jak przebiegało zdobywanie statku. Przy

skrzypieniu bloków sześciu marynarzy wyciąga na pokład jeszcze ociekającą wodą szalupę. Pepe Lobo wyrzuca niedopałek cygara i odchodzi od rufy kutra.

– Zatem to dobra zdobycz?

Maraña kaszle, do ust przykłada wyjętą z kieszeni kurtki chustkę, którą chowa, obojętnie obejrawszy plamki czerwonej śliny.

– Bywały gorsze.

Obaj wymieniają między sobą porozumiewawcze uśmiechy. Za pisarzem, który niesie patent, listę załogi i spis zajętego ładunku, na pokład wchodzi właściciel tartany, otyły jegomość o siwych bokobrodach, czerwonej cerze, już nie najmłodszy, z takim wyrazem twarzy, jakby świat mu się zawalił. Jest Hiszpanem, podobnie jak większość członków załogi, wśród której nie ma ani jednego Francuza. Maraña pozwolił mu schować swoje rzeczy do małego kuferka, jaki przywiózł oddział abordażowy z tartany, i który teraz porzucony pośrodku pokładu dodaje całej scenie patetyczności.

– Przykro mi, że musiałem przejąć pański statek – odzywa się do niego Pepe Lobo, dotykając kapelusza. – Zostanie odprowadzony razem z ładunkiem i dokumentami, bo uważam, że jest dobrym łupem wojennym.

Mówiąc to, wyjmuje z kieszeni cygarnicę i częstuje go, ten jednak odmawia zdecydowanym gestem ręki.

– To jest gwałt – mamrocze pod nosem oburzony. – Nie ma pan prawa.

Kapitan „Culebry” chowa z powrotem cygarnicę.

– Mam oficjalny patent korsarski, jak panu zapewne powiedział mój porucznik. Pan płynie z fakturowanym ładunkiem do portu nieprzyjaciela, a to jest wojenny przemyt. Poza tym nie zatrzymał pan jednostki, kiedy wywiesiłem moją banderę i potwierdziłem to wystrzałem armatnim. Stawiał pan opór.

– Niechże pan nie opowiada głupstw. Jestem Hiszpanem, tak samo jak pan. Muszę zarabiać na życie.

– Wszyscy zarabiamy.

– To przejęcie jest nielegalne... No i podpłynął pan z banderą francuską.

Pepe Lobo wzrusza ramionami.

– Zanim otworzyliśmy ogień, podnieśliśmy banderę hiszpańską, czyli wszystko było w porządku... W każdym razie, kiedy dotrzemy do portu, będzie pan mógł złożyć protest morski. Mój pisarz jest do pańskiej dyspozycji. – Kiedy odprowadzają na dół właściciela tartany, Lobo zwraca się do pierwszego oficera, który przysłuchiwał się całej rozmowie bez słowa, rozbawiony. – Proszę wydać komendę do wybrania szotów, nawigatorze. Kierunek zachód, kwarta na południowy zachód, żeby dostać się pod osłonę dział z Aceitery. Potem w górę.

– Czyli do Kadyksu?

– Do Kadyksu.

Maraña potakuje głową, nieporuszony. Z miną, jakby myślał o czymś innym. Jest jedyną osobą na pokładzie, która nie okazuje zadowolenia z perspektywy zejścia na ląd, ale to też należy do roli. Pepe Lobo dobrze wie, że w głębi duszy porucznik cieszy się z możliwości powrotu do nocnych wypraw do El Puerto de Santa Maria. Problem – a ryzykować będzie tak jak zazwyczaj – pojawi się, kiedy jedni albo drudzy zaskoczą go w połowie drogi. Jeśli wiemy sobie do znudzenia Markiz nie da się pojmać żywcem – bang, bang, a potem szabla, na przykład – tylko będzie do końca ciął wszystko, co spotka na drodze. Całkowicie w swoim stylu. A „Culebra” zostanie bez pierwszego oficera.

– Pójdziemy w konwoju z tartaną. Nie ufam tej feluce z Roty.

Maraña znów kiwa głową. On też nie ufa francuskiemu korsarzowi – od początku roku wyłapuje on wszystkie nieuważne statki, hiszpańskie czy obce, które nazbyt się zbliżą do wybrzeża między przylądkami Camarón i Candor. Ani wojennej marynarce angielskiej, ani



hiszpańskiej, zajętych większymi sprawami, nie udało się położyć kresu jego wypadom. Francuska bezczelność rośnie wraz z bezkarnością: cztery tygodnie wcześniej pewnej bezksiężycowej nocy doszło do tego, że feluka zdobyła przed nosem dział zamku Świętego Sebastiana pewien turecki kecz z ładunkiem orzechów laskowych, pszenicy i jęczmienia. Osobiście kapitan „Culebry” sam doświadczył, jak niebezpieczna jest ta feluka, którą dowodzi, jak mu opowiadano w Kadyksie – cała zatoka jest jak jeden dom – dawny pierwszy oficer na statku floty cesarskiej, który pływa z załogą francusko-hiszpańską. Ten sam korsarz, niezwykle szybki w stawianiu swoich łacińskich żagli, niebezpiecznie uzbrojony w sześć dział sześciofuntowych i dwie armatki dwunastofuntowe, był o krok od zrujnowania, czy raczej jeszcze gorszego zrujnowania, jego ostatniej wyprawy, którą pod koniec lutego odbył z Lizbony do Kadyksu jako kapitan handlowego brygu „Risueña”, a po której został bez pracy. Być może dlatego wspomnienie jest dwakroć bardziej niemiłe. Tych osiem dział sześciofuntowych, jakie teraz ma na pokładzie, wiele zmienia. Ale nie chodzi tylko o to. Mimo upływu czasu Lobo nie zapomina przykrych przeżyć, jakich dostarczyła im feluka podczas pościgu na wprost Kadyksu. Na jego liście osobistych spraw do załatwienia jedna pozycja jest grubo podkreślona i ma ona związek z tym statkiem i jego kapitanem. Choć morze jest wielkie, w jakimś zakątku, wcześniej czy później, zawsze każdego się spotka. Człowieka i statek. A kiedy ten moment nadejdzie, Pepe Lobo z przyjemnością wyrówna rachunki.

## Rozdział VI

Jak każdego ranka, po obchodzie kawiarni w mieście Rogelio Tizón każe sobie wyglansować buty. Pucybut nazywa się Pimporro. A raczej tak go nazywają. Tego dnia wieje spokojny wschodni wiatr, poranek kreśli pierwsze plamy słońca między markizami i płachtami żaglowego płótna łączącymi balkony nad ulicą Carne, cień pada dokładnie naprzeciwko stoiska z rycinami i obrazkami. Panuje upał, można przejść przez całe miasto i nie poczuć ani jednego podmuchu wiatru. Za każdym razem, kiedy kropla potu spływa po pochylonym nosie Pimporra i spada na błyszczącą skórę butów, pucybut – czarny jak pasta, której używa – usuwają szybkim ruchem palców i dalej robi swoje z pewną bardzo karaibską wirtuozerią na pokaz, uderzając od czasu do czasu szczotką w dłoń z głośnym trzaskiem. Klak, klak. Klak, klak. Tak jak zazwyczaj, pucybut bardzo się stara, czyszcząc buty Tizona, choć wie, że ten mu nie zapłaci. Nigdy nie płaci.

– Proszę postawić drugą nogę, panie komisarzu.

Tizón posłusznie zdejmuje nogę w wyglansowanym bucie i stawia drugą na drewnianej skrzynce pucybuta, który macha szczotką, klęcząc na ziemi. Oparty plecami o ścianę, w zsuniętym do przodu letnim kapeluszu z białej plecionki z czarną wstążką, trochę pogniecionym, wsunawszy kciuk lewej dłoni w kieszonkę kamizelki i trzymając laskę z brązową gałką w drugiej ręce, policjant przygląda się przechodniom. Choć trwają walki wzdłuż całego kanału oddzielającego Lwią Wyspę od stałego lądu, od trzech tygodni bomby nie spadają na Kadyks. Spokój odbija się w zachowaniu ludzi: kobiety gawędzą sobie z koszami na zakupy zawieszonymi na ręce, służące zamiatają w bramach, sprzedawcy od drzwi swoich sklepików spoglądają zachłannie na próżnujących cudzoziemców, którzy spacerują w tę i z powrotem albo myszkują w sklepie z obrazkami, gdzie są sprzedawane ryciny ukazujące bohaterów i wygrane, naprawdę lub według pogłosek, bitwy z Francuzami, liczne portrety króla Ferdynanda – na koniu, pieszo, cała postać lub górna połowa – wiszą przypięte wokół drzwi żabkami do bielizny, każdy patriota znajdzie coś dla siebie. Tizón śledzi wzrokiem młodą kobietę w mantylce i spódnicy z frędzlami podkreślającymi kołysanie jej bioder, kiedy przechodzi, stukając obcasami z szykiem. Z pobliskiej tawerny młody chłopak przynosi szklanekę chłodnej lemoniady, którą policjant stawia, bez należącego szacunku, pomiędzy dwiema wypalonymi świeczkami w niszy w murze, gdzie na kafelkach widnieje wizerunek Jezusa z Nazaretu krwawiącego, w koronie cierniowej, cierpiącego od ran i od panującego na ulicy upału.

– Czyli, kolego, nie masz nic nowego – odzywa się.

– Już panu mówiłem, komisarzu. – Murzynek całuje się w kciuk i palec wskazujący dłoni, ułożone w kształt krzyża. – Nic a nic.

Tizón pije łyk lemoniady. Bez cukru. Pucybut jest jednym z jego konfidentów, ogniwo najmniejsze, ale użyteczne – pastuje buty w śródmieściu – w rozległej siatce donosicieli, jaką dysponuje policjant: sutenerzy, prostytutki, żebracy, furmani, kelnerzy, służący, tragarze portowi, marynarze, dorożkarze i trochę niegroźnych przestępców, jak kawiarniani i uliczni oszuści, włamywacze do wozów i lektyk, złodzieje zegarków i kieszonkowcy. Ludzie na właściwym miejscu do poznawania cudzych tajemnic, podsłuchiwanie rozmów, oglądania

ciekawych scen, identyfikowania nazwisk i twarzy, które potem policjant sortuje i archiwizuje, by wykorzystać je w odpowiedniej chwili, dla celów służbowych albo we własnej sprawie: nie zawsze są to interesy zbieżne, ale często zyskowe. Niektórym konfidentom Tizón płaci. Innym – nie. Większość współpracuje z tych samych powodów co pucybut Pimporro. W takim mieście i w takich czasach, gdy na życie trzeba zarabiać lewą ręką, pobłażliwość policji stanowi najskuteczniejszą pomoc. Ale swoje robi też zastraszanie ludzi. Rogelio Tizón należy do tych przedstawicieli władzy, którzy zgodnie ze swym zawodowym doświadczeniem uważają, że warto zawsze zachowywać czujność i nigdy nie rezygnować z wywierania presji. Wie, że w jego zawodzie nie ma miejsca na sentymenty ani poklepywanie po ramieniu. I nigdy, od kiedy na świecie istnieją policjanci, nie było inaczej. On sam potwierdza to, jak tylko może, podtrzymując bez mrugnięcia okiem swoją złą reputację, choć w Kadyksie wielu ludzi wypiera się znajomości z nim, nigdy jednak – mając na względzie własne sprawy – na głos. I tak być powinno. Pewien rzymski cesarz, który przedkładał strach swoich podwładnych nad ich miłość, miał rację. Całą rację świata i jeszcze więcej. W pewnych sprawach skutek osiąga się tylko strachem.

Każdego ranka, między wół do dziewiątej a dziesiątą, komisarz obchodzi kawiarnie w mieście, żeby rozejrzeć się wśród nowych twarzy i sprawdzić, czy twarze znane nadal są na miejscu; kawiarnie Poczta, Apollo, Pod Aniołem, Pod Łańcuchami, Pod Złotym Lwem, cukiernie Burnela i Cosiego i kilka innych lokali stanowią najważniejsze stacje na tej trasie, z kilkoma przystankami pośrednimi. Mógłby zlecić obchód któremuś z podwładnych, jednak pewnych spraw nie można powierzyć obcym oczom i uszom. Tizón, policjant nie tylko z zawodu, ale i z instynktu, podczas tych porannych spacerów aktualizuje wizję miasta, które jest jego miejscem pracy, mierząc jego puls tam, gdzie bije on najwyraźniej. To moment na wysłuchanie po drodze zwierzeń, przeprowadzenie krótkich rozmów, uważne spojrzenia, obserwowanie pozornie banalnych znaków, co potem, po przeanalizowaniu w biurze listy podróży zarejestrowanych w zajazdach i na kwaterach, nadaje kierunek rutynowym czynnościom. Codziennym łowom.

– Gotowe, panie komisarzu. – Pucybut ociera pot wierzchem dłoni. – Jak dwa jaspisy.

– Ile ci płacę?

Pytanie jest takim samym rytuałem jak odpowiedź.

– Nic mi pan nie jest winien.

Tizón lekko uderza chłopca laseczką po ramieniu, wypija resztę lemoniady i idzie dalej ulicą, przyglądając się, zgodnie ze swym zwyczajem, przechodniom, których ze względu na strój i wygląd identyfikuje jako przyjezdnych. W Palillero widzi wielu deputowanych w drodze do Świętego Filipa Neri. Niemal wszyscy są młodzi, ubrani we fraki odsłaniające kamizelki, w lekkie kapelusze ze słomki lub konopi manilskich, krawatki w jasnych tonach, dopasowane spodnie albo bryczesy do wysokich butów z chwostami, zgodnie z modą panującą wśród tych parlamentarzystów, którzy mienią się liberałami, w opozycji do tych, którzy bronią na śmierć i życie absolutnej władzy króla i którzy ubierają się w sposób bardziej formalny, skłaniając się raczej ku surdutom i zakietom z okrągłymi połami. Zawsze chętni do kpiny mieszkańcy Kadyksu zaczynają nazywać tych ostatnich sługusami, wskazując, za kim stoi powszechna sympatia w debacie, coraz bardziej cierpkiej, nad tym, czy władza należy do króla, czy do narodu. Debata ta zresztą komisarza nic nie obchodzi. Liberałowie czy sługusy, królowie, regencje, zgromadzenia narodowe, komitety ocalenia narodowego czy sam Timur Groźny, ktokolwiek by rządził w Hiszpanii, każdy potrzebuje policji, żeby utrzymać naród w posłuszeństwie. Żeby przywrócić, po wykorzystaniu poklasku ludzi lub ich gniewu, porządek.

Mijając deputowanych, kierowany zawodowym instynktem Tizón pozdrawia ich, zdejmując z głowy kapelusz przed władzą z tą samą gorliwością, z jaką – nigdy nie wiadomo, kiedy się to może zdarzyć – wsadziłby ich do więzienia, gdyby dostał takie polecenie. Rozpoznaje pośród nich jasne, wodniste oczy, podobne do surowych ostrzyg, młodziutkiego

hrabiego de Toreno; dostrzega też długonogiego Agustina Arguellesa i Amerykanów – Mexlę Lequericę i Fernandezę Cuchillero. Tizón wyjmując zegarek z kieszonki kamizelki i stwierdza, że minęła dziesiąta. Choć codzienne sesje Korteżów oficjalnie zaczynają się punktualnie o dziewiątej, rzadko zbiera się kworum przed wpół do jedenastej. Szanowni panowie deputowani – i tu nie ma różnicy między liberałami a sługusami – nie lubią zrywać się o świcie.

Skrećiwszy na prawo w ulicę Verónica, komisarz wchodzi do sklepu z artykułami spożywczymi, który równocześnie jest winiarnią. Właściciel stoi za ladą i napełnia butelki, a jego żona zmywa w miednicy szklanki, nad głową ma zwisające z belki kiełbasy, a obok beczkę solonych sardynek.

– Mam pewien kłopot, kolego.

Winiarz spogląda na niego podejrzliwie, z wykałaczką w ustach. Od razu widać, że zna Tizona na tyle, żeby wiedzieć, że już wkrótce kłopot policjanta będzie jego kłopotem.

– Słucham pana.

Wychodzi zza lady, a Tizón prowadzi go w głąb sklepu, gdzie leżą worki z ciecierzycą i piętrzą się skrzynki ze sztokfiszem. Kobieta obserwuje ich nieufnie z kwaśną miną, nadstawiając ucha. Ona też zna komisarza.

– Wczoraj w nocy widziano tu ludzi. Co więcej, grali w karty.

Winiarz protestuje. To nieporozumienie, mówi, wypluwając wykałaczkę. Jacyś obcy zabłądzili, a on nie miał nic przeciwko kilku monetom. To wszystko. A co do kart, to oszczerstwo. Fałszywe świadectwo jakiegoś sąsiada, sukinsyna.

– Mój problem – ciągnie Tizón, niewzruszony – polega na tym, że muszę ukarać cię mandatem. Osiemdziesiąt osiem reali, mówiąc dokładnie.

– To niesprawiedliwe, panie komisarzu.

Tizón patrzy na sprzedawcę, aż ten spuszcza wzrok. Pochodzi z okolic Santander, z gór Barcena, jest wysoki i silny, ma sumiasty wąs, w Kadyksie mieszka całe życie. Dość spokojny, zdaje się. Typ człowieka, który ani się nie wtrąca, ani nie czepia. Jego jedyną słabością, podobnie jak wszystkich ludzi, jest chęć posiadania większych pieniędzy. A policjant wie, że w sklepie, kiedy zamyka się drzwi od ulicy, idzie gra w karty, wbrew zarządzeniu miejskich władz.

– Jeśli to niesprawiedliwe – odpowiada lodowato – to twój mandat właśnie urósł o dwadzieścia reali.

Góral błędnie, mamrocze słowa przeprosin i spogląda z ukosa na żonę. To nieprawda, że wczoraj ktoś tu grał, protestuje. To jest uczciwy sklep. Pan przekracza swoje uprawnienia.

– Teraz mamy już sto dwadzieścia osiem reali. Uważaj na język.

Góral zapiera się, oburzony, wali pięścią w worek z ciecierzycą, tak że kilka ziaren rozpryskuje się po ziemi. Twoje przekleństwa zostaną między nami, stwierdza Tizón, nie zmieniając tonu. Potraktuję je jako oznakę zdenerwowania i nie uznaję za publiczne używanie słów nieprzyzwoitych. Choć powinienem. Ale nie spieszy mi się. Możemy tak spędzić cały ranek, jeśli chcesz. Zabawimy twoją żonę i klientów: ty będziesz protestował, a ja będę podnosił mandat. A na koniec zamknę ci sklep. Czyli lepiej zostaw tę sprawę tak, jak jest. I będziemy kwita.

– Możemy się jakoś dogadać?

Policjant rozmyślnie przybiera dwuznaczną minę. Taką, która do niczego nie zobowiązuje.

– Mówią mi, że ci trzej, którzy tu wczoraj byli, to nietutejsi, trochę dziwni ludzie... Znałeś ich wcześniej.

Z widzenia, przyznaje winiarz. Jeden z nich mieszka w oberży Paco Peñi, na ulicy Amoladores. Niejaki Taibilla. Nosi klapkę na lewym oku i mówią, że był wojskowym. Każe się tytułować porucznikiem, ale góral nie wie, czy jest nim rzeczywiście.

– Ma pieniądze?

- Trochę.
- O czym rozmawiali?
- Ten Taibilla zna ludzi, którzy tu sprowadzają i wywożą cudzoziemców. A może on sam to robi, nie wiem.
- Na przykład kogo?
- Pewnego młodego czarnego niewolnika. Uciekiniera. Szukają go na angielskim okręcie.
- Za darmo? Bym się zdziwił.
- Podobno zabrał srebrną zastawę swojego pana.
- Dajmy spokój. Za dużo gadamy o jakimś czarnuchu.

Tizón wszystko notuje w pamięci. Zna sprawę – markiz Torre Pacheco jakiś tydzień temu zgłosił ucieczkę niewolnika i kradzież sreber – ale ta wiadomość może mu się przydać. Może się też opłacić. Jednym z jego zwyczajów jest nieokazywanie zbytniego zainteresowania słowami, jakie słyszy. To podniosłoby cenę towaru, a on woli kupować tanio.

- Daj mi coś lepszego. Mów.

Winiarz spogląda na żonę, która udaje bardzo zajętą zmywaniem. Opowiadali coś, ścisza głos, o jakiejś rodzinie, która jest w El Puerto de Santa Maria i chce się dostać do Kadyksu – to urzędnik z Madrytu z żoną i pięciorgiem dzieci, gotów zapłacić za podróż i załatwienie mu pozwolenia na pobyt.

- Ile?
- Chyba słyszałem, że przeszło tysiąc reali.

Komisarz uśmiecha się w myśli. On załatwiłby sprawę madrytczykowi za połowę tej sumy. Może nawet tak zrobi, jeśli ją pociągnie. Jedną z niezliczonych przewag, jakie ma nad takimi ciułaczkami, jak ten z klapką na oku, polega na tym, że w porównaniu z ich cenami te, których żąda on, są prawdziwą okazją. Na dodatek dostają jeszcze gwarancję absolutnej zgodności z prawem, prawdziwą pieczęć i żadnych kłopotów do końca. Bo przecież ostatnią instancją, która poświadcza autentyczność dokumentów, jest właśnie Tizón.

- Co jeszcze mówili?
- Niewiele więcej. Wspominano o jakimś Mulacie.
- Coś takiego, noc pełna kolorowych, jak słyszę... I co z tym Mulatem?
- Pojawia się tu i znika. Podobno często jeździ do El Puerto.

Tizón zapamiętuje ten szczegół i zdejmuje kapelusz, żeby otrzeć pot. Już wcześniej słyszał o Mulacie, właścicielu łodzi, który wozi przemyt z jednego brzegu na drugi, tak jak wielu; ważne, żeby nie przywoził ludzi. Trzeba będzie sprawdzić tego człowieka, stwierdza. Z kim rozmawia i gdzie bywa.

- Co jeszcze?

Winiarz robi nieokreślony gest.

– Ktoś chce dołączyć do rodziny, która jest po tamtej stronie... Wydaje mi się, że chodzi o jakiegoś wojskowego.

- Ktoś z Kadyksu?
- Tak zrozumiałem.
- Żołnierz czy oficer?
- Chyba oficer.
- To już nie przelewki. Słyszałeś nazwisko?
- Niestety nie.

Tizón drapie się po wąsach. Oficer gotowy przejść na stronę nieprzyjaciela to zawsze niebezpieczna sprawa. Jedzie tam, opowiada, żeby się wkupić w łaski, a od dezercji do zdrady droga jest niedaleka. I choć dezercjerzy należą do kompetencji służb wojskowych, to wszystkim, co łączy się ze szpiegostwem albo przekazywaniem informacji, zajmuje się jego biuro. Zwłaszcza teraz, kiedy uważa się, że szpiegdy są wszędzie. W Kadyksie i na wyspie ustanowiono surowe kary dla przewoźników i właścicieli łodzi biorących na pokład

dezertów, wydano także zakaz wysadzania na ląd każdego emigranta, który wcześniej nie przejdzie przez pokład statku celnego, zakotwiczonego w zatoce. Na lądzie wszyscy właściciele zajazdów, oberży czy pensjonatów mają obowiązek zgłoszenia nowych przyjezdnych, a każdy, kto porusza się po mieście, musi się legitymować listem uwierzytelniającym. Tizón wie, że gubernator Villavicencio ma przygotowane jeszcze ostrzejsze zarządzenie policyjne, przewidujące karę śmierci za poważniejsze przestępstwa, choć na razie opóźnia jego publikację. W obecnych warunkach taki ostry rygor prowadziłby do egzekucji jednej połowy miasta i zamknięcia w więzieniu drugiej.

– No dobrze, kolego. Gdyby tu wrócili, nadstawisz ucha i wszystko mi opowiesz, zrozumiałeś? A tymczasem zamykaj sklep wtedy, kiedy powinien być zamknięty. Zajmuj się swoimi sprawami i żadnych kart.

– A co z mandatem?

– Dziś masz szczęśliwy dzień. Zamkniemy sprawę czterdziestoma ośmioma realami.

W Kadyksie wilgotny upał doskwiera tak samo w słońcu, jak i w cieniu, stwierdza komisarz, kiedy wychodzi na dwór i mija ulicę San Juan de Dios w drodze do swojego biura w Komisariacie do spraw Włóczęgów, Próźniaków i Ulic: mieści się w starym budynku z żelaznymi kratami, przylegającym do klasztoru Świętej Marii, niedaleko Królewskiego Więzienia. Choć już blisko południa, mrowi się od ludzi przy straganach z owocami, jarzynami i rybami pod płóciennymi dachami, ciągnącymi się od Ratusza do Boquete i do bramy na nabrzeże. Zwabione przez towary wystawione na słońcu roją się muchy. Tizón poluznia krawat, który ściska mu gardło, i wachluje się kapeluszem. Wielką ulgą byłoby zdjęcie marynarki i zostanie w samej kamizelce i koszuli – choć z cienkiego lnu, cała jest przemoczona od potu – ale pewnych rzeczy dżentelmen ani komisarz policji nie może zrobić. Daleki jest od bycia tym pierwszym ani nawet się nie stara; jednak bycie tym drugim wymaga schludności. Nie same zalety ma jego pozycja i zawód.

Kiedy Rogelio Tizón skręca za róg przed kamiennym portykiem klasztoru Świętej Marii, z daleka dostrzega Szafota, swojego pomocnika, w towarzystwie sekretarza. Zapewne czekają już od dość dawna, bo idąc mu na spotkanie, wyglądają tak, jakby mieli bardzo ważne wiadomości. I pewnie są ważne, podejrzewa komisarz, bo inaczej sekretarz, biurowa mysz i zdeklarowany wróg ostrego światła, nie wyszedłby na ulicę w takie słońce.

– Co się dzieje? – pyta, kiedy się do niego zbliżają.

Bardzo pilnie obaj przekazują mu ostatnie wieści. Znalezione zabita dziewczynę. Tizonowi w jednej chwili przestaje doskwierać upał. Kiedy wreszcie udaje mu się wyartykułować jakieś słowa, czuje, że ma lodowate usta.

– W jaki sposób zabita?

– Zakneblowana, panie komisarzu. Z plecami rozdartymi uderzeniami kańczuga.

Patrzy na nich zaskoczony, starając się przyswoić tę wiadomość. Niemożliwe. Próbuje szybko myśleć, ale nie udaje mu się. W głowie tłuką mu się myśli.

– Gdzie?

– Bardzo blisko stąd. Na podwórzu zburzonego domu, na końcu ulicy Viento, tuż przed zakrętem... Znalazły ją dzieci, które poszły się tam bawić.

– Niemożliwe.

Sekretarz i pomocnik przyglądają się swojemu przełożonemu z nadzwyczajną ciekawością. Jeden poprawia sobie okulary na nosie, a drugi marszczy tępe czoło.

– Bez najmniejszych wątpliwości – mówi Szafot. – Ma szesnaście lat i mieszka tu w sąsiedztwie... Rodzina szukała jej od wczorajszego wieczoru.

Tizón kręci głową przecząco, choć sam nie wie dobrze dlaczego. Łoskot morskich fal uderzających w pobliski mur dobiega teraz z ogłuszającą siłą do jego uszu, jakby rozbijały się tuż pod jego butami, świeżo wypucowanymi przez Pimporra. Ten hałas ogłusza go jeszcze bardziej. Niezwykle zimno czuje w całym ciele, aż do szpiku kości.

– Mówię wam, że to niemożliwe.

Po ciele przebiegł mu dreszcz i widzi, że jego podwładni to zauważyli. Nagle czuje potrzebę, żeby usiąść. Spokojnie pomyśleć. Bez pośpiechu i w samotności.

– Została zabita tak samo jak poprzednie dziewczyny? Jesteście pewni?

– Dokładnie tak samo – potwierdza Szafot. – Dopiero co widziałem zwłoki. Od dobrej chwili próbuję pana znaleźć... Powiedziałem, żeby nie pozwolili ludziom się zbliżyć i żeby nikt niczego nie dotykał.

Tizón nie słucha. Niemożliwe, powtarza przez zęby. Kompletnie niemożliwe. Pomocnik przygląda mu się, nic nie rozumiejąc.

– Komisarzu, dlaczego pan ciągle to powtarza?

Tizón spogląda na pomocnika, jakby był kretyńcem.

– Bo tam nic nie spadło.

Mówi to wbrew woli, jakby zamierzał protestować. Brzmi to absurdalnie, jasna sprawa. Co sam dostrzega, kiedy słowa zostały wypowiedziane. Dlatego nawet się nie dziwi, widząc, że Szafot i sekretarz wymieniają między sobą niespokojne spojrzenia.

– Bo w mieście – dodaje – żadna bomba nie spadła już od tygodni.

Niewielki konwój – cztery szare wozy ciągnięte przez muły – z turkotem przejeżdża przez drugi most zbudowany z barek i posuwa się wzdłuż lewego brzegu rzeki San Pedro w kierunku Trocadero. Siedzący na tyle ostatniego wozu – jedyne, który jest zaopatrzonego w płócienny daszek osłaniający przed słońcem – ze zwieszonymi nogami, z szablą między nimi, w chusteczce na twarzy, żeby nie wdychać kurzu podnoszonego przez muły, kapitan Desfosseux traci z oczu ostatnie białe domki El Puerto de Santa Maria. Droga zatacza łuk, zgodnie z linią brzegu, między pustkowiem nad samą rzeką a terenem zalewowym, gdzie opadająca woda odsłania u ujścia szeroki pas błota pokrytego rzęsą, widać piaszczystą ławicę San Pedro na drugim planie, a w głębi ukazuje się niedostępny pośród błękitu nieruchomej wody Kadyks, ukryty za murami obronnymi.

Simon Desfosseux jest dość zadowolony. Ładunek wozów jest taki, jakiego się spodziewał, a on na dodatek właśnie spędził dwa przyjemne dni w El Puerto, ciesząc się wygodami dostępnymi na tyłach frontu – dobrym łóżkiem i przyzwoitym jedzeniem w miejsce czarnego chleba, pół funta twardego mięsa i ćwiartki kwaśnego wina codziennej racji – w oczekiwaniu na przybycie konwoju, który powoli jechał z Sewilli, eskortowany przez oddział dragonów i piechoty. Nie uchroniło to konwoju przed dwoma atakami partyzantów: pierwszy nastąpił przy oberży Baska u podnóża gór Gibalbin, a drugi w pobliżu Jerezu, podczas przekraczania w bród rzeki Valadejo. W końcu wozy i ładunek dotarły wczoraj bez innych strat, poza dwoma rannymi i jednym zabitym – młodym trębaczem, który zniknął, kiedy poszedł napełnić manierkę w strumyku. Rano został znaleziony nagi, przywiązany do drzewa, a jego wygląd wskazywał, że umieranie zajęło mu zbyt dużo czasu.

Porucznik Bertoldi, który jedzie w pierwszym wozie konwoju, pojawia się na poboczu, zapinając rozporek po tym, jak ulżył pęcherzowi w przydrożnych krzakach. Jest bez kapelusza i bez szabli, ma rozpiętą i kurtkę, i kamizelkę na brzuchu i skarży się na potworny upał. Skórę ma czerwoną jak Indianin na amerykańskiej prerii.

– Proszę mi dotrzymać towarzystwa – mówi do niego Desfosseux.

Podaje mu rękę i pomaga wdrapać się na tył wozu i usiąść obok siebie, w cieniu. Bertoldi dziękuje i zakrywa nos i usta brudną chustką, którą ma zawiązaną na szyi.

– Wyglądamy jak rozbójnicy grasujący po drogach – zauważa kapitan głosem stłumionym chustką.

Bertoldi śmieje się głośno.

– W Hiszpanii – zgadza się z kapitanem – wszyscy tak wyglądają.

Z tęsknotą w oku spogląda w tył, bo wykorzystał te dwa dni odpoczynku naprawdę znakomicie. Jego obecność nie była konieczna, jednak Desfosseux poprosił, by mu towarzyszył, świadomy, że adiutantowi dobrze zrobi nieco oddalenia od ognia hiszpańskich baterii, bez innych trosk poza tą, żeby utrzymać prosty chód mimo wiania w siebie zawartości wielu butelek. I o ile wie, tak właśnie było. Z tych dwóch nocy jedną Bertoldi spędził w piwnicy z winem, a drugą w burdelu, który został otwarty dla oficerów na placu Embarcadero.

– Ech, te Hiszpanki – wspomina rozmarzony. – Cholerny żabojad, mówią, kiedy się rozbierają, jakby ci chciały wykluć oczy. Takie ciemne, prawda? Takie prostackie, ze swoimi wachlarzami i różańcami. Wyglądają jak Cyganki, ale każą płacić, jakby były księżniczkami... Cholerne dziwki.

Desfosseux z roztargnieniem patrzy na krajobraz. Myśli o swoich sprawach. Od czasu do czasu pełnym miłości spojrzeniem, jakim odpowiedzialna kura obdarzyłaby swoje ulubione pisklęta, obrzuca, odwracając się lekko, ładunek jadący na wozie, przykryty płótnem i starannie umieszczony na słomie, pomiędzy drewnianymi klinami. Jego adiutant rzuca spojrzenie w tym samym kierunku i mruży oczy, uśmiechając się pod chustką.

– Wszystko w życiu w końcu przychodzi – mówi.

Kapitan artylerii kiwa głową. Warto było czekać, a przynajmniej wierzy, że tak jest. W podążającym w kierunku Trocadero konwoju są transportowane pięćdziesiąt dwie bomby z Sewilskich Odlewni wyprodukowane specjalnie do Fanfana: kuliste pociski do haubicy Villantroya-Ruty'ego kalibru dziesięciu cali, bez gwintu i bez skrzydełek, doskonale skalibrowane i wygładzone, w dwóch różnych modelach o nazwach Alfa i Beta. Na wozach jedzie osiemnaście sztuk pierwszego modelu i trzydzieści cztery – drugiego. Model Alfa to bomba konwencjonalna, podobnego typu co granat, o wadze siedemdziesięciu dwóch funtów, z otworem na lont, przenosząca ołów i proch w starannie wyważonej proporcji. Beta jest zupełnie okrągła, bez lontu i materiału wybuchowego, w środku ma tylko bezwładną ołowianą masę z otworami wypełnionymi piaskiem, dzięki czemu rozerwie się na kawałki podczas uderzenia, jej ciężar sięga osiemdziesięciu funtów. Te nowe bomby powstały w wyniku prób i długich prac, które w ciągu ostatnich miesięcy prowadził Desfosseux w baterii Cabezuela, są owocem żmudnych obserwacji, bezsennych nocy, częściowych sukcesów i porażek, wszystko to materializuje się teraz w tym transporcie. Dojdzie jeszcze pięć nowych dziesięciofuntowych haubic, które na podobieństwo Fanfana, choć z pewnymi ulepszeniami technicznymi, są właśnie odlewane w Sewilli.

– Użyjemy lekko wilgotnego prochu – nagle odzywa się kapitan.

Bertoldi patrzy na niego zaskoczony.

– Pana głowa nigdy nie odpoczywa?

Desfosseux wskazuje pył na drodze. Stąd właśnie wziął się pomysł. Kapitan ściągnął chustkę z twarzy i uśmiecha się od ucha do ucha.

– Jestem głupcem, że wcześniej o tym nie pomyślałem.

Adiutant marszczy brwi, poważnie zastanawia się nad całą sprawą.

– To ma sens – stwierdza.

Jasne, że ma, odpowiada kapitan. Chodzi o wzmocnienie początkowego wstrząsu prochu na ośmiu stopach długości duszy haubicy. Przy krótszej nie byłoby specjalnej różnicy: nawet lepiej, gdyby proch był suchy. Jednak w przypadku długich haubic większego kalibru, jak Fanfan i jego przyszli bracia, mniej gwałtowny zapłon lekko wilgotnego prochu może zwiększyć siłę wyrzutu pocisku.

– Trzeba spróbować, prawda? Skoro nie mamy moździerzy, spróbujemy z wilgotnym prochem.

Śmieją się jak uczniacy za plecami nauczyciela. Nikt nigdy nie przekona Simona Desfosseux, że gdyby używali moździerzy zamiast haubic, nie osiągnęliby lepszych wyników



i nie zwiększyli zasięgu rażenia na cały Kadyks. Ale słowo „moździerz” pozostaje zakazane w sztabie głównym marszałka Victora. Mimo wszystko kapitan wie, że aby osiągnąć to, czego się od niego wymaga, konieczna jest większa średnica lufy niż ta, jaką mają haubice. Już go bolał szczęki od powtarzania, że z tuzinem moździerzy kalibru czternaście cali z cylindryczną komorą i z podobną liczbą dział czterdziestofuntowych mógłby Kadyks obrócić w ruinę, jego ludność zastraszyć, a powstańczy rząd zmusić do szukania schronienia gdzie indziej. Przy takich środkach byłby gotów podpisać każdą gwarancję, że po zaledwie miesiącu działań pokryje bombami całe miasto, wprowadzając powszechny chaos. I dysponując porządnymi granatami, zaopatrzonymi w lonty i wybuchającymi, kiedy dotrą do celu. Takimi pociskami, jakie powinny być naprawdę. Ale nikt nie zwraca uwagi na jego słowa. Victor, zgodnie z osobistymi instrukcjami cesarza i wszystkich trutni z cesarskiego sztabu głównego, niepotrafiących sprzeciwić się żadnemu pomysłowi czy kaprynowi Napoleona, żąda, by przeciw Kadyksowi używać haubic. A skoro marszałek upiera się przy swoim na każdym ze spotkań, podczas których jest mowa na ten temat, mają pociski, które po dotarciu do celu wybuchają lub nie wybuchają. W zamian pojawia się stosowny artykuł w gazetach Madrytu czy Paryża – „Centrum Kadyksu pozostaje pod ciągłym ogniem naszych dział” czy coś w tym rodzaju – a książkę de Bellune proponuje dużo hałasu i niewielki efekt. Natomiast Simon Desfosseux, którego w życiu interesuje jedynie kreślenie artyleryjskich parabol, podejrzewa, że nawet nie ma gwarancji hałasu. Wcale nie jest też przekonany, iż Fanfan i jego bracia, choćby byli oznaczeni wszystkimi literami greckiego alfabetu, od alfy po omegę, usatysfakcjonują jego szefów. Nawet z nowymi działami prosto z Sewilli idealny zasięg trzech tysięcy węzłów będzie trudny do osiągnięcia. Kapitan liczy, że przy silnym wschodnim wietrze, odpowiedniej temperaturze i sprzyjających pozostałych warunkach może osiągnąć do czterech piątych tej odległości. Dotarcie do centrum Kadyksu byłoby fantastyczne. Fanfan znajduje się od dzwonnicy na placu San Antonio dokładnie w odległości dwóch tysięcy ośmiuset siedemdziesięciu węzłów, co Desfosseux ma starannie wyliczone na planie miasta i obsesyjnie wyryte w głowie.

Rogelia Tizona biorą diabli. Wciąż chodzi w tę i z powrotem, zatrzymuje się i znów idzie po swoich śladach. Przygląda się każdym drzwicom, każdemu zakrętowi, każdemu odcinkowi ulicy, po której wędruje od wielu godzin. Wygląda jak ktoś, kto coś zgubił i niezdecydowanie rozgląda się wkoło, przeszukuje bez przerwy kieszenie i szuflady, wraca raz po raz w to samo miejsce z wiarą, że wreszcie trafi na jakiś ślad zgubionej rzeczy albo przypomni sobie, jak ją zgubił. Niewiele brakuje do zachodu słońca i zakamarki ulicy Viento zaczynają zapełniać się cieniami. Pół tuzina kotów wyleguje się na kupie gruzów i odpadków przed domem, na którym szlachecki herb, zniszczony przez deszcze, przeziera przez bieliznę rozwieszoną pomiędzy górnymi oknami. Dzielnica marynarzy i biedaków. Znajduje się w wyższej części miasta, blisko Bramy Ziemi, w dawnych czasach przeżyła swój złoty wiek, którego ślady ledwo można dostrzec – kilka niewielkich sklepów i parę rodowych posiadłości zamienionych w domy czynszowe, gdzie gnieźdzą się rodziny biedaków z licznym potomstwem, a także – od początku francuskiego oblężenia – żołnierze i ubożsi emigranci.

Budynek, w którym znaleziono zabitą dziewczynę, stoi za zakrętem ulicy, niemal przy placu, który opadając, rozszerza się w kierunku ulicy Santa Maria i muru klasztoru pod tym samym wezwaniem. Tizón wraca, przechodzi powoli, znów rozgląda się na lewo i prawo. Wszystko, czego był pewien, rozpaczliwie posypało się w gruzy i teraz nie potrafi nadać nowego porządku myślom. Spędził pół dnia na potwierdzaniu przyprowadzającej go o rozpacz rzeczywistości: tutaj nigdy nie spadła żadna bomba. Najbliżej o trzysta łokci stąd, przy ulicy Torno i obok kościoła Merced. Tym razem nie można podejrzewać, bardzo nawet naciągając fakty, że istnieje związek między śmiercią dziewczyny a miejscem, w które uderzyły francuskie bomby. Nie ma w tym nic zaskakującego, gorzko gani sam siebie w myślach.

Właściwie nigdy nie było solidnych podstaw, by myśleć, że taki związek istnieje. Tylko ślady na piasku, jak wszystko inne. Piruety wyobraźni, która robi mu kiepskie kawały. Głupie żarty. Tizón przypomina sobie Hipolita Barrulla, co jeszcze pogarsza i tak zły humor komisarza. Jego szachowy przeciwnik z kawiarni Pocztovej będzie się skręcał ze śmiechu, kiedy mu o wszystkim opowie.

Policjant wchodzi do domu, w którym panuje zapach brudu i opuszczenia. Popołudniowe światło szybko znika i w korytarzu przy wejściu panuje już mrok. Pozostał tylko prostokąt światła na patiu, na dole dwupiętrowego budynku z oknami z powybijanymi szybami i galeriami, z których dawno wyrwano żelazne balustrady. Na połamanych ceramicznych płytach na patiu bure plamy zakrzepłej krwi znaczą miejsce, gdzie znaleziono dziewczynę. Została zabrana około południa, po tym jak Tizón obejrzał ciało i przeprowadził odpowiednie badania. Wyglądała tak samo jak trzy poprzednie ofiary: ręce związane z przodu, zakneblowane usta, plecy nagie, zmasakrowane uderzeniami kańczuga, które rozorały ciało i odłoniły kości kręgosłupa od pasa aż po podstawę czaszki, a także łopatki i początek żeber. Tym razem morderca był szczególnie rozjuszony; wyglądało to tak, jakby dzikie zwierzę pożarło skórę i mięso na plecach. Kiedy usunięto knebel, stwierdzono, że dziewczyna sama połamała sobie zęby, zaciskając je w konwulsjach agonii. Straszliwy widok. Obok suchego strupa na ziemi jest też żółta plama, która do tej pory śmierdzi. Jeden z ludzi Tizona – skądinąd zaprawionych w oglądaniu bestialstwa – na ten widok zwymiotował wszystko, aż do swojej pierwszej papki w niemowlęctwie.

Dziewica, potwierdziła ciotka Pietrucha. Tak jak pozostałe. Znowu bandyta nie tego szukał. Jak ustalił Tizón, dziewczyna zniknęła wczoraj wczesnym wieczorem, kiedy wracała do domu na ulicy Higuera; przedtem odwiedziła chorego krewnego mieszkającego na ulicy Sopranis i kupiła butelkę wina dla ojca. Zbrodnia nie wygląda na przypadkową: dziewczyna wychodziła z domu krewnego codziennie o tej samej porze. Morderca musiał obserwować ją od jakiegoś czasu i wczoraj postanowił pójść za nią, dopadł ją koło opuszczonego domu i siłą zaciągnął na patio – potłuczoną butelkę znaleziono przy wejściu. Niewątpliwie znał okolicę, przestudiował każdy szczegół pod kątem przydatności do swoich celów. Choć zakręt ulicy Viento nie jest miejscem zbyt ludnym, jacyś ludzie jednak tędy chodzą. Działanie mordercy wskazuje na sporą śmiałość, za każdym razem narażał się na nadejście przechodnia albo ciekawość sąsiada. Nie brak mu zimnej krwi. Związanie i zakneblowanie ofiary, a potem metodyczne skatowanie jej ciosami kańczuga – wszystko to wymagało co najmniej dziesięciu, piętnastu minut.

W powietrzu jest coś, co intryguje policjanta, choć nie od razu to sobie uświadamia. Chodzi o atmosferę, o jej brak albo jakąś jej zmianę. Jakby to był punkt w przestrzeni, gdzie temperatura, dźwięki, a nawet zapachy ulegają zawieszeniu i tworzy się próżnia. Jakby przechodząc z jednego miejsca w drugie, nieoczekiwanie mijało się po drodze ten punkt, gdzie powietrze jest nieruchome. W każdym razie dziwne uczucie w takim miejscu, które się nazywa – wcale nieprzypadkowo, bo blisko tu do tej części murów, które wychodzą na morze i są narażone na nadciągające od niego wichury – ulicą Wiatru. Koty, które wśliznęły się za Tizonem do wnętrza domu, teraz odpędzają od niego takie myśli. Podchodzą cicho i ostrożnie, uważnie przyglądają się wzrokiem myśliwego. To jest ich terytorium, pełno tu szczurów; na zwłokach dziewczyny widoczne były ślady ich ugryzień. Jeden z kotów próbuje ocierać się o wysokie buty policjanta, ten jednak odpędza go laską. Zwierzę dołącza do pozostałych kotów, liżących suchą plamę krwi. Tizón siada na połamanych stopniach zrujnowanych marmurowych schodów i zapala cygaro. Kiedy wraca myślą do dziewczyny, dziwne wrażenie ustępuje.

Cztery zabite i ani jednego śladu, który byłby coś wart. Poza tym sprawa zaczyna się komplikować. Nawet jeśli uda się zamknąć usta rodzinie dziewczyny – w pozostałych przypadkach Tizón dokonał tego za pomocą pieniędzy – tym razem zbyt wielu sąsiadów

widziało zwłoki. Wiadomość rozniosła się po całej dzielnicy. I żeby wszystko jeszcze bardziej utrudnić, na scenie pojawiła się nader niepożądana postać: Mariano Zafra, właściciel, wydawca i jedyny redaktor jednego z licznych czasopism, jakie pojawiły się w Kadyksie po ogłoszeniu – zgubnym, zdaniem komisarza – wolności prasy. Rzeczony Zafra jest głosicielem radykalnych idei i jego działalność można wytłumaczyć tylko gęstym klimatem politycznym panującym w mieście. Jego gazeta, „Ilustrowany Jakobin”, składa się z czterech stron, wychodzi raz w tygodniu i łączy informacje o sesjach Korteżów z wiadomościami i plotkami zamieszczonymi bez ich sprawdzania w rubryce zatytułowanej *Ulica Ancha*, równie intryganckiej, wścibskiej i plotkarskiej jak jej autor. W dawnych czasach stronnik Godoya, po upadku ministra żarliwy zwolennik króla Ferdynanda, do niedawna obrońca tronu i Kościoła, a teraz coraz bardziej zażarty liberał, w miarę jak deputowani tej orientacji zyskują poparcie społeczności Kadyksu, Zafra należy do ludzi, którzy ewoluują od oportunisty do zuchwalca. Jego pamflety nie mają znaczenia dla opinii publicznej poza bywalcami kilku tawern w marnej dzielnicy, gdzie mieszka, niedaleko Boquete, i kilku kawiarni, gdzie się czyta każdy zadrukowany papier, oraz delegatami tworzącymi konstytucję, którzy pożerają wszystko, co się o nich pisze, gotowi mu przyklasnąć lub go potępić, w zależności od tego, co powiedzą ich współwyznawcy lub przeciwnicy. „Jakobin”, mimo że znajduje się na antypodach poważnych wydawnictw, takich jak „Dziennik Handlowy”, „Przegląd” czy „Tygodnik Patriotyczny”, też jest zadrukowanym papierem, literami i świeżą farbą. Dziennikarska proza – naj świeższa bogini nowego wieku. A władze – gubernator Villavicencio i generalny intendent Garda Pico, na przykład – wolą ignorować prasę, nawet jeśli chodzi o tak podłe tytuły jak ten wydawany przez Zafre. A ten z powodu wściekłego ekstremizmu – rzadko kiedy w swoim tygodniku nie domaga się gilotyny dla arystokracji, sądu dla generałów i wolności zgromadzeń samorządowego ludu – jest przez kawiarnianych ironistów, którzy dawno już poznali się na jego charakterze, nazywany Robespierre'em z Boquete.

A było tak, że zaraz po południu, kiedy zwłoki dziewczyny jeszcze leżały na patiu, a Tizón poszukiwał jakiegokolwiek sensownego śladu w okolicy, jego pomocnik Szafot przyszedł mu powiedzieć, że Mariano Zafra stoi przy wejściu i pyta, co się stało. Komisarz wyszedł, kazał ciekawskim się cofnąć, odprowadził na bok publicystę i powiedział mu prosto z mostu, żeby się zajął swoimi sprawami.

– Została zabita dziewczyna – zaprotestował nieulekły dziennikarz. – I nie tylko ona. Pamiętam przynajmniej jedną czy dwie zamordowane.

– Ta nie ma nic wspólnego z innymi.

Tizón ujął go pod ramię, niemal po przyjacielsku, i poprowadził w górę ulicy, żeby się oddalić od grupy ludzi zebranych przy wejściu. Pozorna uprzejmość gestu absolutnie dziennikarza nie zwiodła. Po kilku próbach udało mu się oswobodzić i stawił policjantowi czoło.

– Niech pan sobie wyobrazi, że jestem innego zdania. Owszem, ma wiele wspólnego.

Tizón obejrzał go od stóp do głów: niskiego wzrostu, pocerowane pończochy, brudne buty z mosiężnymi sprzączkami. Topaz – zapewne fałszywy – w szpilce do krawata. Pomięty kapelusz włożony na bakier, farba drukarska za paznokciami i papiery wystające z kieszeni surduta w kolorze butelkowej zieleni. Oczy bezbarwne. Może nawet inteligentne.

– A na czym pan opiera podobną brednię?

– Ptaszek mi to wyćwierkał.

Opanowany jak zwykle Tizón z zimną krwią rozważył sytuację. Rozmaite opcje na szachownicy. Bez wątplenia ktoś puścił parę. Wcześniej czy później musiało się tak zdarzyć. Z drugiej strony Mariano Zafra nie wydawał się specjalnie niebezpieczny – jego dziennikarska wiarygodność jest bliska zeru – jednak niebezpieczne mogą się okazać konsekwencje tego, co napisze. W Kadyksie brakuje tylko potwierdzenia, że morderca dziewcząt od dłuższego czasu działa bezkarnie, i żeby opisano, w jaki sposób popełnia

zbrodnie. Zaczęłyby się szerzyć panika i rozwścieczony tłum byłby gotów zlinczować pierwszego lepszego podejrzanego nieszczęśnika. Nie wspominając nawet o przewidywalnym żądaniu ustalenia odpowiedzialności: kto utrzymywał całą sprawę w tajemnicy, kto nie jest w stanie znaleźć mordercy, i tak dalej, i tak dalej. Poważne czasopisma też wkrótce zajęłyby się tą historią.

– Postarajmy się zachować odpowiedzialną postawę, drogi przyjacielu Zafra. I dyskrecję.

Nie był to właściwy ton, zrozumiał natychmiast, widząc wyniosłą minę rozmówcy. Błąd taktyczny z jego strony. Robespierre z Boquete należy do tych, którzy rosną, dostrzegając słabość przeciwnika. Urósł prawie o pięćdziesiąt lat.

– Niechże pan, komisarzu, nie żartuje. Społeczność Kadyksu ma prawo dowiedzieć się prawdy.

– Daj pan spokój prawom i innym bzdurom. Bądźmy praktyczni.

– Na jakiej podstawie pan to mówi?

Tizón rozejrzał się po ulicy w jedną i w drugą stronę, jakby się spodziewał, że ktoś przyniesie na piśmie tę podstawę. Albo żeby sprawdzić, czy nie ma świadków tej rozmowy.

– Na takiej, że mogę pana wykończyć. Albo zmienić pańskie życie w koszmar.

Nagły podskok. Cofnięcie się o pół kroku. Szybkie, niespokojne spojrzenie w jedną i drugą stronę, tam gdzie przed chwilą spoglądał Tizón. I cisza.

– Pan mi grozi, komisarzu.

– Co pan powie?

– Złożę doniesienie.

Tu Tizón pozwolił sobie na śmiech. Krótki, suchy. Równie sympatyczny jak błysk złotego kła.

– Gdzie? Na policję? Człowieku, policja to ja.

– Mówię o sprawiedliwości.

– Sprawiedliwością też często bywam ja. Dostaję bzdur.

Tym razem milczenie było nieco dłuższe. Wyczekujące ze strony komisarza, pełne zastanowienia ze strony publicysty. Jakież piętnaście sekund.

– Zastanówmy się, kolego – w końcu odezwał się Tizón. – Zna mnie pan dobrze. A ja pana.

Ton był pojednawczy. Poganiacz proponuje marchewkę mułowi, którego przed chwilą obił kijem. Albo którego obje za chwilę. Tak przynajmniej zinterpretował to Zafra.

– Mamy wolność prasy – powiedział. – Myślę, że pan o tym słyszał.

Jego ton nie był pozbawiony stanowczości. Ten szczur, pomyślał Tizón, nie jest tchórzem. No bo przecież, podsumował, są szczury, które nie są tchórzami. Zdolne pożreć człowieka żywcem.

– Dajże pan spokój. Jesteśmy w Kadyksie. Pańska gazeta ma ochronę ze strony rządu i Kortezów, jak wszystkie inne... Nie mogę zapobiec, żeby publikował pan, co tylko zechce. Ale mogę sprawić, że odczuje pan konsekwencje.

Dziennikarz podniósł palec poplamiony atramentem.

– Nie boję się pana. Już inni wcześniej chcieli uciszyć głos ludu, i sam pan widzi... Nadejdzie taki dzień...

Prawie już wspiął się na czubki swoich niewyczyszczonych butów. Tizón przerwał mu znużonym gestem. Niech mi pan nie każe marnować śliny na próżno, powiedział. I pan też niech nie marnuje. Proponuję panu układ. Słyszac ostatnie słowo, dziennikarz spojrzał na niego z niedowierzaniem. Potem uniósł dłoń do piersi.

– Nie wchodzę w układy ze ślepymi narzędziami władzy.

– Niech mnie pan nie wkurza. Moja propozycja jest rozsądna.

W krótkich słowach komisarz przedstawił swój pomysł. W razie potrzeby jest gotowy dostarczyć wydawcy „Ilustrowanego Jakobina” odpowiednich informacji. Tylko jemu. Opowie mu dokładnie tyle, ile można opublikować, żeby nie utrudnić śledztwa.

– A w zamian pan zadba o mnie. Troszkę.

Dziennikarz przyjrzał mu się nieufnie.

– Co to ma właściwie znaczyć?

– Proszę mnie wychwalać pod niebiosa: nasz komisarz do spraw włóczęgów, próżniaków i ulic jest roztropny, wspaniale pracuje na rzecz publicznego spokoju i tak dalej. Śledztwo rozwija się pomyślnie i już wkrótce usłyszymy zaskakujące wieści... Zresztą, bo ja wiem. To pan potrafi pisać. Policja czuwa w dzień i w nocy, Kadyks jest w dobrych rękach i tak dalej. To, co zwykle.

– Chyba pan sobie kpi.

– Ależ skąd! Mówię panu, jak załatwimy tę sprawę.

– Wybieram wolność prasy. I moje swobody obywatelskie.

– Do pańskiej wolności prasy nie zamierzam się wtrącać. Ale jeśli nie dojdziemy do porozumienia, swobody obywatelskie mogą sporo ucierpieć.

– Co pan ma na myśli?

Policjant popatrzył zamyślony na brązową rączkę swojej laski: gałka w kształcie dużego orzecha. Dobra, żeby rozwalić czaszkę jednym ciosem. Publicysta śmiało podążył wzrokiem za tym spojrzeniem. Twardy gość, przyznał Tizón w myśli. I choć zmieniał swoje zasady zgodnie z wymaganiami rynku, kiedy stawał się rzecznikiem jakiejś idei, był gotów bronić jej pazurami. Mógłby się wydać nawet godny szacunku, gdyby ktoś go nie znał. Przewaga Tizona polegała na tym, że on go znał.

– Mam dalej kluczyć dookoła czy przejść wprost do sedna?

– Proszę do sedna, jeśli łaska.

Krótką chwilą ciszy. Dokładnie wyliczona. Potem ruch komisarza.

– Ten czternastoletni Murzynek, służący w pańskim domu, którego od czasu do czasu zdarza się panu przelecieć, może sprawić panu przykrość. Albo dużo przykrości.

Można by pomyśleć, że ktoś niewidzialnym tłokiem nagle wyciągnął całą krew z ciała dziennikarza. Zrobił się biały jak kartka papieru przed wsunięciem jej pod walec prasy. Źrenice bezbarwnych oczu stały się tak maleńkie, że niemal zniknęły. Dwa maleńkie czarne punkciki.

– Inkwizycja została zawieszona – w końcu mruknął z wysiłkiem. – Wkrótce będzie zniesiona.

Ale w jego głosie nie było już stanowczości. Rogelio Tizón dobrze się na tym znał. Dziennikarz mówił teraz tonem człowieka, który nie zjadł śniadania ani porządnego obiadu i właśnie się okazuje, że nie zje też kolacji. Człowieka z pustym żołądkiem i nagle pełną głową. O krok od zemdlenia. W tym momencie wilczy kiel rozbłysnął znowu. Inkwizycja guzik mnie obchodzi, powiedział Tizón. Ale proszę sobie wyobrazić rozmaite opcje. Jedną jest wydalenie z Kadyksu chłopca, który ma takie papiery jak królik na łące. Kolejna to zatrzymanie go pod byle jakim pretekstem, a weterani z Królewskiego Więzienia już się postarają rozszerzyć mu horyzonty. Przychodzi mi do głowy jeszcze trzecia możliwość: doprowadzenie do lekarskich oględzin przed zaufanym sędzią, a potem przekonanie go, żeby oskarżył pana o sodomie. Haniebny grzech, sam pan wie. Tak się to nazywało, zanim nastąpiło owo zamieszanie z Kortezami i konstytucją. W dawnych dobrych czasach.

Teraz publicysta bełkocze. Zwyczajnie i otwarcie.

– Od kiedy?... To niesłychane... Od kiedy wie pan o wszystkim?

– O Murzynku? Od dawna. Ale każdy żyje swoim życiem, a ja, proszę sobie wyobrazić, nie wtrącam się do domowych spraw innych ludzi... Ale, kolego, gdybym musiał własny tyłek podcierać sobie pańską gazetą, to byłaby zupełnie inna sprawa.

Siedząc na schodach pustego domu, Tizón wyrzuca niedopalone cygaro. Może przez zapach panujący w tym miejscu dym ma gorzki smak. Na odsłoniętm niebie nad patiem zanika ostatnie światło zachodu i jasny prostokąt gaśnie na ziemi, tam gdzie koty jeszcze wylizują suchą plamę krwi. Nie ma tu nic więcej do roboty. Nic do wyjaśniania. Wszystkie podejrzenia diabli wzięli i pozostała po nich pustka tak przeraźliwa jak te ruiny. Komisarz myśli o kawałku ołowiu, który trzyma w szufladzie w swoim biurku, i kręci głową. Przez całe miesiące spodziewał się natknąć na niezbity dowód, wpaść na kluczowy koncept, który pozwoliłby mu objąć myślą wymiar całej rozgrywki. To, co możliwe, i to, co niemożliwe. Teraz widzi, że tylko zmarnował mnóstwo czasu, pozostał niebezpiecznie bezczynny, czego smutną konsekwencją jest śmierć kolejnej dziewczyny. Rogelio Tizón nie ma wyrzutów sumienia; ale obraz szesnastoletniej dziewczyny z rozoranymi plecami, z przerażeniem w otwartych oczach i z połamanymi zębami, zaciskanymi podczas długiej agonii, sprawia mu niemal fizyczny ból. Ta wizja przesłania wspomnienie poprzednich zamordowanych dziewczyn. Przyciąga widma, jakie czyhają w ciągłym półmroku jego własnego domu. Milcząca kobieta, która porusza się po nim jak cień, i pianino, na którym nikt nie gra.

Światło już niemal całkowicie zgasło. Komisarz podnosi się, rzuca ostatnie spojrzenie na koty wylizujące ziemię i odchodzi ciemnym korytarzem w stronę ulicy. Właściwie to gubernator Villavicencio miał rację. Nadchodzi pora, żeby ustalić listę podejrzanych, jaką trzeba będzie podać, kiedy Kadyks zacznie domagać się twarzy mordercy. Kilka rozmyślnie wieloznacznych wypowiedzi pozwoli utrzymać sprawę pod kontrolą w oczekiwaniu na łut szczęścia albo owoce cierplivej pracy. Nie można też wykluczyć, że dzięki wojnie lub polityce pojawią się nowe i szczęśliwe wydarzenia: rozruchy, które w sumie porządkują bezład. Takie myśli nie zmniejszają jednak poczucia klęski. Niemożność przytrzymania drzwi, które właśnie się zatrasnęły. Do dziś istniała niepewna, maleńka szczelina, która pozwalała żywić nadzieję, że nagle gdzieś w głębi rozbłyśnie światło. Że intuicja wskaże mistrzowską kombinację, która pozwoli cierpliwemu graczowi postawić właściwe figury na odpowiednich polach szachownicy.

Huk w powietrzu, które nieoczekiwanie coś jakby rozdzierało, zaskakuje policjanta, kiedy dociera do pogrążonej w mroku ulicy. Odwraca się, żeby zobaczyć, skąd pochodzi ów hałas, i w tym momencie korytarz domu rozbłyскуje pomarańczowym światłem, które przez chwilę zalewa wejście i ulicę, niosąc deszcz pyłu i odłamków. Wybuch rozbrzmiewa gdzieś bardzo blisko, wprawiając wszystko w drganie. Pod wpływem wstrząsu wywołanego falą uderzeniową – uszy bolą go tak, jakby właśnie popękały – Tizón zatacza się, unosząc ręce w próbie osłonięcia się przed kawałkami gipsu i szkła, które rozpryskują się wszędzie wokół. Stawia jeszcze kilka kroków i pada na kolana w obłoku pyłu, który go dławi. Kiedy odzyskuje świadomość, stwierdza, że na szyi ma coś ciepłego i lepkiego, strzepuje to gwałtownym ruchem ręki, z przebłyskiem w ostatniej chwili, że może to być skrawek jego własnego ciała. Jednak jego palce wyczuły tylko kawałek wnętrza połączony z kocim ogonem.

Wokół widać na ziemi rozproszone czerwone punkciki, żarzące się, skręcone odłamki, które szybko gasną, stygnąc. Ołowiane spirale. Jeszcze ogłuszony Tizón pochyła się machinalnie, żeby podnieść odłamek, i natychmiast go upuszcza, bo metal jest wciąż gorący i parzy mu dłoń. Kiedy przestaje mu dzwonić w uszach, rozgląda się wokół w ciemności i tym, co robi na nim największe wrażenie, jest cisza.

Następnego dnia w koszuli i gumowym fartuchu, z gołębim w dłoniach, Gregorio Fumagal kieruje się ku tej części tarasu, która wychodzi na wschód, i ostrożnie rozgląda się wokół. Przez dobrą pogodę i nadmiar przybyszów z zewnątrz tarasy na wielu domach zmieniły się w koczowiska, gdzie pod dachami z płótna i okrętowych żagli żyją całe rodziny. Dzieje się tak również na ulicy Escuelas, gdzie Fumagal mieszka w domu, w którym jest właścicielem ostatniego piętra. Z oczywistych powodów preparator nie wynajmuje swojego

tarasu, jednak na wielu sąsiednich przebywają emigranci i o każdej porze można tam spotkać wścibskich próżniaków, którzy rozglądają się ciekawie. To zmusza do większej ostrożności jego samego, który od czasu kiedy zaczął prowadzić tajną korespondencję z drugim brzegiem, zrezygnował z utrzymywania służby i zwolnił kobietę prowadzącą jego dom. Teraz sam sprząta, na śniadanie wypija filiżankę mleka z okruchami chleba, a na obiady chodzi do gospody Pod Kuropatwą na ulicy Descalzos albo do restauracji Na Tarasie, między rogiem ulicy Pelota a łukiem Rosa.

Nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Chroniąc się przed niedyskretnymi spojrzeniami pośród rozwieszanej bielizny, po uprzednim sprawdzeniu, że tubka jest porządnie przymocowana jedwabną nitką do jednego z piór w ogonie, Fumagal wypuszcza gołębia, który przez chwilę lata wkoło, nabierając wysokości, a następnie oddala się pomiędzy wieżami miasta w kierunku zatoki. Za kilka minut wiadomość zawierająca szczegółowy opis miejsc, gdzie spadło ostatnich pięć bomb wystrzelonych z Cabezueli, dotrze do Francuzów. Miejsca te są już oznaczone na planie Kadyksu, na którym każdego dnia gęstnieje sieć wykreślonych ołówkiem linii, tworząca kształt wachlarza skierowanego na wschód. Na planie granice zasięgu bomb przesunęły się około cala na zachód: jedno miejsce znajduje się na zboczu Murga, drugie na skrzyżowaniu ulic Świętego Franciszka i Aduana Vieja. Na dodatek wcale wtedy nie było silnego wiatru, który przedłużyłby trajektorię. Rzeczy mogą pójść jeszcze lepiej, kiedy przyjdzie fala wschodnich wiatrów.

Gregorio Fumagal karmi gołębie, wlewa wodę do naczynia i uważnie zamyka gołębnik. Potem opuszcza taras, zostawiając szklane drzwi otwarte, schodzi po kilku stopniach i wraca do pracowni. Jego nowe dzieło, makak z Indii Wschodnich, zaczyna nabierać właściwego kształtu na marmurowym stole, wygląda wspaniale pośród nieruchomych spojrzeń wypchanych zwierząt ustawionych na prętach i w gablotach, co sprawia preparatorowi przyjemność. Po wypatroszeniu i oczyszczeniu kości z mięsa przez wiele dni trzymał skórę zwierzęcia zanurzoną w roztworze ałunu, morskiej soli i kwasu winowego, kupionych w mydlarni Frasquita Sanlucara – przy okazji nabył nową farbę do włosów, która już się nie rozpuszcza pod wpływem potu – po czym rozpoczął budowę wewnętrznej konstrukcji z grubego drutu i korka, która wraz z wypełnieniem z morskiej trawy osadzonym na starannie zrekonstruowanym szkielecie jest krok po kroku umieszczana pod wypreparowaną skórą.

Płynie upalny poranek. Światło, które już niemal pionowo wpada przez drzwi od tarasu, oświetla schody i gabinet, staje się coraz bardziej intensywne; błyszczą w nim szklane oczy wypreparowanych zwierząt. Blisko dźwięczy spiż na kościele Świętego Jakuba – pora na Anioł Pański – i zaraz mu odpowiada dwunastoma dzwoneczkami zegar stojący na komodzie. Potem wraca cisza, przerywana jedynie stukotem narzędzi używanych przez Fumagala. Zręcznie pracuje igłami, przebijakami i szpagatem, łącząc i wypełniając puste przestrzenie, sprawdzając jednocześnie dokumentację rozłożoną obok. Są to szkice pozy, w jakiej chce ustawić małpkę: będzie stać na suchej i polakierowanej gałęzi, z opuszczonym ogonem, zawiniętym na końcu, z pyszczkiem lekko odwróconym nad lewym ramieniem, patrząc na przyszłego widza. Preparator odwołuje się do ilustracji z podręcznika historii naturalnej, do rycin ze swojej kolekcji i własnoręcznie wykonanych rysunków. Nie zaniedbuje żadnego szczegółu, bo teraz nadszedł szczególnie trudny moment całego procesu: poszukiwanie pozycji, która podkreśli piękno zwierzęcia, obok starannego wykończenia powiek, uszu, ust czy tekstury sierści. Od tego w dużym stopniu zależy ostateczny wyraz eksponatu, Fumagal może mu teraz nadać wiarygodność lub go jej pozbawić, uwydatnić doskonałość lub ją zniszczyć. Preparator ma świadomość, że zlekceważona deformacja, zadrapanie skóry, niedokładny szew, przeoczenie najmniejszego choćby owada zniekształcą owoc jego pracy, a z latami obróćą go wniwecz. Ma blisko trzydziestoletnie doświadczenie i wie, że każde spreparowane zwierzę w pewien sposób nadal żyje, starzeje się pod wpływem światła i kurzu, nadal zachodzą w nim subtelne procesy chemiczne i fizyczne. Czyhają nań

niebezpieczeństwa, przed którymi dobry preparator może je uchronić dzięki tajemnikom swej sztuki i zręczności.

Głuchy łoskot, przytłumiony odległością i murami domów, dociera do pracowni chwilę po tym, jak lekkie zawirowanie powietrza wzbudziło drżenie szyb w otwartych drzwiach na taras. Fumagal przerywa przyszywanie nasady ogona małpki i wytycza słuch, znieruchomiały z uniesioną dłonią, w której trzyma igłę ze szpagatem. Ta już wybuchła, stwierdza, wracając do pracy. I to niezbyt daleko, w okolicy kościoła Pópulo zapewne. Jakies pięćset kroków stąd. Czasem przemyka mu przez głowę myśl, że któregoś dnia bomba trafi w jego dom i w niego samego. Jeden z jego gołębi może kiedyś przynieść z powrotem tubkę z kartką z niebezpieczną albo śmiertelną wiadomością. Planując starość – bez względu na prawdopodobieństwo lub jego brak, że jej dożyje – preparator nie bierze pod uwagę poświęcenia siebie, niczym Samson w świątyni Filistynów, ale każda gra ma swoje zasady i ta nie jest wyjątkiem. W każdym razie nie miałby nic przeciwko temu, żeby jakaś bomba spadła bliżej, dokładnie na sąsiedni kościół Świętego Jakuba, i uciszyła raz na zawsze dzwony, które codziennie, a ze szczególnym uporem w niedziele i kościelne święta, towarzyszą mu, gdy przebywa w domu. Jeśli jest czegoś zbyt wiele w Kadyksie – który jest Hiszpanią w miniaturze, z tym wszystkim, co w niej złego – to właśnie klasztorów i kościołów.

Pomimo więzi, jaka łączy go z oblegającym miasto – czy raczej z oświeceniową tradycją ubiegłowiecznej Francji, którą odziedziczyła Rewolucja i Cesarstwo – są pewne szczegóły, które Gregorio Fumagal akceptuje z oporem, jednym z nich jest przywrócenie decyzją Napoleona religijnego kultu. Preparator jest zaledwie skromnym sprzedawcą i rzemieślnikiem, który czytał książki i poznawał istoty żywe i martwe. Uważa jednak, że przez nieznaną Natury i brak odwagi, by pogodzić się z jej prawami, człowiek zrezygnował z doświadczenia w zamian za budowanie wymyślonych systemów, wymyślanie bogów, kapłanów i namaszczonego przez nich królów. Podporządkowuje się istotom równym sobie, które wykorzystują go i zmieniają w niewolnika pozbawionego rozumu i nieświadomego kluczowego faktu: we wszystkim panuje naturalny porządek, a i nieporządek jest tak samo powszechny jak jego przeciwieństwo. Po lekturze piszących o tym filozofów i studiowaniu z bliska śmierci Fumagal jest zdania, że Natura nie może działać w inny sposób. I to właśnie ona, a nie jakiś niemożliwy Bóg, rozdziela porządek i nieporządek, rozkosz i ból. Ona szerzy dobro i zło w świecie, gdzie ani krzyki, ani modlitwy nie zmieniają niezachwianych praw życia i zniszczenia. Straszliwych potrzeb. Porządek rzeczy sprawia, że ogień pali, bo taką ma właściwość. I że człowiek zabija i zjada inne zwierzęta, bo potrzebuje zawartych w nich substancji. I to, że człowiek czyni zło, bo jego natura obejmuje też wyrządzanie krzywdy. Nie ma bardziej budującego przykładu niż śmierć, której towarzyszy cierpienie, pod niebem niemogącym oszczędzić umierającemu ani odrobiny bólu. Nie ma niczego bardziej pouczającego, jeśli idzie o charakter świata, niczego bardziej pocieszającego niż idea wyższej inteligencji, której cele – gdyby istniała – byłyby rozpaczliwie niesprawiedliwe. Dlatego preparator uważa, że istnieje tylko pewność moralna, pocieszająca, niemal jakobińska, nawet w najgorszych nieszczęściach i potwornościach, trzęsieniach ziemi, epidemiach, wojnach, rozlewach krwi. W wielkich zbrodniach, które ustawiając wszystko na swoim miejscu, uświadamiają człowiekowi zimną rzeczywistość Wszechświata.

– Należy odwołać się do fizyki i doświadczenia – mówi Hipolito Barrull. – Poszukiwanie czegoś nadprzyrodzonego jest w naszych czasach absurdem.

Rogelio Tizón uważnie słucha, idąc powoli, z opuszczoną głową, ze wzrokiem utkwionym w bruk na placu Świętego Antoniego.

Laskę i kapelusz trzyma w rękach skrzyżowanych z tyłu. Spacer rozjaśnia mu umysł po trzech partiach szachów w kawiarni Pocztowej: dwie wygrał profesor, trzecia zakończyła się remisem.



- Odwołać się do rozumu – podsumowuje Barrull.
- Rozum umiera ze śmiechu, kiedy się do niego odwołuję.
- Niech pan analizuje to, co widzialne. Trzeba wszystko sprawdzić, zanim się uwierzy w jakąś abrakadabre.

Komisarz rozgląda się wokół. Słońce już zaszło i temperatura staje się coraz przyjemniejsza, w miarę jak ciemnieje niebo nad wieżami obserwacyjnymi i tarasami budynków. Kilka powozów i lektyk stoi przed cukiernią Burnela i kawiarnią Apollo, wiele osób spaceruje do placu i pobliskiej ulicy Ancha przy ostatnim świetle dnia: zamożne rodziny z okolicznych domów, sąsiedzi z uboższych, nieodległych dzielnic, biegające i bawiące się kółkiem dzieci, księża, wojskowi, uchodźcy bez środków do życia, którzy po kryjomu zbierają niedopałki z ziemi. Płynie życie miasta, spokojnego i ufne, pośród kolumn, drzewek pomarańczowych i marmurowych ławek głównego placu w przyjemny, powoli zapadający letni wieczór. Jak zwykle, wojna wydaje się bardzo odległa. Prawie nierzeczywista.

– Świat widzialny – protestuje Tizón – mówi mi, że to, co właśnie panu opowiedziałem, jest prawdą.

– Więc pewnie tak jest. Chyba że świat widzialny pana zwodzi, co też jest możliwe. Proszę wziąć pod uwagę, że czasem zdarzają się zwykłe zbiegi okoliczności. Skutki wynikające pozornie z przyczyn, które w rzeczywistości wcale nimi nie są.

– To już cztery konkretne przypadki, profesorze. Albo trzy i jeden. Związki są wyraźne i zależności oczywiste. Tylko nie potrafię znaleźć do nich klucza. ....

– Jednak taki musi istnieć. Nie istnieją ruchy spontaniczne w porządku rzeczy. Ciała oddziałują na siebie wzajemnie. Każda zmiana jest wynikiem przyczyn widocznych lub ukrytych... Bez nich nic nie istnieje.

Pozostawiają za sobą plac, idąc powoli w kierunku Mentidero. Zaczynają pojawiać się światła za żaluzjami w oknach i w jeszcze otwartych sklepach. Barrull, który mieszka sam i je skromne kolacje, ma ochotę na kawałek tortilli z bakłazanem w gospodzie na ulicy Veedor. Wchodzą i stają przy ladzie obok kaganka dymiącego od brudnej oliwy, pośród skrzynek z zamorskimi produktami i beczek. Profesor bierze kieliszek słodkiego wina, policjant – dzbanek zimnej wody.

– W ogólnym pojęciu pański morderca nie jest przypadkiem odosobnionym – ciągnie Barrull, czekając na zamówione danie.

– Każda istota ludzka postępuje zgodnie z energią własną oraz tą, która pochodzi od innych ciał, wysyłających ku niemu impulsy. Zawsze istnieje przyczyna, która powoduje skutek. To ogniwa w łańcuchu.

Pojawia się tortilla, parująca, soczysta. Profesor częstuje Tizona, ten jednak odmawia ruchem głowy.

– Proszę pomyśleć o ludziach w starożytności – dodaje Barrull.

– Widzieli, jak gwiazdy i planety poruszają się na niebie, ale nie wiedzieli dlaczego. Dopiero Newton opisał ciążenie, jakie ciała niebieskie wywierają wzajemnie na siebie.

– Ciążenie...

– Tak. Przyciąganie i inne przyczyny, które przez całe wieki umykały naszemu pojęciu. Podobnie jak zależność między bombami a mordercą. Jego zbrodnicze ciążenie.

Profesor przeżuwa kęs tortilli z taką miną, jakby sam się zastanawiał nad własnymi słowami. Po czym żywo kiwa głową potakująco.

– Jeśli ciało posiada masę, spada – kontynuuje wywód. – Jeśli spada, uderza w inne ciała i wprawia je w ruch. Jeśli występuje analogia, oddziałuje na nie. To są prawa fizyki. Obejmują i ludzi, i bomby.

Łyk wina. W świetle kaganka Barrull przygląda się zadowolony zawartości swojego kieliszka i pije kolejny łyk. Kiedy odsuwa kieliszek od ust, jego końska twarz uśmiecha się słabo.

– Materia i ruch, jak życzył sobie Kartezjusz. I stworzę świat... Albo go zniszczę.

– Teraz jest tak, że zdarzenie – zauważa Tizón – poprzedza bombę.

– Tak było tylko raz. I nie wiemy dlaczego.

– Proszę mnie posłuchać. Ten człowiek zabił czwarty raz. W identyczny sposób. I okazuje się, że chwilę później bomba spada dokładnie w to miejsce. Naprawdę uważa pan, że to może być przypadek? Przecież rozum mówi, że związek istnieje.

– Będzie pan musiał poczekać na następne potwierdzenie.

Po tych słowach obaj milczą. Tizón stanął bokiem, patrzy na wejście z ulicy. Kiedy znów odwraca się do Barrulla, stwierdza, że ten przygląda mu się zamyślony. Widzi odbłask kaganka w szklach jego okularów i błysk zainteresowania w przymkniętych oczach.

– Niech mi pan powie, komisarzu... Gdyby w tej chwili miał pan wybierać pomiędzy złapaniem mordercy a daniem mu jeszcze jednej okazji, żeby potwierdzić swoją teorię, jak by pan postąpił?

Tizón nie odpowiada. Wytrzymuje jego spojrzenie, ręką sięga do wewnętrznej kieszeni surduta, wyjmując hawańskie cygaro z cygarnicy z rosyjskiej skóry i wkłada je między zęby. Potem częstuje profesora, który odmawia ruchem głowy.

– Właściwie jest pan człowiekiem nauki – stwierdza Barrull rozbawiony.

Kładzie kilka monet na ladzie i wychodzą na ulicę, gdzie niknie już ostatnie światło dnia. Cienie innych przechodniów poruszają się niespiesznie, podobnie jak oni. Obaj milczą aż do Montidero.

– Problem – Tizón odzywa się w końcu – polega na tym, że teraz maleje szansa na schwytanie mordercy... Przedtem mogliśmy sądzić, że uda się go złapać, jeśli będziemy obserwować miejsca, gdzie spadły bomby. Teraz niczego nie można przewidzieć.

Pomyślmy logicznie, proponuje Barrull po chwili zastanowienia. Morderca zaatakował czterokrotnie i w trzech przypadkach bomba spadła przed zabójstwem. A ostatnia – po nim. Nie można ustalić, czy zakładany przez nas od początku związek jest fałszywy, czy też mamy do czynienia z błędem lub zwykłym przypadkiem, co wykluczałoby wszelkie powiązania. Druga możliwość jest taka, że występuje rzeczywistość stała: seria nieprzerwana lub zakłócona jedynie przez przypadek lub okoliczności. Trzecia zaś polega na tym, że zmianie uległa zasada, cokolwiek by to miało znaczyć. Następuje nowa faza, której źródło chwilowo wymyka się analizie, ale gdzieś istnieje jej logiczne wytłumaczenie. A przynajmniej niestojące w sprzeczności z naturalnym systemem świata, w którym żyją i policjant, i morderca.

– Ostrożnie ze słowem przypadek, profesorze – ostrzega Tizón.

– Sam pan twierdzi, że to powszechna wymówka.

– Tak, to prawda. Wymagająca najmniejszego wysiłku. Często, a być może zawsze, odwołujemy się do przypadku, żeby ukryć naszą nieznajomość naturalnych przyczyn. Niezmiennych praw, które – zgodnie z tajemną strategią – poruszają pionkami na szachownicy... Żeby usprawiedliwić widoczne rezultaty tego, w czym nie potrafimy dostrzec porządku ani systemu.

Tizón zatrzymał się, żeby potrzeć zapałką o mur. Przykłada płomień do czubka cygara.

– *Za sprawą bogów stać wszystko się może* – mruczy i wydycha dym, gasząc zapałkę.

W ciemności nie widzi wyrazu twarzy Barrulla, ale słyszy jego śmiech.

– Coś takiego, komisarzu. Ciągłe pan myśli o Sofoklesie z tego, co widzę.

Przemierzają całe Montidero wzdłuż, w kierunku muru i morza, pomiędzy ledwie widocznymi w mroku ludźmi siedzącymi grupkami na ławkach, krzesłach i kocach rozłożonych na ziemi, w świetle kaganków, oliwnych lamp i lampionów umieszczonych w

ceramicznych i szklanych naczyniach. Od czasu kiedy zaczęła się dobra pogoda, niektóre rodziny z dzielnic bardziej narażonych na bombardowanie przychodzą spędzać noc w tej okolicy, na placu i na pobliskim boisku do gry w piłkę, i nie brakuje tu wina, gitar ani rozmów do późnych godzin nocnych.

– No to popatrzmy – proponuje Barrull. – Ponieważ rozum odrzuca możliwość, że ktoś jest zdolny przewidzieć świadomie i precyzyjnie miejsce, w którym spadnie bomba, i tam właśnie zabić, pozostaje tylko jedno: morderca przeczuł, gdzie nastąpi wybuch... Lub, używając terminów naukowych, postąpił pod wpływem sił przyciągania i zasad prawdopodobieństwa, których nie potrafimy opisać.

– Czy chce pan powiedzieć, że jest on tylko jednym z elementów całej kombinacji?

Może tak być, odpowiada profesor. Świat pełen jest oddzielnych składników, pozornie ze sobą niepowiązanych. Jednak kiedy pewne mieszanki znajdują się blisko innych, wyzwolona siła może doprowadzić do rezultatów zaskakujących. Albo straszliwych. Tworzą się kombinacje, do których nie odkryto klucza. Zapewne człowiek prehistoryczny byłby zadziwiony, widząc, że po zmieszaniu opiłków żelaza z siarką i wodą pojawia się ogień. Ruchy złożone są wyłącznie rezultatem kombinacji ruchów prostych.

– Pański morderca – podsumowuje Barrull – byłby w tym wypadku, bo ja wiem, czynnikiem fizycznym, geometrycznym, matematycznym... Czynnikiem pozostającym w związku z innymi elementami – ofiarami, lokalizacją, trajektorią bomb, może ich zawartością. Prochem, ołowiem. Jedne wybuchają, a inne nie, a on działa tylko tam, gdzie wybuchają lub mają wybuchnąć.

– I gdzie nie powodują ofiar.

– Co komplikuje stawiane pytania. Dlaczego on zabija w jednym miejscu, a w innym nie? Wybiera czy nie? Co go popycha do działania? Przesłuchanie go wiele by wyjaśniło, to pewne. Ale też jestem pewien, że nawet on sam nie potrafiłby odpowiedzieć na te pytania. Może na niektóre tak, ale nie na wszystkie. One pozostają bez odpowiedzi, uważam.

– Jakiś czas temu powiedział pan, że nie możemy wykluczyć człowieka nauki.

– Tak powiedziałem? No cóż. Po tym przedczesnym morderstwie już nie jestem pewien. To może być każdy. Nawet durny, niepiśmienny potwór może zareagować na określone, złożone bodźce; choć jednak coś w jego głowie powoduje, że działa w sposób naukowy.

W słabym świetle zachodu rysuje się przestrzeń pomiędzy parkiem artyleryjskim a koszarami Candelarii, na końcu placu. Można dostrzec odległe błyski latarni morskiej Świętego Sebastiana, która właśnie została zapalona. Policjant i nauczyciel dochodzą do niewielkiego placu przy pasażu Perejil, blisko norii, i skręcają w prawo. Koło muru stoją nieruchomo ludzie patrzący, jak znika cieniusia czerwoną linią, która jeszcze oświetla linię brzegu po drugiej stronie zatoki.

– Ciekawie byłoby zbadać, co jest w jego głowie – mówi Barrull.

Żar cygara odbija się na twarzy policjanta.

– I ja to zrobię wcześniej czy później, zapewniam pana.

– Mam nadzieję, że nie pomyli się pan co do osoby. Bo inaczej jakiś pechowy nieszczęśnik przeżyje kiepskie chwile.

Idą w milczeniu, mijają fort i wchodzą pomiędzy drzewa na Alamedzie. Kościół Carmen jest ciemny, zamknięte wejście i dwie dzwonnice wznoszące się nad wyniosłą fasadą są pograżone w mroku.

– W każdym razie proszę pamiętać – dodaje profesor sarkastycznie – że tortury zostały zniesione przez Kortezy.

Tak mówią, ma ochotę odrzec Tizón. Ale milczy. Tego właśnie popołudnia przesłuchiwał, w taki sam sposób jak przez całe życie – i jedyny skuteczny – pewnego cudzoziemca, którego przyłapano wczoraj, jak śledził młode szwaczki wychodzące z warsztatu odzieżowego przy ulicy Juan de Andas. Trzeba było wielu godzin pilnej gorliwości i obfitego potu jego

pomocnika Szafota, a także wielu krzyków nieszczęśnika, tłumionych przez mury lochów, żeby stwierdzić, że niewielkie jest prawdopodobieństwo, by człowiek ten był odpowiedzialny za morderstwa. Tizón jednak zamierza potrzymać go jakiś czas w piwnicznym chłodzie, na wypadek gdyby sprawy się skomplikowały i trzeba było kogoś pokazać na balkonie Piłata. To, czy jest formalnie lub rzeczywiście winny, nie ma specjalnego znaczenia, kiedy chodzi o to, żeby coś mieć w ręce. A zeznanie przed pisarzem, głuchym na wszystko poza brzękiem pieniądza, zawsze jest zeznaniem. Komisarz nie posunął się jeszcze tak daleko wobec więźnia – uchodźcy z Sewilli, samotnego urzędnika w średnim wieku – ale nigdy nie wiadomo. Nic go nie obchodzi, że deputowani w sali modlitewnej Świętego Filipa Neri spędzili całe miesiące na debacie, czy należy skopiować angielskie prawo *habeas corpus*, czy zmodernizować prawo aragońskie, które zabrania uwięzienia kogokolwiek bez przeprowadzenia wstępnych procedur mających udowodnić podejrzenie o przestępstwo. Jego zdaniem, od którego nie odwiodą go debaty na trybunie ani inne modne liberalne fidrygały, jedną sprawą są szczerze intencje, a inną stawianie czoła konkretnej rzeczywistości. Z nowymi prawami czy bez nich doświadczenie dowodzi, że z ludzi można wyciągnąć prawdę tylko w jeden sposób, stary jak świat, a przynajmniej równie stary jak zawód policjanta. I że margines błędu, nieunikniony w tego rodzaju sytuacjach, jest nierozzerwalnie związany z prawdopodobieństwem sukcesu. Ani w gospodzie przy ulicy Veedor, ani w żadnym innym miejscu, łącznie z kazamatami, nie da się zrobić tortilli bez potłuczenia jaj. A tych w swoim życiu Tizón rozgniół wiele. I zamierza dalej to robić.

– Z Kortezami czy bez nich, dostanę się do tej głowy, profesorze. Zapewniam pana.

– Najpierw trzeba go schwytać.

– To też zrobię. – Tizón rozgląda się wokół, z podejrzliwą i kwaśną miną. – Kadyks to małe miasto.

– I pełne ludzi. Obawiam się, że pana zapewnienie jest ryzykowne. Chciejstwo zrozumiałe w pana zawodzie i sytuacji, ale dość bezpodstawne... Nie ma żadnej konkretnej racji, która pozwalałaby panu stwierdzić, że uda się panu go schwytać. To nie jest kwestia nosa. Do rozwiązania, o ile istnieje, dojdzie się bardziej skomplikowaną drogą. Bardziej naukową.

– Rękopis *Ajasa*...

– Niech pan posłucha, przyjacielu. Proszę porzucić tę obsesję. Ja przełożyłem ten dramat i dobrze go znam. To jest poezja, nie nauka. Nie może pan analizować tej sprawy, opierając się na tekście napisanym w piątym wieku przed Chrystusem...

To wszystko jest bardzo ciekawe, można sobie łamać głowę retorycznymi chwytami lub metaforyką obrazów, można by też tego użyć jako ozdoby, jednej z tych fantastycznych powieści, jakie teraz czytują panie. Ale to prowadzi donikąd.

Zatrzymali się niedaleko domu Tizona i stoją teraz, opierając się o mur nad wodą pomiędzy dwiema wieżami wartowniczymi. Obok jednej z nich porusza się od czasu do czasu sylwetka strażnika, zwieńczona delikatnym błyskiem bagnetu na lufie karabinu. Naprzeciwko można dostrzec czarne kształty kadłubów i masztów hiszpańskich i angielskich statków zakotwiczonych w niedużej odległości. Zapada noc tak spokojna, że nawet morze jest nieruchome. Ciemna, płynna masa cicha i ogromna, o zapachu nagich skał, piasku i alg przy odpływie.

– Czasami – kontynuuje Barrull – kiedy nasze zmysły nie są w stanie dociec pewnych przyczyn ani ich skutków, odwołujemy się do wyobraźni, będącej najbardziej podejrzanym z możliwych przewodników. Ale nic w naszym świecie nie może uchronić się przed naturalnym porządkiem. Każdy ruch, powtarzam, podlega stałym i koniecznym prawom... Pogódźmy się więc z racjonalnym faktem: świat dysponuje kodami, których nie znamy.

Tizón wyrzuca niedopałek cygara do morza.

– *Zaiste człowiek* – mruczy – *wiele znać może, wiele wypadków doznawszy, lecz nim czego dozna, nikt nie jest świadom przyszłości, jaka go czeka.*

Barrull prycha z naganą. Albo ze znużeniem.

– I pan, i Sofokles zaczynacie mnie nudzić. Nawet w przypadku niezbyt prawdopodobnym, choć możliwym, że morderca zna ten tekst i znalazł w nim pewne pomysły, śmierć czwartej dziewczyny, zabitej przed uderzeniem bomby, zmienia ten fakt w drugorzędny szczegół. W marne echo tej tragedii... Gdybym był na pana miejscu i z równą pewnością wygłaszał owe hipotezy, zabrałbym się niezwłocznie za ustalenie, gdzie i kiedy spadną następne bomby.

– Tak, tylko jak?

– Tego nie wiem... – Śmiech Barrulla rozbrzmiewa w ciemności.

– Może trzeba spytać Francuzów.

## Rozdział VII

*Ite, missa est.* Kończy się msza o ósmej w kościele Świętego Franciszka. O tej porze nie ma zbyt wielu parafian: kilku stojących lub siedzących w bocznych ławkach mężczyzn i około dwudziestu kobiet w środkowej nawie, klęczących na poduszkach lub na złożonych chustach. Przy ostatnich słowach i błogosławieństwie księdza Lolita Palma zamyka książeczkę do nabożeństwa, żegna się, idzie do drzwi, zwilża palce w święconej wodzie w chrzcielnicy przy murze pokrytym woskowymi i mosiężnymi wotami, jeszcze raz się żegna i wychodzi z kościoła. Nie co dzień chodzi na mszę, ale dziś wypadałyby urodziny jej ojca, człowieka pobożnego, choć bez przesady, który miał zwyczaj wysłuchać mszy, zanim rozpoczął dzień pracy. Lolita wie, że Tomas Palma byłby zadowolony, gdyby ją tu zobaczył, cieszyłby się takim sposobem wspominania go w jego urodziny. Lolita Palma wypełnia podstawowe obowiązki wypływające z katolickiego wychowania: niedzielna msza i komunie od czasu do czasu, po spowiedzi u starego księdza, przyjaciela rodziny, który nie stawia niestosownych pytań i zadaje znośną pokutę. Nic więcej. Przyzwyczajona od dziecka do rozległych lektur, wskutek nowoczesnego wykształcenia, jakie odbiera większość kobiet spośród burżuazji Kadyksu, dziewczynka rodu Palma posiada liberalną wizję świata, interesów i życia. To daje się pogodzić z formalnym – w jej przypadku szczerym – praktykowaniem religii katolickiej i zapobiega popadnięciu w bigoterię, częstą u przedstawicielek jej płci w tych czasach.

Plac jest pełen ludzi. Słońce nie stoi jeszcze zbyt wysoko, a letnia temperatura jest przyjemna. Niektórzy przybysze z sąsiedniego zajazdu – dawniej Paryskiego, teraz przemianowanego na Ojczysty – jedzą śniadanie przy stołach wystawionych na ulicę i obserwują przechodniów. Sprzedawcy z pobliskich sklepików otwierają drzwi i zdejmują drewniane zasłony z wystaw, odsłaniając towary. Są tam kobiety, które na klęczkach szorują chodniki przed domami. Inne kropią wodą bruk albo podlewają doniczki na balkonach. Lolita zsuwa z głowy mantylkę, która opada na ramiona – włosy ma zaczesane do tyłu, ściśle zebrane w warkocz zwinięty na karku i przypięty krótkim grzebieniem z masy perłowej – chowa książeczkę do torebki z czarnego aksamitu, wachlarz zwiesza na jedwabnym sznurku, którym jest przywiązany do prawego nadgarstka, i idzie w kierunku sklepów między ulicą Świętego Franciszka a Consulado Viejo, gdzie znajdują się antykwariaty z książkami i kramy ze sztychami oraz obrazkami. Przed powrotem do domu zamierza pójść na plac Świętego Augustyna, żeby odebrać kilka książek i zamówić zagraniczne czasopisma. Potem wróci do domu, biura, jak każdego dnia.

Nie zauważa Pepe Lobo, dopóki ten nie staje tuż przed nią, wyszedłszy z jednej z księgarń z paczką książek pod pachą. Korsarz jest ubrany w kurtkę ze złożonymi guzikami, spodnie z nankinu do kostek i buty ze sprzączką. Widząc ją, zatrzymuje się i zdejmuje marynarską czapkę z dwoma rogami.

– Witam panią – mówi.

Lolita Palma odwzajemnia pozdrowienie, nieco zaskoczona.

– Dzień dobry, kapitanie.

Nie spodziewała się tego spotkania. On najwyraźniej też nie. Wygląda na niezdecydowanego z czapką w ręce, jakby się zastanawiał, czy z powrotem ją włożyć, czy nie, czy iść dalej swoją drogą, czy też wymienić kilka uprzejmości.

– Na spacerze?

– Po mszy.

– Ach.

Patrzy na nią z ciekawością, jakby spodziewał się innej odpowiedzi. Żeby tylko nie uznał, że jestem dewotką, przebiega Lolicie przez myśl. I zaraz się na siebie złości, że tak pomyślała. Cóż mnie on obchodzi, stwierdza. Co o mnie sądzi albo nie sądzi.

– Bywa pan w księgarniach? – pyta z rozmysłem.

Korsarz wydaje się nie dostrzegać impertynencji. Spogląda za siebie, na sklep, z którego wyszedł. Potem wskazuje na paczkę, którą niesie pod pachą. Uśmiecha się, lekceważąc sprawę. Na ogorzalej twarzy pojawiła się jasna szczelina, jakby z kości słoniowej.

– Rzadko, tylko w związku z moim zawodem – odpowiada swobodnie. – To jest *Naval Gazetteer*, w dwóch tomach. Pewien angielski kapitan zmarł na febrę i zlicytowano jego rzeczy. Dowiedziałem się, że kilka książek trafiło tutaj.

Lolita kiwa głową. Takie licytacje często odbywają się na rynku w pobliżu Bramy Morza, kiedy statki wracają po długich, niezdrowych podróżach. Skromne streszczenia ludzkiego życia wyłożone na płótnie rozciągniętym na ziemi, niczym kawałki rozbitego statku: rzeźba z kości wieloryba, jakieś ubranie, kieszonkowy zegarek, brzytwa ze szerniałą rękojeścią, cynowy dzban z wygrawerowanymi inicjałami, miniatura z portretem kobiety, czasem książka. Niewiele mieści się w marynarskim kufrze.

– Jakie to smutne – mówi.

– Dla Anglika z pewnością. – Lobo lekko uderza w paczkę. – A dla mnie łut szczęścia. To książka, którą warto mieć na pokładzie...

Korsarz milknie, pozwalając, by do końca wybrzmiało ostatnie słowo. Zastanawia się, czy na tym zakończyć, czy jeszcze chwilę porozmawiać. Stara się dobrze wyważyć pomiędzy uprzejmością a tym, co stosowne. Lolita też się waha. Sytuacja zaczyna lekko bawić.

– Kapitanie, proszę nakryć głowę. Bardzo proszę.

Lobo stoi chwilę, jakby się zastanawiał, czy zrobić to, czy nie, w końcu wkłada czapkę. Jest w tej samej kurtce co zwykle, przetartej na rękawach, ale ma nową koszulę, czystą, z delikatnego batystu, i zawiązaną białą krawatę. Teraz on uśmiecha się w duchu. Zakłopotanie, jakie u niego wyczuwa, rozczulają nieco. Pewna niezręczność, jakże męska, przy spokojnym spojrzeniu, które czasem ją intryguje. Nie rozumiem dlaczego, mówi sobie w myśli. A raczej dobrze rozumiem. Człowiek jego zawodu jest przyzwyczajony do kobiet innego rodzaju. Sądzę, że nie przyzwyczał się, by traktować nas jak szefów albo współników. Jak ludzi, którzy dają mu pracę albo jej pozbawiają.

– Czy zna pan angielski?

– Daję sobie radę, proszę pani.

– Nauczył się pan w Gibraltarze?

Powiedziała to bez zastanowienia. Albo prawie. W każdym razie teraz dziwi się, dlaczego to zrobiła. On patrzy na nią zamyślony. Może zaciekawiony. Zielone oczy, podobne do oczu kota, wytrzymują jej spojrzenie. Czujnie. Ostrożny kot.

– Już wcześniej mówiłem po angielsku. Przynajmniej trochę. Ale tak, w Gibraltarze poprawiłem znajomość języka.

– Jasne.

Jeszcze chwilę patrzą na siebie, znów w milczeniu. Badawczo. Lolita bardziej bada siebie samą niż mężczyznę, który przed nią stoi. Odczuwa dziwną ciekawość zmieszaną z obawą, kłopotliwą i równocześnie przyjemną. Kiedy ostatni raz spotkała korsarza, ton rozmowy był zupełnie inny. Zawodowy, w towarzystwie osób postronnych. Było to tydzień wcześniej,

podczas narady w jej biurze. Udział w spotkaniu brali obydwaj panowie Sanchez Guinea, tematem było podpisanie papierów likwidacyjnych francuskiego kecza „Madonna Diolet”, który po dwóch miesiącach postępowania przed Trybunałem Morskim – w łapskach zachłannych urzędników sądowych zostało trochę grosza – w końcu uznano za łup wojenny zgodny z prawem, razem z wieszonym ładunkiem skór, pszenicy i okowity. Po uregulowaniu należności wobec króla i Królewskiego Skarbu Pepe Lobo pobrał część należną załodze, z której to części, poza dwudziestoma pięcioma peso, jakie każdego miesiąca otrzymuje na poczet łupów, należy mu się jeszcze siedem części. Pobrał także kwoty należące się rodzinom zabitych i okaleczonych podczas zdobywania statków: dwie części za każdego, oprócz pewnej sumy ze wspólnej kasy przeznaczonej dla rannych, wdów i sierot.

W biurze kapitan działał sprawnie i skutecznie, uważnie sprawdzając stan rachunków: ani jedna cyfra sum przeznaczonych dla jego ludzi nie została przeoczona. Przeglądał wszystko metodycznie, strona po stronie, każdą z nich opatrując swoim podpisem. Nie zachowywał się, zauważyła Lolita Palma, jak człowiek podejrzewający, że armatorzy mogą go oszukać. Ograniczał się do starannego sprawdzenia wyniku – sumy, za którą on i jego ludzie ryzykowali życiem, stłoczeni między ciasnymi burtami kutra, z wiatrem, falami i wrogami wszędzie wokół, ze smrodem i wilgocią wewnątrz, małe kabina pod rufą dla kapitana, kajuta z pryzkami oddzielonymi zasłonami dla porucznika, bosmana i pisarza, płócienne koje dzielone przez resztę załogi zgodnie z wachtami, bez żadnej osłony przed wiatrem i morzem na pokładzie gładkim i chybotliwym, zmienność losu na morzu i na wojnie, stale wytężona uwaga, zgodnie ze starym marynarskim powiedzeniem: „Jedną ręką się trzymaj, drugą walcz za króla”. Obserwując korsarza, kiedy ten czytał i podpisywał papiery w jej biurze, Lolita stwierdziła, że to, czy kapitan jest dobry, można poznać nie tylko na morzu, ale i na stałym lądzie. Zrozumiała też, dlaczego obydwaj panowie Sanchez Guinea tak wysoko cenią Pepe Lobo i dlaczego w czasach powszechnego braku załogantów nigdy nie brakuje marynarzy na „Culebrze”. „To taki człowiek – dawno temu powiedział Miguel Sanchez Guinea – za którym szaleją wszystkie dziwki w portach, a każdy mężczyzna gotowy jest oddać mu ostatnią koszulę”.

Nadal stoją na ulicy przed antykwariatem. Przyglądają się sobie. Korsarz dotyka czapki, jakby zamierzał pójść w swoją stronę. Nagle Lolita odkrywa przed samą sobą, że wcale nie chce, żeby sobie poszedł. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Pragnie, żeby to dziwne uczucie trwało dłużej – ten jakby lęk czy czujność, które powoli budzą jej ciekawość.

– Czy mógłby mi pan towarzyszyć, kapitanie? Muszę odebrać kilka sprawunków. A są to właśnie książki.

Powiedziała to z powagą, która zaskakuje ją samą. Jest spokojna, a przynajmniej myśli, że takie robi wrażenie. Ale czuje, że miarowy dotąd puls przyspiesza. Tump. Tump, tump. Mężczyzna przygląda się jej przez chwilę z lekkim zakłopotaniem, potem znów się uśmiecha. Uśmiechem nagłym, szczerym. Albo tak wyglądającym. Lolita zauważa kanciastą i zdecydowaną linię szczęki, na której ciemny zarost, choć niewątpliwie ogolony bardzo wcześniej, zaczyna być widoczny. Bokobrody, zgodnie z obecną modą sięgające do połowy policzka, są ciemnokasztanowe, gęste. Pepe Lobo z pewnością nie jest delikatny. Nie należy do mężczyzn tego typu co kapitan Virues, czyli chłopiec z dobrej rodziny, który bywa w kawiarniach i spaceruje po Alamedzie. Nic takiego. Jest w nim coś wiejskiego, co podkreślają niezwykle jasne, kocie oczy. Coś bardzo pierwotnego, może nawet niebezpiecznego. Szerokie plecy, silne ręce, masywna sylwetka. Mężczyzna, krótko mówiąc. Tak. Niebezpieczny, to właściwe słowo. Nietrudno go sobie wyobrazić ze zmierzwionym włosiem, w samej koszuli, pokrytego morską solą i potem. Wykrzykuje rozkazy i przeklina pośród armatniego dymu, na wietrze świszczącym w olinowaniu, na pokładzie kutra, gdzie zarabia na życie. Nietrudno też wyobrazić go sobie, jak gniece prześcieradła pod ciałem kobiety.



Ostatni zwrot, jakiego dokonały jej myśli, frasuje Lolitę Palmę. Szuka w myślach, co by powiedzieć, żeby ukić swój stan ducha. Ona i korsarz idą w dół ulicy Świętego Franciszka, nie patrząc na siebie i nie rozmawiając. W odległości dwóch piędzi jedno od drugiego.

– Kiedy wraca pan na morze?

– Za jedenaście dni. O ile Flota dostarczy nam niezbędny sprzęt.

Lolita trzyma torebkę w dłoniach na podolku. Mijają róg ulicy Baluarte i dalej idą przed siebie. Powoli.

– Pańscy ludzie pewnie są zadowoleni. Ten francuski kecz okazał się dobrym interesem. A na rozstrzygnięcie czeka jeszcze jeden zdobyty statek.

– Tak. Tyle że niektórzy sprzedali swoją część z góry kupcom w mieście. Wolą dostać pieniądze od razu, choć miałyby ich być mniej, niż czekać na wyrok sądu morskiego... Oczywiście już wszystko przepuścili.

Bez specjalnego wysiłku Lolita wyobraża sobie, jak marynarze z „Culebry” przepuszczają pieniądze na ulicach Boquete i w przybytkach Calety. Nietrudno wyobrazić sobie, jak Pepe Lobo wydaje swoje zarobki.

– Wydaje mi się, że to wcale nieźle dla firmy – mówi. – Będą chcieli wrócić na morze, żeby znów zarobić.

– Jedni tak, inni – niekoniecznie. Tam nie wiedzie się wygodnego życia.

Na każdym balkonie stoją doniczki, a nad ich głowami wznoszą się żelazne kraty. Wygląda to tak, jakby nad ulicą rozciągał się wyższy ogród. Przed sklepem z zabawkami brudne dzieciaki w poszarpanych czapkach na głowach pożądlawie wpatrują się w papierowe figurki i koniki, bębenki, bąki i wózeczki zawieszane na futrynie w wejściu.

– Obawiam się, kapitanie, czy nie oderwałam pana od ważniejszych zajęć.

– Proszę się nie martwić. Szedłem już do portu. Na statek.

– Nie ma pan domu w mieście.

Korsarz kiwa głową, że nie. Kiedy był na lądzie, potrzebował miejsca do życia, mówi. Ale teraz już nie. Zwłaszcza przy cenach, jakie są teraz w Kadyksie. Utrzymanie domu czy nawet stałego pokoju kosztuje dużo pieniędzy, a wszystko, co posiada, mieści się w jego kajucie. Na pokładzie.

– Tak. Ale teraz ma pan środki.

Znów pojawia się biała szczelina na ogorzałej od słońca twarzy.

– Trochę, tak. Jak pani mówi... Ale nigdy nic nie wiadomo. Morze i życie to cholerne zagadki. – Machinalnie dotyka jednego z rogów czapki. – Proszę wybaczyć brzydkie słowo.

– Mówił mi don Emilio, że wszystkie pieniądze składa pan w depozycie u niego.

– Tak, i on, i jego syn to porządni ludzie. Dają mi dobry procent.

– Pozwoli mi pan na osobiste pytanie?

– Jasne.

– Co pana zaprowadziło na morze?

Pepe Lobo zwleka chwilę z odpowiedzią. Jakby się zastanawiał.

– Konieczność, proszę pani. Jak niemal wszystkich marynarzy, których znam... Tylko głupiec może to lubić.

– Może ja byłabym jednym z tych głupców, gdybym się urodziła mężczyzną.

Powiedziała to, patrząc przed siebie. I dostrzega, że Pepe Lobo przygląda się jej uważnie. Kiedy i ona spogląda na niego, stwierdza, że w oczach marynarza widać jeszcze resztki osłupienia.

– Jest pani dziwną kobietą. Jeśli pozwoli pani, bym tak powiedział.

– Dlaczego miałabym nie pozwolić?

Na rogu ulicy Carne, przy kościele Rosario, grupa przechodniów i mieszkańców dyskutuje przed gazetką powieszoną na murze klasztoru. Jest to raport Regencji dotyczący ostatnich operacji wojskowych, zawierający opis klęski wyprawy generała Blake'a do hrabstwa Niebla

i wiadomość o poddaniu Tarragony Francuzom. Obok oficjalnego afisza wisi drugi, anonimowy, objaśniający w gorzkich słowach, że utrata katalońskiego miasta jest wynikiem braku zainteresowania generała Grahama odsieczą hiszpańskiemu garnizonowi. Poza Kadyksem, który pozostaje bezpieczny za murami i armatami, z reszty Hiszpanii coraz częściej dochodzą złe wiadomości: niekompetencja generałów, brak dyscypliny wojskowej, Brytyjczycy działający zgodnie z własnymi interesami, trudności z odróżnieniem partyzantów od band rabusiów i morderców. Od klęski do klęski, jak mówi szyderczo kuzyn Toño, aż do ostatecznego zwycięstwa. Bardzo to prawdziwe i bardzo smutne.

– Kapitanie, czy wie pan, że nie cieszy się pan dobrą sławą? Nie mam na myśli, naturalnie, pańskich kompetencji jako marynarza.

Przedłużające się milczenie. Przechodzą jakieś dwadzieścia kroków, idąc obok siebie aż do niewielkiego placu Świętego Augustyna. W imię czego mam czelność tak się do niego odzywać, myśli sobie Lolita zmieszana. Jakim prawem? Sama nie poznaje tej kretynki, która w ten sposób mówi moimi ustami. Zirytowana i bezczelna wobec człowieka, który nic mi nie zrobił i którego widziałam w życiu zaledwie pół tuzina razy. Chwilę później, kiedy docierają do księgarni Salcedo, zatrzymuje się i spogląda korsarzowi prosto w oczy. Pewna siebie i zdecydowana.

– Są i tacy, którzy twierdzą, że nie jest pan dżentelmenem.

Intrygujące jest to, że jej słowa nie wywołują u niego zakłopotania ani przykrości. Pepe Lobo stoi nieruchomo, z paczką z *Naval Gazetteer* pod pachą. Ma twarz spokojną, ale tym razem się nie uśmiecha.

– Ktokolwiek tak twierdzi, ma rację... Nie jestem. Ani się nie staram.

Ani to nie są przeprosiny, ani przechwałka. Powiedział to całkiem naturalnie. Nie spuszczaając wzroku. Lolita lekko przechyla głowę na bok. Ocenia.

– Dziwne, że pan tak mówi. Wszyscy się starają.

– Sama pani widzi. Nie wszyscy.

– Jestem zadziwiona pańskim cynizmem... Czy tak to należy nazwać?

Szybkie mrugnięcie. Teraz wydaje się zaskoczony tym słowem. Cynizm. Być może sam tego nie wie, myśli Lolita. Być może to wszystko jest u niego całkiem naturalne. Jego życie tak się różni od mojego. Na ustach korsarza pojawia się lekki uśmiech. Zamyślony.

– Wszystko jedno, jak to nazwiemy, ale ma pewne zalety – mówi Pepe Lobo. – Nie żyjemy wczasach, żeby mówić „proszę, niech pan strzeli pierwszy”. Grzeczny człowiek się nie naje... Zresztą na statku mamy suchary pełne robaków, zjełczałą słoninę i wodniste wino.

Milknie i rozgląda się wokół: wejście do kościoła zwieńczone figurą świętego, placyk, gdzie dziobią gołębie, otwarte sklepy, wystawa i stoły księgarni Salcedo i innych pobliskich – Hortal, Murguia, Navarro, z wyłożonymi książkami. Patrzy na to wszystko z daleka, jakby z zewnątrz, jak ktoś, kto znalazł się tu przejazdem.

– Przyjemnie się z panią rozmawia.

W jego słowach nie ma sarkazmu, co zadziwia Lolitę.

– Dlaczego? Chyba nie przez to, co mówię. Obawiam się, że...

– Nie chodzi o to, co pani mówi.

Powstrzymuje odruch, żeby otworzyć wachlarz i się powachlować. Z całej siły.

– Chciałbym... – zaczyna mówić korsarz. Ale milknie. Znow zapada cisza. Tym razem krótka.

– Myślę, że już czas, żeby ruszył pan w swoją stronę, kapitanie.

Mężczyzna kiwa głową z roztargnieniem. A może zamyślony.

– Jasne.

Dotyka rogu czapki, mruczy pod nosem „za pozwoleniem” i skłania się w geście pożegnania. Lolita rozkłada wachlarz i przez chwilę odświeża się ruchem powietrza. Prawie

odchodząc, Pepe Lobo przygląda się pejzażowi ręcznie namalowanemu na wachlarzu. Lolita dostrzega, gdzie kieruje się jego wzrok.

– To smokowiec – mówi. – Takie egzotyczne drzewo... Widział je pan może kiedyś?

Mężczyzna stoi bez ruchu, przekrzywiając odrobinę głowę. Jakby nie dosłyszał.

– W Kadyksie – dodaje Lolita – jest kilka wspaniałych egzemplarzy tego gatunku. Nazywa się *Dracena draco*.

Kpi sobie ze mnie, mówią oczy korsarza. Analizując wyraz jego twarzy – konsternacja, zaciekawienie – Lolita stwierdza, że odczuwa skrywaną przyjemność, kiedy widzi, że mężczyzna wpada do świata rzeczy nieprawdopodobnych.

– Jedno rośnie przed kościołem Świętego Franciszka, niedaleko domu... Czasem chodzę, żeby je podziwiać, tak jak się odwiedza starego przyjaciela.

– I co pani tam robi?

– Siadam na ławce stojącej naprzeciwko drzewa i patrzę na nie. I myślę.

Pepe Lobo przekłada paczkę pod drugie ramię, ciągle się jej przyglądając. Patrzy na nią już od dobrej chwili, jakby wpatrywał się w enigmę, a ona czuje przyjemność, że tak się w nią wpatruje. Odzyskuje pewną kontrolę nad swoimi czynami i słowami. Uspokaja się. Ma ochotę się uśmiechnąć, ale nie robi tego. Tak jest lepiej.

– Pani zna się też na drzewach? – wreszcie ją pyta.

– Trochę. Interesuję się botaniką.

– Botaniką – powtarza korsarz niemal niedosłyszalnym pomrukiem.

– Właśnie.

Zaciekawione kocie oczy nadal są wpatrzone w jej oczy.

– Kiedyś – zaczyna Pepe Lobo ostrożnie – brałem udział w wyprawie botanicznej...

– Coś takiego!

Kapitan kiwa głową, zadowolony z zaskoczenia, jakie wyraźnie przebija na jej twarzy. Uśmiecha się lekko, niemal niewidocznie, z satysfakcją.

– W roku osiemdziesiątym ósmym byłem drugim oficerem na statku, którym wracali botanicy, wioząc te swoje doniczki, rośliny, nasiona i całą resztę – tu celowo robi pauzę. – I wie pani, co jest najciekawsze? Wyobraża pani sobie, jak się nazywał ten statek?

Entuzjazm Lolity jest szczery. Niemal klaszcze w dłonie.

– W osiemdziesiątym ósmym? Oczywiście, że wiem: „Dragon”, smok, tak jak drzewo!

– Widzi pani. – Uśmiech korsarza się rozszerza. – Świat jest mały jak chustka do nosa.

Lolita nie może się otrząsnąć z zadziwienia. Smoki i smokowce. Dziwne sploty przypadków, myśli. Jak to w życiu.

– Nie mogę uwierzyć... Dwadzieścia trzy lata temu towarzyszył pan don Hipolitowi Ruizowi w drodze do Hiszpanii z El Callao?!

– Nie pamiętam, jak się nazywali ci panowie. Ale pani z pewnością dobrze wie, co mówi.

– Oczywiście, że wiem... Wyprawa do Chile i Peru była nadzwyczajnie ważna, przywiezione rośliny teraz są w Ogrodzie Botanicznym w Madrycie. Mam w domu wiele książek don Hipolita i jego towarzysza podróży, Pavona... Nawet wspomina się tam nazwę statku!

Przyglądają się sobie nawzajem, znów zapada cisza. W końcu przerywa ją Lolita.

– To bardzo ciekawe – ton jej głosu jest cieplejszy. – Musi mi pan o wszystkim opowiedzieć, kapitanie. Bardzo bym tego chciała.

Kolejna pauza. Bardzo krótka. Przelotny błysk w spojrzeniu korsarza.

– Teraz?

– Nie, nie teraz – zaprzecza łagodnie ruchem głowy. – Może przyjdzie pan któregoś dnia... Kiedy pan wróci z morza.

Poważni, męscy, szorstcy, siedzą we trzech na słomianych krzesłach w cieniu pergoli z winną latoroślą. Skręcają papierosy z krojonego tytoniu, który wyjmują z torby, wędrującej z rąk do rąk, krzesiwem i skałką rozniecają płomień, dymi hubka i tytoń. Szklany dzban, w połowie pełen wina, czwarty raz krąży wokół.

– To dwadzieścia tysięcy reali – mówi Curro Panizo. – Do podziału.

Panizo jest warzelnikiem soli, sąsiadem i kompanem Felipe Mojarry, który patrzy na niego zamyślony. Kusi go ta myśl. Od dobrej chwili dyskutują nad szczegółami sprawy.

– Noce są krótkie, ale wystarczy nam czasu – nalega Panizo.

– Możemy podpłynąć kanałem wpływ, bez hałasu, tak jak ja z moim synem kilka dni temu.

– Dokąd dotarliście?

– Do Matilli, blisko nabrzeża. Widzieliśmy tam dwie kanonierki, tyle że trochę dalej. Trudniej byłoby je zabrać.

Mojarra podnosi dzban, odchyła głowę do tyłu i pije duży łyk czerwonego wina. Potem podaje dzban swojemu szwagrowi, Bartolo Cardenasowi – bardzo chudemu, kościstemu, z rękami jak krzaki winnej latorośli – który pije łyk i z kolei podaje dzban Panizo. Słońce odbija się w nieruchomej wodzie w pobliskich salinach i rozprasza obraz odległych lasów sosnowych i delikatne kontury wzgórz przy Chiclanie. Chałupa Mojarry – skromne domostwo: dwie izby, patio z winem i pelargoniami i maleńki ogródek – stoi na obrzeżu miasteczka na Lwiej Wyspie, na końcu długiej ulicy odchodzącej od placu Trzech Krzyży w kierunku kanału Saporito.

– Opowiedz mi wszystko jeszcze raz – mówi Mojarra. – Dokładnie, ze wszystkimi szczegółami.

Kanonierka, cierpliwie powtarza Panizo. Jakieś czterdzieści stóp długości. Zaczumowana w kanale Alcomocal, niedaleko młyna w Santa Cruz. Strzeżona przez kaprała i pięciu żołnierzy, którzy zabijają czas, śpiąc, bo z tej strony Francuzi mają spokój. On z synem natknęli się na tę kanonierkę, kiedy poszli na zwiady, żeby sprawdzić, czy nadal wydobywa się piasek do budowy fortyfikacji. Cały dzień byli ukryci w chaszczach, studiując topografię i obmyślając plan napadu. To wcale nie jest trudne. Za kanałem Camarón trzeba płynąć przez wodne przesmyki i drobne kanaliki aż do głównego koryta, starając się, żeby ich nie dostrzeżono z angielskiej baterii w San Pedro. Potem powoli wpływ aż do Alcomocal. Odpływ i wiosła pomogą w drodze powrotnej. A jeśli na dodatek będzie dobry wiatr, sprawa gotowa.

– Naszym wojskowym wcale się to nie spodoba – wysuwa wątpliwości Mojarra.

– Nie odważą się zapuścić tak daleko. A gdyby się odważyli, cała nagroda byłaby dla nich, a dla nas ani reala... To dużo pieniędzy, Felipe.

Curro Panizo ma rację, dobrze wie Mojarra. Władze hiszpańskie płacą dwadzieścia tysięcy reali w srebrze za zdobycie nieprzyjacielskiej kanonierki z haubicami bądź armatami albo za łódź pancerną z działem. A dziesięć tysięcy reali dają za każdą mniejszą jednostkę i dwieście za nieprzyjacielskiego żołnierza lub marynarza wziętego do niewoli. I to, co najważniejsze: żeby zachęcić do takich akcji, płacą szybko i gotówką. A przynajmniej tak mówią. W tych czasach niedostatku, kiedy niemal każdemu marynarzowi i wielu żołnierzom władza zalega z co najmniej dwudziestoma wypłatami, a na wszelkie upomnienia odpowiedzią jest suche „nie ma środków”, dostać od ręki dwadzieścia tysięcy reali w dobrej monecie, z dnia na dzień, to byłaby fortuna. Zwłaszcza dla tak biednych ludzi jak Mojarra i jego kum Panizo, byli kłusownicy i warzelnicy soli z Lwiej Wyspy, czy jak szwagier Bartolo Cardenas, powroźnik z fabryki lin w Carrace.

– Jak nas złapią zabojaży, będziemy załatwieni.

Panizo uśmiecha się pożądliwie. Jest łysy, mocny, ma spaloną słońcem czaszkę i brodę przetykaną siwizną. Wielki nóż za pasem, niegdyś czarny, a teraz wypłowiały i szary, koszula

pocerowana i pełna łąt. Spodnie z marynarskiego płótna za kolana i bosa stopy, tak samo zrogowaciałe jak stopy Mojarry.

– Dla takich pieniędzy warto spróbować – mówi.

– Też tak myślę – dodaje szwagier Cardenas.

– Bez pracy nie ma kołaczy.

Cała trójka uśmiecha się do swoich myśli. Z rozkoszą. Żaden z nich nie widział w swoim życiu takiej góry pieniędzy.

– Kiedy by to było? – pyta Mojarra.

W oddali słychać odgłos wybuchu i wszyscy trzej patrzą w stronę Saporito, na wschód, na kanały biegnące do Chiclany. Francuzi nie mają w zwyczaju bombardować o tej porze, ale nigdy nie wiadomo. Zazwyczaj strzelają w kierunku wyspy, kiedy toczy się jakaś zaciekle bitwa na froncie, często też w nocy. Wielu ludzi przeniosło się do piwnic albo suterren, jeśli ich domy mają. Dom rodziny Mojarry do takich nie należy, a kiedy w pobliżu spadają bomby, można jedynie szukać bezpiecznego schronienia w kościele Carmen, u Świętego Franciszka albo w kościele parafialnym, który ma grube kamienne mury. Jeśli jest dość czasu. Bo kiedy bomby spadają nagle, pozostaje tylko schować się za ścianą, tuląc dzieci, i modlić się.

Żona Mojarry – niedbale związany węzeł czarnych włosów, zniszczona skóra, obwisłe piersi pod koszulą z grubego materiału – też usłyszała odległy wybuch. Podchodzi do drzwi, wycierając ręce w fartuch, i spogląda w stronę Chiclany. Nie widać po niej strachu, ale rezygnację i znużenie. Mąż jednym spojrzeniem odsyła ją z powrotem do wnętrza chałupy.

– Moglibyśmy wyruszyć za pięć dni – mówi Curro Panizo, ścisząc głos. – Wtedy nie będzie księżyc, zrobimy to w ciemności.

– Może do tego czasu już ją przestawią gdzieś indziej.

– Tam jest przycumowana na stałe do niewielkiego pomostu. Wpływają na niej w głąb kanału i stamtąd strzelają do angielskiej baterii w San Pedro... Opowiedział nam to dezertier, którego zabraliśmy w drodze powrotnej – ukrył się zatoczce przy Pelonie i czekał na zapadnięcie nocy, żeby przepłynąć wpływ na naszą stronę.

– I mówisz, że kanonierka jest uzbrojona?

– Widzieliśmy działa. Wielkie... Żabojad mówił, że sześć-, ośmifuntowe.

Dym krojonego tytoniu, kolejne kółko dzbana. Przyglądają się sobie nawzajem poważnie. Wszyscy wiedzą, o czym mówią.

– Nas trzech to za mało.

– Pójdzie też mój chłopak – mówi Panizo.

Syn ma czternaście lat. Wołają go Francisco, tak samo jak ojca, a w zdrobieniu Curro albo Currito. Sprytny i żywy jak wiewiórka w lesie. Zbyt młody, żeby zaciągnąć się do oddziału strzelców, towarzyszy od czasu do czasu swojemu ojcu podczas zwiadów w kanałach. Teraz siedzi w odległości trzydziestu kroków, na brzegu Saporito, z linką w ręku stara się coś złowić. Żeby nie przeszkadzał, Panizo kazał mu tam zostać, póki go nie zawołają. Choć ma już dość lat, by ryzykować życie, nie jest to jeszcze odpowiedni wiek na udział w męskich rozmowach. Ani na picie z dzbana i palenie tytoniu.

– Jeśli byłoby nas więcej, stalibyśmy się bardziej widoczni – stwierdza szwagier Cardenas. – Mogliby zacząć do nas strzelać Anglicy albo nasi od strony Masedy... A kiedy będziemy wracać, mogliby nas wziąć za Francuzów.

– We czwórce będzie dobrze – zamyka temat Mojarra. – My i malec.

Panizo liczy na palcach.

– I na dodatek łatwo się dzieli, równo po pięć tysięcy dla każdego.

Szwagier Cardenas pytająco spogląda na Mojarrę, ten jednak ma kamienną twarz. Chłopak będzie ryzykował tak samo jak inni, i tak być powinno. Dla Curro Panizo i niego słowo „przyjaciół” to więcej niż słowo.

– Może i da się to zrobić – mówi.

Przy ostatniej rundce dzban został opróżniony. Mojarra wstaje, chwytając za ucho i wchodzi do domu, żeby znów go napełnić. To marne wino, kwaśne, ale nie ma innego. Ożywia brzuch i zamiary. Przy wygasłym piecu pod okapem komina Manuela Cardenas, żona, której pomaga jedenastoletnia córka, przygotowuje obiad: cienkie gazpacho z ząbkiem czosnku, kawałkami suchej papryki utartej z olejem, octem, odrobiną wody i chleba. Są jeszcze dwie dziewczynki – jedna ma osiem lat, a druga pięć – i bawią się na ziemi drewnianymi i kłębkami sznurka obok teściowej Mojarry, staruszki na wpół niedołęznej, drzemiącej na krzeselku obok kadzi z wodą. Najstarsza córka, Mari Paz, pracuje jako pokojówka w Kadyksie, u pań Palma. Z jej zarobków i z tego, co ojciec dostaje w oddziale strzelców, jedzą i piją wszyscy w tym domu.

– To pięć tysięcy reali – szepce Mojarra, podszedłszy do żony.

Wie, że wszystko słyszała. Milcząc, patrzy na niego zmęczonym wzrokiem. Jej zwiędła skóra i przedwczesne zmarszczki wokół oczu i ust zdradzają domowe kłopoty, ciągłą biedę, siedem cięż, z tego troje dzieci szybko zmarło. Kiedy napełnia dzban winem z balonu w wiklinowym koszu, Mojarra odgaduje to, czego nie mówią słowa. Daleko jest, mężu, do tych Francuzów, są niemal na końcu świata, i nikt nam nie zapłaci, jeśli ciebie zabiją. Nikt nie przyniesie do domu jedzenia, jeśli na zawsze zostaniesz tam pomiędzy kanałami. Już i tak zbyt wiele ryzykujesz każdego dnia, żeby kusić los jeszcze w ten sposób.

– Pięć tysięcy reali – nalega Mojarra.

Kobieta odwraca obojętny wzrok. Jest pesymistką, co wynika z warunków i czasów, w jakich żyje, a także marnej kondycji swojej rasy. Szwagier Cardenas, który umie pisać i rachować, przed chwilą wyliczył, ile to jest: trzy tysiące białych dwufuntowych bochenków chleba, dwieście pięćdziesiąt par butów, trzysta funtów mięsa, osiemset mielonej kawy, dwa i pół tysiąca kwaterek wina... To niektóre z wielu rzeczy, jakie mogliby sobie kupić, gdyby Felipe Mojarra przyprowadził, wiosłując, ciągnąc, czy jak by dopomógł Bóg, tę francuską kanonierkę z młyna w Santa Cruz, pokonując pół mili kanałów, bagien i ziemi niczyjej. Jedzenie, oliwa do kaganka, drewno do gotowania i do ogrzania domu w zimie, ubrania dla dziewczynek chodzących teraz półnago, nowy dach, nowa kołdra na siennik w izbie z odymionymi ścianami, gdzie śpią wszyscy razem, rodzice i córki. Chwila wytchnienia od tej nędzy, którą przerywa czasem ryba złapana w kanałach albo ptak znad salin, ale coraz trudniej jakiegoś ustrzelić – nawet kłusownictwo, które kiedyś pozwalało przeżyć, diabli wzięli, bo całe wojsko siedzi w okopach na wyspie.

Warzelnik wychodzi na zewnątrz, mruży oczy od blasku słońca odbijającego się od powierzchni spokojnej wody w rozlewiskach. Podaje dzban kumowi i szwagrowi, którzy odchylają głowy, żeby strumień wina spłynął wprost do gardła. Mlaskają z satysfakcją. Nożami siekają tytonń bezpośrednio na zrogowaciałej skórze twardych dłoni. Zwijają kolejne papierosy. Pod światło widać na drodze biegnącej wzdłuż kanału Saporito i prowadzącej do arsenału w Carrace długi rząd poruszających się powoli sylwetek więźniów wracających z pracy przy budowie fortyfikacji w Gallineras, eskortowanych przez piechotę morską.

– Wyruszamy za pięć dni – mówi Mojarra. – Kiedy będzie ciemno.

Z nabrzeża Jarcia w Puerto Real Simon Desfosseux obserwuje pobliski kawałek wybrzeża zajęty przez nieprzyjaciela. Jego oko zawodowca, przyzwyczajone do obliczania czy to odległości rzeczywistych, czy to w skali map, działa z precyzją dokładnego dalmierza: dokładnie trzy mile do przylądka Cantera, jedna i sześć dziesiątych do przylądka Clica, półtorej do Carraki i potężnej baterii broniącej północno-zachodniego narożnika arsenału pod wezwaniem Świętej Łucji, umiejscowionego wokół dawnego więzienia, świetnie uzbrojonego w dwadzieścia dział, w tym armaty dwudziestoczwurfuntowe i haubice dziewięciocalowe. Bateria jest tak ustawiona, że kąty jej rażenia krzyżują się z kątami rażenia innych baterii, co sprawia, że nieprzyjacielska linia w tym sektorze jest nie do pokonania, bo obejmuje swoim

zasięgiem wszystkie kanały, którymi mogłyby dostać się tam francuskie oddziały szturmowe, i dodatkowo wspiera kanonierki systematycznie nękające cesarskie wojsko. Tak właśnie zdarzyło się trzy dni wcześniej, kiedy flotylla jednostek kotwiczących przy Puerto Real, bardzo blisko nabrzeża, została zaatakowana przez statki, które nocą przyplłyły z nieprzyjacielskiego wybrzeża. Świt odsłonił dziesięć hiszpańskich kanonierek, cztery łodzie opancerzone z haubicami i trzy łodzie przeciwożniowe ustawione w szyku bojowym; i dopóki trwał pomyślny przyplływ, zanim wróciły do swoich baz, jednostki te wystrzeliły przeszło dwadzieścia granatów i dwieście kul, powodując liczne straty na statkach i w pobliskich zabudowaniach portowych. Sam budynek rodziny Rosa, zwany Wielkim Domem, stojący tuż przy nabrzeżu i służący za magazyn amunicji i kordegardę, został trafiony jedenaście razy. Krótka mówiąc, katastrofa. Zabici i ranni. Dlatego właśnie marszałek Victor, wściekły aż po czubki skręconych bokobrodów, zbeształ w swoim ostrym, koszarowym stylu generała Meniera, aktualnego dowódcę dywizji odpowiedzialnej za Puerto Real, wyzywając go od najgorszych, poczynając od darmozjada, i natychmiastowo wezwał Simona Desfosseux z Trocadero, dając mu wszelkie plenipotencje oraz rozkaz przeanalizowania sytuacji i takiego działania, by podobna sytuacja się nie powtórzyła – te słowa marszałka powtarzano potem z ust do ust – w całym pierdolonym życiu.

Podchodzi sierżant Labiche, którego Desfosseux zabrał ze sobą do pomocy. Podoficer nie jest cudem zręczności, nie posiada też ducha walki, ale jego jednego kapitan ma do dyspozycji w tej chwili. Labiche przynajmniej zachowuje pozory. Jakby zmiana powietrza dodała mu energii – a może wyładowuje na obcych podwładnych zły humor i znudzenie, jakie gromadził w sobie w Trocadero – Owerniak od wczoraj wykrzykuje rozkazy jak majster na budowie, przeklinając po kolei wszystkich w koszarach, w trzech pokoleniach wstecz.

– Już przyjechały działa, kapitanie.

– Spocznij. Biercie się za przygotowanie lawet.

Czuć zapach odpływu. Białymi plamami mew siedzących obok statków stojących w błocie – z niektórych pozostały tylko spalone wręgi – jest upstrzony jezor mułu i rzęsy wodnej, odkryty przez cofającą się wodę odpływu na wprost nabrzeża, gdzie przechadza się Desfosseux wśród mrowiących się żołnierzy, którzy w tę i z powrotem biegają z wozami i taczkami. Kapitan dokonał analizy sytuacji wczoraj rano, zaraz po przyjeździe na miejsce; po południu wydał rozkaz przystąpienia do pracy i ludzie harują bez przerwy całą noc i cały dzisiejszy dzień. Mija już czwarta po południu i oddział saperów z pomocą – zgrzytających zębami w tym upale – żołnierzy piechoty i morskiej artylerii właśnie kończy układanie wielkich koszy napełnionych mułem i piaskiem, mających chronić nowy fort w kształcie półksiężyca – sześć ułożonych tu ośmioletowych dział pokryje cały front morski naprzeciwko wioski. W zasadzie.

Desfosseux podchodzi, żeby przyrzeć się żelaznym walcom czekającym na placu na wozach zaprzężonych w muły. To dawne działa artyleryjskie długości sześciu stóp, ważące po przeszło pół tony każde, przywiezione z El Puerto de Santa Maria i przeznaczone do umieszczenia na lawetach systemu Gribeauvala, które właśnie są mocowane na swoich pozycjach. Pośpiech księcia de Bellune sprawia, że działa nie są osłonięte, nie ma otworów strzelniczych, a artylerzystów chroni jedynie mur z koszy napełnionych mułem – podpartych palami wbitymi w ziemię – wysokości trzech do pięciu stóp, tworzący bastion. To wystarczy, żeby utrzymać na dystans hiszpańskie kanonierki, ocenia Desfosseux, przynajmniej za dnia, choć martwią go, o czym poinformował swoich zwierzchników, niektóre zmiany w ustawieniu artylerii wroga. Pewien angielski oficer, który wskutek udziału w pojedynku przeszedł właśnie na stronę francuską, dostarczył im najświeższych informacji: w baterii w Lazareto są działa większego zasięgu, wzmocniono brytyjskie reduty w Sancti Petri i Gallineras Altas, więcej Portugalczyków stacjonuje w Torregordzie, który to bastion uzbrojono w działa dwudziestoczerofuntowe i w trzydziestosześcioletowe angielskie

koronady. To wszystko pozostaje poza terytorium Desfosseux i nie budzi jego specjalnego niepokoju, natomiast martwi go nowe zagrożenie dla Trocadero: projekt użycia okrętu „Terrible” jako pływającej baterii, z której wróg mógłby ostrzelać fort Ludwika i Cabezuelę, chcąc wreszcie uciszyć ostrzeliwującego Kadyks Fanfana. A przynajmniej starać się o to. Przy ogniu prowadzonym równocześnie z czterech rogów każda zmiana czy każdy nowy ruch, jakkolwiek niewielkie by były, może pociągnąć za sobą skomplikowane konsekwencje dla tej konstrukcji z kart i kostek domina, jaką jest oblężenie zatoki. A cesarska artyleria, z Simonem Desfosseux w oku cyklonu, odgrywa rolę ratownika, który z wiaderkiem wody musi stawić czoło pożarowi, biegnąc to tu, to tam, z żałosnym rezultatem.

Kapitan zrzuca kurtkę od munduru i nie bacząc na swój stopień, pomaga żołnierzom dowodzonym przez sierżanta Labiche’a zdejmować z wozu działa, pośród skrzywienia lin i bloków, i umieszczać je na drewnianych lawetach pomalowanych na oliwkowy kolor, które mają płaską pochyłą podstawę z kółkami ustawionymi na platformie z szynami, co zmniejsza odrzut po wystrzale. Waga każdego z długich żelaznych walców powoduje, że budowa tego elementu fortyfikacji jest powolna i uciążliwa, utrudniona jeszcze przez brak doświadczenia ludzi, niezdarnych, stwierdza Desfosseux, jakby się prosili, żeby pogonić ich batem. Ale nie wini ich. W sześciu regimentach, które stoją na froncie od Trocadero po Sancti Petri, zdziśniętymi przez niedobór wszystkiego i naturalne straty wojenne, wyraźnie daje się odczuć alarmujący brak artylerzystów. W tej perspektywie nawet niechętny wszystkiemu Labiche jest cenny, bo przynajmniej zna swój fach. W bateriach strzelających na miejskie zabudowania Kadyksu Desfosseux był zmuszony uzupełnić oddziały artyleryjskie zwykłą piechotą liniową. A tutaj, na nabrzeżu w Puerto Real, poza dwoma kapralami i pięcioma żołnierzami artylerii, a także trzema artylerzystami morskimi, którzy przyjechali z działami z El Puerto de Santa Maria – czerwone lamówki ich niebieskich kurtek wyróżniają się pośród białych napierśników piechoty – reszta przyszłej obsługi fortu także należy do regimentów liniowych.

Krrak, krrak, skrzypi laweta. Kapitan odskakuje w tył, mało brakowało, by jedno z kół zmiażdżyło mu stopę, przejechało kilka cali obok. Cholerny świat, myśli. Niechby лихо wzięło hiszpańskie kanonierki, marszałka Victora i jego durne pomysły. Puerto Real mógł zostać uzbrojony przez byle którego oficera, ale w ostatnich miesiącach każda bomba przelatująca w powietrzu, wszystko jedno w jakim kierunku, staje się według księcia de Bellune i jego sztabu generalnego sprawą wyłącznie Simona Desfosseux. Daję panu to, o co pan prosi, kapitanie, powiedział Victor ostatnim razem. Albo to, co mogę dać. Proszę zorganizować sobie życie i nie przeszkadzać mi, o ile nie będzie pan miał dobrych wieści. Skutkiem czego wszyscy bez wyjątku oficerowie artylerii i wyżsi dowódcy Pierwszego Korpusu, łącznie z generałem armii D’Aboville’em – który zastąpił Lesueura – obdarzają Desfosseux dziką nienawiścią, ledwie maskowaną przez dobre maniery i wymogi regulaminu: oczko w głowie marszałka, mówią o nim. Geniusz balistyki, duma Metz i tak dalej. Normalne. Kapitan dobrze wie, że każdy z jego dowódców i kolegów oddałby miesięczny żołd za to, żeby któraś z haubic Villantroya-Ruty’ego wybuchła mu tuż przed nosem albo jakaś szczęśliwa hiszpańska bomba posłała go na tamten świat. Żeby trafiła mu się zmiana warty, jak się to określa owym czystym eufemizmem w cesarskim wojsku.

Desfosseux wyjmuje kieszonkowy zegarek z kamizelki i patrzy, która godzina: jest za pięć piąta po południu. Ma wielką ochotę skończyć to już wreszcie i wrócić na redutę w Cabezueli, do Fanfana i jego braci, których pozostawił pod opieką porucznika Bertoldiego. Choć są w dobrych rękach, kapitan martwi się, że dotąd nie słyhać żadnego wystrzału z tamtej strony. Przewidywano, że jeszcze przed zachodem słońca, o ile nie będzie wiał przeciwny wiatr, oddanych zostanie osiem wystrzałów w kierunku Kadyksu: cztery bezwładne bomby napełnione ołowiem i piaskiem i cztery wyposażone w materiał wybuchowy.



Ostatnio kapitan jest zadowolony. Łuk, który na mapie oznacza granicę zasięgu wybuchów, przesuwa się powoli w kierunku zachodnim i obejmuje już przeszło trzecią część miasta. Zgodnie z otrzymanymi doniesieniami, trzy spośród ostatnich bomb obciążonych ołowiem spadły niedaleko wieży Tavira, której wysokość sprawia, że staje się wyraźnym punktem odniesienia przy celowaniu. To oznacza, że bomby wybuchają już w odległości zaledwie stu dziewięćdziesięciu węzłów od placu Świętego Antoniego, głównego placu w mieście, i stu czterdziestu od kościoła Świętego Filipa Neri, gdzie zbierają się zbuntowane Kortezy. Posiadając takie dane, Desfosseux optymistycznie patrzy w przyszłość: jest pewien, że już niedługo, przy sprzyjających warunkach atmosferycznych, jego bomby przekroczą odległość dwóch tysięcy siedmiuset węzłów. Na razie wydłużenie zasięgu aż do leżącej obok miasta zatoki, w której stoją zakotwiczone angielskie i hiszpańskie okręty wojenne, pozwoliło kilka z nich trafić. Niezbyt celnie i nie powodując specjalnych strat, ale jednak okręty podniosły kotwice i przeniosły się trochę dalej, na wprost fortów Candelarii i Świętej Katarzyny.

Wszystkie działa ośmioletowe już się prawie znajdują na swoich lawetach. Żołnierze, brudni i spoceni, ciągną sznury i pchają żelazo. Korpulentni saperzy pracują skupieni, w ciszy, tak jak zazwyczaj. Artylerzyści zostawiają dla nich najtrudniejszą część zadania, starając się robić nie więcej niż to konieczne. Swoją drogą żołnierze piechoty objijają się, jak tylko mogą. Labiche policzkuje jednego z nich z systematycznym okrucieństwem. Potem kopie go w tyłek.

– Wyrwę ci flaki, łajdaku!

Desfosseux odwołuje podoficera na stronę. Proszę nie bić ich przy mnie, mówi po cichu, żeby nie podważać jego autorytetu przed żołnierzami. Labiche wrusza ramionami, spluwa na ziemię, wraca do swojej roboty, a kilka minut później znów tłucze ludzi.

– Pozabijam was, leniwe próżniaki! Sukinsyny!

Przez to, że nie ma bryzy, upał jest nieznośny, gęsty. Desfosseux ociera pot z czoła. Bierze kurtkę i odchodzi z nabrzeża, kierując się do kadzi z wodą, stojącej w cieniu na rogu ulicy Cruz Verde, obok budki strażniczej. Niemal wszyscy hiszpańscy mieszkańcy opuścili swoje domy w Puerto Real, jedni z własnej woli, inni zmuszeni siłą. Wioska stała się ogromnym wojskowym obozowiskiem. Przez wielkie żelazne kraty w oknach domów, sięgające od frontu aż do ziemi, widać wnętrza ograbionych mieszkań, potłuczone szyby, drzwi i meble rozbite w drzazgi, sienniki i kapy zrzucone na ziemię. Wszędzie widać kupy popiołu z ognisk biwaków. Patia przemienione w stajnie śmierdzą końskimi odchodami, bzyczą roje much.

Kapitan wypija kubek wody, siada w cieniu i wyjmuje z kieszeni list od żony – pierwszy od sześciu miesięcy – który dostał wczoraj rano, zanim opuścił baterię w Cabezueli. Już piąty raz go czyta, ale teraz też nie budzi w nim większych emocji. Kochany mężu, zaczyna się. Wznoszę do Boga modły, aby zachował Cię przy życiu i w zdrowiu. List został napisany przed czterema miesiącami i zawiera szczegółowe i monotonne sprawozdanie z rodzinnych wydarzeń, narodzin, ślubowi pogrzebów, nieistotnych domowych incydentów, wieści z odległego miasta, które Simon Desfosseux przegląda obojętnie. Jego zainteresowania nie budzi nawet kilka linijek dotyczących plotki, że dwadzieścia tysięcy Rosjan podeszło do polskich granic i cesarz szykuje się do wojny z carem: Polska, Rosja, Francja, Metz są zbyt daleko. Dawniej taka obojętność bardzo go niepokoiła. Wręcz przyprawiała o wyrzuty sumienia. Tak działo się zwłaszcza na początku, kiedy wraz z wojskiem szedł na południe poprzez obce, nieprzyjazne krainy, coraz bardziej oddalając się od świata pozostającego w pozornej równowadze. Ale już tak nie jest. Kiedy jego świat już dawno temu zredukował się do przestrzeni ograniczonej pewnością rutyny i geometrii, obojętność wobec wszystkiego, co dzieje się w odległości przekraczającej trzy tysiące węzłów, okazała się nadzwyczajnie korzystna. Niemal wygodna. Oszczędza mu melancholii i nostalgii.

Desfosseux składa list i z powrotem wsuwa go do kieszeni. Potem przez chwilę obserwuje prace toczące się na półkolistym nabrzeżu i spogląda w kierunku Trocadero. Martwi go milczenie Fanfana i jego braci. Przez chwilę zatapia się w rachunkach, trajektoriach i parabolach, pozwala sobie na odlot podobny do tego, jakiego doznaje się pod wpływem oparów opium. Wieża Tavira, marzy z przyjemnością, wreszcie niemal w polu rażenia. Wspaniała wiadomość. Centrum Kadyksu w zasięgu ręki. Ostatni gołąb pocztowy, jaki przeleciał przez zatokę, przyniósł malusieńki plan tej części miasta z dokładnie oznaczonymi miejscami wybuchów: dwa na ulicy Recaño, jeden na ulicy Vestuario. Porucznik Bertoldi skakał z radości. Cd mu często się zdarza, kapitan Desfosseux myśli o agencji wysyłającym te informacje: o człowieku, którego ryzykowna praca pomaga w stawianiu triumfalnych punktów na planie miasta. Sądzi, że jest z pochodzenia Hiszpanem albo naturalizowanym dawno temu Francuzem. Nie wie, jak wygląda, jak się nazywa ani czym się zajmuje. Czy jest wojskowym, czy cywilem, ofiarnym entuzjastą czy zwykłym sprzedawczykiem, zdrajcą swojej ojczyzny czy bohaterem szlachetnej sprawy. On nawet mu nie płaci – wszystkim zajmuje się sztab główny. Bezpośrednio łączą ich jedynie gołębie pocztowe i potajemne wyprawy, które odbywa pomiędzy dwoma wybrzeżami pewien hiszpański przemytnik, zwany Mulatem. A ów Mulat nie mówi więcej niż to niezbędne. W każdym razie zapewne agent ma ważne powody, by robić to, co robi. Sądząc po efektach, jest odważny i bardzo opanowany. Życie w cieniu szubienicy zrujnowałoby nerwy pospolitemu człowiekowi. Desfosseux wie, że on sam nie byłby zdolny żyć w takich warunkach, osamotniony na terenie wroga, nikomu nie ufając, w stałym lęku przed odgłosem kroków żołnierzy czy policjantów na schodach, narażony na podejrzenia, zdradę, tortury i haniebną śmierć, jaka czeka szpiega.

Działa umieszczono już na lawetach, są teraz wycelowane w stronę zatoki ponad niskim murem. Kapitan wstaje, opuszcza cień i wraca na nabrzeże, by dopilnować ostatnich szczegółów instalacji. W drodze słyszy odgłos wybuchu, dobiegający z zachodu. Głośne puumba, dobrze mu znane. Jego doświadczone ucho nieomylnie ocenia odległość: dwie i pół mili od nich. Zatrzymuje się, żeby popatrzeć w tamtym kierunku, w dal za pobliskim wybrzeżem Trocadero, i pół minuty później słyszy kolejny podobny wybuch, a potem jeszcze trzeci. Stojąc na nabrzeżu i osłaniając oczy ręką od światła, Desfosseux uśmiecha się zadowolony. Wystrzały z haubicy Villantroya-Ruty'ego są wyjątkowe, nie można ich pomylić z niczym innym – doskonałe, zwarte, czyste przy wybuchu ładunku, z dźwięcznym echem. Puumba! Teraz nastąpił kolejny, czwarty. Dobry chłopak z tego Maurizia Bertoldiego. Potrafi wypełnić swoje obowiązki.

Puumba. Piąty wybuch napełnia kapitana dumą, ogarnia go miłe, ciepłutkie poczucie satysfakcji. Pierwszy raz słyszy wystrzały haubic, będąc z dala od Cabezueli, z dala od baterii, nie mogąc samemu zadbać o każdy szczegół. Wszystko jednak brzmi tak, jak powinno. Cudownie dobrze. Ostatni rozległ się wystrzał z Fanfana: różni się tonem w początkowej fazie odgłosu, jest nieco niższy i bardziej suchy niż inne. Fakt, że rozpoznaje go z tak daleka, budzi u Simona Desfosseux niespodziewaną czułość. Jak u ojca widzącego pierwszy raz, że jego syn chodzi.

– Jak to zniknął? Czy pan sobie kpiny urządza?

– W żadnym wypadku, proszę pana. Niech Bóg broni.

Pełna napięcia cisza. Długa. Rogelio Tizón wytrzymuje bez zmrużenia oka wściekłe spojrzenie generalnego intendenta i sędziego do spraw przestępstw i policji Eusebia Garcii Pico.

– Ten człowiek był aresztowany, Tizón. Pan za niego odpowiadał.

– Uciekł, mówię panu. To się zdarza.

Są w gabinecie Garcii Pico, który siedzi za swoim lśniącym biurkiem – nie ma na nim ani jednej kartki papieru – przy oknie, przez które widać podwórze Królewskiego Więzienia.

Tizón stoi, trzymając w ręku teczkę z dokumentami. Marząc, by teraz być w jakimkolwiek innym miejscu.

– Uciekł w dziwnych okolicznościach – mruczy Garcia Pico w końcu, jakby do siebie samego.

– Tak właśnie, panie generale intendencie. Badamy tę sprawę starannie.

– Jak starannie?

– Tak, jak mówię. Starannie.

Takie określenie sytuacji jest równie dobre jak każde inne. W rzeczywistości człowiek, o którym mowa – ten, który śledził młode szwaczki na ulicy Juan de Andas – od tygodnia leży na dnie morza, zawinięty w kawałek płótna, z dwiema kulami w głowie i z kotwicą jako balastem. Tizón, który odczuwał pilną potrzebę uzyskania zeznań o charakterze zapobiegawczym, popełnił błąd, powierzając tę robotę swojemu pomocnikowi Szafotowi i dwójce zbirów nienawykłych do subtelności w sztuce wymiany zdań. Zatrzymany zapewne nie był zbyt mocnego zdrowia, a przesłuchujący odrobinę przesadzili.

– To nic poważnego, proszę pana. Nikt nic nie wie... Albo wiedzą niewiele.

Garcia Pico z niezadowoloną miną wskazuje, by usiadł.

– Tego by pan chciał – mówi, gdy Tizón zajmuje miejsce na krześle i kładzie teczkę na biurku. – Zabójstwo ostatniej dziewczyny nie przeszło niezauważenie.

– Krąży tylko niepotwierdzona plotka – precyzuje komisarz.

– Ale proszono mnie o wyjaśnienia. Nawet dwaj deputowani do Kortezów zainteresowali się tą sprawą.

Ledwie przez kilka dni, dodaje Tizón. I uznali, że to pojedyncze morderstwo. Potem o wszystkim zapomniano. Zbyt wiele dzieje się w mieście. Zdarzają się inne nieszczęścia, nie wspominając nawet o spadających bombach. Przy tylu cudzoziemcach i wojskowych nie brak różnych wypadków. Na przykład wczoraj został zasztyletowany pewien angielski żołnierz, który udusił prostytutkę w dzielnicy Boquete. Siedmioro zabitych z użyciem przemocy w ciągu ostatniego miesiąca, w tym trzy kobiety. Na szczęście nikt nie łączy ostatniej dziewczyny z poprzednimi.

– Udało nam się – kończy – zamknąć odpowiednie usta.

Garcia Pico spogląda na teczkę, jakby była pełna dokumentów dotyczących odpowiedzialności innych ludzi.

– Niech to diabli. Mówił pan, że mamy podejrzanego. Gotowego do podania na stół, dokładnie takich słów pan użył.

– I tak było – przyznaje Tizón. – Ale uciekł, jak mówię. Wypuszczaliśmy go pod strażą i znów zamykaliśmy, żeby nie stać w sprzeczności z nowym prawem...

Intendent unosi rękę w niejednoznacznym geście. Jego spojrzenie ślizga się po komisarzu i odbiega ku nieskończoności – nieokreślonemu miejscu pomiędzy zamkniętymi drzwiami a obowiązkowym portretem, z którego Jego Królewska Wysokość Ferdynand VII – młody męczennik za ojczyznę we francuskiej niewoli – obserwuje ich opuchniętymi oczami niebudzącymi zaufania.

– Proszę mi oszczędzić szczegółów.

Tizón wzrusza ramionami.

– Moi dwaj ludzie zabrali go, żeby dokonać pewnych czynności na miejscu zbrodni, a on im uciekł. Niestety.

– W chwili nieuwagi, tak? – Intendent nadal wpatruje się w nicość, najdalej jak to możliwe. – Uciekł w chwili nieuwagi... Patrzyli i nie widzieli.

– Właśnie tak, proszę pana. Funkcjonariusze zostali już ukarani.

– Z pełną surowością, jak sądzę.

Tizón postanawia nie zauważyć sarkazmu.

– Jesteśmy w trakcie poszukiwań zbiega – dodaje niewzruszonym tonem. – To absolutny priorytet.

– Absolutny? Całkowicie absolutny, tak?

– Coś w tym rodzaju.

– W to też nie wątpię.

Garda Pico sprowadza na miejsce swoje spojrzenie, które spoczywa leniwie na komisarzu. Na jego twarzy teraz maluje się znużenie. Wydaje się, że wszystko go męczy – Tizón, okoliczności, upał, który wydostaje się nawet ze ścian, Kadyks, Hiszpania. W tym momencie w pobliżu Bramy Ziemi rozbrzmiewa wybuch bomby, co zmusza ich do odwrócenia na chwilę głów w kierunku otwartego okna.

– Pozwoli pan, że coś mu przeczytam.

Otwiera szufladę biurka, wyjmuje drukowany dokument i czyta na głos pierwsze linijki: „Zniesiona zostaje raz na zawsze tortura we wszystkich posiadłościach Monarchii Hiszpańskiej oraz praktyka zadawania cierpienia i nękania więźniów, która bezprawnie i samowolnie zwana była wywieraniem nacisku, i żaden sędzia, trybunał ani jakikolwiek sąd nie może nakazać tortur ani na nie zezwolić”.

Dotarłszy do tego miejsca, zatrzymuje się, podnosi wzrok i znów spogląda na Tizona.

– I co pan sądzi?

Ten ani mrugnie. Co mi tu będziesz wychodził z popołudniową lekturą, mruczy do siebie w myśli. Do mnie, Rogelia Tizona Peñasco, komisarza policji w mieście, gdzie biedak jest rozgrzeszony za osiemdziesiąt reali, rzemieślnik za dwieście, a bogacz za dwa tysiące.

– Znam to rozporządzenie, panie intendencie. Zostało opublikowane przed pięcioma miesiącami.

Rozmówca odłożył na stół papier i studiuje go, jakby szukał czegoś, co mógłby dodać do lektury. W końcu, po namyśle, odkłada kartkę na miejsce, do szuflady. Potem kieruje w stronę Tizona wskazujący palec swojej prawej ręki.

– Niech pan posłucha. Jeśli potknie się pan jeszcze raz, możemy mieć spore kłopoty. Zaatakują nas gazety, konieczne stanie się zdobywanie nakazów sądowych i tak dalej... To niezwykle wrażliwy temat. Nawet najbardziej konserwatywni i szanowani deputowani są zwolennikami nowych pomysłów. Albo udają, że nimi są. Nikt nie ma odwagi im się sprzeciwić.

Widać wyraźnie, że Garcia Pico tęskni za lepszymi czasami. Bardziej klarownymi i twardszymi. Tizón przybiera ostrożnie potwierdzającą minę. On też za nimi tęskni. Po swojemu.

– Nie sądzę, żeby to nas specjalnie dotknęło, proszę pana. Proszę zauważyć, że „Ilustrowany Jakobin” aprobuje postępowanie Komisariatu do spraw Dzielnic i Ulic. Nienaganny humanistyczny rygor, jak pisał w ubiegłym tygodniu. Nowoczesna policja i tak dalej. Przykład dla całego społeczeństwa.

– Kpi pan sobie?

– Nie.

Intendent rozgląda się wokół, jakby coś śmierdziało. Na koniec jego spojrzenie spoczywa na Tizonie. Lodowate.

– Nie wiem, jak pan się dogadał z tą glistą Zafra, ale „Jakobin” to śmieć. Bardziej martwią mnie poważne gazety, takie jak „Dziennik Handlowy”... Gubernator też przygląda się nam przez lupe.

– Zajmuję się tą sprawą, proszę pana.

– Zajmuje się pan? Naprawdę? Proszę posłuchać. Jeśli gazety będą się domagały kogoś, kto ma być za to odpowiedzialny, pana rzucę im na pożarcie.

Gazety zajmują się innymi sprawami, flegmatycznie uspokaja go komisarz. Ostatnie przypadki gorączki gnilnej zaalarmowały społeczeństwo, które obawia się powtórzenia

epidemii żółtej febry. Nawet w Kortezach mówi się o możliwym obradowaniu poza miastem, bo natłok ludzi i letnie upały sprawiają, że tu jest niezdrowo. Również wieści z wojennych frontów zajmują opinię publiczną. Porażka generała Blake'a pod Nieblą, poddanie się Tarragony, lęk przed utratą całego Lewantu i wzrost cen hawańskiego tytoniu to tematy, którymi całkowicie zajęte są języki w kawiarniach i podczas spotkań na ulicy Ancha. No i rozpoczynają się przygotowania do wyprawy przeciwko Francuzom pod dowództwem generała Ballesterosa.

– Skąd pan o tym wie? – Garcia Pico mało nie podskoczył na swoim krześle. – To najgłębsza tajemnica wojskowa.

Komisarz patrzy na swojego przełożonego szczerze zaskoczony. Jego zdziwieniem.

– Pan intendent o tym wie, ja o tym wiem. To normalne. Zresztą wiedzą wszyscy... Jesteśmy w Kadyksie.

Siedzą w milczeniu, obserwując jeden drugiego. Garcia Pico nie jest złym człowiekiem, myśli bezstronnie komisarz. Nie gorszym niż inni, niż on sam. Intendent stara się tylko zachować stołek, na którym siedzi, i przystosować do nowej rzeczywistości. Przetrwac czasy tych żółtodziobów i filozofów-wizjonerów od Świętego Filipa Neri, którzy kompletnie nie zdając sobie sprawy, co jest możliwe, a co nie, starają się wyrzucić świat do góry nogami. W tej wojnie nie sama wojna jest najgorsza. Ale bałagan.

– Zostawmy na boku te biedne dziewczyny – mówi Garcia Pico.

– Jest coś jeszcze, co mnie martwi. Zbyt wielu ludzi krąży pomiędzy Kadyksem a wybrzeżem po stronie wroga. Za dużo tu przemytu i innych rzeczy.

– Innych rzeczy?

– No wie pan, szpiegostwa.

Komisarz wzrusza ramionami, wyrażając coś pomiędzy rezygnacją a pewnością siebie.

– To normalne podczas wojny. A zwłaszcza tutaj.

Intendent znów otwiera szufladę w biurku, ale tym razem niczego nie wyjmuje. Powoli zamyka ją zamyślony.

– Mam tu raport generała Valdesa... Jego lekka flota w zatoce schwytała w ciągu ostatnich trzech tygodni dwóch szpiegów.

– My też ich łapiemy, proszę pana. Nie tylko marynarze i wojskowi się tym zajmują.

Garcia Pico macha ręką zniecierpliwiony.

– Wiem o tym. Jest jednak coś ciekawego w jego raporcie. Dwukrotnie wspomina pewnego czarnoskórego czy też Mulata, który zbyt często pływa pomiędzy obydwoma brzegami.

Rogelio Tizón nie musi wyteżać pamięci – ma Mulata przed oczami. To kolejna ze spraw, którymi się zajmuje od czasu, kiedy góral z ulicy Verónica naprowadził go na jego trop. Do tej pory nie znalazł nic pewnego, jego ludzie zdołali jedynie ustalić, że przewozi ludzi z jednego brzegu na drugi. „Szpiegostwo” jest nowym słowem w tej historii, ale Tizón nie zamierza się do tego przyznawać przed swoim zwierzchnikiem.

– Być może chodzi mu o pewnego właściciela łodzi, którego pilnujemy od jakiegoś czasu – odpowiada ostrożnie. – Nasi konfidenci wspominali, że nie można mu ufać. Pewne, że jest przemytnikiem. Co do szpiegowania, właśnie to sprawdzamy.

– Niech pan uważa na tego podejrzanego. I proszę mnie o wszystkim informować... Podobnie jak o wszystkim, co dotyczy zabijanych dziewcząt, oczywiście.

– Naturalnie, panie intencencie. W tych sprawach rozwijamy cały nasz kunszt.

Zwierzchnik przygląda się komisarzowi, jakby doszukiwał się w ostatnim słowie ukrytej kpiny, ale Tizón wytrzymuje ten sprawdzian, zachowując niewinną minę. Wygląda na to, że Garcia Pico nieco się odpręża. Dobrze zna człowieka, którego ma przed sobą. Albo sądzi, że go zna. Kiedy przed dwoma laty objął funkcję generalnego intendenta, sam zdecydował o pozostawieniu go na tym stanowisku i nigdy tego nie żałował. Przynajmniej do dzisiaj.

Metody stosowane przez komisarza stanowią tamę, dzięki której przełożeni nie przestają być bezpieczni nawet w niewygodnych sytuacjach. Jest skuteczny, dyskretny, jego ambicje nie obejmują polityki – Rogelio Tizón jest człowiekiem przydatnym w trudnych czasach. A w Hiszpanii każde czasy są takie właśnie: trudne.

– Co się tyczy sprawy tych młodych kobiet, muszę przyznać, że utrzymuje ją pan we właściwych ramach, komisarzu. Pod kontrolą... Jest prawdą, że dotąd nikt nie łączy ze sobą tych czterech przypadków.

Tizón pozwala sobie na słaby, pełen szacunku uśmiech. Jest w nim właściwa dawka współnictwa.

– A jeśli nawet ktoś je łączy, milczy. Już tak robimy, że woli milczeć.

Główny intendent Kadyksu znów prostuje się na krześle bliski podskoku.

– Proszę oszczędzić mi opisu swych metod.

Po chwili wahania kieruje spojrzenie na zegar ścienny, wiszący przy oknie. Interpretując to właściwie, Tizón bierze teczkę i podnosi się. Jego zwierzchnik patrzy na swoje dłonie.

– Proszę pamiętać, co nam powiedział gubernator – dodaje.

– Jeśli wybuchnie skandal wokół tych zabójstw, będziemy potrzebowali winnego.

Tizón skłania się lekko – niewielki ruch głowy, ani cała więcej niż trzeba. Każdy jest, jaki jest.

– Tym właśnie się zajmujemy, proszę pana. Szukamy go... Wszyscy stójkowi i posterunkowi przesiewają spisy mieszkańców i książki meldunkowe, a ulice są bezustannie patrolowane.

– Mam na myśli prawdziwego winnego. Nie wiem, czy pan mnie rozumie.

Tizón nawet nie mrugnie okiem. Przypomina spokojnego kota, który siedzi obok pustej klatki. I czyści wąsy z piór.

– Naturalnie, proszę pana. Prawdziwego winnego. To jasne.

– Ale żeby tym razem nie uciekł, rozumiemy się? I do licha, niech pan pamięta, co panu przeczytałem. Żeby nikt nie musiał uciekać.

W piasek pod murem są wbite pochodnie, które oświetlają fragmenty Calety i pozwalają dostrzec pobliskie kształty łodzi i innych lekkich jednostek, unoszących się na wodzie przyływu nieopodal cichego brzegu obmywanego jezorami czarnej, spokojnej wody. Noc jest pogodna. Jeszcze nie wzeszedł wąski księżyc, który za chwilę pojawi się na sklepieniu nieba pełnym gwiazd. Nie ma ani podmuchów wiatru, ani fal na morzu. Pionowe płomienie pochodni oświetlają czerwonym blaskiem kioski i stoły ustawione pod wapiennym murem, które o tej porze roku są w ciągu dnia straganami z rybami i owocami morza, a w nocy improwizowanymi tawernami z muzyką i tańcami. Na półksiężycu twardego i płaskiego piasku otwartym na Atlantyk w części zachodniej miasta pomiędzy mierzeją Świętego Sebastiana a zamkiem Świętej Katarzyny zalecenia policji przestrzegane są ze sporą swobodą. Ponieważ Caleta pozostaje poza murami, nie obowiązują tutaj nocne restrykcje: przez bramę miasta wychodzą na skały i plażę stale płynie strumień ludzi z przepustkami lub pieniędzmi, które zadowolają strażników. Pod daszkami tańczy się fandango i bolero, słychać stukot kastanietów, głosy pieśniarzy i szansonistek, tłoczą się marynarze, żołnierze, cudzoziemcy z sakiewką, którą można opróżnić, lub tacy, którzy szukają chętnego, żeby postawił butelkę, zbiedniałe paniczki z miasta, Anglicy, właściciele łodzi, które przypluwają i odpływają. Dzięki bliskości okrętów wojennych, zakotwiczonych nieopodal dla ochrony przed francuskimi bombami, okolica ożywa z powodu obecności grup oficerów i załóg. Z każdej strony dochodzą hałaśliwe rozmowy, śmiechy łatwych kobiet, dźwięki gitar, śpiew, wrzaski pijaków, odgłosy bójek. Nocami w Calecie bawi się, w drugie już lato francuskiego oblężenia, ta część ludności Kadyksu, która lubi nocne życie i proste rozrywki.

– Dobry wieczór... Czy moglibyśmy chwilę porozmawiać?

Pepe Lobo siedzący za stołem zbitym gwoździami ze zwykłych desek rzuca szybkie, porozumiewawcze spojrzenie na Ricarda Marańę, a potem przygląda się nieznanemu o orlich rysach twarzy, w okrągłym kapeluszu z białej trawy i z laską w dłoni, który stanął obok nich i odcina się na tle odległych błysków latarni Świętego Sebastiana. Ma na sobie rozpięty szary surdut, pod nim kamizelkę, pomięte spodnie nosi niedbale, bez elegancji. Długie, gęste bokobrody łączą się z wąsami. Jego oczy w mroku nocy jeszcze ciemnieją. Są niebezpieczne. Tak jak gałka laski, która nie pozostaje niezauważona: gruba kula z brązu w kształcie orzecha włoskiego, nadająca się do rozbijania głów.

– Czego sobie pan życzy? – pyta marynarz, nie wstając.

Mężczyzna uśmiecha się słabo. Uśmiechem krótkim, uprzejmym, samych ust. Forma zmęczonej grzeczności. W świetle wbitych w piasek pochodni błyska złoty ząb.

– Jestem komisarzem policji. Nazywam się Tizón.

Korsarze znów wymieniają między sobą spojrzenia: kapitan „Culebry” jest zaintrygowany, Marana, jak zwykle, obojętny. Błady, chudy, elegancki, ubrany na czarno od krawata po wysokie buty, z wyciągniętą nogą, na którą lekko kuleje, młody człowiek rozpiera się na krześle. Przed nim na stole stoi szklaneczka okowity – pół butelki, które ma w żołądku, w niczym nie zmienia jego zachowania – w kąciку ust trzyma dymiące cygaro i odwraca się powoli, niechętnie, w kierunku nowo przybyłego. Pepe Lobo wie, że Marana nie lubi, podobnie jak on sam, policjantów. Ani celników. Ani wojskowych marynarzy. Ani tych, którzy wtrącają się do rozmów obcych ludzi na Calecie o jedenastej w nocy, kiedy alkohol obezwładnia język i przytępia myśli.

– Nie pytaliśmy, kim pan jest, ale czego pan sobie życzy. – Marana precyzuje oschle.

Przybysz spokojnie przyjmuje afront, zauważa Pepe Lobo, któremu słowo „policja” w jednej chwili wywiało z głowy opary alkoholu. Zdaje się, że ma grubą skórę. W kolejnym szybkim uśmiechu znów błyska złoty ząb. To bezwiedny grymas, stwierdza korsarz, właściwy dla jego zawodu. Potencjalnie równie niebezpieczny jak masywna gałka laski i oczy, ciemne i nieruchome, tak odległe od wykrzywionych w grymasie ust, jakby leżały o dwadzieścia kroków od nich.

– To sprawa zawodowa... Pomyślałem, że być może panowie zechcą mi pomóc.

– Czy pan nas zna? – pyta Lobo.

– Tak, kapitanie. I pana, i pańskiego porucznika. To normalne w moim zawodzie.

– Do czego jesteśmy panu potrzebni?

Policjant wydaje się przez chwilę zastanawiać, być może nad sposobem, w jaki przedstawi sprawę. Wreszcie decyduje się zacząć.

– Chciałbym porozmawiać z panem porucznikiem... Może to nie jest odpowiedni moment, ale dowiedziałem się, że wkrótce wyruszą w morze, i widząc pana tutaj, pomyślałem, że dzięki temu uniknę konieczności niepokojenia pana jutro...

Mam nadzieję, myśli Pepe Lobo, że nawigator nie napytał sobie kłopotów. Oby nie, dwa dni przed podniesieniem kotwicy. Zresztą to nie jego sprawa. W zasadzie. Poskramiając własną ciekawość, zabiera się do wstania.

– W takim razie zostawiam panów samych.

Ale nie podnosi się z miejsca. Marana kładzie dłoń na jego ramieniu, żeby go zatrzymać.

– Kapitan ma moje pełne zaufanie. Może pan mówić przy nim.

Mężczyzna, nadal stojąc, waha się. A może tylko udaje wahanie.

– Nie wiem, czy powinienem...

Spogląda na przemian na jednego i drugiego, jakby się zastanawiał. Być może oczekuje jakiegoś słowa lub gestu. Jednak żaden z korsarzy niczego nie robi ani nie mówi. Pepe Lobo nadal siedzi, wyczekując z ukosa przygląda się swojemu pierwszemu oficerowi. Marana, z kamienną twarzą, patrzy na policjanta z takim spokojem jak podczas rozdania, kiedy spodziewa się karty wyższej lub niższej od waleta. Lobo wie, że takie właśnie jest szybkie

życie jego pierwszego oficera: zachłanna gra, w której każdego dnia stawia wszystko na jedną kartę z samobójczą rozrzutnością.

– To delikatna sprawa, panowie – mówi policjant. – Nie chciałbym...

– Proszę pominąć wstępy – proponuje Marana.

Przybysz wskazuje wolne krzesło.

– Mogę usiąść?

Nie dostaje odpowiedzi twierdzącej. Ani przeczącej. Bierze więc krzesło za oparcie i siada w pewnym oddaleniu od stołu, z laską i kapeluszem na podołku.

– W takim razie streszczę sprawę. Słyszałem, że gdy jest pan w Kadyksie, podejmuje pan wyprawy na drugi brzeg...

Maraña patrzy na niego bez mrugnięcia. Spokojnymi oczami, mocno podkrążonymi, którym czasem gorączka dodaje intensywnego blasku. Nie wiem, o jakich wyprawach pan mówi, odpowiada szorstko. Policjant milknie na chwilę, pochyla czoło, a potem odwraca się lekko w stronę morza, jakby wskazywał kierunek. Do El Puerto de Santa Maria, odzywa się w końcu. Nocami, łodziami przemytników.

– Wczoraj w nocy – kończy – też pan popłynął. W tę i z powrotem.

Lekki kaszel, szybko stłumiony. Młody człowiek śmieje mu się w twarz, absolutnie bezczelnie.

– Nie wiem, o czym pan mówi. Zresztą to nie pańska sprawa.

Pepe Lobo widzi kolejny błysk złotego zęba w czerwonym świetle pochodni.

– Rzeczywiście, nie moja. Oczywiście. Nie całkiem. Ale nie o to chodzi. Mam podstawy sądzić, że płynął pan łodzią człowieka, który mnie interesuje... Przemynika Mulata.

Z miną całkowicie obojętną Maraña krzyżuje nogi, długo zaciąga się cygarem i powoli, zastanawiając się, wypuszcza dym. Potem z niechęcią wrusza ramionami.

– No dobrze. Dostyc tego. Dobranoc.

Ręka podtrzymująca cygaro wskazuje drogę wzdłuż plaży i bramę do miasta. Jednak mężczyzna ciągle siedzi. To cierpliwy człowiek, stwierdza Lobo. Z pewnością ta cecha jest wyjątkowo użyteczna w jego cholernym fachu. Łatwo można sobie wyobrazić – czarne, twarde oczy nie pozostawiają miejsca na pomyłkę – jak policjant szybko kończy z całą tą taktyczną łagodnością w chwili zapłaty. W obecnych czasach nikt nie ma pewności, że nie znajdzie się naraz po drugiej stronie krat i prawa. Kapitan wierzy, że Maraña, mimo młodości i bezczelności, i alkoholu, który zaostrza jego pogardę, dostrzeże to z taką samą jasnością jak on sam, przyzwyczajony, by rozpoznawać ludzi po tym, jak patrzą i milczą, tak jak ptaka poznaje się po odchodach.

– Niewłaściwie interpretuje pan moje słowa... Nie przyszedłem, żeby wyciągać z pana tajemnice przemytu.

Gwar śmiechów sprawia, że Pepe Lobo odwraca głowę w stronę pobliskiego kiosku, gdzie bosa tancerka, której towarzyszy gitarzysta, wybija stopami żywy rytm na podłodze z desek, zebrawszy szeroką spódnicę nad nagimi nogami. Grupa hiszpańskich i angielskich oficerów, którzy właśnie nadeszli, dołącza się do zabawy. Widząc, jak się rozsiadają, korsarz wykrzywia twarz w grymasie. Pośród Hiszpanów jest znajoma twarz – kapitan inżynierii Lorenzo Virues. Nieprzyjemne wspomnienia z przeszłości i obecna antypatia. Obraz Lolity Palmy staje na moment przed jego oczyma, zaostrzając żywą niechęć do wojskowego. To dodatkowo podkreśla gorzki smak, jakiego nabrała ta noc.

– Sprawa jest poważniejsza – mówi policjant do Marańi. – Są podstawy, by podejrzewać, że niektórzy przemytnicy i przewoźnicy przekazują informacje Francuzom.

Słyszając te słowa, Pepe Lobo nagle zapomina o Lolicie Palmie i Lorenzu Viruesie. Mam nadzieję, że nie, mówi sobie w duszy, przerażony. A niechby ich licho wzięło – Ricarda Marańę, kobietę, którą odwiedza w El Puerto, i tego psa, który wtyka we wszystko swój nos. Kapitan korsarz ma nadzieję, że nocne przygody porucznika nie skomplikują im życia. Za



dwa dni, jeśli sprzyjający wiatr pozwoli na wypłynięcie z zatoki, „Culebra” powinna rozpoczynać na pełnym morzu, z kompletną załogą, gotowymi działami, wszystkimi żaglami w górze, pościg za nieprzyjacielskim statkiem.

– Nic o tym nie wiem – odpowiada Maraña oschle.

Młody człowiek, zauważa Pepe Lobo, ma puls taki jak zawsze, niezmienny, niczym drzemiący wąż podczas sjesty. Wypił długi łyk i odstawia pustą szklaneczkę dokładnie na mokry krąg, który pozostawił na stole, gdy unosił ją w górę. Równie spokojny jak wtedy, gdy stawia zdobycze z całej wyprawy na jedną kartę, wyzywa człowieka na pojedynek albo skacze na pokład wrogiego statku przy skrzypieniu desek i w dymie muszkietów. Zawsze z tym samym grymasem pogardy dla życia. I siebie samego.

– Czasem wie się o pewnych rzeczach, samemu nie wiedząc, że się wie – stwierdza policjant.

– Nie mogę panu pomóc.

Trwa nieprzyjemna cisza. Po chwili tamten wstaje. Niechętnie.

– Jesteśmy w Kadyksie – mówi z naciskiem. – Tu przemysł jest zwykłym sposobem życia. Ale szpiegostwo to inna sprawa... Pomoc w walce z nim jest służbą ojczyźnie.

Maraña śmieje się przez zęby, bezczelnie. Światło pochodni i odległe błyski latarni morskiej podkreślają podkowy pod oczami na tle bladości twarzy. Śmiech kończy się atakiem mokrego, rozdierającego kaszlu, który stara się szybko ukryć, podnosząc do ust chustkę wyjętą z rękawa kurtki, rzucając równocześnie cygaro na ziemię. Potem chowa kawałek płótna obojętnie, nawet nań nie spoglądając.

– Wezmę wszystko pod uwagę. Zwłaszcza to o ojczyźnie.

Policjant przygląda mu się z zaciekawieniem, a Pepe Lobo odnosi nieprzyjemne wrażenie, że zapisuje sobie porucznika w pamięci. Bezczelny gówniarzu, można wyczytać z jego zaciśniętych warg. Oby nadszedł dzień, kiedy wyrównamy rachunki. W każdym razie ten Tizón robi wrażenie człowieka opanowanego, zimnego jak ryba. I mam nadzieję, podsumowuje w myśli kapitan korsarz, że nigdy nie przyjdzie mi zagrać w karty razem z tymi dwoma. Patrząc na ich twarze, nie da się odgadnąć, co mają w ręku.

– Gdyby kiedyś miał mi pan coś do powiedzenia, jestem do dyspozycji. – Policjant kończy rozmowę. – To samo chcę powiedzieć panu, kapitanie... Moje biuro jest na ulicy Mirador, naprzeciwko nowego więzienia.

Wkłada kapelusz i macha laską, jakby na odchodne, jednak zwleka jeszcze chwilę.

– Ostatnia sprawa – zwraca się do Marani. – Ja bym uważał na te nocne przejażdżki... Narażają na niemiłe spotkania. I ich konsekwencje.

Młody człowiek spogląda mu w oczy z wyraźnym znudzeniem. W końcu lekko kiwa głową, dwukrotnie, a potem, odchylając się na oparcie krzesła, unosi lewą połą kurtki. A tam lśni mosiądz na lakierowanym drewnie rękojeści krótkiego marynarskiego pistoletu.

– Od kiedy wymyślono ten przedmiot, konsekwencje są obustronne.

Pochyliwszy nieco głowę, policjant zdaje się rozmyślać o pistoletach, stronach i konsekwencjach, grzebiąc w piasku czubkiem laski. W końcu, krótko wzdychając, robi gest, jakby pisał w powietrzu.

– Będę pamiętać – mówi z problematyczną łagodnością. – I przypominam, że użycie broni palnej jest w Kadyksie zabronione osobom prywatnym.

Maraña uśmiecha się, niby w zamyśleniu, wytrzymując spojrzenie policjanta. Blask pochodni i dźwięki gitar sprawiają, że na jego twarzy jakby tańczyły cienie.

– Ja nie jestem osobą prywatną, szanowny panie. Jestem oficerem z korsarskim patentem od króla... Jesteśmy poza murami miasta, a tu nie sięgają pańskie kompetencje.

Policjant potakuje głową z przesadnym formalizmem.

– To też będę pamiętać.

– Jak pan już wszystko zapamięta, niechże pan sobie idzie w diabły.

Złoty ząb błyska ostatni raz. To zapowiedź przykrości, ocenia Pepe Lobo, jakie mogą ich spotkać, jeśli kiedyś jego porucznik przetnie drogę prawa i porządku. Bez słowa obaj marynarze patrzą, jak komisarz odwraca się do nich plecami i odchodzi po piasku w kierunku mierzei i bramy w murach miejskich. Marańa wpatruje się melancholijnie w pustą szklaneczkę.

– Pójdę zamówić następną butelkę.

– Zostaw, ja pójdę. – Lobo nadal śledzi spojrzeniem policjanta.

– Naprawdę pojechałeś do El Puerto z Mulatem?

– Możliwe.

– Wiedziałeś, że jest podejrzany?

– Bzdury. – Młody człowiek wygina usta z pogardą. – Ale tak czy inaczej, to nie moja sprawa.

– Ten sukinsyn wygląda na dobrze poinformowanego. Taką ma pracę, jak sądzę. Zbiera informacje.

Obaj korsarze milczą przez chwilę. Nadal dociera do nich gwar ze straganów. Policjant zniknął w mroku pod łukiem bramy miejskiej.

– Jeśli rzeczywiście w tym wszystkim chodzi o szpiegostwo – stwierdza Pepe Lobo – możesz mieć kłopoty.

– Nie zaczynaj i ty, kapitanie. Dosyć na dziś.

– Tej nocy zamierzasz też tam płynąć?

Marana nie odpowiada. Podniósł pustą szklaneczkę ze stołu i obraca ją w palcach.

– To wiele zmienia – nalega Lobo. – Nie mogę ryzykować, że zostaniesz zatrzymany w przeddzień wyjścia w morze.

– Nie martw się... Nie zamierzam opuszczać Kadyksu.

– Daj mi słowo.

– Nie ma mowy. Moje życie prywatne to moja sprawa.

– To nie jest twoje życie prywatne, tylko twoje zobowiązanie. Nie mogę stracić nawigatora na dwa dni przed podniesieniem kotwicy.

Marańa ponuro wpatruje się w światło latarni morskiej w oddali. Własne słowo honoru jest jedną z niewielu rzeczy, jakie respektuje, wie o tym Pepe Lobo. Pierwszy oficer z „Culebry” szanuje to, co dla innych – do których kapitan zalicza też samego siebie – jest tylko taktycznym wybiegiem lub niezobowiązującą formułką. Dotrzymanie w każdych warunkach danego słowa jest kolejną konsekwencją jego posępnej i wyzywającej natury. Formą rozpaczy, taką jak każda inna.

– Masz moje słowo.

Pepe Lobo opróżnia do końca swoją szklaneczkę i wstaje.

– Idę po flaszkę. Przy okazji się odleję.

Kroczy po piasku aż do podłogi z desek pobliskiego straganu i prosi, żeby przyniesiono do stołu kolejną butelkę. Przechodząc, mija grupę oficerów, wśród których siedzi kapitan Virues, i zauważa, że ten rozpoznał go i na niego patrzy. Korsarz idzie przed siebie, w kierunku nabrzeża Świętego Piotra, do ciemnego załomu w murze, śmierdzącego moczem i brudem. Rozpina spodnie, żeby ulżyć pęcherzowi, opierając się ręką o mur, z powrotem zapina guziki i wraca. Kiedy znów wchodzi na deski koło kiosku, kilku towarzyszy Viruesa przygląda mu się z ciekawością. Prawdopodobnie padł jakiś komentarz pod jego adresem, a obecność w grupie dwóch ludzi w czerwonych kurtkach każe podejrzewać kapitanowi, że musiał się pojawić w rozmowie Gibraltar. Nie pierwszy zresztą raz, biorąc pod uwagę Lolitę Palmę. Na wspomnienie ich ostatniej rozmowy ogarnia go wściekłość. Trudno jest nie przejmować się słowami „niektórzy mówią, że nie jest pan džentelmenem”, które wtedy padły. Nigdy nie pretendował do bycia nim, ale nie podoba mu się, że Virues tak o nim mówi podczas

towarzyskich spotkań i przy kieliszku. Ani że wywołuje maskowane uśmiechy, jakie dostrzega, mijając oficerów.

Korsarz idzie przed siebie, towarzyszą mu przebliski wspomnień tamtej nocy w Gibraltarze: ciemność w porcie, napięcie oczekiwania, niebezpieczeństwo i szepty, zaszytletowany strażnik na ziemi, zimna woda, burta tartany, głucha walka z marynarzem na wachcie, plusk ciała wpadającego do wody, rozwijający się żagiel po podniesieniu kotwicy i statek płynący przez czarną wodę zatoki na zachód, ku wolności. A w tym czasie Virues i jemu podobni spokojnie spali, czekając na wymianę jeńców, dzięki której powrócą na łono Hiszpanii z niezbrukany honorem, w wyprasowanych mundurach i z brwiami uniesionymi w wyrazie wyższości, jaki zazwyczaj przybierają. Wszyscy z tej samej kasty, tak jak ten młodzieniaszek, ten żółtodziób, który próbował wyzwać go na pojedynek w Algeciras po wymianie jeńców i którego Pepe Lobo posłał do diabła, śmiejąc mu się w twarz. Teraz czuje, że wszystko się zmieniło, a przynajmniej tak się mu wydaje. Może pod wpływem alkoholu. Albo dźwięku gitar. Być może wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby wtedy Virues, a nie tamten nieopierzony młokos, wezwał go do walki w Algeciras. Głupi i nadęty sukinsyn.

Nie zastanawiając się nad swoimi czynami czy konsekwencjami swoich czynów, korsarz odwraca się i podchodzi do stołu oficerów. Co ja robię, myśli sobie po drodze. Teraz już za późno, żeby się wycofać. Virues jest w towarzystwie trzech Hiszpanów i dwóch Anglików. Ci ostatni, kapitan i porucznik, są w mundurach brytyjskiej piechoty morskiej. Wszyscy trzej Hiszpanie są kapitanami: jeden ma na sobie mundur artylerzysty, a dwaj noszą jasnoniebieskie kurtki z żółtymi klapami, są z irlandzkiego regimentu. Wszyscy podnoszą twarze, zaskoczeni, że się do nich zbliża.

– Czy my się znamy? – pyta Viruesa.

Virues patrzy na niego lekko zakłopotany. Cała grupa zachowuje milczenie. Wyczekująco. Słychać jedynie muzykę z kiosku. Widać wyraźnie, że kapitan inżynierii tego się nie spodziewał. Zresztą Pepe Lobo też nie. Co ja tu, u diabła, robię, pyta sam siebie. Rozrabiam jak pijak.

– Wydaje mi się, że tak – odpowiada zapytany.

Pepe Lobo podziwia ze spokojem starannie ogolony podbródek w środku nocy, jasny wąs i modne bokobrody. Chłopak świetnego pochodzenia, stwierdza ponownie. Kapitan wojsk inżynieryjnych, ni mniej, ni więcej. Osoba wykształcona, z przyszłością na wojnie i poza nią, jeden z tych, którzy idą przez świat, mając od początku połowę drogi za sobą. Dżentelmen, jak powiedziała by Lolita Palma. Albo jak powiedziała. Idealnie nadający się do tego, żeby podać damie perfumowaną chustkę albo święconą wodę, kiedy wychodzi z kościoła po mszy.

– I ja tak sądzę. Był pan jednym z tych, którzy w Gibraltarze czekali z założonymi rękami na wygodną wymianę...

Nie kończy zdania. Virues lekko mruga oczami, unosząc się na krześle. Jak należało się spodziewać, żaden z oficerów już się nie uśmiecha. Hiszpanie siedzą z otwartymi ustami. Anglicy na razie niczego nie rozumieją. *What?*

– Wiązało mnie słowo, podobnie jak pana.

Virues akcentuje ostatnie słowa z wyższością. Korsarz uśmiecha się bezczelnie.

– No tak, związany słowem i w dobrym towarzystwie panów z Anglii... Jak widzę, nadal darzy ich pan sympatią.

Wojskowy marszczy brew. Jego początkowe zakłopotanie zaczyna zmieniać się w irytację. Nie umknęło uwagi Pepe Lobo szybkie spojrzenie, jakie rzucił w kierunku swojej szabli, opartej na krześle. Ale on jest nieuzbrojony. Jak zwykle na lądzie, a zwłaszcza kiedy pije. Nie ma nawet swojego kordzika. Nauczył się tego, kiedy był jeszcze bardzo młody, gdy w różnych portach patrzył, jak wieszano ludzi.

– Czy pan szuka zwady ze mną?

Korsarz myśli przez chwilę, niemal doszukując się w jego pytaniu dobrej woli. W każdym razie jest to ciekawe pytanie. Biorąc pod uwagę okoliczności. W końcu, po chwili poważnego zastanowienia, wzrusza ramionami.

– Sam nie wiem – odpowiada szczerze. – Ale z całą pewnością nie podoba mi się sposób, w jaki pan na mnie patrzy. Ani to, co pan mówi albo insynuuje, kiedy mnie przy tym nie ma.

– Nigdy za pańskimi plecami nie powiedziałem niczego, czego nie mógłbym panu powiedzieć w twarz.

– Na przykład?

– Zew Gibraltarze nie zachował się pan tak, jak powinien... Pańska ucieczka, stanowiąca złamanie zasad, postawiła w trudnej sytuacji nas wszystkich.

– Ma pan na myśli, jak rozumiem, siebie i takich jak pan głupców.

Pełne oburzenia głosy przy stole. Widać, jak krew napływa Viruesowi do twarzy. Po chwili podnosi się, jak przystało człowiekowi dobrze wychowanemu, jakim jest – powoli, powściągliwie, udając spokój. Lobo jednak widzi jego zaciśnięte dłonie. Sprawia mu to ogromną wewnętrzną satysfakcję. Pozostali oficerowie nadal siedzą i patrzą po sobie. Zwłaszcza Anglicy: jest oczywiste, że nie rozumieją ani słowa po hiszpańsku, ale wcale nie muszą rozumieć. Scena jest międzynarodowa. Tłumaczy się sama.

Virues dotyka czarnej krawatki, którą ma zawiązaną wokół nieskazitelnie białego kołnierzyka koszuli, jakby ją chciał poprawić. Wyraźnie widać, że stara się opanować. Obciąża poły kurtki, opiera jedną dłoń na biodrze i z góry spogląda na korsarza. Jest wyższy przynajmniej o sześć cali.

– To nikczemność – mówi.

Pepe Lobo nie otwiera ust. Słowa mogą być obraźliwe, kiedy się je za takie weźmie, a on jest starym psem, wodołazem. Ogranicza się do uważnego przyjrzenia się Viruesowi od stóp do głów – jakby miał przy sobie nóż – starannie obliczając, gdzie uderzyć, jeśli przeciwnik poruszy choćby palcem. Jakby odgadując jego zamiary, wojskowy pozostaje bez ruchu, tylko przygląda mu się badawczo. Groźnie, lecz jak światowiec. Czyli tylko do pewnego stopnia.

– Domagam się honorowego rozwiązania.

Słowo „honorowy” wywołuje na twarzy korsarza grymas. Prawie się roześmiał. No to trafiliśmy na gościa z wojskowym honorem, myśli. A pocałujże ty mnie, człowieku, gdzie chcesz.

– Daj pan spokój tej gadaninie i pozerstwu. Nie jesteśmy na królewskim dworze ani w sali przed sztandarami.

Oficerom przy stole nie umknie żadne słowo. Pepe Lobo ma rozpiętą kurtkę i ręce odsunięte od tułowia, jak zapaśnik. I wygląda na zapaśnika w tej chwili: szeroki w ramionach, silne ręce. Jego instynkt marynarski, połączony z długim doświadczeniem z portowych tawern, każe mu zachować czujność, przewidzieć wszystkie zachowania możliwe i niemożliwe. Obliczać ryzyko. Dzięki temu właśnie dostrzega za swoimi plecami milczącą obecność Ricarda Marani. Markiz, wietrząc problemy, zbliżył się i teraz stoi spięty i gotowy do ewentualnej bójki. Niebezpieczny jak zawsze. Oby tylko, myśli Lobo, nie wpadło mu do głowy chwycić za to, co nosi na lewym boku pod połą kurtki. Bo bimberek czasem płała kiepskie żarty. Takie jak ten, którego ofiarą padłem przed chwilą. Przez idiotyczny odruch stoję naprzeciwko tego gościa, niezdolny, żeby zrobić krok w przód, jeśli on takiego samego nie zrobi, ani kroku wstecz, bo wtedy wygłupiłbym się setnie. Łamię właśnie podstawową zasadę: nigdy nie grać chojraka w niewłaściwym czasie i miejscu.

– Żądam satysfakcji – upiera się Virues.

Korsarz spogląda ku mierzei ciągnącej się aż do zamku Świętej Katarzyny. To jedyne miejsce w pobliżu, które zapewnia dyskrecję, ale na szczęście brakuje jakichś dwóch godzin, żeby odpływ odsłonił je całkowicie. Czuje ogromną chęć, żeby rzucić się na kapitana z pięściami, a nie walczyć z nim w sposób formalny, z sekundantami i całym cyrkiem tego

groteskowego protokołu. To absurdalny pomysł. Pojedyneków zabrania prawo. W najlepszym wypadku mógłby stracić korsarski patent i dowództwo na „Culebrze”. Nie myśląc nawet, jak źle by to przyjęli obaj Sanchezowie Guinea. I Lolita Palma.

– Wpływam w morze za dwa dni – odpowiada obojętnie.

Powiedział to właściwym tonem, unosząc twarz. Jakby na głos się zastanawiał. Nikt nie może powiedzieć, że się wycofuje. Przeciwnik spogląda na swoich towarzyszy. Jeden z nich, kapitan artylerii z siwym wąsem, o szacownym wyglądzie, kręci przecząco głową. Teraz Virues waha się, a korsarz to dostrzega. Może będę miał szczęście, myśli. Może odłożymy to na inny dzień. Kiedy będzie możliwa większa dyskrecja.

– Pan Lorenzo rozpoczyna służbę wcześniej rano – potwierdza Siwy Wąs. – Dziś rano wracamy na Lwią Wyspę – on, ja sam oraz ci panowie tutaj.

Pozornie niewzruszony Pepe Lobo nadal wpatruje się w Viruesa.

– Zatem mamy kłopot.

– Tak się wydaje.

Teraz widać po obu stronach brak zdecydowania. Korsarz maskuje ulgę. Niech czas będzie doradcą, myśli, potem zobaczymy. Zastanawia się, czy jego przeciwnik odczuwa taką samą ulgę jak on. Nos mówi, że tak. Musi czuć to samo.

– W taki razie odkładamy naszą rozmowę na później.

– Liczę, że niedługo spotkam się z panem – dodaje Virues.

– Oszczędź sobie tego pana, przyjacielu, widzę, że z trudem ci przechodzi przez gardło. Ja też liczę na spotkanie. Żeby zetrzeć ci z twarzy ten uśmieszek.

Kolejne uderzenie krwi do twarzy wojskowego. Przez chwilę Lobo ma wrażenie, że tamten się na niego rzuci. Jeśli spróbuje mnie spoliczkować, rozbiję butelkę i rozoram mu twarz. I niech się dzieje, co chce.

– Nigdy nie byłem pańskim przyjacielem – odpowiada Virues z oburzeniem. – I gdyby nie to, że dzisiejszej nocy...

– Tak, gdyby nie to.

Korsarz śmieje się bezwstydnie. Grubiańsko. I śmiejąc się, wkłada dwa palce do kieszonki kamizelki, wyjmując dwie srebrne monety, które rzuca właścicielowi straganu, odwraca się plecami do Viruesa i odchodzi. Za nim słychać nierówne kroki Ricarda Marani, najpierw na deskach podłogi, potem na piasku.

– Nie do wiary... Mnie prawisz kazania na temat ostrożności, a pięć minut później ocierasz się o pojedynek.

Pepe Lobo znów się śmieje. Z siebie samego przede wszystkim.

– To sprawka bimbru, myślę.

Idą po czerwonych kamykach wzdłuż brzegu, w kierunku łodzi stojących na mieliźnie obok kładki nad mierzczą Świętego Sebastiana. Marana zrównał się z kapitanem i teraz kuśtyka obok niego, przyglądając mu się w marnym świetle pochodni wbitych w piasek. Patrzy na niego z ciekawością, jakby widział go tej nocy po raz pierwszy.

– Na pewno – po chwili Lobo mówi z naciskiem. – To przez alkohol.

## Rozdział VIII

Do świtu niewiele brakuje. Poprzez płaski krajobraz salin wschodni wiatr silnie wieje bez przeszkód, unosząc chmury pyłu i piasku, które zasłaniają gwiazdy. Czterech mężczyzn – trzech dorosłych i jeden chłopiec – czuje, jakby wbijały się w ich ciała tysiące niewidzialnych igieł, już od wielu godzin poruszają się w ciemności, chlupocząc w błocie. Są uzbrojeni w szable, toporki, brzytwy i noże, posuwają się powoli, ich twarze okrywają szmaty i chustki, chroniąc je przed bezlitosnym wiatrem. Wieje tak mocno, że kiedy wychodzą na brzegi obok kanałów czy przesmyków wodnych, w jednej chwili słona woda i błoto zasychają na ich ubraniu.

– No to mamy główny kanał – szepcze Felipe Mojarra.

Zatrzymał się i przykucnął, nasłuchując uważnie, wśród sosnowych gałęzi, które smagają mu twarz. W zaroślach słychać tylko hałas wiatru i wzburzonej wody rosnącego przypływu w pobliskim kanale, widocznym teraz pośród czarnego pejzażu jako ciemny pasek z matowymi refleksami, dzięki którym można odróżnić go w mroku.

– Znów trzeba się będzie zamoczyć.

Trzydzieści sążni, przypomina solarz. Taka jest mniej więcej szerokość kanału w tym miejscu. Na szczęście, przyzwyczajeni od dzieciństwa do życia w wilgoci, i on, i jego towarzysze potrafią utrzymać się na powierzchni. Jeden po drugim stają na brzegu: Curro Panizo, jego syn Currito, szwagier Cardenas. Poruszają się cicho i zwinnie. Wyruszyli razem z wyspy o zmroku, ukryci w kłębach kurzu przeszli przez hiszpańskie linie od południowej strony wyspy Vicario, czołgając się pomiędzy działami baterii w San Pedro. Stamtąd nieco przed północą przepłynęli kanał Camarón i w ciemności wemknęli się niemal pół mili w głąb ziemi niczyjej poprzez gmatwaninę kanalików, bagien i przesmyków.

– Gdzie my teraz jesteśmy? – pyta szwagier Cardenas po cichu.

Felipe Mojarra nie jest wcale pewien. Ma zamęt w głowie spowodowany wschodnim wiatrem. Mógł źle policzyć kanały, które zostały w tyle za nimi, i boi się, żeby nie poszli za daleko i nie trafili wprost na francuskie okopy. Wstaje, rozgarnia czarne zarośla i wpatruje się w ciemność spod przymkniętych powiek, starając się ochronić oczy przed podmuchami wiatru niosącymi piasek. W końcu, w odległości kilku kroków, jego oczy kłusownika rozpoznają mroczny kształt czegoś, co wygląda jak zebra ogromnego szkieletu: to zbutwiały statek na wpół zagrzebany w bagnie.

– Jesteśmy na miejscu – mówi.

– I nie ma przed nami żabojadów? – pyta go szwagier.

– Najbliżsi są przy ujściu kanału przy młynie. Tutaj możemy przejść.

Skulony rusza po krótkim stoku prowadzącym na brzeg, za nim reszta. Kiedy wchodzi w błoto, zatrzymuje się i sprawdza, czy krótka szabla, którą niesie przywiązaną sznurkiem na plecach, nadal jest na swoim miejscu, i czy brzytwa – zamknięta ma długość półtorej piędzi – zatknięta za pasek nie będzie mu przeszkadzała w płynięciu. Potem powoli zanurza się w czarnej wodzie, tak zimnej, że go zatyka. Kiedy traci grunt pod stopami, zaczyna poruszać rękami i nogami i utrzymując głowę nad wodą, kieruje się na drugi brzeg. Dystans do pokonania nie sprawia trudności, ale dają się we znaki silny wiatr, marszczący powierzchnię

wody, i początek odpływu, które spychają go na bok. Zaczyna oddychać z wysiłkiem. Z tyłu słyszy chłopot dobiegający spod butów Cardenasas, który z całej czwórki jest najmniej sprawny, bo Panizo i jego syn pływają jak szczupaki; szwagier był na tyle ostrożny, żeby przywiązać sobie dwie puste tykwy, którymi pomaga sobie, kiedy musi zanurzyć się po szyję. W innych okolicznościach trzeba byłoby mu pomóc, żeby hałas, jaki robi, nie zdradził Francuzom ich obecności. Tej nocy, na szczęście, szum wiatru zagłusza wszystko inne.

Felipe Mojarra i jego towarzysze dobrze wybrali noc. Kiedy w salinach mocno wieje od wschodu, wiatr przesłania widok. Dawno temu, po powrocie z jednego z pierwszych zwiadów z kapitanem Viruesem, warzelnik soli był świadkiem jego dyskusji z pewnym angielskim oficerem, który twierdził, że baterię w San Pedro należy osłaniać tradycyjną faszyną. Virues utrzymywał zaś, że lepiej do tego nadają się włókna agawy, których używa się w Andaluzji do budowy płotów wokół ogrodów. Wygrał Anglik, fort otoczono faszyną, zgodnie z jego poleceniem, a po pięciu dniach wschodniego wiatru kanał był już zasypany, a piaskowe zasy pyły sięgały zwieńczenia przedpiersia. Anglik został w ten sposób przekonany do zalet agawy – więcej zna sztuczek diabła z doświadczenia niż z przebiegłości diabelskiej, powiedział kapitan Virues, puszczając oko do Mojarry – a zewnętrzne umocnienia San Pedro mniej przypominają bastion, a bardziej ogród.

Mojarra, trzęsąc się z zimna, wydostaje się z kanału i czołga po lądzie, niczym wąż ubłocony przybrzeżnym mułem. Kiedy inni pojawiają się przy nim, w słabej niebieskiej poświacie zaczynają odcinać się, w odległości sześciuset sążni, wzgórze i ciemne lasy sosnowe przy Chiclanie. Sama wioska, uzbrojona przez Francuzów, leży nad brzegiem kanału nieco ponad pół mili dalej.

– Jeden za drugim – szepcze Mojarra. – I bardzo powoli.

Rusza naprzód pierwszy, za nim reszta, posuwają się przez krótki zagon, a potem na czworaka w zimnej wodzie przez niewielką zatokę. Nieco dalej, kiedy mają pewność, że nie są widoczni w jasności wschodu, wszyscy czterej podnoszą się i dalej idą zanurzeni po pas w wodzie. Muliste dno utrudnia marsz, a od czasu do czasu niespodziewany plusk czy przekleństwo pущzone półgębkiem są znakiem, że muszą sobie wzajemnie pomagać, by uniknąć śliskich pułapek, w których zapadają się ich stopy. Na szczęście wschodni wiatr wieje im w twarz, unosząc ze sobą wszelkie hałasy, daleko od niepowołanych uszu. Z każdą chwilą wyraźniej daje się zauważyć odpływ wody w kanale, coraz lepiej widoczna jest zatoka i odsłania się łacha soli, której nikt nie zbiera od nadejścia Francuzów. Mojarra stwierdza, że są spóźnieni. Pośród tumanów piasku i pyłu, co chwila wzniesionych przez wiatr, światło wstające za lasami przy Chiclanie rozciąga się już wąskim pasmem, które powoli zmienia kolor z brudnoniebieskiego na ochrę. Dotrzemy w ostatniej chwili, mówi sobie w duszy. Ale przy odrobinie szczęścia zdążymy.

– Są tutaj – stwierdza Curro Panizo bardzo cichym głosem.

– Przy ujściu krótkiego kanału, przy pomoście z desek.

Mojarra ostrożnie wychodzi na jezioro lądu, odchylając sosnowe gałęzie i krzaki asparagusów. Kanał Alcomocal i odchodzące od niego kanaliki lśnią jak strumyki topionego ołowiu, a ich jasny blask ginie w pobliżu młyna w Santa Cruz, ciągle ukrytego w mroku. Na lewo, przy zbiegu z kanałem biegnącym do Chiclany, obok szopy i małego pomostu zbitego z desek, które warzelnik dobrze zna – były tam jeszcze przed wojną – widzi czarny, długi, płaski cień kanonierki, odcinający się w ołowianym świetle odbitym od wody.

– Gdzie stoi strażnik? – pytanie do Paniza.

– Na czubku mola... Możemy podejść, kryjąc się za ścianami statku. Pozostali żołnierze śpią w szopie.

– No to ruszamy. Późno się robi.

Pobliskie lasy sosnowe zaczynają nabierać kształtów, kiedy czwórka mężczyzn pokonuje ostatni odcinek i kładzie się w błotnistej mazi. Szare i ochrowe światło odsłania już, pośród

tumanów kurzu i piasku wznoszonych przez brudny wiatr, szopę zbitą z desek, pomost i sylwetkę przycumowanej do niego kanonierki. Mojarra oddycha z ulgą, widząc, że statek nie stoi na mulistej mieliźnie, ale unosi się na wodzie, z masztem pochylonym w kierunku dziobu, z łańskim żaglem zwiniętym wokół rei. To ułatwi płynięcie na wschód, z wiatrem, w dół kanału, nie trzeba będzie męczyć się przy wiosłach, kiedy Francuzi rzucą się za nimi w pościg.

– Nie widzę strażnika.

Panizo podchodzi, żeby się rozejrzeć. Potem cofa się na czworakach.

– Jest po prawej stronie, przy pomoście. Schował się przed wiatrem. Mojarra, który wreszcie dostrzegł czarną, nieruchomą postać – oby smacznie chrapał, myśli sobie – ściąga z pleców szablę i słyszy odgłosy świadczące, że jego towarzysze robią to samo: Panizo – marynarski toporek, szwagier Cardenas – naostrzony kordelas, Currito – kordzik. Czuje nieprzyjemne mrowienie wędrujące od pachwin w górę. Tak jest zawsze przy broni siecznej.

– Gotowi?

Potwierdzają trzema mruknięciami. Mojarra głęboko oddycha. Trzy razy.

– No to z Bogiem, idziemy.

Wszyscy czterej podnoszą się, zegnają znakiem krzyża i ostrożnie ruszają w chmurze piasku i pyłu, nieco przygarbieni, żeby ich sylwetki nie odcinały się w świetle wschodu, czują pod bosymi stopami ostre kryształki suchej soli wyściełającej cały brzeg. Dwadzieścia tysięcy reali, powtarza sobie w duchu Mojarra, jeśli ta kanonierka dotrze do hiszpańskich linii. Po pięć tysięcy dla każdego, jeśli wszyscy przeżyjemy tę wyprawę. Albo dla rodzin. Twarze żony i córek pojawiają mu się przed oczami, po czym znikają w mocnym biciu serca i szybkim pulsie, który teraz ogłuszająco wali mu w uszach, ponad wyciem wiatru, który oziębia mokre ubranie.

Szast. Strażnik nawet nie krzyczy. Spał. Nie poświęcając chwili uwagi ciemnej postaci, którą przed chwilą przedziurawił szablą, Mojarra posuwa się w kierunku szopy, znajduje drzwi i otwiera je jednym kopniakiem. Żaden w całej czwórki nie mówi ani słowa. Niemal przepychając się, wchodzi do środka, gdzie słabe światło dobiegające z zewnątrz pozwala odróżnić pięć albo sześć sylwetek leżących na ziemi. Czuć ludzki zaduch, pot, stary tytoń, mokre ubrania. Trach, szast. Trach, szast. Systematycznie, jakby przycinali gałęzie drzewa, tną i kłują. Ostatni mężczyźni, już obudzeni, mają dość czasu, żeby zacząć krzyczeć. Jeden gwałtownie rusza na czworakach ku drzwiom, wydając wrzask pełen rozpaczliwego przerażenia, brzmiący jak protest. Trach, trach, trach. Szast, szast, szast. Mojarra i jego towarzysze rzucają się na niego, chcą szybko to skończyć. Nie wiedzą, kto może być w pobliżu. Kto mógł usłyszeć krzyki. Potem wychodzą na dwór, zachłannie wdychając powietrze, brudny wiatr wbija im w skórę piaskowe igły. Poplamione krwią ręce i opryskane twarze ocierają w mokre ubrania.

Biegną w stronę drewnianego pomostu, nie oglądając się za siebie. Francuski statek kołysze się na wietrze. Odpływ jest teraz silniejszy, odsłania muliste brzegi kanałów i przesmyków w niemal jasnym świetle wschodu słońca. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, zdążą. W ostatniej chwili, powtarza w duchu Mojarra, ale zdążą.

– Przynieś broń, jaką tylko znajdziesz, mały.

Currito Panizo jak wystrzelony z procy pędzi z powrotem do szopy, podczas gdy jego ojciec, szwagier Cardenas i Mojarra wskakują z pomostu na kanonierkę, odwiązują reję i pociągają fał, żeby ją podnieść w górę, wcześniej wypuszczając żagiel na wiatr. Płótno rozwija się z trzaskiem pod silnym podmuchem wiatru i przechyla kanonierkę w kierunku kanału, dokładnie w chwili, kiedy Currito wraca obciążony czterema strzelbami z dwoma pasami na naboje, bagnietami i szablami.

– Pospiesz się, dziecko... Odpływamy!



Uderzają szablami w dziób i w rufę, kiedy chłopak wskakuje na pokład jednym susem, jego balast z trzaskiem uderza o deski na łodzi, która jest długa, szeroka, o niewielkim zanurzeniu, idealna na wojnie toczonyj w labiryncie kanałów otaczających wyspę. Musi mieć jakieś czterdzieści stóp długości, stwierdza Mojarra. Piękna jednostka. Na dziobie jest umieszczone działo – wyglądające na mniej więcej sześćofuntowe, bardzo solidne – na ruchomej lawecie, a na rufie dwie małe armatki z brązu, po jednej na każdej burcie. To gwarantuje dwadzieścia tysięcy reali nagrody, ułożonych w ładną kupkę. Przynajmniej. Może i więcej. O ile tylko, jasna sprawa, dożyją chwili, żeby ją odebrać.

Spuszczona z cum, pchana żaglem pełnym wiatru z dobrego kierunku, kanonierka odpływa od pomostu, najpierw powoli dryfując, a potem z niepokojąco dużą prędkością sunąc środkiem kanału Alcomocal. Na rufie, manewrując rumplem tak, by utrzymać się w głębszej części coraz węższego kanału – gdyby łódź osiadła na mieliźnie, wszystko byłoby stracone – Mojarra oblicza szybkość odpływu i zastanawia się, w jaki sposób powinien wziąć zakole przy ujściu do kanału głównego, by ciągle płynąć po głębokiej wodzie.

Currito i szwagier Cardenas zajmują się szotem i fałami żagla, podczas gdy Panizo na dziobie kieruje manewrami. Jest już dość światła, żeby widzieli swoje twarze – nieogolone, z oczami podkrążonymi z braku snu, z tłustą skórą ubrudzoną błotem i krwią żabojadów. Są przejęci tym, co właśnie zrobili, jednak nie mają czasu, żeby o tym pomyśleć, na razie.

– Mamy ją! – wykrzykuje Cardenas triumfalnie, jakby właśnie sobie to uświadomił.

– I górę forsy – dołącza się Panizo na dziobie.

Mojarra otwiera usta, żeby powiedzieć, by nie chwalili dnia przed zachodem słońca, ale wrogowie oszczędzają mu trudu. Jakiś głos krzyczy po francusku w ciemnościach, które jeszcze okrywają pobliski brzeg, i natychmiast rozbłyskują dwa wystrzały, niemal równoczesne. Pam, pam. Kule nie docierają do łodzi, która wpływa już do kanału Chiclany. Rozbrzmiewają kolejne strzały, teraz też z przeciwnego brzegu – kilka zbłąkanych kul rozpryskuje wodę, a Mojarra całym ciężarem swojego ciała dociska rumpel i prowadzi łódź na zachód po wejściu do głównego kanału. Balast, jakim jest działo ustawione przed masztem, pomaga utrzymać stały kurs, jednak przeszkadza podczas manewrów. I wiatr, i odpływ pomagają, żeby łódź szybko płynęła z prądem, pełnym kursem, z wiatrem w plecy i reją niemal poziomą. Mojarra z troską przygląda się płaskiej równinie, patrzy na niskie umocnienia brzegów. Wie, że przy ujściu następnego dopływu jest francuski posterunek i że kiedy będą przepływali przed nim, szara jasność przenikająca kłęby piasku pomoże nieprzyjacielskim strzelcom poprawić celność. Nie ma jednak innego wyjścia, jak stawić temu czoło, mając nadzieję, że wschodni wiatr utrudni zadanie Francuzom.

– Przygotować pagaje. Trzeba ich będzie użyć, kiedy dopłyniemy do kanału San Pedro.

– Nie będą potrzebne – protestuje Panizo.

– Mogą się przydać. Będzie dużo mułu przy płycznach. Nie chcę, żebyśmy się narażali, pod żaglem, z prądem wody i tym wiatrem. Może trzeba będzie tam wiosłować. A co z banderą?

Kiedy Panizo i szwagier Cardenas umieszczają wiosła w dulkach, Currito Panizo wyjmując z pasa złożoną szmatkę, puszcza oko do Mojarry, pokazując mu ją, a potem kładzie pomiędzy linami przytrzymującymi działo. Dwie noce wcześniej uszyła ją jego matka, przy świetle kaganka. Ponieważ nie mogli znaleźć złotego materiału, środkowa część jest biała, zrobiona ze skrawka prześcieradła. Obydwa czerwone paski pochodzą z podszewki starej ciepłej peleryny szwagra Cardenas. Szeroka na trzy piędzi i długa na cztery. Umieszczona na topie masztu kanonierki taka bandera, podobna do tych, pod jakimi pływają kanonierki Królewskiej Floty, zapobiegnie ostrzałowi ze strony Hiszpanów i Anglików, kiedy zobaczą, jak przepływa przez kanał Chiclany. Na razie lepiej, żeby szmatka została tam, gdzie jest, bo strzelają Francuzi. I jeszcze będą strzelać, mówi w duchu Mojarra, z uwagą obserwując szybko zbliżający się po lewej burcie posterunek przy ujściu następnego dopływu. Potem

zostanie jeszcze pięćset sążni ziemi niczyjej, dopóki nie wpłyną do kanału głównego, tuż przy hiszpańskich liniach: baterii w San Pedro i na wyspie Vicario. Jednak to będzie potem. Przedtem, już za chwilę, trzeba będzie przejść przez ogień. Francuzi z posterunku, ostrzeżeni wystrzałami, będą teraz gotowi, żeby ich z odległości trzydziestu kroków wybić jak kaczki.

– Schylcie się! Dochodzimy.

Francuski przyczołek jest ledwo widoczny z tej strony kanału, jednak w szarym świetle, mimo tumanów piasku unoszących się nad wzniesieniem na lewym brzegu, Mojarra zauważa źle wróżące sylwetki obserwatorów. Opierając się o rumpel, stara się utrzymać łódź jak najdalej od tego brzegu, prowadząc ją po drugiej stronie koryta i uważając cały czas na mulistą płyciznę, którą odpływ ukazuje coraz wyraźniej.

Francuzi już strzelają. Wysokie kule przelatują ziaaang ponad łodzią, a niskie wzbijają kolejne fontanny nad lustrem wody. Plask, plask. Pluskot wody wydaje się niegroźny, jakby ktoś wrzucał kamyki do kanału. Trzymając z całej siły rumpel, Mojarra tak mocno, jak tylko potrafi, pochyla głowę, starając się nie stracić z pola widzenia przybrzeżnego czarnego mułu. Na francuskim posterunku, o ile wie, jest około dwudziestu żołnierzy. A to oznacza, że przez całą długą minutę, kiedy łódź będzie w zasięgu strzału – jeśli nie utkwi na mieliźnie i nie zostanie tam tak długo, aż ich podziurawią jak sito – Francuzi mogą do nich oddać jakieś pół setki wystrzałów. Całkiem sporo. Za dużo tego, stwierdza ponuro warzelnik. Pewnie podobnie się czuje, myśli sobie, dzika kaczka, rozpaczliwie machając skrzydłami podczas polowania. Prerażona tak, że nawet nie kwaknie.

– Uwaga! – krzyczy Curro Panizo.

Właśnie teraz, widzi Mojarra, łódź jest dokładnie naprzeciwko posterunku, ostrzał się wzmaga i pojawia grad kul, a wiatr szybko unosi znad brzegu biały dym wystrzałów. Rzadziej słyszą ziaang i plask, dochodzi do nich seria trzasków jeszcze groźniejszych: trafień w deski pokrycia łodzi. Jedna z kul roztrzaskuje reling w odległości trzech piędzi od Mojarry. Inne przeszywają płótno żagla i uderzają w maszt, ponad skulonymi ciałami Paniza, Cardenasa i Currita. Skupiony na sterowaniu łodzią, nie dopuszczając, by podmuchy wiatru zepchnęły ją z pewnego kursu, Mojarra nie może zrobić nic innego, jak tylko zacisnąć zęby, skulić się najbardziej jak to możliwe – bolą go wszystkie mięśnie całego ciała, skurczone w oczekiwaniu na kulę – i mieć nadzieję, że żadna z tych drobinek ołowiu nie jest przeznaczona dla niego.

Klak, klak, klak. Francuskie strzały docierają teraz niemal równoczesną salwą. Padają gęsto. Mojarra wychyla się na chwilę, żeby sprawdzić odległość od prawego brzegu i głębokość wody, poprawia nieco kurs i kiedy znów spogląda do wnętrza kanonierki, widzi, że szwagier Cardenas trzyma się rękami za głowę, a strumyk krwi cieknie mu między palcami i spływa po ramionach do łokci. Puścił szot i żagiel przekrzywia się pod kolejnymi podmuchami wiatru, a łódź skręca tak, że niemal dobijają do brzegu.

– Szot! Na miłość boską, łapcie szot!

Słychać trzaski kul ze wszystkich stron. Currito przeskakuje nad ciałem rannego i stara się złapać puszczoną linkę, która chłoscze powietrze pośród łopotu płótna. Mojarra napiera całym ciężarem na rumpel, najpierw w jedną stronę, potem w drugą, rozpaczliwie próbując utrzymać się jak najdalej od ławic mułu. Wreszcie Currowi Panizo na dziobie udaje się złapać szot, podaje go na rufę, a żagiel – który ma już osiem czy dziesięć dziur od kul – znów chwyta wiatr.

Ostatnie strzały dobiegają coraz bardziej z tyłu, a kanonierka oddala się od francuskiego posterunku i już niemal mija łagodny podwójny łuk, prowadzący do kanału San Pedro. Spóźniona kula trafia rykoszetem w rumpel i drzazgi trafiają Mojarrę w potylicę i kark, bez większych konsekwencji. Ale strach jest ogromny. Szlag by trafił tego Napoleona, warzelnik soli cedzi przekleństwo przez zęby. Cholerne żabojady. Nagle przypomina sobie szczęk ostrzy w szopie, zapach rozkrawanego ciała, krew, której suche skrzepy ma jeszcze na rękach i pod

paznokciami. Postanawia myśleć o czymś innym. O dwudziestu tysiącach reali dzielonych na czterech. Bo rzeczywiście będzie ich czterech, jeśli nic więcej się nie stanie: Panizo z synem opatrują szwagra Cardenasa, leżącego na plecach na lawecie działa, skórę ma bladą i twarz pokrytą krwią. Rykoszet, informuje Panizo. Nie wygląda zbyt groźnie. Łódź płynie teraz środkiem kanału, znów nabierając prędkości, z daleka są widoczne wysepki mułu, jakie odpływ zaczyna odsłaniać przy ujściu kanału. Jeszcze jakieś sto sążni i kanonierka będzie widoczna z angielskiej baterii umieszczonej po drugiej stronie, Mojarra prosi więc, żeby Currito przygotował banderę. Żeby nas teraz nie osmaliły angielskie karmazyny z San Pedro.

Pomiędzy łachami mułu jest jeszcze szeroki przesmyk, dostrzega z daleka. Nie będą potrzebowali wiosła. Porusza rumplem, żeby skierować dziób na bezpieczną wodę, zmarszczoną przez wiatr i prąd, pomiędzy dwiema taflami czarnego błota, które powiększają się cal po calu w miarę opadania wody. Ostatnim spojrzeniem Mojarra ogarnia przez chmury piasku i pyłu płaską równinę, ujścia kanałów i przesmyków wodnych pozostające w tyle po obu burtach. Liczne siewki – w tym roku dziwnie zwlekają z odlotem na północ, jakby one też obawiały się Francuzów – rozpościerają czarne paski na swoich skrzydłach, spacerując na szczudlastych, cienkich nogach po zamulonych brzegach pod osłoną porastających je zarośli.

– Podnieś naszą banderę, mały... Niech karmazyny ją widzą.

Z tej odległości kolory bandery powinny być już widoczne z baterii, gdzie pewnie też słyszeli strzelaninę. Ale lepiej zawczasu się przygotować. W okamgnieniu Currito Panizo, który już przywiązał dwukolorową płachtę do fału, wciągnął ją ponad reję, na top masztu. Chwilę później zdecydowanym ruchem steru Mojarra przeprowadza łódź pomiędzy wysepkami, a potem, kontrując, kieruje kanonierkę do szerokiego kanału prowadzącego na północ.

– Spuścić żagiel! Do wiosła!

Oparty o lawetę, dłonią osłaniając ranę, szwagier Cardenas chwilami pojękuje. Oj, matko. Ajajaj... Curro i Currito Panizo luzują szoty, opuszczają reję i byle jak składają żagiel, część płótna łopocze na wietrze, część zanurza się w wodzie. Potem każdy bierze pagaj i zaczynają z całej siły wiosłować, zapierając się stopami o ławki. Pomiędzy ich głowami Mojarra dostrzega w oddali, w brudnej szarości pejzażu, osłony z agaw, niski mur i otwory strzelnicze angielskiego fortu. W tym momencie silny podmuch wschodniego wiatru rozpędza piaskową mgłę i pierwszy czerwony poziomy słoneczny promień oświetla białą-czerwoną płachtę gwałtownie łopoczącą na maszcie zdobytej kanonierki.

*Męskość lub płyn spermatyczny muszą znajdować się w samej macicy żeńskiej, żeby móc w kontakcie z embrionami potajemnie je zapłodnić; inaczej nie jest możliwe wyjaśnienie płodności nasion, zjawisko to zawsze występuje wskutek połączenia się obu płci...*

Lolita Palma siedzi nieruchomo, powtórnie czytając te słowa. Potem zamyka *Opis roślin Cavanillesa* i wpatruje się w okładkę z ciemnej skóry książki leżącej na biurku w gabinecie botanicznym. Jest spokojna i zamyślona. Potem wstaje, odkłada książkę na półkę i opuszcza żaluzję w otwartym oknie, przez które wpadało światło z ulicy. Jest ubrana tylko w lekką suknię domową z chińskiego jedwabiu, sięgającą do sandałów bez obcasa, włosy ma spięte szpilkami. Przy tym upale nie można się skupić, a światło potrzebne, by czytać, niesie do wnętrza gorące, wilgotne powietrze. Jest pora sjeisty, a ona, w odróżnieniu od niemal całego Kadyksu, nigdy nie śpi o tej porze. Woli ów czas poświęcić roślinom albo lekturze, wykorzystując spokój panujący teraz w domu. Jej matka odpoczywa pośród poduszek i oparów laudanum. Nawet służba robi sobie przerwę. Te chwile oraz godziny nocne Lolita rezerwuje dla siebie w programie dnia, który od czasu, kiedy prowadzi firmę Palma i Synowie, jest regulowany przez lokalny obyczaj kupiecki: biuro od ósmej do wpół do trzeciej, obiad, czyszczenie zębów proszkiem koralowym i płukanie ust wodą z mirrą, szczotkowanie włosów i czesanie, należące do obowiązków pokojówki Mari Paz, z powrotem w biurze

między szóstą a ósmą, spacer przed kolacją po ulicy Ancha, placu Świętego Antoniego i po Alamedzie, jakieś zakupy i napój chłodzący w cukierni Cosiego albo u Burnela. Czasami, rzadko, wizyta w którymś z zaprzyjaźnionych domów lub spotkanie na patiu bądź w salonie u niej w domu. Wojna i okupacja francuska położyły kres letnim rodzinnym wyjazdom do Chiclany – za jej pejzażem Lolita tęskni z ogromną melancholią: sosnowe lasy, pobliska plaża, ogrody i drzewa, pod którymi można spacerować przed zmrokiem, podwieczorki w Pustelni Świętej Anny i wycieczki kolaską do Medyny Sidonii. Spokojne przechadzki po polu, kiedy rozpoznawała i zbierała rośliny ze stareńkim profesorem Cabrera, który był jej nauczycielem botaniki. A kiedy zapada noc, księżyc zalewa dom poprzez otwarte okna srebrnym światłem, tak jasnym, że niemal można przy nim pisać i czytać, podczas gdy w ogrodzie słychać nieprzerwanie cykady, a z pobliskich kanałów melioracyjnych dochodzi kumkanie żab. Ale ten cały miły świat, z długimi wakacjami czasów dzieciństwa i młodości, zniknął już dawno temu. Ci, którzy teraz byli w Chiclanie, mówią, że dom i okolice straszliwie zdewastowano, Francuzi wykorzystują jako koszary albo fortece to, co nie jest ruiną; wszystko z pełną świadomością zostało przez nich obrabowane i zniszczone. Pan Bóg jeden raczy wiedzieć, co zostanie z tego starego, szczęśliwego świata, teraz już tak odległego, kiedy miną niepewne dzisiejsze czasy.

W mroku mającą złocenia książek i zielników, w których znajdują się zasuszone rośliny. Po przeciwnej stronie pokoju, na ścianie na wprost okna wychodzącego na ulicę, paprocie zaparowały maleńkimi kropelkami szyby zamkniętej lodzii, przypominającej cieplarnię, która wychodzi na wewnętrzne patio. Na zewnątrz miasto trwa w ciszy. Nie wybucha nawet w okolicy żadna francuska bomba – strzały z Trocadero coraz bardziej zbliżają się do ich dzielnicy – której huk przerwałby upalny spokój popołudnia. Od czterech dni oblegający nie strzelają; a bez bomb wojna znów się wydaje bardzo odległa. Nieistotna niemal dla codziennego powolnego rytmu życia w Kadyksie. Ostatni przejaw wojny widoczny był wczoraj rano: ludzie wyszli na tarasy i balkony z lornetkami i teleskopami, żeby obserwować, jak francuska brygantyna i korsarska feluka pod tą samą banderą, które wyruszyły z zatoki naprzeciwko Roty, toczą walkę z niewielkim konwojem tartan, płynącym z Algeciras w eskorcie dwóch hiszpańskich kanonierek i angielskiego brygu. Błękit morza przesłoniły dymy i eksplozje; przez prawie dwie godziny, przy wieczornej bryzie, która powoli poruszała żagle w oddali, tłum mógł podziwiać spektakl, bijąc brawa lub okazując smutek, kiedy sprawy układały się niepomysłnie dla aliantów. Również ona, w towarzystwie starego Santosa o mądrym spojrzeniu – „Tę tartanę po nawietrznej już straciliśmy; zaraz nam ją zabiorą, jak owieczkę ze stada” – śledziła ze swojej wieży obserwacyjnej manewry statków, nasłuchiwała odległych odgłosów walki i przyglądała się słupowi dymu nad kanonierką; aż w końcu Francuzom – dzięki temu, że wiał zachodni wiatr, niepozwalający angielskiemu brygowi zbliżyć się do hiszpańskiej korwety, która wyruszyła w ich kierunku z kotwicowiska – udało się odpłynąć z dwiema zdobyczami, pochwyconymi pod nosem dział na zamku Świętego Sebastiana.

Trzy tygodnie wcześniej z tej samej wieży przez angielską lunetę opartą na zagłębieniu w murze, sama wówczas, Lolita Palma obserwowała, jak „Culebra” opuszcza zatokę, podejmując nową wyprawę. Teraz, w półmroku gabinetu, przypomina sobie dokładnie, jak wiatr ze wschodu-północnego wschodu marszczył wodę, kiedy korsarski kuter, przemykając bardzo blisko skat Puercas i pod urwiskiem Fraile, żeby pozostać jak najdalej od francuskich baterii, płynął najpierw pełnym kursem, a potem bocznym wiatrem, okrążając mury miasta aż do mierzei Świętego Sebastiana. A kiedy się tam znalazł, rozwinął kolejne żagle – w górze pojawił się topsel i trzeci fok na długim bukszprycie – i widziała, jak zwraca dziób na południe i oddala się na niebieskim bezkresie: biała plamka maleńkich żagli maleje i w końcu niknie w wizjerze lunety. Zapadający szybko zmrok z fioletowymi tonami na odległym wschodnim niebie zastał Lolitę wciąż na wieży, wpatrującą się w pusty horyzont. Tak samo

nieruchomą jak teraz w swoim gabinecie. Pochłoniętą ostatnim widokiem oddalającego się kutra i zadziwioną, że nadal tam jest. Pamięta tylko, że ostatni raz w życiu wpatrywała się w puste morze w ten sposób wieczorem dwudziestego października piątego roku, kiedy ostatnie okręty floty Villeuneuve'a i Graviny opuściły port po trudnym i długotrwałym wychodzeniu niezliczonymi halsami i niemal bez wiatru, a tłum ojców, synów, braci, żon i krewnych, zebrany na tarasach, wieżach obserwacyjnych i na murach, pozostawał milczący, ze wzrokiem utkwionym w morzu nawet wtedy, gdy z oczu zniknął ostatni żagiel podążający na nieszczęsne spotkanie obok przylądka Trafalgar.

Lolita Palma ciągle jeszcze wspomina, oparta o ścianę w gabinecie. Wieża obserwacyjna, morze. Ten sam obity skórą mosiądz lunety w jej palcach. Niejasna zadra nieobecności, całkiem niewytłumaczalna, i niezwykły smutek dziwnych przeczuć. Chwilę potem, zła na siebie samą, zastanawia się, co to wszystko ma wspólnego z „Culebrą”. I nagle, niczym błysk wystrzału, pojawia się w myślach ostrożny i zamyślony uśmiech Pepe Lobo. Jego oczy ostrożnego kota, wpatrujące się w nią niezmaczenie, jakby odgadywały jej myśli. Przyzwyczajone do patrzenia na morze, ale i na kobiety. Są tacy, którzy mówią, że nie jest pan dżentelmenem, kapitanie Lobo. Tak właśnie mu powiedziała tamtego dnia; i nigdy nie zapomni jego prostej, spokojnej odpowiedzi, bez uciekania spojrzeniem. Nie jestem. Ani się nie staram.

Lolita otwiera usta jak ryba łapiąca dech i wciąga letnie powietrze. Raz, drugi, trzeci. Wsuwa rękę przez wilgotny dekolt sukni i gdy kładzie ją na swojej nagiej piersi, rozpoznaje to samo pulsowanie w żyłach na nadgarstku co tamtego dnia, podczas spotkania na placu Świętego Franciszka. Rozmowa o smoczym drzewie i jej własne słowa, które w pamięci wydają się jej wypowiedziane przez całkiem obce usta. Przez nieznaną osobę. Musi mi pan to wszystko opowiedzieć, kapitanie. Któregoś dnia. Być może. Kiedy wróci pan z morskiej wyprawy. Lolita dobrze pamięta opalone silne dłonie, brodę, która choć niedawno ogolona, już rano pokryta była krótką czarną szczeciną. Włosy wyglądające na mocne, długie bokobrody, gęste i starannie przycięte. Męskie. Uśmiech jak biała kreska na ogorzałej twarzy. Wyobraża go sobie, jak teraz, dokładnie w tej chwili, stoi na przechylnym pokładzie korsarskiego kutra, z włosami zmierzwionymi przez wiatr, z przymkniętymi oczami od słonecznego blasku. W poszukiwaniu kolejnej zdobyczy na horyzoncie.

Kobieta nadal stoi przy oknie, wsłuchując się w ciszę miasta. Nawet przy opuszczonej żaluzji gorące powietrze z zewnątrz dostaje się do środka przez szczeliny. Dni silnego wiatru wschodniego już się skończyły i Kadyks przypomina uspiony okręt na ciepłej, spokojnej wodzie własnego Morza Sargassowego. Statek widmo, gdzie Lolita Palma stanowi całą załogę. Lub jest ostatnim rozbitkiem. Tak się teraz czuje, w ciszy i upale, oparta plecami o ścianę i rozmyślająca o Pepe Lobo. Ma całe ciało spocone, wilgotną skórę na karku. Maleńkie kropelki potu spływają po jej nagich udach pod jedwabiem.

Wysoka i potężna sylwetka Bramy Ziemi wyraźnie odcina się w czerni pod gęstym sklepieniem gwiazd. Idąc wzdłuż pobielonych wapnem murów klasztoru Dominikanów, Rogelio Tizón skręca na lewo. Oliwna lampa oświetla róg ulicy Goleta, której dolna część tonie w ciemności. Na odgłos kroków policjanta z mroku wynurza się niewyraźna postać.

– Dobry wieczór, panie komisarzu – odzywa się ciotka Pietrucha.

Tizón nie odpowiada na pozdrowienie. Akuszerka otwiera drzwi, z wnętrza dochodzi blask zapalanej świeczki. Wchodzi, za nią Tizón, kobieta bierze ogarek i oświetla wąski korytarz z odrapanymi ścianami, śmierdzący brudną wilgocią i kocią sierścią. Choć na ulicy panuje upał, ma się wrażenie zimna. Jakby korytarz prowadził do innej pory roku.

– Moja kuma mówi, że zrobi, co tylko się da.

– Tego się spodziewam.

Starucha odsuwa zasłonę. Po drugiej stronie znajduje się pokoik, którego ściany pokrywają makatki z religijnymi obrazkami, portretami świętych, wotami z wosku i blachy. Na toalecie z rzeźbionego drewna, dziwnie eleganckiej w tym miejscu, stoi ołtarzyk z reprodukcją wizerunku Chrystusa Pokornego i Cierpliwego, umieszczoną w szklanej urnie, oświetloną przez pławiki lampki oliwnej. Środek pokoju zajmuje okrągły stolik nakryty obrusem do ziemi, na nim stoi mosiężny lichtarz ze świecą. Płonący knot rzuca światła i cienie na twarz kobiety siedzącej przy stole z rękami opartymi o blat.

– No więc jest tutaj, panie komisarzu. To Caracola.

Tizón nie zdejmuje kapelusza. Bezceremonialnie siada na wolnym krześle naprzeciwko stołu, z łaską między kolanami, przygląda się kobiecie. Ona też go obserwuje nieruchoma. Obojętna. Jest w nieokreślonym wieku między czterdziestką a sześćdziesiątką: włosy ufarbowane na kolor miedzianoczerwony, cygańskie rysy, gładka skóra. Jedna ze wspartych na stole pulchnych gołych rąk jest pokryta złotymi bransoletkami. Ponad tuzin, oblicza policjant. Na piersi ma ogromny krucyfiks, relikwiarz i szkaplerz z wyhaftowanym wizerunkiem Matki Boskiej, którego nie udaje mu się rozpoznać.

– Opowiedziałam już mojej kumie, co martwi pana komisarza – mówi ciotka Pietrucha. – No to zostawiam was samych.

Tizón kiwa głową i nadal milczy zajęty zapalaniem cygara, podczas gdy kroki akuszerki oddalają się w korytarzu. Potem spogląda na kobietę poprzez kółko dymu, które rozplywa się nad płomieniem świecy.

– Co mi możesz powiedzieć?

Cisza. Tizón słyszał o Caracoli – jej zajęcie polega na tym, że słucha wszystkich – ale do dzisiaj jej nie widział. Wie, że zamieszkała w mieście jakieś sześć albo siedem lat temu, wcześniej piekła ciastka w Huelvie. W Kadyksie cieszy się opinią osoby świętej i jasnowidzącej. Prości ludzie często zwracają się do niej o radę i pomoc. Z tego żyje.

Kobieta zamknęła oczy i mruczy pod nosem coś niezrozumiałego. Może modlitwę. Zły początek, myśli Tizón. Tanie chwytły.

– Znów zabije. – Jasnowidząca szepcze po dobrej chwili. – Ten mężczyzna zrobi to znowu.

Ma dziwny głos, stwierdza Tizón. Zniszczony i nieco skrzekliwy, niepokojący. Przypomina jęki chorego zwierzęcia.

– Skąd wiesz, że to mężczyzna?

– Wiem.

Tizón zamyślony pociąga cygaro.

– Nie po to do ciebie przychodzę – oświadczam. – Tyle sam mogę powiedzieć.

– Moja kuma mi mówiła...

– Słuchaj, Caracola. – Policjant unosi dłoń w rozkazującym geście. – Daj spokój bajkom. Jestem tutaj dlatego, że chwytam się wszelkich sposobów... Nigdy nie wiadomo. Niczego nie tracę, próbując i tego.

To prawda. Rozmyślając tysięczny raz, wpadł na pomysł, żeby porozmawiać z jasnowidzem. Bez robienia sobie specjalnych nadziei, oczywiście. Jest starym psem z wyliniałym ogonem, a ona nie jest pierwsza, która opowiadaniem bajek zarabia na życie. Ale właśnie sobie pomyślał: nic nie traci, próbując i tego. Bo właściwie to ta sama logika, jeśli wziąć pod uwagę, że morderca zabił ostatni raz, zanim spadła bomba. Teraz Tizón nie zamierza odpuścić żadnej szansy. Żadnego pomysłu, jakkolwiek absurdalny by się wydawał. Wizyta u Caracoli jest tylko strzałem na oślep. Kolejnym z bardzo wielu, na jakie się zdecydował – i decydować będzie, jak się obawia – od ostatniego zabójstwa.

– Czy wierzy pan w łaskę, którą mnie Bóg obdarzył?

– Ja?... Czy w co ja wierzę?

Kobieta przygląda mu się nieufnie. Nie odpowiada. Tizón zaciąga się szybko, ożywiając błysk żaru cygara.

– Nie wierzę w łaskę twoją ani niczyją.

– Więc po co pan tu przyszedł?

Dobre pytanie, mówi sobie w duchu.

– Pracuję – stwierdza. – Staram się rozwiązać trudne sprawy... Ale ostrożnie. Jak ci powiedziała twoja kuma, ze mną nie ma zabawy.

Czarny kot wychodzi z ciemności, okrąża nogi stołu i zbliża się do jego wysokich butów, ociera się o nie. Brudne bydlę.

– Powiedz mi tylko, czy naprawdę widzisz coś, co mogłoby mi pomóc. Jeśli nie, nic nie szkodzi. Wstanę i sobie pójdę... Chodzi o to, żebym u ciebie nie marnował czasu.

Caracola zawiesza spojrzenie w jakimś punkcie za plecami policjanta i pozostaje bez ruchu, nawet nie mrugając. W końcu zamyka powieki – Tizón wykorzystuje to, by kopniakiem odpędzić kota – i chwilę później znów je otwiera. Nieobecny wzrokiem spogląda na kota, który miaucząc, skarży się jej, potem kobieta patrzy na policjanta.

– Widzę mężczyznę.

Komisarz pochyla się, opierając łokcie na stole, zły. Dymiące cygaro trzyma w kąci ust.

– To już mówiłaś. Mnie interesuje jego związek z miejscami, na które spadają francuskie bomby.

– Nie rozumiem, o czym pan mówi.

– Czy istnieje jakiś związek między nimi? Między zabitymi dziewczynami a bombami?

– Jakimi bombami?

– Tymi, które spadają na Kadyks, do cholery.

Kobieta przygląda mu się uważnie. Najpierw nieufnie, a potem krytycznie. Pański duch jest twardy, mówi po chwili. Zbyt pan nieufny. Przez to trudno będzie, żeby oświeciła mnie łaska Boga.

– Spróbuj, kobieto. Trochę ufności muszę mieć, skoro tu jestem.

Spojrzenie kobiety znów gubi się gdzieś za plecami Tizona. Teraz skrzyżowała ręce na szkaplerzu i krzyżu na piersiach. Mija czas potrzebny na dwa pacierze, mniej więcej. W końcu kobieta mruga i kręci głową.

– Niemożliwe. Nie jestem w stanie się skoncentrować.

Tizón zdejmuje kapelusz i drapie się po głowie. Zniechęcony opanowuje chęć, żeby sobie pójść. Z powrotem okrywa głowę. Kot przechodzi obok niego z największą ostrożnością, zatacza półkole, które zapewnia mu bezpieczną odległość od butów policjanta.

– Spróbuj jeszcze raz, Caracola.

Kobieta wzdycha i odwraca się lekko w stronę stojącego na komodzie obrazka, jakby brała Chrystusa na świadka swej najlepszej woli. Potem znów wpatruje się w pustkę. Trzy pacierze, ocenia teraz Tizón.

– Coś widzę. Niech pan zaczeka.

Krótką pauza. Przymknęła powieki i unosi rękę, tę z bransoletami, czemu towarzyszy krótkie dzwonienie złota.

– Jaskinia – mówi. – Mroczne miejsce.

Policjant mocniej pochyla się nad stołem. Wyjął cygaro z ust i bacznie przygląda się Caracoli.

– Gdzie? Tu, w mieście?

Kobieta nadal siedzi z zamkniętymi oczami i uniesioną dłonią. Teraz porusza nią w bok, jakby wskazywała kierunek.

– Tak. Grota. Święte miejsce.

Tizón marszczy brew. Pora kończyć, myśli.

– Mówisz o Świętej Grocie?

Ma na myśli podziemny kościół leżący niedaleko Rosario. Zna go bardzo dobrze, jak wszyscy w Kadyksie: to miejsce religijnej modlitwy. Powszechnie darzone najwyższym szacunkiem. Jeśli Caracola ma na myśli ową świątynię, dochodzi do wniosku policjant, rozwałę jej łeb. A potem spalę tę nędzną dziurę z nią w środku.

– Kpisz sobie, czy co?

Kobieta wzdycha ze smutkiem. Odsuwa się na oparcie krzesła i z wyrzutem patrzy na policjanta.

– Nie mogę. Nie ma w panu wiary. Nie potrafię panu pomóc.

– Żałosna oszustka! Co ma wspólnego jedno z drugim?

Z całej siły uderza laską w stół, lichtarz spada na podłogę i gaśnie.

– Wsadzę cię za kratki, stara czarownico!

Kobieta wstała, przerażona, i cofa się z uniesionymi rękami, obawiając się, że nastąpi drugi cios, tym razem przeznaczony dla niej. Oliwna lampka na toalecie słabo oświetla jej zniekształcone strachem rysy twarzy.

– Jeśli komukolwiek o tym powiesz, przysięgam, że cię zabiję.

Opanowując chęć, by zatłuc ją laską, policjant odwraca się na pięcie, przechodzi niemal po omacku przez korytarz – potyka się o kota, którego znów kopie z dziką furią – i wychodzi na ulicę Goleta, oszołomiony złością. Po kilku krokach zaczyna przeklinać przez zaciśnięte zęby, wściekły, zawstydzony swoim zachowaniem i bardziej rozczarowany sobą niż wróżką. Przesądny i łatwowierny kretyn, powtarza do siebie raz po raz, szybko przemierzając ciemne uliczki dzielnicy Santa Maria, jakby pośpiech mógł mu pomóc zostawić to wszystko daleko za sobą. Jak mogłeś choć przez chwilę robić sobie złudzenia. Jak mogłeś. Absurdalny, głupi, groteskowy, żaloszny sposób wychodzenia na durnia.

Nie może się uspokoić aż do skrzyżowania z ulicą Higuera, gdzie zatrzymuje się w ciemności. Niewyraźna muzyka gitar dobiega z pobliskich spelunek. W mroku suną cienie, zatrzymują się w bramach i na rogach, słychać męskie głosy i kobiece śmiechy, ciche rozmowy. Śmierdzi wymiotami i winem, Tizón wyrzucił gdzieś cygaro, które wcześniej palił, a może zgubił je po drodze. Nie pamięta. Wyjmuje następne z pudełka z rosyjskiej skóry, pociera zapalną o ścianę i zapala je, osłaniając płomień dłonią. *Zaiste człowiek wiele znać może, wiele wypadków doznawszy. Lecz nim czego dozna, nikt nie jest świadom przyszłości, jaka go czeka.* Fragment *Ajasa* – zna niemal na pamięć przekład profesora Barrulla – rozbrzmiewa mu w głowie, kiedy idzie przez wąskie i ciemne uliczki dzielnicy marynarzy, szybko paląc cygaro i starając się uspokoić. Nie pamięta, żeby kiedyś wcześniej czuł się tak zagubiony, niezdolny dostrzec jakiegokolwiek znaku, który mógłby go prowadzić do rozwiązania. Nigdy też wcześniej nie znał kwaśnego smaku niemocy paraliżującej umysł, budzącej chęć, żeby ryczeć jak wściekły, udręczony byk, jak teraz, kiedy szuka niewidzialnego – a może niemożliwego – przeciwnika, na którym mógłby pomścić całą swoją frustrację i wściekłość. To jakby walczyć ze ścianą – ścianą tajemnicy, milczenia, z którą nie potrafi sobie poradzić mimo doświadczenia, rozsądku, znajomości starych policyjnych sztuczek. Od kiedy to się zaczęło, Kadyks nie jest już dla Rogelia Tizona obszarem znajomym, swojską włością, po której zawsze poruszał się swobodnie, bezkarnie, bezczelnie. Miasto zmieniło się w nieprzyjazną szachownicę, pełną dziwnych pól, cieni padających pod nigdy wcześniej niewidzianymi kątami. Pole o geometrycznym wzorze z nieznanym szyfrem, z całym mnóstwem niedających się rozpoznać figur, które przesuwają się przed jego oczami jak wyzwanie albo zniewaga. Cztery figury zabite, do tej pory. I żadnego śladu, wskazówki. A to jest policzek dla niego każdego dnia coraz boleśniejszy, w miarę jak płynie czas, kiedy on stoi w miejscu, bezradny. Czekając na olśnienie, znak, wizję całej rozgrywki, a one się nie pojawiają. Albo on ich nie widzi.

Idzie przed siebie dobry kawałek, machając laską. Na placyku naprzeciwko wieży Merced stoi latarenka z kartonu i zielonego papieru, a w jej świetle spaceruje kobieta: ma odkrytą



głowę, na ramiona narzuciła chustkę. Przechodząc obok policjanta, zatrzymuje się, prowokacyjnym ruchem poprawia chustę, ukazując przez chwilę wydekoltowany gorset i pas. W zielonym świetle widać jej twarz. Jest młoda. Bardzo. Szesnaście, siedemnaście lat. Tizón jej nie zna; zapewne dziewczyna przybyła do miasta razem ze strumieniem uciekinierów, pchana głodem i wojną. Bycie kobietą jest o tyle użyteczne w czasach takich jak te, myśli cynicznie, że zawsze ma czym zarobić na życie.

– Chce pan spędzić kilka przyjemnych chwil?

– Masz dokumenty?

Wyraz twarzy dziewczyny zmienia się od razu: po tonie i zachowaniu wyczuwa policjanta. Niechętnym gestem wsuwa rękę w kieszeń, wyjmując zaświadczenie o prawie pobytu z oficjalnym stemplem i podnosi je do zielonego światła. Policjant obserwuje ją: biała cera, raczej jasne włosy, przyjemne kształty. Oczy podkrążone ze zmęczenia. Prawdopodobnie on sam albo któryś z jego podwładnych podstemplował dokument po otrzymaniu odpowiedniej należności lub w zamian za jakąś przysługę ze strony jej stręczycielki czy alfonsa. Żyj, zarabiaj i pozwól żyć, taka jest zasada. Dziewczyna chowa papier i spogląda w głąb ulicy z nadzieją, że policjant już sobie pójdzie. A ten spokojnie się jej przygląda. Z bliska wydaje się jeszcze młodsza. I delikatna. Prawdopodobnie jeszcze nie ma nawet piętnastu lat.

– Gdzie pracujesz?

Mina pełna rezygnacji. Znużona. Dziewczyna nadal wpatruje się w koniec ulicy. Niechętnie wskazuje na pobliską bramę.

– Tutaj.

– Idziemy.

Rogelio Tizón nie płaci dziwkom. Bierze je, kiedy ma ochotę. Za darmo. Jednym z przywilejów jego pozycji w mieście jest oficjalna bezkarność. Czasem bywa w domu publicznym wdowy Madrazo – eleganckim lokalu na ulicy Cobos, czasem u dońi Rosy, a czasem w burdelu pewnej dojrzałej Angielki na tyłach placu Mentidero. Odbywa też sporadyczne wyprawy, w zależności od nastroju, do podlegszych miejsc w tym mieście, w dzielnicy Santa Maria albo w ciemnych uliczkach naprzeciwko Bramy Calety. Komisarz w żadnym wypadku nie jest miły dla kobiet tego rodzaju. Ani żadnego innego. Każda właścicielka ciała do wynajęcia w Kadyksie dobrze wie, że Rogelio Tizón najdalszy jest od pozostawiania po sobie miłych wspomnień. Wszystkie kobiety, które miały z nim cokolwiek wspólnego – i dziwki, i nie dziwki – patrzą na niego podejrzliwie, kiedy spotykają go na swojej drodze. Nic go to nie obchodzi. Dzwiki są po to, żeby nimi były, uważa. Albo po to, żeby przekonać się, że nimi są, jeśli o tym nie wiedziały wcześniej. Bo różne są sposoby budzenia respektu. I strach jest jednym z nich. Często bywa też sprzymierzeńcem skuteczności.

Obrzydliwy pokój na parterze. W bramie starucha w żałobie, która znika jak sen, kiedy tylko rozpoznaje – a rozpoznaje natychmiast – policjanta. Siennik, poduszka i prześcieradło, miednica i dzbanek wody, marny świecznik z jedną zapaloną świeczką. I obleśny zaduch zamkniętego miejsca. Zapach nagich ciał.

– Co chciałby pan, żebym zrobiła?

Tizón przygląda się jej, stojąc nieruchomo. Nadal na głowie ma kapelusz, a w ręce laskę, pali cygaro, które trzyma w palcach. Jeszcze raz próbuje zrozumieć i nie udaje mu się to. Zachowuje się jak muzyk starający się uchwycić fałszywą, obcą nutę. Jak myśliwy, który przygląda się pejzażowi, przeczuwając łopot skrzydeł albo ruch w zaroślach. Komisarz pozostaje w tej pozycji, nie odrywając spojrzenia od dziewczyny. Stara się odnaleźć w niej szyfr do horroru, którego nie jest w stanie zgłębić. Raz jeszcze rozbija się o ścianę tajemnicy i ciszy.

A ona spokojnie zdejmuje ubranie. Mechanicznie. Widać, że jej niezwykła młodość nie stoi w sprzeczności z doświadczeniem. Tasiemki gorsetu, zapaska, pończochy, długa koszula, która zastępuje halkę. Wreszcie staje nieruchoma, naga, płomień świecy oświetla z boku jej drobne, zgrabne ciało, bliźniacze kształty piersi niewielkich i białych, krągłość biodra i szczupłe nogi. Wydaje się jeszcze bardziej krucha. Patrzy na policjanta, jakby czekała na dalsze polecenia. Jakby jego pasywność i milczenie ją dziwiły. Tizón dostrzega podejrzliwość i niepokój w jej oczach. Dziwny typ, rany boskie, wydają się mówić. Jeden z tych nienormalnych.

– Połóż się na łóżku. Na brzuchu.

Niemal można usłyszeć jej westchnienie. Już sobie wyobraża albo i wie, co ją czeka. Posłusznie podchodzi do siennika i kładzie się na nim, nogi razem, ramiona wyciągnięte po bokach. Twarz zanurzona w poduszce. Nie pierwszy raz będzie krzyczeć, wnioskuje Tizón. I to wcale nie z rozkoszy. Kiedy wyrzuca niedopałek cygara i zbliża się, zauważa fioletowe ślady razów na udzie i biodrze. Zapewne pamiątka po ognistym kliencie. Albo po jej alfonsie, który zaprowadzał porządek.

*Zasię drugiego przywiązał do słupa i uzdę długą złożył we dwoje i z głośnym świstem smagał okrutnie, z ust swych miotając straszne przekleństwa; żaden śmiertelny, to demon ich jego wyuczył...* Słowa z Ajasa ze złowrogą precyzją przepływają przez głowę policjanta. Tak to się właśnie dzieje, myśli sobie, przyglądając się nagiemu ciału dziewczyny. Tak na nie patrzy, kiedy je chłoszcze, aż do rozerwania ciała do kości, kiedy je zabija. Uniósł laskę i jej czubkiem przejeżdża po plecach dziwki, zaczynając od karku. Robi to bardzo powoli, z uwagą obserwuje każdy cal jej skóry. Stara się zrozumieć, pochylony nad przepaścią horroru, jakie mogą być motywy, co myśli człowiek, którego stara się złapać.

– Rozchyl nogi.

Dziewczyna posłusznie wykonuje polecenie, drżąc. Laska powoli dalej przemierza swoją drogę. Aż do pośladków. Drewno przekazuje do uchwytu z brązu coraz wyraźniejszą wibrację ciała dziewczyny. Nadal jej twarz jest ukryta w poduszce. Ma zaciśnięte dłonie, palce mną prześcieradło. Drży ze strachu.

– Nie, bardzo proszę, nie – jęczy w końcu błagalnie, tłumiąc głos. – Proszę, nie!

Dziwny dreszcz przerażenia przebiega przez Tizona, jeżąc mu całą skórę od stóp do głów, jakby właśnie spojrzął w głąb przepaści. Jakby został ogłuszony ciosem. Wizja nieprzeniknionej, przerażającej ciemności oszałamia go i sprawia, że cofa się, zataczając. Potyka się o miednicę i dzbanek, które toczą się po ziemi, łoskot, rozlana woda. Hałas przywołuje go do rzeczywistości. Przez chwilę pozostaje bez ruchu z laską w rękę, wpatrując się z otępieniem w nagie ciało oświetlone płomieniem świecy. W końcu wyjmuje z kieszonki w kamizelce dublona wartości dwóch skudów – jego palce są zimniejsze od złota monety – i rzuca go na prześcieradło, obok dziewczyny. Potem, poruszając się jakby ukradkiem, odwraca się, opuszcza dom i powoli odchodzi w mrok nocy.

Słupy czarnego dymu wznoszą się od Trocadero po Puntales wokół całej zatoki. Od trzydziestu dwóch godzin Simon Desfosseux niemal nie wystawia głowy poza wały ochronne, bo bitwa toczy się na całej linii. Tym razem nie chodzi o precyzyjne bombardowanie Kadyksu czy wysuniętych pozycji takich jak Puntales, Carraca bądź most Zuazo, ale jest to pojedynek dział wszystkich kalibrów, w którym toczą bój baterie i forty hiszpańskie z francuskimi. Wściekła wymiana ognia, gdzie atakujący obrywa tak samo jak atakowany. Zaczęło się wczoraj bardzo wcześnie rano, kiedy – na zakończenie całego tygodnia szerszenia najróżniejszych pogłosek, obejmujących wieść o hiszpańskim desancie na Algeciras i walkach zaczepnych pomiędzy wybrzeżem a Rondą – oddziały partyzantów przekroczyły równocześnie główny kanał przy Lwiej Wyspie w różnych punktach, szturmując wysunięte posterunki francuskie w pobliżu Chiclany. Atak, skierowany przede wszystkim na zajazd

Olivar i dwór Soledad, otrzymał wsparcie kanonierek z Zurraque, Gallineras i Sancti Petri, które przedostały się w głąb kanałami, atakując zwartym ogniem. Ten rozprzestrzenił się wzdłuż całej linii, w miarę jak baterie obu stron zaczęły ostrzeliwać pozycje nieprzyjacielskie, i wszystko skończyło się ogólnym bombardowaniem, nawet gdy wycofali się Hiszpanie, którzy po zniszczeniu i zabiciu wszystkich i wszystkiego, co tylko się dało, zabrali ze sobą broń i jeńców, zagwoździli działa i wysadzili magazyny amunicji i materiałów wybuchowych. Partyzanci, jak opowiadają zwiadowcy, którzy wędrują z rozkazami w tę i z powrotem wzdłuż całego frontu, znów przedostali się przez wielki kanał tego ranka, atakując wysunięte fortyfikacje saliny w Polverze i wiatraków w Almansie i Montecorto; tam jeszcze trwają walki, a cała wschodnia część zatoki płonie od wystrzałów. Sytuacja jest na tyle trudna, że sam kapitan Desfosseux zgodnie z rozkazami przełożonych musiał się zająć kierowaniem ognia konwencjonalnych baterii w Cabezueli i forcie Ludwika na hiszpański zamek w Puntales, znajdujący się w odległości niecałego tysiąca węzłów, na czubku mierzei, która zamyka zatokę w jej najwęższym miejscu, naprzeciwko Trocadero.

Od wybuchów drży ziemia, trzęsą się też umocnienia z desek, koszy i faszyny. Skulony za jednym z parapetów Desfosseux patrzy przez ręczną lunetę poprzez otwór strzelniczy, trzymając wizjer przyrządu w rozsądnej odległości od prawego oka; postępuje tak od czasu, kiedy przez eksplozję pocisku, od której wszystko zafalowało, o mało nie wybił nim sobie oka. Od półtora dnia nie spał, nie jadł nic poza twardym i suchym chlebem, nie pił nic poza mętną wodą, bo podczas bombardowań, wskutek których wielu żołnierzy kończy z flakami na wierzchu, nie ma odważnych aprowizatorów, gotowych do przemieszczania się pod ostrzałem. Kapitan jest brudny, spocony, warstwa kurzu wznoszonego przez wybuchy pokrywa mu włosy, twarz i ubranie. Nie widzi siebie, ale wystarczy mu popatrzeć na kogokolwiek z tych, którzy są w pobliżu, by odgadnąć, że wygląda na zmizerowanego, wygłodniałego i wycieńczonego i że ma czerwone oczy, łzawiące ciekłym pyłem, który spływając, pozostawia bruzdy na twarzy wyglądającej jak maska zrobiona z ziemi.

Kapitan kieruje lunetę w stronę Puntales, na mały, solidny zamek o murach osadzonych na czarnych skałach mierzei, które teraz zaczyna odslaniać odpływ. Oglądany z tej strony przesmyku wodnego, z prawej strony oflankowany, w odległości półtorej mili, ogromnymi fortyfikacjami Bramy Ziemi, a z lewej – nie mniej solidną i potężną Cortadurą, hiszpański fort przypomina dziób statku, upartego i nieruchomego. W części przedniej ma sześć otworów artyleryjskich, skierowanych ku miejscu, z którego patrzy Desfosseux. Z metodyczną regularnością co pewien czas jeden z nich rozbłyskuje ogniem, a w kilka chwil po wystrzale następuje wybuch nieprzyjacielskiego pocisku, granatu albo bomby z litego żelaza, uderzającego we francuską baterię. Artylerzyści francuscy też nie siedzą z założonymi rękami i regularny ogień dwudziestoczero- i osiemnastofuntowych dział oblężniczych i haubic ośmiocalowych wzniesła słupy kurzu przy każdym trafieniu w hiszpański fort, czasami przysłaniając wyzywającą flagę – obrońcy podnoszą nową flagę co cztery, pięć dni, kiedy poprzednią zniszczą odłamki pocisków wroga – która powiewa w górze. Od pewnego czasu kapitan podziwia, jak zawodowiec zawodowca, silny charakter i klasę nieprzyjacielskich artylerzystów. Nękani od osiemnastu miesięcy bombardowaniami i sami bombardując, osiągnęli sprawność i wytrzymałość najwyższej próby. Desfosseux uznaje to za naturalne u Hiszpanów: leniwi, niezdyscyplinowani i mało stanowczy w otwartym polu stają się zuchwali, kiedy ponosi ich duma lub chęć zabijania, a ich uparty i dumny charakter sprawia, że kiedy się bronią, wzbudzają strach. Bezustannie oscylują pomiędzy klęskami wojskowymi, politycznymi absurdami i religijnymi szaleństwami a ślepym i dzikim patriotyzmem, niemal samobójczą wytrzymałością i nienawiścią wobec wroga. Twierdza Puntales jest tego najlepszym przykładem. Jej załoga żyje pod ciągłym ostrzałem francuskich armat, a jednak nieugięte oddaje bombę za bombę.

Jedna z nich spada właśnie w tym momencie na sąsiedni fort, koło osiemnastofuntowych dział. Jest to czarny granat – niemalże można było zobaczyć, jak nadlatywał – który uderza w krawędź najwyższego parapetu, odbija się i toczy do wału zrobionego z koszy i ziemi, pozostawiając dymiący ślad od lontu. Kapitan podniósł się nieco, żeby zobaczyć, gdzie spadła mająca zaraz wybuchnąć bomba, i słyszy krzyki artylerzystów obsługujących najbliższe działo, którzy padają na deski pod lawetami albo chronią się za wszystkim, co tylko może ich osłonić. Desfosseux wciąga głowę w ramiona i kuli się obok swojego otworu strzelniczego, po chwili eksplozja wstrząsa całym fortem, a chmura ziemi, drzazg i odłamków unosi się wszędzie dookoła. Jeszcze nie opadła ziemia z kurzem, a już słychać długi, rozdzierający lament. Kiedy kapitan znów podnosi głowę, widzi, że kilku mężczyzn niesie krzyczącego artylerzystę, którego kikut uda – reszta nogi zniknęła – pozostawia krwawy ślad na ziemi.

– Musimy być twardzi wobec tych bandytów – krzyczy porucznik Bertoldi, który staje pośród artylerzystów, zagrzewając ich do walki. – Oko za oko! Trzeba pomścić naszego towarzysza!

Dobrzy chłopcy, myśli sobie Desfosseux, patrząc na żołnierzy, którzy gromadzą się wokół dział, ładują, celują i znów strzelają. Wiele już tu przeszli i wiele ich jeszcze czeka, wciąż jednak potrafią nawzajem zagrzewać się do boju, chwalebnie udowadniając, że poświęcenie i odważne pogodzenie się z tym, co nieuniknione, to cechy francuskiego żołnierza. Jest tak nawet po półtorarocznym ugrzęźnięciu na tym śmietnisku życia i nadziei, jakim jest Kadyks, zadupie Europy i wrzód Cesarstwa, przy świadomości, że cała zbuntowana Hiszpania została zredukowana do jednej, niedającej się podbić, wyspy.

Ostrzał fortu staje się teraz wściekły i zajadły, wzrasta jego rytm – trzeba mieć usta szeroko otwarte, żeby nie popękały bębunki – a Puntales już ledwie widać w tumanach pyłu, jaki unoszą, jeden po drugim, pociski trafiające we francuskie umocnienia, przerywając kolejne wystrzały na dobrą chwilę.

– Robimy, co się da, panie kapitanie.

Otrzeputując ziemię z kurtki, z odsłoniętą głową i ze sceptycznym uśmiechem wymalowanym na twarzy pomiędzy jasnymi i brudnymi bokobrodami, porucznik Bertoldi zatrzymuje się obok otworu strzelniczego, przy którym tkwi Desfosseux ze swoją lunetą. Unosi się nieco na palcach, żeby spojrzeć na pozycje wroga, potem opiera się plecami o parapet i rozgląda na obie strony.

– To jest kretynizm... Hałas i proch na darmo.

– Mamy rozkaz tłuc manoli na całej linii – odpowiada Desfosseux, który jest w wyraźnie fatalistycznym nastroju.

– Właśnie to robimy, panie kapitanie. Ale tylko marnujemy czas.

– Któregoś dnia zatrzyma pana żandarmeria, Bertoldi. Za defetyzm.

Obaj żołnierze wymieniają spojrzenia: porozumiewawcze, a równocześnie rozpaczliwe. Potem Desfosseux pyta, jak się sprawy mają, a porucznik, który właśnie wrócił z ryzykownego zwiadu pośród huku i wybuchów bomb – poprzedniego dokonał kapitan zaraz po świcie – zdaje raport: jeden zabity i trzech rannych w Cabezueli. W forcie Ludwika pięciu rannych, z tego dwóch blisko śmierci, jedno działo, szesnastka, zniszczone. Jak wygląda sytuacja na pozycjach nieprzyjacielskich, nie ma zielonego pojęcia.

– Jak sędzę – kończy – pokazują nam wała.

Desfosseux znów patrzy przez lunetę. Na drodze na mierzei, pomiędzy Puntales a miastem, dostrzega ruch wozów i pieszych. Na pewno wiozą zaopatrzenie na wyspę w licznej eskorcie. Może też ściągają posiłki. Podaje przyrząd Bertoldiemu, wskazując kierunek, a ten zamyka jedno oko, a do drugiego przykładają okular.

– Proszę do nich strzelać – mówi mu kapitan. – Będę wdzięczny.

– Wedle rozkazu!

Bertoldi oddaje lunetę i oddala się w kierunku dział dwudziestoczworofuntowych. Simon Desfosseux z rozmysłem nie używa w tym całym zamęcie – wydaje mu się on absurdalny, tak samo jak jego adiutantowi – cennych haubic Villantroya-Ruty’ego. Jak troskliwy rodzic odgradzający swoje dzieci od niebezpieczeństw i pułapek życia, kapitan nie używa w tym pojedynku artyleryjskim Fanfana i dziesięciocalowych haubic, którymi ostrzeliwuje Kadyks. Są to wspaniałe, delikatne specjalistyczne narzędzia, służące konkretnemu celowi powiększania zasięgu, węzeł po węzeł, aż do samego serca miasta, i nie wolno marnować ich lanego brązu, ich zalet ani żywotności – która w przypadku mechanizmów tego kalibru jest ograniczona, zawsze zagrożona ryzykiem pojawienia się niedostrzegalnej rysy lub minimalnej zmiany właściwości stopu – do zadań niezwiązanych z misją, do której zostały stworzone. Dlatego, kiedy tylko zaczęło się ogólne bombardowanie, sierżant Labiche i jego ludzie byli zajęci przede wszystkim wypełnianiem rozkazu Desfosseux wydanego na tego typu okoliczności: ułożyć więcej faszyny i koszy z ziemią wokół haubic i przykryć je grubą tkaniną dla ochrony przed kurzem, kamieniami i odłamkami. I za każdym razem, kiedy jakaś bomba spada w pobliżu, grożąc trafieniem w redutę i oderwaniem dział od lawet, kapitan czuje, jak ściska mu się serce z obawy, że któreś z nich mogłoby zostać uszkodzone. Pragnie, żeby skończyło się już to absurdalne, chaotyczne wzajemne bombardowanie, żeby życie oblegających i obleżonych powróciło do ustalonego rytmu i żeby mógł się zająć tą jedną rzeczą, jaka go interesuje: pokonać odległość tych dwustu węzłów, które – zgodnie z planem, jaki ma w swojej kwaterze – oddzielają punkty maksymalnego dotychczas zasięgu bomb zrzuconych na Kadyks – wieża Tavira i ulica Świętego Franciszka – od dzwonnicy kościoła na placu Świętego Antoniego.

## Rozdział IX

Szare, ołowiane niebo. Przyzwoita temperatura. O wieże obserwacyjne miasta jesień drze brudne chmury z zachodu.

– Mam problem – mówi Mulat.

– Ja też – odpowiada Gregorio Fumagal.

Przyglądają się sobie nawzajem w milczeniu, kalkulując wagę słów, które właśnie usłyszeli. Ich konsekwencje dla ich własnego bezpieczeństwa. Takie przynajmniej wrażenie odnosi Fumagal. Nie podoba mu się sposób, w jaki przemytnik się uśmiecha, zwracając twarz to w jedną, to w drugą stronę, zerkając na ludzi krążących pomiędzy straganami na placu San Juan de Dios. Z przewrotną, nieco ironiczną miną. Jeśli myślisz, że masz problemy, wydaje się mówić, poczekaj tylko, jak się dowiesz o moich.

– Niech pan mówi pierwszy – wreszcie odzywa się Mulat znużonym tonem.

– Dlaczego?

– Moja opowieść jest długa.

Znów milczenie.

– Gołębie – zaczyna nieufnie preparator.

– Co z nimi? – Mulat wydaje się zaskoczony. – Ostatnio przywiozłem panu trzy kosze po dwanaście ptaków. – Dyskretnym gestem wskazuje pobliską Bramę Morza i przeciwny brzeg zatoki.

– Gołębie rasy belgijskiej, jak zwykle. Tam też odchowane... Wydaje mi się, że powinny panu wystarczyć.

– Źle się panu wydaje. Do gołębnika zakradł się kot. Nie wiem jak, ale to zrobił. I bardzo był rozjuszony.

Przemytnik patrzy na Fumagala z niedowierzaniem.

– Kot?

– Tak. Tylko trzy zostały przy życiu.

– Co za kot... Prawdziwy patriota.

– To wcale nieśmieszne.

– Pewnie już go pan spreparował. Albo przygotowuje się pan do tego.

– Nie udało mi się go złapać.

Fumagal dostrzega, że Mulat przygląda mu się spod oka, jakby się zastanawiał, czy mówi poważnie. Idą razem kilka kroków, milcząc. On też się zastanawia. Jest późny poranek, okolica pomiędzy portem a Ratuszem rozbrzmiewa wieloma głosami, mieszają się tu akcenty z całego półwyspu, z posiadłości zamorskich i cudzoziemskie: słychać uchodźców o najróżniejszym statusie, mieszkanki Kadyksu z koszykami na rękach, jedzące maleńkie smażone krewetki z papierowych torebek, Maurów dzwigających wielkie kosze i paki, lokajów na codziennych zakupach, osobników z głowami nakrytymi kaszkietami, kapeluszami z wąskim lub szerokim rondem, w chustkach, w niebieskich i szarych marynarskich strojach.

– Nie rozumiem, dlaczego tutaj się spotykamy – odzywa się preparator rozdrażniony. – To niezbyt dyskretne miejsce.

– Wolałby pan, żebym przyszedł do pana?

– Jasne, że nie. Ale to miejsce...

Mulat wzrusza ramionami. Ubrany jest tak jak zazwyczaj: buty na słomie, koszula rozchełstana na piersi, rozpięte guziki przy nogawkach spodni, bez pończoch. W rękę niesie coś zawiniętego w gruby materiał. Jego niedbalstwo kontrastuje z kapeluszem i brązowym surdudem Fumagala.

– Biorąc pod uwagę, jak się sprawy mają, to najlepsze miejsce.

– Jakie sprawy? – Preparator odwraca się do przemytnika z niepokojem. – Co chce pan powiedzieć?

– Właśnie to. Sprawy.

Przez kilka następnych kroków Mulat nie dodaje nic więcej. Idzie swoim afrykańskim krokiem, miarowym i leniwym. Fumagal, skrępowany – zawsze nienawidził fizycznego kontaktu z innymi ludźmi – unika tłumów gromadzących się przy towarach. Śmierdzi oliwnym dymem na straganach ze smażonymi rybami, obok kiosków z dachami ze starych żagli, gdzie sprzedawane są owoce morza. Dalej, pod murami domów, stoją kramy z warzywami i mięsem, najczęściej wieprzowym, boczkiem, smalcem, z żywymi kurami i połciami wołowiny przywiezionej z Maroka. Wszystko to jest transportowane do miasta statkami i rozładowywane w porcie i na atlantyckich plażach na mierzei; w Kadyksie nie uprawia się ani piędzi ziemi, nie hoduje żadnych zwierząt. Nie ma miejsca.

– Mówił pan o jakimś problemie – odzywa się w końcu preparator.

Grube wargi Mulata wykrzywia nieprzyjemny grymas.

– Mam smród na ogonie.

– Przepraszam?

Mulat wskazuje na swoje plecy, w kierunku Bramy Morza, jakby tam coś było.

– Węszą za mną jak za złotym lisem.

Fumagal ścisza głos.

– Węszą? Co chce pan przez to powiedzieć?

– Chodzą za mną i wypyują.

– Kto taki?

Milczenie. Mulat zatrzymał się przed ladą, na której zbieleły oczy rybom, a głowy sardynek zabarwiły się wielokolorowo. Marszczy płaski nos, jakby chwycił ten zapach.

– Dlatego wolę tutaj się z panem widzieć – odzywa się w końcu.

– Tak jakbyśmy nie mieli nic do ukrycia.

– To szaleństwo! Może teraz pana śledzą?

Przemytnik pochyla głowę na bok, jakby rozważał taką możliwość, a potem całkiem spokojnie kiwa potakująco.

– Nie mówię, że nie. Ale mogliśmy się tu spotkać całkiem niewinnie. Zamówił pan u mnie jakieś zwierzę do swojej kolekcji, na przykład... Proszę popatrzeć. Przyniosłem panu amerykańską papugę, całkiem ładną.

Odwija tobołek i pokazuje jego zawartość tak, żeby zobaczyli to wszyscy niepowołani świadkowie: średni żółty dziób, jakieś piętnaście cali wysokości, trawiastozielone upierzenie z czerwonymi piórami po bokach. Według Fumagala, to zapewne amazonka czerwonolica znad Zatoki Meksykańskiej. Ładny egzemplarz.

– Zabita, tak jak pan lubi. Bez trucizny, która mogłaby coś zepsuć. Dziś rano wbiłem jej szpilę w serce albo gdzieś blisko.

Wkłada papugę z powrotem do tobołka i podaje go Fumagalowi. To prezent, dodaje. Tym razem nie żądam zapłaty. Preparator ukradkiem rozgląda się wokół. W tłumie nie widać nikogo podejrzanego, kto miałby ich śledzić. Nikogo, kto by na to wyglądał.

– Mógł mnie pan uprzedzić pisemnie – protestuje.

Mulat bezceremonialnie wykrzywia usta.

– Zapomina pan, że potrafię napisać własne imię i niewiele więcej... Poza tym ani mi w głowie zostawiać jakieś papiery. Nigdy nie wiadomo...

Teraz Fumagal spogląda w tył, tam gdzie targ zmienia się – w pobliżu Bramy Morza i zwężenia placu Boquete – w kiermasz, na którym sprzedaje się używaną odzież i przedmioty pochodzące ze statków, poszczerbioną porcelaną z Indii Wschodnich, gliniane i cynowe naczynia, przyrządy morskie i najróżniejsze świecidełka. Po drugiej stronie placu, przy wejściu do gospody mieszczącej się w narożnym domu przy ulicy Nueva, w której bywają właściciele magazynów i kapitanowie żeglugi handlowej, kilku dobrze ubranych mężczyzn przegląda gazety albo patrzy na przepływający tłum.

– Sprowadza pan na mnie niebezpieczeństwo.

Mulat mlaska językiem. Nie zgadza się.

– Jest pan w niebezpieczeństwie już od dawna. Ja również... Taki fach.

– A w jakim celu teraz mnie pan wezwał?

– Żeby panu powiedzieć, że mam już pilota.

– Co takiego?

– Znikam... Zostaje pan bez łącznika z drugą stroną.

Wielu kroków potrzebuje preparator, żeby przyswoić tę wiadomość. Nagle czuje nieprzyjemną pewność, że zawisła nad nim ciemna chmura. Niespodziewana, a przy tym niebezpieczna samotność. Choć ma surdut zapięty pod szyję, przechodzi go dreszcz.

– Nasi przyjaciele wiedzą o tym?

– Tak. I zgadzają się. Prosimi, żeby przekazać, że się z panem skontaktują... I żeby pan nadal informował, jeśli będzie mógł.

– A skąd wiedzą, że ja nie jestem śledzony?

– Nie wiedzą. W każdym razie, gdybym był na pańskim miejscu, spaliłbym wszystkie kompromitujące papiery. Na wszelki wypadek.

Fumagal szybko myśli, ale niełatwo jest oszacować ryzyko i prawdopodobieństwo. Zmierzyć własne siły na przyszłość. Do dziś Mulat był jego jedynym łącznikiem ze światem zewnętrznym. Bez niego staje się w dużym stopniu ślepy i niemy. Bez instrukcji i porzucony na łaskę losu.

– Rozważają taką możliwość, że ja też wyjadę z Kadyksu?

– Zostawiają to do pańskiego uznania. Choć jasne, że wolą, by trzymał się pan nawietrznej. Żeby został pan tu, dopóki się da.

Preparator zastanawia się, patrząc na Ratusz – powiewa nad nim czerwono-żółta bandera Królewskiej Floty, której teraz używają niemal wszyscy na lądzie. Oczywiście, może przejść w stan uśpienia. Spać jak niedźwiedź, nie kiwając nawet palcem, dopóki nie przyślą następnego łącznika. Zaszyć się gdzieś, dopóki wszystko nie wróci do normy. Pytanie tylko, jak długo to będzie trwać. I co zdarzy się do tego czasu w Kadyksie. Niewątpliwie nie jest jedynym agentem w mieście, co jednak dla niego nie ma żadnego znaczenia. Zawsze zachowywał się tak, jakby był jedynym.

– I sądzi pan, że zostanie?

Przemytnik znów mlaska językiem, obojętnie. Stoi przed straganem, gdzie leżą zamorskie ozdoby, mydła do golenia, zapałki, kieszonkowe lusterka i cała reszta taniego badziewia.

– To, co pan robi, to nie moja sprawa. Każdy ma swoje marzenia. A moje jest takie, żeby stąd zniknąć, zanim na mojej szyi znajdzie się żelazna obroża.

– Bez gołębi nie mogę się komunikować. Każdy inny sposób jest wolny i niebezpieczny.

– Postaram się je załatwić. Myślę, że nie będzie trudności.

– Kiedy zamierza pan wyjechać?

– Kiedy tylko będę mógł.

Opuszczając plac, mężczyźni zatrzymują się jeszcze na rogu ulicy Sopranis, pod Wieżą Miłosierdzia. Przed wejściem do Ratusza strażnik z miejskiej milicji, z bagnetem nasadzonym



na lufę karabinu, w okrągłym kapeluszu i białych sztylpach, opiera się o kolumnę pod jednym z łuków i z niezbyt marsową miną rozmawia z dwiema młodymi kobietami.

– No cóż – mówi Mulat. – Tu się żegnamy.

Z niezwykle uważą przygląda się preparatorowi, który nie ma pojęcia, o czym tamten może myśleć. Pewnie o tym, czym mogą być idee. O lojalności, licho wie wobec czego. Z punktu widzenia Mulata, praktycznego najemnika, pieniędzmi za to się nie zapłaci.

– Na pańskim miejscu wyjechałbym bez chwili zastanowienia – nagle dodaje przemysłnik. – Kadyks staje się miastem niebezpiecznym. Zna pan przysłowie: póty dzban wodę nosi... Najgorsze nie jest to, że człowieka mogą złapać wojskowi albo policja. Pamięta pan nicponia, którego tłum niedawno wykończył, ludzie stukli go jak ośmiornicę i powiesili za nogi.

Świeże wspomnienie powoduje suchość w ustach preparatora. Nieszczęsnego cudzoziemca rozwrzeszczany tłum oskarżył o to, że jest francuskim szpiegiem. Nie znalazł drogi ucieczki przed rozwścieczoną hałastrą i został załuczony kijami, a jego zwłoki wystawiono przed Kapucynami. Nikt nawet nie znał jego nazwiska.

Mulat teraz milczy. Półuśmiech, który wykrzywia jego usta, nie jest bezczelny, jak zazwyczaj. Raczej zamyślony. Albo zaciekawiony.

– Sam pan zobaczy, co robić. Ale jeśli chce pan znać moje zdanie, zbyt długo kusi pan los.

– Niech im pan powie, że na razie będę tutaj.

Pierwszy raz, odkąd się znają, przemysłnik patrzy na Fumagala jakby z szacunkiem.

– No dobrze – kończy. – Nadstawia pan własny kark.

Uroczyście, to właściwe słowo. Za stołem prezydenckim, z dwoma niewzruszonymi żołnierzami Straży Przybocznej po obu stronach, znad pustego fotela młody Ferdynand VII przewodniczy zgromadzeniu – z niepokojącą niechęcią na twarzy, odnosi wrażenie Lolita Palma – z obrazu wiszącego pod baldachimem w sali modlitewnej kościoła Świętego Filipa Neri, pomiędzy jońskimi kolumnami z gipsu i złoczonego kartonu. Ołtarz główny i ołtarze boczne są przykryte woalem. Na dwóch ustawionych amfiteatralnie trybunach otoczonych dwoma półkolami ławek i sof kolejno przemawiają deputowani. Jedni ubrani są w jedwab, inni w płótno, po stroju cywilnym następuje sutanna, raz ubranie jest modne, to znów krój pochodzi z dawnych czasów, dominują czerń i szarość, kolory odpowiednie dla szacownych osób, które reprezentują na Zgromadzeniu Konstytucyjnym w Kadyksie Hiszpanię metropolitalną i zamorską.

Lolita Palma po raz pierwszy uczestniczy w sesji. Jest w ciemnofioletowej sukni, w cienkim kaszmirowym szalu, na głowie ma angielski kapelusz z małym rondem opuszczonym po bokach twarzy i przywiązany wstążką pod brodą. Ma czarny chiński wachlarz z malowanym kwiecistym wzorem. Zazwyczaj do sali nie są wpuszczane kobiety, dziś jednak jest wyjątkowy dzień, a dodatkowo została zaproszona przez zaprzyjaźnionych posłów – Fernandez Cuchillero z Ameryki i Pepina Queipo de Liano, hrabiego Toreno. Jest wzruszona uroczystym entuzjazmem, jaki wszystkiemu towarzyszy, żywym tonem zabierających głos i powagą, z jaką przewodniczący prowadzi obrady. Mówcy odnoszą się nie tylko do tekstu konstytucji, nad którym pracuje zgromadzenie, ale także do wojny i innych tematów dotyczących władzy, bo Kortezy są – lub starają się być – przedstawicielstwem nieobecnego króla i przewodnikiem narodu. Dziś trwa dyskusja o swobodzie handlu, jakiej domaga się korona brytyjska w portach obu Ameryk. Dlatego właśnie Lolita zdecydowała się przyjąć zaproszenie i zaspokoić nieco swą ciekawość, poza tym sprawa dotyczy jej bezpośrednio. Towarzyszą jej, pośród innych znajomych z handlowego środowiska Kadyksu, panowie Sanchez Guinea, ojciec i syn. Wszyscy zajmują miejsca na trybunie dla gości, naprzeciwko korpusu dyplomatycznego, wśród którego znajdują się ambasador Wellesley, minister pełnomocny Obojga Sycylii, ambasador Portugalii i arcybiskup Nicei, nuncjusz papieski. Na górnych galeriach, przeznaczonych dla zwykłych ludzi, nie ma zbyt licznej publiczności:

najwyższa jest pusta, a w głównej siedzi około trzydziestu osób, w większości to plebs bez zajęcia, jest też trochę ciekawskich spoza miasta oraz redaktorzy gazet, uważni, notujący przy użyciu nowoczesnej metody stenograficznej wszystko, co się mówi.

Jedną sprawą jest lojalność należna w dobrej wierze aliantom, a zupełnie inną – ślepe uleganie obcym interesom handlowym, słyszy się w sali. W tej chwili głos zabiera poseł z Walencji, Lorenzo Villanueva – Miguel Sanchez Guinea podaje Lolicie te nazwiska, których ona nie zna – duchowny o umiarkowanie reformistycznych poglądach, krótkowzroczny, o dobrych manierach. Podziela on obawę, wyrażoną wcześniej przez jego kolegę, pana Arguellesa, przed swobodą przemytu, jaką w zamian za pomoc udzieloną Hiszpanii w wojnie przeciw Napoleonowi i pod pretekstem współpracy przy pacyfikacji zbuntowanych prowincji południowoamerykańskich praktykuje Anglia już od dawna w portach całego kontynentu. Villanueva lęka się też, że umowy handlowe, których zawarcia domaga się Anglia, zaszkodzą w sposób nieodwracalny hiszpańskim interesom zamorskim. I tak dalej.

Lolita, uważnie słuchając, stwierdza, że w zgromadzeniu jest wielu duchownych i że liczni spośród nich, pomimo przynależności do Kościoła, są zwolennikami suwerennej władzy narodu, a nie królewskiego absolutyzmu. Cały Kadyks zaś wie, że poza bardzo ograniczoną liczbą rzeczników obu opcji – radykalnych reformistów z jednej strony i nieprzejednanych rojalistów z drugiej – większość deputowanych zajmuje elastyczne stanowisko, w zależności od poruszanych tematów pojawiają się rozmaite postawy, często nie całkiem spójne, a czasem zawierające wyraźne paradoksy ideologiczne. Generalnie deputowani sprzyjają reformom, mimo iż wywodzą się z kręgów katolickich i monarchistycznych. Z drugiej strony, w liberalnej atmosferze właściwej Kadyksowi zwolennicy suwerenności narodu cieszą się większą sympatią niż obrońcy królewskiej władzy absolutnej. Pozwala to tym pierwszym – dodatkowo zazwyczaj bardziej błyskotliwym mówcom – z łatwością narzucić swój punkt widzenia i stawia ich przeciwników pod presją opinii publicznej w mieście zradykalizowanym z powodu wojny, w którym lud może w sposób niekontrolowany przekształcić się w niebezpieczny motłoch.

Z tego też powodu pewne delikatne tematy omawiane są na sesjach, bez udziału publiczności. Lolita wie, że postępowanie Anglików w Ameryce Południowej jest jednym z problemów, które, roztrząsa się za zamkniętymi drzwiami. Przez to rodzą się pogłoski i niepokoje, które dziś próbuje się – z polityczną zręcznością – ukrócić na tym właśnie posiedzeniu otwartym. Wszystko jednak okazuje się bardziej dyskusyjne, niż przewidywano. Głos właśnie zabrał hrabia Toreno i przywołuje afisz rozwieszony na wielu murach w mieście, który głosi: *Ruina obu Ameryk spowodowana przez wolny handel z cudzoziemcami*. Mówca krytykuje swobody przyznane angielskim kupcom i statkom oraz atakuje południowoamerykańskich posłów obecnych w Kortezach, którzy domagają się otwarcia wszystkich portów i wolnego handlu. Natomiast hiszpańskie miasta, które byłyby głównymi poszkodowanymi, powinny dać o sobie znać, mówi. Ich interesy są całkiem odmienne.

– Mają prawo – kończy młodzieniec, podnosząc w górę afisz.

– Bo nasz handel zapłaci, tak jak płaci już teraz, trudną do wytrzymania cenę za nasze ustępstwa w Ameryce.

Jego słowa wywołują oklaski publiczności na galerii oraz licznych gości. Lolita też ma ochotę klaskać, lecz powstrzymuje się i zaraz gratuluje sobie przezorności, bo przewodniczący dzwonkiem przywołuje publiczność do porządku i grozi, że każe opróżnić galerie.

– Popatrz na minę sir Henry’ego – szepce Miguel Sanchez Guinea.

Lolita obserwuje angielskiego ambasadora. Wellesley siedzi nieruchomo na swoim miejscu, jego bokobrody giną pod kołnierzem kurtki z zielonego aksamitu, głowę pochyla w kierunku tłumacza, po cichu przekładającego te słowa, których ambasador nie zrozumiał. Ma skwaszoną minę, tak jak zazwyczaj, choć tym razem akurat zasadnie, uważa Lolita. Nie może

mu być w smak opór ze strony aliantów, których część konserwatywna, przeciwna reformom politycznym i idei odrodzenia patriotycznego, milczeniem niweczy wszystkie jego wysiłki i marnuje złoto pochodzące od jego rządu. Bojkot Londynu wobec każdej inicjatywy Korteżów, która miałyby wzmocnić narodową suwerenność Hiszpanii, jej wpływy za granicą albo kontrolę nad rewoltą południowoamerykańską, graniczy często z bezczelnością.

– Wszystkich nie mógł kupić.

Teraz głos zabierają posłowie zamorscy, a wśród nich Jorge Fernandez Cuchillero. Lolita, która nigdy nie widziała, jak jej przyjaciel występuje publicznie, z zainteresowaniem śledzi jego wywód. Eloquentnie broni on pilnej potrzeby zmiany systemu handlu w Ameryce z trzech powodów: by zadowolić brytyjskich aliantów, dać satysfakcję ludziom, którzy domagają się szybkich reform w prowincjach zamorskich, oraz dostarczyć argumentów tym, którzy – lojalni wobec Hiszpanii – sprzeciwiają się tam niepodległościowemu powstaniu. Dlatego jest konieczne, dodaje, zniesienie pewnych praw dotyczących kolonii, nie do pogodzenia ze swobodami będącymi nakazem czasów.

– Jeśli te Kortezy – dodaje Argentyńczyk – proklamują zasadę równości pomiędzy Hiszpanami europejskimi i amerykańskimi, wyniknie pewna oczywistość: jeśli Europejczykom zezwala się na swobodny handel z Anglią, powinno się zezwolić na to samo Amerykanom... Chodzi bowiem, szanowni państwo, o uznanie za prawo tego, co jest już tam praktyką codzienną, choć ukrywaną.

Głos zabiera, pragnąc poprzeć swojego przedmówcę, kolejny poseł z Ameryki, reprezentant wicekrólestwa Nowej Grenady Jose Mexia Lequerica – przystojny, wykształcony i bystry, najwyraźniej mason – który kreśli ponury obraz, wskazując, że sztywne stanowisko metropolii wobec interesów amerykańskich podsycia nastroje wojenne, żywe zarówno w jego okolicach, jak i nad La Platą, w Wenezueli czy Meksyku, gdzie uwięzienie zbuntowanego księdza Hidalgo – w Kadyksie spodziewana jest każdego dnia wiadomość o jego egzekucji – nie gwarantuje, jego zdaniem, zakończenia rozruchów. Bynajmniej.

– Środkiem mogącym zapobiec rozerwaniu tego związku lub go opóźnić – kończy – jest poluzowanie łańcucha, a nie naciąganie go tak mocno, żeby się zerwał.

– A my sobie możemy zdechnąć – mruczy pod nosem zirytowany Miguel Sanchez Guinea.

Lolita Palma wachluje się, bardzo zainteresowana, uważna na każde słowo debaty. Jej zdaniem to naturalne, że Fernandez Cuchillero, Mexia Lequerica i inni posłowie z Ameryki ciągną kołdrę w swoją stronę. Jak i to, że deputowani przeciwni lub niechętni narodowej suwerenności bezwarunkowo popierają Anglików, w których widzą gwarancję władzy królewskiej i religijnej w czasie rewolucyjnych zamieszek. Jednak wie, że z punktu widzenia interesów Kadyksu Miguel Sanchez Guinea ma rację: równość handlowa zrujnuje hiszpańskie porty na półwyspie. Zastanawia się nad tym, słuchając innego deputowanego, Aragończyka Mañasa, który zabiera głos po to, by zapytać, czy owe propozycje obejmują także wolny dostęp Anglików do handlu z całą Ameryką i Filipinami, przypominając przy okazji, że chiński jedwab może stanowić konkurencję dla jedwabiu z Walencji, mimo że ten jest dużo lepszej jakości. O głos prosi Fernandez Cuchillero i z całym tupetem przypomina raz jeszcze, że Anglicy i północni Amerykanie już tam są, handlują po kryjomu od dawna.

– Chodzi tylko o to – podsumowuje – żeby nadać istniejącemu przemysłowi charakter legalnej działalności. Uprawomocnić to, co nieuniknione.

Argentyńczyka popierają w dalszych wystąpieniach kolejni deputowani zza oceanu i kataloński konserwatysta Capmany, który uważany jest w Korteżach za nieoficjalnego rzecznika angielskiego ambasadora. Sugeruje on, że można byłoby zezwolić Anglii na handel z Amerykami tylko przez określony czas, na co odpowiada Mañas, spoglądając znacząco w kierunku trybuny dyplomatycznej, że sformułowanie „określony czas” jest niezrozumiałe dla Anglików. Weźmy na przykład Gibraltar, nie szukając daleko. Albo wspomnijmy Minorę.

– Nasz handel – stwierdza kategorycznie – nasz przemysł, nasza flota handlowa nigdy nie staną z powrotem na nogi, jeśli zezwoli się cudzoziemcom przewozić towary ich własnymi statkami do naszych posiadłości w Amerykach i w Azji... Każde ustępstwo w tym względzie jest gwoździem do trumny hiszpańskich portów... Zapamiętajcie państwo moje słowa: miasta takie jak Kadyks zostaną wytarte z mapy.

Rozlegają się oklaski – tym razem Lolita Palma nie może się powstrzymać i przyłącza się do innych – a Mañas dodaje, że istnieją listy z Montevideo stanowiące dowód, że Anglia udziela poparcia powstańcom w Buenos Aires – słysząc to, ambasador Wellesley zaczyna kręcić się zirytowany na swoim miejscu – że w Veracruz Anglicy domagają się ładunku pięciu milionów peso bitych w meksykańskim srebrze i że – czy jest wojna przeciwko Napoleonowi, czy jej nie ma – brytyjski rząd robi wszystko, co możliwe, by doprowadzić do oderwania się od metropolii hiszpańskich posiadłości zamorskich, bo zamierza kontrolować tamtejsze rynki. Wreszcie, przy pomrukach „tak, właśnie tak” i „nie, wcale nie”, Aragończyk kończy swoją wypowiedź, określając całą sprawę jako niedopuszczalny szantaż, które to słowo wzbudza poruszenie w poselskich ławach i wśród publiczności, sytuacja ociera się o skandal, kiedy angielski ambasador arogancko wstaje i wychodzi. Wszystko kończy dzwonek przewodniczącego, który przerywa sesję, ogłasza przerwę i zapowiada, że kolejne posiedzenie odbywać się będzie przy drzwiach zamkniętych. Publiczność i deputowani wychodzą, głośno rozprawiając, a strażnicy zamykają drzwi.

Na ulicy liczne grupki żywo komentują przebieg debaty. Lolita z obydwoma panami Sanchez Guinea dołącza do Fernandez Cuchillero, stojącego wraz z pochodzącym z Quito Mexią Lequericą w towarzystwie innych posłów z Ameryki. Wszyscy opowiadają się za tym, co zostało powiedziane podczas debaty, albo przeciw temu.

– Pański nowy system doprowadziłby nas do ruiny. – Miguel Sanchez Guinea bojowo wali prosto z mostu Argentyńczykowi.

– Jeśli nasi rodacy z Ameryki będą mogli bezpośrednio zawijać do zagranicznych portów, my, hiszpańscy kupcy, nie będziemy w stanie konkurować z ich cenami. Czy pan zdaje sobie z tego sprawę? Zmuszeni byłibyśmy do ryzykownych i bardzo kosztownych manewrów... Propozycja pańska i pańskich kolegów to dobitnie naszego handlu, koniec niewielkiej floty handlowej, która nam została, ostateczna ruina Hiszpanii pogrążonej w wojnie, bez przemysłu i rolnictwa.

Fernandez Cuchillero energicznie protestuje. Lolita Palma z trudem rozpoznaje w nim uprzejmego młodzieńca, niemal nieśmiałego, jakim go znała ze spotkań u niej w domu. Teraz nabrał pełnej godności pewności siebie. Niezwykłej powagi. Determinacji.

– To nie jest moja propozycja – odpowiada. – Rozmawiają panowie z człowiekiem, który choć urodził się nad La Plata, pozostaje lojalny wobec hiszpańskiej Korony. Jak państwo wiedzą, nie popieram powstania w Buenos Aires... Jednak to czasy i historia zdecydowały. Ameryka hiszpańska ma swoje potrzeby i nie widzi możliwości ich zaspokojenia. Mieszkańcy tamtych ziem domagają się prawa do swobody inwestowania, biedni chcą wydostać się z nędzy. Jesteśmy jednak skrepowani stworzonym na półwyspie systemem, który jest już archaiczny.

Ulica Santa Ines jest pełna ludzi, którzy dyskutują o tym, co się wydarzyło podczas sesji, przechodzą od jednej grupki do drugiej, odwiedzają pobliską gospodę, gdzie niektórzy deputowani spożywają lekki posiłek. Grupa otaczająca Amerykanów nadal stoi przed schodami prowadzącymi do sali obrad. Jest najliczniejsza i składa się głównie z miejscowych kupców. Na ich twarzach widać niepokój, czasem otwartą wrogość. Sama Lolita nie czuje specjalnej sympatii do opinii, jakich wysłuchała tego ranka na temat Anglików i handlu, a sprawa w dużym stopniu dotyczy także jej. Gra się toczy również o przyszłość firmy Palma i Synowie.

– Wam po prostu chodzi o to, żeby przestać płacić podatki – ktoś stwierdza. – Zachować cały zysk.

Spokojnie, z ręką w kieszeni surduta, Fernandez Cuchillero odwraca się w stronę człowieka, który to powiedział.

– W każdym razie wszystko byłoby zgodne z prawem – odpowiada. – Tak się stało w trzynastu angielskich koloniach Ameryki Północnej. Każdy stara się poprawić swoją sytuację zgodnie z własnymi interesami, a nieustępliwość jest złym doradcą... I nie oszukujcie się państwo. Przyszłość i tak nadejdzie. Jest nie bez znaczenia, że niektóre z lojalnych władz amerykańskich, dawniej uznające się za hiszpańskie i protestujące z powodu zbyt skromnego przedstawicielstwa w tutejszych Kortezach, teraz same nazywają się koloniami. Stąd do domagania się niepodległości już tylko mały krok. Państwo jednak, jak się zdaje, nie mają świadomości tego procesu... Region, z którego pochodzę, jest dobrym przykładem. Tutaj słyszę tylko o odzyskaniu Buenos Aires, nie widzę żadnej chęci wysłuchania racji powstańców.

– Ale są tacy, którzy pozostają lojalni, mój panie. Na przykład Kuba, Wicekrólestwo Peru i wiele innych.

Teraz głos zabiera Jose Mexia Lequerica. Lolita Palma zna go, ponieważ oboje interesują się botaniką. Spotkali się kilkakrotnie u magistra Cabrery, w ogrodzie Towarzystwa Chirurgicznego i w księgarniach przy placu Świętego Augustyna. Cieszący się sławą filozofa we francuskim stylu, zwolennik równości między mieszkańcami półwyspu i Ameryki, poseł mieszka na ulicy Ahumada – wie o tym całe miasto – i żyje z Gertrudis Salanová, piękną kobietą, która nie jest jego żoną. Lolita widziała, jak spacerowali pod rękę, bez żadnych zahamowań, po placu Świętego Antoniego i po Alamedzie. W związku z politycznym znaczeniem jej bohatera sprawa ta jest pożywką dla pikantnych komentarzy w trakcie spotkań towarzyskich w Kadyksie.

– Nie oszukujcie się państwo – mówi Mexia swoim miękkim akcentem z Quito. – Na razie w Ameryce wielu ludzi powstrzymuje strach przez rewolucją Indian i czarnych niewolników. Widzą w praworządnej monarchii hiszpańskiej gwarancję porządku... Jednak kiedy poczują się dość silni, by sami rozwiązać tamtejsze problemy, wszystko się zmieni.

– Potrzeba silnej ręki, to wszystko – kolejny głos włącza się do rozmowy – należy zmusić powstańców do poddania się prawowitej władzy... Wykorzystywanie francuskiej inwazji i uwięzienia króla do proklamowania własnej niepodległości to nielojalność i hańba!

– Przepraszam, ale nie – mówi Amerykanin. – To jest okazja. Chaos, który panuje w Hiszpanii, tylko ułatwia sprawy... Nawet tutaj nie ma zgody co do sposobu, w jaki należy prowadzić tę wojnę, a nasi generałowie, Regencja i sztaby wzajemnie depczą sobie po ostrogach.

Ogólna cisza. Kłopotliwa. Lolita widzi, jak przeciwnicy patrzą na siebie. Sam Mexia jest chyba świadomy, że się zagalopował: kiwa dłonią w powietrzu, jakby chciał wymazać swoje ostatnie słowa.

– I to mówicie wy, panowie, deputowani do Korteżów – stwierdza z goryczą w głosie Miguel Sanchez Guinea.

Amerykanin odwraca się do niego, a ojciec lekko uderza syna po ramieniu, żeby nie wdawał się w dalszą dyskusję.

– Właśnie dlatego mówimy, proszę pana – odpowiada Amerykanin z pewną wyniosłością. – Bo historia osądzi nas kiedyś.

Ktoś z tej grupki podnosi głos. Lolita zna owego człowieka. Nazywa się Ignacio Vizcaino i jest dostawcą skór zrujnowanym wskutek powstania w La Placie.

– To wszystko spisek z Anglikami, żeby usunąć nas z Ameryki!

Mexia uśmiecha się pogardliwie, odwracając się plecami, jakby te słowa nie zasługiwały na odpowiedź. Ale Jorge Fernandez Cuchillero zwraca się do oburzonego mężczyzny.

– Nawet nie – tłumaczy spokojnie. – Właściwie tylko nieliczni chcieliby posunąć się tak daleko. To po prostu brak systemu... Staroświecka administracja, nieudolna i nadszarpnięta z powodu wojny, poniosła klęskę, przez co grozi nam zerwanie więzów braterstwa, jakie powinny łączyć Hiszpanów z obydwu światów.

Mężczyzna świdruje wzrokiem swojego przedmówcę.

– Śmie pan jeszcze nazywać siebie Hiszpanem?

– Oczywiście! Dlatego ciągle jestem tu w Kadyksie, wraz z towarzyszami, jako przedstawiciel mojej podwójnej ojczyzny. Dlatego pracuję nad konstytucją, która będzie korzystna dla ludzi po obu stronach oceanu, która uczyni ich wolnymi i tu, i tam. Która ograniczy przywileje leniwej arystokracji, nieudolnej administracji i kleru, zbyt licznej i często niedouczzonej. Dlatego z przyjemnością rozmawiam z państwem... Staram się wytłumaczyć, że rozerwanie tych więzów byłoby nieodwracalne.

Drzwi sali u Świętego Filipa Neri otwierają się, co zapowiada kontynuację obrad, tym razem bez publiczności na trybunach. Miguel Sanchez Guinea unosi palec, zdecydowany wyrazić swoją opinię, zanim odejdą deputowani zza Atlantyku, jednak suchy odgłos wybuchu, gdzieś w pobliżu, wprawia w drżenie ziemię i budynki, przerywając rozmowy. Tak jak wszyscy, Lolita odwraca się w kierunku wieży Tavira. Nieco dalej nad budynkami wznoszą się kłęby pyłu w kolorze ochry.

– Spadła całkiem blisko – mówi dostawca skór.

Grupki rozchodzą się, wszyscy próbują unikać środka ulicy, pospiesznie szukają schronienia pod ścianami najbliższych domów. Ktoś komentuje, że bomba spadła na ulicę Vestuario i zburzyła cały budynek. Przyspieszając kroku, Lolita odchodzi w przeciwnym kierunku, prowadzona pod rękę przez don Emilia Sancheza Guineę, w eskorcie Miguela. Spogląda za siebie i widzi, jak posłowie, z godnością i nie tracąc dobrych manier, kierują się ze świadomą powolnością ku schodom wiodącym do wejścia.

– Wydaje mi się, że powinien pan zejść na chwilkę, komisarzu.

Rogelio Tizón odkłada na stół papiery, które właśnie czytał, i patrzy na swojego pomocnika: sześć stóp pełnego szacunku ciała, stojące w progu.

– Co tam?

– Numer osiem. Może pana zainteresować to, co mówi.

Komisarz do spraw włóczęgów, próżniaków i ulic podnosi się z miejsca i wychodzi na korytarz, gdzie Szafot odsuwa się usłużnie, żeby puścić go przodem. Ruszają w tym szyku po skrzypiącej drewnianej podłodze ku schodom pod zakurzonym świetlikiem wychodzącym na ulicę Mirador. Są to schody kręcone, a ich spiralna konstrukcja tonie w podziemiach, gdzie mieszczą się więzienne lochy. Kiedy docierają na dół, Tizón, nieswój, zapina guziki surduta. Powietrze jest wilgotne i chłodne. Światło, docierające przez dwa wąskie, umieszczone wysoko zakratowane otwory strzelnicze, jest zbyt słabe, by zniknęło poczucie zamknięcia. Bardzo nieprzyjemne.

– Co powiedział?

– Przyznaje się do wyjazdów, panie komisarzu. Jest coś jeszcze.

– Coś ważnego?

– Być może.

Tizón kręci głową sceptycznie. Dla Szafota, tego tępego i pozbawionego wyobraźni psa, zawsze dwa i dwa to cztery, co stanowi gwarancję, że polecenia wypełni co do joty, jednak zakłada też spore ograniczenia. Pomocnik nie jest orłem w ustalaniu, co jest ważne, a co nie. Ale nigdy nic nie wiadomo...

– Długo z nim rozmawiacie?

– Od blisko dwóch godzin.

– Do diabła... Wytrzymały gość.

– Zaczyna mięknąć.

– Mam nadzieję, że z nim uda się wam nie przesadzić, jak z tym z ulicy Juan de Andas... Jeśli to się powtórzy, i ty, i twoi kumple skończycie, tłukąc kamienie w kryminale w Ceucie. Przyrzekam!

– Niech się pan nie martwi, komisarzu. – Szafot spuszcza głowę ponuro, jak wielki pies, wierny i obity. – Na tym stole wolno idzie, ale nie ma problemów.

– Tym lepiej dla ciebie.

Idą wąskim korytarzem z celami, których drewniane drzwi, poza celą numer osiem, są pozamykane i zabezpieczone wielkimi kłódkami, i wchodzi do sporej pustej sali, a siedzący w środku na taborecie strażnik wstaje, zaskoczony widokiem komisarza. Idą dalej, a ich kroki rozbrzmiewają teraz w wąskim przejściu z brudnymi i porysowanymi ścianami. Na jego końcu znajdują się drzwi, które Szafot otwiera z gorliwą usłużnością, i Rogelio Tizón wchodzi do pokoju pozbawionego okien i umeblowanego stołem i dwoma krzesłami, oświetlonego łożowym kagankiem, wiszącym pod sufitem. W kącie stoi wiadro pełne brudnej wody i leży szmata.

– Zostaw otwarte drzwi, niech się tu przewietrzy.

Człowiek w samych gaciach leży na plecach na blacie stołu w taki sposób, że nerki znajdują się na rancie. Nagi tułów opada luźno, wygięty do tyłu. Głowa wisi dwie piędzi nad ziemią. Więzień ma ręce spięte na plecach metalowymi kajdanami i zajmuje się nim dwóch masywnych zbirów. Jeden, siedząc na stole, trzyma go za nogi. Drugi stoi, nadzorując operację. Powinni to zobaczyć panowie deputowani do Korteżów, myśli sobie Tizón, krzywo uśmiechając się w duchu. Ze swoim *habeas corpus* i podobnymi bzdurami. Zaletą stołu jest to, że nie zostawia śladów. W tej pozycji przesłuchiwany sam się dusi. Po pewnym czasie jego płuca są wyczerpane, nerki zmasakrowane, a krew napływa mu do głowy. Na koniec stawiasz człowieka do pionu i wygląda jak malowany. Czyściutko.

– Co mamy nowego?

– Przyznaje się do kontaktów z Francuzami – mówi Szafot. – Do podróży do El Puerto de Santa Maria, do Roty i Sanlucar. Raz popłynął do Jerezu, żeby spotkać się z wyższym oficerem.

– Po co?

– Żeby poinformować o sytuacji tutaj. Woził też jakieś paczki i kartki z wiadomościami.

– Od kogo? Dla kogo?

Pauza. Zbiry i pomocnik Tizona wymieniają niespokojne spojrzenia.

– Tego jeszcze nie ustaliliśmy, panie komisarzu – ostrożnie wyjaśnia Szafot. – Ale pracujemy nad tym.

Tizón przygląda się więźniowi. Murzyńskie rysy jego twarzy są ściągnięte bólem, a przymknięte powieki odsłaniają tylko białka oczu. Mulata złapano wczoraj w Puerto Piojo, kiedy stawał żagle, żeby przedostać się na drugi brzeg. Z całym bagażem, najwyraźniej nie zamierzał wracać.

– Ma wspólników w Kadyksie?

– Na pewno – potakuje Szafot z przekonaniem. – Ale jeszcze nie wyciągnęliśmy od niego nazwisk.

– Coś takiego. Widzę, że to twardy typ.

Tizón podchodzi do więźnia, przykuca w ten sposób, że znajduje się obok jego głowy. Przygląda się skręconym włosom, płaskiemu nosowi, rzadkiemu zarostowi na twarzy. Skóra wygląda na brudną i tłustą. Usta Mulata są szeroko otwarte, jak u łapiącej powietrze ryby wyjętej z wody, głucho dźwięczy oddech, przerywany i ciężki, słychać charkot duszenia, spowodowanego pozycją ciała. Na ziemi widać mokrą plamę, Tizón czuje unoszący się od niej kwaśny zapach świeżych wymiocin. Szafot był na tyle uprzejmy, żeby je zetrzeć, zanim poszedł po niego.

– Mówiłeś, że coś z tego może mnie zainteresować?

Pomocnik podchodzi, wcześniej rzuciwszy kolejne spojrzenie na zbirów. Ten na stole nadal trzyma więźnia za nogi.

– Powiedział kilka rzeczy... Znaczy, wyciągnęliśmy je z niego. Chodzi o gołębie.

– Gołębie?

– Na to wygląda.

– Takie, co latają?

– Innych nie znam, panie komisarzu.

– I co z nimi?

– Gołębie i bomby. Sądzę, że chodzi o gołębie pocztowe.

Tizón podnosi się wolno. Przez głowę przebiega mu niejasna myśl. Ma jakieś nieokreślone przeczucie. Ulotne.

– I?

– No bo w pewnej chwili powiedział: „Zapytajcie tego, który wie, gdzie spadają bomby”.

– A kto to taki?

– Nad tym pracujemy.

Myśl przypomina teraz ów długi, ciemny korytarz za wpółotwartymi drzwiami. Tizón robi dwa kroki w tył, odchodzi od stołu bardzo ostrożnie, bo ma wrażenie, że gwałtowny, niewłaściwy ruch mógłby zatrzaskać tę szparę.

– Posadźcie go na krzesło – rozkazuje.

Z pomocą Szafota oprawcy stawiają do pionu więźnia, który wydaje przy tym okrzyk bólu. Tizón zauważa, że więzień ciągle zamyka i otwiera oczy, oszołomiony, jakby się budził z transu, podczas kiedy ciągną go, powłóczącego nogami po ziemi. Kiedy go sadzają, dalej z rękami spiętymi na plecach, obaj kaci stają po jego bokach, a Tizón przysuwa drugie krzesło, odwraca je i siada, skrzyżowane ręce spoczywają na oparciu.

– Ułatwię ci sprawę, Mulacie. Tym, którzy kolaborują z wrogiem, skręca się kark zgodnie z prawem... Czyli twoja sytuacja jest jasna.

Milknie na chwilę, dając więźniowi czas na przyzwyczajenie się do nowej pozycji i na odpłynięcie krwi z głowy. Na to, żeby zrozumiał słowa, które właśnie usłyszał.

– Możesz współpracować – dodaje w końcu – być może uda ci się ocalić głowę.

Więzień zanosí się przeraźliwym kaszlem. Jeszcze się dusi. Kropelki jego śliny docierają do kolan Tizona, który siedzi bez ruchu.

– Być może?

Ma niski głos, co jest właściwe dla jego rasy. Ciekawa rzecz z jego skórą, myśli Tizón. Murzyn o białej skórze. Jakby zmyto mu kolor mydłem i szczotką.

– Tak powiedziałem.

Pogardliwa błyskawica w spojrzeniu więźnia. Ten twarzą wnioskując komisarz, nie ma jeszcze dosyć. Ale już lepsze to, niż przeholować. Nie chce mieć na karku generalnego intendenta ani gubernatora.

– Swojej matce możesz pan to mówić – odszczekuje się Mulat.

Tizón wymierza mu policzek. Mocny, twardy i skuteczny, otwartą ręką ze złączonymi palcami. Czeką trzy sekundy i wymierza następny. Brzmią jak uderzenia biczem.

– Zamknij się.

Smark zwisa z jednej szerokiej dziurki w nosie Mulata. Który ma dość hartu, żeby wykrzywić słabo usta. W grymasie hardym, bezczelnym, który miał być uśmiechem i został chybiony tylko o włos.

– Ja już jestem po tamtej stronie, komisarzu. Może się pan nie męczyć, mnie też niech pan nie męczy.



– Właśnie w tym rzecz – przyznaje Tizón. – Żebyśmy się jak najmniej męczyli... Układ jest taki, że ty mi poopowiadasz, a my ci damy spokój aż do czasu, kiedy sędzia każe ci przetrącić kark.

– Sędzia, no proszę. Co za luksusy.

Kolejny policzek, suchy jak wystrzał. Szafot robi krok do przodu, też gotów wkroczyć do akcji, ale Tizón zatrzymuje go gestem. Bardzo dobrze sam daje sobie radę. Jak ryba w wodzie.

– Wszystko z ciebie wyciągniemy, Mulacie. Nie spieszy się, jak widzisz. Ale mogę ci coś zaproponować. Co do mnie, gotów jestem skrócić formalności... Bomby i gołębie... Wiesz, o co mi chodzi?

Więzień milczy, patrząc niezdecydowanie. Skończyła się zabawa. Tizón zna swój fach i dobrze wie, że nie policzki spowodowały zmianę. To był tylko efektowny trik, jakie stosują marni toreadorzy. Prawdziwa sztuka polega na czymś innym. W takich sprawach odkrycie kilku kart ma cudowną moc sprawczą, zależy tylko, kto, komu i co pokazuje. I nie ma pewniejszej karty dla kogoś średnio choćby przytomnego, jak spojrzeć mu prosto w twarz.

– Kim jest ten, kto według ciebie wie, gdzie spadają bomby? I skąd wie?

Kolejna pauza. Bardzo długa pauza, ale Tizón jest cierpliwym zawodowcem. Mulat patrzy z namysłem na stół, potem na komisarza. To oczywiste, że zastanawia się, jak wykorzystać ów krótki czas, jaki mu jeszcze pozostał. Kalkuluje.

– Bo zajmuje się – mówi w końcu – sprawdzaniem, gdzie spadają, i o tym informuje... I on prowadzi rachunki.

Tizón nie chce zepsuć niczego, co jest możliwe albo prawdopodobne. Nie chce też robić sobie zbyt dużych złudzeń. Nie w tej sprawie. Ton jego głosu jest tak ostrożny, jakby dobierał słowa z cienkiego szkła.

– Czy wie też, gdzie spadną? Czy to przewiduje?

– Nie wiem. Może.

Zbyt piękne, żeby było prawdziwe, myśli komisarz. Jeden ślepy strzał, na dodatek z obcego pistoletu. To tylko dym, zapewne. Profesor Barrull niewątpliwie roześmiałby się w głos i uciekł stąd wielkimi susami, umierając ze śmiechu. Domniemania szachisty, komisarzu. Jak zwykle buduje pan zamki z piasku. Wszystko trzyma się na agrafkach.

– Powiedz, kolego, jak on się nazywa.

Zaproponował to z obojętną uprzejmością, jakby nazwisko nie było najważniejsze. Spojrzenie ciemnych oczu więźnia jest wbite w jego oczy. Po chwili mężczyzna spuszcza wzrok, znów niezdecydowany.

– Posłuchaj, Mulacie... Powiedziałaś, że wykorzystuje gołębie pocztowe. Wystarczy, że sprawdzę w spisach, kto ma gołębnik, i sam załatwię sprawę w kilka dni. Ale jeśli zrobię to bez twojej pomocy, nic ci nie będę winien... Rozumiesz?

Więzień przełyka ślinę. Dwa razy. A przynajmniej próbuje. Być może dlatego, że brak mu śliny. Tizón wydaje polecenie, by podano mu wodę, i jeden ze zbirów idzie po nią.

– A jaka to różnica? – pyta w końcu Mulat.

– Niewielka. Albo ci będę winien przysługę, albo nie.

Mężczyzna się zastanawia, nie spieszy się z decyzją. Na chwilę odrywa wzrok od komisarza i patrzy na oprawcę, który wraca z dzbankiem. Potem przechyla głowę, wykrzywia usta jak poprzednio, tyle że teraz Tizón widzi, jak pojawia się uśmiech, który wtedy nie całkiem mu wyszedł. Wydaje się, że Mulat w myśli opowiedział sobie dowcip, tajemny i rozpaczliwy, który bardzo go rozśmieszył.

– Nazywa się Fumagal... Mieszka przy ulicy Escuelas.

Funt białego mydła, dwa zielonego, kolejne dwa mydła mineralnego i sześć uncji oleju rozmarynowego. W czasie kiedy Frasquito Sanlucar pakuje towar w szary papier i wlewa

aromatyczny olej do flakonu, Gregorio Fumagal z przyjemnością wdycha zapachy sklepu. Czuje mocny aromat mydeł, esencji i pomad, a pomiędzy skrzynkami pospolitych towarów ukazują się przyjemne kolory artykułów delikatnych, przechowywanych w szklanych słojach. Na ścianie długi, wąski barometr wskazuje pogodę zmienną.

– To zielone nie ma w sobie soli miedzianej, prawda?

Piegowata twarz mydlarza marszczy się w obrażonej minie pod rzadką czupryną marchewkowego koloru.

– Ani odrobiny, don Gregorio! Niech się pan nie martwi. Ma pan do czynienia z poważną firmą... Jest zrobione z ekstraktu akacji, dlatego ma taki piękny kolor. To bardzo chodliwy towar, panie są zachwycone.

– Wyobrażam sobie, że skoro teraz w Kadyksie jest tyle ludzi, pański interes kwitnie.

Mydlarz odpowiada, że się nie skarży. Prawda jest taka, że póki Francuzi stoją wokół miasta, raczej nie zabraknie klienteli. Jakby ludzie bardziej dbali o swój wygląd. Od razu znikają nawet pomady dla panów o zapachu goździków, fiołków, heliotropu. Proszę, niech pan powącha tę. Prawda, jaka delikatna? Nie mówiąc już o mydłach dla pań i wodach toaletowych. Doskonale.

– Widzę, widzę. Niczego u pana nie brakuje.

– Jak mogłoby brakować? Z naszymi aliantami Anglikami docierają towary z całego świata. Proszę spojrzeć na ten korzeń farbownika, do bielienia mydła: dawniej przywożono go z Montpellier, a teraz mam go z Turcji. Do tego tańszy.

– Dalej przychodzi dużo kobiet?

– Uff, nawet pan sobie nie wyobraża. Wszelkiego rodzaju. Sąsiadki z naszej dzielnicy i rozmaite damule. I zamożnych przyjezdnych całe tłumy.

– Wydaje się, że w naszych czasach to niemożliwe.

– Dużo się nad tym zastanawiałem, i myślę, że może właśnie dlatego. Można by powiedzieć, że ludzie mają więcej chęci, żeby żyć, spotykać się, dobrze wyglądać... Ja, jak panu mówiłem, nie skarzę się. Też jest prawdą, że doglądam interesu. Artykuły toaletowe nie tylko muszą mieć przyjemny zapach i być miłe w dotyku, ale powinny też dobrze wyglądać. I o to też dbam.

Frasquito Sanlucar kończy robić pakunek, podaje go Fumagalowi ponad ladą i wyciera ręce w szary fartuch. Razem dziewiętnaście reali, mówi. Podczas kiedy preparator otwiera sakiewkę i wyjmuje dwie srebrne monety, mydlarz kostkami wystukuje o drewniany blat radosny rytm. Tirititran, tran, tran. Przerzywa na stłumiony odgłos dalekiego wybuchu. Ledwo słyszalny. Obaj spoglądają w stronę drzwi, przed którymi przechodzą ludzie i wcale nie reagują na ten dźwięk. Bomba spadła po drugiej stronie miasta, wnioskuje Fumagal, a mydlarz oddaje mu resztę i powraca do wystukiwania rytmu, tirititran, tran, tran, kostkami o ladę. Nic dziwnego, że tu ludzie żyją, nie przejmując się francuską artylerią. Dzielnica wokół Mentidero pozostaje poza zasięgiem bomb nadlatujących od Cabezueli. I według obliczeń preparatora tak jeszcze potrwa jakiś czas. Zbyt długi, niestety.

– Proszę uważać, don Gregorio. Bo choć żabojady strzelają na ośle, gdzie popadnie, nigdy nic nie wiadomo... Jak to wygląda w pańskiej dzielnicy?

– Czasem jakaś trafi. Ale, jak pan mówi, gdzie popadnie.

Tiritran, tran, tran. Fumagal wychodzi na ulicę z pakunkiem pod pachą. Jest wcześniej i słońce jeszcze zostawia w tym miejscu cień. Poranna rosa pokrywa bruk ulicy, poręczę, kraty w oknach i doniczki. Pomimo niedawnego wybuchu wojna wydaje się równie odległa jak zwykle. W kierunku Carmen i Alamedy przechodzi ze swoim osiołkiem, ciągnącym wóz pełen glinianych dzbanów, handlarz oliwkami, który wykrzykuje ofertę: zielone, czarne, olbrzymie. Mija się z nim nosiwoda ze swoją beczką na plecach. Na balkonie na pierwszym piętrze młoda służąca z gołymi ramionami trzepie sznurkowy chodnik, obserwuje ją z rogu wysoki mężczyzna, który pali, oparty o mur.

Preparator idzie ulicą Óleo w kierunku centrum miasta, zajęty swoimi myślami. Które w ostatnich dniach wcale nie są uspokajające. Przy składzie węgla schodzi z trotuaru, żeby wyminać ludzi stojących w kolejce po miął: zima o krok, wilgoć jest coraz większa i ludzie zaczynają palić w piecykach pokojowych. Przechodząc na drugą stronę, Fumagal rzuca spojrzenie za siebie i stwierdza, że mężczyzna, który palił na rogu, teraz kroczy za nim. Być może to zbieg okoliczności, najprawdopodobniej tak właśnie jest, ale poczucie zagrożenia się wzmacnia, co psuje mu nastrój. Od kiedy zaczęła się w mieście wojna, a on nawiązał kontakty ze stroną francuską, stan niepewności był naturalny, znośny; jednak w ostatnich czasach, zwłaszcza po ostatniej rozmowie z Mulatem na placu San Juan de Dios, niepokój stał się ciągły. Gregorio Fumagal nie otrzymuje już instrukcji ani informacji. Teraz pracuje po omacku, nie wiedząc, czy wiadomości, jakie wysyła, są komuś przydatne, z Francuzami kontaktuje się jedynie przez gołębie, które wypuszcza w kierunku Trocadero i których zapas ciągle się zmniejsza, a on nie wie, jak go odnowić. Kiedy wypuści ostatniego skrzydlatego posłańca, niepewna nić, która jeszcze łączy go z drugą stroną, zostanie zerwana. Wtedy jego samotność będzie całkowita.

Doszedłszy do placu znajdującego się na końcu ulicy Jardinillo, Fumagal zatrzymuje się, niby przypadkiem, przed sklepem pasmanteryjnym i znów spogląda za siebie. Wysoki mężczyzna przechodzi na jego stronę i śledzi go z daleka, a preparator obserwuje tamtego kątem oka: trochę zaniedbany, bury surdut kiepskiego kroju, okrągły kapelusz, nieco wygnieciony. Może być policjantem, ale równie dobrze to jeden z setek emigrantów bez zajęcia, którzy spacerują po ulicach Kadyksu, jedni są zabezpieczeni przepustką w kieszeni, która zwalnia ich z wojennego poboru, inni ryzykują.

Najgorsza jest wyobraźnia, stwierdza dalej, idąc przed siebie, i strach, który rozprzestrzenia się po całym organizmie jak złośliwy rak. Nadszedł moment, aby przeciwstawić fizykę doświadczeniu: fizyka mówi Fumagalowi, że przecież nie wie, czy rzeczywiście jest śledzony, podczas kiedy doświadczenie potwierdza, że wystąpiły odpowiednie okoliczności, by tak właśnie sądzić. Jeśli odwołać się do rozumu, wszystko wydaje się więcej niż prawdopodobne. Konkluzja nie jest jednak dramatyczna; w takiej możliwości jest też cień ulgi. Wpadka nie jest tak zła, mimo wszystko. Preparator jest przekonany, że los każdego człowieka zależy od niedostrzegalnych przyczyn w ramach ogólnych zasad. Wszystko kiedyś musi się skończyć, łącznie z życiem. On, podobnie jak zwierzęta, rośliny i minerały, pewnego dnia zwróci do powszechnego magazynu te elementy, które zostały mu użyczone. Tak dzieje się każdego dnia, on sam się do tego przyczynia. Działając na rzecz przestrzegania tej reguły.

Na Palillero, pomiędzy kramami Mongego i Vindela, z obrazkami i gazetami, okoliczni mieszkańcy i ci, którzy nie mają nic do roboty, zbierają się przed dwoma afiszami przyklejonymi do ściany i dyskutują na temat ich treści. Jeden informuje o tym, że Kortezy zatwierdziły propozycję Regencji, aby miasto łożyło comiesięcznie kwotę dwunastu milionów peso na utrzymanie sił morskich i fortyfikacji. Chcą nas wykrwawić, protestuje ktoś głośno. Z królem czy bez niego, nam zawsze wiatr w oczy. Drugi afisz informuje o tym, że władze miejskie w Hawanie, podważając decyzję Kortezów, unieważniły dekret dający swobody czarnoskórym niewolnikom jako sprzeczny z interesami wyspy, chcąc zarazem zapobiec skutkom, jakie wywołało analogiczne francuskie rozporządzenie na Santo Domingo – pogrążeniu wyspy w rebelii i anarchii.

Głupcy, stwierdza Fumagal, przechodząc szybko między ludźmi, nawet na nich nie patrząc, pełen pogardy. Już mają nowy temat, żeby przez parę dni się nim zajmować, gadać i nic nie robić. Odwieczne zwyczaje powodują, że są przywiązani do swoich kajdan: królów, bogów, dekretów i afiszów, które niczego nie zmieniają. Preparator jest przekonany, że Ludzkość przekazuje sobie z rąk do rąk jej panowie i że składa się z nieszczęśników, którzy sądzą, iż są wolni, działając wbrew swym naturalnym skłonnościom: nie są zdolni przyznać,

że jedyna wolność jest całkiem osobista i polega na tym, że człowiek ulega siłom, które nad nim dominują. To, co człowiek czyni, zawsze jest konsekwencją przeznaczenia, amoralnego porządku Natury, związków przyczyn i skutków. Przez to słowo „zło” nie jest jednoznaczne. Społeczeństwo, samo w sobie sprzeczne, karze za skłonności, które są dla niego charakterystyczne; jednak kara jest zaledwie słabą tamą wobec mrocznych porywów serca. Istota ludzka, głupia aż do szaleństwa, woli fałszywe złudzenia od rzeczywistości, która zadaje kłam koncepcji Istoty dobrej, najwyższej, inteligentnej i sprawiedliwej. Aberracja! To tak, jakby ojciec dał broń do ręki popędliwemu synowi, a potem karał go za to, że użył jej, by zabić.

– Gdzie spadła ostatnia bomba? – pyta Fumagal kowala, który przygotowuje haczyki do łowienia ryb, siedząc w drzwiach swojej kuźni.

– Tu zaraz, naprzeciwko Candelarii... Nie zrobiła wiele szkody.

– Nie ma ofiar?

– Żadnych, Bogu dzięki.

Sąsiedzi i żołnierze pracują przy oczyszczaniu placu. Bomba, stwierdza Fumagal, dotarłszy na miejsce, spadła dokładnie przed kościołem, nie dotykając sąsiednich domów, i choć wybuchła, fakt, że plac jest rozległy, a budynki znajdują się w dużej odległości od siebie nawzajem, ograniczył jej niszczycielskie skutki do paru wybitych szyb w oknach i odłamania kilku gipsowych fragmentów fasad, widać też trochę dachówek i cegieł rozrzuconych po ziemi. Doświadczonym okiem, wyspecjalizowanym w takich rzeczach, preparator oblicza trajektorię pocisku w stosunku do miejsca trafienia. Wiatr, zauważa, wieje z zachodu, co niewątpliwie miało wpływ na to, że bomba spadła na tę część miasta, bliżej i trochę bardziej na wschód niż poprzednie cztery. Pod pretekstem oglądania miejsca wybuchu razem z tłumem ciekawskich – kilku chłopców zbiera z ziemi skręcone kawałki ołowiu – Fumagal idzie powoli, skupiony, licząc kroki, żeby potem oszacować odległość w stosunku do narożnego słupa na ulicy Tomo – starego filaru arabskiej kolumny. Z Mulatem czy bez niego, z gołębiami pocztowymi czy z pustym gołębnikiem, jest zdecydowany, by dalej robić to, co robi, aż do końca. Dopełniać obrzędu swojej osobistej normy, równocześnie nieuniknionej i świadomej.

Gregorio Fumagal odliczył siedemnaście kroków, kiedy zauważa, że ktoś go obserwuje w tłumie. Nie jest to ten sam człowiek, którego poprzednio stracił z zasięgu wzroku, ale ktoś inny, mężczyzna średniego wzrostu, ubrany w szarą pelerynę i dwugraniasty kapelusz. Może się zmieniają, żebym niczego nie podejrzewał, myśli. A może to kolejna igraszka rozumu, jakże często przypominająca objawy nieuleczalnej choroby. Preparator jest pewien, że wszystkie ludzkie istoty są chore, zarażone zaraz po przyjściu na świat życiem i jego gorączką – wyobraźnią. I kiedy ona właśnie poniesie człowieka lub sprowadzi na manowce, pojawia się strach, tak samo jak fanatyzm, terror religijny, szaleństwa – ta myśl sprawia, że uśmiecha się okrutnie – i wielkie zbrodnie. Istnieją ludzie, którzy gardzą zbrodnią, nie zdając sobie sprawy, że do jej dokonania potrzebny jest entuzjazm i wytrwałość, wielkie cnoty. Nie dostrzegają, że człowiek pełen najwyższych zalet może być równocześnie, za sprawą trudno uchwytnych przyczyn, w odpowiedni sposób ze sobą zestawionych, największym zbrodniarzem.

W przypiływie bezczelności, której nawet nie stara się zanalizować, a która w sumie wynika z przeprowadzonego rozumowania, Fumagal idzie ze wzrokiem utkwionym w ziemię, z fałszywie roztargnionym wyrazem twarzy, aż celowo wpada na człowieka w dwugraniastym kapeluszu.

– Przepraszam – mruczy pod nosem, niemal na niego nie patrząc.

Tamten też mamrocze coś niezrozumiałego i oddala się, a preparator jest zadowolony. Niech się dzieje, co chce, nie opuści miasta. Sokrates, posłuszny niesprawiedliwym prawom panującym w jego mieście, nie zdecydował się na ucieczkę z więzienia, którego drzwi zostały otwarte. Przyjął zasady, podobnie jak Gregorio Fumagal, pewien, że natura człowieka

pozwała mu działać tylko w taki sposób, w jaki działa, tak samo w stosunku do siebie samego, jak i wobec innych. Wymaga tego dogmat fatalizmu: wszystko, co się dzieje, jest konieczne.

Zamek ustępuje przy czwartej próbie, bez hałasu i bez żadnej szkody. Rogelio Tizón ostrożnie popycha drzwi, chowając do kieszeni komplet wytrychów użytych do ich otwarcia, które zajęło mu nie więcej niż parę minut. Podczas długiej kariery spotkał mnóstwo złodziei, a wśród nich włamywaczy o wielkiej inwencji, i nabył z latami szczególnych umiejętności. Posługiwanie się wytrychem – dla fachowców: sierpem – jest jedną z nich i jak się okazuje, bardzo przydatną. Odkąd wymyślono kłódki i drzwi z zamkami, wiele osobistych tajemnic odkryć można dzięki wytrychom, dorobionym kluczom, piłkom, pilnikom i diamentowym ostrzom.

Policjant przechodzi wolno korytarzem, zaglądając do każdego pomieszczenia: sypialnia, łazienka, jadalnia, kuchnia z piecem na drewno i węgiel, zlew, lodownia, przy drzwiach do spiżarni pułapka na myszy uzbrojona w kawałek sera. Wszystko wygląda czysto i porządnie, mimo że – na razie Tizón wie tylko tyle, ile można wiedzieć, patrząc z zewnątrz – jest to dom mężczyzny mieszkającego samotnie. Pracownia znajduje się w głębi korytarza i kiedy policjant tam dociera, światło wpadające przez przeszklone drzwi na taras tworzy złotą atmosferę, w której delikatnie błyskają szklane oczy, dzioby i szpony nieruchomych zwierząt w gablotach i na drążkach, w przezroczystych słojach, gdzie płyn konserwuje ptaki i gady.

Rogelio Tizón otwiera szklane drzwi i wychodzi na taras. Ogarnia spojrzeniem pejzaż, wieże obserwacyjne pośród kominów i suszącego się prania. Potem kieruje wzrok na gołębnik, w którym jest pięć ptaków, i wraca do pracowni. Na komodzie stoi zegar z brązu, na półce leży około dwudziestu ilustrowanych książek, niemal wszystkie dotyczą historii naturalnej. Jest między nimi stary, zniszczony egzemplarz *Historiae naturalis de avibus* niejakiego Johanna Jonstona, kilka tomów *Encyclopedie* i innych zakazanych francuskich książek, zakamuflowanych pod niewinnie wyglądającymi okładkami: *Emile*, *La Nouvelle Heloise*, *Candide*, *De l'esprit*, *Lettres philosophiques* i *Systeme de la Nature*. W powietrzu unosi się dziwny zapach alkoholu zmieszanego z nieznanymi substancjami. Na środku pokoju stoi wielki marmurowy stół, na którym leży coś o niewyraźnym kształcie przykryte białym prześcieradłem. Kiedy policjant je podnosi, widzi zwłoki wielkiego czarnego kota, wypatroszonego i na poły spreparowanego, z oczodołami wypełnionymi kulkami waty, z otwartym brzuchem wypchanym sianem i włosiem, z którego wystają druty i końcówki konopnego sznurka. Rogelio Tizón jest daleki od wierzenia w zabobony, nie może jednak uniknąć uczucia pewnej odrazy na widok zwierzęcia i koloru jego sierści. Ze złością przykrywa kota, starając się jednak, by prześcieradło wyglądało tak jak przedtem. Zwłoki kota i zapach panujący w zamkniętym pokoju przyprawiają go o mdłości. Tizón chętnie zapaliłby cygaro, ale zapach tytoniowego dymu zdradziłby właścicielowi mieszkania obecność intruza. Sukinsyn, stwierdza, rozglądając się wokół. Zastanawia się. Cholerny sukinsyn.

Obok marmurowego stołu znajduje się pulpit z notatkami na temat spreparowanych zwierząt i kolejnych faz każdego procesu. Komisarz podchodzi do drugiego stołu, stojącego między drzwiami na taras a witryną, gdzie razem mieszkają, nieruchome już, sowa i małpa. Są tu również szklane słoje i porcelanowe pojemniki z substancjami chemicznymi oraz instrumentarium podobne do tego, jakiego używają chirurdzy – piły, skalpele, kleszcze, igły do balsamowania. Po obejrzeniu wszystkiego Tizón przechodzi do trzeciego stołu znajdującego się w pracowni. Jest to właściwie wielkie biurko z szufladami i stoi pod ścianą, pod drążkami, na których siedzą, w pozach bardzo zgrabnych – właściciel mieszkania ma duży talent do swojego rzemiosła – bażant, sokół i brodaty orłosep. Na blacie obok olejowego kaganka leżą papiery i dokumenty, które policjant przegląda, starając się każdy pozostawić w

tym samym miejscu, skąd go wziął. Są to dalsze notatki na temat historii naturalnej, szkice zwierząt i temu podobne rzeczy. Pierwsza szuflada jest zamknięta na klucz, którego nie widać nigdzie na wierzchu, więc Tizón znów wyjmuje swój komplet wytrychów, wybiera jeden z mniejszych, wkłada go do zamka i po krótkiej walce z mechanizmem, klik, klik, całkiem czysto otwiera szufladę. Znajduje tam, złożony na pół, plan Kadyksu długi na trzy pięćdziesiąt i szeroki na dwie, podobny do tych, które można kupić we wszystkich sklepach w mieście i na których w bardzo wielu domach zaznacza się miejsca, gdzie spadają francuskie bomby. Ten jednak jest wyrysowany ręcznie czarnym tuszem, bardzo szczegółowy i precyzyjny, a podwójna skala znajdująca się w prawym dolnym rogu jest wyznaczona w hiszpańskich sążniach i francuskich węzłach. Określenie stopni długości i szerokości geograficznej na marginesach mapy nie odnosi się też do południka zero przechodzącego przez Kadyks, ani tego, jaki wyznacza Obserwatorium Morskie na Lwiej Wyspie. Może to południk Paryża, przychodzi Tizonowi do głowy. To francuska mapa. Profesjonalna robota, niewątpliwie dzieło wojskowych. Tym jednak, co najbardziej przykuwa jego uwagę, jest fakt, że jej właściciel nie ogranicza się, jak większość mieszkańców miasta, do zaznaczania miejsc, gdzie spadły bomby. Są one starannie opatrzone cyframi i literami i wszystkie połączone liniami wykreślonymi ołówkiem, które przechodzą przez półkole oznaczone stopniami, wyrysowane w części wschodniej planu, z kierunku, z którego dochodzą strzały francuskiej artylerii umiejscowionej w Trocadero. To wszystko tworzy pieczołowity rysunek promieni i kręgów, wykreślony za pomocą instrumentów znajdujących się w szufladzie: suwaków rachunkowych, szablonów, cyrkli, ekierki, wielkiej lupy i angielskiego porządnego cyrkla, leżącego w drewnianym pudełku.

Komisarz jest skupiony, studiuje niesamowity spłot linii wykreślonych na rysunku mapy, jego dziwny stożkowy kształt, skierowany węższą częścią ku wschodowi, zanotowane kody i okręgi wyznaczone cyrklem wokół każdego z miejsc wybuchów. Nieruchomo stojąc przed biurkiem, ze wzrokiem utkwionym w mapie, przeklina cichym głosem, soczyście, wielokrotnie. Całość, na pierwszy rzut oka chaotyczna, spłot wszystkich linii, które się przecinają, stanowi jakby mapę nakładającą się na znany plan: rysunek innego terytorium, złowieszczonego i labiryntowego, którego nigdy, do dziś, Tizón nie był w stanie dostrzec ani nawet przeczuć. Równoległe miasto, stworzone przez ukryte siły, które umykają konwencjonalnemu rozumowi.

Mam cię, stwierdza chłodno. Przynajmniej mam szpiega, dodaje po krótkim wahaniu. Już nie umknie. Szuka dalej i w oprawionym w ceratę notesie znajduje numeryczne i alfabetyczne odpowiedniki każdego z zaznaczonych punktów, dokładną lokalizację określoną w stopniach długości i szerokości, odległość w węzłach, która pomaga obliczyć miejsce każdego z wybuchów w stosunku do budynków lub punktów łatwo rozpoznawalnych w mieście. Wszystko jest ważne i odkrywcze, jednak spojrzenie komisarza wędruje raz za razem ku okręgom wyrysowanym wokół miejsc, gdzie spadły bomby. Wreszcie, jakby w przypływie nagłego natchnienia, bierze lupę i szuka czterech miejsc: zaułku między Santo Domingo a Merced, gospody Kulawego, rogu ulic Amoladores i Rosario oraz ulicy Viento. Wszystkie są zaznaczone, jednak nie mają żadnych szczególnych cech, które odróżniałyby je od pozostałych. Tylko porządkujące dane kody w ceratowym zeszycie pozwalają wskazać bomby, które wybuchły. I te cztery wybuchły, podobnie jak pół setki innych.

Tizón odkłada wszystko na miejsce, wsuwa szufladę, za pomocą wytrychu zamyka zamek i zastanawia się chwilę. Potem podchodzi do półek z książkami i przegląda je, jedną po drugiej, przewraca kartki, jakby sprawdzał, czy nie ma w środku żadnych papierów. W książce zatytułowanej *Systeme de la nature, o u des Lois du monde physique et du monde moral* – niejakiego M. Mirabaud, wydanej w Londynie – dostrzega kilka akapitów podkreślonych ołówkiem, które bez trudu tłumaczy z francuskiego. Jego uwagę przyciąga specjalnie jeden:

*Żadna z przyczyn, jakkolwiek drobna czy daleka by była, nie pozostaje bez konsekwencji poważnych i bezpośrednich dla nas. Być może na jałowych pustyniach Libii zbierają się skutki burzy, która niesiona przez wiatr, uczyni naszą atmosferę ciężką, co wpłynie na temperament i namiętności człowieka.*

Zastanawiając się nad tym, co właśnie przeczytał, policjant zamierza już zamknąć książkę, kiedy, przerzuciwszy kilka następnych stron, natrafia na kolejny podkreślony fragment.

*To, że ogień pali, należy do porządku rzeczy, ponieważ jego esencją jest palenie. To, że złoczyńca powoduje krzywdę, należy do porządku rzeczy, ponieważ jego esencją jest krzywdzenie.*

Tizón wyjmując z kieszeni swój własny notes i spisuje obydwa akapity, po czym odkłada książkę na swoje miejsce. Potem spogląda na zegar stojący na komodzie i stwierdza, że jest w tym mieszkaniu zbyt długo. Właściciel może pojawić się w każdej chwili; choć przewidując taką sytuację, komisarz podjął pewne środki zapobiegawcze: dwaj mężczyźni śledzą go w mieście, a szybkonogi chłopak popędzi tutaj, jak tylko zobaczą, że zamierza wrócić, na ulicy są Szafot wraz z drugim policjantem i w razie czego szybko go zawiadomią. Przewrotność w zasadzie niepotrzebna, bo znaleziony plan i zeznanie Mulata są wystarczające, by zatrzymać preparatora, oddać go w ręce wojskowego wymiaru sprawiedliwości i zacisnąć, bez możliwości apelacji, garotę na jego szyi. Nic prostszego w tych czasach w Kadyksie, z powodu wojny wyczulonym na szpiegów wroga. Jednak komisarzowi się nie spieszy. Jest kilka mglistych punktów, które chce wcześniej wyjaśnić. Sprawdzić pewne teorie i potwierdzić podejrzenia. Zatrzymanie mężczyzny, który przygotowuje zwierzęta, podkreśla niepokojące akapity w książkach i informuje Francuzów o miejscach wybuchów bomb, nie jest na razie dla niego ważne. Zależy mu, by stwierdzić, czy istnieje jakaś inna, równoległa interpretacja planu, który znów leży zamknięty w szufladzie. Bezpośredni związek między człowiekiem, który mieszka w tym domu, czterema miejscami wybuchów francuskich bomb i czterema zabitymi dziewczynami: trzema po eksplozji i jedną – zanim spadła bomba. Czy istnieje sens, zapewne ukryty, w stożkowatego kształtu pajęczynie, wykreślonej ołówkiem, pokrywającej mapę od wschodu po zachód. Przedwczesne aresztowanie mogłoby zmienić sytuację i na zawsze zatopić w mroku tajemnicę, a on pozostałby tylko ze złapanym szpiegiem, nie mając żadnych szans na potwierdzenie innych podejrzeń. Nie tego przecież szuka dziś w sztywnych ciałach spreparowanych zwierząt, w szufladach i szafach, lecz klucza do tajemnic, które od pewnego czasu sprawiają, że jego życiu towarzyszą przykre widma. Policjant poszukuje wyjaśnienia zagadki, która dawniej była tylko dziwna, a teraz, od przedwczesnego zabójstwa na ulicy Viento – chodzi o tę bombę, która spadła nie przed popełnieniem zbrodni, a p o nim – stała się niewytłumaczalna. Ta hipoteza musi zostać odrzucona lub udowodniona, po to, by wszystkie elementy nadal poruszały się na szachownicy miasta, ciesząc się całkowitą wolnością tworzenia swych naturalnych kombinacji. Jak by powiedział jego przyjaciel Hipolito Barrull, sprawa wymaga określonych dowodów empirycznych. Odmówienie prawdopodobnemu mordercy czterech dziewczyn okazji do następnego zabójstwa bez wątpienia służyłoby dobru publicznemu, byłoby skutecznym działaniem policyjnym i równocześnie aktem patriotycznym, służącym bezpieczeństwu w mieście i obiektywnej sprawiedliwości. Jednak, z innego punktu widzenia zniweczyłoby możliwość dotknięcia granic rozumu. Dlatego Tizón zamierza cierpliwie czekać, nieruchomo jak zwierzęta, które teraz obserwują go szklanymi oczami z dżązków i witryn. Pilnować swojej ofiary, bez jej niepokojenia, oczekując na kolejne bomby. Kadyks, w sumie, obfituje w przynęty. Przecież nie ma takiej partii szachów, w której nie trzeba by było ryzykować figur.

## Rozdział X

Jest chłodny, pochmurny dzień, wieje słaby północny wiatr, który w oddali marszczy powierzchnię wody w kanałach. Felipe Mojarra wyszedł z domu wcześniej – czapka nasunięta aż po brwi, sakwa, gruba peleryna na ramionach i nóż za pasem – żeby przemierzyć ćwierć mili drogi obsadzonej drzewami, prowadzącej z wioski na wyspie do strefy wojskowej i szpitala Świętego Karola. Warzelnik soli ma dziś na stopach płócienne sandały. Idzie odwiedzić szwagra Cardenasa, który bardzo powoli wraca do zdrowia po licznych komplikacjach rany po strzale, którym został trafiony w głowę, kiedy prowadzili zdobytą koło młyna w Santa Cruz francuską kanonierkę. Kula tylko zadrasnęła kość, ale zapalenie i infekcje pogorszyły sprawę, i szwagier nadal jest w kiepskim stanie. Mojarra odwiedza go tak często, jak tylko może, jeśli nie ma służby, nie musi iść z partyzantami ani nie towarzyszy kapitanowi Viruesowi w obserwacjach pozycji wroga. Przynosi Cardenasowi zazwyczaj trochę jedzenia ugotowanego przez żonę i chwilę z nim gawędzi, pałac papierosa. Ale zawsze jest to nieprzyjemne. Nie tyle z powodu szwagra, który znosi to wszystko raz gorzej, raz lepiej, ale przez atmosferę szpitala. Ta nie może podobać się nikomu.

Mijając koszary batalionów marynarki, Mojarra przechodzi przez proste alejki wojskowej osady, zostawia za sobą plac przed kościołem i wkracza do budynku po lewej stronie, wcześniej podawszy swoje nazwisko strażnikowi. Wspina się po schodach i gdy mija korytarz łączący dwie wielkie sale szpitalne, doświadcza znajomego, nieprzyjemnego uczucia: przebiegają mu ciarki po ciele, kiedy wchodzi w odpychającą przestrzeń, wypełnioną monotonnym, cichym i nieustannym gwarem, zbiorowym jękiem setek mężczyzn leżących na materacach ze słomy i liści kukurydzianych, ułożonych na deskach, w równych rzędach sięgających aż po – jak się wydaje od drzwi – nieskończoność. Zaraz też dociera zapach, również znajomy, i choć oczekiwany, wcale nie mniej przygnębiający. Otwarte okna nie wystarczają, żeby rozproszyć fetor zgniłego, owrzodzonego ciała, słodkawego odór gangreny pod bandażami. Mojarra zdejmuje czapkę i chustkę, którą nosi pod spodem.

– Jak się masz, szwagrze?

– Sam widzisz. Wykończony, ale jeszcze dycham.

Błyszczą mu oczy, pod którymi ma czerwone kręgi od gorączki. Źle wygląda. Nieogolona skóra powoduje, że zapadnięte policzki wydają się jeszcze chudsze. Ogolona głowa z widoczną raną – odsłoniętą, żeby ułatwić gojenie – nie wydaje się czymś wyjątkowym w sali pełnej chorych, rannych i kalekich. Są tam żołnierze, marynarze i cywile, ofiary ostatnich starć na linii frontu oraz wypadów na tereny okupowane; są tam również poszkodowani w ubiegłorocznych walkach w El Puerto, Trocadero i Sanlucar, w trakcie fatalnej ekspedycji generała Zayasa na Huelwę, podczas ataku Blake'a na hrabstwo Niebla i w bitwie o Chiclanę: ropiejące rany, pocięte mięso, które nawet po wielu miesiącach się nie goi, kikuty po amputacjach z fioletowymi szwami, czaszki i kończyny z ciągle otwartymi ranami po kulach i szablach, opaski na oślepionych oczach lub na pustych oczodołach. I ciągle głuche jęki, wypełniające całą salę, w której ścianach wydaje się zamykać, skoncentrowany jak esencja nieszczęścia, wszystek ból i smutek świata.

– Co mówią chirurdzy?



Chory wydaje z siebie zrezygnowane westchnienie.

– Że mi się poprawia rączymi krokami... Ale jeszcze mam chwilę.

– Wydaje mi się, że lepiej wyglądasz.

– Daj spokój, nie chrzań. I daj zapalić.

Mojarra wyciąga dwa skręcone papierosy, jeden podaje rannemu, a drugi wkłada sobie do ust, zapala je za pomocą krzesiwa i hubki. Bartolo Cardenas podnosi się z trudem i siada na brzegu siennika – prześcieradło jest brudne, koc cienki i stary – wdychając głęboko dym. Zadawalony. To pierwszy od dwóch tygodni, mówi. Cholerny tytoń. Teraz Mojarra wyjmuje z sakwy związany sznurkiem tobołek: suszone mięso, solony tuńczyk. I gliniany garnuszek z ciecierzycą gotowaną ze sztokfiszem, gąsiorek wina i sześć razem związanych papierosów.

– Twoja siostra ci to przysłała. Postaraj się, żeby ci tego nie zabrali towarzysze.

Cardenas chowa tobołek pod materac, rozglądając się przezornie wokół. Gliniane naczynie stawia na ziemię, obok swoich bosych stóp.

– Jak się mają twoje dziewczynki?

– Dobrze.

– A ta w Kadyksie?

– Jeszcze lepiej.

Pałą obaj, a Mojarra opowiada, co nowego. Nadal zapuszczają się w kanały, mówi, a Francuzi są w defensywie. Bomby spadają na wyspę i na miasto, bez poważniejszych konsekwencji. Krążą też pogłoski, że generał Ballesteros wycofuje się ze swoimi ludźmi do Gibraltaru, żeby znaleźć się pod osłoną angielskich armat, a żabojady grożą zajęciem Algeciras i Tarify. Jest też przygotowywana ekspedycja do Veracruz, wojsko pojedzie rozprawić się z meksykańskimi powstańcami. Chcieli go tam na siłę wysłać, razem z innymi ludźmi z wioski; ale z kłopotów wybawił go don Lorenzo Virues, na czas się za nim wstawił. To chyba wszystko.

– A co słyhać u twojego kapitana?

– To co zwykle. Sam wiesz... Rysuje i każe mi wcześniej wstawać.

– Przegraliśmy ostatnio jakieś bitwy?

– Poza Kadyksem i wyspą wszystkie.

Cardenas ukazuje szare, odkryte dziaśła w pełnym złości grymasie.

– Trzeba by rozstrzelać dwudziestu generałów za zdradę.

– Nie chodzi tylko o generałów, szwagrze. Problem polega na tym, że ci na górze nie mogą się dogadać i każdy robi, co chce. Ludzie starają się, jak mogą, ale ich zabijają; potem znów się zbierają, i znów ich wycinają. Nierzadko wolą zdezerterować i uciec w góry. Mamy coraz więcej partyzantów i coraz mniej żołnierzy.

– A karmazyny?

– Ciągłe tu są. I robią swoje.

– Ci to wiedzą, o co im chodzi.

– I to jak! Robią swoje, a my im całkiem zwisamy.

Milczenie. Obaj mężczyźni pałą w ciszy, wzajemnie unikają spojrzeń. Mojarra nie może się powstrzymać, żeby nie patrzeć na ranę szwagra. Obrażenie w kształcie krzyża na ogolonej czaszce przypomina otwarte usta, które ktoś jakby przeciął w poprzek. Wewnątrz widać szew, mokry i brudny.

– Słyszałem, że został zabity ksiądz Ronquillo – odzywa się Cardenas.

Mojarra potwierdza. Niejaki Ronquillo, proboszcz z El Puerto, zrzucił sutannę, kiedy Francuzi spalili jego kościół, i dowodził grupą, która zaczęła jako oddział patriotycznych partyzantów, ale szybko zmieniła się w bandę rozbójników, bez skrupułów rabujących i mordujących podróżnych i wieśniaków. W końcu ksiądz, razem ze swoimi ludźmi, przeszedł na stronę Francuzów.

– Jakiś miesiąc temu – kończy – nasi partyzanci złapali go w zasadzkę koło Conil. Przepędzili go pod kijami, stłukli, a potem podziurawili jak sito.

– No to zabity na amen, złe nasienie.

Pojawia się hałas, przez który Mojarra odwraca głowę. Młody człowiek rzuca się na swoim sienniku, choć, leżąc twarzą do góry, jest przywiązany łańcuchami za ręce i nogi. Niezwykle gwałtownie wygina ciało, szczeka zębami, zaciska pięści i napręża wszystkie mięśnie, wytrzeszcza oczy i wydaje krótkie, głośne wrzaski w straszliwej furii. Nikt wokół zdaje się nie zwracać na niego uwagi. Cardenas wyjaśnia, że to żołnierz z batalionu z Kantabrii, raniony siedem miesięcy temu w bitwie o Chiclanę. Ma w głowie francuską kulę, której nie można mu wyjąć i która czasami przyprawia go o konwulsje i straszliwe spazmy. Ani nie zdrowieje, ani nie umiera, i tak to trwa, a on jest jedną nogą po tej, a drugą po tamtej stronie. Kładą go w różnych miejscach na sali, żeby po równo wszystkich obdzielić wrzaskami. Niektórzy mówią, że uduszą go w nocy poduszką, żeby odpocząć, jednak nikt się nie odważa, bo wygląda na to, że lekarze bardzo się interesują jego przypadkiem, często do niego przychodzą, a nawet robią notatki i pokazują go gościom. Kiedy położyli go przy Cardenasie, ten przez dwie czy trzy noce wcale nie spał, tylko czekał na kolejne ataki. Ale w końcu się przyzwyczał.

– Człowiek, szwagrze kochany, do wszystkiego się przyzwycza.

Wspomnienie bitwy o Chiclanę sprowadza na twarz Mojarry przykry grymas. Niedawno jeden z lekarzy zdradził, że wielu rannych, ofiar tamtych walk, umierało w szpitalu Świętego Karola z powodu braku leków i jedzenia, a pieniądze przeznaczone na zakup słoniny i ciecierzycy zostały zmalwersowane przez urzędników. Reakcja ministra królewskiej gospodarki, odpowiedzialnego za szpital, była natychmiastowa: oskarżył o kłamstwo gazetę, która podała tę wiadomość. Powołano komisję, odbyły się wizyty deputowanych i sytuacja uległa nieznacznej poprawie, a potem wszystko zatuszowano. Wspominając ten skandal, Mojarra patrzy wokół, na leżących i na tych, którzy wspierając się na kulach i laskach, stoją przy oknach albo chodzą po sali niczym widma, odzierając z całego blasku takie słowa jak bohaterstwo, chwała i tym podobne, używane i nadużywane przez młodych i naiwnych oraz ludzi, którzy mają pewność, że nigdy nie wylądują w miejscu takim jak to. Ci, na których patrzy, kiedyś walczyli, tak jak on, za uwięzionego króla i swoją okupowaną ojczyznę, tchórze czy zuchy, wszyscy zrównani w nieszczęściu przez ogień i stal wroga. Smutni obrońcy Wyspy, Kadyksu, Hiszpanii. Taką mają zapłatę: wychudłe ciała, zapadnięte oczy, rozgorączkowane spojrzenia, pergaminową skórę, zapowiadającą bliską śmierć, inwalidztwo, nędzę. Blade cienie ludzi, jakimi byli kiedyś. On sam mógłby być jednym z nich, myśli. Leżeć na miejscu szwagra z rozplataną głową, która się nie goi, albo na miejscu tego nieszczęśnika, który wije się przywiązany do łóżka, z uncją ołowiu w mózgu.

Naraz warzelnik soli odczuwa strach. Nie taki jak zwykle, kiedy kule świszczą w pobliżu, a on ma wszystkie mięśnie i ścięgna napięte w oczekiwaniu na ten cholerny strzał, który położy go trupem. Nie jest to też ów powolny dreszcz przed zbliżającą się walką – najgorszy rodzaj strachu ze wszystkich – kiedy bliski pejzaż, nawet w pełnym słońcu, wydaje się nabierać szarych odcieni brudnego poranka, a w człowieku w środku nieodwracalnie rośnie z piersi aż do ust i oczu dziwna obawa o siebie samego, sprawiając, że oddech staje się głęboki i bardzo powolny. Ten strach teraz jest inny: paskudny, wstrętny. Egoistyczny. Wstyd czuć tę niepokojącą bojaźń, która nadaje tytoniowemu dymowi w ustach gorzki smak i każe natychmiast zerwać się i uciec stąd, bieć do domu, żeby uścisnąć żonę i córki, i wreszcie poczuć się całym. I żywym.

– Jak tam sprawa kanonierki? – pyta Cardenas. – Kiedy nam zapłacą?

Mojarra wzrusza ramionami. Kanonierka. Dwa dni temu był w intendenturze Floty, znów domagał się obiecanej nagrody. Już traci rachubę, ile razy tam był. Trzy długie godziny stania i czekania z kapeluszem w ręce, jak zwykle, żeby ten sam co zawsze urzędnik w złym

humorze odpowiedział mu sucho, nie tracąc więcej niż pół minuty i nawet na niego nie patrząc, że na wszystko przyjdzie czas i nie ma pośpiechu. Ze wielu dowódców, oficerów i żołnierzy od miesięcy nie dostaje należnego żołdu.

– Jeszcze trochę zejdzie. Tak mówią.

Szwagier spogląda z niepokojem.

– Na pewno tam byłeś? Poważnie?

– Pewnie, że byłem. Mój kum Curro też chodził, wiele razy. Zawsze odprawiają nas z kwitkiem. To dużo pieniędzy, mówią. A czasy nie są najlepsze.

– A twój kapitan Virues? Nie mógłby z kimś pogadać?

– Mówi, że w takich sprawach nic więcej nie da się zrobić. To jest poza jego możliwościami.

– A jacyż byli zadowoleni, kiedy im przyprowadziliśmy łódź. Nawet komendant portu podał nam rękę. Pamiętasz?... I owinał mi głowę swoją chustką.

– Wiadomo. Na gorąco wszystko inaczej wygląda.

Cardenas podnosi rękę do czoła, jakby zamierzał dotknąć rany na czaszce, ale zatrzymuje ją o cal od jej krawędzi.

– Znalazłem się tutaj przez te pięć tysięcy reali, szwagrze. Mojarra zachowuje milczenie. Nie wie, co odpowiedzieć. Ostatni raz zaciąga się, rzuca niedopałek na ziemię i rozgniata go obcasem. Potem wstaje. Zaczerwienione oczy Cardenas patrzają na niego z rozpaczą. Gorzko.

– Przecież tak dobrze nam poszło – mówi. – Currowi, szczeniakowi, tobie i mnie. A ci Francuzi, których załatwiliśmy, pamiętasz? Śpiących, w ciemności... Dokładnie im opowiedziałeś?

– Pewnie, że tak... Zobaczysz, wszystko się ułoży. Spokojnie.

– Zarobiliśmy nawet więcej pieniędzy – nalega Cardenas. – Więcej, niż mają nam dać.

– Trzeba cierpliwości. – Warzelnik kładzie mu rękę na ramieniu.

– To jeszcze tylko parę dni, myślę. Muszą dotrzeć pieniądze z Ameryki.

Szwagier kręci głową, zniechęcony, i kładzie się na boku na sienniku, skulony, jakby mu było zimno. Rozgorączkowane oczy wpatrują się nieruchomo w pustkę.

– Przecież obiecali... Za kanonierkę z działem dwadzieścia tysięcy reali... Po to tam poszliśmy, może nie?

Mojarra bierze płaszcz, sakwę i czapkę, idzie między siennikami i odchodzi. Ucieka od tego, co przysyłają sztandary.

Dwadzieścia mil na zachód od przylądka Espartel ostatni wystrzał z działa zrywa grot z głównego masztu zdobywanego statku, żagiel spada na pokład, ciągnąc za sobą reję, liny i płótno. Niemal w tym samym momencie wskakują na pokład i ściągają francuską banderę.

– Spuścić szalupę na wodę – wydaje rozkaz Pepe Lobo.

Oparty o reling na sterburcie, stojąc na rufie „Culebry”, korsarz przygląda się zdobytej jednostce, która kołysze się na fali, z żaglami łopoczącymi na świeżym wschodnim wietrze. To trzymasztowa szebeka o średniej wyporności i rejowym ożaglowaniu, uzbrojona w trzy działa czterofuntowe na każdej burcie, która poddała się po nadzwyczaj krótkiej walce – po dwie salwy z jednej i z drugiej strony, z niewielkimi uszkodzeniami na pierwszy rzut oka – i pięciu godzinach pościgu rozpoczętego o pierwszym brzasku, kiedy to obserwator na kutrze dostrzegł ją, jak się oddala, płynąc na otwarty Atlantyk. Zapewne to jeden z tych nieprzyjacielskich statków, na wpół handlowych i na wpół korsarskich, które płyną do marokańskich portów, żeby stamtąd przywieźć zaopatrzenie dla wybrzeża kontrolowanego przez Francuzów. Sądząc po kursie, jakim płynęła, zanim rozpoczął się pościg, szebeka musiała wyruszyć w nocy z Larache, kierując się w głąb morza, i zamierzała zatoczyć duży luk na zachód, tak żeby ominąć angielskie i hiszpańskie patrole w Cieśninie Gibraltarskiej, a

potem ustawić kurs na północ i dopłynąć do Roty albo Barbate pod osłoną ciemności. Teraz, kiedy naprawią maszt i poprowadzą ją ludzie z „Culebry”, jej celem będzie port w Kadyksie.

Dzwon pokładowy dzwoni dwukrotnie. Ricardo Marana, który przez megafon zamienił kilka słów z załogą szebeki, zbliża się od dziobu, przechodząc obok wszystkich czterech dział sześciofuntowych na sterburcie, które nadal są skierowane na francuski statek, żeby uniknąć niespodzianek, jakie mogłyby się zdarzyć w ostatniej chwili.

– Załoga francusko-hiszpańska, właściciel Francuz – informuje z satysfakcją. – Płyną z Larache, tak jak myśleliśmy, mają pełno solonego mięsa, migdałów, jęczmienia i oliwy... To dobra zdobycz.

Pepe Lobo potakuje głową, podczas gdy jego zastępca, ze zwykłą dla niego obojętnością, wsuwa dwa pistolety za szeroki skórzany pas, który ściska mu czarną kurtkę, chwytając szablę i biegnie przyłączyć się do oddziału abordażowego, który, uzbrojony w kordziki, strzelby i pistolety, przygotowuje się do zejścia do szalupy. Ładunek i bandera gwarantują, że żaden sąd nie będzie kwestionował tego, że przejęcie statku było zgodne z prawem. Wieść już się rozeszła po pokładzie: ożywieni wizją bogatych łupów zdobytych bez rozlewu krwi członkowie załogi śmieją się i klepią po plecach Maranę i jego ludzi.

Kapitan bierze lunetę leżącą obok busoli, rozciągając ją, przykładając oko do wizjera i spogląda na podniesioną wąską rufę drugiego statku, gdzie załoga zbiera płótno, które spadło na pokład, i mocuje resztę takielunku. Trzej mężczyźni stojący pod bezanmasztem przyglądają się kutrowi ze smutnymi minami. Jeden z nich, w ciemnej kurcie, z gęstą brodą i głową okrytą kapeluszem o wąskim rondzie, wygląda na kapitana. Z tyłu za nim, po przeciwnej stronie, jeden z chłopców okrętowych wyrzuca za burtę jakiś przedmiot. Może to księga tajnych sygnałów albo oficjalna korespondencja, może francuski patent korsarski, a może wszystko razem. Widząc to, Lobo woła bosmana Brasero, który nadal stoi przy działach.

– Majster!

– Na rozkaz, panie kapitanie!

– Proszę im powiedzieć przez tubę, że wszyscy mają przejść na dziób. A jeśli wpadnie coś do wody, choćby jedno splunięcie, oddamy następną salwę!

Podczas kiedy Brasero wypełnia polecenie, wspominając również o splunięciu, kapitan „Culebry” wychyla się za burtę, żeby sprawdzić, jak idzie spuszczenie szalupy. Oddział abordażowy już w niej siedzi, mężczyźni mocują wiosła w dulkach, a Marana spuszcza się na dół po linie. Potem Pepe Lobo spogląda w stronę marokańskiego wybrzeża, niewidocznego w oddali, mimo że dzień jest jasny, a horyzont czysty. Kiedy szebeka będzie płynęła już z jego załogą, ma zamiar podejść bliżej lądu i rozejrzeć się, czy nie wpadnie im jeszcze coś więcej – to wody dobre do takich połowów – zanim wezmą nowy kurs, żeby odprowadzić zdobyty statek.

– Uwaga, pokład! Żagle po trawersie sterburty!

Korsarz spogląda na morze zdziwiony. Obserwator z bocianiego gniazda wskazuje w kierunku północnym.

– Jaki to statek?

– Wygląda na dwumasztowiec. Żagle rejowe, duże, wszystkie w górze.

Lobo zawiesza sobie lunetę na ramieniu, przebiega niespokojnie pół pokładu pod bomem kołyszącym się pod ciężarem grota, częściowo zwiniętego, opiera się o reling, wspina lekko na wyblinkę, rozkłada lunetę i patrzy przez nią, starając się trzymać przyrząd sztywno i dostroić wzrok mimo silnego kołysania.

– To brygantyna – rozlega się krzyk wachtowego, dokładnie nad jego głową.

Sekundę później Pepe Lobo sam rozpoznaje kształt statku zbliżającego się bardzo szybko na świeżym wietrze wschodnim, który wypełnia jego żagle. To brygantyna, oczywiście. Płynie na Wiwerach, grocie i fokach, jest jakieś pięć mil od nich i płynie szybko, zbliżając się z wiatrem z lewej burty. Jeszcze nie można dostrzec bandery, nawet jeśli ma ją podniesioną,

choć wcale nie jest to konieczne. Lobo zamyka oczy, międli w ustach przekleństwo, znów otwiera oczy i patrzy przez lunetę. Wydaje mu się, że rozpoznaje napastnika. Nie chce wierzyć w swojego pecha, ale morze czasem sprawia nieprzyjemne niespodzianki. Raz się wygrywa, a raz przegrywa. „Culebra” właśnie przegrała.

– Niech natychmiast wraca oddział abordażowy! Wszyscy na pokład!

Wykrzykuje rozkazy, zsuwając się po wancie, i kiedy tylko stawia stopy na pokładzie, natychmiast biegnie na rufę, nie zwracając uwagi na ludzi, którzy przyglądają mu się zaskoczeni, inni zatrzymują się przy burcie i wpatrują w horyzont. Po drodze natyka się na Marańę, który już wrócił i patrzy na niego pytająco. Lobo ogranicza się do wskazania brodą w kierunku północnym, a porucznikowi wystarcza moment, żeby wszystko zrozumieć.

– Brygantyna z Barbate?

– Prawdopodobnie.

Marańa patrzy na niego spokojnie. Potem wychyla się przez burtę do szalupy, w której siedzą marynarze z oddziału abordażowego z wiosłami w dłoniach i trzymają się bosakiem lin kutra, unosząc pytające twarze, bo nie wiedzą, co się dzieje.

– Wszyscy na pokład! Wyciągnąć szalupę z wody.

A może to angielska brygantyna, myśli Pepe Lobo, choć nie słyszał, żeby ostatnio jakaś pływała w tej części cieśniny. W żadnym wypadku nie zamierza ryzykować. Korsarski kuter jest szybki, jednak francuski statek, jeśli to on, jest dużo szybszy. Zwłaszcza przy bocznym wietrze na długim kursie, a tak właśnie będzie, jeśli rzuci się w pościg za nimi. Ma też znacznie większą siłę ognia: dwanaście dział sześciofuntowych to więcej niż cztery, w które wyposażona jest „Culebra”. Ma również większą załogę.

– Uwaga, pokład! – krzyczy wachtowy. – To francuska brygantyna!

Lobo nie czeka ani chwili dłużej.

– Stawiać grot i wszystkie żagle na dziobie, kurs na lewą burtę.

Szalupa jest już na pokładzie i ocieka wodą. Marynarze odłożyli broń i mocują łódź do polerów pod bukszprytem, podczas gdy Marańa wydaje rozkazy na dziobie, a bosman Brasero popycha spóźnialskich na swoje miejsca. Pomruk rozczarowania przebiega po statku. Najpierw zdezorientowani, potem świadomi grożącego im niebezpieczeństwa mężczyźni biegną wybierać fały grota, który rozwija się nad nimi z chrzęstem płótna, podczas kiedy na dziobie fok i kliwer, z wypuszczonymi szotami, suną w górę po sztagach, łopocząc na wietrze.

– Wybrać szoty grota!... Wybrać wszystkie żagle na dziobie!

Mężczyźni ciągną szoty na sterburcie i kuter przechyla się mocno na tę stronę, kiedy żagle chwytają wiatr i naprężają się. Pepe Lobo, który został przy sterze, sam chwytając za rumpel i przesuwa go, póki wskazówka busoli nie ustawi się na kierunku zachód-południowy zachód i przekazuje prowadzenie statku Szkotowi, pierwszemu sternikowi, któremu oddaje też rumpel. Jednym rzutem oka ocenia, że żagle dobrze pracują na wietrze, i kuter, jak pełnej krwi wierzchowiec, wrywa w przód, napędzany wiatrem w płótnie rozwiniętym na jedynym maszcie, tnie wodę i nabiera szybkości, a ludzie kończą wybieranie szotów i mocują je na knagach.

– A tam zostaje fortuna – mruczy sternik pod nosem.

Spogląda z rozczarowaniem – podobnie jak kapitan i wszyscy inni na pokładzie – na porzuconą zdobycz. Kurs, jakim płynie „Culebra”, sprawia, że mijają w odległości strzału z pistoletu francuską szebekę, to dość blisko, by korsarze mogli dostrzec najpierw osłupienie, a potem radość załogi, która zrozumiaławszy, co się dzieje, kieruje ku odpływającemu kutrowi okrzyki i pokazuje nieprzyzwoite gesty. Kiedy oddalają się od statku, Pepe Lobo w ostatniej chwili dostrzega z odrobiną goryczy, że nieprzyjacielski kapitan z ironią macha do niego kapeluszem i że na topie bezanmasztu powiewa znów francuska bandera.

– Nie zawsze można wygrywać – stwierdza ze swoją zwykłą flegmą Ricardo Marańa, który wrócił już na rufę i opiera się na relingu od strony nawietrznej, trzymając kciuki za pasem, gdzie jeszcze ma zatknietą szablę i dwa pistolety.

Pepe Lobo nie odpowiada. Zmrużonymi dla osłony przed słońcem oczami uważnie obserwuje powierzchnię morza i chorągiewkę na topie masztu, pokazującą pozorny kierunek wiatru. Kosarz pochłonięty jest całkowicie wyliczaniem kursu, wiatru i prędkości, kreśląc w głowie, z taką samą dokładnością, jakby to robił na mapie morskiej, zygzaki linii prostych, kątów i mil, które zamierza przepłynąć w ciągu najbliższych godzin, tak by jak najwięcej wody dzieliło kuter od brygantyny, która bez wątpienia, gdy tylko zidentyfikuje porzuconą przez nich zdobycz i zapewni sobie nagrodę za udzielenie jej pomocy, ruszy w pościg za nimi. Jak się zdaje, jest to statek, którym pływają Francuzi pomiędzy Barbate a deltą Gwadalkiwiru: bardzo szybka jednostka długości osiemdziesięciu stóp i wyporności dwustu pięćdziesięciu ton. To oznacza dziesięć, może nawet jedenaście węzłów prędkości przy tym wietrze przy kursie pełnym do połówki; kuter na tym samym kursie, przy obecnym wietrze, nie osiągnie więcej niż siedem, osiem węzłów. Przewagę mogą mieć jedynie na kursach ostrych, ich grot gaflowy pozwala, w razie konieczności, płynąć bardziej na wiatr, niż może to zrobić brygantyna ze swoimi żaglami rejowymi, i dzięki temu kuter może płynąć szybciej. Przynajmniej o kilka węzłów.

– Nadal będzie wiał wschodni wiatr – wzdycha z ulgą Ricardo Marańa, patrząc na niebo. – Przynajmniej do jutra... Chociaż to jakiś pozytyw.

– Jakiś, do ciężkiej cholery, musi przecież być...

Kiedy Pepe Lobo, przeklinając przez zęby, ulżył już sobie – Marańa słysząc go, uśmiechnął się lekko, nie komentując – wyciągnął zegarek z kieszonki kamizelki. Wie, że porucznik myśli to samo co i on. Zostaje niecałe pięć godzin światła. Pomysł polega na tym, żeby aż do zmroku uciekać na południowy zachód na pełny Atlantyk, by później popłynąć ostro na północny zachód, w ten sposób zgubić brygantynę w ciemności. Taka jest teoria. W każdym razie sztuka polega na tym, żeby pozostać jak najdalej od nich aż do zmroku.

– Miła co godzina – mówi Lobo. – Tyle więcej od nas może przepłynąć brygantyna... Może lepiej rozwinąć latacz...

Drugi oficer spogląda w górę, na grot. Wypełnione wiatrem ogromne płótno pomiędzy górnym drzewcem a bomem napędza kuter za pomocą fok i kliwra rozpiętych nad bukszprytem na dziobie.

– Nie mam zaufania do stengi. – Marańa ścisza głos, żeby nie słyszeli go sternicy. – Francuska kula drasnęła ją powyżej łączenia... Gdyby w górze było zbyt wiele szmat, kiedy wzmochnie się wiatr, mogłaby się złamać.

Pepe Lobo wie, że porucznik ma rację. Na pewnych kursach, przy silnym wietrze i zbyt dużych powierzchniach żagli, jedyny maszt kutra może pęknąć, gdyby został narażony na bardzo duże obciążenie. Taka jest wada tego rodzaju statków szybkich i sterownych: są zbyt kruche. Czasem bywają delikatne jak panienka.

– Dlatego nie rozwiniemy topsła – odpowiada. – Ale co do reszty, nie mamy wyboru... Do roboty, pilocie.

Nastawiony fatalistycznie oficer potakuje ruchem głowy. Wyjmuje zza pasa szablę i pistolety, woła bosmana – Brasero sprawdzał zamocowanie dział i zamki drzwiczek – i rusza pod maszt, żeby nadzorować manewr. Tymczasem Pepe Lobo zleca Szkotowi korektę kursu o dwie kwarty, a następnie kieruje lunetę na kilwater kutra. Przez soczewkę widzi, że szebeka znów rozwinęła żagle i płynie naprzeciw swojemu wybawcy, a brygantyna nadal szybko się zbliża. Kiedy Lobo opuszcza lunetę i spogląda na dziób, widzi, że na maszcie kutra jest już więcej płótna, które łopocze, rozwijając się, zanim znieruchomieje, gdy wypełni się wiatrem, przytrzymywane szotami, które są wybierane przez mężczyzn na pokładzie: latacz i kliwer wysoko ponad wielkim fokiem, topsel wybrasowany na wiatr na swojej rei, nad bocianim

gniazdem. Łapiąc więcej wiatru, „Culebra” daje wyraźny skok do przodu, rozcina fale i pochyla się mocniej na zawietrzną, z relingiem tak blisko powierzchni wody, że ta rozbryzguje się na działa i spływa po pokładzie aż do otworów ściekowych, mocząc wszystko. Oparty w kącie, jaki tworzy lustro rufy i reling po zawietrznej burcie, stojąc na szeroko rozstawionych nogach, żeby utrzymać równowagę mimo mocnego przechyłu, kapitan znów myśli z żalem o utracie świetnych łupów, które musieli porzucić. Poza tym, że on i jego ludzie otrzymaliby należny procent, don Emilio Sanchez Guinea i jego syn Miguel byłiby bardzo zadowoleni, stwierdza. Lolita Palma również.

Przez chwilę Pepe Lobo myśli o kobiecie – „Kiedy wróci pan z kolejnej wyprawy morskiej”, powiedziała ostatnim razem – podczas gdy kuter płynie naprzód prosto, pewnie, przez atlantyckie fale, rozcinając powierzchnię z rytmicznym kołysaniem. Zimna fontanna spada poprzez wanty aż na rufę, oblewając kapitana i sterników, którym nie udało się przed nią umknąć. Strzepnąwszy kurtkę, mokry, ze zmierzwionymi włosami, korsarz rękawem ociera z twarzy wodę i sól, od której pieką go oczy. Potem znów spogląda na kilwater, w kierunku ciągle odległych żagli brygantyny. Przynajmniej, jak wcześniej powiedział Marana, to pozytyw. Pościg za rufą zabiera wiele godzin. A „Culebra” mknie jak królik.

A teraz, mruczy w duchu złośliwie, złap mnie, jak potrafisz.

Stukot kołeczków, szelest jedwabiu, chrzęst kobiecych sukien na krzesłach i sofie z oparciami ozdobionymi koronkowymi serwetkami. Kieliszki słodkiego wina, czekoladki i ciastka na stoliku do podwieczorku. Miedziany piecyk, umieszczony pod okrągłym stołem z odwiniętą grubą serwetą, ogrzewa całe pomieszczenie, napełniając je zapachem lawendy. Ściany, pokryte tapetą w kolorze czerwonego wina, ozdabia wielkie lustro, litografie, malowane talerze i kilka dobrych obrazów. Zwraca uwagę chińska komoda z laki i klatka z papugą. Przez duże szklane drzwi balkonowe widać drzewa w klasztorze Świętego Franciszka, wyłacane słońcem zachodu.

– Podobno straciliśmy Sagunto – odzywa się Curra Vilches. – Walencja też może paść.

Doña Concha Solis, gospodyni domu, wzdraga się, przerywając na chwilę swoją robótkę.

– Bóg na to nie pozwoli.

Jest to otyła kobieta po sześćdziesiątce. Siwe włosy spięta w koczek szpilkami. Kolczyki i bransoletka z agatu, czarna wełniana narzutka na ramionach. Różaniec i wachlarz pod ręką, na stoliku.

– Nie pozwoli, absolutnie – powtarza.

Obok niej Lolita Palma – w ciemnobrązowej sukni z kołnierzykiem wykończonym białą koronką – pije łyk muszkateła, odstawia kieliszek na tacę i wraca do haftu, który naciągnięty na tamborku leży na podołku. Nie jest kobietą szczególnie rozmiłowaną w napastrku, igłach i nitkach ani w innych ręcznych robótkach, które stoją w sprzeczności z jej rozsądnym charakterem i pozycją społeczną; ma jednak zwyczaj odwiedzać swoją matkę chrzestną w jej domu przy ulicy Tinte dwa razy w miesiącu, kiedy odbywa się tam kobiece spotkanie towarzyskie przy szyciu, haftowaniu i robieniu klockowych koronek. Dziś są tu także córka i synowa doñi Conchy – Rosita Solis i Julia Algueró, ta druga w piątym miesiącu ciąży – i pochodząca z Madrytu wysoka, jasnowłosa Luisa Moragas, która schroniła się w Kadyksie wraz ze swoją rodziną i wynajmuje mieszkanie na najwyższym piętrze budynku. Grupę zamyka doña Pepa de Alba, wdowa po generale Alba, matka trzech synów wojskowych.

– Sprawy nie mają się dobrze – ciągnie Curra Vilches swobodnie, pomiędzy kolejnymi ściegami. – Nasz generał Blake został pokonany przez Francuzów marszałka Sucheta, a jego wojsko jest w rozsypce. Coraz poważniej obawiam się, że cały Lewant wpadnie we francuskie ręce... I jakby tego było jeszcze mało, ambasador Wellesley, który ma fatalne stosunki z Kortezami, grozi wycofaniem angielskich wojsk, i tych z Kadyksu, i tych pod wodzą jego braciszka, księcia Łelinktona.

Lolita Palma się uśmiecha, zachowując przezornie milczenie. Jej przyjaciółka mówi z wojskową powagą, jaką niektórzy generałowie życzyliby sobie widzieć u żołnierzy. Można by pomyśleć, że spędza czas pośród haubic i werbli, jak żwawa markietanka.

– Słyszałam, że Francuzi zagrażają też Algeciras i Tarifie – dodaje Rosita Solls.

– Tak jest – potwierdza Curra z tą samą stanowczością. – Chcą tam wejść na Boże Narodzenie.

– Okropne. Nie rozumiem, jak to możliwe, że nasze wojsko tak podupadło... Nie sądzę, żeby Hiszpanie ustępowali w dzielności Francuzom czy Anglikom.

– To nie jest kwestia dzielności, ale zwyczajów... Nasi żołnierze to chłopcy bez żadnego przygotowania wojskowego, rekruci siłą wcielani do armii. Nie mamy też doświadczenia w prowadzeniu bitew na otwartym polu. Dlatego ludzie się rozbiegają, krzycząc „zdrada”... Zupełnie inaczej jest z partyzantami. Oni potrafią wybrać właściwe miejsce i walczyć. Są u siebie w domu.

– Widzę w tobie materiał na panią generała, Curro – śmieje się Lolita, nie przerywając haftowania. – Zdecydowaną i dobrze zaznajomioną z materią.

Śmieje się też jej przyjaciółka, ze swoją robótką na spódnicy. Tego wieczoru ma włosy zebrane pod zabawnym czepkiem ze wstążek, podkreślającym ładny kolor jej cery, zaróżowionej dodatkowo ciepłem z pobliskiego piecyka.

– Niech cię to nie dziwi – mówi. – My mamy więcej zmysłu praktycznego niż niektórzy strategowie od kampanii... Ci, którzy zbierają armie nieszczęsnych wieśniaków, znikające przy pierwszym dmuchnięciu, kiedy tysiące ludzi uciekają po polach i kawaleria wroga bezlitośnie ich wyrzyna.

– Biedacy – dodaje Rosita Solis.

– Tak... Biedacy.

Szyją w ciszy, rozmyślając nad oblężeniami, bitwami i klęskami. Nad światem mężczyzn, z którego do nich dociera tylko echo. I konsekwencje. Mały, leniwy i gruby piesek ociera się o nogi Lolity Palmy, a potem znika w korytarzu, w chwili kiedy zegar wybija pięć uderzeń. Przez chwilę słychać tylko dźwięk klocków dońi Conchy.

– To smutne dni – odzywa się w końcu Julia Algueró, zwracając się do wdowy po generale Alba. – Czy słyszała pani ostatnio o swoich synach?

Odpowiedzi towarzyszy stanowczy uśmiech, wyrażający pogodzenie się z sytuacją.

– Dwaj starsi mają się dobrze. Jeden jest w armii Ballesterosa, a drugiego mam tutaj, w Puntales...

Bolesna cisza. Pełna zrozumienia ze strony wszystkich pań. Julia Algueró pochyła się uprzejmie, zaokrąglony brzuch dobrej nadziei zaznacza się wyraźnie pod tuniką. Rozmawiają matka z matką.

– A co z najmłodszym? Czy ma pani jakieś wieści?

Kobieta przeczy, ze wzrokiem utkwionym w robótkę. Najmłodszy syn, pojmany podczas bitwy pod Ocańą, jest we francuskiej niewoli. Od dawna nie ma od niego żadnych wiadomości.

– Zobaczysz pani, że wszystko będzie dobrze.

Wdowa po generale Alba uśmiecha się chwilę ze stoicką obojętnością. Nie może być łatwo tak się uśmiechać, myśli Lolita Palma. Cały czas stara się zachowywać zgodnie z tym, czego ludzie się po niej spodziewają. Niewdzięczna rola: wdowa po bohaterze i matka kolejnych trzech bohaterów.

– Jasne.

Znów stukot kołków i dzwonięcie drutów. Siedem kobiet siedzi nad swoimi robótkami – przygotowują wyprawę Rosity Solis – podczas gdy zapada wieczór. Spokojnie płynie rozmowa o codziennych zdarzeniach domowych i drobnych lokalnych ploteczkach. Poród jednej, ślub albo wdowieństwo drugiej. Kłopoty finansowe znajomej rodziny, skandal z



udziałem pani Iks i pewnego porucznika z regimentu z Ciudad Real. Prostactwo pani Igrek, która wychodzi z domu bez służącej do towarzystwa, do tego całkiem zaniedbana, nieuczesa i niedomyta. Francuskie bomby i ostatnia esencja z piżma, sprowadzana z Rosji i sprzedawana w mydlami przy Mentidero. Słońce wpada jeszcze przez szklane drzwi i odbija się w wielkim lustrze z hebanową ramą, co dodatkowo oświetla pokój. Zalana złotym światłem Lolita Palma kończy haftowanie inicjałów R.S. na batystowej chusteczce, ucina nitkę i odpływa myślami daleko od Kadyksu: morze, wyspy, odległa linia lądu, pejzaż z białymi żaglami i słońce błyskające na pomarszczonej powierzchni wody. Pewien mężczyzna o zielonych oczach patrzy na ten pejzaż, a ona patrzy na niego. Otrząsa się, niemal z bólem, i nie bez trudu wraca do rzeczywistości.

– Dwa dni temu spotkałam po południu Paco Martinez de la Rosę w cukierni Cosi – opowiada Curra Vilches. – Za każdym razem wydaje mi się przystojniejszy, taki śniady jak Cygan, z tymi swoimi czarnymi oczami...

– Może zbyt on przystojny i zbyt czarne ma te oczy – przerywa Rosita Solis złośliwie.

– A o co chodzi? – pyta Luisa Moragas, wyraźnie zdezorientowana. – Widziałam go kilka razy, wydał mi się bardzo miłym chłopcem. I taki delikatny.

– To właściwe słowo. Delikatny. Nawet zbyt.

– Nie miałam pojęcia – mówi sąsiadka z Madrytu, zgorzona, wreszcie zrozumiałwszy w czym rzecz.

– No właśnie.

Curra Vilches opowiada dalej. Chodzi o to, że spotkała owego młodego liberała w cukierni, w towarzystwie Antoñete Alcalá Galiano, Pepina Queipo de Liano i kilku innych z ich grupy politycznej...

– Wszyscy to lekkoduchy – przerywa doña Concha. – Słynna gromadka!

– No tak. I powiedzieli, że ponowne otwarcie teatru jest już pewne. To kwestia dni.

Rosita Solis i Julia Algueró biją brawo. Pani domu i wdowa po generale Alba mają niezadowolone miny.

– Kolejne zwycięstwo filozofujących paniczek – żali się ta ostatnia.

– I nie tylko ich. Niektórzy z deputowanych z grupy antyreformatorskiej też są zwolennikami tego pomysłu.

– Świat staje na głowie – skarży się doña Concha. – Nawet nie wiadomo, do kogo się modlić.

– A moim zdaniem to dobrze – upiera się Curra Vilches. – Zamykając teatr, pozbawiono miasto rozrywki zdrowej i przyjemnej. No bo przecież w Kadyksie pokazuje się przedstawienia w licznych domach prywatnych, do tego pobierana jest należność za wejście... Przed tygodniem Lolita i ja byliśmy u Carmen Ruiz de Mella, gdzie wystawiono operetkę Juana Gonzaleza del Castillo i *Zgodę pańien*.

Usłyszawszy ten tytuł, pani domu płacze nitki na klockach pośród igieł w poduszeczce.

– Tego Moratina? Tego sfrancuziałego Moratina? Co za bezwstyd!

– Proszę nie przesadzać, matko chrzestna – uspokaja ją Lolita Palma. – To bardzo dobra sztuka. Nowoczesna i rozsądna, pełna szacunku.

– Głupstwa! – doña Concha pije łyk zimnej wody, żeby ochłonić z oburzenia. – Gdzież im do Lope de Vegi czy Calderona!

Wdowa Alba okazuje swoje poparcie.

– Otwieranie teatru wydaje mi się lekkomyślnością – mówi, zakończając ścieg. – Niektórzy zapominają, że mamy wojnę, której tu rzeczywiście nie odczuwa się zbyt dotkliwie. Jednak wiele osób cierpi na polach bitew i w miastach całej Hiszpanii... Uważam, że to brak szacunku.

– A ja uważam, że teatr jest przyzwoitą rozrywką – sprzeciwia się Curra Vilches. – To zajęcie dla dobrego towarzystwa i owoc oświecenia ludzi.

Doña Concha przygląda się jej z wyraźną kpina, odrobinę złośliwą.

– Och, Currito! Mówisz jak jakiś liberał. Pewnie wyczytałaś to w „Przeglądzie”.

– Wcale nie – śmieje się. – W „Dzienniku Handlowym”!

– To dla mnie, dziecko, żadna różnica.

Głos zabiera Luisa Moragas. Ta kobieta z Madrytu – żona jednego z funkcjonariuszy Regencji, który przyjechał tu, uciekając przed Francuzami – zwierza się, że jest zaskoczona swobodą, z jaką kobiety w Kadyksie, generalnie wszystkie, wypowiadają swoje opinie na temat obrony i polityki. W ogóle, na każdy temat.

– Taka swoboda byłaby nie do pomyślenia w Madrycie czy w Sewilli... Nawet wśród najwyższych sfer.

Doña Concha odpowiada, że to przecież naturalne. W innych miejscach, dodaje, wszystko, czego wymaga się od kobiety, to żeby się dobrze ubierała, poruszała z gracją, mówiła o czterech trywialnych sprawach i wdzięcznie się wachlowała. Natomiast mieszkańcy Kadyksu, i mężczyźni, i kobiety, chętnie poznają różne rzeczy i problemy. Port i morze mają z tym wiele wspólnego. Miasto otwarte jest na światowy handel od wieków, cieszy się tradycją niemal liberalną i w tym duchu wychowuje się córki w wielu zamożnych rodzinach. W odróżnieniu od reszty Hiszpanii, a nawet od tego, co dzieje się w innych światłych narodach, nierzadko kobiety mówią obcymi językami, czytają czasopisma, dyskutują o polityce, a w razie konieczności prowadzą rodzinne interesy, tak jak jej chrześnica Lolita od śmierci ojca i brata. To wszystko jest tu dobrze widziane, nawet pochwalane, jeśli mieści się w granicach przyzwoitości i dobrych obyczajów.

– Ale to prawda – kończy – że przez wojenną zawieruchę nasze młode damy odrobinę zatracają perspektywę. Zbyt wiele tu przyjęć, balów, zbyt wiele stołów do gry, zbyt wiele mundurów... Zbyt wiele swobody i szarlatanów perorujących w Kortezach i poza nimi.

– Zbyt wiele chęci do zabawy – dodaje jeszcze wdowa Alba, która nadal szyje, nie podnosząc głowy.

– Tu nie chodzi jedynie o zabawę – protestuje Curra Vilches.

– Świat nie może ciągle należeć do władców absolutnych, musi przejść w ręce wszystkich. I sprawa teatru jest tego dobrym przykładem. Pomysł Paco de la Rosy i innych opiera się na tym, że teatr jest dobrym narzędziem wychowawczym... Będzie to niczym ambona do głoszenia nowych idei ojczyzny i narodu.

– Naród? Sama to powiedziałaś, dziecko – zauważa doña Concha. – Oni właśnie chcą klerozjernei republiki z gilotynami, która skończy z monarchią. I jednym ze sposobów, by to osiągnąć, jest konkurowanie z Kościołem. Zamienić ambonę, jak mówisz, na scenę teatralną. Tam głosić swoje pomysły, po swojemu. Dużo, jak to oni nazywają, suwerennego narodu, a mało religii.

– Liberałowie nie są przeciw religii. Niemal wszyscy, których znam, chodzą do kościoła na mszę.

– Jasne. – Doña Concha toczy wokół zwycięskim spojrzeniem.

– Do kościoła Rosario, bo tamtejszy proboszcz jest jednym z nich.

Curra Vilches nie daje się pokonać.

– A inni chodzą do starej katedry – odpowiada beczelnie – bo tam w kazaniach atakuje się liberałów.

– Nie chcesz chyba, dziecko, nawet ich porównywać.

– A mnie podoba się ten pomysł patriotycznego teatru – stwierdza Julia Algueró. – Należy ludzi wychowywać w zrozumieniu dla cnót obywatelskich.

Doña Concha zmienia kierunek ataku i sprzeciwia się opinii swojej synowej. Tak zaczęło się wszystko we Francji, narzeka, i sami widzimy, jakie są tego skutki: królowie zgilotynowani, kościoły splądrowane i pospólstwo, które nie uszanuje niczego. A na deser Napoleon. Kadyks, dodaje, zobaczył z bliska, do czego jest zdolny motłoch bez żadnych

hamulców. Przypomnijcie sobie biednego generała Solano albo podobne wypadki. Wolność prasy tylko pogorszyła stan rzeczy, w tych wszystkich pamfletach liberałowie i antyreformiści obrzucają się wzajemnie błotem, a dzienniki szczują jednych na drugich.

– Naród potrzebuje oświecenia – zabiera głos Lolita Palma. – Bez niego patriotyzm nie istnieje.

Doña Concha patrzy na nią przeciągle, jak to ma w zwyczaju. Ze szczególną mieszanką czułości i dezaprobaty, kiedy słyszy jej opinie. Lolita dobrze wie, że mimo upływu czasu i rzeczywistości, w jakiej żyją na co dzień, jej matka chrzestna nie może się pogodzić z tym, że ona nadal jest panną. Wielka szkoda, zazwyczaj tak to komentuje wobec swoich koleżanek. Taka dziewczyna, w jej wieku. I wcale nie była brzydka. I nadal nie jest. Ma wspaniałą głowę i rozsądek, świetnie radzi sobie z prowadzeniem domu i firmy, i wszystkim innym. I biedactwo będzie starą panną.

– Czasem mówisz jak te głupty z kawiarni Apollo, moje dziecko... Naród naprawdę musi tylko mieć co jeść, bać się Boga i szanować swojego prawowitego króla, to wszystko.

Lolita uśmiecha się z wyjątkową słodyczą.

– Potrzebuje też innych rzeczy, mameczko.

Doña Concha odłożyła na bok poduszeczkę z klockami i wachluje się energicznie, jakby rozmowa i żar od pieca odebrały jej dech.

– Być może – przyznaje. – Ale żadna z nich nie jest przyzwoita.

Sosnowe szczapy palące się obok pola walki kogutów wydzielają żywiczny, brudny dym, który drażni oczy. Płomienie ledwie oświetlają miejsce, czerwone refleksy pobłyskują na tłustej skórze mężczyzn zgromadzonych wokół okrągłej areny, gdzie walczą dwa koguty z piórami ściętymi ukośnie do samych dudek, z ostrogami uzbrojonymi w stalowe nakładki, z dziobami ubroczonymi krwią. Ludzie wokół krzyczą z radości albo z rozczarowania przy każdym starciu i dziobnięciu, stawiając pieniądze na kolejne możliwe rozstrzygnięcia, w zależności od tego, jak idzie walka.

– Niech pan postawi na czarnego, kapitanie – radzi porucznik Bertoldi. – Nie możemy przegrać.

Oparty plecami o palisadę otaczającą arenę Simon Desfosseux obserwuje scenę, zafascynowany brutalnością, jaką wykazują się rozjuszone ptaki, jeden jasnoczerwony, a drugi czarny z kołnierzem białych piór nastroszonych do walki. Około dwudziestu żołnierzy francuskich i kilku Hiszpanów z oddziałów sprzyjających królowi Józefowi Bonaparte zagrzewa je do boju. Ponad wysokim płotem z desek rozciąga się gwiaździste niebo i ponura, ufortyfikowana kopuła dawnej pustelni pod wezwaniem Świętej Anny.

– Czarny, czarny! – upiera się Bertoldi.

Desfosseux nie jest przekonany, czy to dobry interes. Jest coś w niewzruszonej minie właściciela czerwonego koguta, co każe mu zachować ostrożność. Jest nim chudy, siwowłosy Hiszpan o ciemnej skórze, cygańskich rysach i nieodgadnionym spojrzeniu, siedzący w kucki obok areny. Zbyt obojętny, jak na jego gust. Albo kogut i pieniądze z zakładów są dla niego nieważne, albo chowa w rękawie jakieś atuty. Francuski kapitan nie jest ekspertem, jeśli idzie o walki kogutów, ale w Hiszpanii widział ich trochę i wie, że krwawiący, osłabiony ptak może nagle odzyskać siły i jednym celnym uderzeniem dzioba powalić przeciwnika. Niektóre nawet są do tego ćwiczone. Żeby udawały, że są wykończone, o krok od wyzionięcia ducha, dopóki zakłady nie zaczną rosnać na korzyść tego drugiego, a wtedy śmiertelnie atakują.

Widzowie wyją z radości, kiedy czerwony kogut ustępuje przed dzikim atakiem swojego przeciwnika. Maurizio Bertoldi zamierza przedrzeć się przez tłum, żeby postawić jeszcze kilka franków na swojego faworyta, ale Desfosseux przytrzymuje go za łokieć.

– Na czerwonego – mówi.

Włoch patrzy zdezorientowany na złotego napoleona, którego przełożony właśnie wcisnął mu do ręki. Desfosseux nalega, poważny i pewny siebie.

– Proszę mnie posłuchać.

Bertoldi kiwa głową po chwili wahania. Decyduje się i dodaje swoje pół uncji do napoleona, i wręcza to wszystko prowadzącemu zakłady.

– Mam nadzieję, że nie będę żałował – wzdycha po powrocie.

Desfosseux nie odpowiada. Zresztą nie śledzi dokładnie walki.

Jego uwagę przyciąga trzech mężczyzn w tłumie. Zauważyli błysk monet i skórzaną sakiewkę, którą kapitan chowa w kieszeni płaszcza, i przyglądają mu się z niepokojącym uporem. Jeden ma na sobie cywilny strój, szmaciane buty i pelerynę w paski narzuconą na ramiona, pozostali ubrani są w kurtki z burego płótna z czerwonymi otokami, spodnie i sztylpy oddziałów wiejskiej milicji, które wspierają francuskie wojsko. Często są to ludzie podłego dość charakteru, przekupni, niebudzący zaufania: dawni partyzanci, złoczyńcy albo przemytnicy – w Hiszpanii różnice między nimi nigdy nie są wyraźne – którzy przysięgli wierność królowi Józefowi i teraz walczą przeciw swoim dawnym towarzyszom, mając prawo do trzeciej części wszystkiego, co zdobędą na wrogu lub przestępcach, bez względu na to, czy są oni prawdziwi, czy wymyśleni. Bezkarni, okrutni, kapryśni, gotowi do wszelkiego rodzaju nadużyć wobec swoich rodaków, milicjanci owi okazują się często bardziej niebezpieczni niż sami buntownicy, z którymi mogą iść w zawody, jeśli idzie o łupiestwo na drogach, polach i w folwarkach – bez skrupułów rabując ludność, której jakoby mają bronić.

Przyglądając się trzem poważnym, ponurym twarzom, kapitan Desfosseux raz jeszcze zastanawia się nad dwiema cechami, jakie uważa za charakterystyczne dla Hiszpanów: chaotyczność i okrucieństwo. W odróżnieniu od angielskich żołnierzy z ich ciągłą brawurą, bezlitosną i inteligentną, albo Francuzów, zawsze gotowych do walki, choć są daleko od ojczyzny, często tylko dlatego, by bronić honoru sztandaru, Hiszpanie wydają mu się ciągle tajemnicą składającą się z paradoksów: lekliwa odwaga, stoickie tchórzostwo, niestały upór. Podczas rewolucji i kampanii włoskich Francuzi, źle uzbrojeni, źle ubrani i bez wojskowego wykształcenia, szybko nabrali doświadczenia i stali się gorliwymi bojownikami o chwałę swej ojczyzny. A tymczasem Hiszpanie, jakby byli atawistycznie przyzwyczajeni do niepowodzenia i nieufni wobec swoich przywódców, tracą siły przy pierwszym starciu i idą w rozsypkę, a wojsko trzeba właściwie organizować od nowa przed każdą bitwą; a jednak, mimo to, są gotowi umierać z dumą, nie skarżąc się i nie prosząc o łaskę, broniąc się, walczą ze zdumiewającym okrucieństwem czy to w niewielkich oddziałach i indywidualnych potyczkach, czy też podczas wielkich oblężeń. Okazują po każdej porażce nadzwyczajny upór i łatwość do przegrupowania sił, po to by znów walczyć, zawsze zdecydowani i mściwi, nie objawiając nigdy poczucia upokorzenia czy też upadku ducha. Jakby bicie się, porażka, ucieczka i przegrupowanie, a potem kolejna klęska były czymś najbardziej naturalnym w świecie. Oni sami nazywają to generałem Nieważne. Dzięki niemu są groźni. On jeden nigdy nie słabnie.

Jeśli idzie o okrucieństwo Hiszpanów, Simon Desfosseux zna jego zbyt liczne przejawy. Walka kogutów świetnie je symbolizuje, bo obojętność, z jaką ludzie ci przyjmują swój los, nie pozwala na litość względem tych, którzy dostają się w ich ręce. Nawet w Egipcie Francuzi nie musieli znosić podobnej udręki, niedostatków i barbarzyństwa jak w Hiszpanii, a to popycha ich do najróżniejszych ekscesów. Otoczeni przez niewidocznych wrogów, zawsze z palcem na cynglu i patrząc ponad ramieniem rozmówcy, żyją w ciągłym zagrożeniu. Na tej jałowej, zrujnowanej ziemi, po fatalnych drogach muszą cesarscy żołnierze, obładowani jak muły, w słońcu i zimnie, na wietrze i w deszczu, maszerować na takie odległości, że nawet podróżnicy bez bagażu byłiby przerażeni. I w każdej chwili, na początku, podczas marszu i na jego końcu, w miejscu, gdzie oczekiwano chwili wytchnienia, zdarzają się potyczki z nieprzyjacielem: nie bitwy w otwartym polu, po których ten, kto przeżył, może odpocząć przy

ogniskach biwaku, ale zdradzieckie zasadzki, poderżnięte gardła, tortury, morderstwa. Dwa przypadki, o których Desfosseux ostatnio słyszał, potwierdzają okrutny charakter hiszpańskiej wojny. Przed tygodniem znaleziono sierżanta i żołnierza z 95. regimentu piechoty liniowej, pojmanych w zajeździe w Maroterze, których wciśnięto pomiędzy dwie deski i przepiłowano na pół. A cztery dni temu pewien mieszkaniec Roty i jego syn oddali władzom konia i ekwipunek należące do żołnierza z drugiego regimentu dragonów, który u nich był zakwaterowany, zapewniając, że zdezerterował. Dragona odnaleziono potem, z poderżniętym gardłem w studni. Próbował zgwałcić córkę gospodarza, jak ten wyznał. Ojcu i synowi obcięto dłonie i stopy, a następnie zostali powieszani i splądrowano ich domostwo.

– Niech pan popatrzy na czerwonego, panie kapitanie! Jeszcze się nie daje.

W głosie porucznika Bertoldiego słychać entuzjazm. Kogut, który wydawał się osaczony przez swojego wroga w rogu areny, właśnie poderwał się, używając resztki energii wcześniej skrywanej, i wściekłym uderzeniem dzioba otworzył krwawą ranę w piersi przeciwnika, który chwieje się na łapach i cofa, rozpościerając skrzydła z przyciętymi piórami. Desfosseux rzuca szybkie spojrzenie na twarz właściciela, szukając wyjaśnienia tego, co się zdarzyło, jednak Hiszpan jest niewzruszony, patrzy na ptaka tak, jakby ani poprzednia słabość, ani nagła poprawa kondycji wcale go nie dziwiły. Teraz koguty walczą w powietrzu, skaczą w zaciekłym pojedynku, atakują się dziobami i ostrogami i czarny cofa się, krwawiąc i ze słabnącymi oczami, jeszcze się nie poddaje, ale w końcu pada u stóp czerwonego, który dobija go bezlitośnie dziobem, a następnie unosi zakrwawiony łeb, żeby pieniem ogłosić swoje zwycięstwo. Dopiero wtedy Desfosseux dostrzega lekką zmianę na twarzy właściciela. Przelotny uśmiezek, triumfalny i zarazem pogardliwy, który znika, kiedy podnosi się, żeby zabrać koguta, i toczy wokół wzrokiem okrutnym i równocześnie obojętnym.

To prawda. Zwierzę, ruchomy cień w mroku, kuśtyka za nimi. Kiedy Simon Desfosseux odwraca się, żeby mu się przyjrzeć, zauważa kolejne trzy cienie, które posuwają się za nimi.

– Uwaga na manoli – ostrzega.

Ledwie wypowiedział te słowa, kiedy tamci rzucają się na nich, wymachując stalowymi ostrzami, które lśnią jak błyskawice. Desfosseux nie ma dość czasu, by wyciągnąć szablę z pochwy, gdy czuje uderzenie w ramię i słyszy nieprzyjemny dźwięk ostrza tnącego materiał jego peleryny. Nie jest bynajmniej nieustraszonym wojownikiem, ale nie pozwoli spokojnie się zarznąć. Odpycha rękami przeciwnika, mociuje się z nim, starając się uniknąć kolejnego ciosu nożem, który stale go szuka, próbuje wyciągnąć szablę, lecz mu się to nie udaje. Słyszy w pobliżu szybkie oddechy i wściekłe jęki, odgłosy walki. Przez chwilę zastanawia się, jak też idzie Bertoldiemu, jest jednak zbyt zajęty bronieniem własnego życia, by poświęcić tej myśli więcej niż sekundę.

– Na pomoc! – krzyczy.

Cios w twarz sprawia, że widzi gwiazdy przed oczami. Kolejny chrzęst rozcinanego materiału przyprawia go o skurcz w pachwinach. Zaraz mnie potną, myśli sobie. Zarzną jak proszę. Mężczyźni, z którymi się szamocze, kiedy starają się obezwładnić mu ręce – żeby mnie zabić, stwierdza, doznając ataku paniki – śmierdzą potem i żywicznym dymem. Teraz wydaje mu się, że słyszy krzyk Bertoldiego. Z desperackim wysiłkiem kapitan oswobadza się z uścisku napastników, skacze w dół zbocza i toczy się chwilę pomiędzy kamieniami i krzakami. To daje mu dość czasu, żeby wsunąć prawą dłoń do kieszeni płaszcza i wyjąć stamtąd pistolet. Jest to mała broń, niewielkiego kalibru, bardziej nadająca się dla wyperfumowanego fircyka niż dla wojskowego na froncie; ale jest lekka, wygodna do noszenia i z niewielkiej odległości równie skutecznie można z niej wpakować kulkę w brzuch jak z najnowszego modelu kawaleryjskiego roku XIII. Desfosseux ścisną pistolet lewą dłonią i unosi w górę na czas, by wycelować w kierunku najbliższego cienia, który już ma się na niego rzucić. Błysk wystrzału oświetla zdziwione oczy na ciemnej twarzy z bokobrodami, a potem słychać jęk i hałas, jaki robi ciało człowieka, który potyka się w ucieczce.

– Na pomoc! – krzyczy kapitan znowu.

Odpowiadają mu hiszpańskie złorzeczenia, brzmiące jak bluźnierstwa. Ciemne postaci, które przedtem zaatakowały Desfosseux, teraz szybko przebiegają obok niego po stoku w dół. Francuz klęka i wreszcie udaje mu się wyjąć szablę z pochwy, siecze, kiedy przebiegają, rozcina jednak tylko powietrze, nie dosięgając wrogów. Czwarty cień pochyla się nad kapitanem, który szykuje się do kolejnego ciosu szablą, kiedy rozpoznaje zmieniony głos Bertoldiego.

– Panie kapitanie! Czy wszystko z panem w porządku?

Ścieżką od ufortyfikowanej pustelni biegną strażnicy z latarnią, która oświetla ich bagnety. Bertoldi pomaga kapitanowi wstać. W bliskim już blasku latarni Desfosseux zauważa, że porucznik ma zakrwawioną twarz.

– Cudem uszliśmy z życiem – ten stwierdza nadal drżącym głosem.

Otacza ich pół tuzina żołnierzy, pytają, co się stało. Kiedy jego adiutant udziela wyjaśnień, Simon Desfosseux chowa szablę do pochwy, pistolet wsuwa na powrót do kieszeni. Potem spogląda w dół z boczna, w ciemność, gdzie rozplynęli się napastnicy. Myśli zaprzęta mu czerwony kogut, podstępny i okrutny, skaczący na arenie z nastroszonymi piórami, mokry od krwi.

– To jedna z dziwek z Santa Maria – mówi Szafot.

Rogelio Tizón patrzy na postać przykrytą kocem, spod którego wystają tylko stopy. Zwłoki leżą na ziemi, na łuku ulicy Laurel, pod murem starego, opuszczonego magazynu, wąskiego, ponurego budynku, zniszczonego i bez dachu. Kikuty trzech grubych, nagich belek obramowują niebo nad pozostałościami schodów prowadzących w pustkę.

Przykucnąwszy obok zwłok, komisarz ściąga koc. Tym razem robi to z większym lękiem, mimo zawodowej odporności. Z Santa Maria, powiedział jego pomocnik. Wspomnienia i niemiłe przeczucia pojawiają się w jego głowie. Widok nagiej dziewczyny, leżącej na brzuchu w mroku. I jej błaganie. Nie, proszę, nie. Bardzo proszę. Tylko nie ona, myśli oszołomiony. To byłby zbyt wielki zbieg okoliczności. Zbyt dużo przypadkowych zbieżności. Kiedy odsłania rozorane plecy pod podartym ubraniem, aż po pas, uderza go okropna woń, jest jak cios w nos i gardło. Nie jest to jeszcze smród zgnilizny – dziewczyna musiała umrzeć ostatniej nocy – ale zapach, już znajomy, ciała głęboko porozrywanego kańczugiem, aż po wnętrzości i odsłonięte kości. Zapach rzeźni w lecie.

– Matko Boska! – wykrzykuje Szafot za plecami komisarza.

– Człowiek nie może się przyzwyczaić, co on im robi.

Wstrzymując oddech, Tizón chwytą za włosy dziewczyny – brudne, potargane, przyklepione do czoła skrzepami krwi – i lekko pociąga w górę, żeby lepiej zobaczyć twarz. Już nastąpiło stężenie pośmiertne, unosi się też sztywna szyja. Komisarz studiuje twarz, przypominającą brudną woskową maskę, z fioletowymi śladami ciosów. Martwe mięso. Niemal rzecz. Albo bez niemal. Nie ma już niczego ludzkiego w żółtawych rysach, w zamglonych źrenicach, które patrzą niewidząco spod wpółotwartych powiek, usta jeszcze zakneblowane chustką, która tłumiała krzyki. Przynajmniej, myśli, puszczając włosy zabitej, to nie ona. Przez chwilę obawiał się zobaczyć twarz dziewczyny, z którą był po rozmowie z Caracolą. Nagie ciało, w którym z przerażeniem dostrzegł przepaść własnych mroków.

Zakrywa ciało kocem i wstaje. Z pobliskich balkonów przyglądają się jacyś ludzie, obawia się więc, że tym razem nie uda się zachować tajemnicy. Do tego doszliśmy, myśli. Szybko oblicza wszelkie za i przeciw, bezpośrednio konsekwencje tego, co się stało. Nawet w wyjątkowej sytuacji, w jakiej znajduje się miasto, pięć identycznych morderstw to zbyt wiele. Już nie da się milczeć. W najlepszym wypadku, jeśli udałoby się uniknąć publicznego skandalu i nie dopuścić do sprawy plotkarzy i pismaków, poważnych wyjaśnień będą żądali gubernator i generalny intendent.

A im nie wystarczą żadne przypuszczenia, teorie czy eksperymenty. Liczą się tylko fakty i będą żądać winnych. A jeśli ci się nie pojawią – odpowiedzialnych. Albo głowa mordercy, albo jego.

Machając z roztargnieniem laską, trzymając rękę w kieszeni surduta i z kapeluszem nasuniętym na oczy, Tizón obserwuje ulicę po obu stronach kąta prostego, jaki dzieli ją na połowę: jedna część w kierunku pobliskiej ulicy Santiago, a druga w kierunku Villalobos. Tutaj nigdy nie spadła żadna bomba. Sprawdził to zaraz na początku, kiedy dowiedział się o znalezieniu następnego ciała. Najbliższa bomba, która zresztą nie wybuchła, spadła dwa tygodnie temu naprzeciwko budowanej właśnie nowej katedry. A to może oznaczać dwie rzeczy: że jego hipoteza jest bezpodstawna albo że w najbliższych godzinach lub minutach zostanie ona potwierdzona przez atak francuskiej artylerii. Podniósłszy wzrok, obserwuje chłodno pobliskie domy, fasady i tarasy, które ze względu na swoje umiejscowienie są bardziej narażone na zniszczenie bombą lecącą z drugiej strony zatoki. Jakiś tuzin sąsiadów gapiących się z balkonów zwraca jego uwagę. Powiniennem ich uprzedzić, myśli. Ostrzec, że w każdej chwili może pojawić się pocisk, który ich okaleczy albo zabije. Chciałby zobaczyć ich twarze. Uciekajcie stąd jak najprędzej, bo spadnie wam bomba na głowę. Tak ćwierkały ptaszki. Albo posunąć się dalej: nakazać pilną ewakuację mieszkańców z ulicy Laurel i okolic – na kilka dni? kilka godzin?

– tłumacząc, że pewien morderca, według podejrzeń komisarza do spraw włóczęgów, próżniaków i ulic, działa zgodnie z przedziwnym magnetyzmem, według tajemnych prawidłowości. Rechot słyhać byłoby nawet na Trocadero. A intendent i gubernator prawdopodobnie nie śmialiby się dłużej, niż to byłoby konieczne.

W najbliższych godzinach lub minutach, powtarza w duchu. Potem robi kilka kroków ulicą, przyglądając się wszystkiemu. Od tej chwili – ta myśl przyprawia go o niepokojące mrowienie – może nie zdarzyć się absolutnie nic albo bomba spadnie z nieba i rozwali tu jego samego. Jak na ulicy Viento, ostatnim razem. Ten kot rozdarty na strzępy. Pod wpływem wspomnienia zaczyna poruszać się z absurdalną ostrożnością, jakby od wyruszenia w jednym lub drugim kierunku zależało, czy znajdzie się – czy też nie – w końcowym punkcie trajektorii francuskiego pocisku. Wtedy, przez niezwykle krótką chwilę, jakby przechodził przez takie miejsce na ulicy, gdzie nagle, w sposób niezwykle subtelny, zniknęło powietrze, pozostawiając na swoim miejscu pustkę, Tizón doświadcza nieprzyjemnego poczucia nierzeczywistości. Przypomina to, stwierdza zadziwiony, chodzenie po krawędzi przepaści – czuje się silne przyciąganie otchłani: zawrót głowy wcześniej nieznaną. Albo prawie. Być może podniecenie byłoby innym odpowiednim określeniem. Tak jak ciekawość, zaintrygowanie albo niepewność. Jest w tym też coś z mrocznej rozkoszy. Przestraszony kierunkiem biegu swoich myśli policjant ma wrażenie, że jest zbyt odsłonięty. Fizycznie kruchy. Pewnie tak czuje się żołnierz poza okopem, narażony na strzał niewidzialnego wroga. Spogląda w jedną i drugą stronę z przestachem, jakby się obudził z niebezpiecznego letargu: sąsiedzi w górze, Szafot tuż przy zwłokach, stójkowi na rogu, powstrzymujący ciekawskich. Doszedłszy do siebie, Tizón zastanawia się, która strona ulicy jest bezpieczniejsza – szybkim spojrzeniem omiata ulicę, pamiętając, że artyleria francuska strzela ze wschodu.

Zatem jest i morderca, naturalnie. Zatrzymuje się w bramie domu i analizuje słowo „zatem”. Nie bez sarkazmu. Właściwie jest zadziwiony własnym niezdecydowaniem co do wyboru priorytetów. Bomby i mordercy. Miejsca przed i po. Prawdę mówiąc, stwierdza, najbardziej go denerwuje to, że musi zająć się jednym z aspektów sprawy, nie rozwiązując jej najbardziej niepewnej części. Ale piąta zabita dziewczyna nie pozostawia wyboru. Ustalono, kto jest głównym podejrzanym, a przełożeni domagają się jego głowy. A dokładniej rzecz biorąc, będą się domagać za chwilę, waląc pięściami w stół, gdy wiadomość o nowej zbrodni rozniesie się po mieście. I tym razem stanie się głośna, nieważne jak wiele ust by uciszono. Ci wszyscy głupi gapie na balkonach i pismaki zaczną wiązać fakty. Przypominać sobie

zdarzenia. Jeśli wziąć pod uwagę, że to sprawa najpilniejsza, pozostałe elementy albo będą musiały poczekać, albo zostaną porzucone. Ta ostatnia możliwość – być może nawet pewność – doprowadza policjanta do wściekłości. Byłby naprawdę rozczarowany, gdyby musiał unieszkodliwić mordercę, nie sprawdzwszy wcześniej przedziwnych fizycznych reguł, według których toczy się jego gra. Gdyby nie sprawdził, czy morderca jest autorem, czy zwykłym wykonawcą w bardziej skomplikowanej układance. Czy posiada jedyny klucz do tajemnicy, czy jest tu tylko pionkiem.

– Co z tym Fumagalem?

Wrócił do swojego pomocnika, który przygląda się przykrytym kocem zwłokom, starannie dłubiąc sobie w nosie. Podwładny układa na twarzy całkiem niezobowiązujący grymas. Jego zadaniem nie jest interpretacja faktów, tylko ich dokładne śledzenie i informowanie o wszystkim szefa. Szafot należy do tych ludzi, którzy śpią, nie zawracając sobie niczym głowy. Spokojnym snem.

– Nadal jest pod obserwacją, panie komisarzu. Dwa patrole zmieniły się ostatniej nocy przed jego domem.

– I?

Nieprzyjemna cisza, podczas której oprawca się zastanawia, czy jednosylabowe pytanie wymaga obszernej odpowiedzi.

– I nic, panie komisarzu.

Tizón stuka w ziemię czubkiem laski, zniecierpliwiony.

– Nigdzie nie wychodził w nocy?

– O ile wiem, to nie. Agenci przysięgają, że przez cały wieczór siedział w domu. Potem poszedł na kolację do gospody Pod Przepiórką, wstąpił na kawę do kawiarni Pod Aniołem i wcześniej wrócił do domu. Światło w oknach zgasło mniej więcej kwadrans po dziewiątej.

– Zbyt wcześnie... Jesteś pewien, że potem już nie wychodził?

– Tak twierdzą strażnicy. Niech pan ode mnie więcej nie wymaga... Ci, którzy stali przed jego domem, zapewniają, że się na krok nie ruszali podczas swoich zmian, a podejrzany nawet się nie zbliżył do drzwi.

– Ulice są ciemne... Mógł pójść inną drogą. Wyjść tyłem.

Szafot marszczy czoło, głęboko się nad tym zastanawiając.

– To mi się wydaje trudne – stwierdza. – Dom nie ma tylnego wyjścia. Jedyna możliwość jest taka, że wyszedł przez okno na sąsiednie podwórze. Ale, za pozwoleniem, trudno to sobie wyobrazić.

Tizón zbliża twarz do twarzy swojego zbirą.

– A jeśli wyszedł na taras i czmychnął przez sąsiedni dom? Wymowne milczenie. Oznaczające poczucie winy tym razem.

– Do cholery, Szafot! Chyba szlag mnie trafi przez twoją głupotę! Pomocnik kuli głowę, pełen skruchy. Z uszami robi niemal to samo. A przynajmniej tak się wydaje.

– Kretyn! – dodaje Tizón. – Stado durnych półgłówków!

Szafot bełkocze jakieś usprawiedliwienia, niezbyt sensowne, a komisarz odrzuca je gestem ręki, w której trzyma laskę. Woli przejść do kwestii praktycznych. Najważniejsze, żeby ptaszek nie wymknął się z sieci. Trzeba go przytrzymać.

– A co teraz robi?

Szafot patrzy na niego pokornie. Zbite psisko, które się stara zrehabilitować wobec swojego pana.

– Jest nadal w domu, panie komisarzu. Wszystko wydaje się w normie... Na wszelki wypadek podwoiłem strażę.

– Ilu ludzi masz tam teraz?

– Sześciu.

– Znaczą potroiłeś strażę, ośle.



Obliczenia w myśli. Kadyks to szachownica. Są posunięcia skuteczne i doskonałe. Inteligentnego szachistę cechuje dar przewidywania i cierpliwość. Tizón chciałby być inteligentny, ale wie, że jest tylko sprytny.

- Zabierzcie stąd zwłoki. Do kostnicy.
- Nie czekamy na ciotkę Pietruchę?
- Nie. Tej nie warto sprawdzać dziewictwa.
- Dlaczego, panie komisarzu?
- Nie mówiłeś sam, że to dziwka? Kretyn!

Robi kilka kroków na środek ulicy i rozgląda się wokół. Chce potwierdzić to, co czuł przed chwilą, kiedy rozważał możliwość – nadal ją rozważa z obawą – spadnięcia bomby na niego. Nie jest to nic konkretnego, ale bardzo słabe, niemal nieuchwytne podejrzenie. Coś, co wiąże się z dźwiękiem i ciszą, z wiatrem i jego brakiem. Może z gęstością albo teksturą, jeśli znalazł właściwe słowo, powietrza w tym miejscu na ulicy. Nie pierwszy raz się to zdarza. Patrząc na boki, Rogelio Tizón porusza się powoli, próbując sobie przypomnieć. Jest teraz pewny, że już kiedyś doświadczył identycznego wrażenia albo jego skutków. Coś podobnego do sytuacji, kiedy myśl zdaje się rozpoznawać w tajemny sposób coś, co wydarzyło się w przeszłości. W innych okolicznościach albo w innym życiu.

Ulica Viento, nagle sobie przypomina osłupiały. Tam właśnie doznał tego samego wrażenia pustki, w opuszczonym domu, gdzie znaleziono poprzednią zabitą dziewczynę. Szczególna pewność, że w precyzyjnie określonym miejscu i momencie powietrze zmienia swoje właściwości, jakby ten punkt miał cechy zupełnie różne od całej reszty. Miejsce nieobecności albo braku wszystkiego, które jakby zostało oddzielone szklanym kloszem od całego otoczenia i równocześnie opróżnione z powietrza. Nadal zadziwiony odkryciem robi kilka kroków, żeby znaleźć się w tym samym miejscu co poprzednio. Gdy jest już w niewielkiej odległości od zwłok, dokładnie na rogu ulicy, znów odnosi wrażenie, że wchodzi do tej szczególnej, ciasnej przestrzeni, gdzie powietrze jest nieruchome, dźwięki zdają się przytłumione i odległe, a nawet temperatura jest inna. Niemal absolutna pustka, obejmująca wszystkie wrażenia zmysłowe. Pewność trwa tylko chwilę i zaraz się rozplywa. Wystarcza jednak, żeby policjantowi zjeżyły się włosy.

## Rozdział XI

W ostatnich dniach zimowe wiatry zachodnie przynoszą nad miasto mgliste zmierzchy. Przed chwilą niebo zmieniło kolor z czerwonego na niebieskoszary, a potem na czarny, w zatoce zwijano bandery i nieruchome sylwetki zakotwiczonych statków rozplywały się w mroku. Pierwsze godziny nocy wydzielają przedwczesną, niecierpliwą wilgoć, która moczy kraty w oknach, sprawia, że bruk i chodniki stają się śliskie, lśnią w widmowym blasku jedynej pobliskiej latami olejowej palącej się na rogu ulic Baluarte i Świętego Franciszka. Płomień słabo rozprasza mrok, przypomina światełko przy ołtarzu w ciemnym, pustym kościele.

- Nie pozwolę ci teraz iść samej, nie ma mowy... Santos!
- Słucham, doña Lolita.
- Weź latarnię i odprowadź panią.

W drzwiach swojego domu, w ciemności, w wełnianej pelerynce zarzuconej na ramiona, z włosami zebranymi w warkocz zwinięty nad karkiem, Lolita Palma żegna się z Currą Vilches. Przyjaciółka protestuje, bo – jak mówi – doskonale może sama przejść sto pięćdziesiąt kroków, jakie dzielą ją od jej domu przy ulicy Pedra Conde, na wprost budynku Urzędu Celnego. Nie boi się w jej wieku i w Kadyksie, że włos jej z głowy spadnie. Daj spokój, jeszcze tego by brakowało.

- Nie denerwuj mnie, dziecko – protestuje, podnosząc szerokie klapy płaszcza. – I zostaw w spokoju Santosa, którego oderwałaś od kolacji.
- Lepiej nic nie mów, głuptasie. To nie czasy, żeby wieczorami szwendać się po ulicach jakby nigdy nic.
- Mówię ci, że pójde sama. Daj spokój.
- Nie ma mowy. Santos!

Curra Vilches upiera się, lecz Lolita nie pozwala jej odejść. Jest późno, a po mieście krąży plotka o zabitych kobietach, budząc niepokój. Dopóki mordercy chodzą wolno, mówi do przyjaciółki, nie warto udawać bohaterki. Władze utrzymują, że to tylko fantazje, żadna z gazet nie wspomina o sprawie; ale Kadyks jest jak jedno wielkie podwórze, gdzie wszyscy się znają, szepcze się, że zbrodnie są prawdziwe, że policji nie udaje się znaleźć winnych i że, pomimo wolności prasy, w gazetach zastosowano wojskową cenzurę, usprawiedliwioną trwaniem wojny, by nie budzić paniki wśród ludności. Każdy to wie.

Służący nadchodzi z pobłyskującą blaszaną latarnią i Curra Vilches ulega racjom przyjaciółki. Spędziła prawie całe popołudnie u Lolity, pomagając jej trochę. To ostatni dzień miesiąca – dzień, w którym tradycyjnie wszystkie urzędy i biura firm handlowych w Kadyksie są otwarte do północy, podobnie jak banki i kantory, sklepy z towarami kolonialnymi i armatorzy, wszyscy sporządzają bilans i porządkują księgi. Zgodnie ze zwyczajem odziedziczonym po swoim ojcu, Lolita spędziła całe popołudnie w biurze na parterze, sprawdzając rachunki prowadzone przez pracowników firmy Palma i Synowie, podczas gdy jej przyjaciółka zajmowała się obowiązkami domowymi i towarzyszyła jej matce.

- Widzę, że czuje się bardzo dobrze. Jak na jej stan.

– No to idź już. Twój mąż czeka pewnie na kolację.

– On? – Curra Vilches podpira się pod boki pod płaszczem, jakby sobie kpiła. – Gdy jest w Kadyksie, cały czas zupełnie tak jak ty siedzi zakopany po szyję w korespondencji handlowej lub studiuje te swoje księgi rachunkowe... Wcale mnie nie potrzebuje. Dziś jest idealny dzień, żeby skorzystać z wolności i dopuścić się cudzołóstwa. Ostatniego dnia każdego miesiąca my, zamężne mieszkanki Kadyksu, możemy liczyć na okoliczności łagodzące... Każdy spowiednik wzięby to pod uwagę.

– Wariatka. – Lolita się śmieje.

– Możesz sobie żartować, jak chcesz. Ale w takie dni jak dzisiaj lekarze przepisują porucznika grenadierów, oficera marynarki albo coś w tym rodzaju... Kogoś, kto nie ma pojęcia o kursach walut, podwójnym księgowaniu, ale przyprawia cię o zawrót głowy, tak że masz ochotę się wachlować, kiedy tylko znajdzie się bliżej niż na odległość strzału. Z ładnymi bokobrodami i w obcisłych spodniach.

– Nie bądź wulgarna.

– Nic z tych rzeczy, moja śliczna. To ty jesteś taka porządna. Gdybym była na twoim miejscu, z tą figurą, inaczej by to wszystko wyglądało. Już bym ci ja życie spędzała zamknięta w biurze z pół tuzinem gryzpiórków i wklejając listki sałaty do zeszytów!

– Idź już sobie wreszcie... Santos, przyświecaj doń Curze.

Światło latarki rozjaśnia chodnik przed Curra Vilches, kiedy opatula się dokładniej płaszczem i rusza za starym służącym.

– Marnujesz się, przyjaciółko – mówi, odwracając się ostatni raz. – Słuchaj, co ci mówię: marnujesz się.

Lolita Palma śmieje się, już w ciemności, oparta o futrynę w wejściu.

– Idź ostrożnie, połkaczko szabel.

– Do widzenia, siostrzako zakonna.

Lolita przechodzi przez korytarz, zamyka za sobą kratę i mija wielkie donice z paprociami, ustawione na włoskich ceramicznych kaflach wewnętrznego dziedzińca. Przy studni duży kandelabr z woskowymi wysokimi świecami oświetla trzy łuki i dwie kolumny przy marmurowych schodach prowadzących na przeszklone galerie wyższych pięter. Kilka kroków na prawo, na tym samym dziedzińcu, znajdują się drzwi do części handlowej, zajmującej cały parter, z drugim wejściem od ulicy Doblones. Mieści się tu magazyn towarów delikatnych, mały salonik, główne biuro i kancelaria, gdzie dwóch pisarzy, jeden urzędnik, jeden księgowy i zarządca pracują przy świetle oliwnych kaganków, pochyleni nad pulpitemi pokrytymi stosami listów i ksiąg przyjęć towarów, zamówień i faktur. Kiedy wchodzi Lolita, omijając metalowy piec ogrzewający pomieszczenie, wszyscy skłaniają głowę w geście powitania – zabroniła im wstawać, kiedy pojawia się w biurze – i tylko Molina, zarządca, trzydzieści cztery lata pracy w firmie, podnosi się za matową szybą, wydzielającą z przestrzeni maleńki pokój, w którym pracuje. Nosi czarne zarękawki i ma gęsie pióro zatknięte za prawe ucho.

– Pojawiły się niezapłacone kwity z Hawany, pani Lolito... Na półtora procent, to nam wychodzi trzy tysiące siedemset reali na rachunku strat.

– Są jakieś szanse na ich odzyskanie?

– Niewielkie, obawiam się.

Potakuje skinieniem głowy, nie okazując zmartwienia; gdy słucha zarządcy, pojawia się jedynie przelotny mars na brwi, który można wziąć za oznakę skupienia. Suma i do przeniesienia. Kolejna strata. Roczne wynagrodzenie jednego jej pracownika, na przykład. Uczucie znużenia, jakiego doznaje, nie jest tylko wynikiem pracy przez cały dzień, który jeszcze się nie kończy. Francuska blokada, ogólny brak płynności na rynku i problemy w Ameryce coraz bardziej gnębią kupców z Kadyksu, pomimo pozornej euforii w interesach, jakie niektórzy robią dzięki wojnie. Firma Palma i Synowie nie jest tu wyjątkiem.

– Proszę wpisać do ksiąg tak, jak jest. I kiedy będzie pan miał listę faktur z Manchesteru i z Liverpoolu, proszę mi ją przynieść do biura. – Lolita spogląda wokół na swoich pracowników. – Jedli już panowie kolację?

– Nie, jeszcze nie.

– Proszę poszukać Rosasa, żeby coś wam przygotował. Jakies wędliny i wino. Macie na to dwadzieścia minut.

Popycha drzwi do saloniku, który wychodzi na ulicę Doblones, ze ścianami ozdobionymi obrazami marynistycznymi na boazerii z ciemnego drzewa, mija go i wkracza do głównego biura. W odróżnieniu od prywatnego gabinetu, na wyższym piętrze domu, z którego korzysta poza godzinami pracy, to biuro jest duże, oficjalne, a jego wystrój nie został zmieniony od czasów dziadka i ojca: wielkie biurko i biblioteka, dwa stare skórzane fotele, trzy modele statków w szklanych gablotach, oprawiony plan zatoki na ścianie, almanach Królewskiego Towarzystwa Filipińskiego, angielski zegar wahadłowy, mosiężny stojak na mapy morskie i lądowe w kącie, alkoholowy barometr, długi i wąski ze stałym wskazaniem na działce *Pogoda bardzo wilgotna*. Na biurku – z nieodzownego ciemnego mahoni, podobnie jak wszystkie meble w całym domu – stoi lampa z niebieskawego szkła, dzwonek, popielniczka z brązu, która należała do jej ojca, komplet piór i kałamarz z chińskiej porcelany, teczka z dokumentami i dwie książki z wetkniętymi dla zaznaczenia stron skrawkami papieru: *Wskaźnik arytmetyczny* autorstwa Rendona i Fuentesy i *Sztuka podwójnej księgowości*, opublikowana przez Luque i Leywę. Zebrawszy spódnice – prostą, z brązowego kaszmiru, noszoną z krótkim, wygodnym żakietem, w którym może pracować bez trudu na siedząco – Lolita zajmuje swoje miejsce. Potem poprawia wełniany szal na ramionach, podkręca knot lampy i zamyślona wpatruje się w pusty fotel przed sobą. Don Emilio Sanchez Guinea, który był z wizytą po południu, siedział w nim, kiedy wymieniali wrażenia na temat ogólnej sytuacji. Która w opinii dziedziczki firmy rodziny Palma, podobnie jak w opinii każdego mieszkańca Kadyksu z przytomną wizją przyszłości, przedstawia się niepewnie. Choć Sanchez Guinea użył terminu dokładniejszego: zatrwając.

– Wiele osób nie zdaje sobie sprawy z tego, co nadchodzi, moje dziecko. Kiedy skończy się wojna i minie ten cały liberalny katar, a Amerykę stracimy naprawdę, będziemy zrujnowani... Polityczna euforia nie tworzy interesów ani nie daje jeść.

Była to rozmowa profesjonalistów, bez mydlenia oczu, przegląd spraw, które obie firmy handlowe prowadzą wspólnie. Żadne z dwojga nie robi sobie złudzeń co do przyszłości. Mają poważne trudności, żeby zamienić pieniądze na królewskie kwity, kapitał bardzo wolno dociera do miasta, mają coraz większe problemy z ryzykownymi inwestycjami i ubezpieczeniami morskimi, ale najgorsze są trudności, jakie mają pewne miejscowe domy kupieckie, żeby utrzymać kredyt, co zależy w tym samym stopniu od dobrego imienia, jak i zdolności zachowania w tajemnicy własnych kłopotów.

– Jestem zmęczony tą ciągłą harówką, Lolito. Miasto od dwudziestu lat ciągle stawia czoło nieszczęściom świata. Wojny z Francją i Anglią, sprawa Ameryki, epidemie... Dodaj chaos panujący w królewskiej administracji, zbyt wysokie obciążenia, pożyczki na rzecz Korony i Korteżów, utratę majątków na terenach zajętych przez Francuzów. A teraz mówią, że pojawili się korsarze wśród powstańców z La Platy... Zbyt dużo walki, moje dziecko. Zbyt wiele przykrości. Czuję się za stary na to wszystko. Oby już się to skończyło, żebym mógł wycofać się do wiejskiego życia w majątku w El Puerto, o ile kiedykolwiek go odzyskam... No cóż. Myślę, że trzeba być cierpliwym... Na szczęście mam syna, który powoli wszystko przejmuje.

– Miguel to dobry chłopiec, don Emilio. Inteligentny i pracowity.

Stary kupiec uśmiechał się melancholijnie.

– Szkoda, że nie udało się twojemu ojcu i mnie przekonać was, żebyście...

Zawiesił zdanie w połowie. Lolita też się uśmiechała z łagodnym wyrzutem.

– To bardzo dobry chłopak – powtórzyła. – Zbyt dobry dla mnie.  
– Gdybyś była wyszła za niego!  
– Proszę tak nie mówić. Ma pan wspaniałą synową, dwoje pięknych wnucząt i trzecie w drodze.

Mężczyzna pokręcił głową z przygnębieniem.

– Nie wystarczy być inteligentnym i pracowitym, żeby dziś dać sobie radę w życiu. Nie zazdroszczę mu tego, co go czeka... Tego, co czeka was, młodych, po wojnie. Świat, który znaliśmy, już nie wróci.

Milczenie. Sanchez Guinea uśmiechnął się z czułością.

– Powinnaś...

– Proszę nie zaczynać znowu, don Emilio.

– Twoja siostra nie ma dzieci ani nie wydaje się, żeby jeszcze kiedyś miała. Jeśli ty... No tak. – Popatrzył wokół z żalem. – Wielka szkoda byłaby, gdyby to wszystko... Sama rozumiesz.

– Gdyby firma Palma zniknęła razem ze mną?

– Jeszcze jesteś młoda.

Lolita podniosła dłoń, ucinając temat. Nigdy nie pozwalała ani don Sanchezowi Guinei, ani nikomu innemu zapuszczać się na ten teren. Nawet swojej przyjaciółce Curze Vilches.

– Proszę, porozmawiajmy o interesach.

Stary kupiec poruszył się na fotelu zażenowany.

– Przepraszam, drogie dziecko. Nie chciałem się wtrącać.

– Wybaczam.

Zaczęli omawiać szczegóły kwestii handlowych: frachty, zobowiązania celne, statki. Trudności z nowymi rynkami, które rekompensowałyby straty wynikające z kryzysu latynoamerykańskiego. Sanchez Guinea, poinformowany, że ostatnio firma Palma i Synowie nawiązała handlowe kontakty z Rosją, próbował wybadać Lolitę. Świadoma tego – w interesach sympatia nie odgrywa żadnej roli – ograniczyła się do streszczenia ogólnych warunków: dwie podróże do Sankt Petersburga fregaty „Jose Vicuña” z winem, chininą, korkiem, solą w tamtą stronę i z olejkim bobrowym i syberyjskim piżmem – tańszym niż piżmo z Tonkinu – z powrotem. Nic, czego Sanchez Guinea i jego syn nie wiedzieliby wcześniej.

– Z mąką też nieźle ci idzie, jak się wydaje.

Lolita odpowiedziała, że się nie skarży. Import mąki północnoamerykańskiej – ma półtora tysiąca beczek w portowych magazynach – pozwolił na pewien oddech firmie Palma i Synowie w ostatnich czasach.

– Wyślesz ją do Rosji?

– Być może. Jeśli zdążę ją wyekspediować, zanim wilgoć ją zniszczy.

– Oby ci się to wszystko udało. To nie są dobre czasy... Popatrz, jakie nieszczęście dotknęło Alejandra Schmidta. Stracił statek „Bella Mercedes” z całym ładunkiem przy ławicach koło Roty.

Skinęła głową. Oczywiście, że wie o tym. Przeciwnie wiatry i wzburzone morze zepchnęły statek miesiąc temu ku brzegom okupowanym przez Francuzów, którzy złupili go, kiedy burza się uspokoiła: dwieście skrzynek chińskiego cynamonu, trzysta worków pieprzu z Moluków i tysiąc sążni tkaniny z Kantonu. Firmie Schmidta zajmie dużo czasu odrobienie tych strat, jeśli w ogóle jeszcze się to uda. W dzisiejszych czasach, gdy bywa, że w jednej podróży ryzykuje się zbyt wiele, utrata statku może być szkodą nie do powetowania. Śmiertelnym ciosem.

– Jest interes, który może cię zainteresować.

Lolita popatrzyła czujnie na swojego rozmówcę. Zna ten ton.

– Ma pan na myśli interesy robione prawą czy lewą ręką?

Pauza. Sanchez Guinea zapalił grube cygaro od płomienia lampy.

– Porządnie się namyśl. – Przymknął oczy porozumiewawczo, z sympatią. – Dobrze zarobisz.

Lolita odchyliła się na oparcie swojego skórzanego krzesła, kiwając głową. Ostrożnie.

– Czyli lewą ręką – stwierdziła. – Przecież pan wie, że nie lubię wychodzić poza zwykłe sprawy.

– Tak samo mówiłaś, gdy ci zaproponowałem udział w „Culebrze”. Sama widzisz. To dobry interes... Swoją drogą, może nie wiesz, że na wieży Tavira podniesiono czarną kulę. Widziano na pełnym morzu fregatę i duży kuter, który powoli zbliża się wzdłuż wybrzeża na zachodnim wietrze... Wiedziałaś?

– Nie. Cały dzień siedzę tutaj, przy papierach.

– To może być nasz kuter. Myślę, że jeszcze dziś w nocy minie latarnię i jutro będzie w zatoce, o ile nie zmieni się wiatr.

Z trudem Lolita odpędziła obraz Pepe Lobo od swoich myśli. Nie tutaj, stwierdziła. Nie teraz. Wszystko w swoim czasie.

– Mówiliśmy o czymś innym, don Emilio. „Culebra” jest statkiem z królewskim patentem korsarskim. Przemyt to inna sprawa.

– Ale połowa naszych kolegów trudni się nim bez żadnych oporów.

– To obojętne. Pan sam, przedtem...

W tym miejscu urwała. Przez szacunek. Sanchez Guinea patrzył na szary popiół, który zaczynał tworzyć się na czubku jego hawańskiego cygara.

– Masz rację, dziecko. Przedtem prawie nie miałem z takimi sprawami styczności. Ani z przemycem, ani z handlem niewolnikami, tak samo jak twój ojciec; choć twój dziadek Enrico nigdy nie brzydził się sprzedawaniem Murzynów... Ale czasy się zmieniły. Trzeba się przystosować do tego, co jest. Nie pozwolę, żebym – z jednej strony przez Francuzów, a z drugiej przez drapieżność naszych władz – został rozłożony na łopatki. Pochylił się nieco do przodu i wtedy popiół spadł na mahoń. – Rzecz polega na...

Lolita Palma delikatnie popchnęła popielniczkę w jego stronę.

– Nie chcę wiedzieć.

Sanchez Guinea z cygarem w zębach patrzył na nią wymownie. Nalegał.

– To niemal czysta sprawa: siedemset kwintali kakao, dwieście skrzynek gotowych cygar i sto pięćdziesiąt kwintali tytoniu w liściach. Wszystko zostawię w nocy w zatoce Santa Maria... Przywiezie to angielska szebeka z Gibraltaru.

– A Rada Miejska? A Królewski Urząd Celny?

– Nie wtrącaj się. Prawie.

Znów pokręciła głową. Z sympatią. Krótki śmiech, niedowierzający.

– To najczystszy przemyt. Całkiem bezczelny. I nie da się tego zrobić dyskretnie.

– Kto by próbował? Jesteśmy w Kadyksie, pamiętaj. Oficjalnie nigdzie nie będziemy figurować. Wszystko zostało przewidziane. Posmarowane wszystkie zawiasy od dołu do góry, żeby nic się nie zacięło. Żadnych problemów.

– W takim razie do czego jestem panu potrzebna?

– Żeby podzielić się finansowym ryzykiem. I zyskami, oczywiście.

– Nie jestem zainteresowana. I nie z powodu ryzyka, don Emilio. Wie pan, że z panem...

Sanchez Guinea oparł się w fotelu z rezygnacją. Godząc się ze stanem rzeczy. Ze smutkiem patrzył na czystą popielnicę lśniąca na ciemnym drewnie, wypolerowaną przez dotyk trzech pokoleń.

– Wiem. Nie przejmuj się, moje dziecko... Wiem.

Zza zamkniętego okna wychodzącego na ulicę Doblones dobiegają głosy rozbawionych młodzieńców z dzielnicy Viña albo z Calety, idących do tawern w Boquete, słysząc je przez chwilę, przetykane śmiechami, rytmicznymi oklaskami i kilkoma przypadkowymi nutami

wydobytymi ze strun gitary. Potem pusta ulica i noc odzyskują swoją ciszę. Lolita Palma, sama w biurze nadal wpatruje się w pusty fotel po drugiej stronie biurka. Przypomina sobie przynębiony wyraz twarzy starego przyjaciela rodziny, kiedy wstał i szedł do drzwi. Pamięta każde słowo z ich rozmowy. Nie może też wyrzucić z pamięci obrazu statku „Bella Mercedes” należącego do firmy Schmidt, rozbitego na ławicach przy Rocie, którego ładunek zrabowali Francuzi. Firmie Palma i Synowie nie byłoby łatwo podnieść się po podobnym ciosie. W dzisiejszych czasach ryzykuje się wszystko każdą podróżą, każdy statek jest wystawiony na zły bądź dobry los na morzu, przypadek, korsarzy.

Molina, zarządca, stuka do drzwi i wsuwa głowę.

– Za pozwoleniem, pani Lolito. Oto faktury z Manchesteru i z Liverpoolu.

– Proszę je tu położyć. Potem pana poproszę.

Słychać uderzenie dzwonu z pobliskiej wieży kościoła Świętego Franciszka, gdzie jest też punkt obserwacyjny, skąd strażnik ostrzega mieszkańców, gdy dostrzeże błysk ognia we francuskich bateriach na Trocadero, jedno uderzenie na każdą bombę. Po chwili dobiega huk, wprawiający w lekkie drżenie szyby w oknie. Spadł pocisk i wybuchł gdzieś niedaleko. Lolita Palma i zarządca spoglądają na siebie w milczeniu. Kiedy Molina wychodzi, Lolita próbuje przeglądać dokumenty. Siedzi nieruchomo, z wełnianym szalem na ramionach, dłonie w kręgu światła lampy. Echo słowa „korsarz” brzmi w jej głowie. Chwilę przed zapadnięciem nocy poszła zobaczyć matkę i Currę Vilches, która siedząc przy łóżku, z całą cierpliwością, na jaką stać tylko przyjaciółkę, grała z matką w karty. Potem weszła razem z Santosem na wieżę obserwacyjną na tarasie i opierając angielski teleskop o parapet okna, długą chwilę przyglądała się kutrowi, który pchany wiatrem sunął wolno z południa na północ po zamglonym czerwonym morzu o zachodzie słońca o jakieś dwie mile na zachód od murów miasta.

Ulice zamożnego Kadyksu, proste i wąskie pomiędzy wysokimi domami, zdają się wychodzić na niebo, dziś zamglone i szare, gęstniejące po zachodniej stronie miasta. Takie niebo przynosi wiatr i wodę, ocenia Pepe Lobo instynktownym rzutem oka. Od wielu dni barometry nie podnoszą głowy i korsarz cieszy się, że „Culebra” stoi spokojnie nad dziesięcioma kwintalami żelaza w zatoce, zamiast pływać po pełnym morzu ze zrefowanymi żaglami i ze wszystkim na pokładzie zamocowanym, żeby jakoś przetrwać złą pogodę. Kuter zakotwiczył wczoraj pomiędzy innymi statkami handlowymi, na trzech sążniach wody, naprzeciwko Bramy Morza, ustawiony w linii pomiędzy molem Świętego Filipa a płyciznami naprzeciwko Corrales, odsłanianymi podczas odpływu. Noc była spokojna, z wilgotnym zachodnim wiatrem, jeszcze dość słabym. Kilka wystrzałów artyleryjskich z Cabezueli, pociski, które rozdzierały powietrze ponad masztami statków, zanim spadły na miasto, nie zakłóciły niczyjego snu.

Na stałym lądzie od zaledwie trzech godzin, o pierwszym brzasku dnia, czując jeszcze pod stopami wymaginowane kołysanie ziemi, skutek trwającej czterdzieści siedem dni wyprawy morskiej – podczas której chodził niemal wyłącznie po deskach pokładu – Lobo idzie ulicą Świętego Franciszka w kierunku kościoła i placu. Jest ubrany formalnie, jak korsarski kapitan na lądzie, ciemne spodnie z grubego drelichu, buty ze srebrną klamerką, granatowa kurtka z mosiężnymi guzikami i czarny dwugraniasty kapelusz, w morskim stylu, bez galonu, ale z czerwoną rozetą, która oznacza, że jest królewskim korsarzem: strój ułatwiający załatwianie formalności biurowatycznych, sądowych i celnych, koniecznych, gdy przybija się do portu, gdzie w obecnych czasach niewiele można załatwić, jeśli się nie ma na sobie czegoś podobnego do munduru. W cukierni Cosi, wewnątrz i przy stołach zajmujących róg ulicy Baluarte, siedzi przynajmniej pół tuzina mundurowych: kilku wolontariuszy z Kadyksu, oficer Floty Królewskiej i dwóch Anglików w czerwonych kurtkach z gołymi nogami pod szkockim kiltem. Niemało też cywilów, mężczyzn i kobiet; pośród nich łatwo można

rozpoznać redaktorów „Przeglądu”, którzy tu zazwyczaj się gromadzą, po ubrudzonych tuszem palcach i papierach wystających z kieszeni; są też emigranci z prowincji zajętych przez Francuzów – ich wygląd od razu wskazuje, że są bez zajęcia, stroje mają niemodne, pocerowane albo znoszone. Wielu siedzi przy stołach zastawionych wyłącznie skromnymi szklankami z wodą.

Na ziemi siedzi żebrak, plecami oparty o ścianę, zagradzając przejście przed drzwiami zegarmistrza, który tłumaczy mu, żeby się stąd wyniósł, on jednak wcale się tym nie przejmuje. A nawet kieruje w jego stronę nieprzyzwoity gest. Podnosi wzrok na przechodzącego obok korsarza.

– Niechże pan mi coś da, panie brygadierze... Na miłość boską!

Zuchwała nuta, jaka pobrzmiewa w pozornie błagalnym tonie, i przesadzona niemal sarkastycznie ranga zaskakują Pepe Lobo. Nie zatrzymując się, szybkim spojrzeniem obrzuca żebraka: siwe, zmierzwione i brudne włosy i broda, nieokreślony wiek. Równie dobrze może mieć trzydzieści, jak pięćdziesiąt lat. Ubrany jest w bury kaftan z podwiniętymi rękawami, cały połatany, a uniesiona prawa nogawka spodni ukazuje, co powinno wzbudzić miłosierdzie, kikut po amputacji nogi nieco pod kolanem. Jeszcze jeden spośród wielu mężczyzn i kobiet próbujących przeżyć na ulicach Kadyksu, stale wyprowadzanych przez policję do dzielnic położonych przy porcie, rzucających się każdego dnia na okruchy, jakie mogą wyrwać tej stronie miasta. Korsarz idzie naprzód, nagle jednak się zatrzymuje. Jego uwagę przykuwa niebieskawy tatuaż na przedramieniu żebraka, zatarty przez czas. Kotwica, jak się wydaje. Pomiędzy działem a flagą.

– Jaki statek?

Zaskoczony żebrak wytrzymuje jego spojrzenie. Potem kiwa głową w kierunku ręki, jakby wreszcie pojał. Spogląda na tatuaż, potem znów podnosi wzrok na Pepe Lobo.

– „San Agustin”... Osiemdziesiąt dział. Pod dowództwem don Felipe Cajigala.

– Ten okręt straciliśmy pod Trafalgarem.

Usta żebraka wykrzywia bezzębny grymas, który w innych czasach i w innym życiu był uśmiechem. Obojętnym gestem wskazuje na obnażony kikut.

– Tam nie była to jedyna strata.

Lobo przez chwilę stoi nieruchomo.

– Nie dostał pan żadnej pomocy, jak sędzę – odzywa się w końcu.

– Dostałem, panie... Pomogła mi żona, kiedy została kurwą.

Teraz korsarz powoli kiwa głową. Zamyśloni. Potem wkłada rękę do kieszeni i wyjmuje monetę: stary król Karol IV spogląda w prawo, w dal, jakby to wszystko nie miało z nim nic wspólnego. Sięgając po uncję srebra, żebrak przygląda się korsarzowi z zaciekawieniem. Potem odrywa plecy od ściany i jakby się prostuje z błyskiem niezwyklej godności, podnosząc dwa palce do czoła.

– Kapral artylerii Cipriano Ortega, druga bateria, panie kapitanie.

Pepe Lobo dalej idzie swoją drogą. Teraz towarzyszy mu przykry ciężar, jaki wszyscy ludzie poddani przypadkom morza i wojny czują na widok kalectwa i nędzy drugiego marynarza. Mniej jest to poczucie litości, a bardziej niepokój o własny los. O przyszłość. Myśli o niebezpieczeństwach swego fachu, o ranach, jakie może odnieść w walce, o kulach, jakie mogą go trafić, o odłamkach, jakie mogą go ugodzić. Przenika go świadomość kruchości swego życia – igraszki powolnego upływu czasu i złego lub pomyślnego losu, który wyrzuca człowieka na margines, zmienionego w mamy śmieć, tak samo jak obojętne morze wyrzuca na plażę połamane szczątki zatopionego statku. Może i on pewnego dnia znajdzie się w tym miejscu, myśli Pepe Lobo, oddalając się od żebraka. I natychmiast nakazuje sobie przestać myśleć.

Widzi, jak Lolita Palma, ubrana w czarną suknię z tafty i szal, wychodzi z księgarni z parasolem pod pachą i wciąga rękawiczki, towarzyszy jej służąca, Mari Paz, która niesie kilka



pakunków. Spotkanie nie jest przypadkowe. Kosarz szuka jej, odkąd – przed półgodziną – opuścił biuro firmy Sanchez Guinea przy Palillero. Chwilę temu był w domu przy ulicy Baluarte, gdzie lokaj oznajmił mu, że nie wie, o której pani wróci, ale skierował go tutaj. Poszła do Ogrodu Botanicznego, a potem wybiera się do księgarni przy placu Świętego Augustyna albo przy Świętym Franciszku, powiedział. A kiedy idzie po książki, to może potrwać.

– Co za niespodzianka! Pan kapitan!

Dobrze wygląda, zauważa korsarz. Skórę ma jeszcze gładką, o delikatnym wyglądzie, ładny kształt twarzy, oczy spokojne. Nie nosi kapelusza ani żadnych ozdób poza naszyjnikiem z pereł i prostymi srebrnymi kolczykami. Włosy zebrane w kok i spięte grzebieniem z masy perłowej i turecki szal z cienkiej wełny – czerwone kwiaty wyhaftowane na czarnym tle – który nosi swobodnie na ramionach, nadają andaluzyjski koloryt prostej sukni o obniżonym stanie, z gracją podkreślającej jej talię. Jest przecież z Kadyksu, myśli korsarz, uśmiechając się w duchu. Dwa i pół tysiąca lat historii, czy ile ich tam było – w tych kwestiach Lobo nie jest tak biegły jak w swoim zawodzie – odciska swój ślad i na mieście, i na kobietach w nim mieszkających. A tym bardziej na Lolicie Palmie.

– Witamy na stałym lądzie.

Pepe Lobo odkrywa głowę, usprawiedliwiając swoją obecność w tym miejscu. Trzeba podjąć kilka decyzji w sprawach służbowych jeszcze dziś rano i don Emilio Sanchez Guinea poprosił, żeby się z nią skonsultował. Może jej towarzyszyć w drodze do biura, jeśli sobie życzy. Mówiąc to, korsarz widzi, że kobieta podnosi głowę i patrzy na szare niebo.

– Porozmawiajmy teraz, jeśli można. Zanim zaczną padać deszcz... Zazwyczaj o tej porze spaceruję.

Lolita Palma odprawia służącą, która oddala się z pakunkami w kierunku ulicy Baluarte, i patrzy na marynarza, jakby od tej chwili to on miał podejmować decyzje. Po chwili wahania Lobo gestem sugeruje dwie możliwości: pobliską cukiernię albo ulicę Camino, prowadzącą do Alamedy, murów obronnych i morza.

– Wolę Alamedę – mówi Lolita Palma.

Korsarz, wkładając kapelusz, kiwa potakująco głową, jeszcze dość niepewny. Zirytowany sobą samym i równocześnie rozbawiony – zabawne zadziwienie, można by to nazwać – tą swoją irytacją.

Lekką niepewnością, od której ma mrowienie rąk i zamglony wzrok. Od której jego głos staje się głuchy. W jego wieku. Nawet piękne kobiety nie onieśmiały go nigdy wcześniej. To zabawne. Łagodne spojrzenie, spokojna powaga kobiety, którą ma przed sobą – to jego szefowa i współpracowniczka, powtarza sobie dwukrotnie, wytrzymując jej spojrzenie – sprawiają mu przyjemność wspólnego odprężenia. Ciepło tuż obok, niesamowicie bliskie, wystarczy po prostu wyciągnąć rękę i położyć ją na szyi Lolity Palmy, by poczuć, całkiem naturalnie, bicie jej tętna i delikatne ciało. Śmiejąc się w duchu do samego siebie – ona przez chwilę patrzy na niego pytająco, a on się obawia, czy wewnętrzny śmiech nie pojawił się czasem na jego twarzy – korsarz pozwala, by absurdalne myśli pozęgłowały w dal, kapitulując wobec rozsądku.

– Naprawdę, kapitanie, ma pan ochotę się przejść?

– Jak najbardziej.

Idą środkiem wybrukowanej ulicy, on po jej lewej stronie, zdając relację. Wyprawa nie poszła źle, mówi zwięźle po sporym wysiłku, żeby się skupić. Pięć zdobytych statków, w tym jeden znaczny: francuski szkuner, który pod portugalską banderą płynął z Tarragony do Sanlucar z wysokiej jakości sukniem, skórą na buty, siodłami jeździeckimi, belami wełny i korespondencją. Listy Lobo oddał władzom portowym, wszystko jednak wskazuje, że przejęcie statku i jego ładunku zostanie uznane za zgodne z prawem. Pozostałe cztery miały mniejszą wartość: dwie tartany, jeden kecz i jedna feluka ze śledziami, rodzynekami,

żelaznymi obręczami na beczki i solonym tuńczykiem. Niewiele więcej. Feluka, portugalski statek przemytników z Faro, wiozła sakwę z dwustu pięćdziesięcioma uncjami złota, bitymi przez francuskiego króla Józka.

– Mogłoby się tak zdarzyć – kończy – że feluka sprawiłaby nam nieco kłopotu przed sądem rozstrzygającym o morskich zdobyczach. Dlatego zabezpieczyłem złoto na Gibraltarze, pod pieczęciami, żeby nikt go nie tknął.

– Były jakieś problemy z któryś z statków?

– Nie. Wszystkie poddały się od razu. Tylko feluka chciała na początku oszukać nas swoją banderą, a potem próbowała szczęścia, uciekając przed naszym pościgiem między Tarifą a przylądkiem Carnero. Jednak dwa działa czterofuntowe, które były na pokładzie, nie zostały użyte.

– A nasi ludzie są zdrowi i cali?

Podoba mu się, że powiedziała „nasi ludzie”, a nie „pańscy ludzie”.

– Tak, wszyscy, dziękuję.

– Jaką sprawę chciał pan ze mną skonsultować?

Francuzi naciskają w Tarifie, wyjaśnia jej, tak jak poprzednio w Algeciras. Wydają się zdecydowani, by opanować całą tę część wybrzeża. Mówi się, że generał Laval z dziesięcioma czy dwunastoma tysiącami żołnierzy z kawalerią i artylerią oblega tę placówkę albo jest o krok od jej oblężenia. Z Kadyksu ślą tam, co się da, ale nie ma zbyt wiele. Brakuje statków, a Anglicy, choć mają tam pułkownika i trochę swoich ludzi, nie chcą pozbywać się niczego. Przede wszystkim jest problem z łącznością, przywozem i ekspediowaniem depesz. Dowódca wojsk w zatoce, don Cayetano Valdes, twierdzi, że nie może poświęcić na ten cel ani jednej kanonierki.

– Krótko mówiąc – kończy – „Culebra” zostaje na miesiąc włączona do Królewskiej Floty.

– To znaczy zostaje zarekwirowana?

– Nie posuwają się tak daleko.

– I co będzie robić?

– Przewozić depesze i oficjalną korespondencję z Tarifą. „Culebra” jest szybka i łatwo się nią manewruje... Jest w tym pewna logika.

Lolita Palma nie wydaje się specjalnie zaniepokojona. To jasne, że już o tym wiedziała, odgaduje. Została wcześniej zawiadomiona.

– Pan zachowuje dowództwo, rozumiem.

Lobo uśmiecha się, pewny siebie.

– Na razie nie powiedziano, żeby miało być inaczej.

– To byłoby nadużycie. Nie moglibyśmy się na to zgodzić bez zapewnienia odpowiedniej rekompensaty... A w dzisiejszych czasach Królewska Flota nie płaci nikomu. Jest bankrutem, jak wszystko inne... Albo i bardziej.

Tego samego zdania są panowie Sanchez Guinea, spokojnie stwierdza korsarz. W każdym razie oni też wątpią, czy ktoś zastąpi go w dowodzeniu kutrem. Nie ma zbyt wielu oficerów, bo wszyscy zajęci są w lekkiej flocie w zatoce i w kanałach.

– W każdym razie – dodaje – król pokrywa koszty wyposażenia i wynagrodzenie dla załogi i nasz patent zostaje przedłużony na cały czas trwania służby... Jeśli mowa o wynagrodzeniu, to sprawa wcale nie jest dla mnie jasna, prawdę mówiąc. Przecież oni sami nie mają żadnych wpływów. Ale przynajmniej nie odmówią nam sprzętu. Wykorzystamy to, żeby uzupełnić zapasy prochu, lin, części zamienne i tak dalej. Spróbuję też zdobyć mechanizmy zapłonowe do dział.

Lolita Palma kiwa głową zamyślona. Pepe Lobo zauważa zmianę tonu jej głosu, kiedy mówi o sprawach służbowych. Staje się twardszy, bezosobowy. Niemal metaliczny. Teraz korsarz rzuca przelotne spojrzenie w prawo. Ukradkiem. Kobieta idzie, patrząc przed siebie,

w stronę muru, który ciągnie się u wylotu ulicy. Ładny profil, stwierdza Lobo. Słowo „piękna”, właściwe przy określaniu urody kobiet, w tym wypadku nie byłoby odpowiednie. Nos jest zbyt prosty, kapryśny. Usta wydają się twarde. Ale zapewne bywają też miękkie. Zależnie od humoru. Od tego, kto ją całuje. Przez kilka kroków zastanawia się, czy kiedykolwiek ktoś ją całował.

– Kiedy ma pan wyruszyć, kapitanie?

Korsarz nagle wraca do rzeczywistości. Chyba zgłupiałem, myśli. Czy raczej beszta sam siebie.

Spacer zaprowadził ich na plac Pozos de la Nieve. Po lewej stronie rozciąga się Alameda z wysokimi palmami i pozbawionymi liści przez zimowe chłody drzewami, rosnącymi w trzech rzędach wzdłuż murów obronnych, aż po wieże kościoła Karmelitów i jasnobrązową bryłę fortu Candelaria, który – niczym dziób statku – wdziera się w głąb szarego morza.

– No cóż – mówi Lolita Palma ze zrezygnowaną miną. – Nie sądzę, byśmy mogli temu zapobiec... W każdym razie postaram się, żeby udzielono nam wszelkich gwarancji. Z Królewską Flotą nigdy nie wiadomo. Don Cayetano Valdes to człowiek surowy w obejściu, ale jest rozsądny. Znam go od dawna... Mówi się głośno, że może zostać gubernatorem i dowódcą obrony Kadyksu, jeśli się potwierdzi pogłoska, że Villavicencio przechodzi do nowej Regencji, która ma powstać po Bożym Narodzeniu.

Zatrzymali się przy murach obronnych, na wysokości pierwszych drzew i ławek Alamedy. Zatoka widziana stąd jest tylko lekko pofałdowana, ołowiana i zimna. Żaden podmuch wiatru nie marszczy powierzchni, która stapia się z pasem przybrzeżnej mgły i niskimi chmurami po drugiej stronie zatoki, skrywającymi Rotę i El Puerto de Santa Maria. Lolita Palma opiera dłonie w rękawiczkach na rączce z hebanu i kości słoniowej swojego czarnego parasola.

– Słyszałam, że był pan w Algeciras podczas ewakuacji.

– Tak. Byłem.

– Proszę mi opowiedzieć, co pan tam widział. Tu wiemy tylko to, co w tym tygodniu piszą gazety: bezgraniczny, jak zwykle, heroizm naszych patriotów i poważne straty wroga... Sam pan wie.

– Nie ma zbyt wiele do opowiadania. Staliśmy na kotwicy w Gibraltarze, załatwiając formalności związane z przejściem portugalskiego statku, kiedy zaczęła się kanonada, a ludzie schronili się na Zielonej Wyspie i na statkach. Zostałem poproszony o pomoc, więc podpłynąłem tak blisko, jak to tylko było możliwe, ostrożnie, bo wybrzeże tam jest bardzo brudne... Przez kilka dni przewoziliśmy uchodźców i wojskowych do La Linea i zostaliśmy tam tak długo, aż Francuzi zajęli miasto i zaczęli do nas strzelać z wysokości Matagordy i z wieży Villavieja.

Opowiada zwięźle, z pewnym niesmakiem, przemilczając całą resztę: przerażone kobiety i dzieci, trzymane o głódzie i chłodzie, trzęsące się z zimna na wietrze i w deszczu, śpiące pokotem pośród kamieni na wyspie i na pokładach statków. Ostatni żołnierze i oddziały cywilnych ochotników, którzy wcześniej osłaniali aleje podczas generalnej ewakuacji, a potem siekierami porąbali mostek nad rzeką Miel, gdy biegiem wycofywali się przez plażę, byli wystrzeliwani jak kaczki przez Francuzów. Samotny saper – obserwował go przez lunetę – dźwigający swojego rannego towarzysza, po którego wrócił kilka kroków, został schwytyany przez wroga niemal w chwili, kiedy już wsiadał na ostatnią łódź.

Rozbrzmiewa dzwon za ich plecami, parę ulic z tyłu, w kościele Świętego Franciszka. Tylko jedno uderzenie. Kilku woźniców, wędkarze łowiący na murach i przechodnie biegną schronić się pod fasadami domów.

– Wystrzał artyleryjski – mówi Lolita Palma z dziwnym spokojem.

Pepe Lobo patrzy w kierunku Trocadero, choć budynki zasłaniają tę część wybrzeża.

– Pocisk dotrze za jakieś piętnaście sekund – dodaje kobieta.

Pozostaje nieruchoma, wpatrując się w szare morze. Korsarz dostrzega, że jej ręce, ciągle oparte na rączce parasola, chwytają ją z większą siłą, zaciskają się w napięciu, nowym i ledwo dostrzegalnym. Instynktownie Pepe Lobo, który wyobraził sobie trajektorię pocisku, zbliża się odrobinę, by ją osłonić. Francuskie bomby mogą spaść w każdym miejscu. Mogą też spaść im na głowę.

Lolita Palma odwraca się i spogląda na niego z zaciekawieniem. Albo tak mu się wydaje. Na ustach kobiety pojawia się niemal niewidoczny, słaby uśmiech. Być może wyraża wdzięczność. Na pewno jest zamyślony. Pozostają tak oboje, przyglądając się sobie nawzajem z bliska, w milczeniu, przez chwilę. Może ze zbyt bliska, myśli Lobo, opanowując odruch zrobienia kroku w tył. To tylko pogorszyłoby wszystko.

Głuchy wybuch gdzieś między budynkami. Daleko. W okolicach Urzędu Celnego.

– Ta nie była przeznaczona dla nas – mówi ona.

Teraz uśmiecha się wyraźnie, niemal z czułością. Tak jak tego dnia, kiedy rozmawiali o drzewie namalowanym na jej wachlarzu. A on po raz kolejny podziwia jej zimną krew.

– Czy wie pan, kto bije w dzwon u Świętego Franciszka, kiedy lecą bomby?

Korsarz mówi, że nie, a ona mu opowiada. Wolontariusz, młody zakonnik podjął się tego zadania. Angielski ambasador, kiedy zobaczył go z balkonu swojego domu, jak pokazywał Francuzom gest zgiętą w łokciu ręką pomiędzy kolejnymi uderzeniami dzwonu, zaraz zapragnął go poznać i obdarował go uncją złota. Zapewne Lobo słyszy kuplety śpiewane przy gitarach w całym mieście, w tawernach i kioskach. Miejscowego poczucia humoru i ludowej przenikliwości nie zabija nawet wojna.

– Ale pojawiają się tu nie tylko miłe anegdotki – mówi na koniec. – Podobno giną kobiety.

– Ktoś je zabija?

– Tak. Są mordowane w straszliwy sposób.

Korsarz nie słyszał o niczym, więc Lolita opowiada mu wszystko, co wie. A to niewiele. Gazety unikają tego tematu, pewnie żeby nie wzbudzać paniki wśród ludności. Ale krążą pogłoski, że ktoś uprowadza młode dziewczyny i katuje je na śmierć kańczugiem. Zabił już przynajmniej dwie. I Bóg jeden wie, jakie jeszcze dzieją się okropności. Kiedy w mieście jest tylu obcych i żołnierzy, można sobie wyobrazić. Mało kto w tych dniach ma odwagę wychodzić na ulicę w nocy.

Pepe Lobo robi zakłopotaną, skrzywioną minę.

– Czasem człowiek wstydy się, że jest mężczyzną.

Powiedział to bez zastanowienia, spontanicznie. Komentarz wypełniający ciszę po jej słowach. Zauważa jednak, że Lolita Palma przygląda mu się z zaciekawieniem.

– Nie sędzę, żeby pan się tego musiał wstydyć.

Patrzą sobie prosto w oczy przez chwilę, która kapitanowi wydaje się zbyt długa.

– Byłaby pani zaskoczona.

Kolejna cisza. Pojedyncze, drobne kropelki zaczynają spadać na twarz kobiety, zapowiadając zbliżający się gęsty deszcz. Ona jednak nie rusza się ani nie otwiera parasola, tylko stoi spokojnie przy murach, z zamglonym, szarym morzem w tle. Powinienem zaproponować, żeby się gdzieś schronić, myśli korsarz. Ale dalej tkwi w miejscu. Właściwie powinien coś zrobić albo powiedzieć, żeby przełamać tę sytuację. Cisza. I żadna z rzeczy możliwych nie ma nic wspólnego z tym, czego teraz pragnie.

– Czy kupiła pani coś ciekawego? – odzywa się w końcu. Żeby coś powiedzieć.

Ona patrzy na niego zdumiona, nie wiedząc, o czym mówi. Lobo uśmiecha się słabo. Na siłę.

– W księgarni. Na placu.

Kropelki wody błyskają coraz częściej na twarzy Lolity Palmy. Za jej plecami na szarym morzu pojawiają się grzywy maleńkich fal podnoszonych bryzą od strony wejścia do zatoki.

– Powinniśmy... – zaczyna korsarz.

– Och tak, bardzo – wreszcie odpowiada Lolita Palma, odwracając wzrok. – *Flora Hiszpanii* autorstwa Josepha Quera, pełne wydanie, w sześciu tomach... Bardzo piękna, czysta edycja.

– Ach tak?

– Opublikowana przez drukarza Ibarrę.

– Coś takiego.

Zaczyna padać naprawdę gęsto. Nagły podmuch wiatru unosi pianę przy Puercas, w głębi zatoki.

– Powinniśmy wracać – szepcze Lolita Palma z rozsądną miną.

Kiwa głową, kiedy ona otwiera parasol. Jest duży, wystarczający, żeby osłonić ich oboje, ona jednak nie proponuje, by się pod nim schronił. Idą teraz z powrotem pomiędzy drzewkami o gołych gałęziach, powoli, podczas gdy deszcz gęstnieje. Marynarz jest przyzwyczajony do znoszenia na pokładzie takich rzeczy, ale zaskakuje go, że na niej deszcz nie robi żadnego wrażenia. Kątem oka widzi, jak wolną ręką zbiera dół sukni, żeby nie zmoczyć jej w kałużach, które zaczynają tworzyć się na ziemi.

– Mamy pewną zaległą sprawę – słyszy nagle jej słowa.

Odwraca się do niej, nie rozumiejąc, co ma na myśli. Czuje, że woda spływa mu po krawędziach kapelusza i moczy kurtkę. Powinien ją zdjąć i narzucić na ramiona kobiety, żeby osłonić jej szal, ale nie wie, czy to właściwy gest. Zbyt intymny zapewne.

Zbyt poufały. Czy pada deszcz, czy nie, miasto jest za małe. Tu tak samo się liczy reputacja jak plotka.

– Smocze drzewo... – wyjaśnia Lolita Palma. – Pamięta pan?

Pepe Lobo uśmiecha się lekko zakłopotany.

– Oczywiście.

– I wyprawa botaniczna. Obiecał pan opowiedzieć mi wszystko.

Gdyby to była kobieta innego rodzaju, stwierdza korsarz, przed chwilą otarłby kropelki deszczu z jej twarzy i włosów, dotykając ich lekko palcami. Powoli. Żeby nie budzić niepokoju. Ale nie jest to inna kobieta, tylko ta. I na tym właśnie polega problem.

– Może być jutro?

Pepe Lobo robi pięć kroków i dopiero potem odpowiada na pytanie.

– Jutro też będzie padał deszcz – mówi łagodnie.

– Jasne, w ogóle nie myślę... Więc pierwszego dnia dobrej pogody. Jeszcze zanim pan wypłynie w morze albo po powrocie.

Milczenie, z odgłosem padającego deszczu w tle. Idą po wybrukowanym chodniku ulicy Doblones, blisko fasad budynków. Dom rodziny Palma jest o dwadzieścia kroków dalej, za rogiem. Kiedy kobieta znów się odzywa, jej głos jest już inny.

– Zazdroszczę panu wolności, kapitanie Lobo.

Ton jest chłodniejszy. Albo neutralny. Dzięki temu kilka rzeczy wraca na swoje miejsce.

– Nie tak bym to określił – odpowiada korsarz.

– Nie rozumie pan, kapitanie.

Dotarli do głównego wejścia do domu, stoją pod osłoną szerokiego, ciemnego korytarza prowadzącego do kraty i na wewnętrzne patio, pełne donic z paprociami. Pepe Lobo zdejmując kapelusz i otrząsa go z wody, a ona zamyka parasol. Mokra kurtka ciąży mu na ramionach. Jego buty ze srebrnymi klamerkami, całkiem przemoczone, tworzą kałużę na kafelkach.

– Człowiekiem wolnym jest ten, kto przeżywa to, czego sam chce – mówi ona. – Kto nie zna innych przeszkód niż te, które sam sobie stawia.

Teraz jest piękna, przyznaje Lobo. W delikatnym świetle dochodzącym z dwóch stron, od patio i od wejścia, z mrokiem w tle, z kropelkami deszczu. Ze wzrokiem utkwionym w nim, a jednocześnie jakby go przenikającym i biegnącym gdzieś dalej. Do miejsc z morzem i nieskończonym horyzontem.

– Gdybym się urodziła mężczyzną...

Milknie, a pustkę, jaką pozostawiły jej słowa, przysłania ledwo widoczny, zamyślony uśmiech.

– Szczęśliwie tak się nie stało – mówi korsarz.

– Szczęśliwie? – Patrzy na niego zaskoczona, niemal oburzona, choć on nie jest w stanie stwierdzić czym. – O nie, wielkie nieba. Pan...

Unosi rękę, jakby zamierzała położyć mu palce na ustach, żeby nie pozwolić mu powiedzieć ani słowa więcej. Zastyga w pół gestu.

– Późno się robi, kapitanie.

Odwraca się, popycha kratę i wchodzi do domu. Pepe Lobo zostaje sam w przejściu, przyglądając się szaremu światłu na patiu. Potem wkłada kapelusz i wychodzi na ulicę, na deszcz.

Okryty woskowanym prochowcem i w kapeluszu z ceraty, oparty o mur dla osłony przed wodą, komisarz Tizón przygląda się ciału leżącemu na ziemi kilka kroków dalej, obok stosu zgliszczy, pod którymi odnaleziono je przed trzema godzinami. Bomba spadła wczorajszego wieczoru, burząc fragment domu w zaułku leżącym na tyłach kaplicy Bożej Pasterki. Czterech mieszkańców zostało rannych, w tym leżący w łóżku staruszek, przygnieciony przez zwalisko, który jest w ciężkim stanie. Niespodzianka jednak pojawiła się rano, kiedy robotnicy odgruzowujący teren i podpierający ściany belkami razem z mieszkańcami ratowali to, co z ich dobytku można było odzyskać. Kobiety, której ciało odkryto w rumowisku na parterze, w magazynie stolarskim, od dawna już nieużywanym, nie zabił wybuch ani walące się mury: została związana, zakneblowana, a jej plecy rozdarto kańczugiem. Deszcz, który obmywa zwłoki leżące na brzuchu pośród ruin domu, mocząc włosy zlepione zaschniętą krwią, usuwa pył z gipsu i potłuczonych cegieł, odsłaniając plecy otwarte aż do wnętrza i lśniące od wody kości kręgosłupa, obnażone od podstawy czaszki aż po biodra.

– Spadające kawałki ścian zmiądzły jej głowę, trudno będzie ją zidentyfikować – zauważa zbliżający się jego pomocnik Szafot, strząsając z siebie deszcz. – Wygląda na młodą, tak samo jak pozostałe.

– Może ktoś jej poszukuje. Zanotuj, co się da, i każ to sprawdzić.

– Tak, panie komisarzu. W tej chwili.

Rogelio Tizón odrywa plecy od ściany i omijając gruzy, przemierza cały zaułek i wychodzi na ulicę Pasquin. Deszcz ciągle pada, słaby w tej części miasta, gdzie ulice gęsto krzyżują się pod kątem prostym, skutecznie zatrzymując wiatr. Machając lekko laską, policjant przygląda się sąsiednim budynkom, spustoszeniom spowodowanym przez wybuch bomby, wąskim drzwiom na końcu zaułka, łączącym go z kościołem, którego fasada wychodzi na ulicę Kapucynów. Jest oczywiste, że kobieta została zabita, zanim spadła bomba. Ta nowa zbrodnia znów wyprzedziła wybuch, podobnie jak w jednym z dwóch poprzednich wypadków – tym na ulicy Viento. Gdy zaś dokonano zabójstwa na ulicy Laurel, żadna bomba nie spadła ani przed, ani po nim, co wzmaga zamęt w głowie komisarza. To wszystko powoduje nowe komplikacje, stwierdza, myśląc z niepokojem o generalnym intendencie i gubernatorze. O tym, co będzie mógł im powiedzieć, a czego nie. To jednak będzie musiało zaczekać. Teraz zajęty jest poszukiwaniem czegoś – dokładnie nie wie czego – co bez wątplenia tu jest, w powietrzu albo w najbliższej okolicy. Chce poczuć to samo co w pozostałych miejscach zbrodni: intuicyjne, przelotne wrażenie niemal absolutnej próżni, jakby w tym miejscu spod szklanego klosza ktoś usunął powietrze lub jakby powietrze stało się nieruchome i złowrogie. Rodzaj nieobecności, braku ruchu i dźwięków, który – uważa – potrafi już rozpoznać.

Tym razem jednak Tizón nie odczuwa niczego takiego. Na darmo chodzi z miejsca na miejsce, krok za krokiem, z uporem wężąc jak myśliwski pies. Przygląda się każdemu

szczegółowi otoczenia. Ale deszcz i wilgoć wypełniają wszystko. Nagle zdaje sobie sprawę, że wczoraj wieczorem i w nocy, kiedy dziewczyna zapewne zginęła, jeszcze nie padało. Być może w tym rzecz, stwierdza. Może niezbędne są określone warunki, odpowiednia temperatura powietrza. Bóg jeden raczy wiedzieć. A może on, rozważając absurdalne związki, jakie podsuwa mu wyobraźnia, wpada w obłąd. Gotów skończyć w jednym z pawilonów hospicjum przy Calecie.

Z tak niepokojącymi myślami w głowie komisarz idzie w lewo wokół kwartału domów i dociera przed kamienną, pomalowaną na biało fasadę kaplicy Bożej Pasterki, gdzie w niszy znajduje się figura siedzącej Matki Boskiej, głaszczącej po karku baranka. Drzwi do kaplicy są otwarte i policjant ukradkiem zagląda do środka, gdzie na końcu pod ledwo widocznymi złoceniami głównego ołtarza, dominującego w niewielkiej przestrzeni o kształcie greckiego krzyża, świeci samotna lampka. Klęcząca przed ołtarzem postać w żałobie podnosi się, macza palce w chrzcielnicy, żegna się i przechodzi obok policjanta, który odsuwa się na bok. Staruszka w czarnej chuście, z różańcem. Kiedy Tizón wychodzi na ulicę, kobieta oddala się w deszczu w kierunku esplanady Kapucynów. Policjant śledzi ją wzrokiem aż do chwili, kiedy znika mu z pola widzenia. Pod osłoną portalu zapala cygaro, które ciągnie ostrożnie, obserwując kłęby dymu powoli rozplływające się w wilgotnym powietrzu. Wolałby nie czuć wyrzutów sumienia ani żadnego niepokoju w związku ze sceną, której dopiero co przyglądał się pośród gruzów w zaułku. Jedna zabita kobieta, sześć czy pięćdziesiąt niczego nie zmieniają, świat nadal tak samo się kręci w drodze ku przepaści. Koniec końców, wszystko musi mieć swój czas w samobójczym porządku rzeczy, myśli. W życiu i w śmierci, która z niego wynika. Poza tym każda obserwowana okoliczność posiada swoje własne tempo. Swój szczególnie rytm. Każde pytanie musi dać rozsądną szansę swojej odpowiedzi. On nie jest winien temu, co się dzieje, myśli, wypuszczając kolejny kłąb dymu. Jest tylko świadkiem. Ma nadzieję, że będzie tak myślał z równym przekonaniem dziś wieczorem w salonie w swoim domu. Pod milczącym, utkwionym w nim spojrzeniem żony, obok zamkniętego pianina. Trzeba odrzucić retorykę i pamiętać, że dziewczyna z zaułka jeszcze wczoraj żyła.

– Cholerny świat – przeklina na głos, ponury i zasepiony.

Wyjął zegarek z kieszonki w kamizelce i patrzy na wskazówki. Potem upuszcza niedopałek cygara na ziemię i rozgniała go mokrą podeszwą buta.

Nadeszła pora, stwierdza chłodno, by złożyć wizytę.

Na górze słyhać stukot kropel deszczu o posadzkę tarasu i o drewniany dach pustego gołębnika. Stojąc przy witrażowych drzwiach, których kolorów nie ożywia dziś szare, słabe światło z dworu, Gregorio Fumagal, ubrany w wełnianą czapkę i fartuch, pali w piecu ostatnie papiery. Nie ma z tym wiele roboty, nie jest to też nic pilnego. Niewiele zachował kompromitujących go dokumentów: zeszyty z notatkami na temat miejsc spadania bomb z ich współrzędnymi geograficznymi, obliczenia odległości, daty i trochę zapisków. Wszystko to płonie, kartka za kartką, preparator co i rusz otwiera żelazne drzwiczki i wrzuca do środka, na żar i w płomienie, pojedyncze kartki, które wrywa po szybkim przejrzeniu. Wcześniej spalił również kilka zakazanych książek francuskich filozofów wyjętych ze swoich niewinnych okładek i podartych. Starych towarzyszy rozmyślań i życia w ogóle. Ale nie ubolewa nad tym specjalnie, że widział ich dziś w płomieniach. Nic z tego nie może tu zostać.

Nie jest rozkojarzonym durniem ani nie jest ślepy. Pojawienie się innych niż zazwyczaj ludzi w tych okolicach, którzy w sposób dyskretny śledzą jego kroki, ilekroć wychodzi na ulicę, nie umknęło jego uwagi. Każdego wieczoru, zanim położy się spać, widzi z okna swojej sypialni – jedyne, jakie wychodzi na ulicę – skrupulatną obecność nieruchomej postaci, kryjącej się w mroku pod jego domem, na skrzyżowaniu ulic Escuelas i San Juan. Chodząc po mieście, gdy zatrzymywał się jakby nigdy nic przed sklepem czy barem i rozglądał ukradkiem, dostrzegał bliskie i niepokojące towarzystwo ponurych mężczyzn w

cywilnych ubraniach, o mało uspokajających obliczach. Wszystko to sprawia, że nie żywi specjalnych nadziei na przyszłość. Kiedy szczegółowo analizuje sytuację – to, co zrobił on, i to, co mogą zrobić jemu – właściwie dziwi się, że ciągle jeszcze jest na wolności.

Wszystko, co było w piecu, zmieniło się w żar i popióły. Pozostał tylko plan miasta, najważniejsze dzieło. Klucz do wszystkiego. Fumagal przygląda się melancholijnie podwójnemu arkuszowi papieru, wytartemu od częstego używania, gdzie proste i wyrysowane ołówkiem linie krzywe rozciągają się od strony wschodniej jak skomplikowana stożkowata sieć nałożona na plan ulic Kadyksu. To owoc roku codziennej, ryzykownej i bardzo precyzyjnej pracy. Niekończących się wędrówek, obliczeń i potajemnych obserwacji, które przydają mu nadzwyczajnej wartości naukowej. Wszystko jest tu zanotowane, z odpowiednimi odniesieniami: położenie geograficzne, kąty uderzenia, siła i kierunek wiatru wiejącego podczas niemal wszystkich wybuchów bomb, promień rażenia, strefy niepewne. Wartość wojskowa tego papieru dla oblegających Kadyks jest nieobliczalna. Dlatego właśnie, mimo niebezpieczeństwa ostatnich dni, trzymał go do dziś, z nadzieją, że wcześniej czy później druga strona zatoki odnowi z nim kontakt, zerwany po wyjeździe Mulata. Nic jednak się nie dzieje, a ryzyko rośnie. Ostatnie gołębie poleciały do Trocadero z wiadomościami, w których pisał, że sytuacja jest krytyczna, jednak jedyną odpowiedzią było milczenie. Upływający czas potwierdza tylko podejrzenia preparatora, że został na łasce losu. Losu, który w tym niebezpiecznym etapie życia – dni mijają mu jak we śnie, a każdy jego krok jest niepewny, jak u lunatyka – świadomie kusi pod każdym względem. Istnieją jednak nieuniknione aspekty wszelkich spraw. Sytuacje, których nie można odrzucić ani wybrać. Albo nie całkiem.

Drze plan Kadyksu na cztery części, zgniata każdą z nich w kulkę i wrzuca do pieca. Tak wszystko odchodzi, myśli. W popiół obraca się życie i pewna wizja świata. Geometria systemu porządku wszechrzeczy, zimnego i niewzruszonego, doprowadzonego do najdalszych, koniecznych konsekwencji, w całości jednak niedokończonego. Bez swego ostatecznego, straszliwego finału. Słowo to przywodzi mu na myśl małą, ciemną buteleczkę ze szklanym zalakowanym korkiem, czekającą w jednej z szuflad w pracowni: roztwór koncentratu opium, będący jego drogą, spokojną i słodką, ku wolności i obojętności w obliczu tego, co najgorsze. Blask żywszych płomieni oświeśla przygnębiłą twarz Gregoria Fumagala i szyby witryn, i drażki przymocowane do ścian za jego plecami, skąd wypchane zwierzęta patrzą w pustkę nieruchomymi oczami. Świadcowie klęski tego, kto ocalił ich od gnicia, obrócenia się w proch i zapomnienia. Na marmurowym blacie nie ma niczego. Od dawna preparator nie czuje się na siłach, by pracować. Brak mu koncentracji koniecznej do precyzyjnego operowania skalpelem, drutami i sianem. Nie ma spokoju. I po raz pierwszy w życiu, jak pamięta, brak mu zdecydowania. Być może słowo „odwaga” byłoby kolejnym dobrym określeniem z tej serii, jednak nie chce go używać. Pusty gołębnik skruszył w ostatnich tygodniach zbyt wiele zasad. Zbyt wiele rzeczy pewnych. Widząc, gdzie teraz się znalazł, gotów, by stanąć twarzą w twarz z najbliższą przyszłością i całą resztą życia – o ile rzeczywiście i jedno, i drugie będą trwały dłużej niż kilka godzin – Gregorio Fumagal nie jest w stanie pokonać swej obojętności. Nawet palenie papierów i kompromitujących książek jest gestem, który nie wydaje mu się konieczny. Jest to tylko logiczne następstwo poprzednich czynów. Niemal automatyczny odruch lojalności czy konsekwencja wobec drugiego brzegu zatoki, albo – co bardziej prawdopodobne – wobec siebie samego.

Ktoś dzwoni do drzwi. Jeden krótki dzwonek. Fumagal zamyka drzwiczki piecyka, podnosi się i idzie do korytarza. Tutaj otwiera zakratowany mosiężny judasz. Na podeście schodów widzi nieznanego mężczyznę w ceratowym kapeluszu i nieprzemakalnym płaszczu, z którego spadają krople wody. Jego nos jest duży, orli, niemal drapieżny, obramowany gęstymi bokobrodami, które łączą się na wąsach. W rękach ma ciężko wyglądającą laskę, z groźną gałką z brązu.



– Gregorio Fumagal? Jestem komisarzem policji... Czy może pan otworzyć drzwi?

Pewnie, że mogę, stwierdza w myśli preparator. Każdy inny ruch w tej chwili byłby bezużyteczny. I groteskowy. Dzieje się to, co wcześniej czy później musiało się zdarzyć. Zdziwiony swoim spokojem odsuwa zasuwkę. Otwierając drzwi, znów myśli o szklanej buteleczce schowanej w szufladzie biurka w gabinecie. Być może już wkrótce okaże się, że jest zbyt późno, by jej użyć, jednak nieopanowane uczucie ciekawości pokonuje wszelkie inne myśli. Dziwne to zakończenie. Ciekawość. Choć może to tylko usprawiedliwienie. Tchórzliwe tłumaczenie, żeby oddychać – czy dokładnie rzecz biorąc, obserwować – jeszcze jakiś czas.

– Pozwoli pan? – odzywa się mężczyzna.

Wchodzi do mieszkania, nie czekając na odpowiedź. Kiedy preparator zamierza zamknąć drzwi, policjant szybkim ruchem łaski blokuje je tak, żeby pozostały otwarte. Fumagal, zanim wejdzie za nim do mieszkania, dostrzega na podeście pół piętra niżej czekających dwóch mężczyzn w okrągłych kapeluszach i czarnych pelerynach.

– Czego pan chce ode mnie?

Policjant, który nie zdjął kapelusza ani nie rozpiął angielskiego płaszcza, stoi pośrodku gabinetu, obok marmurowego stołu, machając łaską, i rozgląda się wokół. Bardziej niż na inspekcję nieznanego miejsca wygląda to na sprawdzanie, czy wszystko jest na miejscu. Przez chwilę Fumagal zastanawia się, kiedy tamten wcześniej mógł tu być. I jak mu się udało nie zostawić żadnego śladu swojej wizyty.

– *Teraz zgnębiony ciężką niedolą siedzi spokojnie bez jedła, napoju, wśród zwierząt zabitych krwawym żelazem, widocznie, że zamiar waży złowrogi...*

Fumagal szybko mruga, zdziwiony. Policjant wypowiedział te słowa, kiedy jeszcze rozglądał się wokół, zanim spojrzał na niego. Tonem teatralnym, jakby recytował. Z pewnością to jakiś cytat, ale preparator nie wie jaki.

– Słucham?

Mężczyzna patrzy na niego intensywnie, ze skupieniem. W jego oczach jest coś niepokojącego, coś więcej niż zwykle u policjantów. Stalowy błysk nienawiści, równocześnie bezbrzeżnej i powstrzymywanej.

– Nie wie pan, o czym mówię? Na miłość boską...

Robi kilka kroków przez gabinet, przesuwając ciężką brązową gałką po marmurowym stole do preparowania zwierząt. Głośny ostry, przenikliwy dźwięk, długotrwały, obiecujący.

– Więc spróbujmy jeszcze raz – mówi po krótkiej chwili ciszy. Staje naprzeciwko preparatora i nadal patrzy w ten sam sposób.

Nie siląc się na oficjalność.

– *Okolo północy, kiedy wieczorne ogniska już gasną, miecz obosieczny porwawszy, do pustej brał się wyprawy...*

Mówi tym samym tonem recytacji, z tą samą wrogością w oczach.

– A to brzmi bardziej znajomo?

Fumagal nadal jest zdumiony. Czego innego oczekuje od wielu dni.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Tak, tak. Niech mi pan powie... Czy kiedykolwiek czytał pan *Aj asa*?

Fumagal wytrzymuje jego spojrzenie, ciągle zdezorientowany. Stara się zrozumieć.

– *Aj asa*?

– Tak. No wie pan. Sofoklesa.

– Nie, o ile dobrze pamiętam.

Teraz policjant szybko mruga. Tylko chwilę. Przez ów krótki kawałek czasu preparatorowi świta nadzieja, że to wszystko jest nieporozumieniem. Że tu nie chodzi o niego, ale o kogoś innego. Błąd policji, sądu. Skarga sąsiadów. Cokolwiek. Jednak to, co słyszy, niweczy jego nadzieję.

– Opowiem panu coś, kolego. – Policjant pochylił się nad piecykiem, otwiera drzwiczki, zagląda do środka i znów zamyka.

– W ubiegły czwartek o szóstej rano wykonano wyrok doraźnego sądu wojennego i Mulat został stracony na garocie w fosach zamku Świętego Sebastiana... Pan o tym nic nie czytał w gazetach, rzecz jasna. To delikatna sprawa, została przeprowadzona przy drzwiach zamkniętych, jak to zazwyczaj bywa w podobnych przypadkach.

Mówiąc to, kieruje się ku drzwiom na taras, które otwiera i spogląda na schody. Potem zamyka starannie drzwi, robi kilka kroków po pracowni i zatrzymuje się na wprost wypchanej mały, wystawionej w jednej z gablot.

– Poszedłem tam o świcie – ciągnie. – Było nas trzech czy czterech. Trzeba przyznać, że Mulat ze spokojem dał się zabić. Przemysłowcy to zazwyczaj twardzi ludzie. On też był twardy, rzecz jasna. Ale wszystko ma swoje granice.

Podczas kiedy policjant mówi, Fumagal niespiesznie postępuje krok w kierunku biurka, żeby zbliżyć się do szuflady z roztworem opium. Przypadkowo lub nie, policjant staje pomiędzy nim a biurkiem.

– Odbyłem kilka interesujących rozmów z Mulatem – ciągnie opowieść. – Można powiedzieć, że doszliśmy na koniec do sensownego porozumienia...

Policjant przerywa na chwilę i wykrzywia usta w grymasie podobnym do wilczego uśmiechu, ze złotym błyskiem. Potem dodaje:

– Zawsze się dochodzi, zapewniam pana. Do takiego punktu. Zawsze.

Ostatnie słowo zabrzmiało groźnie, niczym złowieszcza obietnica. Po kolejnej przerwie, podczas której przygląda się innym wypchanym zwierzętom, policjant mówi dalej. Mulat opowiadał o Fumagalu. I to sporo: o gołębiach, wiadomościach, podróżach przez zatokę, Francuzach i o całej reszcie. Potem on sam tu przyszedł, żeby rzucić okiem. Rozejrzał się pośród papierów i widział plan miasta ze wszystkimi oznaczeniami. Naprawdę bardzo ciekawy.

– Ma go pan jeszcze?

Fumagal nie odpowiada. Policjant rzuca pełne rezygnacji spojrzenie na rozgrzany piec.

– Szkoda. Liczyłem na niego. Błąd. Były też inne aspekty... Proszę zrozumieć, musiałem zyskać pewność. Dać panu kolejną... No tak. Sam pan wie, kolego. Następną okazję.

Milknie zamyślony. Potem unosi laskę i zbliża rękę do piersi Fumagala, nie dotykając go jednak.

– Naprawdę nie czytał pan Sofoklesa?

Ciągle ten Sofokles, myśli preparator. To jakiś absurdalny żart, którego rozmiaru nie jest w stanie sobie wyobrazić. Mimo swego żałostnego położenia zaczyna czuć irytację.

– Dlaczego pan o to pyta?

Policjant śmieje się przez zęby, machając w powietrzu laską. Ponuro. Nie ma wesołości, stwierdza Fumagal, w tym złowieszczym śmiechu, zapowiadającym wszystko, co najgorsze. Przelotnie rzuca ostatnie spojrzenie na zamkniętą szufladę biurka. Teraz i na zawsze bardzo odległa.

– Dlatego że pewien mój przyjaciel będzie pękał ze śmiechu, kiedy mu to opowiem.

– Czy jestem aresztowany?

Policjant przygląda mu się przez chwilę nieruchomo. Z zaskoczoną miną.

– Tak, jasne. Oczywiście, że jest pan aresztowany. A myślał pan inaczej?

Wtedy, niespodziewanie, podnosi laskę i bardzo silnie uderza nią trzykrotnie w marmur na stole. Słyszając hałas, nadbiegają dwaj mężczyźni, którzy stali na schodach. Kątem oka Fumagal widzi, że zatrzymują się w drzwiach pracowni i czekają. Teraz policjant zbliżył się bardzo do niego, tak że czuje jego oddech, gęsty od tytoniu i złego trawienia. Bliskie, złowrogie spojrzenie wbija się w jego oczy, teraz pełne nieskrywanych błysków nienawiści,

jakie dostrzegał już wcześniej. Dopiero teraz przestraszony, preparator cofa się o krok. To lęk fizyczny, po prostu. Bez ogródek. Obawia się, że policjant uderzy go ciężką gałką laski.

– Aresztuję cię pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Francuzów i zabójstwa sześciu kobiet.  
Z tych dwunastu słów najbardziej przeraża Fumagala forma „ty” drugiego z nich.

## Rozdział XII

Mówi się – wojna pełna jest różnych „mówi się” i „podobno” – że marszałek Suchet jest o włos od wkroczenia do Walencji i że zdobycie Tarify to kwestia kilku dni; jednak dla Simona Desfosseux jest to całkiem obojętne. W tej chwili jego uwagę całkowicie pochłania ogień, na którym gotuje w kociołku wodę z mieszanką palonego jęczmienia i kilkoma ziarnami kiepskiej kawy i który stara się ochronić przed podmuchami wiatru z deszczem, wdzierającymi się przez szczeliny w ścianach baraku. Nad głową kapitana artylerii burza wydobywa złowrogie jęki z dachu zrobionego z desek i gałęzi, zbitych gwoździami i powiązanych sznurkiem. Deszcz uderzający gwałtownymi falami dostaje się wszędzie, moczy całe pomieszczenie. Desfosseux siedzący na prymitywnej pryczy, która nie izoluje go od błota ani wilgoci, ma na ramionach płaszcz, głowę okrywa stara wełniana czapka, a rękawiczki bez palców, chroniące dłonie, ukazują czarne od brudu paznokcie. Życie w okopach staje się straszliwe w czas niepogody; a zwłaszcza tu, na Trocadero, na jezorze ziemi niemal płaskiej i niskiej, który wchodzi w głąb zatoki wystawionej na wiatr i pobliskie morze, między francuskimi bateriami, niemal zatopionym z powodu przyboru po deszczach w ujściu rzeki San Pedro i w kanale, gdzie woda zakryła już łachę i linię przyboju.

Nie ma sensu myśleć o Fanfanie i jego braciach przy tej pogodzie pod psem. Od czterech dni nie strzelają w kierunku miasta. Haubice stoją cicho, przykryte smołowanym płótnem, a sierżant Labiche ze swoimi ludźmi, zakopanymi do połowy sztylp w błocie swojego schronu, klnie w żywy kamień wszystko i wszystkich. Ulewy odcięły intendenturę i Cabezuela została bez zaopatrzenia. W ostatnich tygodniach artylerzyści nie dostają nawet ćwiartki racji solonego mięsa ani wodnistego i kwaśnego wina, ani jednego na cztery dni czarnego chleba, zrobionego w połowie z jęczmienia. Głód, który pod koniec tego 1811 roku niszczy całe wioski i źle wróży całemu półwypowi, dręczy też francuskie wojsko, którego służbom rekwizycyjnym z coraz większymi trudnościami udaje się zdobywać worek pszenicy czy funt mięsa w tej wrogiej krainie jałowych pól i widmowych wiosek, spustoszonych przez wojnę. I ze wszystkich cesarskich wojsk ludzie z Pierwszego Korpusu, znajdujący się na południowym krańcu Andaluzji, są najbardziej oddaleni od ośrodków zaopatrzenia; przy tym komunikacja, i tak zazwyczaj niepewna z powodu grasowania partyzanckich band, jest teraz przerwana przez gwałtowne deszcze, które nękają wybrzeże, przepelniają rzeki, zatapiają drogi i zrywają mosty.

– Ta cholerna płachta, do licha ciężkiego!

Porucznik Bertoldi, który właśnie wszedł do środka, strzepując wodę z pocerowanej i pełnej łąt peleryny, przeprasza i poprawia koc zasłaniający wejście. Widząc przed sobą wymizerowaną, brudną twarz Piemontczyka, jak zawsze uśmiechniętą mimo wody i błota, chlupoczących wokół, Desfosseux czuje chęć, żeby przeprosić za swoją gwałtowną reakcję, ale jest zbyt przybity nawet na to. Gdyby za każdy wybuch złości chcieli się przepraszać, nie mieliby czasu na cokolwiek. Ogranicza się do wskazania ruchem głowy na stojący na ogniu kociołek.

– Za chwilę będzie gotowe. Choć za smak nie mogę ręczyć.

– Dla mnie wystarczy, żeby to było ciepłe, panie kapitanie.

Napój zaczyna wrzeć. Desfosseux ostrożnie zdejmuje kociołek z ognia i wlewa dymiący płyn do metalowego kubka, który podaje Bertoldiemu. Sobie nalewa do porcelanowej filiżanki, niebieskiej i wyszczerbionej – fragment zastawy z jednego z zamożnych domów w Puerto Real, ograbionego na początku wojny – i pije małymi łykami, parząc sobie usta i język niemal z rozkoszą. Nie ma cukru ani miodu, ani niczego innego, czym można by posłodzić. Płyn nawet nie ma smaku kawy. Ale, jak mówi Bertoldi, jest ciepły. I dość gorzki. Wszystko jest kwestią wyobraźni, kiedy człowiek może sobie ogrzać brzuch.

Maurizio Bertoldi układa wygodnie nogę, która mu doskwiera. Przed trzema tygodniami odłamek hiszpańskiego pocisku zranił go podczas przeglądu baterii w forcie Ludwika. Nic poważnego, ale nadal kuleje. A ta wilgoć wcale mu nie służy.

– Sprawa dezertorów będzie załatwiona za pół godziny... Przy zmianie warty, obok głównego baraku.

Desfosseux spogląda na niego ponad parą unoszącą się z filiżanki z chińskiej porcelany. Bertoldi drapie się palcem po jasnym bokobrodzie i wzrusza ramionami.

– Jest rozkaz, że mają być obecni wszyscy oficerowie i żołnierze. Bez wyjątku.

Obydwaj artylerzyści piją w milczeniu, kolejne fale deszczu uderzają w barak, a przez każdą szczelinę w deskach wpadają krople wody. Przed tygodniem czterech żołnierzy z dziewiątego pułku lekkiej piechoty, mających już dość głodu i nędzy, wykorzystało odpływ i zdezerterowało ze swoich posterunków, porzuciwszy strzelby i amunicję, z zamiarem przejścia na stronę wroga. Jednemu udało się dopłynąć wpław do hiszpańskich kanonierek stojących na kotwicy obok przylądka Cantera, ale pozostali zostali złapani przez łódź patrolową i odtransportowani do Trocadero. Egzekucję, po doraźnym sądzie wojennym, miano wykonać dwa dni temu w Chiclanie, jednak zła pogoda uniemożliwiła transport więźniów. Marszałek Victor rozkazał, aby cała trójka została rozstrzelana na miejscu. Przy tak okropnej pogodzie, która dodatkowo osłabia morale wojska i sprawia, że ludzie opadają niespokojne myśli, odpowiednia kara ustawi sprawy na swoim miejscu. Lub przynajmniej tego należy się spodziewać.

– No to chodźmy – mówi Desfosseux.

Kończą kawę, owijają się pelerynami, kapitan przypina szablę i zmienia wełnianą czapkę na stary dwugraniasty kapelusz, okryty ceratową osłoną. Odsuwają zasłonę i wychodzą na zewnątrz, w błoto. Za krętą linią brzegu półwyspu Trocadero widać na zatoce wały pionowych fal i szarą pianę. Kadyks ledwo majaczy w głębi krajobrazu: długa, mroczna wstęga oświetlana rysującymi zygzaki na ponurym niebie błyskawicami, po których słychać odległe grzmoty i których światło rysuje kontury kołyszających się statków, z trudem utrzymujących się na kotwicznych linach, z dziobami skierowanymi na południowy wschód.

– Ostrożnie, panie kapitanie. Most drży, jakby był żywy.

Woda grozi zatopieniem zbitej z desek kładki, która chroni wykop odpływowy pomiędzy drugą a trzecią baterią. Simon Desfosseux przechodzi po kładce ostrożnie, obawiając się, by nie porwało go morze. Droga biegnie pełnym kałuż okopem, chronionym przed hiszpańskim ostrzałem nasypem, kosztami z ziemią i faszyną. Za każdym razem, kiedy artylerzysta zanurza buty w błocie, woda dostaje się do środka przez szpary w podeszwie i sięga powyżej kostek, przemaczając szmaty, którymi ma okręcone stopy. Idący nieco przed nim Bertoldi utyka i chlupie przy każdym kroku, pochylając się przed falami wiatru wyjącego pomiędzy kosztami i marszczącego gęstą i brunatną wodę, i od czasu do czasu spokojnie obciąga poły płaszcz.

Za głównym barakiem, gdzie składowane są ławety, działa i inne elementy uzbrojenia artyleryjskiego, a niekiedy przetrzymuje się tymczasowo więźniów, znajduje się wąwóz prowadzący aż do kanału Trocadero, szerokości jakichś siedemdziesięciu węzłów, którym płynie strumień wzburzonej, mulistej wody rzecznej. Nad wąwozem stoi półtorej setki żołnierzy i oficerów, okrytych pelerynami, w burch i szarych płaszczach, w kapeluszach i czakach spływających wodą, wszyscy wyczekują w milczeniu, tworząc półokrąg. Desfosseux

stwierdza, że sierżant Labiche i jego ludzie też tam są, ponuro przyglądają się całej scenie, spluwając przez zęby z niezadowoleniem. Właściwie wszyscy powinni stać w regularnym szyku, ale przy tej pogodzie, w ulewnym deszczu, nikt nie ma ochoty trzymać się regulaminów.

W drzwiach baraku Simon Desfosseux widzi dwóch hiszpańskich oficerów, którzy chroniąc się przed deszczem pod płóciennym dachem, pilnowani przez strażnika z bagnetem, przyglądają się wszystkiemu z daleka. Obaj są ubrani w niebieskie mundury wrogiej armii. Jeden ma ramię na temblaku, a ten drugi nosi na kurtce szlify porucznika marynarki. Desfosseux dowiedział się, że burza wczoraj zerwała z kotwicy ich felukę i zniosła ją na brzeg Trocadero. Wykazując duże doświadczenie i zmieniając konieczność w cnotę, porucznik kazał rozwinąć żagle, zyskując sterowność jednostki, i skierował ją na plażę Cabezueli, unikając niebezpiecznie bliskich skał. Starał się jeszcze spalić felukę, jednak deszcz mu to uniemożliwił, w końcu został pojmany wraz z drugim oficerem i dwudziestką członków załogi. Teraz Hiszpanie czekają na pierwszy transport jeńców do Jerezu, początkowego etapu ich francuskiej niewoli.

W wąwozie, niedaleko brzegu kanału, trzech dezerterów czeka na wykonanie wyroku, każdy strzeżony przez dwóch żandarmów, wyglądających jak zwykle nienagannie, mimo deszczu, w charakterystycznych dwugraniastych kapeluszach i z karabinami wiszącymi lufą do dołu pod niebieskimi pelerynami. Kapitan Desfosseux, który razem z Bertoldim dołączył do grupy oficerów, z zainteresowaniem spogląda na więźniów. Stoją na deszczu bez płaszczy, z odsłoniętymi głowami i rękami związanymi na plecach, jeden w kamizelce i koszuli, pozostali w mokrych niebieskich bluzach, ubłoconych spodniach z brązowego sukna, zarekwirowanego w klasztorach. Ten w samej koszuli to kapral, ktoś mówi. Niejaki Wurtz, z drugiej kompanii. Pozostali są bardzo młodzi albo tak wyglądają. Jeden z nich, chudy i rudowłosy, rozgląda się przerażony wokół, drżąc tak gwałtownie – z zimna albo strachu – że żandarmi muszą go podtrzymać. Pułkownik ze sztabu głównego księcia de Bellune – przeklinając w duchu, że musiał tu przyjechać z Chiclany w taką pogodę – podchodzi do więźniów z papierem w rękę. Miejscami miękka, miejscami śliska i błotnista ziemia nie pozwala mu iść prosto. Kilka razy niemal się przewraca.

– Rozpoczyna się farsa. – Za plecami Desfosseux syczy ktoś przez zęby.

Pułkownik stara się odczytać wyrok, ale deszcz i wiatr mu to uniemożliwiają. Po kilku słowach rezygnuje, składa mokry papier i daje znak podoficerowi żandarmów, który zamienia parę słów ze swoimi ludźmi, podczas gdy pluton piechoty, będący poza zasięgiem wzroku skazańców, ustawia się niechętnie przy baraku. Trzej mężczyźni zostali teraz obrócenii plecami do nich, twarzą do kanału, i przewiązują im oczy. Ten, który jest w samej koszuli, na początku się opiera. Jeden z jego towarzyszy – chłopiec drobny, ciemnowłosy – spokojnie pozwala wszystko ze sobą robić, jak lunatyk, natomiast rudemu, kiedy tylko odchodzą żandarmi, nogi odmawiają posłuszeństwa i pada na kolana na ziemię, w błoto. Jego jęki słychać w całym wąwozie.

– Mogli ich przywiązać do słupków – komentuje z niesmakiem porucznik Bertoldi.

– Saperzy wbili drewniane pale – mówi kapitan. – Ale woda je przewróciła... Ziemia jest zbyt miękka.

Pluton staje w szyku za więźniami: dwunastu ludzi z karabinami i porucznik dziewiątego regimentu lekkiej piechoty w niebieskiej pelerynie, w ociekającym wodą kapeluszu i z obnażoną szablą. Zgodnie z rozkazem marszałka Victora, kaci należą do tego samego pułku co skazańcy. Piechurzy mają posępne miny i jest oczywiste, że wcale nie chcą tu być, w deszczu lśni czarna guma na czakach i płaszczach, którymi chronią zamki swojej broni. Rudowłosy chłopiec nadal siedzi w błocie, z rękami związanymi na plecach i ciałem pochylonym do przodu, jęcząc bez ustanku. Ten w samej koszuli odwraca nieco do tyłu twarz z zawiązanymi oczami, jakby nie chciał przegapić chwili, kiedy będą do nich strzelać. Oficer

plutonu mówi coś, opierając ostrze szabli na ramieniu, potem podnosi rękę i karabiny wędrują w górę, tworząc mniej więcej równą poziomą linię. Niektóre niezbyt szybko. W zasadzie po czterech powinno celować w plecy każdego ze skazańców, których sylwetki odcinają się od wzburzonego nurtu wody w pobliskim kanale.

Simon Desfosseux nie słyszy komendy: „Pal”. Docierają do niego nieregularne odgłosy wystrzałów – pojedynczych, jakby niechętnych, zamiast zgodnej z regulaminem jednoczesnej salwy, a niektóre spłonki nawet się nie zapalają od iskry – i dostrzega białawy dym prochu, który deszcz natychmiast rozprasza.

– Cholera, cholera – mruczy pod nosem Bertoldi. – Cholera.

Partanina, myśli Desfosseux, odpowiednia do dnia i okoliczności.

Ma ochotę zwymiotować napój wypity mniej niż pół godziny wcześniej. Dezerter w kamizelce upadł na twarz w błoto, leży nieruchomo, a deszcz szybko roznosi szkarłatną plamę po rękawach mokrej koszuli. Drobny, ciemnowłosy chłopak tymczasem, przewrócony na bok, kopie stopami w glinie: stara się odczołgać pomimo skrępowanych na plecach rąk, zostawiając za sobą strumyk krwi. Cały czas unosi głowę – ciągle ma zawiązane oczy – jak ślepiec, kiedy próbuje zobaczyć, co dzieje się wokół. Natomiast rudowłosy nadal siedzi na ziemi, jęcząc ze strachu, choć bez widocznego śladu zdraśnięcia, pośród fal deszczu, które przesywają wszystko.

Bura, jaką pułkownik ze sztabu daje porucznikowi, a potem krzyki oficera do niezdarnego plutonu, docierają do Simona Desfosseux bardzo dokładnie. Żołnierze stojący nad wąwozem patrzą po sobie nawzajem lub otwarcie przeklinają, spoglądając na oficerów. Nikt nie wie, co robić. Po chwili wahania porucznik wyciąga pistolet spod peleryny i niepewnym krokiem mija klęczącego skazańca, podchodzi do tego, który się czołga, i strzela do niego, jednak po wzniesieniu iskry pali się tylko trochę zawilgotniałego prochu i kula nie wydostaje się z lufy. Porucznik przygląda się broni i, zbity z tropu, coś w niej reguluje. Potem odwraca się do plutonu i wydaje rozkaz ponownego ładowania broni, wszyscy jednak, łącznie z Desfosseux, wiedzą, że przy tym wietrze i deszczu nic z tego nie wyjdzie.

– Wykończą ich wreszcie bagnietami, sami zobaczycie – mruczy jeden z oficerów.

W grupie rozlega się kilka pojedynczych, powstrzymywanych odgłosów sarkastycznego śmiechu. Sytuację rozwiązuje stojący w wąwozie podoficer żandarmerii, weteran o gęstych wąsach. Zachowując zimną krew, bez oczekiwania na rozkaz, bierze karabin jednego ze swoich ludzi, podchodzi do czołgającego się rannego i dobija go strzałem z bliska. Potem bierze broń kolejnego z żandarmów, idzie do rudzielca siedzącego na ziemi i wali mu prosto w głowę. Chłopiec pada na twarz skurczony. Sierżant oddaje karabin i obojętnie chlupocząc w błocie, przechodzi przed skonsternowanym porucznikiem, nie patrząc na niego, i salutuje przed pułkownikiem ze sztabu głównego. Ten, nie mniej skonfundowany, oddaje mu pozdrowienie.

Mężczyźni powoli wracają do swoich kwater. Niektórzy mruczą coś pod nosem, inni rzucają ostatnie spojrzenia na trzy nieruchome ciała leżące nad brzegiem kanału. Porucznik Bertoldi patrzy na dwóch hiszpańskich oficerów marynarki, których strażnicy odprowadzają do baraku.

– Wcale mi się nie podoba, że manole to widzieli – stwierdza.

Simon Desfosseux podnosi mokre kłapy płaszcza i kuląc głowę pod kolejnymi falami deszczu, uspokaja swojego adiutanta.

– Niech się pan nie martwi... Oni ze swoimi robią to samo. A są niezrównani w okrucieństwie.

Kapitan rusza przed siebie pełnym błota okopem, w kierunku na wpół rozwalonego pomostu. Marzy o odrobinie ognia, który by wysuszył wilgoć z ubrania i rozgrzał skostniałe ręce. Może mu się poszczęści i kawa będzie jeszcze choć trochę ciepła, dodaje w myśli z radosnym optymizmem. Trudno sobie wyobrazić, dochodzi do wniosku, jak ważne stają się w

sytuacjach ostatecznych, jak ta, w której są teraz, gorący łyk, kawałek chleba czy – szczyt luksusu w tych dniach – fajka albo papieros. Czasem się zastanawia, czy kiedyś po tym uda mu się przyzwyczać do innych warunków, których być może doczeka, jeśli przeżyje. Do patrzenia każdego dnia na twarz żony i dzieci. Do podziwiania pejzaży, którym będzie mógł się przyglądać, nie obliczając automatycznie krzywych balistycznych i miejsc wybuchu. Do łąk, gdzie można leżeć z zamkniętymi oczyma, nie bojąc się, że ukradkiem partyzant podejdzie i tak po prostu poderżnie ci gardło.

Idąc z trudem, na zmianę zanurzając wysokie buty w gliniastej wodzie i wyciągając je z niej, słyszy chłopot spod nóg Maurizia Bertoldiego i jego gderanie:

– Wie pan, co ja myślę, kapitanie?

– Nie i nie chcę wiedzieć.

Kolejny plusk. Porucznik znów się odzywa po dłuższej chwili, tak jakby się głęboko zastanowił nad słowami przełożonego.

– Trudno... I tak powiem, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Kolejne gwałtowne uderzenie deszczu. Simon Desfosseux przytrzymuje kapelusz i kuli głowę, zły.

– Mam coś przeciwko. Niech się pan zamknie.

– Ta wojna to jest gówno, panie kapitanie.

Nagi mężczyzna, skulony w kącie pod murem, podnosi rękę, osłaniając twarz, kiedy Rogelio Tizón pochyla się nad nim, żeby mu się przyjrzeć. Rozbite, spękane wargi, ślady ciosów, mocno podkrążone oczy wskutek cierpienia i braku snu – osobnik, którego ma przed sobą, nie przypomina mężczyzny zatrzymanego pięć dni temu na ulicy Escuelas. Doświadczonym okiem specjalisty komisarz szacuje szkody i ocenia możliwości wynikające z tej sytuacji. Są dość elastyczne. Przed chwilą kazał sprowadzić względnie zaufanego lekarza: pijaczka, który zazwyczaj sprawdza, kiedy są po temu okoliczności, stan zdrowia dziwek przy Santa Maria i Merced. Człowiek jeszcze wytrzyma rozmowę, brzmiała diagnoza łapiducha. Dobry puls i regularny oddech, jak na tę sytuację. W umiarkowanych dawkach i z wyczuciem można jeszcze ciągnąć latawiec za sznurek. Tak sądzą. Potem, obciążwszy sobie dodatkowo kieszeń znoszonego płaszcza o pół uncji cennego metalu, medyk – Casimiro Escudillo, lepiej znany w lokalach Kadyksu jako doktor Wycior – poszedł prosto do najbliższego wyszynku, by ciało stałe świeżego, szybkiego zarobku przemienić w płyn. Tizón nadal tu jest, jak zwykle w towarzystwie Szafota i drugiego funkcjonariusza, pociągających za sznurek latawca. Pogrążony w rozmowie z Gregoriem Fumagalem, czy raczej tym, co z niego zostało.

– Zaczniemy jeszcze raz od początku, kolego – mówi Tizón.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Preparator jęczy, kiedy podnoszą go i wleką ku stołowi, po czym kładą tak, że krawędź blatu znajduje się na wysokości nerek. Jego słabo owłosiona, brudna skóra lśni od zimnego potu w blasku łojowej lampki, która słabo oświetla pozbawioną okien piwnicę. Funkcjonariusz przytrzymuje mu nogi, usadawiając się na nich, natomiast Rogelio Tizón przystawia krzeselko i z łokciami na oparciu siada blisko głowy więźnia zwisającego większą częścią tułowia w powietrzu poza krawędzią blatu. Usta Fumagala otwierają się szeroko z wysiłku podczas oddychania, krew napływa mu do twarzy. W ciągu tych pięciu dni powiedział tyle, że już dziesięć razy skazano by go na garotę za szpiegostwo, jednak nic z tego tak naprawdę nie interesowało Tizona. Komisarz przysuwa się jeszcze bliżej i recytuje spokojnym głosem, jakby tonem zwierzeń.

– Maria Luisa Rodriguez, szesnaście lat, przy Bramie Ziemi... Bernarda Garre, czternaście lat, gospoda Kulawego... Jacinta Herrero, siedemnaście lat, ulica Amoladores...



I tak aż do końca listy sześciu nazwisk, sześciu liczb określających wiek, wszystkie poniżej dziewiętnastki, sześciu miejsc w Kadyksie. Z długimi pauzami, dając Fumagalowi okazję, żeby wypełnić przerwy. Tizón kończy wymienianie i pozostaje nieruchomy, ciągle z ustami w pobliżu prawego ucha preparatora.

– I te cholerne bomby – dodaje na końcu.

Leżąc w odwrotnej pozycji, z twarzą ściągniętą bólem, tamten patrzy na niego zamglonym wzrokiem.

– Bomby – szepcze słabo.

– Właśnie. Określone miejsca, które zaznaczałeś na swoim planie, pamiętasz? Punkty trafień. Kadyks.

– Już powiedziałem wszystko... o bombach...

– Wcale nie, zapewniam cię. Postaraj się przypomnieć. Jestem zmęczony i ty też... Marnujemy czas.

Preparator podnosi się, jakby spodziewał się ciosu. Kolejnego.

– Powiedziałem wszystko, co wiem – jęczy. – Mulat...

– Mulat nie żyje i jest pogrzebany. Został stracony, pamiętasz?

– Ja... Bomby...

– Właśnie. Bomby, które wybuchają, i zabite kobiety. Opowiedz mi o tym.

– Nic nie wiem... o kobietach.

– To niedobrze. – Tizón wykrzywia usta w uśmiechu, któremu nie towarzyszy ani cień wesołości na twarzy. – Przy mnie lepiej jest wiedzieć, niż nie wiedzieć.

Więzień porusza głową w obie strony, omdlewając. Po chwili wstrząsa nim dreszcz i wydaje z siebie długi, głuchy jęk. Z zawodową ciekawością komisarz obserwuje strumyk śliny, który wypływa mu z kącika ust, biegnie przez całą twarz i spływa kroplami na ziemię.

– Gdzie ukryłeś kańczug?

Fumagal na próżno porusza wargami. Jakby nie udawało mu się wypowiedzieć słów.

– Kańczug? – wreszcie mówi.

– Właśnie. Spleciony z metalu. Twoje narzędzie kaźni.

Preparator zaprzecza słabym ruchem głowy. Tizón spogląda krótko na Szafota, który podchodzi do stołu z batogiem w ręce. Pomocnik uderza Fumagala tylko raz, szybko i celnie, między uda. Jego jęk staje się teraz wrzaskiem przerażenia.

– Nie warto – odzywa się Tizón z okrutną łagodnością. – Zapewniam cię, nie warto.

Czeka chwilę, uważnie obserwując twarz więźnia. Potem znów patrzy na Szafota i rozbrzmiewa kolejny cios, a krzyk Fumagala staje się ostrzejszy: pisk przerażenia i rozpacz, który komisarz analizuje uchem zawodowca, pragnąc usłyszeć właściwą nutę, dotrzeć do tego punktu, którego szuka. I którego, stwierdza ze złością, nie znajduje.

– Marla Luisa Rodrlguez, szesnaście lat, przy Bramie Ziemi...

– zaczyna cierpliwie od nowa.

Kolejne jęki. Kolejne ciosy batogiem i wrzaski. Następne pauzy, dokładnie wyliczone. Powinni tu się pofatygować ci liberalni paniczycy z Korteżów, myśli sobie Tizón podczas jednej z nich. Bawiący się w idealny świat, narodową suwerenność, *habeas corpus* i resztę modnych dziś głupot.

– Nie chcę wiedzieć, dlaczego je zabiłeś – mówi po chwili. – Przynajmniej na razie... Tylko żebyś potwierdził miejsca po kolei... I dlaczego przed trafieniami bomb i po trafieniach... Słyszysz mnie?

Oczy preparatora, wytrzeszczone z bólu, patrzą na niego przez moment. Tizonowi wydaje się, że dostrzega w nich błysk zrozumienia. Albo załamania.

– Opowiedz mi wszystko, a potem odpoczniesz. Odpoczną ci tutaj przyjaciele, odpocznijemy wszyscy.

– Bomby – mruczy Fumagal głucho.

– No właśnie, kolego. Bomby.

Człowiek porusza wargami, nie wydając żadnych dźwięków. Tizón przysuwa się jeszcze bliżej, nasłuchując z uwagą.

– No, powiedzże wreszcie... Sześć bomb i sześć zabitych kobiet. Skończmy to wreszcie.

Z bliska czuć, że więzień śmierdzi kwaśno, potem i rozkładającym się mięsem. Obrzękłym ciałem. Wilgotnym. Taki zapach mają wszyscy po kilku dniach kuracji. Po ciągnięciu latawca za sznurek, jak to nazywa doktor Wycior.

– Nic nie wiem... o kobietach.

Szept brzmi jak podmuch ostatniego tchnienia. Po nim następują torsje. Komisarz, który zbliżył ucho do ust preparatora, żeby usłyszeć, co mówi, odsuwa się z niesmakiem.

– Szkoda, że nic nie wiesz.

Brutalny, pozbawiony wyobraźni i inicjatywy innej niż wypełnianie rozkazów szefa i zwierzchnika pomocnik czeka z batogiem w ręce, oczekując polecenia, by znowu bić. Tizón spojrzeniem odwodzi go od tego.

– Spokojnie, Szafot. To jeszcze długo potrwa.

Słoneczny promień przedziera się przez zasłonę niskich, gęstych chmur, jaka utrzymuje się jeszcze poza wzgórzami Chiclany, po drugiej stronie kanału Saporito, przy Sancti Petri i labiryncie kanalików i salin. Kiedy Felipe Mojarra wychodzi z domu, światło poranka przenika przez mgłę i zaczyna odbijać się w taflach nieruchomej szarej wody, która wezbrała ostatnio podczas deszczy i przyływu. Zostawia za sobą ganek z daszkiem z gałęzi winorośli, poskręcanych i nagich w zimie, i idzie powoli, patrząc na sterty zmieszanych z błotem połamanych konarów i opadłych liści przyniesionych przez wichury, a teraz leżących pod skarżą pobliskich wałów i pod ścianami chałupy, gdzie pokrywają maleńki przydomowy warzywnik Panuje obrzydliwe, wilgotne zimno, przenikające do szpiku kości. W kapeluszu naciśniętym na chustkę zawiązaną na głowie, z płaszczem zarzuconym na ramiona, jakby to była peleryna, z espadrylami zawieszonymi na szyi, Mojarra pochyla głowę i pocierając krzesiwem o kamień z hubką, zapala, po męsku i z powagą, papierosa z krojonego tytoniu. Potem zdejmuje z ramienia długą francuską strzelbę i opiera się na niej, czekając na córkę. Za dużo kobiet jest w domu, myśli. Choć, gdyby miał syna – czasem spogląda z zazdrością na brzdąca swojego kuma Curra Panizo – może już zostałby zabity na wojnie, jak tylu innych. Nigdy nie wiadomo, co jest pechem, a co fartem, zwłaszcza teraz, kiedy wszędzie wokół są zabojaży. Mówiąc krótko, rzecz polega na tym, że Mojarra nie lubi rodzinnych pożegnań i tego ranka wolał sobie oszczędzić płaczu swojej córki Mari Paz i jej uścisków z matką, babką i siostrami. Dziewczyna spędziła na wyspie Wigilię, a teraz wraca do Kadyksu. Trzeba dziękować, że pani domu, gdzie dziewczyna służy, pozwoliła jej na tyle, powiedział zirytowany, gwałtownie odkładając skórę z chleba rozmoczonego w winie, który jadł na śniadanie, po czym wyszedł z domu przed czasem. Przecież dziewczyna nie odchodzi na koniec świata. Z wojną czy bez niej, ani na wyspie, ani w całej Hiszpanii nie ma miejsca na rodzinne wyrzekania czy babskie słabości. Łzy oszczędza się na pogrzeby, a na życie trzeba zarabiać tam, gdzie tylko można. Czy w porządnym domu w Kadyksie, czy w piekle, wszystko jedno. Gdzie można.

– Jeśli chcesz, możemy ruszać, ojczu.

Warzelnik patrzy na córkę idącą ścieżką: z tobołkiem w ręce, w spódnicy z burego płótna, głowa nakryta chustą, która odstania tylko wielkie, ciemne, śliczne oczy. Tak samo delikatna, jak w tym wieku była jej matka, zanim zniszczyły ją trudne porody i ciężka praca. Zaraz skończy siedemnaście lat. Trzeba już zacząć myśleć, żeby po bożemu wydać ją za męża, jeśli pojawi się mężczyzna z poważnymi zamiarami, godziwy i przyzwoity, potrafiący się nią zaopiekować. Jak najszybciej, mimo okoliczności i faktu, że potrzebują jej pomocy. Służba Mari Paz u pań Palma pozwala utrzymać rodzinny dom, bo nie wystarczyłoby to, co Mojarra

dostaje jako żołd w oddziale miejscowych strzelców: kawałek mięsa do garnka i pojedyncze monety, jeśli jest wypłata. Bo o nagrodzie za kanonierkę zdobytą koło młyna w Santa Cruz nadal nie ma żadnych wieści. Reklamacje jego i Curra Panizo do dziś nic nie wskórały, a szwagier Cardenas umarł dwa tygodnie temu w szpitalu, jak pies albo prawie, sąsiedzi z sali ukradli mu nawet tytoń, a on sam nie zobaczył ani miedziaka z nagrody. On przynajmniej, myśli Mojarra na pocieszenie, nie miał rodziny, o którą musiałby się troszczyć. Nie zostawił sierot ani wdowy. Czasem myśli, że porządny mężczyzna powinien niczego za sobą nie zostawiać. Gdyby nie dręczył go niepokój o rodzinę, byłby bardziej zdecydowany w tym, co robi. Mniej ostrożny i odważniejszy.

– Uważaj na siebie, kiedy staniecie w gospodzie u Niskiego – mówi warzelnik z szorstką powagą, zaciągając się papierosem. – Z nikim nie rozmawiaj, okryj się dokładnie chustą, słyszysz?

– Tak, ojcze.

– Po przyjeździe masz iść prosto do domu swoich pań, zanim jeszcze zapadnie zmrok. Nigdzie się nie zatrzymuj... Bo wcale nie podoba mi się to, co ludzie opowiadają.

– Proszę się nie martwić.

Mojarra wypuszcza dym i przybiera przesadnie srogą minę.

– Tego właśnie bym chciał: nie martwić się. Woźnica to zaufany człowiek, ale musi się zajmować swoimi sprawami. Zwierzętami i całą resztą.

Dziewczyna protestuje, lekko sobie drwiąc:

– Jedzie też bednarz Perico, ojcze, proszę pamiętać... Nie jestem głupia ani nie będę sama.

Jak ona dorosła, myśli Mojarra, przez ten czas w Kadyksie. Prawie się ze mną spiera.

– Mimo wszystko uważaj – mruczy pod nosem.

Ojciec z córką wchodzi do miasteczka, idą w kierunku głównego placu przez ulice z domami, których okienne kraty wystają nad wąskimi chodnikami. W drzwiach kobiety na kolanach, ze ścierkami i wiadrami, polewają i zmywają bruk przed wejściem.

– Rób, co ci mówię. I nie ufaj nikomu.

Na głównej ulicy, między klasztorem Karmelitów a kościołem parafialnym, otwierają się karczmy i sklepy, tworzą pierwsze kolejki po chleb, wino i oliwę. Naprzeciwko Królewskiej Drukarni Morskiej ślepiec skrzekliwym głosem nawołuje do kupowania świeżego wydania „Gazety Regencyjnej”. Woźnice i poganiacze kręcą się, rozładowując towary, a wśród spokojnych odcieni cywilnych strojów wyróżnia się żywy kolor mundurów: lokalna milicja w okrągłych kapeluszach i krótkich kurtkach trzyma straż przed Ratuszem, regularne wojsko chodzi w obcisłych spodniach, kurtkach z szamerunkiem i wyłogami w rozmaitych kolorach, w graniastych kapeluszach, skórzanych hełmach lub kaskach z czerwonymi rozetami. Od czasu, kiedy pojawili się Francuzi, wyspa bardziej niż kiedykolwiek przypomina koszary. Po drodze, nie zatrzymując się, Mojarra pozdrawia znajomych i sąsiadów. Przed domem rodziny Zimbrello stoi sprzedawczyni pączków, dymi na ogniu olej.

– Zjadłaś śniadanie?

– Nie. Szybko minął mi czas przez płacz siostrzyczek.

Bez chwili wahania warzelnik przekłada strzelbę na drugie ramię, wkłada rękę do zniszczonej sakiewki, wyjmuje miedziaka, kupuje dwa pączki, opakowane w tłusty papier, i podaje je córce. Jeden na teraz, a drugi na drogę, mówi, podczas kiedy dziewczyna protestuje. Potem każe jej lepiej otulić się chustą, ujmuje ją za ramię i odsuwa od straganu, rzuciwszy wcześniej spojrzenie w stronę dwóch kadetów wojsk inżynieryjnych, którzy pyszniąc się swoimi kurtkami w kolorze winogron i kaskami pokrytymi niedźwiedzim futrem, stoją w kolejce po pączki i beczelnie przyglądają się dziewczynie.

– Panienska mówi, że powinnam nauczyć się czytać, pisać i rachować... Ze jestem dość pojętna.

– To kosztuje dużo pieniędzy, moje dziecko.

– Ona wszystko opłaci, jeśli tylko chciałabym skorzystać. Na ulicy Sacramento, nad apteką, mieszka taka wdowa, przyzwoita osoba, która uczy liter i czterech działań za pięć peso miesięcznie.

– Pięć peso? – Mojarra krzywi się oburzony. – To worek pieniędzy.

– Panienska chce za mnie zapłacić. Pozwoliłaby mi chodzić tam popołudniami, codziennie na godzinę, jeśli ojciec się zgodzi. I don Toño, kuzyn panienki, też mówi, że powinnam wykorzystać taką okazję.

– Powiedz swojej paniencie, żeby się zajmowała swoimi sprawami. A ten kuzyn niech uważa... Bo jeden celny cios nożem w pachwinę tak samo wyprawia na tamten świat biedaka, jak panicza ze złotym zegarkiem w kamizelce...

– Na Boga, przecież ojciec dobrze wie, że don Toño jest poważnym człowiekiem, choć lubi żartować. I jest bardzo miły.

Mojarra posepnie wpatruje się w ziemię przed swoimi bosymi stopami.

– Wiem, co mówię.

Minąwszy plac ratuszowy, ojciec i córka dotarli do alei idącej w dół od klasztoru Franciszkanów. Tam, przy wodopoju obok kuźni znajdującej się pomiędzy Obserwatorium Morskim a gminną rzeźnią, zazwyczaj zatrzymują się wozy w drodze do Kadyksu. Jeśli jedzie się bryczką lub dwukółką, podróż trwa nie dłużej niż trzy godziny, ale kosztuje drożej. Mari Paz zajmie to sześć do ośmiu godzin, będzie jechać wolno, z planowanymi przystankami przy posterunku w Torregordzie, w gospodzie u Niskiego i przy posterunku w Cortadurze. Dwie i pół mili drogi po grobli, pomiędzy morzem a zatoką, z kilkoma odcinkami w zasięgu karabinów wroga. Sama myśl, że Francuzi mogą strzelać do jego córki, budzi u Felipe mordercze zamiary. Ma ochotę zaraz popłynąć w dół kanałami i poderżnąć gardło pierwszemu napotkanemu żabojadowi.

– Uczciwa dziewczyna nie musi umieć czytać ani rachować – stwierdza po kilku krokach, chwilę się zastanowiwszy. – Wystarczy, jeśli będziesz umiała uszyć, uprasować i przyrządzić smaczne jadło.

– Są też inne rzeczy, ojcze. Wykształcenie...

– To, co ci pokazała matka, razem z tym, czego się uczysz teraz w ich domu, i maniery, jakie podpatrzysz u swoich państwa, to więcej niż dość wykształcenia, żeby wyjść za mąż i prowadzić swój dom.

Mari Paz śmieje się srebrzyście. Słodko. Ten śmiech przywraca jej dziecięcą świeży wygląd. Jakby była znów małą dziewczynką, którą Felipe Mojarra już prawie zapomniał.

– Ja miałabym iść za mąż? Ojcze, gdzie tam, proszę o tym nawet nie myśleć – teraz przybiera ton między naiwnym, obrażonym i próżnym. – Kto by mnie chciał... Zresztą nie zawsze trzeba wychodzić za mąż. Proszę popatrzeć na moją panienkę, która mimo wszystko jest samotna. Choć jest taka elegancka i poważna. Taka... No nie wiem... Prawdziwa pani.

Ton głosu i śmiech dziewczyny wzruszają głęboko warzelnika, wbrew jego woli. Niczego nie powinniśmy zostawiać za sobą, powtarza sobie w duchu, nagle ogarnięty lękiem. Potem patrzy na swoją córkę, wahając się, czy dać jej burę, czy też pocałować, aż wreszcie nie decyduje się ani na jedno, ani na drugie. Wyrzuca na ziemię niedopałek i jeszcze raz zmienia ramię, na którym niesie strzelbę.

– Kończ już jeść tego pączka.

Opierając się o balustradę miejskich murów obok budynku Królewskiego Więzienia, Rogelio Tizón patrzy na morze. Po lewej stronie, Bramą Ziemi, ciągnie się nisko długa kreska, dziś żółtawa i zamglona, mierzei prowadzącej na stały ląd, do Chiclany i na wyspę. Po prawej stronie niebo jest czyste, a powietrze przejrzyste, choć wygląda na to, że ciemniejsze pasmo nadciąga powoli i znów zaciemnia linię horyzontu. W białej perspektywie miasta z tej

strony rysuje się niedokończona budowla nowej katedry, wieże obserwacyjne na dachach domów, klasztor Kapucynów, niskie, płaskie domy dzielnicy Viña i na dalekim cyplu w kolorze ochry zamek Świętego Sebastiana, z latarnią morską w głębi wejścia do zatoki.

– Może dobrą rybkę, panie komisarzu?

Niedaleko Tizona, na murze bezpośrednio nad morzem, którego fale rozbijają się w dole, siedzi około tuzina tych samych co zwykle typów, którzy zarabiają na życie w ten sposób, że zarzucają do wody wędki, linki i przynętę, i to, co wyciągną, później sprzedają, chodząc od drzwi do drzwi po gospodach i zajazdach. Jeden z nich, wyglądający na Cygana z Boquete – jest konfidentem i należał do zbirów, którzy podczas rewolty roku 1808 ciągnęli generała Solano po ulicach miasta – przyszedł zaproponować mu usłudze jedną z trzech dorodnych sztuk, które łapią powietrze w jego wiadrze, trzepocząc ogonami.

– Będzie mi bardzo miło móc ją panu podarować, don Rogelio. Jeśli pan chce, mogę ją odnieść do pańskiego domu.

– Zejdź mi z oczu, Caramillo. Chcę odetchnąć.

Tamten odchodzi posłusznie, lekko utykając. Nie wygląda, żeby miał za złe Tizonowi, przynajmniej pozornie, ciągi, jakie oberwał jakieś siedem, osiem lat wcześniej i przez które ma jedną nogę pół cala krótszą od drugiej. W każdym razie komisarz nie jest w nastroju ani na rybkę, ani na mięso, ani na pogawędki z kimkolwiek. Nie dzisiejszego ranka, z pewnością, po rozmowie, jaką miał niewiele więcej niż godzinę temu z gubernatorem Villavicenciem i generalnym intendentem Garcią Pico. Dzień jednak nie zaczął się źle. Po przejrzeniu „Generalnego Cenzora” i „Przeglądu” – pierwsza gazeta służalcza, a druga liberalna, żeby wiedzieć, co słyszeć i u Trojan, i u Tyryjczyków – przy kawie w kawiarni Pocztowej i po ogoleniu się u fryzjera na ulicy Comedias, nie płacąc ani miedziaka, jak zwykle, komisarz dokonał owocnego obchodu codziennych łowisk. Odwiedził, ze swym najlepszym uśmiechem rekina lubiącego wczesne połowania, kilka miejsc, gdzie ofiary o niezbyt czystym sumieniu i świadome konieczności utrzymywania dobrych stosunków z władzą rozwiązały swoje sakiewki bez specjalnego oporu. Ładna sumka okrągłych trzydziestu peso dodatkowej pensji nie jest złym wynikiem jak na jeden poranek: sto reali od właściciela sklepu żelaznego na ulicy Pelota za przyjęcie do domu i zatrudnienie – do wszelkich posług, jak złośliwie twierdzą sąsiedzi – służącej wdowy, emigrantki bez papierów, oraz pięćset reali od złotnika z ulicy Novena, upartego pasera, któremu Tizón bez ogródek dał do wyboru: albo tę kwotę wsunąć bezpośrednio do jego kieszeni, albo dostanie grzywnę w wysokości dziewięciu tysięcy reali z zamianą na sześć lat więzienia w Ceucie.

Jednak potem pojawiły się chmury. Wystarczyło dwadzieścia minut w biurze wojskowego i politycznego gubernatora Kadyksu, żeby skwaśnić dobry humor Rogelia Tizona. Razem z Garcią Pico poszedł do gubernatora poinformować go o sprawie, o której z powodu najbardziej podstawowej ostrożności ani intendent, ani komisarz nie zamierzają pisać. Atmosfera nie pozwala na ryzyko ani na potknięcia.

– Na razie nie mamy niczego pewnego – wyjaśniał Tizón zakłopotany, siedząc przed ogromnym biurkiem gubernatora. – Szpiegostwo nie ulega wątpliwości, oczywiście... Ale potrzebuję więcej czasu w tej drugiej sprawie.

Generał porucznik don Juan Maria de Villavicencio łączył opuszki palców obu rąk w geście niemal litościwym. Słuchał. Jego złote binokle zwisały na dewizce z butonierki, szlachetną głowę o siwych włosach pochylał nad czarną krawatką. Wreszcie otworzył usta.

– Jeśli są dowody, że to szpieg – rzekł sucho – należy go przekazać władzom wojskowym.

Tizón odpowiedział ostrożnie i z szacunkiem, że chodzi nie tylko o to. Szpiegów i podejrzanych o szpiegostwo jest w Kadyksie wielu. Jeden mniej czy więcej, niewielka różnica. Istnieją jednak poważne przesłanki, by sądzić, że zatrzymany ma coś wspólnego ze śmiercią dziewczyn. Co jest sprawą zupełnie innego kalibru.

– Czy to pewne?

Wahanie komisarza było ledwo dostrzegalne – Przynajmniej bardzo prawdopodobne – odpowiedział bez zmużenia oka.

– Na co pan czeka, dlaczego nie ma odpowiednich zeznań?

– Pracujemy nad tym. – Policjant pozwolił sobie na wilczy uśmiech powstrzymanego zadowolenia. – Jednak nowe mody polityczne narzucają nam pewne ograniczenia...

Kiedy obrócił się lekko w stronę Garcii Pico, czekając na jakiegokolwiek wsparcie z jego strony, uśmiech rozplynął się w pustce. Intendent, bardzo poważny, rozmyślnie pozostawał z boku, nie chcąc się wypowiadać. Z pewnością nie tutaj. Nie przy gubernatorze. Coś jednak przebijało z jego twarzy: poważne wątpliwości, czy Rogelio Tizón czuje się ograniczony politycznymi modami, czy też czymkolwiek innym.

– Jakie jest prawdopodobieństwo, że zatrzymany to morderca?

– zapytał Villavicencio.

– Spore – odparł Tizón. – Pozostają jednak niewyjaśnione punkty.

Podejrzliwe spojrzenie gubernatora. Patrzy jak stary pies, jak wodołaz, pomyślał Tizón, rozbawiony swoim złośliwym żartem.

– Przyznał się do czegoś?

Kolejny wilczy uśmiech. Teraz wieloznaczny. Jakby podlewał latarnię.

– Owszem... Choć do niewielu rzeczy.

– Dość, żeby postawić go przed sądem?

Ostrożna pauza. Czując na sobie niespokojne spojrzenie Garcii Pico, Rogelio Tizón wykonał kolejny niewyraźny gest i powiedział: jeszcze nie, panie generale. Może przyzna się za dwa dni. A może później. Potem rozparł się na krześle, bo do tej pory siedział na brzegu. Zaczynało mu być gorąco i pomyślał, że na szczęście zdjął płaszcz przed wejściem.

– Mam nadzieję, dla pańskiego dobra, że pan wie, co robi.

Milczenie. Chłód gubernatora kontrastował z wysoką temperaturą panującą w biurze. Można by pomyśleć, że lata spędzone na morzu wyziębły kości Villavicencia. Żywy ogień buzujący na kominku, pod wielkim obrazem przedstawiającym bitwę morską o nieokreślonym wyniku, dawał piekielny żar, on jednak pozostawał chłodny, czując się nad wyraz dobrze w grubej kurtce z szerokimi galonami na mankietach, z których wyłaniały się jego dłonie, blade i delikatne. Dłonie zegarmistrza, pomyślał Tizón. Na lewej ręce nadal lśnił szmaragd podarowany mu przez Napoleona w Breście. Może nosił go przez kokieterię, a może jako symbol kasty i klasy. Po chwili zastanowienia policjant porzucił myśl, żeby wyciągnąć chustkę i zetrzeć sobie pot z czoła. Ci dwaj mogliby źle zinterpretować jego gest.

– W każdym razie – zauważył – potrzebowaliśmy czegoś, co można pokazać opinii publicznej. I to mamy. Szpieg, który się przyznał do swoich czynów, podejrzany o... No tak. Wszystko może pójść w takim kierunku, w jakim trzeba. Znam trochę ludzi z gazet.

Gubernator pokiwał ręką w pogardliwym geście.

– Ja też ich znam. Lepiej, niżbym sobie życzył... Ale proszę sobie wyobrazić przez chwilę, że to nie on. Że pójdzie w miasto wieść, a nazajutrz morderca znów kogoś zabije.

– Dlatego dzwony jeszcze nie zabrzmiały, panie generale. Wszystko jest prowadzone dyskretnie. Nie ujawniliśmy nawet sprawy szpiegostwa... Człowiek ten, jak na razie, zniknął tylko z życia publicznego. Nic więcej.

Villavicencio kiwał głową z roztargnieniem. Wszyscy w Kadyksie wiedzą, że nie zostanie długo na swoim stanowisku, jest jednym z pewnych kandydatów na członka nowej Rady Regencyjnej, która zostanie wybrana w najbliższych tygodniach. Zapewne na stanowisku gubernatora zastąpi go don Cayetano Valdes, który obecnie kieruje żelazną ręką lotnymi siłami broniącymi zatoki: marynarz zahartowany i twardy, weteran bitew pod Sao Vicente i pod Trafalgarem, znany z tego, że jest człowiekiem prostym i oschłym. Czyli im szybciej sprawa się wyjaśni, tym lepiej, pomyślał Tizón. Kiedy na stołku gubernatora

zasiądzie Valdes, człowiek o mniejszej ogładzie i skromniejszych talentach dyplomatycznych niż Villavicencio, nie będzie miejsca na dwuznaczności, domysły i sztuczki.

– Rozumiem, że wszystko pójdzie tak jak powinno – nagle powiedział gubernator. – Mam na myśli śledztwo.

– Śledztwo?

– Przesłuchania. Że przebiegają bez ekscesów i bez... hm... Bez zbędnej przemocy.

Generalny intendent Garcia Pico wreszcie otworzył usta. Niemal oburzony, czy też starając się tak wyglądać.

– Oczywiście, panie gubernatorze. To nie do pomyslenia...

Villavicencio nie zwrócił specjalnej uwagi na jego słowa. Patrzył prosto w oczy Tizona.

– Właściwie to lepiej, że właśnie pan, komisarzu, zajął się tą częścią sprawy... Jurysdykcja wojskowa jest bardziej ostra. Mniej...

– Praktyczna?

Dlaczego nie mogłem się zamknąć, z zalem powiedział do swojego kołnierza. Niech lichy weźmie te moje usta. Pozostali mężczyźni popatrzyli na niego z dezaprobatą. Żadnemu z nich nie umknął uwagi sarkazm.

– Nowe prawa – odezwał się gubernator po chwili – zmuszają do ograniczenia czasu zatrzymania i stosowania łagodniejszych metod przesłuchań. To wszystko będzie stało czarno na białym w konstytucji naszego królestwa... Jednak sprawa tego zatrzymanego nie stanie się oficjalna, dopóki panowie jej nie wyjawiają.

Liczba mnoga nie spodobała się wcale Garcii Pico. Kątem oka Tizón widział, jak intendent zaczął się kręcić na krześle. W każdym razie, ciągnął gubernator, jemu nikt jeszcze niczego nie zakomunikował. W sposób oficjalny, rzecz jasna. Zresztą nie ma potrzeby, żeby tę sprawę rozgłaszać. Gdyby rzecz się rozniosła, wszyscy znaleźliby się w trudnej sytuacji. Bez możliwości odwrotu.

– Mogę uspokoić Waszą Ekszelencję – pospieszył z wyjaśnieniem Garcia Pico. – Formalnie rzecz biorąc, zatrzymanie jeszcze nie miało miejsca.

Patrycjuszowskie milczenie, pełne aprobaty. Villavicencio rozdzielił opuszki palców, skinął głową i znów je złączył z taką delikatnością, jakby dotykał mikrometru sekstansu.

– Czasy nie są odpowiednie na łamigłówniki z Korteżami. Ci panowie liberałowie...

Szybko zamilkł, jakby nie było już nic więcej do dodania, a Tizón zrozumiał, że nie było to ani zwierzenie, ani nieprzemyślana uwaga. Villavicencio nie popełnia błędów tego rodzaju, nie jest też skłonny do politycznych wyznań wobec podwładnych. Chodziło wyłącznie o przypomnienie im jego stanowiska wobec tego, nad czym dyskutuje się u Świętego Filipa Neri. Choć gubernator Kadyksu przestrzega skrupulatnie właściwych form, nie jest tajemnicą, że darzy sympatią ultraroyalistów i tak jak oni wierzy, że po swoim powrocie król Ferdynand VII przywróci porządek rzeczom i rozsądek narodowi.

– Oczywiście – powiedział Garcia Pico, zawsze akuratywny. – Może pan być spokojny.

– Jest pan za to odpowiedzialny, intencencie. – Spojrzenie, mało przyjazne, nie było skierowane na Gardę Pico, ale na Tizona. – I naturalnie pan też, komisarzu... Żadnych oświadczeń publicznych, dopóki nie będziemy mieć wyników. Ani linijki w gazetach, dopóki nie pojawi się porządne zeznanie.

W tym miejscu, nie ruszając się z fotela, Villavicencio uczynił niedbały gest dłonią ze szmaragdem. Luźne pożegnanie, które generalny intendent i komisarz zinterpretowali właściwie i powstał z krzesel. Rozkaz wydany przez kogoś, kto zwykł je wydawać, nie otwierając ust.

– Oczywiście – powiedział gubernator, kiedy wstawali – ta rozmowa nigdy się nie odbyła.

Byli już w drodze do drzwi, kiedy nieoczekiwanie znów się odezwał.

– Czy jest pan człowiekiem pobożnym, komisarzu?

Na te słowa Tizón odwrócił się zdezorientowany. To nie było banalne pytanie w ustach kogoś takiego jak don Juan Maria de Villavicencio, marynarza ze wspaniałą karierą, człowieka codziennie obecnego na mszy i przystępującego do komunii.

– No cóż... Jak wszyscy, panie generale... Mniej więcej.

Gubernator przyglądał mu się ze swojego miejsca za wspaniałym biurkiem. Niemal z ciekawością.

– Na pańskim miejscu modliłbym się, żeby zatrzymany szpieg był również mordercą tych dziewcząt. – Znów połączył opuszki palców obu rąk. – Żeby już nikt nie zabił żadnej więcej. Rozumie pan, co mam na myśli?

Stary sukinsyn, pomyślał Tizón z niewzruszoną miną.

– Doskonale – odparł. – Jednak mówił pan, że warto mieć pod ręką kogoś na wszelki wypadek... W rezerwie.

Gubernator uniósł brwi z najwyższą dystynkcją. Jakby usiłował to sobie przypomnieć z całą najlepszą wolą.

– Tak powiedziałem? Doprawdy? – Popatrzył na intendenta, jakby odwoływał się także do jego pamięci, a Garcia Pico machnął ręką. – W każdym razie nie przypominam sobie, żebym wyraził się w ten właśnie sposób.

Gdy Rogelio Tizón wspomina teraz, stojąc przy murach naprzeciwko morza, rozmowę z Villavicenciem, sprawia mu to przykrość. Pewność ostatnich dni ustąpiła miejsca niepewności ostatnich godzin. To słowa gubernatora i zachowanie, bierne i logiczne, generalnego intendenta sprawiają, że czuje się słaby; niby król, który widzi, jak z szachownicy znikają kolejne figury i pionki, jakie do tej pory dawały mu możliwość bezpiecznej rozszady. Jednak na takie rzeczy potrzeba czasu. Ustalenie zabezpieczeń wymaga uważnego postępowania. Metody. A najgorszym wrogiem wszystkiego jest pośpiech. Obiektywnie rzecz biorąc, jedna drachma mniej lub więcej w tym samym stopniu łamie równowagę – granicę pomiędzy tym, co możliwe, a co niemożliwe, między pewnością a pomyłką – co ich pięćset.

Odległa eksplozja, gdzieś w centrum miasta. Dziś już druga. Przy bezchmurnym niebie i po zmianie kierunku wiatru Francuzi znów strzelają z Cabezueli. Odgłos wybuchu, przytłumiony przez budynki, wprawia Tizona w jeszcze gorszy nastrój. Nie z powodu bomb ani ich skutków, do których przywykł już dawno temu, ale dlatego że przypomina mu, jak krucha może być – lub też jest, myśli z niepokojem – teoria, którą zbudował: zamek z kart, który w każdej chwili może się rozlecieć, jeśli nadejdzie wieść, której się obawia. Wieść, na którą, co dziwne, właściwie czeka ze sprzecznymi uczuciami: ciekawością i niepokojem. Pewność popełnionego błędu, która byłaby ulgą, w końcu, po umieraniu z niepewności.

Odchodząc od muru, komisarz idzie w górę tą samą drogą, którą w ostatnich dniach odbywa niemal każdego dnia, tak że stała się codzienną rutyną, odwiedzając sześć miejsc w mieście, w których zginęły dziewczyny; stąpa powoli, przyglądając się każdemu szczegółowi, przywiązując wagę do powietrza, światła, temperatury, zapachów, odczuć, jakich doświadcza przy każdym kroku. Obliczając, raz za razem, jakie subtelne posunięcia szachowe wykonał niewidzialny przeciwnik, którego skomplikowany umysł, nieuchwytny jak ostatnia myśl Boga, stapia się z mapą tego szczególnego miasta, Kadyksu, otoczonego przez morze i przewianego wiatrem. Konwencjonalnej struktury fizycznej jego ulic, placów i budynków Rogelio Tizón nie jest w stanie już dostrzec pod złowrogim drugim miastem, enigmatycznym i abstrakcyjnym jak sieć blizn od kańczuga: ta sama niepokojąca mapa, której linii domyślił się na plecach zabitych dziewcząt i którą mógł – lub sądził, że może – potwierdzić na planie, który, jak utrzymuje Gregorio Fumagal, został spalony w piecu w jego pracowni. Tajemniczy wzór miejskiej przestrzeni, który zdaje się korespondować, w każdej linii i paraboli, z umysłem mordercy.



Podczas kiedy komisarz Tizón rozmyśla w Kadyksie nad trajektoriami i parabolami pocisków, czterdzieści pięć mil na południe od miasta, naprzeciwko plaży Lances w Tarifie, Pepe Lobo przygląda się słupowi wody i piany, jaki francuska dwunastofuntowa bomba właśnie uniosła w odległości niecałego kabla od bukszprytu „Culebry”.

– Nic się nie stało! – uspokaja ludzi. – To było pudło.

Z pokładu korsarskiego kutra stojącego na kotwicy na czterech sążniach wody, ze zwiniętymi żaglami i z podniesioną banderą Królewskiej Floty, członkowie załogi obserwują dym, który unosi się nad urwiskami po drugiej stronie miasta. Od dziewiątej rano, pod ciężkim niebem, niepewnym i szarym, francuska piechota atakuje przez wyłom od północnej strony. Ogień fizyliarów i artylerii armatnich dociera nieustannie i wyraźnie z odległości mili, czemu sprzyja wiatr od lądu, który utrzymuje „Culebrę” w takiej pozycji, że plaża jest po sterburcie, miasto po trawersie i wyspa Tarifa za rufą. Dwie angielskie fregaty i jedna hiszpańska korweta stojące na kotwicach w pobliżu kutra i powiązane cumami, by lepiej kierować ogień baterii, kilka kanonierek i małych okrętów z haubicami rozmieszczonych blisko lądu strzelają na przemian w kierunku francuskich pozycji, a biały dym spalonego prochu, rozpluwający się nad morzem, dociera do korsarzy obserwujących bitwę. Jest jeszcze jakiś tuzin mniejszych statków, feluk i tartan, zakotwiczonych nieopodal, oczekujących na rozwój sytuacji. Jeśli nieprzyjaciel przełamie twardy opór obrońców na murach, jednostki te będą ewakuowały ludność cywilną i tych spośród trzech tysięcy żołnierzy hiszpańskich i angielskich, którzy przeżyją.

– Francuzi nadal są w wyłomie – mówi Ricardo Marana.

Oficer patrzył przez lunetę, którą teraz podaje Pepe Lobo. Obydwaj stoją na rufie obok rumpla. Marana z odkrytą głową, ubrany na czarno, jak zazwyczaj, chustką ociera kąciki warg i nawet na nią nie spoglądając, chowa do rękawa kurtki. Z jednym okiem zmrużonym, a drugim przyklejonym do okularu Pepe Lobo przebiega wzrokiem wybrzeże od fortu Świętej Katarzyny, niemal pokrywającego się z zamkiem Guzmanów, po okryte dymem mury i przedmieście za murami, teraz kompletnie zniszczone bombardowaniem. Po drugiej stronie widoczne są wzniesienia, skąd atakuje nieprzyjaciel, porośnięte agawami i opuncjami, wśród których pojawiają się czerwone błyski wystrzałów artyleryjskich.

– Nasi ostro walą.

Porucznik obojętnie wzrusza ramionami.

– Mam nadzieję, że będą się trzymać jak prawdziwi mężczyźni. Bo już mam dość tych ewakuacji w ostatniej chwili i pośpiechu... Staruszek z tobołkami brudnych ubrań, płaczących dzieciaków i kobiet pytających, gdzie można się wysikać.

Robi się cicho, słychać tylko odległy hałas bitwy. Ricardo Maraña podnosi głowę i spogląda krytycznym wzrokiem na powiewającą w górze banderę z dwoma pasami czerwonymi i jednym żółtym, z herbem uwieńczonym koroną, z zamkiem i lwem. Wiatr od lądu, zauważa tymczasem Pepe Lobo, odkręca się i zmienia w świeży wiatr z północy-północnego zachodu. Znakomicie będzie się płynęło na tym wietrze, jeśli nadejdzie rozkaz podniesienia kotwicy, na który czekają od dobrej chwili.

– Mam dość tego wszystkiego – dodaje Maraña z niezadowoleniem w głosie. – Gdybym miał ochotę służyć zbolącej ojczyźnie, zostałbym w Królewskiej Flocie, łątał mundur i czekał, aż w końcu dostanę wypłatę, tak jak wszyscy.

– Nie zawsze można zarabiać – zauważa Pepe Lobo z uśmiechem.

Lekki kaszel, głuchy i wilgotny. Znów chustka.

– No tak.

Lobo kieruje okular lunety na mury, gdzie wśród kłębow dymu można odróżnić maleńkie postaci ludzi zażarcie tam walczących i zrzucających na Francuzów wszystko, co mają. Pół godziny temu chorąży piechoty morskiej, który przyplął do nich łódką z miasta z pakietem oficjalnych dokumentów do oddania w Kadyksie, opowiadał, że Francuzi zauważyli wczoraj

wyłom i sądząc, że można się będzie przez niego dostać do miasta, o dziewiątej rano przypuścili atak z wawozów z przygotowanych w poprzednich dniach okopów i aproszy. Według słów chorążego, cztery bataliony grenadierów i strzelców wroga wyruszyły niemal kolumną, jednak rozmokła podczas ostatnich ulewnych deszczy ziemia, w której ludzie zapadali się po kolana, i stały ostrzał ze strony obrońców sprawiły, że ich szyki uległy rozproszeniu, tak że kiedy dotarli do murów, stracili impet. I nadal, półtorej godziny później, są w tym samym miejscu: Francuzi chcą wejść, a obrońcy starają się im to uniemożliwić, choć nie mają artylerii – stojące na kotwicy okręty nie mogą ostrzeliwać okolic tuż obok wyłomu – a jedynie strzelby i bagnety.

Członkowie załogi komentują poranne wydarzenia, wzajemnie pokazując sobie te miejsca, gdzie strzały i dym są najwyraźniejsze. Bosman Brasero wspiał się na reling i teraz, opierając się plecami o wantę, z drugą lunetą w ręce opowiada im, co widzi. Pepe Lobo zostawia ich w spokoju. Wie, że wszyscy na pokładzie podzielają opinię pierwszego oficera, Maraña. W dużej części są to przemytnicy i portowa hołota, podpisujący się krzyżykiem na dokumentach okrętowych i na zeznaniach policyjnych, wyciągnięci z tawern przy ulicach Negros, Sopranis i w Boquete, niektórzy trafili tu, uciekając przed przymusowym werbunkiem. Żaden z jego czterdziestu ośmiu ludzi, łącznie z pierwszym oficerem i pisarzem, nie po to zamustrował się na „Culebrze”, żeby podporządkowywać się wojskowej dyscyplinie, rezygnować z wolności korsarstwa i pogoni za zdobyczami w zamian za nędzny żołd Królewskiej Floty, którego – swoją drogą – mogą wcale nie dostać. A to wszystko dzieje się po udanej kampanii, z siedmioma przejściami statków zalegalizowanymi przez sąd i sześcioma w trakcie przewodu sądowego, każdy z członków załogi wzbogacił swoją sakiewkę o przynajmniej dwieście pięćdziesiąt peso – Pepe Lobo zarobił przynajmniej trzykrotność tej sumy – nie licząc zaliczki w wysokości stu pięćdziesięciu reali miesięcznie, jaką dostaje każdy marynarz od chwili zamustrowania się na „Culebrę”. Dlatego, choć nawet nie otwiera ust w tej sprawie, kapitan rozumie doskonale swoich ludzi, którym tak samo jak jemu samemu dłużą się te dwadzieścia dwa dni zmarnowane na przewożeniu dokumentów i wojskowych z miejsca na miejsce, bo tyle czasu „Culebra” funkcjonuje jako statek kurierski podlegający dyscyplinie marynarki wojennej i wspierający jej działania, mimo że w stosunku do niej, podobnie jak wobec funkcjonariuszy Królewskiej Straży, prawie nikt na pokładzie nie ma czystego sumienia, kark nie jest bezpieczny od groźby sznura, i woleliby trzymać się od królewskich urzędników jak najdalej.

– Znak z wieży – ostrzega Ricardo Maraña.

Pepe Lobo kieruje lunetę ku latarni morskiej na wyspie, gdzie właśnie podniesiono flagi.

– Nasz numer – mówi. – Proszę wydać ludziom rozkazy.

Maraña odsuwa się od relingu na rufie i zwraca się do załogi.

– Wszyscy cisza! Uwaga podczas manewrów!

Pojawiają się kolejne flagi. Dwie. Lobo je rozpoznaje gołym okiem bez lunety. Jedna jest biało-czerwona, druga to niebieski wimpel. Nawet nie potrzebuje zaglądać do zeszytu tajnych kodów, który ma w szufladzie szafki pod busolą przy zejściówce. Ten znak jest jednym z łatwiejszych: *Natychmiast stawiać żagle.*

– Płyniemy, pilocie.

Maraña potakuje skinieniem głowy i wielkimi susami przemierza pokład, wydając komendy pod bomem grotżagla, podczas gdy tupot bosych stóp, nagle szybko się poruszających, sprawia, że deski pokładu zaczynają drgać. Bosman Brasero zszedł z want, dmie w gwizdek i rozmieszcza ludzi przy fałach i korbach, bo ma już przygotowany osprzęt.

– Kotwica w górę – krzyczy porucznik. – Stawiać fok!

Pepe Lobo odsuwa się, żeby zrobić miejsce dla Szkota i drugiego sternika, którzy zajmują się rumplem, i rzuca czujne spojrzenie ponad relingiem w kierunku częściowo ukrytych w

morzu skał, które znajdują się w odległości niecałego kabla od rufy, pod murami obronnymi wyspy. Kiedy znów spogląda w przód, kotwica jest już na dziobie.

– Bardziej na prawą burtę – wydaje polecenie sternikom.

Długi bukszpryt kutra odsuwa się powoli od lądu i od kierunku wiatru, podczas kiedy ludzie na górze rozwiązują krawaty przytrzymujące fok i kliwer. Chwilę później podnosi się pierwszy trójkątny żagiel nad nokiem bukszprytu, szoty najpierw łopoczą, a potem zostają wybrane i zaknagowane. Jak wierzchowiec pełnej krwi spięty wodzami, tak statek najpierw idzie bokiem, bardzo powoli, podczas kiedy olinowanie się napręża, „Culebra” niecierpliwie wrywa się naprzód, gotowa pomknąć przed siebie pod wypełnionymi żaglami.

– Wyluzować szoty grota! Żagiel w górę!

Marynarze puszczają krawaty żagla, a ten rozwija się pośród trzeszczenia drewna i lin, powiewając na świeżym wietrze z północy-północnego zachodu. Lobo rzuca kolejne szybkie spojrzenie na skały przy wyspie, teraz znajdujące się nieco bliżej. Potem patrzy na igłę kompasu i wzrokiem wytycza kurs, na którym trzeba płynąć, tak żeby przy tym wietrze trzymać się z daleka od niebezpiecznych mielizn Cabezos, które leżą w odległości czterech mil na zachód-północny zachód, naprzeciwko wieży Pena. Marynarze zaczynają wybierać szoty grota i jego ogromne płótno już łapie wiatr. Chowają kotwicę na dziobie i statek pochyla się z wdziękiem na lewą burtę, czysto ślizgając się po wodzie kotwicowiska.

– Fok w górę! Wybrać szoty!

Kolejna zabłąkana francuska kula – a może celowy strzał, kiedy dostrzeżono, że kuter stawia żagle – unosi wodę i pianę za sterburtą, daleko, podczas kiedy stojące na kotwicach okręty dalej ostrzeliwują nieprzyjaciela na lądzie. Z rozwiniętymi wszystkimi żaglami na swoim jedynym maszcie „Culebra” zdecydowanie tnie teraz lekko zmarszczoną wodę morza niemal gładkiego, osłoniętego przed wiatrem przez pobliski ląd. Stojąc szeroko na nogach, żeby równoważyć przechył, z rękami założonymi z tyłu, Lobo rzuca ostatnie spojrzenie na Tarifę, której północny mur nadal spowija dym wystrzałów. Bynajmniej nie żałuje, że stamtąd odpływa. Absolutnie.

– Do Kadyksu – mówi Marańa.

Na razie skończył swoje zadania na pokładzie i wraca do kapitana, z miną znudzoną i obojętną, z rękami w kieszeniach. Jednak Lobo zauważa ton zadowolenia w głosie swojego pierwszego oficera, zgodny z uśmiechami, jakie dostrzega na twarzach niektórych członków załogi, łącznie z bosmanem Brasero. Być może będą mogli zatrzymać się na dzień lub dwa w porcie i zejść na ląd. Dobrze by było, po trzech tygodniach na morzu ludzie już szemrają pod nosem, bo od dawna nie stąpali po niczym, co by się nie kołysało. A może zabiegi armatorów odniosły sukces i „Culebra” odzyska swój patent korsarski bez konieczności pływania w tę i z powrotem jako kurier Królewskiej Floty.

– Tak – potwierdza Lobo, myśląc o Lolicie Palmie. – Do Kadyksu.

Nazwa tego miejsca – ulica Silencio – wygląda na sarkazm. Można powiedzieć, że samo miasto, przyczajone w ulicach i zaułkach swojej skomplikowanej miejskiej struktury, drwi sobie z Rogelia Tizona. Tak właśnie myśli komisarz, kiedy w świetle latarni pochyla głowę i przytrzymując ręką kapelusz, przechodzi przez otwór w murze zamku Straży Morskiej, starego budynku z kamienia, ciemnego i zrujnowanego, opuszczonego od piętnastu lat. Tizón dobrze wie, że nie jest to byle jakie miejsce, tu właśnie przebiegał południk zero Kadyksu. W swoim czasie kwadratowa wieża, która wznosi się jeszcze w południowej części budowli, kryła w sobie instalacje Obserwatorium Morskiego, a w części północnej, odkąd zarówno obserwatorium, jak i Straż Morską, przeniesiono na Lwią Wyspę, mieściła się Akademia Królewskiej Floty. Potem budynki wykorzystywano jako koszary, później, po nieudanej próbie urządzenia tam nowego więzienia, zamek został kupiony przez osobę prywatną, a następnie porzucony. Jest do tego stopnia zrujnowany, że nawet emigranci, którzy szukają

lokum dla siebie w mieście, nie mogą tam zamieszkać, ponieważ odpadają kamienie ze ścian, dach jest pozarywany, a belki w stropach spróchniałe.

– Znalazły ją dzieciaki z ulicy Mesón Nuevo – informuje jego pomocnik Szafot. – Dwaj bracia.

Cały czas Tizón pragnął, żeby to była pomyłka. Przypadkowy zbieg okoliczności, który w niczym nie zakłóca niestabilnej równowagi rzeczy, jednak w miarę jak wchodzi w głąb dawnego placu ćwiczeń, podczas kiedy Szafot usłużnie oświetla mu drogę między gruzem i śmieciami, których tu pełno, jego nadzieja znika. Dalej na dziedzińcu, pod wieżą obok okratowanego głównego wejścia, zastawionego deskami i kamieniami, płomień przenośnej latarni ustawionej na ziemi tworzy wokół półkole światła. A w środku tego półkola leży twarzą do ziemi ciało młodej kobiety z odsłoniętymi plecami, rozoranymi uderzeniami kańczuga.

– Jezu Chryste, kurwa jego mać!

Brutalne przekleństwo robi wrażenie na Szafocie, który absolutnie nie jest człowiekiem pobożnym. Pomocnikowi nie podoba się to, co widzi na twarzy komisarza. Dzięki lampie, którą Szafot trzyma w górze, Tizón dostrzega, jak zmieniona jest twarz jego pomocnika, kiedy znów na niego spogląda.

– Kto o tym wie?

– Dzieciaki... I oczywiście ich rodzice.

– Kto jeszcze?

Pomocnik wskazuje dwie zawinięte w peleryny ciemne postacie, stojące w pobliżu zwłok, na granicy światła drugiej latarni.

– Kapral i stróż. Dzieciaki ich właśnie zawiadomiły.

– Wytłumacz im dokładnie, że jeśli ktokolwiek puści parę z ust na ten temat, wyłupię mu oczy i wsadzę mu je do tyłka. Jasne?

– Jak najbardziej, panie komisarzu.

Krótką pauza. Groźna. Tizón lekko kołysze laską.

– To obejmuje także ciebie, Szafot.

– Nie ma sprawy.

– Jest, masz milczeć, tak jak i ja. I uważaj.

Tizón stara się opanować, zachować spokój i nie ulegać panice, która wstrząsa nim od środka. Stoi o pięć kroków od zwłok. Kapral i stróż zbliżają się, żeby się przywitać. Wszystko sprawdzili, mówi kapral, opierając się o lancę. W budynku nikt się nie ukrywa, o ile dobrze wiedzą. Żaden sąsiad, poza dziećmi, nie widział niczego podejrzanego. Dziewczyna jest bardzo młoda, ma około piętnastu lat. Chyba rozpoznali w niej służącą z pobliskiej gospody, która nazywa się Akademicka, ale jest tak ciemno, a dziewczyna tak zmaltretowana, że nie są pewni. Sądzą, że mogła zostać zabita zaraz po zmroku, bo dzieciaki bawiły się tu po południu i wtedy nic nie było.

– Po co przyszły tutaj tak późno?

– Mieszkają blisko, pięćdziesiąt kroków stąd. Po kolacji uciekł im z domu pies i szukały go. A że zazwyczaj tutaj się bawią, pomyślały, że mógł gdzieś tu się zabłąkać... Kiedy natknęły się na zwłoki, zawołały ojca, a ten zawiadomił nas.

– Kim jest ich ojciec?

– To szewc, naprawia stare buty. Ma opinię uczciwego człowieka.

Tizón odprawia ich ruchem głowy. Idźcie do bramy, dodaje. Żeby nikt mi tu nie wchodził, ani sąsiedzi, ani ciekawscy, ani nawet sam król Ferdynand. Jasne? No to ruszać. Potem oddycha głęboko, zastanawia się chwilę, wkłada dwa palce do kieszeni kamizelki, wyjmuje pół uncji złota, które wręcza Szafotowi, mówiąc, żeby poszedł do szewca i dał mu monetę, wcześniej wyjaśniając co i jak, jeśli idzie o współpracę i ewentualne kłopoty.

– Powiedz mu, że jeśli będzie trzymał język za zębami i nie sprawi kłopotów podczas śledztwa, za dwa dni dostanie drugie pół uncji.

Strażnicy i jego pomocnik znikają w ciemności. Kiedy komisarz zostaje sam, obchodzi dookoła zwłoki dziewczyny, pozostając poza terenem oświetlonym przez stojącą na ziemi lampę. Rozważa wszelkie możliwości i bada ewentualne ślady, i wtedy nachodzą go równoległe dwa uczucia: z jednej strony frustracja i złość z powodu skomplikowanej sytuacji, w jakiej nowe zabójstwo – powiedzenie, że jest ono niespodziewane, byłoby przesadą, przyznaje ze specyficzną uczciwością – stawia go wobec przełożonych; a z drugiej strony wewnętrzna wściekłość, nieposkromiona i straszliwa, która nim wstrząsa z powodu oczywistości pomyłki i klęski. Pewność własnej przegranej w walce ze złym duchem, okrutnym do nieprzyzwoitości, jaki opanował to miasto, które zaczyna nienawidzić z całej duszy.

Nie ma wątpliwości, stwierdza, podszedłszy do ciała. Wziął lampę za druciany uchwyt i trzyma ją w górze, oświetlając z bliska całą scenę. Nikt nie byłby w stanie tego skopiować, choćby się starał. Ręce związane z przodu, pod zwłokami, i knebel na ustach. Nagie plecy, poprzecinane głębokimi wyrwami, które krzyżują się w labiryncie zakrzepłej krwi i odsłoniętych kości kręgosłupa. I ten charakterystyczny zapach pociętego, martwego mięsa, który Tizón dobrze zna i którego nigdy, nieważne jak wiele lat by minęło, nie usunie z pamięci i ze swojego nosa. Dziewczyna nie ma butów i komisarz zaczyna ich szukać, oświetlając ziemię. Na próżno. Znajduje tylko perkalową chustę, porzuconą obok wyrwy w murze. Zapewne buty zostały na ulicy, tam gdzie ją napadł, zanim tu przyciągnął. Być może ją ogłuszył, a może była przytomna i broniła się do samego końca. Świadczyłyby o tym knebel i związane ręce, ale może było to jedynie dodatkowe zabezpieczenie się mordercy na wypadek, gdyby uderzenia przywróciły jej przytomność zbyt wcześnie. Oby tak właśnie było, oby dziewczyna była cały czas nieprzytomna. Piętnaście lat, potwierdza, przybliżając latarnię i obserwując twarz o wpółotwartych szklistych oczach, pogrążonych w pustce śmierci. Bezlitośnie katowana, jak zwierzę, aż do końca.

Komisarz wstaje i podnosi głowę, obserwuje ciemne niebo nad dziedzińcem zamku. Dostrzega ciemne strefy chmur, które zasłaniają księżyc i większość gwiazd, choć pojedyncze dalekie światełka na niebie migoczą, jakby drżały z zimna w górze. Rogelio Tizón wkłada do ust cygaro, nie zapalając go, i przez chwilę pozostaje bez ruchu, patrząc w niebo. Potem idzie, oświetlając sobie drogę, aż do wyłomu w murze, gdzie oddaje latarnię stróżom.

– Niech ktoś poszuka butów tej dziewczyny. Muszą być niedaleko.

Kapral mruga oczyma, nie rozumiejąc.

– Butów, panie komisarzu?

– Tak, do ciężkiej cholery! Przecież nie mówię po chińsku! Ruszcie się w końcu!

Wychodzi na ulicę Silencio i spogląda w jedną i drugą stronę, po czym rusza w prawo. Naprzeciwko Nowej Oberży pali się miejska latarnia, a jej żółte światło pozwala dostrzec na końcu ulicy Blancos zrujnowaną arkadę zamku Straży Morskiej, która – wsparta na północnym murze – łączy się z ulicą San Juan de Dios. Tizón mija arkadę, wpatrując się intensywnie w mrok. W oddali, po lewej stronie, świecą się jeszcze dwie latarnie na placu przed Ratuszem. Wilgotny wiatr od morza – Atlantyk jest w odległości kilku kroków, na przeciwnym końcu ulicy – sprawia, że naciąga głębiej kapelusz na głowę i podnosi kołnierz płaszcza.

Komisarz stoi chwilę bez ruchu, a potem cofa się kilka kroków pod osłonę arkady, zapala o ścianę zapalnik i unosi ją do cygara, które trzyma w ustach. Naraz, chroniąc płomień skuloną dłonią, w połowie drogi zastanawia się i gasi ogień. Żeby znaleźć to, czego szuka, jego wdech musi być wolny od dymu, a wszystkie zmysły wyostrzone. Chowa cygaro do pudełka i rusza powoli przed siebie ulicą Silencio, natężając uwagę, jak czujny myśliwy, starając się odnaleźć dźwięki i odczucia kryjące się w mrocznych zakamarkach miasta, towarzyszy mu suchy

odgłos własnych kroków. Nie jest pewien, czego szuka. Być może pustki. Albo zapachu. Może podmuchu wiatru lub jego nagłego braku.

Stara się obliczyć, gdzie i kiedy spadnie następna bomba.

## Rozdział XIII

Siedząc za szeroko otwartymi drzwiami, przy dwóch lukach obok stopnia z białego marmuru z inkrustowanym czarnym napisem *Kawiarnia Pocztowa*, po których wchodzi się na otoczone kolumnadą wewnętrzne patio, komisarz Tizón i profesor Barrull kończą drugą partię szachów. Na szachownicy powoli wygasa bitewny zgiełk: stoi jeszcze król na polu gońca – komisarz grał białymi – bezlitośnie przyciśnięty do muru przez skoczka i damę. Kilka pól dalej dwa pionki stoją twarzą w twarz, wzajemnie zastawiając sobie drogę. Tizón liże rany, ale rozmowa dotyczy czegoś innego. Innej szachownicy.

– I spadła tam, profesorze. Pięć godzin później. Na rogu ulicy Silencio, dokładnie naprzeciwko arkady zamku Straży Morskiej... Trzydzieści kroków w linii prostej od dziedzińca, gdzie znaleziono dziewczynę.

Hipolito Barrull słucha uważnie, przecierając okulary chustką. Siedzą przy tym stole co zwykle, Tizón na krześle z oparciem przy ścianie, nogi ma wyciągnięte pod stołem. Kubki po kawie jednego i szklanki po wodzie drugiego stoją pomiędzy zbitymi figurami.

– Ta bomba spadła – dodaje komisarz. – Tak samo jak ta przy Bożej Pasterce. Ale poprzednia nie. Na ulicy Laurel zginęła dziewczyna, a żaden pocisk tam nie dotarł, ani wcześniej, ani później. To częściowo zmienia sytuację. Wszystko komplikuje.

– Nie sądzę – protestuje profesor. – A może wskazuje tylko, że zabójca też popełnia błędy... Ze nawet jego metoda, czy jak to nazwiemy, nie jest doskonała.

– Jednak zastanawiają mnie...

Tizón przerywa. Barrull przygląda mu się uważnie.

– Te miejsca – dodaje policjant po chwili wahania. – Zauważyłem, że w tych miejscach panują inne warunki.

Barrull potakuje w zamyśleniu. Po dokonaniu rzezi na szachownicy przywołuje na swoją końską twarz uprzejmy wyraz. Już nie wydaje się bezlitosnym przeciwnikiem, który pięć minut wcześniej łątał Tizona niewybrednym, okropnym słownictwem – niech szlag trafi pański wzrok, komisarzu, zaraz wydrę panu wątrobę i tak dalej – podczas kiedy poruszał pionkami i figurami z morderczą furią.

– Rozumiem – mówi. – Nie pierwszy raz mi pan o tym opowiada... Od jak dawna chodzi panu ta myśl po głowie? Od tygodni?

– Od miesiący. I jestem coraz pewniejszy.

Profesor kręci głową, potrząsając bujnymi siwymi włosami. Potem starannie poprawia sobie okulary.

– Może zdarzyć się podobnie jak z *Ajasem* – sugeruje. – Albo z tym szpiegiem, którego pan zatrzymał... Wpada pan w obsesję, a to zakłóca jasność widzenia... Fałszywe przesłanki prowadzą do niewłaściwych wniosków. To nie jest naukowe... Raczej powieściowe. Być może jest pan obdarzony zbyt bujną wyobraźnią jak na dobrego policjanta.

– Za późno, żeby zmieniać zawód.

Barrull przyjmuje te słowa z uśmiechem krzywym i porozumiewawczym. Potem wskazuje szachownicę. Jedną pana część znam, mówi. Tu ją pan ujawnia. I wątpię, czy określenie „obdarzony zbyt bujną wyobraźnią” jest rzeczywiście odpowiednie. Raczej przeciwnie.

Miewa pan dobrą intuicję podczas gry w szachy. Umie pan widzieć sprawy. Nie jest pan wcale powieściowy, siedząc tu naprzeciwko. Nie należy pan do przeciwników, którzy ryzykują posunięcia piękne i głupie, ułatwiając zadanie przeciwnikowi.

– Dlatego lubię z panem grywać – kończy. – Można pana pokonać, grając metodycznie.

Tizón zapala cygaro, a jego dym łączy się z gęstymi kłęбами unoszącymi się na patiu pod szklanym dachem, któredy sączy się popołudniowe światło, złocąc balustradę górnego piętra. Potem rozgląda się podejrzliwie wokół, jakby szukał ciekawskich uszu. Jak zwykle sporo klientów siedzi przy stołach, w fotelach i na krzesłach z drewna i wikliny, ustawionych na patiu. Paco Celis, właściciel, obserwuje wszystko od kuchennych drzwi, a kelnerzy w białych fartuchach chodzą w tę i z powrotem z dzbankami z kawą, czekoladą i wodą. Przy sąsiednim stole duchowny i trzech dżentelmeni czytają gazety w milczeniu. Ich bliskość nie martwi policjanta – to trzech członkowie Akademii Hiszpańskiej, którzy przyjechali z Madrytu, żeby się schronić w Kadyksie. Zna ich z widzenia, bo są stałymi gośćmi kawiarni Pocztovej. Książd, don Joaquin Lorenz o Villanueva, jest deputowanym do Kortezów z Walencji, aktywnym konstytucjonalistą, któremu, mimo tonsury, bliskie są idee liberalne. Dostrzega też na patio don Diega Clemencina, erudyte po pięćdziesiątce, który teraz zarabia na życie jako redaktor „Gazety Regencji”.

– Są takie miejsca – upiera się Tizón, pewny swego. – Miejsca szczególne.

Inteligentne oczy Hipolita Barrulla przyglądają mu się ostrożnie spod współprzymkniętych powiek. Zmniejszone przez szkła okularów.

– Mówi pan: miejsca.

– Tak.

– No cóż. Prawdę mówiąc, nie jest to całkiem bez sensu.

Są po temu naukowe podstawy, wyjaśnia profesor. Znani badacze pisali wcześniej o czymś podobnym. Jednak studia nad klimatem i zjawiskami meteorologicznymi są jeszcze w powijakach, w porównaniu z dioptryką czy astronomią. Nie podlega dyskusji, że istnieją zjawiska atmosferyczne właściwe dla specyficznych miejsc. Ciepło słoneczne, na przykład, działa na powierzchnię ziemi i na otaczające ją powietrze, a te zmiany temperatury mogą wpływać na rozmaite rzeczy, łącznie z występowaniem burz w określonych miejscach.

– Przykład burz wydaje mi się bardzo trafny – dodaje. – Musi zaistnieć cała seria określonych warunków dotyczących temperatury, wiatru, ciśnienia atmosferycznego, żeby w rezultacie zdarzyła się dana sytuacja w konkretnym momencie. I wtedy występuje deszcz, pioruny...

Wymieniając zjawiska, Barrull stawia palec – z paznokciem pociemniałym od nikotyny – na różnych polach stojącej przed nim szachownicy. Rogelio Tizón, uważnie słuchając, odrywa plecy od ściany. Rozgląda się wokół po twarzach ludzi siedzących w kawiarni. Potem ścisza głos.

– Chce pan powiedzieć, że podobnie może wystąpić zabójstwo albo trafienie bomby? Albo obie rzeczy równocześnie?

– Nie mówię nic takiego. Ale może tak być. Jeśli nie da się udowodnić czegoś przeciwnego, wszystko jest możliwe. Współczesna nauka codziennie zadziwia nas nowymi odkryciami. Nie wiemy, gdzie są jej granice.

Unosi brwi, wyrażając tym swój sceptycyzm. Potem podnosi rękę w kierunku dymu wznoszącego się pionowo nad żarem cygara, które Tizón trzyma w palcach, macha nią, żeby rozproszyć dym, i czeka, aż spirale i kłęby stają się linią prostą. Wiatr na przykład, dodaje. Powietrze w ruchu. Komisarz wspominał o nim, o jego rodzajach, w konkretnych punktach miasta. Ostatnie badania bryz i wiatrów pozwalają podejrzewać, na przykład, że wiatr dzienny wykonuje pełne okrążenie w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara na półkuli północnej i w kierunku przeciwnym – na półkuli południowej. To pozwala na ustalenie stałego związku pomiędzy bryzami, konkretnymi miejscami, ciśnieniem atmosferycznym i



siłą wiatru. Istnieje kombinacja przyczyn stałych i okresowych z innymi, chwilowymi, o nieznanym czasie występowania i lokalnym charakterze. Przy takim zbiorze warunków – taki rezultat. Czy Tizón rozumie, o co mu chodzi?

– Staram się – odpowiada policjant.

Barrull wyjmując tabakierę z kieszeni niemodnej już marynarki i bawi się nią, nie otwierając.

– Jeśli przyjmujemy pańską hipotezę, nie ma rzeczy niemożliwych w mieście takim jak to. Kadyks jest statkiem na morzu pośród wiatru. Nawet ulice i domy zostały zbudowane tak, żeby stawić mu czoło, złagodzić jego skutki, pokonać. Mówił pan o wietrze, dźwiękach... Wspomniał pan nawet o zapachach... To wszystko jest w powietrzu. W atmosferze.

Policjant znów patrzy na zbite figury po obu stronach szachownicy. Potem, zamyślony, zdejmując białego króla i stawia go pośród nich.

– Byłoby zabawnie, gdyby się okazało, że siedem zabójstw młodych kobiet popełniono wskutek warunków atmosferycznych...

– A dlaczego nie? Zostało udowodnione, że określony wiatr, zależnie od temperatury i wilgotności, bezpośrednio wpływa na nastrój, pobudzając temperament. Szaleństwo lub zbrodnie zdarzają się częściej w miejscach poddanych ich siłom stałym lub okresowym... Bardzo mało wiemy o najciemniejszych otchłaniach ludzkich istot.

Profesor otworzył wreszcie tabakierę, wdycha szczyptę tytoniu i kicha dyskretnie, z przyjemnością.

– To wszystko nie jest całkiem jasne, oczywiście – dodaje, otrzepując kamizelkę. – Nie jestem naukowcem. Ale każde ogólne prawo natury daje się zastosować w podstawowych sytuacjach... To, co działa w przypadku kontynentu lub oceanu, może także działać dla ulicy w Kadyksie.

Teraz z kolei Tizón stawia palec na polu szachownicy: tam gdzie stał zbity król.

– Wyobraźmy więc sobie – proponuje – że istnieją konkretne miejsca, punkty geograficzne, w których cykle zjawisk fizycznych są od siebie zależne lub zachodzi pomiędzy nimi związek odmienny niż w innych miejscach...

Ostatnie słowa pozostają zawieszane w powietrzu, zachęcając Barrulla, by dokończył zdanie. A ten, znów obracając tabakierkę w palcach, odwraca twarz w bok i przygląda się ludziom na patiu. Podchodzi usłużny kelner, sądząc, że go wzywają, jednak Tizón odsyła go spojrzeniem.

– No cóż – odpowiada Barrull po chwili zastanowienia. – Nie bylibyśmy pierwsi, którzy tak myślą. Prawie dwa wieki temu Kartezjusz uważał, że świat jest *plenum*: stabilną całością, zrobioną z subtelnej materii lub nią wypełnioną, w której wewnątrz występują niewielkie otwory czy zawirowania. Niczym komórki nieregularnego plastra, wokół których krąży materia.

– Proszę to powtórzyć, don Hipolito. Powoli.

Nauczyciel chowa tabakierę. Znów spogląda na policjanta. Potem znów opuszcza wzrok na szachownicę.

– Niewiele więcej mogę panu powiedzieć. Chodzi o miejsca, gdzie warunki fizyczne różnią się od całej reszty. Nazwał je wirami.

– Wiry?

– Właśnie tak. W porównaniu z ogromem wszechświata miały to być maleńkie punkty, gdzie zdarzają się rzeczy... Lub się nie zdarzają. Ale dzieją się w inny sposób.

Pauza. Wydaje się, że Barrull zastanawia się nad własnymi słowami, znajdując w nich nieoczekiwaną perspektywę. W końcu zwięża usta w zamyślonym uśmiechu, ukazując długie, końskie zęby.

– Różne miejsca, które wpływają na świat – kończy. – Na ludzi, na rzeczy, na ruch planet...

Tu przerywa, jakby nie miał odwagi kontynuować. Tizón, który ssał cygaro, wyjmując je z ust.

– Na życie i śmierć? Na trajektorię bomby?

Teraz profesor patrzy na niego zmartwiony, jak na kogoś, kto posuwa się za daleko. Lub z troską, żeby się nie posunął.

– Proszę posłuchać, komisarzy. Niech pan nie robi sobie specjalnych złudzeń co do mojej wiedzy. Panu potrzebny jest prawdziwy naukowiec... Ja tylko czytam. Jestem człowiekiem ciekawym, który dowiedział się o paru rzeczach. Mówię z pamięci i prawdopodobnie popełniam błędy. W Kadyksie są z pewnością osoby...

– Niech pan odpowie na moje pytanie, proszę.

Owo „proszę” wydaje się zaskakiwać rozmówcę. Być może po raz pierwszy słyszy to słowo w ustach Rogelia Tizona. Ten też nie pamięta, żeby użył go szczerze w ostatnich latach. Może nawet nigdy.

– To nie żart – mówi profesor. – Kartezjusz utrzymywał, że wszechświat jest złożony z zespołu wirów, pod których wpływem poruszają się znajdujące się w nich ciała... Potem Newton odrzucił tę koncepcję, zastępując ją swoją ideą sił oddziałujących na odległość, poprzez próżnię; nie udało mu się jednak całkowicie jej obalić, być może dlatego, że był zbyt dobrym naukowcem, żeby ślepo wierzyć we własną teorię... Wreszcie matematyk Euler, starając się wyjaśnić ruchy planet zgodnie z teorią Newtona, w tym obszarze zrehabilitował częściowo Kartezjusza, znajdując argumenty przemawiające za starymi wirami kartezjańskimi... Rozumie pan?

– Tak, z pewnymi trudnościami.

– Pan czyta po francusku, prawda?

– Daję sobie radę.

– Mogę panu pożyczyć książkę *Lettres a une Princesse d'Allemagne sur divers sujets de Physique et de Philosophie*. To listy Eulera do siostrzenicy Fryderyka Wielkiego, która była bardzo zainteresowana tymi tematami. Opisuje tam, w sposób przystępny dla takich ludzi jak my, ideę owych wirów czy też zawirowań, o których mówię. Ma pan ochotę na jeszcze jedną partię, komisarzy?

Przez chwilę Tizón nie wie, o jaką partię chodzi jego rozmówcy, wreszcie dostrzega, że wskazuje on szachownicę.

– Nie, dziękuję. Dość mnie pan zmasakrował, na dziś wystarczy.

– Jak pan woli.

Policjant patrzy na linię prostą dymu unoszącego się z cygara. Potem lekko porusza palcami i prosta zmienia się w delikatne spirale. Proste, krzywe, parabole, myśli. Spirale powietrza, dymu, ołowiu i Kadyks jako szachownica.

– Szczególne miejsca, gdzie zdarzają się rzeczy lub się nie zdarzają – mówi głośno.

– Właśnie. – Barrull, którzy składa szachy, zatrzymuje się na chwilę i patrzy na niego. – I które wpływają na swoje otoczenie.

Cisza. Grzechot bukszpanu i hebanu, stykających się w pudełku. Rozgwar prowadzonych wokół rozmów i stukot kul z kości słoniowej, dochodzący z sali bilardowej.

– W każdym razie, komisarzy, nie radzę panu brać tego dosłownie... Teorie to jedno, a rzeczywistość – zupełnie co innego. Jak panu mówiłem, nawet naukowcy wątpią w swoje własne wnioski.

Tizón wyciąga nogi pod stolikiem. Odchyła się do tyłu i oparcie krzesła znów dotyka do ściany.

– Ale to, nawet gdyby tak było – zastanawia się na głos – załatwiałoby tylko połowę problemu. Do wyjaśnienia zostałyby, skąd morderca może znać owe punkty czy wiry w ziemskiej atmosferze, przewidzieć ich uwarunkowania i działać zależnie od nich,

wyprzedzając skutek tego, co może się tam zdarzyć... Wypełniając ten otwór swoją własną materią.

– Pyta mnie pan, czy morderstwo lub trafienie bomby można uważać za równoważne wobec zjawisk fizycznych, takich jak deszcz czy tornado?

– Albo cholerny ludzki los.

– Na Boga!

– Sam pan mówi, że czasami natura wykazuje awersję do pustki.

Nauczyciel, który poskładał szachy i zamyka pokrywę pudełka, obserwuje Tizona niemal zaskoczony. Potem robi gest, jakby wachlował się kapeluszem.

– Uff. Nie jest dobrze, kiedy tacy ignoranci jak my zapuszczają się w te okolice, drogi przyjacielu... Popędziliśmy w stronę wyobraźni, obawiam się, wracając do tego, co powieściowe. A to już niemal manowce.

– Istnieje realna podstawa.

– To też nie jest takie jasne. Ze podstawa jest realna. Wyobraźnia pobudzona potrzebą, lękiem lub czymkolwiek może nam płać przykre żarty. Dobrze pan wie.

Tizon uderza w stół. Nie bardzo mocno, ale na tyle, żeby zabrzęczały filiżanki, szklanki i łyżeczki. Od sąsiedniego stolika akademicy podnoszą wzrok znad swoich gazet, żeby obrzucić go potępiającym spojrzeniem.

– Byłem w tych wirach, profesorze. Czuję je. Są takie miejsca, gdzie... Nie wiem... Konkretne punkty w mieście, gdzie wszystko zmienia się w sposób prawie niedostrzegalny: właściwości powietrza, dźwięków, zapachy...

– Temperatura też?

– Nie potrafię powiedzieć.

– Należałoby więc zorganizować regularną ekspedycję naukową, mając do dyspozycji konieczne narzędzia. Barometry, termometry... Sam pan wie. Tak jak wtedy, gdy się ustala stopień długości geograficznej.

Powiedział to z uśmiechem, żartem. Albo tak się wydaje. Tizon przygląda mu się z powagą, bez słowa. Pytająco. Mężczyźni przez chwilę wytrzymują swoje spojrzenia, wreszcie nauczyciel poprawia sobie okulary na nosie i rozszerza usta w porozumiewawczym uśmiechu.

– Absurdalni łowcy wirów... Czemu nie?

Niknie światło w domu przy ulicy Baluarte. O tej porze zatoka pokrywa się złotym, melancholijnym światłem, wróble idą spać na wieże obserwacyjne miasta, a mewy odlatują w kierunku plaż Chiclany. Kiedy Lolita Palma opuszcza gabinet, wchodzi po schodach i idzie oszkloną galerią na pierwszym piętrze, ostatnie światło znika z prostokąta nieba nad patiem, ciemności ogarniają marmurową cembrowinę studni, łuki i donice z paprociami i kwiatami. Lolita całe popołudnie pracowała z administratorem Moliną i sekretarzem, starając się uratować, co tylko mogła, z kiepskiego interesu: z Baltimore miało przyjechać 1100 półkorców czystej mąki z pszenicy, podczas kiedy w rzeczywistości dotarła mieszanka z mąką kukurydzianą. Lolita całe rano sprawdzała próbki – pod wpływem kwasu azotowego i węgla potasu ukazały się płatki żółtego koloru, zdradzając fałszerstwo – i przez resztę dnia pisała listy do przedstawicieli banków i północnoamerykańskiego agenta związanego ze sprawą. Wszystko to jest bardzo nieprzyjemne. Straty ekonomiczne z jednej strony i wynikająca z nich utrata wiarygodności firmy Palma i Synowie od odbiorców mąki, którzy teraz będą musieli czekać na nowy transport lub zadowolić się tym, co jest.

Przechodząc obok drzwi do salonu, dostrzega żar cygara i zarys postaci siedzącej na tureckiej kanapie, odcinający się na tle resztek jasności, która wpada przez okna balkonowe wychodzące na ulicę.

– Jeszcze jesteś?

– Miałem ochotę spokojnie wypalić cygaro. Wiesz, że twoja matka nie znosi dymu.

Kuzyn Toño siedzi nieruchomo. W skąpym blasku zachodu ledwo widać jego ciemny frak. Tylko jasna plama kamizelki i krawat odcinają się w mroku, poniżej czerwonego punktu cygara. Żar węgla w ustawionym tuż obok niewielkim przenośnym piecyku, pachnącym lawendą, oświetla pokój i kontury leżących na krześle płaszcz, cylindra i laseczki.

– Mogłeś powiedzieć, żeby rozpalić w kominku.

– Nie warto, zaraz idę... Mari Paz przyniosła piecyk.

– Zostaniesz na kolację?

– Nie, doprawdy, dziękuję. Mówię, że tylko dopalę cygaro i już idę.

Porusza się nieco, gdy wypowiada te słowa. Szkła jego okularów odbijają żar piecyka, kolejny odblask pojawia się w kryształej szklance, którą trzyma w ręce. Kuzyn Toño spędził pół popołudnia w sypialni matki Lolity, jak zawsze, kiedy doña Manuela Ugarte nie jest w nastroju, by wstać z łóżka. W takich przypadkach, po chwili rozmowy z kuzynką, towarzyszy swojej ciotce, bawiąc ją rozmową, grając w karty lub jej czytając.

– Widzę twoją matkę w dobrej formie. Była o włos od roześmiania się przy kilku dowcipach... Przeczytałem jej też dwadzieścia pięć stron powieści *Juanita, alb o hojność natury*, mało się nie spłakałem.

Lolita Palma zebrała spódnice, żeby usiąść przy nim na kanapie. Kuzyn odsuwa się nieco, robiąc jej miejsce. Dobiega do niej jego zapach tytoniu i koniaku.

– Żałuję, że tego nie widziałam. Moja matka się śmieje, a ty płaczesz... Powinni o tym napisać w „Dzienniku Handlowym”.

– Poważnie, przysięgam, że tak było, na beczkę z winem w tawernie naprzeciwko mojego domu. Żebym jej więcej nie zobaczył, jeśli kłamię!

– Mojej matki?

– Beczki!

Lolita się śmieje. Potem lekko klepie go po ramieniu, prawie po omacku.

– Głuptas z ciebie i pijaczek!

– A z ciebie śliczna czarownica... Taka byłaś od dziecka.

– Śliczna? Nie opowiadaj głupstw.

– To prawda. Czarownica.

Kuzyn Toño śmieje się, kiwając czerwoną końcówką cygara. Panie Palma są jego jedyną rodziną. Codzienne wizyty to zwyczaj zachowany od czasów, kiedy każdego popołudnia przychodził tu, towarzysząc swojej matce. Mimo że ona już od dawna nie żyje, syn nadal je odwiedza. Czuje się tu niemal jak we własnym domu – trzypiętrowej kamienicy przy ulicy Verónica, gdzie mieszka razem ze służącym. Poza tym jego przychody z kapitału zainwestowanego w Hawanie docierają regularnie. To pozwala mu na rutynę bezczynności: w łóżku do dwunastej, fryzjer o wpół do pierwszej, obiad w sali na górze w kawiarni Apollo, gazety i sjesta w fotelu na parterze, odwiedziny u pań Palma wczesnym popołudniem, lekka kolacja i wieczorna pogawędka w kawiarni Cadenas, na koniec chwila przy kartach i zielonym suknie od czasu do czasu. Tych trzynaście godzin na dobę spokojnie przesypianych pozwala na rozpuszczenie dwóch butelek białego wina i licznych kieliszków czegoś mocniejszego, jakie codziennie pochłania; nie ma jeszcze siwizny na włosach, które zaczynają rzednąć, wypukłość, jaką ściskają guziki dwurzędowych kamizelek, jest coraz bardziej widoczna, choć nieprzesadna, a jego niespożyty dobry humor ogranicza proces niszczenia wątroby, która – jak podejrzewa Lolita – ma już rozmiar i konsystencję dwóch funtów francuskiego pasztetu na winie z Porto. Ale kuzyn Toño nie przejmuje się tym specjalnie. Mawia, gdy ona z czułością robi mu wyrzuty, że lepiej skończyć na stojąco, z kieliszkiem w ręce, śmiejąc się pośród przyjaciół, niż starzeć się w nudzie, smutku i na kolanach. Dolej mi jeszcze, maleńka. Jeśliś taka miła.

– O czym myślałeś, kuzynie?

Milczenie, nagle bardzo poważne. Żar cygara dwukrotnie ożywa w mroku.

– Wspominałem.

– Co, na przykład?

Znów kuzyn długo nie odpowiada.

– Nas, tutaj – odzywa się wreszcie. – Kiedy byliśmy mali. Goniły między meblami. Ty bawiłaś się na górze, na tarasie... Wchodziłaś na wieżę z lunetą, której nigdy mi nie dawałaś, choć byłem dużo starszy. A może dlatego właśnie. Miałaś warkoczyki i przypominałaś mądrą myszkę.

Lolita Palma wolno kiwa głową, świadoma, że kuzyn jej nie widzi. Te dzieci są już zbyt daleko, myśli. Ona, on, inni. Zostali w tyle, w niemożliwym raju, zakazanym rozsądkowi i upływowi lat. Również tamta dziewczynka, która z wieży obserwacyjnej domu patrzyła na statki pod białymi żaglami.

– Może byś wybrał się ze mną pojutrze do teatru? – mówi z rozmyślną beztróską. – Pójdziemy z Curra Vilches i jej mężem. Grają sztukę Lope de Vegi, a na początek śpiewogrę o żołnierzu Poenco.

– Tak, czytałem w „Przeglądzie”. Przyjdę tu po ciebie niechybnie.

– Tylko, jeśli możesz, wyglądaj po ludzku.

– Wstydzisz się mnie?

– Nie, ale jeśli każesz wyczyścić i wyprasować ubranie, przyjemniej się będzie z tobą pokazać.

– Ranisz mą próżność, kuzynko... Czyżby ci się nie podobały moje kamizelki, zgodne z ostatnią modą, szyte u Madryckiego Hafciarza?

– Podobają mi się bardziej, jeśli nie ma na nich popiołu z cygar.

– Pięknie, harpio jedna!

– Niezgrabny wielkolud!

Salon jest niemal pogrążony w mroku, żarzą się tylko cygaro i piecyk. Prostokąty szyb obu balkonów odcinają się od czerni za oknem lekko fioletową fluorescencją. Lolita słyszy, że kuzyn dolewa sobie koniaku z karafki, którą pewnie ma pod ręką. Przez chwilę oboje siedzą w milczeniu, czekając, aż zapadnie całkowita ciemność. W końcu Lolita wstaje z kanapy, po omacku szuka pudełka zapalek i lampy, podnosi szklany klosz i zapala knot. W świetle widać obrazy na ścianach, meble z ciemnego mahoni, wazy ze sztucznymi kwiatami.

– Nie zapalaj więcej światła – mówi kuzyn Toño. – Tak jest dobrze.

Lolita przykręca knot, płomień maleje i tylko słaby czerwony poblask zarysowuje kontury mebli i przedmiotów. Kuzyn nadal pali, nieruchomy na kanapie, z kieliszkiem w ręce i twarzą zakrytą mrokiem.

– Myślałem przed chwilą – mówi – o tych popołudniowych odwiedzinach z moją matką: twoja matka i wszystkie nasze stare ciotki, dalekie kuzynki i reszta rodziny, ubrane na czarno, popijały czekoladę tutaj właśnie albo na dole, na patiu... Pamiętasz?

Lolita znów kiwa głową, siadając na kanapie.

– Jasne. Wyludniło się tu od tamtych czasów.

– I nasze wakacje w Chiclanie? Wchodzenie na drzewa po owoce, harce w ogrodzie, przy świetle księżycy. Z Cari, Franciskiem de Paula... Zazdrościłem wam wspaniałych zabawek, jakie dostawaliście od waszego ojca. Kiedyś chciałem wam ukraść żołnierzyka, ale zostałem przyłapany.

– Pamiętam. Zebrałeś cięgi.

– Umierałem ze wstydu, długo nie mogłem wam spojrzeć w oczy.

– Długa pauza, zamyślenie. – Tak się skończyło moje życie przestępcze.

Siedzi w milczeniu. Dziwna cisza, nagle nieprzyjemna. Niezgodna z jego temperamentem. Lolita Palma bierze go za rękę, którą kuzyn trzyma bezwładnie, nie odpowiadając na czuły uścisk. Dłoń jest zimna, stwierdza zaskoczona. Po chwili, naturalnym gestem, kuzyn zabiera rękę.

– Nigdy nie bawiłaś się lalkami ani w dom... Woliałaś aluminiowe szabelki, ołowianych żołnierzy, drewniane statki swojego brata...

Tym razem pauza jest bardzo długa. Nadmiernie długa. Lolita domyśla się, co teraz powie jej kuzyn; a ten przeczuwa, bez wątpienia, że ona się domyśla.

– Często wspominam Paquita – szepce kuzyn w końcu.

– Ja też.

– Myślę, że jego śmierć odmieniła twoje życie. Czasem zastanawiam się, co ty teraz robiłabyś, gdyby nie...

Żar cygara niknie, kiedy mężczyzna starannie rozgniatą niedopałek w popielniczce.

– Prawdę mówiąc – zamyka temat, już innym tonem – nie wyobrażam sobie ciebie zamężnej, podobnej do Cari.

Lolita uśmiecha się w mroku do siebie samej.

– Ona jest inna – stwierdza łagodnie.

Kuzyn Toño zgadza się z nią. Śmieje się sucho, przez zęby. Nie tak jak zazwyczaj, niepohamowanie i szczerze. Zostajemy sami, mówi. Ty i ja. Samotni jak Kadyks. Potem milknie na chwilę.

– Jak się nazywał ten chłopak? Manfredi?

– Tak, Miguel Manfredi.

– To też zmieniło twoje życie.

– Niczego nie można być pewnym, kuzynie.

Teraz on śmieje się szczerze, odzyskawszy swój zwykły dobry humor.

– Rzecz polega na tym, że jesteśmy tutaj ty i ja: ostatni Cardenal i ostatnia z rodziny Palma... Zatwardziały stary kawaler i ty, stara panna na zawsze sama. Tak jak Kadyks, mówię ci.

– Jak możesz być równie grubiański i bezczelny?

– Dzięki praktyce, moje dziecko. To zasługa lat, balsamu z winogron i bogatego doświadczenia.

Lolita dobrze wie, że Toño nie zawsze chciał być starym kawalerem. Bardzo długo w czasach młodości kochał Consuelo Carvajal, piękną mieszkankę Kadyksu, cieszącą się wzięciem, wyniosłą w stopniu graniczącym z pogardą. Dla tej miłości był gotów na wszystko, spełniał każdy kaprys dziewczyny. Ona jednak nie miała szczerych zamiarów, uwielbiała grać rolę *belle dame sans merci* kosztem Toña Cardenala. Przez długi czas, nie rozwiewając całkiem jego nadziei, pozwalała się uwielbiać. Chełpiła się – tak jak inni chełpią się znakomitym służącym – wiernością zabawnego dryblasa, nad którym panowała niby cesarzowa, nie szcędząc mu wszelkiego rodzaju upokorzeń towarzyskich, którym on poddawał się z niezmiennie dobrym humorem i wspaniałomyślną, psią lojalnością. Kochał ją nadal nawet wtedy, kiedy wyszła za mąż za innego.

– Dlaczego nie wyjechałeś do Ameryki? Po ślubie Consuelo miałaś taki zamiar.

Kuzyn Toño tkwi w milczeniu, nieruchomo w skąpym świetle lampy. Jedyne Lolita wspomina czasami imię kobiety, która zatrzała jego życie. Nie czuje żalu ani urazy. Tylko melancholię kogoś, kto przegrał i pogodził się z losem.

– Nie chciało mi się – mruczy w końcu pod nosem. – To takie typowe dla mnie.

Ostatnie słowa wypowiada obojętnym tonem, lżejszym i beztroskim, towarzyszy im dźwięk wlewania następnej porcji koniaku. Poza tym, dodaje z ożywieniem, ja do życia potrzebuję tego miasta. Nawet kiedy Francuzi stoją naprzeciwko, tutaj żyje się spokojnie jak pod kloszem. Kocham te czyste, proste ulice, równoległe i prostopadłe w stosunku do siebie nawzajem, jakby chciały się skryć w swoich martwych kątach. I owo skupienie, ów spokój, niemal smutek, który nagle za pierwszym rogiem ulicy przemienia się w rozgwar i ożywienie.

– Wiesz – mówi na koniec – co najbardziej lubię w Kadyksie?

– Pewnie. Likiery w kawiarniach i wino w sklepach górali.

– To też. Ale naprawdę uwielbiam ten zapach jak w ładowni brygantyny panujący na ulicach: zapach marynat, cynamonu i kawy... Zapach naszego dzieciństwa, kuzynko. Naszej nostalgii... A nade wszystko lubię uliczne narożniki z tablicami, gdzie namalowane są statki na niebieskozielonym tle morza i najpiękniejszy napis świata: *Sklep z towarami zamorskimi i kolonialnymi*.

– Jesteś poetą, kuzynie. – Lolita się śmieje. – Zawsze tak mówiłam.

Miejska wyprawa okazuje się porażką. Rogelio Tizón i Hipolito Barrull spędzili cały dzień, przemierzając Kadyks, starając się zrozumieć, jak wyznaczona jest ta inna mapa, ukryta i niepokojąca, którą wyobraża sobie komisarz. Wyszli wcześniej rano, pomagał im Szafot, który, zgodnie z radą nauczyciela, niósł przyrządy: barometr Spencera rozsądnych rozmiarów, termometr Megnie i niewielki przenośny kompas magnetyczny, a także szczegółowy plan miasta. Zaczęli od okolic Bramy Ziemi, gdzie przeszło rok wcześniej znaleziono zwłoki pierwszej z zamordowanych dziewczyn. Potem pojechali kolaską do gospody Kulawego i wrócili do miasta, by z planem w ręku, uważając na każdy znak, przebyć dokładnie całą trasę: ulice Amoladores, Viento, Laurel, Pasquín, Silencio. I w każdym z miejsc postępowanie było identyczne: oznaczenie na mapie, określenie położenia wobec kierunków i świata, i wobec francuskiej baterii w Cabezueli, oględziny sąsiednich budynków, analiza kątów zbieżnych z kierunkiem wiatrów i wszelkich szczegółów mogących mieć jakieś znaczenie. Tizón wziął ze sobą nawet rejestry zapisów meteorologicznych Królewskiej Floty z dni, kiedy zostały zamordowane dziewczyny. Podczas gdy komisarz chodził po mieście, skupiony jak pies gończy wietrzący trudną zdobycz, pod lojalnym spojrzeniem Szafota, obserwującego go z daleka i uważnego na każde polecenie, Barrull porównywał dane z aktualną temperaturą i ciśnieniem atmosferycznym, szukając ewentualnych istotnych różnic pomiędzy poszczególnymi miejscami. Wyniki rozczarowują: poza tym, że wszędzie wiał słaby wiatr wschodni i ciśnienie było względnie niskie, nie ma wspólnego modelu albo nie można stwierdzić jego istnienia, a w żadnym z odwiedzonych miejsc nie widać cech nienormalnych. Tylko dwa razy igła magnetyczna wykazała wyraźne odchylenie, choć w jednym przypadku, na ulicy Amoladores, może to wynikać z bliskości magazynu żelaznego złomu. Poza tym badanie nie przyniosło niczego istotnego. Jeśli istnieją punkty, gdzie panują odmienne warunki, nie wykazują one żadnych wyraźnych oznak. Niemożliwa jest ich lokalizacja.

– Obawiam się, że pańskie odczucia są zbyt osobiste, komisarzu.

– Myśli pan, że to wszystko to tylko moje wymysły?

– Nie. Mówię, że przy tych skromnych środkach, jakimi dysponujemy, pana podejrzenia nie znajdują fizycznego potwierdzenia.

Odprawili Szafota dźwigającego przyrządy i teraz dokonują marnego bilansu całego dnia, idąc wzdłuż ogrodzenia klasztoru Karmelitów Bosych w kierunku placu Świętego Antoniego, gdzie zamierzają zjeść tortillę w gospodzie przy ulicy Veedor. Na tym odcinku ulicy mijają niewielu przechodniów: ulicznego sprzedawcę hawańskich cygar z przemytu, który przezornie szybko się oddala, rozpoznawszy Tizona, stolarza pracującego nad mahoniowym meblem w drzwiach swojego warsztatu. Popołudnie jest jeszcze suche, słoneczne, a temperatura przyjemna. Hipolito Barrull ma na głowie dwugraniasty kapelusz, przekrzywiony na bok i zsunięty do tyłu, na ramionach czarną pelerynę, rozchyłoną i ukazującą staromodny surdut, kciuki wetknął w kieszonki kamizelki. Obok niego Tizón macha laską, w szatańskim humorze, przyglądając się ziemi pod swoimi butami.

– Byłoby trzeba – ciągnie Barrull – porównać warunki w każdym z miejsc dokładnie w momencie popełnienia morderstwa i spadnięcia bomby... Sprawdzić, czy są jakieś elementy wspólne, poza niewiele znaczącym wschodnim kierunkiem wiatru i niskim wskazaniem barometru, i określić linie łączące te miejsca według ciśnienia, temperatury, kierunku i siły

wiatru, godzin i wszelkich innych możliwych czynników, jakie tylko wpadną nam do głowy... Wytyczenie mapy, o jaką panu chodzi, jest niemożliwe przy obecnym stanie nauki. Zwłaszcza że dysponujemy wielce skromnymi środkami.

Rogelio Tizón się nie poddaje. Mimo że martwi go brak dowodów, uparcie trzyma się swojej idei. On wyraźnie to odczuwał, nalega. Subtelne zmiany w powietrzu, w jego temperaturze. Nawet zapach był inny. Miał wrażenie, że znajduje się pod szklanym kloszem, gdzie panuje próżnia.

– Dziś jednak nie czuł pan niczego podobnego, komisarzu. Widziałem, jak cały dzień na próżno szukał pan jakichkolwiek znaków, przeklinając pod nosem.

– Może to nie był właściwy moment – przyznaje Tizón oschle.

– Może chodzi o coś, co pojawia się tylko czasem, w zależności od określonych warunków... Co występuje tylko w okolicznościach odpowiednich dla każdej ze zbrodni i każdego spadnięcia bomby.

– Jestem gotów przyjąć wszelkie warianty. Proszę jednak przyznać, że z punktu widzenia poważnej nauki nie jest to wcale proste. – Barrull odchodzi na bok, ustępując drogi kobiecie prowadzącej dziecko za rękę. – Czytał pan książkę, którą panu pożyczyłem, tę z listami Eulera?

– Tak. Ale nie posunąłem się zbyt daleko w lekturze. Choć nie żałuję. Mogłem znów się zapuścić w jakiś ślepy zaułek, podobnie jak to było z pańskim przekładem *Ajasa*.

– Być może na tym właśnie polega problem... Nadmiar teorii prowadzi do nadmiaru wyobraźni. I na odwrót. Możemy co najwyżej stwierdzić, że w tym mieście znajdują się miejsca, gdzie być może występują podobne warunki, biorąc pod uwagę temperaturę, wiatr i tak dalej. Lub ich brak... I te miejsca mogą wywierać pewien podwójny magnetyzm lub przyciągać na odległość: powodują spadnięcie bomb, które wybuchają, i prowokują działanie mordercy.

– To wcale niemało – stwierdza Tizón.

– Nie mamy jednak żadnych dowodów. Niczego, co wskazywałoby na związek między zabójstwami i bombami.

Policjant potrząsa głową, nieugięty.

– To nie jest przypadek, don Hipolito.

– Tak. Ale proszę to udowodnić.

Zatrzymali się nieopodal klasztoru, na placu, który powstaje u zbiegu z ulicą Compañía. Sklepy i stragany z kwiatami są jeszcze otwarte. Ludzie leniwie spacerują pomiędzy wylotami ulic Vestuario i Carne albo zbierają się wokół służących jako stołki czterech beczek stojących na rogu przed tawerną Andaluzyjską. Tarzając się po ziemi naprzeciwko warsztatu nożowniczego Serafina, pół tuzina dzieciaków z brudnymi kolanami, uzbrojonych w drewniane i wiklinowe szpady, bawi się w Hiszpanów i Francuzów. Są bezlitosne dla więźniów.

– Nie potrzeba książek, teorii ani wyobraźni – upiera się Rogelio Tizón. – Może je pan nazywać wirami, dziwnymi miejscami czy jak się panu podoba. Jednak z pewnością tam są... Albo byty. Sam tego doświadczyłem. To jak w szachach, mówię panu... W pewnych momentach wystarczy, że dotknie pan jakiejś figury, zanim jeszcze pan nią poruszy, zanim się dowiem, co pan zamierza, a ja już przeczuwam pewność kłęski.

Barrull wzrusza ramionami, raczej ostrożny niż sceptyczny.

– Dziś zawodzi pana przecucie, jak widzieliśmy. *Sentiment du fer*, jak mówią szermierze.

– To prawda. Ale wiem, że mam rację.

Po krótkim przystanku Barrull znów rusza przed siebie. Zatrzymuje się po kilku krokach, czeka, żeby Tizón się z nim zrównał. Policjant idzie wolno, z uniesioną brwią, patrząc w ziemię, tak jak poprzednio. W jego życiu były już momenty bardziej optymistyczne. Mniej przygnębiające. Nauczyciel czeka na niego, po czym mówi:



– W takim razie, skoro już puszcza wodze wyobraźni... Nie pomyślał pan, że być może pańskie odczucia biorą się z pewnego zmysłowego podobieństwa do mordercy?

Tizón przygląda mu się podejrzliwie. Trzy sekundy. Niechże pan nie gada byle czego, profesorze, mruć po chwili. O tej porze, przed wieczorem. Tamten jednak się nie poddaje. Być może istnieje pewna syntonía między wami, nalega. Zdolność do odbierania tych miejscowych zmian, których pan poszukuje, komisarzu. Poza tym są osoby, które za sprawą pewnej szczególnej wrażliwości miewają prorocze sny albo fragmentaryczne wizje przyszłości. Nie mówiąc już o zwierzętach, które przeczuwają trzęsienia ziemi i inne katastrofy, jeszcze zanim się one wydarzą. Istota ludzka także posiada ową intuicję, podejrzewa profesor. Być może tylko częściową. Obumarła przez wieki. Zawsze jednak zdarzają się wyjątkowe jednostki. Morderca miałby więc nadzwyczajną zdolność przeczuwania. Najpierw działał pod wpływem przyciągania tych samych sił czy warunków, za których sprawą spadały tam bomby. Potem jego zmysły wskutek doświadczenia wyostrzyły się tak, że jest w stanie wyprzedzić bomby.

– Człowiek wyjątkowy, tak jak wcześniej mówiłem – kończy Barrull.

Tizón parska z furją.

– Wyjątkowy sukinsyn, chciał pan powiedzieć.

– Może. Jeden z tych, których, parafrazując D'Alemberta, nazwalibyśmy *istotami mrocznymi i metafizycznymi, zdolnymi otoczyć mrokiem naukę samą przez się jasną...* Niech mi pan jednak, komisarzu, pozwoli coś sobie powiedzieć: nie ma żadnych przeszkód, żeby pan też nim był, bo podziela pan niektóre przecucia z mordercą. To paradoksalnie oznaczałoby, że pana wrażliwość jest w pewnym sensie zbieżna z intuicją tego potwora... Jest pan bliższy zrozumienia jego bodźców niż reszta mieszkańców miasta.

Minęli zakręt i teraz powoli wspinają się na Murgę pod zielonymi kratami i żaluzjami na balkonach. Patrząc badawczo z ukosa, Barrull sprawdza, jaki efekt wywołały u komisarza jego ostatnie słowa.

– Nie wydaje się to panu niepokojące?

Tizón nie odpowiada. Przypomina sobie młodą prostytutkę w Santa Maria, leżącą na brzuchu, nagą. Bezbronną. I siebie samego, stojącego obok, jak sunął czubkiem łaski po białej skórze. Przeróżając otchłań, którą przez chwilę poczuł w sobie.

– Być może to właśnie jest wytłumaczeniem dla pańskiej obsesji, poza zawodowymi obowiązkami – ciągnie nauczyciel. – Bo pan wie, czego szuka. Pański instynkt podpowiada panu, jak to rozpoznać... Naukowe podejście być może tylko by panu przeszkadzało. Może to kwestia czasu i szczęścia. Kto wie? Być może pewnego dnia spotka pan mordercę na ulicy i będzie pan wiedział, że to on.

– Rozpoznam go dzięki braterstwu uczuć?

Głos komisarza brzmi głucho. Niebezpiecznie. Sam zdaje sobie z tego sprawę i widzi, że wyraz twarzy jego rozmówcy trochę się zmienia.

– Do licha, co innego chciałem zasugerować – spieszy z wyjaśnieniem Barrull. – Byłoby mi niezwykle przykro, gdybym pana obraził. Jest jednak prawdą, że nikt z nas nie wie, jak ciemne zakamarki mamy w sobie... Ani jak niewyraźne są pewne granice.

Milczy kilka kroków. Potem mówi:

– Powiedzmy, że moim zdaniem tę partię może pan rozegrać wyłącznie na swojej szachownicy. Tu nawet najnowsza nauka nie przyjdzie panu z pomocą... Być może pan i morderca widzicie to miasto w inny sposób, niż my je widzimy.

Ponury śmiech policjanta zdradza wszystko poza sympatią. Właściwie, stwierdza po chwili, śmieje się z własnego cienia. Z portretu, jaki rozmyślnie czy przypadkowo zaczyna kreślić jego rozmówca.

– Ciemne zakamarki, mówi pan.

– Tak. Tak powiedziałem. Pan, ja... Każdy.

Nagle Tizón ma ochotę się usprawiedliwić. Nagłą ochotę.

– Miałem córkę, profesorze.

Zatrzymał się nagle i uderza niecierpliwie laską w ziemię. Stwierdza u siebie głuchą wściekłość, która wstrząsa nim aż po czubki włosów. Jego słowa zmieniły wyraz twarzy Barrulla, który patrzy na niego zaskoczony.

– Wiem – mruczy profesor pod nosem, nagle skrepowany. – Słyszałem o pana nieszczęściu.

– Umarła jako dziecko. I kiedy widzę te dziewczyny...

Nauczyciela przeszywa dreszcz, kiedy słyszy te słowa.

– Nie chcę, żeby mi pan o tym mówił – przerywa mu, unosząc w górę dłoń. – Zabraniam panu.

Teraz z kolei Tizón jest zaskoczony, nic jednak nie mówi. Staje przed Barrullem, jakby żądając wyjaśnień. Ten robi ruch, jakby zamierzał ruszyć przed siebie, jednak tkwi w miejscu.

– Zbyt sobie cenię pańską przyjaźń – wyjaśnia wreszcie niechętnie. – Choć to słowo w pańskim przypadku jest raczej względne... Powiedzmy, że cenię sobie pańskie towarzystwo. Możemy tak to zostawić?

– Jak pan sobie życzy.

– Należy pan, komisarzu, do tych ludzi, którzy nigdy nie wybaczą innym własnych słabości... Sądzę, że zbyt nie zaufanie wobec mnie, pod presją obecnych wydarzeń, nie będzie dla pana miłe na dłuższą metę. Mówienie o swoim życiu. Znaczy... O sprawach rodzinnych.

Po tych słowach, wypowiedzianych z widocznym wysiłkiem, Barrull przez kilka minut stoi zamyślony, jakby szukał argumentów.

– Nie chciałbym stracić najlepszego partnera do szachów.

– Ma pan rację – zgadza się Tizón.

– Jasne, że mam. Jak niemal zawsze. Poza racją, mam jeszcze ochotę coś zjeść... Dam się panu zaprosić na tortillę i coś do popicia. Dziś na to uczciwie zarobiłem.

Barrull rusza przed siebie, jednak Tizón nie idzie za nim. Pozostał nieruchomy, patrząc w górę, na narożny budynek przy ulicy San Miguel. W niszy znajdującej się wyżej archanioł z mieczem w dłoni powala diabła.

– Tu, profesorze... Niczego pan nie czuje?

Nauczyciel patrzy na niego z przestrawieniem. Potem, idąc spojrzeniem za wzrokiem policjanta, podnosi wzrok ku rzeźbie.

– Nie – odpowiada.

Powiedział to bardzo ostrożnie. Komisarz nadal patrzy w górę.

– Jest pan pewien?

– Zupełnie.

Problem, zastanawia się Rogelio Tizón z nagłą jasnością myśli, polega na tym, czy to, co czuje teraz, pojawiło się, zanim dostrzegł archanioła, czy też właśnie jego widok budzi w nim owo odczucie, złowrogie i dobrze znane, którego szukał przez cały dzień. Pewność, że na krótką chwilę wszedł do wyjątkowej przestrzeni, gdzie powietrze, dźwięki i zapachy – policjant dostrzega wyraźnie ich całkowity brak – zmieniają się nagle i rozplývają w pustce aż do kompletnego zaniku.

– Co się dzieje, komisarzu?

Nawet głos Barrulla dobiega jakby z oddali, zniekształcony przez odległość. Dzieje się to, że właśnie minął jeden z pana przeklętych wirów, profesorze, stara się odpowiedzieć Tizón. Czy jak tam się one nazywają. Zamiast tego ruchem brody wskazuje rzeźbę świętego Michała i patrząc wokół, na róg ulic i sąsiednie budynki, stara się objąć to miejsce równocześnie rozumem i zmysłami.

– Niech pan sobie ze mnie nie kpi – mówi Barrull, pojawiający, o co mu chodzi.

Uśmiech, lekko rozbawiony, zastyga mu na ustach, kiedy dostrzega lodowate spojrzenie policjanta.

– Tutaj?

Nie czekając na odpowiedź, podchodzi do Tizona i patrzy w tym samym kierunku, najpierw w górę, potem wokół. Potem, zniechęcony, kręci głową.

– To na nic, komisarzu. Obawiam się, że tylko pan...

Milknie i znów się rozgląda.

– Szkoda, że odesłaliśmy pańskiego pomocnika z przyrządami – żałuje. – Przydałyby się...

Tizón gestem ręki nakazuje mu milczenie. Nadal stoi nieruchomo, patrząc w górę. Wrażenie trwało bardzo krótko, już nic nie czuje. Znów stoi przed niszą z figurą świętego Michała na wzniesieniu Murga o szóstej po południu, dzień jest jak każdy inny. Jednak to było tutaj. Bez cienia wątpliwości. Przez chwilę przekroczył próg dziwnej i równocześnie znajomej pustki.

– Może popadam w obłąd – mówi w końcu.

Czuje na sobie zaniepokojone spojrzenie nauczyciela.

– Niech pan nie gada głupstw, komisarzu.

– W pewnym sensie już pan to wcześniej wyraził innymi słowami... Jak ten, który popełnia morderstwa.

Od dobrej chwili Tizón chodzi wkoło, bardzo powoli, przyglądając się wszystkim szczegółom. Ostukując ziemię laską, jak robiłby to ślepiec.

– Powiedział pan kiedyś...

Milknie, przypominając sobie słowa nauczyciela. Nie chciałby teraz widzieć swojego odbicia w lustrze, myśli, widząc wyraz twarzy Barrulla, który go obserwuje. A jednak pewne rzeczy ukazują mu się w głowie zupełnie jasno. Mroczne zbieżności: rozerwane ciało kobiety, pustka, cisza. I dziś wieje wschodni wiatr.

– Powinienem, powiedział pan, zapytać Francuzów. Przypomina pan sobie?

– Nie. Ale na pewno tak było.

Policjant kiwa głową, ale naprawdę wcale nie zwraca uwagi na rozmówcę. Prowadzi dialog sam ze sobą. Ze swojej niszy, trzymając w górze miecz, archanioł wydaje się patrzeć na niego wyzywająco. Równie drwiący jak zdesperowany, ponury grymas, który niby cios kańczugiem nagle przebiegł przez twarz komisarza.

– Być może ma pan rację, profesorze... Może nadszedł moment, żeby ich zapytać.

Jest sobotni wieczór. Ożywiony tłum opuszczający teatr wychodzi ulicą Novena na ulicę Ancha, komentując przedstawienie. Od drzwi kawiarni na rogu z ulicą Amargura, odwiedzaną przez cudzoziemców i marynarzy, Pepe Lobo i jego porucznik Ricardo Maraña w milczeniu przyglądają się defiladzie. Obaj korsarze – znów nimi są oficjalnie, korsarski patent został zwrócony „Culebrze” przed pięcioma dniami – zeszli na ląd dzisiejszego poranka, a teraz siedzą przy stoliku przed glinianą butlą, opróżnioną więcej niż w połowie, z holenderskim dzinem. Blask latarni palących się na głównej ulicy Kadyksu oświetla pokaz eleganckich strojów: surduty, kaftany, fraki, buty z nankinu, peleryny i płaszcze, zgodnie z paryską i londyńską modą, dewizki i cenne klejnoty, panie w futrzanych narzutach i haftowanych chustach, choć widać też berety nasunięte po brwi i czepce o szerokim rondzie, krótkie haftowane żakiety z guzikami z drobnych monet, zamszowe spodnie, baskinki z frędzlami albo pomponikami, szare chusty i kapy z czerwonym obrąbkiem, jakie noszą prości ludzie, wracający do swych domów w dzielnicy Viña albo Mentidero. Idą tamtędy atrakcyjne kobiety z wszelkich warstw społecznych. Są też deputowani z modlitewnej sali u Świętego Filipa Neri, emigranci mniej lub bardziej zamożni, oficerowie lokalnej milicji, hiszpańscy i angielscy wojskowi, wyróżniający się pióropuszcami, epoletami, sznurami. Wieczory w teatrze, jedyna publiczna rozrywka w mieście, od kiedy Kortezy zdecydowały przed kilkoma

miesiącami, że znów może zostać otwarty, przyciągają na widownię najlepsze towarzystwo, choć nigdy nie brakuje prawdziwych wielbicieli sceny z warstw niższych. Ponieważ przedstawienia zaczynają się wcześniej, godzina jest jeszcze młoda i panuje przyjemna temperatura jak na tę porę roku, spora część przechodniów daleka jest od tego, żeby już zmierzać do domów – eleganckie przyjęcia i stoły do gry oczekują osób zamożniejszych, o lepszej pozycji społecznej; gospody z gitarami, pogaduszki, rozgwar i tanie wino – prostych ludzi i tych, którzy są skłonni do wspólnej z nimi zabawy. A nie jest ich mało.

– Popatrz, kto tu idzie – odzywa się Maraña.

Pepe Lobo podąża za spojrzeniem swojego pierwszego oficera. Lolita Palma zbliża się w sporym towarzystwie, wśród przyjaciół obojga płci. Lobo rozpoznaje w grupie kuzyna Tona i deputowanego z Buenos Aires Jorge Fernandez Cuchillero. Jest także Lorenzo Virues, w mundurze galowym – przy pasie szabla, epolety kapitana wojsk inżynieryjnych na turkusowoniebieskiej kurtce z fioletowymi wyłogami, czerwony pióropusz z rozetą i srebrny galon na kapeluszu.

– Nasza szefowa – dodaje porucznik ze zwykłą dla niego obojętnością.

Lolita Palma dostrzegła Lobo, a ten to zauważa. Przez chwilę kobieta nieco zwalnia kroku, kierując w jego stronę uprzejmy uśmiech, któremu towarzyszy lekkie pochylenie głowy. Dobrze wygląda: suknia w ciemnoczerwonym kolorze, w angielskim stylu, turecki czarny szal na ramionach, spięty na piersi niewielką szmaragdową broszką. Skórkowe rękawiczki na rękach, podłużna jedwabna torebka, w jakiej zazwyczaj nosi się wachlarz i teatralną lornetkę. Nie ma na sobie innej biżuterii jak proste kolczyki ze szmaragdami, jej głowę przykrywa mały kapelusik z aksamitu, przypięty srebrną szpilą. Kiedy zrównuje się z nimi, Lobo wstaje i też pochyla się nieco. Nie przerywając rozmowy ze swoim towarzystwem ani nie odrywając spojrzenia od korsarza, Lolita zwalnia jeszcze bardziej, kładąc, jakby przypadkowo, dłoń na ramieniu kuzyna Toña, który zatrzymuje się, wyjmując zegarek z kieszeni kamizelki i mówi coś, co powoduje, że wszyscy wybuchają śmiechem.

– Czeka, żebyś się z nią przywitał – podpowiada Maraña.

– Na to wygląda... Idziesz ze mną?

– Nie. Jestem tylko twoim porucznikiem i dobrze mi tutaj z butelką dżinu.

Po krótkiej chwili wahania Lobo bierze kapelusz, który wisiał na oparciu krzesła, i trzymając go w ręce, zbliża się do towarzystwa. Kątem oka dostrzega niezadowoloną minę Lorenza Viruesa.

– Jakże mi miło, kapitanie! Witamy w Kadyksie.

– Dziś rano rzuciliśmy kotwicę w porcie.

– Tak, wiem.

– Tarifa ostatecznie została ocalona. A nas zwolniono... Znów możemy używać korsarskiego patentu.

– To też wiem.

Wyciągnęła rękę, nad którą Lobo się pochyla. Ledwo ją muskając. Ton głosu Lolity Palmy jest miły, pogodny i bardzo grzeczny. Jest równie opanowana jak zawsze.

– Nie wiem, czy wszyscy państwo się znają... Pan Jose Lobo, kapitan „Culebry”. Już pan spotkał niektórych spośród mych przyjaciół: mój kuzyn Toño, Curra Vilches i jej mąż, Carlos Pastor... Pan Jorge Fernandez Cuchillero, kapitan Virues...

– Znam tego pana – mówi wojskowy oschle.

Obydwaj mężczyźni wymieniają przelotne, nieprzyjemne spojrzenia. Pepe Lobo zastanawia się, czy antypatia Viruesa wynika z faktu, że mają stare porachunki, jeszcze nabrzmiałe po rozmowie w Calecie, czy też obecność Lolity Palmy prowokuje jego wrogość wobec niego. Idziemy do cukierni Burnela, mówi Lolita z nienagannym spokojem. Może miałby pan ochotę pójść z nami.

Marynarz uśmiecha się słabo, z rezerwą. Nieco zakłopotany.

– Bardzo dziękuję za zaproszenie, ale jestem tu razem z moim porucznikiem.

Kobieta spogląda na kawiarniany stolik. Zna Ricarda Marańę od czasów swojej wizyty na kutrze i uśmiecha się do niego uprzejmie. Lobo stoi plecami do swojego oficera i nie widzi go, domyśla się jego reakcji: eleganckie skinienie głową z równoczesnym uniesieniem, w geście pozdrowienia, szklaneczki dżinu. Nie przedstawiaj mnie nikomu, kogo bym wcześniej nie znał, powiedział mu niegdyś.

– Też mógłby pójść z nami.

– Nie jest specjalnie towarzyskim osobnikiem... Może kiedy indziej.

– Według woli.

Podczas kiedy wymieniają zwyczajowe, uprzejme formułki pożegnania, deputowany Fernandez Cuchillero – w eleganckiej szarej pelerynie z wyłogami w szafranowym kolorze, z wiklinową laseczką, w wysokim kapeluszu – mówi, że chciałby znaleźć okazję, by porozmawiać chwilę z panem Lobo i dowiedzieć się, co się działo w Tarifie. Słyszał, że była to bohaterska obrona. Poważna klęska Francuzów. W najbliższy poniedziałek właśnie będzie nad tym debatowała parlamentarna komisja wojenna.

– Czy dałby się pan, kapitanie, zaprosić jutro na obiad, jeśli nie ma pan innych zobowiązań?

Korsarz spogląda przelotnie na Lolitę Palmę. Spojrzenie trafia w pustkę.

– Jestem do pańskiej dyspozycji.

– Wspaniale. Możemy się umówić o wpół do pierwszej w zajeździe Czterech Narodów? Podają tam wspaniałe pasztet z ostryg i flaki z ciecierzycą. Mają też przyzwoite wina z Wysp Kanaryjskich i z Portugalii.

Szybka kalkulacja ze strony Pepe Lobo. Jest mu zupełnie obojętna komisja wojenna Korteżów, natomiast deputowany jest nie tylko przyjacielem domu Palma, ale też dobrym kontaktem politycznym. Znajomość z nim może być przydatna. W tych czasach i przy tak niebezpiecznym rzemiośle nigdy nic nie wiadomo.

– Będę na pana czekał.

Kierunek, w jakim idzie rozmowa, wydaje się nie podobać kapitanowi Viruesowi, który marszczy brwi.

– Wątpię, czy ma pan cokolwiek do powiedzenia w tej sprawie – mówi ostrym tonem. – Nie wydaje mi się, by w którymkolwiek momencie stapał pan po ziemi w Tarifie... O ile rozumiem, pańska misja toczyła się raczej z dala: dostarczał pan i odbierał oficjalne dokumenty.

Kłopotliwe milczenie. Spojrzenie Pepe Lobo przez chwilę spotyka się ze wzrokiem Lolity Palmy, a potem spoczywa na wojskowym.

– To prawda – odpowiada spokojnie. – Na moim statku mieliśmy zaledwie okazję, by przyglądać się spektaklowi z pewnej odległości... W pewnym sensie byliśmy w pańskiej sytuacji, bo ciągle spotykam pana w Kadyksie, choć powinien pan być na linii frontu, kapitanie, na wyspie... Wyobrażam sobie, jak bardzo musi cierpieć żołnierz z dala od ognia i chwały, kiedy musi obnosić swoją szablę po kawiarniach. – Korsarz patrzy niewzruszenie na Viruesa. – Musi pan być wściekły.

Nawet przy żółtawym świetle latarni wyraźnie widać, że wojskowy zbladł. Groźnemu spojrzeniu Pepe Lobo, wyrobionemu podczas brutalnych kłótni i w najtrudniejszych sytuacjach, nie umyka instynktowny gest przeciwnika, który zbliża lewą dłoń do rękojeści szabli, ale go nie kończy. Nie jest to ani odpowiednie miejsce, ani odpowiednia okazja, obaj dobrze wiedzą. Nie tutaj, a tym bardziej nie przed Lolitą Palmą i jej przyjaciółmi. Zwłaszcza w przypadku oficera i dżentelmena, jakim jest kapitan Virues. Z tą świadomością i pewnością, że jest bezkarny, korsarz odwraca się plecami do wojskowego, lekkie skinienie głowy kieruje w stronę Lolity Palmy i jej towarzystwa, a następnie odchodzi od grupy – czuje, że wzrok kobiety śledzi go z daleka – z powrotem do stolika, gdzie czeka na niego Ricardo Marana.

– Nie płyniesz dziś na drugą stronę zatoki? – pyta porucznika.

Ten przygląda mu się z lekkim zaciekawieniem.

– Nie miałem takiego zamiaru – odpowiada.

Pepe Lobo kiwa ponuro głową.

– No to chodźmy poszukać kobiet.

Marana nadal patrzy na niego pytająco. Potem odwraca się nieco i spogląda na towarzystwo oddalające się w kierunku placu Świętego Antoniego. Przez chwilę siedzi tak, zamyślony, nie otwierając ust. Wreszcie ceremonialnie rozlewa do końca zawartość glinianej butelki do obu szklanek.

– Kobiet jakiego rodzaju, kapitanie?

– Odpowiednich na tę porę.

Wyszukany uśmiech – nieco znudzony i lekko łajdacki – marszczy blade wargi pierwszego oficera „Culebry”.

– Wolisz ze wstępem z wina i tańców z dziewczynami na Calecie bądź w Mentidero czy też zwykłe świntuszenie w Santa Maria i przy Merced?

Pepe Lobo wzrusza ramionami. Łyk dzinu, który właśnie przełknął, obfity i ostry, pali go w żołądku. I wprawia w koszmarny nastrój. Chociaż – stwierdza – może i miał taki humor jeszcze wcześniej. Od chwili, kiedy zobaczył, że nadchodzi Lorenzo Virues.

– Wszystko jedno, byle były szybkie i nie chciały rozmawiać.

Marana powoli dopija swoją szklankę, starannie rozważając temat. Potem wyjmuje srebrną monetę i kładzie ją na stole.

– Chodźmy na ulicę Sarna – proponuje.

W tym czasie ktoś płynie na drugą stronę zatoki. Nie do El Puerto de Santa Maria, ale z dziobem łodzi skierowanym nieco bardziej na wschód, w stronę łachy, którą u ujścia rzeki San Pedro ukazuje odpływ. Absolutna cisza, poza szmerem wody opływającej burty. Łaciński żagiel, wypełniony silną zachodnią bryzą, jest czarnym rozkołysanym trójkątem, który odcina się w ciemności od rozgwieźdzonego nieba, pozostawiając w tyle sylwety hiszpańskich i angielskich statków stojących na kotwicy i ciemną, matową linię murów obronnych Kadyksu, gdzie błyszczy kilka pojedynczych świateł.

Rogelio Tizón wsiadł na pokład przed około godziną w Puerto Piojo, po tym jak właściciel łodzi – jeden z tych przemytników, którzy nadal ryzykują, pływając przez zatokę – sprawił, dzięki odpowiedniej sumie, że przymknęły się zaspane oczy strażników przy nabrzeżu Świętego Filipa. Komisarz siedzący pod żaglem, z podniesionym kołnierzem i kapeluszem naciągniętym aż na brwi, ma skrzyżowane ręce i opuszczoną głowę, czekając na koniec podróży. Chłód jest bardziej wilgotny i nieprzyjemny, niż się spodziewał, żałuje, że nie ubrał się cieplej. Na pewno jest to jedyna rzecz, której nie był w stanie przewidzieć owej nocy. Jedyne niedopatrzenie. Tej wyprawie poświęcił w ostatnich dniach całą uwagę, planując wszystko w każdym detalu, wydając bez sknerstwa dość uncji złota, by odpowiednio wcześniej zapewnić sobie łączność, sekretną podróż i przyjęcie tak bezpieczne, jak to tylko możliwe. Dyskretne i spokojne.

Policjant niecierpliwi się, to trwa zbyt długo. Czuje się obco na wodzie, w ciemności, poza swoim zwykłym miejskim środowiskiem.

Bezbronny, byłoby tu właściwym słowem. Do morza i zatoki nie jest przyzwyczajony, a tym bardziej do tak dziwnego sposobu podróżowania, po ciemku, ku nieznanemu. Goniąc za obsesją albo pewnością. Opanowując chęć palenia – żar cygara można dostrzec z bardzo daleka, uprzedził go właściciel łodzi – opiera się o maszt, po którym spływają krople wody, nocna rosa. To kolejny problem. Na pokładzie wszystko jest mokre: drewniana ławka, na której siedzi Tizón, reling łodzi z wiosłami umieszczonymi w dulkach, materiał jego płaszczka i filc kapelusza. Woda spływa z jego bokobrodów i wąsów, czuje wilgoć nawet w kościach.

Ze złością podnosi wzrok i rozgląda się wokół. Przewoźnik jest ciemnym, cichym cieniem na rufie, przy rumplu; jego pomocnik – śpiącą postacią leżącą na dziobie. Dla nich to rutyna. Tak zarabiają na swój chleb powszedni. Nad ich głowami rozgwieżdżony nieboskłon załamuje się kolidżo na brzegach zatoki, wyznaczając niemal niewidocznie horyzont. Siedząc pod płótnem żagla, policjant daleko za lewą burtą dostrzega światła El Puerto de Santa Maria, a za burtą przeciwną, w odległości niecałej mili, niski, podłużny kształt w ciemniejszym tonie – półwysep Trocadero.

Komisarz rozmyśla o człowieku, z którym jest tam umówiony. Ustalenie jego tożsamości kosztowało go dużo czasu i pieniędzy. Zastanawia się, jaki on jest i czy będzie potrafił wyjaśnić mu to, co go naprawdę trapi. Czy będzie mógł mu pomóc pokonać mordercę, który od roku rozgrywa złowrogą partię szachów, używając miasta i zatoki jako szachownicy. Niepokoi się również nieco, czy w trakcie tej podróży jakaś nieprzewidziana kula, wystrzelona z bliska z pistoletu, strzelby czy działa, nie zaskoczy go w ciemności. Tizón nigdy wcześniej nie ryzykował, tak jak dzisiejszej nocy, życia ani stanowiska. Jest jednak zdecydowany choćby i do piekieł zstąpić, w razie konieczności, by znaleźć to, czego szuka.

## Rozdział XIV

– Dziwny ma pan problem.

W marnym świetle płomienia świeczki wstawionej do szyjki butelki Simon Desfosseux przygląda się siedzącemu naprzeciwko człowiekowi. Twarz oliwkowa, orla, bardzo hiszpańska. Gęste, skręcone bokobrody łączą się z wąsami, obramowując ciemne, zimne oczy. Zapewne też niebezpieczne. Tak mógłby wyglądać wojskowy albo partyzant, z tych, którzy podczas bitwy na otwartym polu rozpierzchają się, jednak w walce podjazdowej albo w zasadzkach okazują się groźni i okrutni. Kapitan wie, że jego gość jest policjantem, i to nie byle jakim. Ma dość wpływów i pieniędzy, by zdobyć glejty hiszpańskie i francuskie, dzięki którym w drodze do niego nikt go nie zatrzymał ani nie zabił.

– Problem, którego nie rozwiążę bez pańskiej pomocy, majorze.

– Jestem tylko kapitanem.

– Ach, przepraszam.

Mówi dość poprawnie po francusku, zauważa Desfosseux. Może zbyt mocno wypowiada „r”, a wątpliwości, jakich użyć słów, sprawiają, że czasami spuszcza wzrok i marszczy brew, gdy szuka odpowiedniego wyrazu lub wymawia jego hiszpański odpowiednik. Jednak doskonale się go rozumie. Dużo lepiej niż jego, który w języku kastylijskim potrafi powiedzieć niewiele więcej niż *buenos dias, señoñta, cudnto cuesta* i *malditos canallas*.

– Czy jest pan pewien tego wszystkiego?

– Jestem pewien faktów... Siedem zamordowanych dziewczyn, trzy z nich w miejscach, gdzie wkrótce spadły bomby... Pańskie bomby.

Hiszpan siedzi na rozchybotanym krześle, na stole ma rozłożony plan Kadyksu; chwilę wcześniej wyjął go z wewnętrznej kieszeni długiego brązowego płaszcza, którym jest okryty aż po cholewy wysokich butów. Porucznik Bertoldi, który pilnuje na zewnątrz, by nikt nie przeszkodził im podczas rozmowy, zrewidował go po przyjeździe i zapewnił, że nie ma przy sobie broni. Simon Desfosseux zaś siedzi na pustej skrzyni po amunicji, opierając się plecami o odrapaną ścianę przekształconej w magazyn broni starej chałupy, stojącej przy drodze prowadzącej z Trocadero do El Puerto de Santa Maria, w pobliżu piaszczystej mielizny, gdzie gość wysiadł z łodzi przed przeszło godziną. Doświadczenia z Hiszpanami powodują nieufność u każdego i francuski kapitan nie jest wyjątkiem. Jego kapelusz leży na stole, wojskowy płaszcz ma na ramionach, szablę opiera na nogach, przy pasie wisi nabity pistolet.

– We wszystkich przypadkach wiał wschodni wiatr, jak panu mówiłem – dodaje rozmówca. – Umiarkowany. I bomby wybuchały.

– Czy byłby pan tak uprzejmy, żeby jeszcze raz pokazać mi te miejsca?

Znów obaj pochylają się nad planem. Przy płomieniu świecy Hiszpan wskazuje zaznaczone ołówkiem punkty na mapie. Pomimo swojego sceptycyzmu – wszystko to nadal wydaje mu się absurdem – Desfosseux czuje ukłucie ciekawości. W sumie chodzi o trajektorie i wybuchy. Skutki balistyki. Jakkolwiek bezsensowne byłyby słowa owego człowieka, istnieje oczywisty związek między tym, o czym mówi, a jego codzienną pracą. Jego obliczeniami, frustracjami i nadziejami.

– To absurd – stwierdza, odchylając się do tyłu. – Nie może być związku między...

– Ale jest. Nie potrafię powiedzieć jaki ani skąd się bierze. Jednak jest.



Jest coś uderzającego w wyrazie twarzy tego człowieka, stwierdza Desfosseux. Gdyby miał minę fanatyka czy opętanego obsesją, wszystko byłoby proste: rozmowa tu by się skończyła. Dobranoc, dziękuję, że się pan pofatygował, by opowiedzieć mi swoją bajkę.

Do widzenia. Ale to inny przypadek. Kapitan widzi spokojną pewność. Twardą. Nie ma w tym nic z szału egzaltowanej głowy. A z tego, jak przedstawił swoją historię, nie można powiedzieć, żeby Hiszpan miał bujną fantazję. Co byłoby zresztą czymś niezwykłym u policjanta. Tym bardziej, jeśli już oceniamy po wyglądzie, u takiego zaprawionego w bojach weterana. U każdego, stwierdza artylerzysta, pewne rzeczy bardzo trudno sobie wyobrazić.

– Dlatego pomyślał pan, że nasz agent...

– Jasne. – Hiszpan słabo się uśmiecha, dość dziwnie. – Istniał związek, a ja błędnie sądziłem, że chodzi właśnie o niego.

– Co się z nim stało?

– Czeka na sąd. I na los, jaki spotyka szpiegów... Mamy wojnę, pan to wie lepiej niż ja.

– Wyrok śmierci.

– Tak sądzę. To już nie moja sprawa.

Desfosseux myśli o człowieku od gołębi, którego nigdy nie widział. Tylko pisma od niego, dopóki nie przestały przychodzić. Nie znał jego motywów: czy szpiegował na rzecz Francji dla pieniędzy, czy z patriotyzmu. Do dziś nie znał nawet jego nazwiska ani narodowości. Teraz generał Mocquery, nowy szef sztabu generalnego Pierwszego Korpusu po odjeździe generała Semelle, zajmuje się takimi sprawami jak wywiad wojskowy i temu podobnymi. Świat mroczny, złożony, o którym kapitan woli wiedzieć niewiele. Trzymać się jak najdalej. W każdym razie tęskni za tymi gołębiami. W sprawozdaniach, które teraz przychodzą – cesarskie wojsko, naturalnie, ma innych konfidentów w mieście – brak tej precyzyjnej dokładności, z jaką je przygotowywał pojmany szpieg.

– Nie brak panu zuchwałości, żeby w ten sposób tu się dostać.

– Dajmy spokój. – Policjant robi nieokreślony ruch ręką, obejmujący całą otaczającą ich przestrzeń. – To, wie pan, jest Kadyks. Ludzie pływają w tę i z powrotem po zatoce. Choć dla francuskiego wojskowego chyba coś takiego jest nie do pomyślenia.

Powiedział to całkiem lekko. Bardzo hiszpańska bezczelność, myśli Desfosseux. Tamten przygląda mu się uważnie.

– Dlaczego zgodził się pan na rozmowę ze mną? – pyta w końcu.

Teraz kolej na kapitana, żeby się uśmiechnąć.

– Pański list obudził moją ciekawość.

– Jestem wdzięczny.

– Proszę nie być. – Desfosseux kręci głową. – Jeszcze mogę wydać pana żandarmom... Niespecjalnie podoba mi się wizja siebie samego przed sądem wojennym, oskarżonego o współpracę z nieprzyjacielem.

Krótki, oschły śmiech. Swobodny.

– Tym proszę się nie martwić. Moja przepustka jest opieczętowana przez sztab główny w Chiclanie... Poza tym jestem zaledwie policjantem.

– Nigdy nie lubiłem policjantów.

– A ja szubrawców zabijających piętnastoletnie dziewczynki.

Obaj mężczyźni patrzą na siebie nawzajem, milcząc. Spokojny i śmiały ten Hiszpan, myśli Francuz. Po chwili znów się pochyla nad planem Kadyksu i uważnie przygląda się znaczkom narysowanym ołówkiem, jednemu po drugim. Dla niego są to na razie jedynie miejsca trafień pocisków. Celnych trafień, bo w sześciu z siedmiu przypadków bomby doleciały do miasta i wybuchły, jak należy. Dla siedzącego przed nim człowieka te znaczki są czymś innym: konkretnymi obrazami siedmiu dziewczyn, okrutnie zamęczonych na śmierć. Mimo wątpliwości co do ogólnej interpretacji sprawy, przez cały czas trwania opowieści Hiszpana Desfosseux nie wątpił w żaden z jej pojedynczych fragmentów. Nigdy nie powierzyłby swego

życia ani majątku – gdyby go posiadał – człowiekowi, którego ma przed sobą, wie jednak, że on nie kłamie. A przynajmniej nie kłamie z rozmysłem.

– Oczywiście – mówi w końcu – ta rozmowa nigdy nie miała miejsca.

Nigdy, powtarza Hiszpan jak echo, tonem świadczącym o sporym doświadczeniu z rozmowami, których nie było. Wyciągnął pudełko z dobrej skóry i proponuje kapitanowi cygaro, które ten przyjmuje, choć chowa je do kieszeni – pokruszone starczy na długo. Wiatr ma znaczący wpływ, mówi Desfosseux, sunąc ręką po planie. Na trajektorię i na lokalizację trafienia. Właściwie to wszystko ma wpływ – temperatura i wilgotność powietrza, stan prochu. Nawet ogólne warunki klimatyczne, przez które dusza pocisku rozpręży się lub kurczy, mają znaczenie dla miejsca trafienia.

– Jeden z moich problemów polega właśnie na tym, że nie udaje mi się trafić pociskami tam, gdzie chciałbym... A przynajmniej nie zawsze.

Policjant, który schował pudełko, a swoje cygaro trzyma niezapalone w dłoni, wskazuje nim właśnie na punkty trafień na planie.

– Co mi pan powie o tych?

– Wystarczy zwykły rzut oka. Proszę popatrzeć. Pięć bomb spadło na bliższą nam strefę miasta, zgrupowane są w południowej części... Tylko ta tutaj poleciała dalej, niemal na granicę zasięgu możliwego w tamtych czasach.

– Teraz docierają dalej.

– Tak. – Kapitan przybiera minę umiarkowanego zadowolenia.

– Powoli zaczyna nam się to udawać. Wkrótce obejmiemy zasięgiem całe miasto, bez wątpienia. Ale w swoim czasie ten strzał...

– Na zaułek przy ulicy Pasquin, za kapliczką Bożej Pasterki.

– Właśnie. Z nim miałem więcej szczęścia niż z innymi. Dużo czasu mi zajęło powtórne osiągnięcie takiej odległości.

– Czy to znaczy, że tego dnia nie celował pan właśnie w to miejsce?

Desfosseux podnosi się nieco, lekko rozdrażniony.

– Proszę pana, celowałem, gdzie się dało. Właściwie często nadal tak robię. Gdzie się da... Mniej idzie o precyzję niż o odległość.

Teraz Hiszpan wydaje się rozczarowany. Z cygarem, ciągle niezapalonym, między zębami patrzy na plan, jakby wcale go nie znał.

– Czyli nigdy pan nie wie, gdzie spadną pańskie bomby?

– Czasem tak. A czasem nie. Wiedziałbym, gdybym znał wszystkie dane, zarówno tutejsze, jak i tamtejsze, w chwili każdego wystrzału: siłę rażenia prochu, temperaturę, wilgotność powietrza, wiatr, ciśnienie atmosferyczne... Ale to niemożliwe. A nawet gdyby było możliwe, nie dysponujemy niezbędnym potencjałem obliczeniowym.

Drugi mężczyzna położył rękę na stole. Jest szorstka, o krótkich palcach. Paznokcie krótkie i krzywe. Jeden palec biegnie po rysunku ulic, jakby wyznaczał marszrutę.

– Ktoś jednak nim dysponuje: morderca. On osiąga precyzję, której panom brakuje.

– Nie sądzę, by to było świadome. – Desfosseux czuje irytację, słysząc ton rozmówcy. – Nikt nie może ustalić tego z podobną dokładnością... Żadna istota ludzka.

To jeden z podstawowych problemów artylerii, dodaje kapitan, od samych jej początków. Nawet Galileusz się tym zajmował. Ustalenie figury geometrycznej, jaką rysują pociski w określonych warunkach. A podstawowe wyzwanie dla mordercy w Kadyksie polega na poradzeniu sobie z czynnikami, które wpływają na zmiany trajektorii jego bomb. Temperatura w lufie działa, opór i tarcie powietrza i tak dalej. Wszystko to. Bo czym innym jest powietrze stojące, a czymś zupełnie innym wiatr. Czy też różne wiatry, w tym przypadku. Kadyks jest miastem, gdzie wiatry kreślą prawdziwy labirynt.

– Tego może być pan pewien.

– Jestem pewien. Od wielu miesięcy je bombarduję.

Hiszpan zapalił cygaro, pochylając się do świecy, która płonie osadzona w butelce. Przez zamknięte okiennice – w oknach tego domu nie ma szyb – dociera turkot wozu przejeżdżającego powoli po pobliskiej drodze. Słychać głosy żołnierzy podających hasło i pytających o odzew, którym odpowiada porucznik Bertoldi. Po chwili nastaje cisza.

– Jeśli faktem jest to, co mi pan opowiada – ciągnie Desfosseux – może być to jedynie kwestia rachunku prawdopodobieństwa. Nie wiem, czy ów morderca jest obeznany z nauką, jednak bez wątplenia posiada umysł zdolny wyliczyć to, co od wieków próbuje wielu mędrców... On patrzy na miasto innym spojrzeniem. Być może znajduje jakieś reguły, prawidłowości. Linie krzywe i miejsca wybuchów. Być może intuicja mówi mu to, co naukowe twierdzenie sformułowane przed stuleciem przez pewnego matematyka o nazwisku Bernoulli: rezultaty działania natury są praktycznie stałe, jeśli osiągnięte zostały w wielkiej liczbie.

– Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem. – Policjant wyjął cygaro z ust i słucha z najwyższym zainteresowaniem. – Czy mówi pan o przypadku?

Wręcz przeciwnie, wyjaśnia Desfosseux. Mówi o rachunku prawdopodobieństwa. O działaniach matematycznych. Nawet jego działania, siła i kierunek strzałów z haubic, zależą od takich elementów jak noc czy dzień, wiatr, warunki klimatyczne i tego typu rzeczy. Jego artylerzyści i on, świadomie lub nieświadomie, także postępują zgodnie z rachunkiem prawdopodobieństwa.

Na twarzy Hiszpana maluje się olśnienie. Zrozumiał i z jakiegoś powodu to go uspokaja. Potwierdza to, co świtało mu w głowie.

– Czy chce mi pan powiedzieć, że choć pan nie kontroluje, dokąd lecą pańskie bomby, one wcale nie spadają w przypadkowe miejsca, tylko zgodnie z jakąś prawidłowością albo prawem fizyki?

– Właśnie. Zgodnie z kodem, którego my, ludzie, dziś jeszcze nie potrafimy odczytać, choć współczesna nauka coraz głębiej weń wchodzi, linia krzywa każdej z moich bomb jest określona równie precyzyjnie jak krzywa każdej z orbit planet. Nie ma między nimi żadnej różnicy, poza tą, jaka wynika z naszej niewiedzy. A w takim przypadku pański morderca...

– Nasz morderca – poprawia policjant. – Sam pan widzi, że w takim samym stopniu jest związany ze mną, jak z panem.

W jego tonie nie ma sarkazmu. Przynajmniej z pozoru. Sprytna forma, żebym dał się uwikłać w sprawę, myśli Desfosseux. Jednak im bardziej zagłębia się we własne rozważania, tym większą artylerzystą znajduje w tym przyjemność. Inne ujęcie problemu, nowe, atrakcyjne i bardzo miłe. Podobne do odkrywania po omacku tajemnych kluczy do kryptogramu. Techniczne misterium.

– Dobrze. Jak pan woli... Staram się powiedzieć, że człowiek ten może być zdolny do wyliczenia po swojemu, z niezłą dokładnością, miary prawdopodobieństwa. Proszę sobie wyobrazić maszynę, do której wkłada pan te wszystkie dane, o których mówiliśmy, i jako wynik otrzymuje się dokładne miejsce i przybliżony czas...

– Morderca byłby taką maszyną?

– Tak.

Kłęb dymu zasłania twarz policjanta. Opiera na stole łokcie, zaciekawiony.

– Mówi pan: prawdopodobieństwo... Czy to się w ogóle daje obliczyć?

– Do pewnego stopnia. W młodości spędziłem jakiś czas w Paryżu jako student. Nie byłem wtedy jeszcze w wojsku, ale interesowałem się już fizyką i chemią. W roku dziewięćdziesiątym piątym byłem obecny na kilku wykładach, jakie dał Pierre-Simon Laplace w Arsenale... Czy słyszał pan o nim?

– Chyba nie.

Wszystko jedno, wyjaśnia Desfosseux. Pan Laplace jeszcze żyje i jest jednym z najznakomitszych matematyków i astronomów francuskich. W tamtych czasach zajmował się

chemią, w tym prochem i stopami metalu do produkcji dział. W trakcie jednego z wykładów utrzymywał, iż można osiągnąć pewność, że spośród wielu wydarzeń możliwych zdarzy się tylko jedno; choć początkowo nic nie wskazuje, by miało nastąpić to, a nie inne zdarzenie. Jednak, porównując konkretną sytuację z innymi podobnymi z przeszłości, dostrzegamy, że pewne z przypadków możliwych bardzo prawdopodobnie się nie zdarzą.

– Nie wiem – artylerzysta robi na chwilę pauzę – czy to nie jest dla pana zbyt skomplikowane.

Hiszpan uśmiecha się krzywo. Pół jego twarzy oświetla płomień świecy.

– Jako dla policjanta, chce pan powiedzieć... Proszę się nie martwić, damę sobie radę. Mówił pan, że doświadczenie pozwala odrzucić pewne przypadki prawdopodobne, choć mniej możliwe...

Desfosseux potakuje głową.

– Tak właśnie. Metoda polega na redukcji wszystkich zdarzeń tego samego rodzaju do pewnej liczby przypadków równie możliwych; potem należy ustalić największą liczbę przypadków sprzyjających zdarzeniu, którego prawdopodobieństwo obliczamy... Stosunek pomiędzy przypadkami sprzyjającymi i wszystkimi przypadkami możliwymi daje nam miarę prawdopodobieństwa. Czy pan to rozumie?

– Tak... Mniej więcej.

– Podsumujmy. Morderca mógłby mieć tę matematyczną zdolność, którą wykorzystuje w sposób instynktowny bądź też z rozmysłem. W pewnych określonych warunkach fizycznych potrafiłby wyeliminować trajektorie i punkty trafienia niemożliwe dla moich bomb i zredukować prawdopodobieństwo do absolutnej dokładności.

– Cholera, właśnie tak!

Policjant odezwał się po hiszpańsku i Desfosseux patrzy na niego niepewnie.

– Przepraszam pana?

Cisza. Hiszpan patrzy na plan Kadyksu.

– To tylko teoria, naturalnie – mówi cicho, jakby myślał o jakichś odległych sprawach.

– Oczywiście. Ale właśnie owa teoria jest jedyną, z mojego punktu widzenia, która w sposób racjonalny wyjaśnia to, co pan mi opowiedział.

Policjant nadal pochyla się nad planem. Dym z cygara zaczyna skręcać się w spirale, kiedy dociera do płomienia świecy.

– Czy byłoby możliwe, żeby w określonym momencie strzelił pan do konkretnej części miasta?

Desfosseux zauważa, że zmienił się wyraz twarzy policjanta. Jego oczy wydają się teraz twardsze. Przez chwilę artylerzysta ma wrażenie, że widzi, jak błyska jego kiel. Jak u wilka.

– Nie jestem pewien, czy rozumie pan wymiar tego, co pańska sugestia zawiera.

– Myli się pan – odpowiada jego rozmówca. – Rozumiem doskonale. Jaka jest odpowiedź?

– Mógłbym spróbować, oczywiście. Jednak, jak już panu mówiłem, precyzja...

Kolejne pociągnięcie cygara i następujący po nim kłęb dymu. Wydaje się, że policjant ożywia się chwilami.

– Pański problem to bomby – mówi ze swobodą. – A mój – znalezienie mordercy. Podam panu dane, żeby mógł pan trafić w konkretne miejsca. W te części miasta, które ma pan w zasięgu strzału – wskazuje na plan. – Które są najłatwiej dostępne?

Desfosseux jest całkiem zaskoczony.

– No, to nie jest określone. Ja...

– Jak to, do cholery, jest nieokreślone?! To pański zawód!

Artylerzysta nie zwraca uwagi na niemal beczelny ton Hiszpana. Bo w sumie, sam tego nieświadom, policjant trafił w sedno. Teraz Desfosseux pochyla się nad planem, zbliżając świecę, żeby lepiej go oświetlić. Proste i krzywe, waga i lont. Zasięg. W głowie zaczyna

wykreślać doskonałe parabole i precyzyjne miejsca trafień. Zupełnie jakby popadł w chroniczną gorączkę i dał się jej ponieść.

– Przy odpowiednich warunkach i zasięgu, jakim obecnie mogę dysponować, strefy najłatwiej dostępne to te. – Jego palec wskazujący posuwa się wzdłuż obrysu wschodniej części miasta. – Praktycznie cały ten obszar, dwieście węzłów na zachód od murów.

– Od nabrzeża Świętego Filipa aż po Bramę Ziemi?

– Mniej więcej.

Hiszpan wydaje się zadowolony. Kiwa głową, nie podnosząc wzroku. Potem wskazuje jedno z miejsc zaznaczonych ołówkiem.

– To miejsce znajduje się wewnątrz podanej przez pana strefy. Ulica Świętego Michała i wzgórze Murga. Czy mógłby pan spróbować trafić tu w określonych dniach i porach?

– Mógłbym. Ale już wspominałem, że precyzyja...

Desfosseux szybko liczy w pamięci. Stosunek wagi i siły odpowiedniego prochu, dokładny ładunek. To możliwe, stwierdza. Jeśli byłyby dobre warunki, bez silnego przeciwnego lub bocznego wiatru, który zmieniłby lot pocisków lub skrócił ich zasięg.

– Muszą wybuchnąć?

– Lepiej by było.

Kapitan zastanawia się nad zapalnikami, nowymi mieszankami materiałów, jakie gwarantują zapłon. Na taką odległość są pewne. Albo prawie pewne. Stwierdza, że to się da zrobić. A przynajmniej – spróbować.

– Tak czy inaczej, nie gwarantuję precyzji... Powiem panu w zaufaniu, że od miesiący próbuję trafić w budynek Urzędu Celnego, gdzie zbiera się Regencja. I nic z tego.

– Tylko ta strefa mnie interesuje. Okolice tego punktu.

Teraz artylerzysta patrzy nie na plan, lecz na policjanta.

– Przez chwilę się zastanawiałem, czy nie jest pan szaleńcem. Ale zebrałem informacje, kiedy dostałem pański list... Wiem, kim pan jest i czym się zajmuje.

Policjant nic nie odpowiada. Przygląda mu się, milcząc, z dymiącym cygarem w zębach.

– Tak czy inaczej – dodaje Desfosseux – dlaczego miałbym panu pomagać?

– Bo nikomu, Hiszpanowi czy Francuzowi, nikomu nie może się podobać, że ktoś zabija młode dziewczyny.

Niezła odpowiedź, przyznaje kapitan w myśli. Nawet porucznik Bertoldi by się zgodził. Jednak wzbrania się przed wkroczeniem na ten teren. Wilczy kiel, który dostrzegł przed chwilą, rozwiewa wszelkie wątpliwości. Nie ma przed sobą człowieka wrażliwego na ludzką krzywdę. To tylko policjant.

– Jest wojna, proszę pana – odpowiada, nabierając dystansu.

– Ludzie umierają każdego dnia, setkami i tysiącami. Moim obowiązkiem jako artylerzysty cesarskiej armii jest zabijanie tak wielu mieszkańców waszego miasta, jak to tylko możliwe... Łącznie z panem i dziewczynami takimi jak tamte.

Hiszpan się uśmiecha. Zgoda, mówi jego mina. Muzykę zostawmy skrzypcom.

– Dość tego gadania – rzuca ostro. – Dobrze pan wie, że trzeba mi pomóc. Widzę to na pańskiej twarzy.

Teraz artylerzysta wybucha śmiechem.

– Muszę sprostować. Pan jest naprawdę szalony.

– Nie. Ograniczam się tylko do prowadzenia mojej własnej wojny.

Powiedział to, wzruszając ramionami, z nieoczekiwaną posępną prostotą. Desfosseux zamyśla się na chwilę. Świetnie rozumie słowa, które właśnie usłyszał. Każdy, stwierdza, ma swoje własne krzywe balistyczne do wytyczenia.

– Co się dzieje z moim człowiekiem?

Policjant patrzy na niego, nie rozumiejąc.

– Z kim?

– Z tym, którego pan aresztował.

Twarz Hiszpana się rozjaśnia. Zrozumiał. I nie wydaje się zaskoczony obrotem rozmowy. Można pomyśleć, że to zaplanował.

– Naprawdę interesuje pana?

– Tak. Chciałbym, żeby żył.

– No to będzie żył. – Ukradkowy uśmiech. – Obiecuję panu.

– Chcę, żeby go nam pan oddał.

Tamten przechyla głowę, jakby rozważał całą sprawę.

– Mogę tylko podjąć taką próbę – mówi w końcu. – Ale to też mogę panu obiecać. Że spróbuję.

– Niech mi pan da słowo.

Policjant patrzy na niego z cynicznym zaskoczeniem.

– Moje słowo nic nie jest warte, panie kapitanie. Ale odeślę go panu tutaj, jeśli to będzie w mojej mocy.

– Co więc pan zamierza?

– Zastawić pułapkę. – Znow błyśka wilczy kiel. – Nawet z przynętą, jeśli się uda.

Promień słońca połyskuje na wodzie i oświetla białe miasto opasane szarymi murami, jakby naraz światło, zatrzymywane do tej pory przez niskie chmury, rozlało się z góry szerokim strumieniem. Pepe Lobo oślepiiony nagłym blaskiem mruży oczy i przechyla kapelusz do przodu, naciągając go mocniej na głowę, żeby go nie zwał wiatr. Opiera się o wanty na sterburcie, a w rękach trzyma list.

– Co zamierzasz zrobić? – pyta Ricardo Marana.

Rozmawiają na stronie, po cichu. Dlatego używają formy „ty”, mimo że są na pokładzie. Pierwszy oficer „Culebry” opiera się łokciami o reling tuż obok kapitana Kuter stoi na kotwicy w niewielkiej odległości od końca mola, a silny wiatr z południa-południowego wschodu ustawia bukszpryt statku w kierunku Puntales i wnętrza zatoki.

– Jeszcze nie podjąłem decyzji.

Marana lekko przechyla głowę na bok, patrzy sceptycznie. Jest jasne, że nie pochwała tego wszystkiego.

– To idiotyzm – mówi. – Wyruszamy pojutrze.

Pepe Lobo znów spogląda na list: cztery zagięcia, lakowa pieczęć, eleganckie, wyraźne pismo. Trzy linijki i podpis: Lorenzo Virues de Tresaco. Przynieśli go trochę więcej jak pół godziny temu dwaj oficerowie, którzy przyплыли łodzią wypożyczoną na molo, ceremonialni w swoich mundurach, mimo że opryskani wodą, w białych rękawiczkach i z szablami między nogami, siedzący sztywno, podczas kiedy przewoźnik wiosłował pod wiatr i z trudem utrzymywał kurs łodzi. Wojskowi – porucznik inżynierii i kapitan regimentu irlandzkiego – nie chcieli wejść na pokład, załatwili sprawę z łodzi i odpłynęli, nie czekając na odpowiedź.

– Kiedy masz odpowiedzieć? – interesuje się Marana.

– Do południa. Spotkanie jest dziś w nocy.

Podaje list pierwszemu oficerowi. Ten czyta go w ciszy i oddaje.

– Tak poważna jest ta sprawa? Z daleka wcale nie wyglądała.

– Nazwałem go tchórzem – mówi Lobo z miną fatalisty. – Wobec tych wszystkich ludzi.

Marana uśmiecha się słabo. Niemal niewidocznie. Jakby zamiast śliny miał w ustach szron.

– No cóż – mówi. – To jego problem. Nie musisz.

Obaj marynarze milczą, stoją bez ruchu pod wantami, w których wyje wiatr, patrzą na molo i miasto. Wokół kutra widać zrefowane żagle wszelkiego rodzaju – gafie, rejowe, łańskie. Łodzie i małe jednostki pływają w tę i z powrotem po barankach na wodzie, pomiędzy dużymi statkami handlowymi, podczas kiedy angielskie i hiszpańskie fregaty i

korwety, zakotwiczone dalej dla ochrony przed francuską artylerią, kołyszą się na wodzie ze zwiniętymi żaglami i spuszczoneymi grotami wokół grupy brytyjskich okrętów wyposażonych łącznie w siedemdziesiąt cztery działa.

– To niedobry moment – nagle odzywa się Marańa. – Wypływamy do pracy, po tak długim zmarnowanym czasie... Ci wszyscy ludzie zależą od ciebie.

Obrócił się bokiem, żeby wskazać pokład. Bosman Brasero i reszta załogi smołują olinowanie i pokład statku, który potem wyczyszczą szczotkami i piaskowcem. Pepe Lobo patrzy na ich opalone, spocone twarze, takie twarze spotkać można za kratami Królewskiego Więzienia – właściwie to kilku stamtąd się wywodzi. Wytatuowane torsy i blizny: nieomyślne oznaki, że to portowa hołota. W trakcie ostatnich czterdziestu ośmiu godzin załoga zmniejszyła się o dwóch ludzi: jeden został wczoraj zabity nożem w bójce na ulicy Sopranis, a drugi znalazł się w szpitalu przez syfilis.

– Rozczulasz mnie, pilocie, tą gadką o naszych ludziach... Zaraz mi serce pęknie.

Teraz Marańa śmieje się nieco bardziej szczerze, przez zęby, ale zaraz śmiech przerywa mu ostry atak mokrego kaszlu. Wychyla się za burtę i spluwa do morza.

– Gdyby źle poszło – mówi Lobo – dałbyś sobie nieźle radę z moją robotą na pokładzie...

Porucznik łapie oddech i wyciągniętą z rękawa chustką przeciera usta.

– Nie chrzań – mruczy jeszcze zachrypniętym głosem. – Podoba mi się tak, jak jest.

Grzmot z lewej burty, w odległości dwóch mil. Niemal w tym samym czasie kula armatnia, wystrzelona przed dziesięcioma sekundami z Cabezueli, rozdziera powietrze nad masztem „Culebry”, lecąc w stronę miasta. Wszyscy na pokładzie podnoszą głowy i śledzą wzrokiem trajektorię pocisku, który spada poza murami, bez hałasu i widocznych efektów. Najwyraźniej rozczarowana załoga wraca do swoich zajęć.

– Myślę, że pójdę – decyduje Lobo. – Będiesz moim sekundantem.

Marańa kiwa głową, jakby to należało do jego obowiązków.

– Potrzebny będzie jeszcze jeden – sugeruje.

– Bzdura. Ty mi w zupełności wystarczysz.

Kolejny grzmot na Cabezueli. Kolejne rozdarcie powietrza, które sprawia, że wszyscy patrzą w górę. Tym razem też nie widać, żeby miasto poniosło szkody.

– Miejsce, które proponuje, jest nieźle – stwierdza zgodnie Marańa. – Na mierzei przy Świętej Katarzynie o tej porze będzie odpływ... Dość czasu i przestrzeni na załatwienie całej sprawy.

– I ma tę zaletę, że jest poza murami, nie będą nas obowiązywać zarządzenia miejskie... Pozostaje bezpieczny margines legalności, w razie czego.

Marańa przechyla głowę na bok, lekko zadziwiony.

– Coś takiego! Ten aragoński żołnierz wszystko dobrze przemyślał. Najwyraźniej zagiął na ciebie parol. – Spogląda na Lobo całkiem spokojnie. – Pewnie od czasu tej sprawy na Gibraltarze.

– To ja zagiąłem na niego parol.

Lobo, nadal patrząc na morze i miasto, dostrzega kątem oka, że jego pierwszy oficer obserwuje go uważnie. Kiedy się do niego odwraca, ten opuszcza wzrok.

– Wybrałbym pistolet – podpowiada Marańa. – Jest szybki i czysty.

Znów przerywa mu atak kaszlu. Tym razem chustkę barwią czerwone plamy. Zwija ją uważnie i z powrotem chowa do rękawa z obojętną miną.

– Posłuchaj, kapitanie. Masz jeszcze do zrobienia kilka rzeczy tu na pokładzie. Odpowiedzialność i tak dalej. Jednak...

Przerywa na chwilę, jakby zajęty go własne myśli. Jakby zapomniał, co chciał powiedzieć.

– Moje karty już są zgrane. Nie mam nic do stracenia.

Potem wyciąga się jak struna nad relingiem, chudy i blady, jakby chciał złapać dużo świeżego powietrza, którego brakuje mu w zniszczonych płucach. Elegancki frak, czarny i

dopasowany, z dobrego sukna, z długimi połami, nadaje mu dystyngowany wygląd, fałszywy, panicza z dobrej rodziny, który znalazł się tu przypadkiem. Patrząc na niego, Lobo uświadamia sobie, że Markiz dwa miesiące temu skończył dwadzieścia jeden lat – i nie skończy już dwudziestu dwóch. Robi wszystko, co możliwe, w tym kierunku.

– Z pistoletem nieźle sobie radzę, kapitanie. Lepiej od ciebie.

– Idź do diabła, pilocie.

Polecenie, czy też sugestia, odbija się od obojętności Marani.

– Nadszedł taki moment, kiedy jest mi wszystko jedno, czy gram trójkami, czy asami – dodaje ze swoim zwykłym chłodem.

– Lepsze to, niż skończyć, plując krwią w jakiejś tawernie.

Pepe Lobo unosi rękę. Nie podoba mu się obrót, jaki przybiera ich rozmowa.

– Zapomnij! Ten gość to moja sprawa.

– Wiesz, że lubię robić pewne rzeczy. – Nieokreślony uśmiech, ze szczyptą okrucieństwa, wykrzywia usta porucznika. – Balansować na ostrzu noża, na przykład.

– Tylko nie moim kosztem. Jeśli tak ci się spieszy, wskocz do wody z armatnią kulą w każdej kieszeni.

Porucznik chwilę milczy, jakby poważnie rozważał zalety i wady propozycji.

– Powodem jest ta pani, prawda? – odzywa się w końcu. – Tu leży istota sprawy.

To nie jest pytanie, oczywiście. Obaj korsarze przez chwilę milczą, stojąc przy burcie i patrząc w tę samą stronę, na miasto rozciągające się przed nimi jak ogromny statek, które w zależności od światła i morza czasami wydaje się płynąć, a czasami wygląda, jakby stało na mieliźnie, między czarnymi skałami wystającymi u podnóża murów. Po chwili Marana wyciąga cygaro i wkłada je do ust.

– No tak. Mam nadzieję, że zabijesz łajdaka. Za te wszystkie kłopoty.

Biuro Intendentury Królewskiej Floty znajduje się w dwupiętrowym budynku przy głównej ulicy na Lwiej Wyspie. Od półtorej godziny Felipe Mojarra – w burym kaftanie, w kraciastej chustce na głowie, z nożem za pasem i w słomianych butach na nogach – czeka w wąskim korytarzu na parterze, pośród dwudziestki innych osób: marynarzy w mundurach, cywilów, starców i ubranych na czarno kobiet z dziećmi na ręku. W powietrzu unosi się gęsty dym papierosów, słychać gwar rozmów. Wszystkie krążą wokół tego samego: pensje i renty, które nie docierają. Marynarz w krótkiej niebieskiej kurtce z żółtymi sznurami skrzyżowanymi na piersi, opierający się niedbale o ścianę, poplamioną śladami rąk i wykwitami wilgoci, pełni straż przed drzwiami Wydziału Wypłat i Interwencji. Po chwili urzędnik Królewskiej Floty wystawia głowę przez drzwi.

– Następny!

Ludzie patrzą na Mojarę, który toruje sobie przejście i wchodzi do środka, mówiąc dzień dobry, na co nikt mu nie odpowiada. Tak często tu przychodzi, że dobrze zna to miejsce: korytarz, biuro i ludzi, którzy w nim siedzą. Za małym biurkiem pokrytym papierami i otoczonym półkami na dokumenty pracuje chorąży, któremu pomaga skryba. Obok chorążego leży pół bochenka chleba i stoi pusta butelka po winie. Warzełnik soli staje przed biurkiem. Zna ich obu aż za dobrze – chorąży zawsze jest ten sam, a pisarze zmieniają się – choć wie, że dla nich jego twarz jest jedną spośród kilku tuzinów, jakie widzą przed sobą każdego dnia.

– Mojarra, Felipe... Przyszedłem się dowiedzieć, jak wygląda sprawa zapłaty za zdobytą na nieprzyjaciela kanonierkę.

– Data?

Podaje odpowiednie dane. Nadal stoi, bo nikt nie proponuje, żeby usiadł na stojącym w kącie krześle – specjalnie zostało odsunięte, żeby wchodzący nie mogli tego zrobić. Podczas kiedy pisarz szpera pośród teczek z aktami, chorąży zajmuje się dokumentami na biurku. Po



chwili skryba kładzie przed nim otwartą książkę ewidencyjną i teczkę z odręcznie zapisanymi papierami.

– Mówi pan: Mojarra?

– Tak. Sprawa dotyczy też Francisca Panizo i Bartolome Cardenasa, już zmarłego.

– Nie widzę nic takiego.

Pisarz, stojący obok chorążego, wskazuje linijkę w rejestrze. Tamten, dostrzegłszy to, otwiera teczkę i szuka pośród papierów, aż wreszcie znajduje właściwy dokument.

– Tak, jest tutaj. Podanie o wypłatę nagrody za odbicie francuskiej kanonierki przy młynie w Santa Cruz... Do tej pory nie ma decyzji.

– Co takiego?

Chorąży wzrusza ramionami, nie podnosząc wzroku. Ma wylupiaste oczy, rzadkie włosy, przydałoby mu się golenie. Wygląda na zmęczonego. Spod kołnierza niebieskiej kurtki, niedbale rozpiętej, wystaje niezbyt czysta koszula.

– Mówię, że decyzja jeszcze nie została podjęta – odpowiada obojętnie. – Kierownictwo jeszcze sprawy nie załatwiło.

– Ale pismo, które tu jest...

Krótkie pogardliwe spojrzenie. Zajętego urzędnika.

– Umie pan czytać?

– Niezbyt dobrze... Nie.

Urzędnik stuka liniałem w papier.

– To kopia oryginalnego dokumentu – podania pana i pańskich towarzyszy, które do tej pory nie zostało jeszcze rozpatrzone. Potrzebne są podpisy szefa sztabu, a potem skarbnika i administratora Królewskiej Floty.

– Myślę, że to powinno już być załatwione.

– Dopóki podanie nie zostało odrzucone, może się pan nie martwić.

– Dużo czasu minęło.

– Mnie to pan mówi? – Z surową, znudzoną miną chorąży wskazuje liniałem drzwi. – Przecież to nie są moje pieniądze.

Uznając sprawę za zakończoną, znów spuszcza wzrok na papiery. Podnosi go jednak znowu, widząc, że warzelnik soli się nie ruszył.

– Powiedziałem już...

Milknie, dostrzegłszy, jak Mojarra na niego patrzy. Obserwuje dłonie tamtego, zwisające, z kciukami zaczepionymi za pas, po obu stronach zatkniętego zań noża. Widzi przed sobą twardą, ogorzałą słońcem i wiatrem twarz.

– Niech pan posłucha, panie oficerze – mówi Mojarra, nie zmieniając tonu. – Mój szwagier umarł przez ten francuski statek... A ja walczę na wyspie od początku wojny...

Przerywa, wytrzymując spojrzenie urzędnika. Jego spokój jest tylko pozorny. Jeszcze jedna bezczelność, myśli sobie, a dam ci szkołę, choćby to miał być mój koniec. Jak Bóg na niebie. Chorąży, jakby czytał w jego myślach, rzuca szybkie spojrzenie na drzwi, za którymi stoi na straży marynarz. Urzędnik się opanowuje.

– Te sprawy już takie są, długo trwają... Flota kiepsko stoi finansowo, a to dużo pieniędzy.

Teraz jego głos brzmi inaczej. Zmusza się, by mówić pojednawczo. Łagodniej. Ostrożnie. Czasy są niepewne, prac nad konstytucją jeszcze nie zakończono i nigdy nie wiadomo, kogo spotka się na ulicy w złym momencie. Stojąc z otwartą teczką z papierami w rękach, skryba asystuje przy całej scenie, nie otwierając ust. Mojarra ma wrażenie, że dostrzega skrywaną satysfakcję w spojrzeniu, którym ukradkowo obrzuca zwierzchnika.

– Ale my potrzebujemy tych pieniędzy – tłumaczy.

Chorąży gestem pokazuje swoją bezsilność. Teraz wydaje się szczery. Albo chce się taki wydawać.

– Czy dostaje pan swój żołd?

Warzelnik potakuje niepewnie.

– Czasami. Nieraz trochę jedzenia.

– No to ma pan szczęście. Zwłaszcza że dostaje pan jedzenie. Ludzie siedzący w korytarzu też potrzebują pieniędzy. Nie mogą walczyć, są do niczego, nie dostają nawet tyle... Proszę na nich popatrzeć, wychodząc: starzy marynarze w nędzy, bo nie dostają swojej renty; kaleki, wdowy i sieroty bez żadnej pomocy, pensje niepłacone od dwudziestu dziewięciu miesięcy. Każdego dnia stają w tych drzwiach ludzie, których sprawy są dużo trudniejsze niż pańska... Jak pan sądzi, co ja mogę zrobić?

Mojarra bez słowa podchodzi do drzwi. Na progu zatrzymuje się na chwilę.

– Może pan nas traktować po ludzku – odpowiada ostro. – I nie ubliżać nikomu.

Na mierzei, którą odłonił odpływ, pięćset sążni za fortem Świętej Katarzyny, przy Calecie, lampa ustawiona na kamienistym wapiennym gruncie oświetla z daleka dwóch nieruchomych mężczyzn, stojących w odległości piętnastu kroków od siebie, na przeciwnych krańcach kręgu światła. Obaj mają odkryte głowy i są bez płaszczy. Normalnie powinni być w koszulach lub z odkrytym torsem – zbyt wiele tkaniny na ciele podwyższa ryzyko zakażenia rany w przypadku trafienia kulą – ale o drugiej w nocy jest bardzo zimno. Brak ubrania mógłby sprawić, że zadrży ręka przy celowaniu, zresztą sam dreszcz mógłby źle zostać zinterpretowany przez świadków tej sceny: czterech okrytych płaszczami i pelerynami mężczyzn, którzy odcinają się w odległym świetle latarni Świętego Sebastiana, tworząc oddzielną grupę, uroczystą i milczącą. Jeden z dwóch stojących naprzeciw siebie mężczyzn ma na sobie niebieską kurtkę od munduru, obcisłe spodnie w tym samym kolorze i wojskowe buty; drugi jest ubrany na czarno. W tym kolorze jest nawet chustka osłaniająca kołnierzyk jego koszuli. Pepe Lobo postanowił posłuchać rady doświadczonego Ricarda Marańi: każda jasna plama ułatwia przeciwnikowi mierzenie. Czyli sam rozumiesz, kapitanie. Na czarno i bokiem, żeby cel dla kuli był jak najmniejszy.

Stojąc spokojnie w oczekiwaniu na sygnał, korsarz stara się odprężyć. Oddycha miarowo, wyostrając wszystkie zmysły. Stara się, żeby w głowie nie mieć nic poza widokiem postaci, którą lampa wydobywa z ciemności naprzeciwko niego. W prawej ręce, opuszczonej wzdłuż uda, utrzymuje ciężar pistoletu skałkowego o długiej lufie, odpowiedniego do sprawy, która teraz go zajmuje. Bliźniaczy pistolet znajduje się w dłoni przeciwnika, którego Pepe Lobo nie widzi dokładnie, bo ten, podobnie jak on sam, znajduje się na skraju kręgu blasku, oświetlony od dołu wygląda niczym widmo na granicy jasności i mroku. Będą lepiej widoczni za chwilę, kiedy pojawi się sygnał i obaj przeciwnicy będą szli w kierunku latarni. Reguły ustalone pomiędzy sekundantami są proste: tylko jeden strzał w dowolnym momencie, kiedy będą się do siebie zbliżali. Oczywiście większe szanse ma ten, kto strzeli wcześniej, ale równocześnie ponosi on wyższe ryzyko nietrafienia z oddali. Strzelający z bliska ryzykuje natomiast, że trafi go kula, zanim zdąży nacisnąć spust. To jak gra w oczko: przegrywa ten, kto przekroczy dwadzieścia jeden, jak i ten, któremu braknie punktów.

– Panowie, przygotujcie się – mówi jeden z sekundantów.

Nie odwracając twarzy, Pepe Lobo widzi kątem oka grupę złożoną z dwóch oficerów, przyjaciół jego przeciwnika, lekarza i Ricarda Marańi. Dość świadków, by udowodnić, że nikt nie został zamordowany, a wszystko odbyło się poza miastem, zgodnie z nakazami honoru i normami przyzwoitości.

– Pan Virues gotów?

Choć nie ma wiatru i od brzegu dobiega tylko lekki szum spokojnego morza, które podnosi się i opada pośród skał, Pepe Lobo nie słyszy odpowiedzi swojego przeciwnika; zauważa jednak, że ten krótko kiwa głową, nie przestając patrzeć na niego. Wskutek losowania Lorenzo Virues ma morze za plecami, podczas kiedy Lobo znajduje się w tej części

mierzei, która prowadzi do Calety i murów obronnych fortu Świętej Katarzyny, w kształcie połowy gwiazdy. Przyptyw, który zaraz się rozpocznie, może sprawić, że za piętnaście minut woda sięgać im będzie do cholewy buta. Ale wtedy wszystko powinno się już rozstrzygnąć i jeden z nich, jeśli nie obaj, będzie leżał na wilgotnych kamieniach, gdzie teraz światło latarni odbija się w małych kałużach, jakie pozostały po odpływie.

– Pan Lobo gotów?

Korsarz otwiera usta – z trudem, bo czuje w nich suchość – i mówi krótkie, surowe „tak”. Nigdy wcześniej nie walczył w pojedynku, ale strzelał do innych ludzi i atakował ich z szablą w dłoni, w szaleństwie bitwy morskiej, chodząc po śliskich od krwi pokładach statków, podczas kiedy kule wroga roztrzaskiwały maszty i osprzęt. W takim zawodzie jak jego, kiedy własny byt jest jedynym majątkiem, jaki można stracić, zarabiając na chleb, życie i śmierć są nazwami kart rozdawanych przez Los. Dzisiejszej nocy czuje chłodną obojętność, właściwą dla kogoś, kto często znajduje się w takiej sytuacji. Spodziewa się, że przeciwnik, z przyczyn zawodowych, odczuwa to samo. Niezależnie od słów i uraz, dobrze wie, że Virues jest tutaj nie dlatego, żeby się troszczył o to, co powiedzą ludzie, ale dlatego, że chce wyrównać zaległe porachunki, odkładane od czasów Gibraltaru, a w ostatnich czasach jeszcze obciążone dodatkowymi szczegółami.

– Proszę się przygotować, ruszacie na mój znak.

Jest skupiony i na chwilę przed tym, jak usunie wszystkie myśli i skoncentruje się wyłącznie na uniesieniu pistoletu i pokonaniu dzielącej go od przeciwnika odległości, przez głowę Pepe Lobo przebiega ostatnia myśl: dziś bardzo pragnie żyć. Czy, dokładniej, pragnie zabić swojego przeciwnika. Usunąć go ze świata raz na zawsze. Korsarza do walki nie zagrzewa jakaś specjalna wrażliwość na punkcie honoru, który w tym momencie jego życia i przy jego fachu nie jest specjalnie ważny. Niech honorem, jego szarlatanerią i groteskowymi konsekwencjami – jakże żałośnie zawsze się to kończy – zajmują się ci, którzy mogą sobie na to pozwolić. On przyszedł na mierzęję przy Świętej Katarzynie z zamiarem zastrzelenia Lorenza Viruesa: oddania celnego strzału w środek piersi, który z jego twarzy usunie tę głupią i zarozumiałą minę, z jaką patrzy na świat, pełen prostactwa dawnych czasów. Wyraz twarzy kogoś, kto przez urodzenie, albo własne szczęście, nigdy nie dowiedział się, jak trudne jest życie, gdy ktoś się porusza po jego mrocznej stronie, i jak tam jest zimno. W każdym razie – myśli Lobo po raz ostatni, zanim skupi się na własnym życiu lub śmierci – cokolwiek się stanie, Lolita Palma będzie myśleć, że stało się to z jej powodu.

– Naprzód!

Teraz wszystko wokół jest cieniem i mrokiem, ciemnością otaczającą jak czarna kurtyna krąg światła, którego intensywność wzrasta, gdy Lobo idzie w kierunku jego środka, powoli, starając się posuwać raczej bokiem niż przodem, uważając na każdy gest mężczyzny, który kroczy ku niemu, i jest coraz lepiej oświetlony i coraz bliżej. Krok. Dwa. Trzeba opierać się na nogach i stale celować. Teraz wszystko ogranicza się do tego. Nie głowa, ale instynkt oblicza dystans i możliwość strzału, on też powstrzymuje skurczony palec dotykający spustu, walcząc z odruchem, by strzelić przed przeciwnikiem. Pospieszyć się, wyprzedzić. Korsarz porusza się ostrożnie, z zaciśniętymi zębami, i mając poczucie, że wszystkie mięśnie ciała same się kurczą w oczekiwaniu na suche uderzenie kawałka ołowiu. Już trzy kroki. A może nawet cztery. Wydaje się to – a może nawet jest – najdłuższą drogą świata. Ziemia jest nierówna i trudno utrzymać przy lekko zgiętym łokciu w górze dłoń, w której niesie pistolet tak, aby postać przeciwnika znajdowała się na linii strzału.

Pięć kroków. Sześć.

Wystrzał zaskakuje Pepe Lobo. Jest tak skoncentrowany na posuwaniu się do przodu i celowaniu, że nie słyszy huku. Dostrzega tylko nagły błysk broni swojego przeciwnika i nieczłowieckim wysiłkiem powstrzymuje się przed przyciśnięciem spustu. Kula przelatuje o cal od jego prawego ucha ze złowrogim świstem ołowianego gza.

Siedem kroków. Osiem. Dziewięć.

Nie czuje nic szczególnego. Ani satysfakcji, ani ulgi. Jedyne pewność, że będzie mógł żyć nieco dłużej, niż można było przewidywać pięć sekund temu. W końcu udało mu się nie strzelić, inaczej niż zazwyczaj ludzie postępują w takich przypadkach, i nadal celuje z pistoletu, posuwając się do przodu. W świetle latarni, do której już niemal dochodzi, widzi wykrzywioną twarz Lorenza Viruesa. Wojskowy zatrzymał się z na wpół opuszczonym dymiącym pistoletem, jakby w zawieszeniu pomiędzy chwilą wystrzału a pewnością klęski i nieszczęścia. Korsarz doskonale wie, co się robi w takich przypadkach. Wie też, czego się nie robi. Zawsze można, co jest dobrze widziane w towarzystwie, strzelić, nie posuwając się dalej do przodu, lub posłać kulkę w niebo, kiedy ostygnie już gorączka chwili. Gdy minie kluczowy moment wymiany strażów, często równoczesnych, żaden honorowy dzentelmen nie wypali z bliska i na zimno.

– Na Boga, proszę pana! – wykrzykuje jeden z sekundantów.

Pewnie ma to być napomnienie, myśli Lobo. Odwołanie się do honoru, a może błaganie o łaskę. Sam Virues nie otwiera ust. Wzrok ma utkwiony, jakby przyciągany magnesem, w lufie zbliżającego się pistoletu. Nie przestaje wpatrywać się w niego ani na chwilę, nawet wtedy, kiedy Pepe Lobo obniża broń, celując w jego prawą nogę, strzela z bliska i kula roztrzaskuje mu kość udową.

Noc jest prawie ciemna, ze słabym blaskiem księżyca już malejącego, który oświetla białe tarasy i wieże obserwacyjne wyższych budynków. W dali świeci się miejska lampa, w okolicy klasztoru Karmelitanek Bosych, jednak jej blask nie dociera do wąskiego uskoku w murze, gdzie stoi Rogelio Tizón. Nisza, w której archanioł z mieczem w dłoni pokonuje diabła, jest niemal niewidoczna w ciemnościach, w górze, na rogu ulicy Świętego Michała i Murgi.

Postać, niemal niewidoczna, porusza się powoli, jej jasny kontur odcina się chwilami w odległym świetle latarni. Tizón przygląda się jej, jak podchodzi, mija niszę archanioła i oddala się ulicą w górę. Po chwili oczekiwania rozgląda się na skrzyżowaniu we wszystkie strony i nie dostrzegłszy nikogo, znów się cofa i opiera o ścianę. To długa noc, jak można się było spodziewać. Jedna z wielu, obawia się. Ale najważniejszą cechą myśliwego jest cierpliwość. A on dziś w nocy poluje. Z ruchomą przynętą.

Sylwetka o jasnym konturze znów się zbliża do rogu, teraz idzie w odwrotnym kierunku. W zupełnej ciszy ulicy, bez świateł za żaluzjami okien, rozbrzmiewa stukot wolnych, zmęczonych kroków. Jeśli Szafot nie zasnął, ocenia komisarz, powinien już widzieć przynętę, która pewnie dotarła do miejsca, gdzie i on stoi na czatach, pilnując kolejnego odcinka ulicy z okna apteki mieszczącej się przy ulicy Carnicerla. Przeciwną stronę trasy obserwuje inny agent, stojący na rogu ulicy Vestuario, niedaleko latarni przy klasztorze. W ten sposób mają w zasięgu wzroku we trójkę cały kwartał domów i wyloty przyległych ulic, przy czym róg z archaniołem jest jego główną osią. Pierwotny plan przewidywał obecność innych ludzi w okolicy, którzy mogliby obserwować większy teren, jednak prawdopodobieństwo, że będą nazbyt widoczni, sprawiło, że Tizón zrezygnował z niego w ostatniej chwili.

Przynęta zatrzymuje się przy bramie, jej sylwetka odcina się w świetle odległej latarni. Ze swej kryjówki komisarz wyraźnie widzi jasną plamę białej chusty, która służy za wabik dla mordercy i stanowi zarazem wyraźny punkt odniesienia dla niego i jego agentów. Oczywiście – gdy sprawę prowadzi Tizón, nie jest to bynajmniej dziwne – dziewczyna nie wie, jakie jej grozi niebezpieczeństwo ani jaka jest jej rzeczywista rola w całej akcji. Jest to owa młoda prostytutka z Merced, która leżała wtedy naga, na brzuchu, na brudnym posłaniu, podczas kiedy komisarz przesuwając końcówką laski po jej plecach i pochylał się nad własnymi otchłaniami. Ma na imię Simona. Teraz ma szesnaście lat i przy dobrym świetle wygląda już mniej niewinnie i świeżo – stała praca w tym fachu w Kadyksie odciska swoje piętno – zachowując jednak, na pierwszy rzut oka, pewną delikatność za sprawą swoich niemal

pszenicznych włosów i młodej, jasnej cery. Tizona niewiele kosztowało wciągnięcie dziewczyny w całe przedsięwzięcie: piętnaście peso dla jej sutenera, niejakiego Carreño, znanego alfonsa, niby za wabienie żonatych mężczyzn z okolicy, których komisarz potem będzie mógł spokojnie szantażować. Albo coś podobnego. A czy wspomniany Carreño przełknął tę historyjkę, nie ma znaczenia; zyskał pieniądze i przyszłą przychylność komisarza, nie pytając nawet, czy nie ma to czasem związku z krążącymi po mieście opowieściami o zamordowanych kobietach. To nie jego sprawa, zwłaszcza gdy w historii pojawia się Rogelio Tizón. Zresztą, jak powiedział, wyrażając zgodę, kurwy po to są, proszę szanownego pana. Po to, żeby być kurwami i służyć hojnym panom komisarzom. Natomiast Simona zareagowała na całą sytuację z fatalizmem kobiety, która potulnie przyjmuje wszystkie decyzje swojego kolejnego mężczyzny. No bo w sumie wszystko jedno, czy z sąsiadami żonatymi czy samotnymi, z wojskowymi ze stopniem czy bez, dla niej to bez różnicy, po której ulicy chodzi. W końcu zawsze je się tę samą żabę.

Jasna plama chusty znów powędrowała ulicą w dół. Rogelio Tizón śledzi ją wzrokiem aż do rogu ulicy Vestuario, gdzie dziewczyna się zatrzymuje, jej postać wyraźnie odcina się w świetle odległej latarni. Przed chwilą minął ją mężczyzna, którego pojawienie się zaalarmowało komisarza; jednak okazał się zwykłym przechodniem, na którego dziewczyna nie zwróciła uwagi, odpowiednio poinstruowana, co ma robić. A polecenia były dokładne: nikogo nie zaczepiać, tylko wyczekać. Do tej pory trzech mężczyzn przeszło obok niej i tylko jeden się zatrzymał i zaczął wygadywać nieprzyzwoitości.

Czas płynie i Tizón czuje się zmęczony. Z przyjemnością usiadłby na stopniu, pod osłoną portalu, oparłby głowę o ścianę i chwilę się zdrzemnął. Wie jednak, że to niemożliwe. Ma nadzieję, że Szafot i drugi z agentów też opierają się pokusie zamknięcia oczu. Widok ulicy, cienie i jasna plama chusty wędrująca w tę i z powrotem nakładają się, jakby w półśnie, na obrazy zabitych dziewczyn. Ze scenami miasta na szachownicy, gdzie wszystkie figury dzisiejszej nocy wydają się czarne. Czyniąc wysiłki, żeby jego oczy nadal pozostały otwarte, Tizón zsuwa kapelusz na tył głowy i rozpina płaszcz, by ocuciło go zimne powietrze. Cholerny świat! Mógłby zabić, żeby tylko zapalić teraz cygaro.

Zamyka na chwilę oczy, a kiedy je otwiera, widzi, że dziewczyna jest blisko. Zatrzymuje się obok niego całkiem naturalnie, podczas spacerowania w tę i z powrotem. Stała o krok od portalu, odwrócona do ulicy, z chustą na ramionach i z gołą głową, zachowuje się dyskretnie, tak żeby nie zdradzić obecności policjanta, stwierdza Tizón patrząc na zarys jej ramion w delikatnym blasku księżyca, odbijającego się od górnej części domów, i w świetle latarni sączącym się z dołu ulicy.

– Coś nie mam szczęścia dziś w nocy – mówi dziewczyna cichym głosem, ciągle stojąc do niego plecami.

– Bardzo dobrze ci idzie – szepcze policjant, równie spokojnie.

– Wydawało mi się, że ten ostatni ma chęć się zatrzymać, ale nie. Tylko na mnie popatrzył i przeszedł obok.

– Widziałś jego twarz?

– Bardzo słabo. Latarnia była za daleko... Wydawał się silny, miał twarz jak wół.

Opis zaciekawia komisarza. Jednym z problemów, nad którymi ostatnio się zastanawiał, była kwestia, w jakim stopniu twarz człowieka może mieć związek z jego charakterem i zamiarami. Poruszał się po omacku, analizując także myśli, jakie zawiera książka, którą Hipolito Barrull dał mu do przeczytania kilka miesięcy temu: *Physiognomia* Giovanniego della Porty. Traktat napisany przed dwustu laty, ale bardzo ciekawy dla policjanta: na ile da się odgadnąć zalety i wady człowieka na podstawie jego cech fizycznych. Jest to pewien rodzaj systemu domniemań – nazwanie tego nauką byłoby przesadą, zauważył profesor, pożyczając mu książkę – umożliwiającego jakoby rozpoznanie niebezpiecznych osobników, skłonnych do zbrodni lub przestępstw, poprzez obserwację twarzy i ciała. W swoim czasie

Tizón łapczywie pochłonał tamte strony. A potem chodził po Kadyksie, rozglądając się podejrzliwie i uważnie, starając się odnaleźć twarz mordercy wśród tysięcy twarzy przechodniów mijanych każdego dnia. Poszukiwał spiczastych czaszek, mających być znakiem złośliwości, wysokich czół zdradzających ignorancję i głupotę, gęstych, zrosniętych brwi, typowych dla ludzi skłonnych do nałogów, końskich zębów oznaczających pociąg do zła, wydłużonych uszu wskazujących na rozwiązłość i nieumiarkowanie, haczykowatych nosów zdradzających bezwstyd i okrucieństwo, twarz niczym pysk wołu lub krowy miała sugerować, pamięta Tizón, lenistwo i tchórzostwo. Eksperyment zakończył się pewnego słonecznego poranka, kiedy stając przed wystawą sklepu z wachlarzami, żeby zapalić cygaro, komisarz zobaczył odbicie swojej twarzy w lustrze i zdał sobie sprawę, że zgodnie z teoriami fizjonomicznymi jego orli nos bezdyskusyjnie powinien wskazywać na wielkoduszność i szlachetność. Tego samego wieczoru oddał książkę Barrulłowi i nigdy więcej nie myślał o sprawie.

– Jeśli pan chce, komisarzu, mogę pana chwilę zabawić.

Simona powiedziała to szeptem. Nadal stoi odwrócona do niego plecami, twarzą do ulicy, jakby była sama.

– Szybko panu zrobię loda – dodaje.

Tizón nie wątpi w zręczność dziewczyny, ale nie czeka ani trzech sekund, żeby odrzucić taki pomysł. Z tej mąki, postanawia, nie będzie chleba.

– Może kiedy indziej – szepcze.

– Jak pan woli.

Simona rusza obojętnie w kierunku ulicy Świętego Michała, zatapiając się w mroku, można jedynie odróżnić jasną plamę, która się oddala. Rogelio Tizón odrywa plecy od ściany, zmienia postawę i rozprostowuje zdrętwiałe członki. Spogląda na kawałek nocnego nieba za domem z niszą z archaniołem. Dziwny człowiek z owego Francuza, myśli sobie kolejny raz. Te jego działa, trajektorie, początkowa nieufność, a potem ta trudna do ukrycia techniczna ciekawość, dominująca nad wszystkim. Policjant uśmiecha się, wspominając, w jaki sposób kapitan artylerii poprosił o ostatnie dane, szczegóły dotyczące idealnych miejsc uderzenia bomb i przekazanie tych wszystkich informacji z jednej strony zatoki na drugą. Oby tylko tej nocy zrobił to, co obiecał.

Znów wraca chęć, żeby zamknąć powieki, pojawia się stan pośredni, w którym mieszają się obrazy z tej nocy i koszmary pamięci. Rozerwane ciało, obnażone kości, otwarte oczy, nieruchome, przykryte cienką warstwą pyłu. I daleki głos, o nieokreślonym akcencie i płci, mamrocący dziwne słowa, jakby „tutaj” albo „tu daj”. Policjant stuka głową w ścianę i gwałtownie podnosi wzrok, nagle przytomny. Patrzy w ulicę Świętego Michała, czekając na pojawienie się jasnej plamy chusty. Przez moment wydaje mu się, że widzi poruszającą się czarną postać. Cień przesuwający się pod przeciwną fasadą domów. Pólsen, stwierdza, tworzy swoje własne zjawy.

Nie widzi chusty. Być może Simona zatrzymała się na końcu ulicy. Najpierw zaniepokojony, potem zmartwiony, wpatruje się w ciemność. Nie słychać też kroków dziewczyny. Opanowując chęć opuszczenia kryjówki, Tizón ostrożnie wysuwa głowę, starając się, żeby nie było go zbyt widać. Nic. Tylko ciemność po tej stronie rogu ulic i odległy poblask latarni naprzeciwko. Z pewnością powinna już wracać. To trwa zbyt długo. Jest zbyt cicho. Obraz szachownicy znów pojawia mu się przed oczami, w mroku nocy. Bezlitosny uśmiech profesora Barrulla. Nie widział pan tego zagrania, komisarzu. Znów pan przegapił. Popełnił pan błąd i stracił kolejną figurę.

Nagły przypływ paniki dopada go, kiedy już jest za bramą, w ciemności biegnie przed siebie. Wreszcie pojawia się chusta: jasna plama na ziemi. Tizón mijają, gdy dociera do rogu ulic, staje i rozgląda się we wszystkich kierunkach, starając się przeniknąć mrok. Tylko słaby blask resztki światła księżyca, już ukrytego za dachami, rysuje niebieskawymi tonami żelazne

balustrady balkonów i ciemne prostokąty drzwi i okien, podkreślając czerń zakamarków cichej ulicy.

– Szafot! – krzyczy rozpaczliwie. – Szafot!

Na dźwięk jego głosu w jednym z ciemnych zakątków, w pustce ciągnącej się niby złowroga szczelina ku ciemnej ścianie placyku, przez chwilę coś się porusza, jakby ożywał fragment ciemności. Niemal w tym samym czasie z tyłu za komisarzem z trzaskiem otwierają się drzwi i prostokąt ukośnego światła przecina ulicę jak nóż, a zbliżające się susy Szafota rozbrzmiewają gwałtownym stukotem. Lecz Tizón dalej pędzi na oślep w głąb zaułka, gdzie udaje mu się dostrzec skulony kształt, który nagle dzieli się na dwa cienie: jeden nieruchomy na ziemi i drugi oddalający się błyskawicznie tuż pod ścianami domów. Nie zatrzymując się przy pierwszym, komisarz stara się złapać ten drugi, widzi, jak oddala się w stronę skrzyżowania z ulicą Cuna Vieja, odcinając się przez chwilę na tle jasności: zwinna czarna postać, biegnąca bezszelestnie.

– Stać, policja! Stać!

W pobliskich oknach zapalają się świece i latarnie, lecz Tizón i cień, który goni, już są daleko, szybko przecinają placyk przy ulicy Recaño, kierując się ku Szpitalowi Kobiecemu. Wysiłek sprawia, że płuca policjanta płoną, przeszkadza mu laska – podczas pościgu stracił już kapelusz – a szeroki płaszcz krępuje ruchy nóg. Cień, za którym biegnie, porusza się z niesłychaną prędkością i coraz trudniej jest mu utrzymać dystans.

– Stać! Stać! Gonić mordercę!

Dziela ich odległość już jest nie do pokonania, a nadzieja, że któryś z mieszkańców albo przypadkowy przechodzień przyłączy się do pościgu, zaczyna niknąć. Zbyt szybko przemierzają ulice, jest zimowa noc, prawie druga nad ranem. Tizón czuje, że zaczyna brakować mu sił. Gdyby przynajmniej, myśli zrozpaczony, miał przy sobie pistolet.

– Skurwysyn! – krzyczy bezsilnie, stając w końcu.

Dusi się. A ten ostatni krzyk go dobiega. Jego płuca charczą głucho jak pęknięty miech, gdy zgięty wpół stara się zaczerpnąć powietrza. Tizón opiera się o szpitalny mur i powoli się osuwa, aż wreszcie siada na ziemi, patrząc nieprzytomnie na róg, za którym zniknął cień. Dobrą chwilę siedzi tak, łapiąc oddech. W końcu z ogromnym wysiłkiem podnosi się i powoli kuśtyka, chwiejąc się na obolałych nogach, z powrotem na placyk Carnicena, gdzie stoją w bramach lub wychylają się z oświetlonych okien okoliczni mieszkańcy w nocnych koszulach i szlafmycach. Dziewczynę opatrują w aptece, informuje Szafot, wychodząc mu na spotkanie z lampą w dłoni. Simona odzyskała przytomność dzięki solom trzeźwiącym i okładom z octu. Mordercy udało się uderzyć ją tak, że straciła przytomność.

– Widziała jego twarz? Może jakiś szczegół?

– Jest zbyt przerażona, żeby jasno myśleć, ale chyba nie. Wszystko stało się bardzo szybko, zaatakował ją od tyłu. Zauważyła, że jest przy niej, dopiero kiedy zatkał jej usta... Ma wrażenie, że nie był zbyt wysoki, ale sprawny i silny. Nie widziała nic więcej.

Zaczynamy od początku, myśli Tizón bezsilnie. Oszołomiony rozgoryczeniem i wyczerpaniem.

– Dokąd chciał ją zabrać?

– Ona nie wie. Przecież mówię, że po uderzeniu straciła przytomność... Ale prawdopodobnie ciągnął ją do uliczki z tyłu, za magazynem sznurów i lin, kiedy go zaskoczyliśmy.

Użyta liczba mnoga oburza komisarza.

– Zaskoczyliśmy?! Gdzie wtedy byłeś, bydlaku?! Musieli przejść tuż przed twoim nosem!

Szafot nie odzywa się słowem. Pełen skruchy. Tizón dobrze go zna i właściwie rozumie, jak to się mogło stać. Mimo wszystko nie może uwierzyć.

– Tylko mi nie mów, że zasnąłeś...

Milczenie pomocnika trwa tak długo, że staje się wyznaniem winy. Znow przypomina dużego, niezdarnego psa, który czeka cicho, z uszami po sobie i ogonem między nogami, na burę od swojego pana.

– Słuchaj, Szafot...

– Słucham pana.

Komisarz patrzy na niego stanowczym wzrokiem, poskramiając ochotę, żeby połamać mu na głowie łaskę.

– Jesteś idiotą.

– Tak, panie komisarzu.

– Niech cię szlag trafi! Ciebie, twoją matkę, babkę, żonę kurwę i nie twoje bękarty!

– Niech będzie tak, jak pan mówi.

– Dupek! Skończony dureń!

Tizón jest wściekły, jeszcze nie umie pogodzić się z porażką. Tym razem miał go w zasięgu ręki. Pod nosem. Przynajmniej, pociesza się, morderca nie może podejrzewać, że zastawili na niego pułapkę. Mogło to być przypadkowe spotkanie z patrolem. Nieplanowane. Czyli nic takiego, przez co nie mógłby podjąć kolejnej próby. Tak przynajmniej sądzi komisarz. W końcu, zrezygnowany, przeżuując jeszcze porażkę, rozgląda się wokół: ludzie nadal stoją w bramach i oknach.

– Porozmawiajmy z dziewczyną. A im wszystkim powiedz, niech wracają do siebie. Ryzykujemy, że...

Jego słowa przerywa długie raaaas, coś leci ze świstem w kierunku ulicy San Miguel. Jakby ktoś nagle, gwałtownie nad ich głowami rozdzierał płótno.

I wtedy, w odległości czterdziestu kroków, wybucha bomba.



## Rozdział XV

W Kadyksie pewne zarządzenia królewskie i miejskie wydaje się tylko po to, by nie były przestrzegane. To, które zakazuje imprez towarzyskich podczas karnawału, jest jednym z nich. Choć oficjalnie nie są dozwolone bale, koncerty ani publiczne widowiska, każdy żegna po swojemu uciechy ciała przed postem. Mimo że w ostatnich tygodniach francuskie bombardowania stały się bardziej gwałtowne – jednak wiele bomb nie wybuchło lub wpadało do morza – na ulicach są tłumy: prosty lud bawi się w swoich dzielnicach, a śmietanka towarzyska prowadzi tradycyjne korowody w przerwach między prywatnymi przyjęciami i zabawami w kawiarniach. Nawet po północy miasto pełne jest kostiumów, masek, strug wylewanej wody, kolorowych konfetti i pudrów. Rodziny, grupy krewnych i przyjaciół chodzą od domu do domu, mijając zespoły złożone z czarnoskórych niewolników i wyzwolenców, którzy przemierzają ulice, grając na bębnach i piszczałkach. W sporze – długim i ostrym, toczącym się w Kortezach – o to, czy powinno się zignorować karnawał i zachować poważny nastrój z powodu wojny, czy też należy pokazać Francuzom, że miasto żyje normalnie, przeważają zwolennicy ostatniej opcji. W ogródkach i na tarasach płoną papierowe lampiony ze świecami widoczne z drugiej strony zatoki, a kilka statków stojących na kotwicy zapaliło swoje latarnie, prowokując nieprzyjacielski ostrzał.

Lolita Palma, Curra Vilches i kuzyn Toño idą, trzymając się pod rękę, przez plac Świętego Antoniego, ze śmiechem wymijając hałasujące grupki w maskach. Wszyscy troje są przebrani. Lolita ma szeroką maseczkę z czarnej tafty, odsłaniającą jedynie jej usta, ubrała się w strój arlekina – czarno-białe domino z kapturem. Curra, wierna swojemu stylowi, swobodnie nosi wojskową kurtkę, spódnicę z trzema rzędami frędzli i pomponików, czapkę markietanki i kartonową maskę z wymalowanymi wąsami. Kuzyn Toño jest w weneckiej maseczce i stroju toreadora: kubraku z szamerunkiem, bardzo obcisłych spodniach i siateczce na włosach, a za pas, zamiast stalowego sztyletu, zatknął trzy hawańskie cygara i bukłak z okowitą. W trójkę wychodzą z balu w Konsulacie Handlowym, gdzie spędzili dość długą chwilę przy muzyce i zimnych napojach, w towarzystwie wielu przyjaciół: Miguela Sancheza Guinei i jego żony, Toñete Alcalá Galiano, Paco Martineza de la Rosy, Latynosa Jorge Fernandez Cuchillero i innych młodych liberalnych deputowanych. Teraz, pod pretekstem zaczerpnięcia świeżego powietrza, obie przyjaciółki w towarzystwie kuzyna Toña wyszły na spacer, który daje im okazję, żeby nacieszyć się atmosferą panującą na ulicach i popatrzeć na innych ludzi.

– Chodźmy do kawiarni Apollo – proponuje Curra Vilches.

To jedyny dzień w roku, kiedy kobiety wchodziły bez przeszkód do kawiarni w Kadyksie, zazwyczaj bywają w cukierniach, mniej męskich pod względem panujących tam obyczajów, z sorbetami i zimnymi napojami, witrynami pełnymi słodyczy i mahoniowymi toaletkami.

Kuzyn Toño protestuje. Zwariowałyście, mówi. Mam wejść do jaskini lwa, sam z dwiema pięknymi kobietami. Mój Boże. Zjedzą was żywcem.

– Dlaczego? – śmieje się Lolita Palma. – Przecież obroni nas toreador.

– Dzielny matador zabijający dzikie byki – precyzuje Curra Vilches.

– Poza tym – dodaje Lolita – mamy maski, więc nikt nie wie, czy jesteśmy ładne, czy brzydkie.

Kuzyn wzdycha sceptycznie, zdając się na los, gdy zmierzają w stronę budynku na rogu ulicy Murguia.

– Brzydkie? Jesteście jak słodkie gołąbki, moje drogie. Zresztą w Kadyksie podczas karnawału i o tej porze żadna kobieta nie wydaje się brzydka.

– Moja życiowa okazja! – klaszcze Curra Vilches rozbawiona.

Lolita Palma śmieje się, obejmując ramię kuzyna.

– Moja też!

Mijają kolasy i powozy stojące rzędem po jednej stronie placu, których woźnice zbici w grupkę popijają z bukłaków wino, po czym cała trójka wchodzi do środka pod tympanonem z kutej stali, ozdobionym lirą, od której wzięła się nazwa lokalu, kawiarnia Apollo jest stałą bazą kuzyna Toño i szef sali od razu go rozpoznaje pomimo przebrania, pozdrawia z uszanowaniem i zgina się w ukłonie, otrzymawszy srebrną monetę.

– Poproszę o stół z dobrym widokiem, Julito. Żeby panie mogły wygodnie usiąść.

– Nie wiem, czy jest jeszcze jakiś wolny, don Antonio.

– Stawiam kolejne srebrne monety, że nie znajdziesz wolnego stolika. I z pewnością przegram.

W dłoni szefa obsługi rozbłyskuje kolejna sztuka srebra, która błyskawicznie znika w kieszeni jego fartucha, jakby jej w ogóle nie było.

– Zobaczę, co się da zrobić.

Pięć minut później cała trójka, otoczona przez tłum – panie popijają cyrany, kuzyn Toño z butelką *pajarete* z Malagi – siedzi na krzesłach wokół rozkładanego stolika, który przyniósł kelner, trzymając go nad głową, i ustawił przy kolumnach na głównym patiu. Lokal składa się z czterech pięter, przy czym dwa górne, do których prowadzi wejście od ulicy Murguia, to pensjonat z pokojami dla podróżnych. Na niższych kondygnacjach znajduje się patio oraz – na pierwszym piętrze – jadalnia i liczne sale, gdzie spotykają się na dyskusjach najbardziej zaangażowani liberalni deputowani. Dzisiaj na dolnych piętrach wrze jak w ulu. Jest mnóstwo światła, w blasku płonących żyrandoli i wszędzie rozstawionych kandelabrow mienią się ozdoby, jedwabie, hafty i cekiny.

Z góry spada kolorowe konfetti, słychać karnawałowe trąbki i piszczałki, a orkiestra smyczkowa gra skoczną muzykę pod arkadami w głębi. Nie tańczy się tutaj, ale kelnerzy z tacami pełnymi napojów biegają z końca w koniec po sali, a przy wszystkich stolikach goście sobie wesoło gawędzą. Rozmowy, śmiechy, dym z cygar w gęstym powietrzu – wszystko to sprawia, że panuje tu swobodna atmosfera. Lolita Palma rozgląda się wokoło z rozbawieniem, a kuzyn Toño, który uniósł maseczkę, żeby założyć okulary, pali i stuka się szklankami z paniami, natomiast Curra Vilches, ze zwykłą dla siebie swobodą, wygłasza pikantne komentarze na temat strojów, przebrań i siedzących wokół osób.

– Koniecznie popatrz na tę w zielonym gorsecie i białej peruce. Moim zdaniem to szwagierka Pancho Zugastiego.

– Tak myślisz?

– Słuchaj, co ci mówię... A ten, który mało nie zje jej ucha, to wcale nie jej mąż.

– Okropna jesteś, Currita!

Jest tu wielu mężczyzn, jak zwykle w kawiarni. Mieszkańcy Kadyksu, wojskowi w cywilnych strojach i przyjezdni. Całkiem sporo kobiet siedzi przy stolikach na patiu i w bocznych salach, kilka wychyla się też ponad balustradą na piętrze. Część z nich to szacowne panie, są z mężami, krewnymi, przyjaciółmi. Ale niektóre – Curra Vilches wyławia je z wdziękiem i bez litości – inaczej się zachowują. Karnawał przełamuje bariery, zawiesza dużą część konwenansów, których przez resztę roku miasto przestrzega z najwyższym rygorem. Kadyks jest otwarty na wszystkich w tych trudnych czasach, które sprawiają, że stał się miniaturą całej Hiszpanii, jednak każdy zna tutaj swoje miejsce. Kiedy się o tym nie wie lub zapomina, zawsze znajdzie się ktoś, kto szybko przypomni. Ani teraz, kiedy trwa wojna i są tu

Kortezy, ani wtedy, gdy ich nie ma, przebrania i karnawałowa radość nie wystarczą, by doprowadzić do zrównania tego, czego jeszcze zrównać się nie da. Może, myśli Lolita Palma, któregoś dnia ci młodzi liberalni filozofowie, którzy teraz dyskutują w kawiarniach, toczą polityczne dyskursy i podczas debat opowiadają o oświeceniu, narodzie i sprawiedliwości, zmienią to wszystko. Ale może nie. Koniec końców w sali u Świętego Filipa Neri siedzą duchowni, szlachta, erudyci, prawnicy i wojskowi. Nie ma tam kupców, sklepikarzy ani prostego ludu, choć ci, którzy tam przemawiają, twierdzą, że występują w imieniu ich wszystkich. Król nadal jest więźniem we Francji, a narodowa suwerenność, jakże dyskutowana, to w tej chwili zaledwie kilka kartek papieru pod nazwą przyszłej konstytucji. Nawet w ogólnym rozgwarze kawiarni Apollo jest to oczywiste. Rodowici mieszkańcy Kadyksu i Hiszpanie razem, ale nie wspólnie. Albo tylko do pewnego stopnia.

– Jeszcze kieliszeczek?

– Zgoda. – Lolita pozwala dolać sobie likieru. – Ale widzę, kuzynie, że chcesz popsuć moją opinię.

– Popatrz na Currę... Wcale nie wybrzydza.

– Bo ona w ogóle nie ma wstydu.

Spada deszcz konfetti z górnego piętra, co wygląda jak kolorowa śnieżycyca w płomieniach świec. Lolita Palma ściąga rękawiczkę i wyjmując kilka kolorowych płatków z kieliszka, popija powoli, łyk po łyku. Z miejsca, gdzie siedzi, może obserwować wiele masek – bardziej i mniej eleganckich, delikatnych, pomysłowych, prostackich, ale też i ludzi ubranych jak co dzień, z odkrytymi twarzami. I kiedy przesuwając wzrokiem po całym salonie, przyglądając się twarzom i strojom, odkrywa obecność Pepe Lobo.

– Czy to nie twój korsarz? – pyta Curra Vilches, która przypadkiem śledziła kierunek jej spojrzenia.

– Tak, to on.

– Hej, gdzie ty idziesz?

Lolita Palma nigdy nie docieknie – choć będzie się nad tym zastanawiać przez resztę życia – co sprawiło tej karnawałowej nocy w kawiarni Apollo, że wstała, ku zaskoczeniu kuzyna Toña i Curry Vilches, i podeszła, ukryta pod maseczką i dominem, do stolika Pepe Lobo. Może to trzeci kieliszek rosolisu obudził jej tupet; a może stan upojenia – na którego krawędzi balansuje z lekkością i swobodą i który zamiast stępiać jej zmysły, wyostrza je – bierze się z muzyki, śniegu konfetti wypełniającego materialną przestrzeń, teraz nierealną pośród wesołych głosów i unoszącego się w powietrzu tytoniowego dymu w dzielącej ich odległości. Kapitan „Culebry” jest sam, choć Lolita zauważa, że na marmurowym blacie stoi przed nim jedna butelka i dwa kieliszki. Jest ubrany jak zwykle w niebieską kurtkę ze złotymi guzikami, teraz rozpiętą, a pod nią ma białą kamizelkę i koszulę, której kołnierzyk otacza szeroka czarna krawatka; rozgląda się po kawiarni z rozbawieniem, choć pozostaje na boku, nie uczestnicząc specjalnie w otaczającej go wesołości. Lobo podnosi wzrok i widzi Lolitę dokładnie w chwili, kiedy kobieta się zatrzymuje. Zielone oczy marynarza, błyszczące w świetle kandelabrow, mierzą ją od stóp do głów, aż po maskę i kaptur z czarnego jedwabiu, który nasunęła na głowę, podchodząc. Potem jego wzrok wędruje z góry na dół. To oczywiste, że jej nie poznaje.

– Dobry wieczór, maseczko – mówi, uśmiechając się.

Ten nagły uśmiech tworzy białą szparę pomiędzy ciemnymi, gęstymi bokobrodami na twarzy ogorzalej na morzu. Nie wstając ani nie przestając się jej przyglądać, Lobo pochyla się nad stolikiem, nalewa okowity do swojej szklanki i podaje ją Lolicie; a ta, podniecona własną bezczelnością – czuje na sobie przerażone spojrzenia Curry Vilches i kuzyna Toña, którzy obserwują ją z oddali – przyjmuje szklankę i podnosi ją do ust pod maską, choć ledwo próbuje alkoholu, mocnego, palącego usta, ze słabym anyżowym smakiem. Potem oddaje szklankę marynarzowi, nadal uśmiechniętemu.

– Jesteś niema, maseczko?

Teraz w jego tonie słyhać zaciekawienie. Albo zainteresowanie. Lolita Palma, zastanawiając się, do kogo należy druga szklanka stojąca na blacie, nadal milczy, z obawy, że głoś ją zdradzi; odczuwa przyjemne wrażenie wolności graniczącej z zuchwałością, jakie zawdzięcza swojemu przebraniu, ale też jest pewna, że to nie może trwać zbyt długo. Sytuacja zaczyna być niestosowna. I niebezpieczna.

Jednak, ku swojemu zaskoczeniu, stwierdza, że dobrze się teraz czuje, stojąc obok stolika Pepe Lobo, bezczelnie przyglądając mu się z bliska pod osłoną maski. Ciesząc się bliskością jego oczu odbijających światło, uśmiechu paradoksalnie poważnego i spokojnego, jakże męskiego, na ustach, których ma wielką ochotę dotknąć. Szkoda, że tu nie ma tańców, mówi sobie w myślach, lekko oszołomiona. Mogłabym tańczyć, przy tym nie trzeba mówić. Nie trzeba używać słów, które wiążą i zobowiązują.

– Nie chcesz usiąść?

Przechy ruchem głowy, jest o krok od odwrócenia się do niego plecami. W tej chwili widzi porucznika z „Culebry”, młodzieńca o nazwisku Marana, który zbliża się pomiędzy stołami. To jego była ta druga szklanka. Pora odejść, potwierdza w myśli. Wrócić do Curry Vilches i kuzyna Toña, do świata rozsądku. A jednak Lolita Palma robi teraz coś nieprzewidzianego, co ją samą oburza. Pozwala się prowadzić temu samemu odruchowi, który kazał jej wstać i przyjść tutaj, powoli okrąży stolik i krzesło, na którym siedzi Pepe Lobo, i przechodząc za jego plecami, przesuwa palcem w rękawiczce po ramionach kapitana, dotykając sukna jego kurtki. Oddalając się, ma okazję dostrzec kątem oka zdziwione spojrzenie, jakim mężczyzna ją obrzuca.

Droga do jej stolika wydaje się nie mieć końca. W połowie czuje czyjąś obecność obok siebie. Jakaś dłoń chwyta ją za nadgarstek.

– Poczekaj.

Teraz to mam problem, myśli, zatrzymując się i odwracając twarz, nagle zupełnie spokojna. Zielone tęczęwki są w odległości piędź od jej oczu, wpatrują się w nią intensywnie. Lolita dostrzega w nich ciekawość, ale i strach.

– Nie odchodź.

Wytrzymuje jego bliskość bez drgnięcia. Likier łagodnie płynący w jej żyłach sprawia, że zachowuje opanowanie i zimną krew w takim stopniu, jakiego do dziś nie znała. Męska dłoń, która nadal nie puszcza jej nadgarstka, jest stanowcza i trzymają z właściwą siłą, nie ściskając zbyt mocno. Przytrzymuje ją bardziej sam gest niż siła. Ta dłoń, myśli przelotnie, strzeliła do Lorenza Viruesa i okaleczyła go na zawsze.

– Niech mnie pan puści, kapitanie.

Wtedy Pepe Lobo ją rozpoznaje. Lolita może obserwować na jego twarzy każdą z kolejnych faz zachodzącego procesu: zaskoczenie, niedowierzanie, zadziwienie, zakłopotanie. Nadgarstek został uwolniony.

– Coś takiego – mruczy mężczyzna. – Ja...

Z jakiegoś niejasnego powodu kobieta cieszy się chwilą swojego triumfu. Zaskoczeniem mężczyzny, którego uśmiech zniknął, jakby nagle zgasło światło. Teraz on rozgląda się to w jedną stronę, to w drugą, zamyślony, jakby chciał się przekonać, ilu spośród otaczających ich ludzi było świadkami tej sztuczki. Potem patrzy na nią całkiem poważnie. Oschle.

– Przykro mi – mówi.

Wygląda jak chłopiec, który dostał burę, stwierdza Lolita. Lekko poruszona śladem pewnej naiwności, jaki udało jej się dostrzec przez chwilę na twarzy korsarza. Niemal dziecięcym sposobem, w jaki szeroko otworzył oczy, zaskoczony. Być może tak patrzył, kiedy był dzieckiem. Zanim wyruszył na morze.

– Bawi się pan, kapitanie?

Teraz to on nie odpowiada i Lolita odczuwa szczególne, wewnętrzne podniecenie. Pewność władzy, jaką ma nad stojącym przed nią mężczyzną. Coś, co wydaje się rozpuszczone w jej kobiecych atawizmach, cielesnych i odwiecznych. Przygląda się zarostowi, który, zgolony przed wieloma godzinami, zaczyna się znów pojawiać, nadając ciemny ton silnemu, twardemu podbródkowi, pomiędzy bokobrodami dochodzącymi niemal do kąćków ust. Przez chwilę zastanawia się, jak też pachnie jego skóra.

– Spotkanie pana tutaj było dla mnie zaskoczeniem.

– Proszę sobie wyobrazić, jakim zaskoczeniem było dla mnie spotkanie pani.

Zielone oczy odzyskały swoją powagę. Znów pobłyskują w nich płomienie świec na sali. Curra Vilches, uznawszy, że coś dzieje się nie tak, jak powinno, wstała od stolika i idzie w ich stronę. Lolita unosi dłoń, żeby ją uspokoić.

– Wszystko w porządku, markietanko.

Spojrzenie Curry biegnie od jednego do drugiego, pytająco, poprzez otwory w masce.

– Na pewno?

– Absolutnie. Powiedz temu pijanemu toreadorowi, że przejdę się chwilę na świeżym powietrzu... Tu jest zbyt wiele dymu.

Cisza. Gdy przyjaciółka odzywa się po chwili, w jej głosie brzmi wyraźne zaskoczenie.

– Sama?

Lolita wyobraża sobie jej rozdziawione usta pod kartonową maską z wymalowanymi wąsami i jest o krok od wybuchnięcia śmiechem. Wcale nie jest łatwo czymkolwiek zaskoczyć Curry Vilches.

– Możesz być spokojna. Pan będzie mi towarzyszył.

Rogelio Tizón odskakuje w bok przed wiadrem wody, jakie ktoś na niego wylewa z okna, a potem, poddając się temu, czego uniknąć nie można, toruje sobie drogę w grupie kobiet przebranych za czarownice, które ze śmiechem okładają go miotłami, kiedy mija skrzyżowanie z ulicą Tres Hornos. Jest to uboga dzielnica rzemieślników i nakładców, z wielorodzinnymi kamienicami, których mieszkańcy żyją praktycznie na ulicy i wszyscy znają się nawzajem, a wiele zadaszonych tarasów wynajęto uciekinierom i cudzoziemcom. Fragmenty niektórych ulic oświetlone są płonącymi pakułami, które dymią ciemnymi, oleistymi spiralami. Pomimo zakazu tańców na ulicy – pod karą dziesięciu peso dla mężczyzn, którzy naruszają przepis, i pięciu dla kobiet, zgodnie z ostatnim ogłoszeniem miejskim – ludzie wychylają się z balkonów, żeby polewać przechodniów wodą lub sypać im na głowy pył z woreczków, bądź zbierają się na dole w ożywionych grupkach, klaszcząc przy gitarach i bandurach, hałasując trąbkami, piszczałkami i marakasami. Słychać śmiechy i żarty w każdej rozmowie, z akcentem i dowcipem typowymi dla niższych klas społecznych Kadyksu. Parę razy komisarz mija grupy czarnych wyzwolenców, którzy poruszają się w rytm bębnów i fujarek, śpiewając piosenki w niechlujnej, karaibskiej gwarze:

*Moja matka mi mówi, żebym na plac nie chodził*

*Bo mogą żołnierze na miazgę mnie pobić.*

Na Tizona wpada chłopak ubrany w bury szlafrok i kapcie, uzbrojony w napompowany pęcherz przyczepiony do końca kija i gotowy zaatakować nim komisarza, ten jednak, mając już tego dość, zastępuje mu drogę, wymachując laską.

– Znikaj stąd – mówi – albo łeb ci urwę.

Chłopak ucieka ze skuloną głową, pod wrażeniem tonu i wściekłego spojrzenia policjanta, a ten dalej przeciska się między ludźmi, przyglądając się otaczającym go maskom. Czasem, kiedy widzi jakąś dziewczynę, przypatruje się jej z oddali dobrą chwilę, by się przekonać, czy nikt do niej nie podchodzi ani jej nie śledzi. Bywa, że obserwuje kogoś przez kilka przecznic.

Z uwagą patrzy na każdą mijającą go maskę, pragnąc dostrzec podejrzanę zachowanie, znak, na który rzuci się na przechodnia, zerwie mu maskę czy zasłonę i odkryje tysiącrotnie wyobrażone w sennych koszmarach rysy twarzy – coraz gorzej sypia, ciągle zrywa się i myli rzeczywistość z fantazjami – człowieka, którego od dawna szuka. Nie zawsze śledzi młode kobiety, gdy przykuje jego uwagę jakieś przebranie albo dziwny wygląd, wtedy idzie za takim człowiekiem, uważając na każdy ruch. Każdy krok.

Na ulicy Sol, przy kapliczce, pewien mężczyzna przyciąga jego zainteresowanie. Jest ubrany w czarny kaftan, głowę ma okrytą kapturem, a twarz przysłoniętą białą maską, stoi nieruchomo, obserwując ludzi. Coś w jego zachowaniu budzi podejrzliwość komisarza. Policjant zatrzymuje się w tłumie, obserwuje mężczyznę i dochodzi do wniosku, że w ten sposób utrzymuje on dystans wobec ulicznego rozgwaru. Osobnik ten patrzy jakby z zewnątrz, z daleka. Zbyt ni to dystans, stwierdza policjant, jak na człowieka, który się przebiera w karnawale i wychodzi, żeby się rozerwać. Ten wcale nie wygląda na kogoś, kto się bawi, absolutnie. Kręci powoli zakapturzoną głowę, śledząc wzrokiem innych przechodniów. Wcale nie robią na nim wrażenia trzy młode dziewczyny o twarzach pomalowanych na czarno, ubrane w kolorowe kapy i słomkowe kapelusze, które zbliżają się do niego ze śmiechem i oblewają go wodą z sikawki, a potem biegiem uciekają w górę ulicy. Tylko patrzy, jak się oddalają.

Kryjąc się za przechodniami, Rogelio Tizón powoli zbliża się do człowieka w masce. Ten nadal stoi bez ruchu i przez chwilę wygląda, jakby przypatrywał się komisarzowi. Potem odwraca twarz i rusza przed siebie. To może być zupełny przypadek, stwierdza Tizón. Może, ale może i nie. Przyspiesza kroku, żeby nie stracić go z oczu, i idzie za nim ulicą Sacramento. A tam, kiedy ma zamiar podejść i zastąpić mu drogę, gotów z niecierpliwością zedrzeć mu maskę z twarzy, człowiek podchodzi do grupki przebranych kobiet i mężczyzn, którzy witają go z imienia i cieszą się jego przyjściem. Pośród wybuchów śmiechu ktoś wyciąga bukłak z winem, a nowo przybyły zrzuca kaptur i zdejmując maskę, podnosi ręce i odchyła głowę, żeby wypić długi łyk wina, celnie skierowany wprost do gardła, podczas kiedy policjant, wyraźnie czując własną śmieszność, obchodzi go szerokim łukiem.

Zapachy. Smażonych ryb, oleju z pączków, karmelu. Papierowe lampiony z zapalonymi świeczkami stoją w ubogich domach, niskich i wydłużonych, w rybackiej dzielnicy Viña. Na ulicy Palma, prostej i długiej, światełka te przypominają ustawione w szeregu robaczki świętojańskie. Ich słaby blask rysuje kontury grupki mieszkańców, którzy rozmawiają, stukają się szklankami, śmieją i śpiewają. Na rogu ulicy Consolación, obok świecznika postawionego na ziemi i oświetlającego jedynie ich nogi, dwaj mężczyźni i kobieta okryci prześcieradłami wyglądającymi jak całuny śpiewają piosenkę, a jej bohaterem jest król Felek, który – jak zapewniają pijanymi głosami – ma w bagażu moc butelek.

– Nie mam w zwyczaju tu przychodzić – mówi Lolita Palma, przyglądając się wszystkim wokół.

Pepe Lobo staje między nią a grupą chłopców idących z zapalonymi pakułami, pęcherzami i sikawkami z wodą. Potem spogląda na nią.

– Możemy zawrócić, jeśli pani sobie życzy.

– Nie.

Maska z czarnej tafty, którą kobieta ciągle ma na sobie, całkowicie zasłania jej twarz pod kapturem domina. Kiedy przez dłuższą chwilę się nie odzywa, Lobo ma wrażenie, że idzie w towarzystwie cienia.

– Jest przyjemnie... Piękna noc jak na tę porę roku.

Czasem, tak jak teraz, rozmowa schodzi na pogodę, kiedy indziej na nieistotne szczegóły tego, co widzą wokół. Tak dzieje się, gdy milczenie rozciąga się w stronę zaułków tych słów, których żadne nie wypowiada, czy raczej nie odważa się wypowiedzieć. Lobo wie, że Lolita

Palma jest tego świadoma. Jednak przyjemnie jest kołysać się w tej ciszy, podobnie jak w ospałym rytmie nocnej przechadzki, pozbawionej pośpiechu i jakiegokolwiek wyraźnego celu. W milczącym, wspólnym zawieszeniu karnawałowej nocy, która pozbawia ich odpowiedzialności. W ten sposób korsarz i kobieta spacerują od pół godziny po ulicach Kadyksu. Czasem ich przypadkowe kroki, nadejście grupki ludzi albo nagłe pojawienie się maski z trąbką bądź dmuchawką przy ustach powodują, że niezamierzenie zbliżają się do siebie, dotykając się w ciemności.

– Wie pan, kapitanie, że tancerki z antycznego Gadesu robiły furorę w starożytnym Rzymie?

Stoją na skrzyżowaniu z ulicą Carretas, w świetle łożowej latarni. Przed uchylonymi drzwiami do tawerny – przygotowanymi, żeby goście weszli do środka, gdyby się pojawili strażnicy – kilka przebranych kobiet tańczy w kręgu młodych sąsiadów, marynarzy i Cyganów. Rytm oklasków zachęca je do tańca i sprawia, że nie jest potrzebna żadna dodatkowa muzyka.

– Nie, nie wiedziałem – przyznaje Lobo.

– No widzi pan! Rzymianie wydzielali je sobie.

Lolita Palma mówi ze swobodą i pewnością siebie, jakby była gospodarzem pokazującym miasto przyjezdnemu gościowi. A jednak to ja ją prowadzę. Sam się zastanawiam, skąd ona bierze swój spokój.

– W tamtych czasach – dodaje kobieta po chwili – pewnie też musiałabym się tym trudnić, obawiam się... Palma i Synowie, eksport tancerek.

Przerywa, śmiejąc się słabo, a korsarza ogarniają naraz wątpliwości, czy aby na pewno żartowała.

– Tancerki – powtarza Lobo.

– Właśnie. One i tuńczyk w marynacie przynosiły mieszkańcom Kadyksu sławę i pieniądze ... Jednak panienki miały mniej szczęścia niż tuńczyk: cesarz Teodozjusz zabronił tańców, dlatego że były zbyt lubieżne. Według słów świętego Jana Chryzostoma, tancerkom nigdy nie brakowało diabła do pary.

Idą przed siebie, oddalając się od tawerny. Nad nimi, na szerokim pasie firmamentu odsłoniętym przez ulicę, jest mnóstwo gwiazd. Na każdym skrzyżowaniu od lewej strony Pepe Lobo czuje zachodnią bryzę, słabą, lekko wilgotną, dochodzącą od pobliskich murów i od Atlantyku, znajdującego się o trzysta kroków od nich, za esplanadę Kapucynów.

– Podobają się panu ludzie z Kadyksu, kapitanie?

– Niektórzy.

Przez chwilę idą w milczeniu. Czasem Lobo słyszy delikatny szelest jedwabiu domina. Z bliska czuje zapach perfum, innych niż te, jakich używają kobiety w jej wieku. Jest słodki i przyjemny w każdym razie. Świeży. Niezbyt mocny. Bergamotka, przebiega go absurdalna myśl. Nigdy nie wahał bergamotki.

– Są tacy, którzy mi się podobają, i tacy, którzy mi się nie podobają – dodaje. – Jak wszędzie.

– Niewiele wiem o panu.

Brzmi w tym żal. Niemal zarzut. Marynarz, podając jej dłoń, żeby pomóc wyminąć wóz podparty dragami, kręci głową.

– Moja historia jest całkiem zwyczajna. Morze było rozwiązaniem.

– Przyjechał pan z Hawany, będąc bardzo młodym człowiekiem, prawda?

– Powiedzenie, że przyjechałem, to przesada. Raczej trafiłem... Przyjechać oznacza wrócić z kilkoma tysiącami reali, czarnoskórym służącym i skrzyniami cygar.

– I szalem z chińskiego jedwabiu dla kobiety?

– Czasami.

Lolita Palma robi kilka kroków, milcząc.

– Nigdy pan nie kupował szali?

– Czasami.

Z tyłu pozostawili ulicę Palma i podwójny szereg świetlików. Teraz jest mniej ludzi, a przed nimi rozciąga się w ciemności niewielki plac Świętego Piotra z kwadratową, ciemną bryłą hospicjum po prawej stronie. Lobo zatrzymuje się, gotów zawrócić, ale Lolita Palma idzie dalej, w kierunku pobliskiego morza, lśniącego w niebieskawym półmroku w dali, za murami obronnymi. Co jakiś czas półmrok staje się żółty w błyskach latarni Świętego Sebastiana.

– Pamiętam – mówi zamyślona – jak kiedyś pan mówił, że tylko głupiec wsiałby na statek dla przyjemności. Naprawdę nie kocha pan morza?

– Żartuje pani? To najgorsze miejsce na świecie.

– To dlaczego ciągle pan tam jest?

– Bo nie mam żadnego innego miejsca.

Docierają do fortu, zbliżają się do Calety. Niedaleko od nich widać budkę i ciemną sylwetkę strażnika. Latarnie oświetlają fragmenty półkola białego piasku, a od straganów z desek i płótna żaglowego przyczepionych do murów dochodzi hałas muzyki, śmiechów, zabawy. W mroku, na czarnym tle nieruchomej wody, odcinają się jasne zarysy łodzi stojących na piasku przy brzegu i sylwetki kanonierek zakotwiczonych głębiej na morzu.

– Chciałabym tam zejść – mówi kobieta.

Korsarz niemal słupieje. Nawet w karnawale i z maską Caleta i tutejsze lokale, z marynarzami, żołnierzami, dziwkami i muzyką, nie są odpowiednim miejscem dla takiej pani.

– To nie jest dobry pomysł – mówi zakłopotany. – Być może powinniśmy...

– Proszę się uspokoić. – Słyszy jej śmiech. – To było tylko marzenie, nie zamiar.

Stoją w ciszy, opierając się o kamienną balustradę. Oddychają, blisko siebie, wilgotnym powietrzem o zapachu wodorostów i soli. Lobo czuje przy swoim prawym ramieniu jej fizyczną obecność. Niemal czuje ciepło jej ciała. Albo je sobie wyobraża.

– Czekam na pana łut szczęścia? – pyta Lolita, wracając do poprzedniego wątku rozmowy.

Można to tak nazwać, myśli Lobo. Łut szczęścia. Po chwili potakuje głową, poważnie.

– Tak, szukam go. Kiedy znajdę, na zawsze pożegnę się z morzem.

– Myślałam... – Coś takiego, wydaje się naprawdę zaskoczona.

– Ze lubi pan takie życie. Przygody.

– Źle pani myślała.

Znów milczenie. Nagle Lobo czuje potrzebę mówienia. Pragnie wytłumaczyć to, czego nie miał ochoty nigdy nikomu wyjaśniać.

– Żyję w ten sposób, bo nie mogę żyć inaczej – odzywa się w końcu. – A to, co pani nazywa przygodą... No cóż. Zamieniłbym wszystkie przygody świata na kilka sakiewek złota... Jeśli któregoś dnia uda mi się opuścić marynarkę, kupię kawałek ziemi jak najdalej od morza, w miejscu, z którego nawet nie będzie go widać... Z domem i altaną z winnej latorośli, gdzie będę siadał o zachodzie słońca, nie zastanawiając się z niepokojem, czy kotwica dobrze trzyma albo czy żagle są dość zrefowane.

– I z kobietą?

– Tak... No cóż, kto wie. Może i z kobietą.

Milkanie, zmieszany. Pytanie zadała beznamyślnym głosem. Zimnym. Jakby chodziło o kolejny przedmiot z listy wymienionej przez Lobo. I właśnie ta obojętność – naturalna czy przemyślana?

– najbardziej wprawia korsarza w zakłopotanie.

– Zdaje się, że wkrótce osiągnie pan część tego – ocenia Lolita Palma. – Mam na myśli, że zbierze pan dość pieniędzy. I przeniesie się pan w głąb łądu.

– Może tak się stanie. Ale nigdy nic nie wiadomo.



Latarnia morska stojąca nad zamkiem, na końcu mierzei Świętego Sebastiana, w równych odstępach czasu zalewa ich swoim światłem. Czarna sylwetka strażnika porusza się wolno, kiedy ten przechodzi wzdłuż murów. Lolita Palma, nadal w kapturze domina na głowie, zdjęła maskę z twarzy. Lobo obserwuje jej profil, oświetlany regularnie odległym blaskiem.

– Wie pan, co mi się podoba w ludziach morza, kapitanie?... To, że wiele podróżowali i niewiele mówią. Dużo widzieli na własne oczy, mnóstwo poznali, nie ucząc się tego z książek... Wy, marynarze, nie potrzebujecie licznego towarzystwa, bo zawsze jesteście sami. I macie w sobie tę odrobinę naiwności, czy niewinności, która sprawia, że zejście na ląd oznacza dla was wkroczenie na teren niepewny, nieznan.

Lobo słucha jej szczerze zaskoczony. Tak to widzą inni, myśli. Tak ona to widzi.

– Ma pani bardzo piękną wizję mojego zawodu, nie jest ona jednak dokładna – odpowiada. – Najgorszą hołotę spotkałem właśnie na pokładzie statku, i nie zawsze tylko na dziobie. I oczywiście, jeśli pozwoli mi pani tak powiedzieć, nigdy nie zostawiłbym pani samej z moją załogą...

Niemal się wzdryga, ale wraca do dawnego tonu:

– Aż nadto dobrze potrafię się troszczyć o siebie, kapitanie.

Duma rodziny Palma. Korsarz uśmiecha się pomiędzy dwoma błyskami latarni.

– Nie chodzi o to, co pani potrafi.

– Mam kontakty z marynarzami od dziecka. W moim domu...

Uparta. Pewna siebie. Odległa jasność obrysowuje teraz kapryśny profil. Kobieta patrzy w morze.

– Zna pani nas tylko z krótkich wizyt. I z tego, co w przeczytała pani w książkach.

– Umiem patrzeć, kapitanie.

– Naprawdę? I co pani widzi, patrząc na mnie?

Chwila zawieszenia, usta lekko rozchylone. Koniec trudnej równowagi, w jakiej utrzymywała tę rozmowę. Teraz wydaje się zdezorientowana, przez co Lobo wzrusza się w dziwny sposób, odczuwa coś podobnego do wyrzutów sumienia. W każdym razie nie zadał ostatniego pytania po to, żeby uzyskać odpowiedź.

– Proszę posłuchać – mówi korsarz. – Mam czterdzieści trzy lata i nie jestem w stanie przespać dwóch godzin bez przerwy, bo zrywam się co chwila, próbując ustalić, gdzie jestem i czy wiatr się nie odkręcił. Mam kompletnie zniszczony żołądek nędznym marynarskim jedzeniem, cierpię na bóle głowy trwające wiele dni... Kiedy długo tkwię w tej samej pozycji, moje stawy trzeszczą, jakbym był starcem. Na zmianę pogody bolą mnie kości, które sobie połamałem, i te, które mi połamano. I przez jedną burzę, nieuwagę nawigatora albo sternika, w jednej pechowej chwili, mogę wszystko stracić. Nie mówiąc nawet o możliwości...

Milknie. Przerzywa swój wywód. Myśli o kalectwie i śmierci, ale nie chce o tym mówić. O prawdziwym strachu. Właściwie zastanawia się, dlaczego powiedział to wszystko przed chwilą. Co chce usprawiedliwić przed tą kobietą. Albo co stara się zburzyć. Zniszczyć, wbrew sobie. Być może pragnienie, żeby odwrócić się do niej, posłać wszystko w diabły i silnie objąć ją ramionami.

Strażnik wrócił do swojej budki i przez chwilę błyska tam ogień zapalanego cygara. Odległa latarnia oświetla co chwila mury w kształcie połowy gwiazdy fortu Świętej Katarzyny i ukazuje skalisty jęzor wchodzący w morze i łódź patrolową, która przepływa wolno, pilnując kanonierek. Lolita Palma patrzy w tym kierunku.

– Dlaczego pan to zrobił Lorenzowi Viruesowi?

Wydaje się, że nawiązanie do roztrzaskanych kości przypomniało Pepe Lobo tamten incydent. Spogląda na nią twardo.

– Nie zrobiłem mu nic, czego by sam nie szukał.

– Słyszałam, że nie zachował się pan...

– Jak dżentelmen?

Korsarz roześmiał się, mówiąc te słowa. Kobieta milczy przez chwilę.

– Wiedział pan, że to mój przyjaciel – odzywa się w końcu. – Należy do rodziny.

– A on wiedział, że jestem kapitanem pani statku. Jedno warte drugiego.

– Ta sprawa z Gibraltaru...

– Do diabła z Gibraltarem! Nic pani o tym nie wie. Nie ma pani prawa...

Chwila ciszy. Potem Lolita Palma odzywa się cichutko, niemal szeptem:

– Ma pan rację. Na Boga, tak jest.

Jej słowa zaskakują Pepe Lobo. Kobieta stoi nieruchomo, profil uparcie zwrócony do morza i nocy. Strażnik, który niewątpliwie widzi ich ze swojej budki, zaczyna śpiewać piosenkę. Śpiewa niskim głosem, bez radości i bez smutku. Mroczna skarga, gardłowa, która zdaje się dochodzić z bardzo daleka, poprzez czas. Lobo ledwo rozumie słowa.

– Myślę, że powinniśmy już iść – proponuje korsarz.

Kobieta przeczy ruchem głowy. Znów jest niemal słodka.

– Karnawał jest tylko raz w roku, kapitanie Lobo.

Naraz wydaje mu się młoda i delikatna, inne jest tylko jej spojrzenie, które w żadnym momencie nie waha się ani nie umyka przed wzrokiem marynarza, kiedy ten pochyla się do niej i całuje jej usta, bardzo powoli, łagodnie, jakby dawał jej szansę, żeby cofnęła twarz. Ona jednak jej nie cofa i Pepe Lobo czuje cudowną miękkość rozchylonych warg i nagły dreszcz ciała kobiety, uległego i równocześnie zdecydowanego, kiedy je otacza ramionami. Pozostają tak kilka chwil, ona owinięta w domino, którego kaptur opadł na plecy, w uścisku męskich ramion, milcząca i całkiem spokojna, nie zamyka oczu ani nie przestaje na niego patrzeć. Potem odsuwa głowę i delikatnie kładzie rękę na jego twarzy, nie odpychając go ani nie przyciągając. Przesuwa palcami po czole i powiekach mężczyzny, jakby była ślepa i chciała zapamiętać jego rysy w dotyku ciepłej dłoni. A kiedy ją w końcu cofa, robi to bardzo powoli. Jakby sprawiał jej ból każdy cal odległości dzielącej jej rękę od skóry korsarza.

– Pora wracać – mówi spokojnie.

Simon Desfosseux źle śpi. Zanim się położył, długo siedział, wyliczając parametry nowego lontu o powolnym zapłonie, nad którym pracuje – bez specjalnych sukcesów – od wielu tygodni, a także rozmyślając nad ostatnią wiadomością otrzymaną z drugiej strony zatoki: komunikat od hiszpańskiego komisarza policji, w którym proponuje nowy sektor we wschodniej części miasta, gdzie należy skierować strzały w konkretnych dniach i godzinach. Wpatrując się teraz w ciemność swojego baraku, artylerzysta ma wrażenie, że coś jest nie w porządku. Podczas niespokojnego snu miał wrażenie, że słyszy dziwne hałasy. Stąd jego niepewność po obudzeniu.

– Partyzanci!... Partyzanci!

Bliski krzyk sprawia, że siada na pryczy przestraszony. A więc o to chodzi, stwierdza z dreszczem przerażenia. Hałasy, jakie niepokoiły go podczas snu, to był huk wystrzałów. Teraz słyszy go już wyraźnie, szukając po omacku spodni i wysokich butów, upycha koszulę nocną najlepiej, jak potrafi, bierze szablę i pistolet i wychodzi na zewnątrz, potykając się o wszystko. Kiedy tylko wychyla głowę, słyszy wybuch i oślepia go eksplozja, której blask oświetla kosze stojące na okopach, drewniane rusztowania i wojskowe baraki: jeden z nich zaczyna gwałtownie płonąć – zapewne wrzucili do środka smołę z prochem – i w łunie pożaru odcinają się bliskie sylwetki na wpół ubranych żołnierzy, biegających we wszystkich kierunkach.

– Są w środku! – ktoś krzyczy. – Partyzanci są w środku!

Desfosseux, któremu się wydaje, że rozpoznał głos sierżanta Labiche'a, dostaje gęsiej skórki. Placówka artyleryjska to teraz pandemonium, bieranina, krzyki, wystrzały, cienie, światła, odbłaski i sylwetki, które się poruszają, łączą w grupy albo ścierają jedna z drugą. Nie można odróżnić przyjaciela od wroga. Starając się zachować zimną krew, kapitan cofa się

z plecami przy ścianie, upewnia się, że nie ma w pobliżu nieprzyjaciół, i patrzy w stronę umocnionej pozycji, gdzie stoją Fanfan i jego bracia: w osłoniętym deskami i faszyną okopie prowadzącym aż do dział widać ognie wyrzutków i błyski szabli i bagnatów. Trwa tam walka wręcz. Wreszcie pojmuję, co się dzieje. To nie partyzanci, tylko atak wojska od strony plaży. Hiszpanie przyplęnęli, żeby zniszczyć haubice.

– Do mnie! – wyje. – Tutaj, biegiem! Trzeba chronić działa!

To przez Soulta, błysnęła mu myśl. Naturalnie. Marszałek Soult, naczelny dowódca wojsk francuskich w Andaluzji, zastąpił Victora i przejął dowodzenie Pierwszym Korpusem, a teraz przebywa z oficjalną inspekcją w tej prowincji, odwiedzając Jerez, El Puerto de Santa Maria, Puerto Real i Chiclanę. Dziś nocuje o milę stąd, a na jutro zaplanowana jest jego wizyta w Trocadero. Czyli nieprzyjaciół postanowił wstać wcześniej rano i przywitać go nocnym spektaklem. Znając Hiszpanów – a teraz Simon Desfosseux uważa, że poznał ich dobrze – jest prawdopodobne, że o to chodzi. Tak samo było przed rokiem, podczas wizyty króla Józefa. Niech szlag trafi i ich, i marszałka! Według kapitana artylerii, to nie powinno być sprawą ani jego, ani jego ludzi.

– Do baterii! Ratować baterię!

W odpowiedzi na to wezwanie jeden z cieni kręcących się w pobliżu strzela w jego stronę, a kula chybia o dwie piędzi, podnosząc deszcz drzazg za jego plecami. Desfosseux wycofuje się przezornie w ciemność. Nie decyduje się przystąpić do walki z szablą w rękę, bo wie, że Hiszpanie są groźni w bezpośrednich starciach. Ma dość oglądania, w najgorszych koszmarach, ogromnych noży, które otwierają się z okropnym dźwiękiem klak-klak. Nie chce też strzelać, nie mając pewnego celu, ze swojego jedyne pistoletu. Jego wątpliwości rozstrzyga liczna grupa nadbiegających żołnierzy, którzy strzelają i atakują bagnatami napastników, oczyszczając drogę. Dobre chłopaki, myśli kapitan, przyłączając się do nich z ulgą. Gburowaci i niespecjalnie godni zaufania w chwilach braku aktywności i nudy, ale zawsze pełni animuszu, kiedy przychodzi do walki.

– Do mnie! Naprzód, do dział!

Simon Desfosseux jest dokładnym przeciwieństwem bohatera cesarstwa. Jego idea wojennej chwały Francji jest względna, nawet nie uważa się za żołnierza; ale na każdą rzecz jest właściwe miejsce i właściwa pora. Walka toczy się w pobliżu jego ukochanych haubic Villantroya-Ruty'ego, wśród których znajdują się od kilku dni kolejne dwa działa odlane w Sewilli – Lulu i Henrietta, tak ochrzczili je żołnierze. Artylerzysta łączy z nimi poważne nadzieje, co sprawia, że wychodzi z siebie, wyobrażając sobie, że jakiś manolo kładzie łapę na jego niepokalanych brązach. Zatem na czele pół tuzina ludzi, z wyciągniętą szablą na wypadek jakiegoś niefortunnego spotkania, kapitan biegnie ku zaatakowanej pozycji, gdzie panuje kompletny chaos – wyrzuty, krzyki i ciosy – i trwa bezpośrednia walka wręcz. W blasku kolejnego wielkiego wybuchu i płomieni unoszących się nad barakami Desfosseux dostrzega porucznika Bertoldiego, w samej koszuli, który walczy kolbą muszkietu trzymanego za lufę.

Słysząc w pobliżu – stanowczo zbyt blisko, ku przerażeniu artylerzysty – hiszpańskie krzyki. *Vamonos*, wydaje się rozlegać. Idziemy. Mała grupka cieni, skulonych dotychczas w mroku, nagle staje się widoczna i biegnie na spotkanie z Simonem Desfosseux. Ten nie ma czasu, by stwierdzić, czy nieprzyjaciół atakuje, czy też się cofa, jedynie jest pewny, że kierują się wprost na niego, a kiedy są w odległości czterech, pięciu kroków, błyskają ognie wyrzutków i kilka kul ze świstem przelatuje obok kapitana. Rozbłyskuje też obok, czerwony w blasku pobliskiego pożaru, nagi metal bagnatów i noży. Nagle, gdy widzi, że to wszystko sunie przeciwko niemu, Desfosseux ogarnia ostra panika. Podnosi pistolet – ciężki model roku IX, z grubą rękojeścią – strzela wprost przed siebie, nie celując, i zaczyna wywijać szablą, żeby utrzymać atakujących na dystans. Kiedy klinga szabli kapitana niemal

dotyka jednego z napastników, przebiegającego ze skuloną głową bardzo blisko, ten szybkim ruchem noża przecina nocną koszulę kapitana i znika w ciemności.

Nie jest łatwo uciekać na ślepo, z otwartym nożem w jednej ręce i nienaładowaną strzelbą w drugiej. Długi francuski charleville przeszkadza Filipowi Mojarze, kiedy biegnie, oddalając się od baterii, jednak jego ambicja warzelnika soli nie pozwala mu go porzucić. Człowiek, który chodzi w butach, nigdy nie wraca bez broni, i on nigdy nie pozbedzie się swojej, jakkolwiek źle wyglądałyby sprawy. W tych czasach nie ma zbyt wielu strzelb. A atak na Cabezuelę był prawdziwą klęską. Niektórzy spośród towarzyszy, którzy teraz biegają w pobliżu, poprzez ciemność, starając się dotrzeć do plaży i łodzi, które powinny tam czekać – mam nadzieję, że nie odpłynęły, myśli z przerażeniem Mojarra – krzyczą „zdrada!”, jak zazwyczaj, kiedy sprawy nie idą dobrze, a kiepska organizacja, niekompetencja przywódców i ich brak honoru stawiają życie ludzi w niebezpieczeństwie.

Wszystko szło nie tak od początku. Ataku, przewidzianego na czwartą w nocy, miało dokonać czternastu angielskich saperów dowodzonych przez porucznika, wspólnie z oddziałem strzelców z Lwiej Wyspy, przy wsparciu czterech kanonierek z portu wojennego na przylądku Cantera i połowy kompanii szaserów z regimentu Gwardii Hiszpańskiej, których zadanie polegało na osłanianiu plaży podczas ataku i powrotu na pokład uczestników ekspedycji. Jednak o wskazanej porze szaserzy się nie pojawili, a i łodzie, oczekujące w ciemności zatoki, na wprost Cabezueli, z wiosłami owiniętymi szmatami, żeby wytłumić chlupot, w każdej chwili mogły zostać odkryte. Mając do wyboru, czy kontynuować wyprawę, czy się wycofać, porucznik karmazynów postanowił nie czekać dłużej. *Goł ehed*, usłyszał Mojarra, czy coś takiego. Chce sobie, mruknął ktoś obok, urwać swój skrawek chwały. Desant zaczął się w całkowitej ciemności, bez księżyca, strzelcy w ciszy rozproszyli się po plaży i pierwszym francuskim strażnikom poderżnięto gardła na ich posterunkach, zanim zdążyli pisnąć; potem jednak sprawy się skomplikowały, nie wiadomo czemu – jeden pojedynczy strzał, potem następny i wreszcie ogólne larum, pożar, strzelanina i starcie na bagnety – i wkrótce Anglicy i Hiszpanie walczyli już nie o to, żeby zniszczyć baterię wroga, ale żeby ocalić własną skórę. I to w tej chwili robi Felipe Mojarra: biegnie jak lania ku plaży, by ratować życie, ryzykując, że w ciemności potknie się i skręci kark. Z nożem w jednej ręce, w drugiej ściskając strzelbę. I myśli przy tym, z rezygnacją właściwą jego charakterowi i rasie, że czasami się wygrywa, a zazwyczaj przegrywa. Choć tej nocy nie chciałby przegrać. Przynajmniej nie całkiem. Warzelnik ma świadomość, że jeśli zostanie pojmany, jego życie nie będzie warte jednego miedziaka. Cywilne ubranie każdego Hiszpana wpadającego w ręce zabójców oznacza automatycznie wyrok śmierci. Francuzi szczególnie okrutnie traktują jeńców nie w mundurach, uznając wszystkich za partyzantów, choćby walczyli w regularnym wojsku i mieli czerwoną kokardę przyszytą na czapce i na ubraniu, obok wizerunków świętych, medali i szkaplerzy. Felipe Mojarra tak właśnie stracił przed trzema laty swoich dwóch kuzynów, po bitwie pod Medellin, kiedy marszałek Victor, ten sam, który do niedawna dowodził oblężeniem Kadyksu, kazał rozstrzelać czterystu hiszpańskich żołnierzy – niemal wszyscy byli ranni – bo mieli na sobie tylko nędzne wieśniacze stroje.

Warzelnik czuje piasek pod stopami, tym razem obutymi w espadryle – w nocy nigdy nie wiesz, na co stajesz ani co sobie wbijesz. Grunt miękki i jasny. Już jest plaża, a brzeg – dziś mają przypływ – w odległości pięćdziesięciu kroków. Nieco głębiej w zatoce, pośród ogni odbijających się w wodzie, hiszpańskie kanonierki strzelają co chwila w kierunku fortu Ludwika i wschodniej części plaży, osłaniając z tej flanki wycofujących się. Mojarra, który wie, jak ryzykowne jest pozostawanie przez dłuższy czas na widoku – zawsze można wtedy zarobić kulka od wrogów lub przyjaciół – biegnie, kierując się nieco na lewo, by schronić się w cieniu zrujnowanych murów fortu Matagorda. Bębenki niemal pękają mu w uszach z wysiłku i zaczyna brakować mu tchu. Na plaży widzi wokół siebie szybko biegnące inne

postacie, razem Hiszpanie i Anglicy, wszyscy chcą dotrzeć do brzegu. Za fortem rozbłyskują niczym petardy strzały francuskiej lekkiej piechoty. Kilka zbłąkanych kul przelatuje ze świstem tuż obok, a wybuch, zbyt bliski, jednego z pocisków z kanonierek, który trafia z ogromnym hukiem w wąski kanał na plaży, oświetla w ciemności nocy czarne, zrujnowane mury. Biegnąc do swojego schronienia, warzelnik dogania człowieka, który biegnie przed nim, jednak zanim zdąży się z nim zrównać, rozlega się kolejna salwa nieprzyjaciela i tamten pada na ziemię. Mojarra szybko omija go, nie zatrzymując się ani nie zwracając na niego uwagi większej niż trzeba, by się nie potknąć, dociera pod dające osłonę mury Matagordy, odzyskuje równy oddech i spogląda trwożnie na plażę, zamykając równocześnie nóż, który chowa za pas. Niezbyt daleko jest łódź, jej wydłużony kształt dokładnie widać przy brzegu. Po kilku chwilach wystrzał jednej z kanonierek wyraźnie oświetla ją na tle czarnej wody, z podniesionymi wiosłami, z ludźmi na pokładzie i tymi, którzy próbują z chlupotem się do niej wgramolić. Niewiele myśląc, Mojarra wiesza strzelbę na ramieniu i wyrывa w stronę łodzi. Miękki piasek nie ułatwia sprawy, jednak udaje mu się biec dość szybko, zanurza się w wodzie po pas, chwyta reling i gramoli się do łodzi z pomocą rąk, które łapią go za koszulę i ramiona i wciągają na pokład.

– Zdrada! – nadal słychać okrzyki.

Docierają kolejni uciekinierzy, którzy wdrapują się pokład, jak potrafią, a ich sylwetki odcinają się na tle dalekiego pożaru. Opadłszy na deski między ławkami, Mojarra przygniata człowieka, który wydaje okrzyki bólu z niezrozumiałymi angielskimi słowami. Starając się wstać i od niego odsunąć, warzelnik opiera niechcący rękę na jego torsie i czuje, że tamten jest nagi. Anglik znów krzyczy, głośniejszym głosem niż poprzednio. Cofając dłoń, Mojarra zauważa, że przykleił się do niej oderwany od piersi rannego ogromny kawał spalonej skóry.

Pada tak mocno, jakby ciemne, niskie chmury miały odkręcone kurki, z których leją się strumienie wody. Gwałtowna burza i wichura, które chłostały Kadyks tego ranka, ustąpiły miejsca gęstej, ciągłej ulewie, która wszystko moczy, odbijając się od markiz, fasad domów i ogromnych kałuż, tworząc strumienie na piasku, którym posypany jest bruk, żeby nie ślizgały się końskie kopyta. Z balkonów zwisają mokre flagi i zniszczone przez deszcz kwiatowe girlandy. Pod osłoną portalu kościoła Świętego Antoniego, pomiędzy ludźmi chroniącymi się pod parasolami i ceratowymi płachtami, wraz z setkami tłoczącymi się pod markizami i balkonami, Rogelio Tizón przygląda się ceremonii, która mimo deszczu toczy się pod baldachimem wzniesionym na placu. Hiszpania, czyli to, co symbolizuje Kadyks, już ma swoją konstytucję. Została ona uroczysto ogłoszona tego ranka i nawet niepogoda nie zepsuła wielkiego święta. Groźba francuskich bomb, które od wielu tygodni spadają częściej i z większą precyzją, uniemożliwiła ceremonialny przemarsz władz i deputowanych oraz odprawienie mszy z *Te Deum* w katedrze. Obawiano się, że nieprzyjaciel też zechce zaznaczyć tę datę. W związku z tym przeniesiono uroczystość do kościoła Carmen, naprzeciwko Alamedy, poza zasięgiem artylerii wroga, gdzie pełen entuzjazmu tłum – całe miasto bez wyjątku jest na ulicy, niezależnie od stanu czy zawodu – dzielnie znosi porywy wiatru i niemiłosiernie lejące się z nieba strumienie wody, a nawet nagłe powalenie wielkiego drzewa, które upadło, nie czyniąc żadnych szkód; nie przyciągając uwagi zebranych, zwiększając tylko ogólny zgiełk, do którego dołączały dzwony wszystkich kościołów, grzmiała artyleria z lądu i z zakotwiczonych okrętów, a długa linia francuskich baterii odpowiadała z drugiego brzegu. Tam też mieli okazję do wiwatowania, po swojemu, bo dziś, 19 marca 1812 roku, jest dzień świętego Józefa – święto Józefa I z dynastii Bonaparte.

Teraz, już dobrze po południu, trwają przewidziane uroczystości, a Rogelio Tizón jest zaskoczony wytrzymałością ludzi. Rano mieszkańców Kadyksu wysmagała burza, a teraz, w deszczu, pełni entuzjazmu wysłuchują uroczystego czytania tekstu konstytucji, kolejnego po dwóch wcześniejszych – jedno odbyło się naprzeciwko budynku Urzędu Celnego, gdzie

Regencja wystawiła portret Ferdynanda VII, a drugie na placu Mentidero. Kiedy zakończy się trzecia ceremonia, naprzeciwko kościoła Świętego Antoniego, oficjalny orszak, za którym podąży cała publiczność, przejdzie tłumnie ulicami do ostatniego przewidzianego miejsca: przed wejściem do kościoła Świętego Filipa Neri, gdzie czekają deputowani, którzy tego ranka dokonali uroczystego przekazania członkom Rady Regencyjnej świeżo wydrukowanego egzemplarza konstytucji, nazywanej już przez wszystkich *La Pepa*, na cześć daty. To ciekawe, zauważa Tizón, rozglądając się wokół, jak to wydarzenie wznieca, przynajmniej na kilka godzin, ogólną jednomyślność i wspólny entuzjizm. Wszystkim udziela się świąteczny nastrój tego dnia, jakby nawet ci najbardziej krytyczni wobec konstytucyjnej przygody poddali się z przyjemnością zbiorowemu odruchowi radości i nadziei. Przynajmniej wygląda, jakby tak było. Ku swojemu zaskoczeniu policjant widział dziś, jak kilku spośród najbardziej reakcyjnych monarchistów uczestniczyło w uroczystościach, bijąc wraz ze wszystkimi brawo albo przynajmniej nie odzywając się ani nie strojąc min. Nawet dwaj deputowani opozycyjni, niejaki Uamas i przedstawiciel Kraju Basków Eguia, którzy sprzeciwiali się przyjęciu tekstu zaakceptowanego przez Kortezy – pierwszy dlatego, że jest zadeklarowanym przeciwnikiem suwerenności narodowej, a drugi zasłaniając się przywilejami swojego regionu – podpisali i złożyli przysięgę, tak jak wszyscy inni, kiedy stanęli przed alternatywą, że albo to zrobią, albo zostaną pozbawieni tytułu Hiszpana i wygnani z kraju w błyskawicznym terminie dwudziestu czterech godzin. Tak naprawdę, stwierdza cierpko komisarz, również przezorność i strach, a nie tylko zaraźliwy entuzjizm patriotyczny, dokonują konstytucyjnych cudów.

Czytanie dobiegło końca i uroczysty orszak wyrusza w dalszą drogę. Wojsko stoi wzdłuż jego trasy, prezentując broń, mimo że deszcz niszczy żołnierskie mundury, pochód kieruje się ku ulicy Torre w eskorcie kawaleryjskiej pikiety i w takt muzyki maszerującej orkiestry, którą ulewny deszcz zagłusza i odbiera jej blask, choć stojący tłumnie ludzie witają ją z radością. Kiedy orszak przechodzi w pobliżu kościoła, Rogelio Tizón przygląda się nowemu gubernatorowi i równocześnie dowódcy Floty, don Cayetanowi Valdesowi: poważny, chudy, wyprostowany, z bokobrodami sięgającymi do kołnierza munduru, człowiek, który dowodził okrętem „Pelayo” w bitwie pod Sao Vicente i okrętem „Neptuno” pod Trafalgarem, ubrany jest w generalski mundur i kroczy bez zmrużenia oka w strugach deszczu, trzymając w dłoniach oprawny w czerwony safian egzemplarz konstytucji, który stara się chronić najlepiej, jak to możliwe. Od kiedy Villavicencio wszedł do Rady Regencyjnej, a Valdes zajął po nim biuro wojskowego i politycznego dowódcy miasta, Tizón rozmawiał z nim tylko raz, w towarzystwie generalnego intendenta Garcii Pico, z bardzo niemiłym skutkiem. W przeciwieństwie do swojego poprzednika Valdes jest liberałem. Jest też człowiekiem traktującym innych oschle i nieuprzejmie, jego maniery są szorstkie, właściwe dla marynarza, który całe życie spędził pod bronią. Od pierwszej chwili, kiedy usłyszał o sprawie zamordowanych dziewcząt, nowy gubernator postawił sprawę jasno przed intendentem i komisarzem: jeśli nie pojawią się wyniki, trzeba będzie ukarać odpowiedzialnych. Co do sposobu prowadzenia śledztwa, czy to w tej, czy w każdej innej sprawie – zapewnił Tizona, o którego karierze wydaje się dobrze poinformowany – nie będzie tolerował nieuzasadnionych zatrzymań, torturowania więźniów ani innych nadużyć łamiących nowe swobody ustanowione przez Kortezy. Hiszpania się zmieniła, powiedział, żegnając ich w swoim biurze. Nie ma powrotu do tego, co było, ani dla panów, ani dla mnie. Lepiej będzie, jeśli wszyscy to szybko pojmą.

Patrząc krytycznym okiem na orszak, komisarz wspomina słowa gubernatora sztywno kroczącego teraz w deszczu i zastanawia się z niezdrową ciekawością, jak to będzie, kiedy wróci z Francji uwięziony król. Kiedy młody Ferdynand, ukochany przez lud i zupełnie nieznan pod względem charakteru i zamiarów – prywatne informacje, jakimi dysponuje Tizón na temat jego postępowania w czasie sprzysiężenia w Eskurialu, buntu w Aranjuezie i

niewoli w Bayonie, nie są zbyt pochlebne – wróci i zobaczy, że podczas jego nieobecności i w jego imieniu garstka wizjonerów działających pod wpływem idei zrodzonych z rewolucji francuskiej wyrzuciła do góry nogami tradycyjny porządek pod pretekstem, że pozbawiony monarchów – lub przez nich opuszczony – i pozostawiony sam sobie hiszpański naród walczy o siebie i dyktuje własne prawa. Dlatego widząc, jak ogłaszana jest konstytucja pośród powszechnego zachwytu, Rogelio Tizón, niezajmujący się wcale polityką, lecz posiadający bogate doświadczenie w szperaniu w ludzkich duszach, zastanawia się, czy ten cały tłum, wiwatujący i bijący brawa w strugach deszczu – ten sam niepiśmienny, bestialski lud, który włókł ulicami generała Solano i byłby gotów zrobić to samo z generałem Valdesem przy nadarzającej się okazji – nie pozdrawiałby z podobnym entuzjazmem opcji przeciwnej. Zastanawia się też, czy kiedy Ferdynand VII wróci, spokojnie się pogodzi z nowym stanem rzeczy, czy też będzie takiego samego zdania jak ci, którzy twierdzą, że lud wcale nie walczy o jakąś chimeryczną suwerenność narodową, ale o króla i Kościół, czyli w sumie o przywrócenie w Hiszpanii dawnego porządku; i przypisywanie sobie i ludowi podobnej władzy jest uzurpacją i bezczelnością. Głupotą, która z czasem się skończy, i wszystko wróci do pierwotnego porządku.

Na placu Świętego Antoniego nadal leje jak z cebra. Pośród stukotu końskich kopyt i dźwięków świątecznej muzyki orszak powoli oddala się pod sztandarami i girlandami, po których spływa woda z balkonów. Opierając się o mur przy wejściu do kościoła, komisarz wyjmując z kieszeni i zapala cygaro. Potem spokojnie obserwuje otaczający go kłębiący się tłum, ludzi wszelkich stanów, bijących z entuzjazmem brawo. Przygląda się każdej twarzy, jakby chciał utrwalić je w pamięci. To odruch zawodowy – zwykła przezorność policjanta. Koniec końców, czy to liberałowie, czy rojaliści, w Kadyksie nie dzieje się nic innego jak prowadzona w nowoczesnym, odmiennym stylu odwieczna walka o władzę. Rogelio Tizón nie zapomniał, że do niedawna, zgodnie z rozkazami przełożonych i w imieniu starego Karola IV, zamykał w więzieniach ludzi, którzy rozpowszechniali ulotki i książki z ideami takimi, jakie głosi niesiona dziś przez gubernatora oprawiona w safian książeczka. I wie, że z Francuzami, z monarchią absolutną, z suwerennością narodową, z *Pepą*, stworzoną u Świętego Filipa Neri, czy bez nich, każdy, kto będzie rządził w Hiszpanii, podobnie jak w każdym innym miejscu, zawsze będzie potrzebował więzień i policjantów.

O zmroku wzmagają się francuskie bombardowanie. Siedząc przy stole w gabinecie botanicznym, ogrzewanym przenośnym piecykiem, Lolita Palma słyszy dudnienie wystrzałów poprzez szum wody i wiatru. Nadal pada gęsty deszcz, przybierający jeszcze na sile w podmuchach wiatru, który wyje, obryzgując mury obronne i fasady domów, i próbuje znaleźć drogę przez prostopadłe ulice w pobliżu kościoła Świętego Franciszka. Wydaje się, że całe miasto kołysze się na czubku mierzei, którą jest przytwierdzone do stałego lądu, i za chwilę wichura zerwie jego wieże, a Kadyks zatonie pod kurtyną wody, stapiającą się w ciemności z falami, jakie Atlantyk gna do zatoki.

*Asplenium scolopendrium*. Liść paproci ma niemal stopę długości i dwa cale szerokości. W świetle kinkietu Lolita Palma przypatruje mu się przez mocno powiększającą lupę w oprawie z kości słoniowej, obserwując owocniki umieszczone w równoległych liniach biegnących ukośnie w stosunku do głównego nerwu liścia. Jest to roślina pospolita i bardzo piękna, opisana już przez Linneusza, często występująca w hiszpańskich lasach. W domu przy ulicy Baluarte znajdują się dwa wspaniałe okazy tego gatunku, stoją w oszklonym wykuszu od wewnętrznej strony rezydencji, którego Lolita używa jako szklarni.

Kolejny wybuch. Huk słychać jeszcze bliżej, niemal na końcu ulicy Doblones, przytłumiony przez dzielące ich budynki i przygłuszony przez szum deszczu i wiatru – ulewa i francuskie bombardowanie są tak silne, że dzwon w kościele Świętego Franciszka, ostrzegający przed ostrzałem ze strony Cabezueli, dzisiaj milczy. Lolita Palma, obojętna na to

wszystko, umieszcza próbkę paproci w kartonowym zielniku, chroniąc ją dwoma arkuszami cienkiego papieru, odkłada lupę i przeciera zmęczone oczy – wkrótce będzie potrzebowała okularów, podejrzewa. Potem wstaje, przechodzi obok przeszklonej szafy, gdzie trzyma kolekcję wysuszonych liści, i dzwoni srebrnym dzwonkiem, stojącym na stoliku obok biblioteczeki. Mari Paz, jej pokojówka, pojawia się po chwili.

– Położę się już.

– Tak, panienko. Zaraz wszystko przygotuję.

Kolejny daleki wybuch, tym razy bliżej środka miasta. Dziewczyna szepcze „Chryste Panie”, żegnając się znakiem krzyża przed wyjściem z gabinetu – potem pójdzie spać na parter, gdzie cała służba chroni się nocami, kiedy trwa bombardowanie – a Lolita pozostaje bez ruchu, wsłuchując się w szum wiatru i deszczu. Tej nocy, myśli, wiele świec będzie się paliło przed obrazkami świętych w domach marynarzy.

Przez drzwi widzi swoje odbicie w lustrze w korytarzu: włosy zebrane w warkocz, prosta domowa suknia, szara, ozdobiona jedynie koronką na okrągłym kołnierzyku i na mankietach. W półmroku korytarza, przy świetle kinkieta za jej plecami, kobieta patrząca na nią z lustra przypomina portret na starym obrazie. Pod wpływem odruchu, który rodzi się z lekkiej kokieterii, podnosi dłonie na kark i zastyga w tej pozie, przyglądając się w zadumie swojemu odbiciu i myśląc, że mógłby to być konterfekt, jaki ciemnieje z czasem na ścianie w domu, w światłocieniu pośród mebli, przedmiotów, pamiątek rodzinnych. Twarz z dawno minionych czasów, rozplywająca się niczym duch w mrokach śpiącego domu.

Nagle Lolita Palma opuszcza ręce i odwraca wzrok od lustra. Potem, pod wpływem nagłego impulsu, podchodzi do okna i szybko otwiera je na oścież, pozwalając, by ulewa zmoczyła jej suknię i krople deszczu spadły z podmuchem wiatru na twarz.

Błyskawice oświetlają miasto. Jaśniejące bicze rozdierają czarne niebo, a grzmoty mieszają się z dudnieniem francuskiej artylerii i hukami nieustannie odpowiadających na każdą salwę baterii fortu Puntales. W nieprzemakalnym płaszczu i gumowym kapeluszu Rogelio Tizón przemierza ulice starej części miasta, unikając potoków, jakie spływają z dachów. Zabawa dalej trwa w tawernach i gospodach w mieście, gdzie ludzie, którzy jeszcze nie rozeszli się do swoich domów, świętują ten dzień. Idąc ulicą, komisarz słyszy, jak za drzwiami i okiennicami stukają szklanki, rozlega się muzyka, śpiewy i wiwaty na cześć konstytucji.

Bomba spada bardzo blisko, na placu San Juan de Dios. Tym razem wybuchła, a fala uderzeniowa wprawia w drganie mokre powietrze i szyby w oknach. Tizón wyobraża sobie kapitana artylerii, którego twarz teraz już zna, jak celuje ze swoich dział w miasto, w daremnej próbie przerwania radości w Kadyksie. Ciekawy facet z tego Francuza. Tizón wykonał swoją część ich dziwnej umowy. Przed trzema tygodniami, po pociągnięciu za najtrudniejsze sznurki i przekonaniu za pomocą odpowiednich sum właściwych osób, komisarzowi udało się doprowadzić do tego, że preparatora Fumagala przewieziono w ukryciu na drugą stronę zatoki podczas wymiany więźniów. Czy raczej, dokładnie mówiąc, to, co z niego zostało – wymizerowane, chwiejące się na nogach widmo – po długotrwałym pobycie w podziemiach bez okien na ulicy Mirador. Francuz też wykonał umowę i nadal ją wykonuje. Po dżentelmeńsku. Trzykrotnie, w określonych dniach i godzinach, jego pociski spadały mniej więcej tam, gdzie Tizón się ich spodziewał; dotychczas bez innego skutku jak zburzenie dwóch domów, ranienie czterech osób i zabicie jednej. I za każdym razem w pobliżu kręcił się policjant z nowymi przynętami – dzięki wojnie i biedzie w Kadyksie nie brakuje chętnych młodych dziewcząt – jednak nie pojawił się nikt, kogo można byłoby wziąć za mordercę. Warunki atmosferyczne w ostatnich dniach, z deszczem i wiatrem, który nie wieje ze wschodu, niespecjalnie sprzyjają sprawie. Tizón, któremu osobiste obsesje nie przeszkadzają dostrzec, że cała intryga ledwo się trzyma, i który nie ma specjalnych złudzeń,



mimo wszystko nie rezygnuje z tej gry. Zawsze łatwiej, myśli, złapać zdobycz w zastawioną sieć, choćby miała duże oka, niż bez używania żadnej sieci. Z drugiej strony, chodząc ostatnio po mieście i wypatrując wszelkich możliwych znaków, porównując okoliczności już znane z innymi, podobnymi, policjant – czy raczej dziwna pewność, będąca ostatnio motorem wszystkich jego czynów – sporządzał listę miejsc, które wydają mu się sprzyjające temu, czego oczekuje. I pragnie.

Metoda jest skomplikowana, czasem niemal irracjonalna, i nawet sam Tizón nie jest pewien jej skuteczności. Mieszają się w niej wcześniejsze doświadczenia z najbardziej osobistymi odczuciami: miejsca z pustymi domami, wyludnionymi podwórzami lub magazynami, tereny osłonięte przed wścibskimi spojrzeniami, ulice pozwalające łatwo się ukryć, a potem zniknąć, rogi ulic, gdzie wiatr podobnie wieje w określonych okolicznościach i gdzie Tizonowi udało się dostrzec coś niepokojącego – fizycznie realnego lub wyobrazonego, co do tego nie może uzgodnić stanowiska ani z Hipolitem Barrullem, ani z sobą samym – w nagłym braku powietrza, dźwięków i zapachów, jakby na chwilę dostał się do ciasnego klosza pustki. Diabelne wiry, jak tam je zwał, czymkolwiek są – zawirowania przerażenia własnego i innych ludzi. Prawdą jest, że przy środkach, jakimi dysponuje, komisarz nie jest w stanie pilnować równocześnie tych wszystkich miejsc. Nawet nie jest pewien, czy nie umknęło jego uwagi wiele innych, podobnych. Może jednak dokonywać systematycznych aleatorycznych inspekcji, i to właśnie robi. Coś podobnego, wracając do rybackich porównań, do zarzucania sieci w miejscach, gdzie nie ma pewności, czy są ryby, jednak można sądzić lub podejrzewać, że się tam pojawiają. Każdego dnia, z przynętą czy bez niej, Tizón odwiedza te miejsca, studiuje ich położenie na planie miasta, tak że zna każde z nich na pamięć, organizuje ich dyskretne obchody przez agentów, odwołuje się do oczu i uszu całej machiny konfidentów, którą już dawniej dysponował, a teraz trzyma w gotowości dzięki skutecznej, wynikającej z doświadczenia, kombinacji gratyfikacji i gróźb.

Łuk Pópulo jest jednym z tych niepokojących miejsc. Policjant, zamyślony, przygląda się sklepieniu nad przejściem. Miejsce to, położone za Ratuszem, jest centralne i uczęszczane, obok są domy pełne lokatorów i otwarte sklepy, choć tej nocy z powodu burzy widać w ciemności jedynie zamknięte okiennice i strugi wody lejącej się z każdej strony. Jednak Rogelio Tizón wie, że tu znajduje się jeden ze znaków na jego mapie-szachownicy, które spędzają mu w nocy sen z powiek i burzą spokój w ciągu dnia: siedem figur zbitych przez przeciwnika, a z jego strony tylko jedna próba. Przez dwie noce bezskutecznie wystawiał tu dobrze pilnowaną przynętę – dziewczynę zwerbowaną na ulicy Herkulesa. Morderca nie przyszedł na spotkanie, ale bomba, owszem, wreszcie spadła poprzedniego poranka kilka kroków stąd, na placu przy ulicy Virreina. Dlatego, mimo deszczu i męczącego dnia za sobą, policjant krąży wokół, nie decydując się wracać do domu. Choć nie ma odpowiednich warunków, nadal leje, wieje i się błyska, on ciągle krąży w deszczu, przepatrując każdy zakątek i każdy mrok, wytrwale starając się zrozumieć. Popatrzeć na świat w identyczny sposób, jak patrzy człowiek, którego poszukuje.

Przez chwilę w marnym świetle lampki palącej się pod świętym obrazem umieszczonym na ścianie w przejściu, pośród ciemności panujących pod łukiem, policjant dostrzega cień. Wcześniej go tam nie było i to budzi w nim instynkt i wyostża zmysły, jak u psa, który przeczuwa pojawienie się zwierzyny. Bardzo ostrożnie, starając się pozostać niewidocznym w mroku na ulicy, Tizón skrada się do najbliższej ściany, żeby ukryć się przy niej, z nadzieją, że odgłosy ulewy zagłuszą chlupot jego kaloszy w kałużach. Pozostaje bez ruchu, mocno ściskając laskę z mosiężną gałką, i czuje, jak woda spływa mu po kapeluszu i nieprzemakalnym płaszczu. Jednak postać – męska sylwetka przy lampce – stoi spokojnie. Wreszcie policjant decyduje się, by ostrożnie podejść z lekko uniesioną laską w dłoni. Jest w połowie przejścia, kiedy słyszy, że jego kroki zakłócają panującą pod sklepieniem ciszę. Tamten porusza się nieco.

– Przekłęte wino – rozlega się głos. – Człowiek bez przerwy sika.

Głos jest młody, a ton obojętny. Tizón zatrzymuje się przy postaci, która teraz wyraźniej odcina się od ciemności – jest ciemna i wysmukła. Naraz nie wie, co powiedzieć. Szuka pretekstu, żeby pozostać chwilę, zamiast dalej iść przed siebie.

– To nie jest odpowiednie miejsce, żeby załatwiać swoją potrzebę – mówi oschle.

Mężczyzna wydaje się rozważać, na ile jest to właściwa uwaga.

– Nie chrzań, człowieku – rzuca w końcu.

Potem następuje atak kaszlu. Tizón stara się zobaczyć twarz, ale w słabym świetle lampki na murze widać jedynie zarys jego sylwetki. Potem słyszy szelest materiału – mężczyzna pewnie zapina rozporek, domyśla się – i słaby płomień oświetla chudą twarz z ciemnymi, zapadniętymi oczami, mężczyzna ma niewiele ponad dwadzieścia lat, jest przystojny i przygląda się Tizonowi z pogardą.

– Niech się pan zajmie swoimi sprawami – mówi.

– Jestem komisarzem policji.

– Gównu mnie obchodzi, kim pan jest.

Jest blisko, czuć od niego wino. Tizonowi nie podoba się bezczelność tamtego, a jeszcze mniej lekceważący ton, jakiego używa. Przez chwilę, pod wpływem odruchów: zawodowego i wynikającego z przyzwyczajenia, zastanawia się, czy nie machnąć gałką laski i nie przejść do czynu. Durny szczeniak. W tym momencie uświadamia sobie, że jego twarz jest mu znajoma. Chyba ma coś wspólnego ze statkami. Nagle wydaje mu się, że rozpoznaje marynarza. To z pewnością oficer. Stąd wino i bezczelność. Różni się jednak od fanfaronady miejscowych ważniaków i pyszałków, i reszty przystojniaków z Kadyksu. Ten pachnie bezczelnością zblazowaną, lepszą. Z dobrej rodziny.

– Jakiś problem?

Nowy głos rozlega się za plecami komisarza, który niemal podskakuje zaskoczony. Podszedł drugi mężczyzna. Odwróciwszy się, Tizón widzi przed sobą osobnika ciemnowłosego, z szerokimi bokobrodami, ubranego w kurtkę ze złotymi guzikami. Lampka oświetla spokojne jasne oczy.

– Jesteście razem? – pyta Tizón.

Milczenie nowo przybyłego oznacza zapewne odpowiedź twierdzącą. Tizón macha trzymaną w prawej ręce laską. Nie ma innych problemów, mówi, poza tymi, jakie może spowodować pański kolega. Mężczyzna przygląda mu się badawczo. Jest bez kapelusza, ma włosy zmoczone deszczem. Światło lampki odbija się w świeżych, grubych kroplach deszczu na jego ramionach. Od niego też czuć zapach tawerny.

– Mówił pan, że jest pan policjantem – odzywa się w końcu.

– Jestem komisarzem.

– I pańska praca polega na tym, żeby pilnować, czy nikt się nie odlewa na ulicy w taką noc jak dzisiaj... Kiedy leje jak z cebra.

Powiedział to z zimną ironią w głosie. Zły początek. A Rogelio Tizón właśnie ich rozpoznaje: to dwaj korsarze, kapitan i porucznik, z którymi przeprowadził ubiegłego lata nocną rozmowę w Calecie. Pogawędka była równie nieprzyjemna jak ta dzisiejsza, choć nie było tak mokro. Miała miejsce, kiedy badał sprawę przemytu i nocnych przepraw przez zatokę, co doprowadziło go do Mulata.

– Moja praca, kolego, polega na tym, co uznam za stosowne.

– Nie jesteśmy pańskimi kolegami – odpowiada młodszy.

Tizón zastanawia się przez chwilę. Z przyjemnością laską rozwaliliby przystojniakowi głowę – teraz przypomina sobie, że przy poprzednim spotkaniu też miał na to ochotę – jednak to twardzi goście i sprawy nie załatwi się tak prosto. Podobne problemy kończą się, jeśli nikt im na czas nie zaradzi, gorącą głową i zimnymi nogami. A tym bardziej tu, kiedy stoi w przejściu sam naprzeciwko dwóch mężczyzn, pijanych, ale nie całkiem, jeszcze w fazie

agresywnej, niebezpiecznej stanowczości. A w pobliżu Tizona nie ma żadnego z jego ludzi. Przy tym deszczu, myśli z goryczą, na pewno wszyscy pochowali się w tawernach, cholerne sukinsyny. Kiedy znów się odzywa, stara się nadać swoim słowom odpowiedni ton. Bardziej dyplomatyczny.

– Śledzę kogoś – przyznaje z zamierzoną otwartością – i w ciemności się pomyliłem.

Odległa błyskawica oświetla tunel niczym nagły wystrzał armatni, wykrawając z mroku sylwetki trzech mężczyzn. Ten z bokobrodami – to kapitan Lobo z „Culebry”, naraz przypomina sobie Tizón – przypatruje się komisarzowi bez słowa, jakby głęboko zastanawiał się nad tym, co właśnie usłyszał. Potem robi krótki potakujący gest.

– My już się znamy – mówi.

– Rozmawialiśmy raz – potwierdza Tizón. – Dawno temu.

Kolejna chwila milczenia. Ten marynarz nie należy do ludzi, którzy po próżnicy gadają czy grożą, myśli sobie. Jego towarzysz też nie. Po chwili widzi, jak korsarz kiwa głową.

– Jesteśmy tu w tawernie, w wesołym towarzystwie... Mój przyjaciel wyszedł zaczerpnąć powietrza i ulżyć sobie. Jutro wyruszamy w morze.

Teraz Tizón kiwa głową.

– Wziąłem go za kogoś innego – przyznaje.

– Więc wszystko w porządku. Czy nie?

– Na to wygląda.

– Życzę powodzenia podczas patrolu.

– A ja życzę powodzenia w tawernie.

Stojąc w przejściu, Tizón widzi obu marynarzy, teraz znów jako ciemne kształty, które oddalają się w deszczu i roztapiają w mroku, oświetlane od czasu do czasu przez grzmiące jak wystrzały pioruny, które rysują na ziemi ich cienie, jeden obok drugiego, w gęstych strugach deszczu. Wtedy policjant przypomina sobie wszystko: ów kapitan Lobo kilka miesięcy temu, jak mówią ludzie – choć nikt tego nie udowodnił, a świadkowie nie pisnęli ani słówka – postrzelił w pojedynku pewnego kapitana inżynierii na mierzei przy forcie Świętej Katarzyny. Cholernie odporny facet.

## Rozdział XVI

Jasność wody i soli. Wysokie, bielutkie domy obok zieleni na Alamedzie, z balkonami i przeszklonymi wykuszami pomalowanymi na zielono, czerwono i niebiesko, zastawionymi donicami pełnymi kwiatów. Kadyks jak na obrazkach, stwierdza Lolita Palma, kiedy wychodzi z kościoła, poprawiając na głowie mantylkę z surowego jedwabiu, przypiętą dwiema spinkami do wysokiego grzebienia, i dołącza do innych gości obok niemal meksykańskich wież kościoła Carmen; unosząc rozłożony wachlarz, osłania oczy przed zbyt mocnym światłem. Jest piękny dzień, bardzo odpowiedni na chrzciny syna Miguela Sancheza Guinei. Po zakończonej ceremonii noworodek śpi w ramionach rodziców chrzestnych, zawinięty w becik z płótna i koronek, otoczony czułością, pieśczętami i życzeniami długiego, szczęśliwego życia, pożytecznego tak dla rodziny, jak i dla miasta. Dafeś mi poganina, oddaję ci chrześcijanina, mówi matka chrzestna do ojca dziecka, jak to jest w zwyczaju. Nawet francuskie działa zdają się salwami świętować to wydarzenie, bo zaczęły strzelać z Trocadero dokładnie w momencie, gdy zakończyła się ceremonia. Teraz strzelają codziennie, ale to miejsce pozostaje poza zasięgiem bomb, ledwo się więc zauważa dalekie, monotonne dudnienie, do którego obłożone miasto przyzwyczyło się już dawno temu.

– Niech mu nigdy nie braknie muzyki – odzywa się kuzyn Toño, obcinając czubek hawańskiego cygara.

Lolita Palma rozgląda się wokół. Zaproszeni goście, których jest bardzo wielu – w lekkich, jasnych kapeluszach z szerokimi denkami, panie z wysokimi grzebieniami i koronkowymi mantylami w kolorze białym, złotym lub czarnym, zależnie od wieku i stanu cywilnego – zbierają się, spokojnie rozmawiając, między wejściem do kościoła a fortecą Candelaria, i powoli, nie korzystając z oczekujących na placu powozów ani kolasek, przechodzą przez Alamedę do miejsca, gdzie urządzono przyjęcie. Panie idą pod rękę z małżonkami lub krewnymi, dzieciaki biegają pośród kwiatów, wszyscy się cieszą spacerem i wspaniałym widokiem, jakby należał tylko do nich – i w pewnym sensie tak właśnie jest – na świetliste, nieskazitelne niebo i morze za murami ciągnące się aż po Rotę i El Puerto de Santa Marla.

– Opowiedz nam, jak było wczoraj wieczorem – prosi Miguel Sanchez Guinea. – Słyszałem, że to był prawdziwy sukces.

– Sukces, tak... Ale i śmiertelny strach.

Rozmowy – głównie pomiędzy mężczyznami – toczą się wokół interesów i ostatnich wydarzeń wojennych, niepomysłnych dla sił hiszpańskich, jak to ostatnio dzieje się zazwyczaj: przejście Alicante we francuskie ręce i klęska generała Ballesterosa pod Bornos. Komentowane są też pogłoski o planowanym wkrótce ataku wroga na Carracę, którego powodzenie stanowiłoby zagrożenie dla systemu obronnego Lwiej Wyspy, a tym samym i dla miasta; jednak nikt w to nie wierzy. Kadyks, za swymi murami obronnymi, czuje się odporny na wszelkie ataki. Więcej zainteresowania pośród przedstawicieli obu płci budzi temat dnia: sztuka teatralna, którą wielu obecnych widziało poprzedniego wieczoru w sali przy ulicy Novena. Była to premiera lekkiej komedii, błażej, ale pomysłowej i niepozabawionej wdziękiem, niedawno ukończonej przez Paco Martinez de la Rosę, zatytułowanej *Ile może posada* i niecierpliwie oczekiwanej przez publiczność, ponieważ pełna jest aluzji do służalczych

antyliberałów, którzy w zamian za rządowe posady i synekury popierają teraz z podejrzanym entuzjazmem idee konstytucjonalne. Lolita, która dysponuje abonamentową lożą w teatrze, była na przedstawieniu w towarzystwie Curry Vilches, jej męża, kuzyna Tona i Jorge Fernandez Cuchillero. Sala nie była całkowicie zapełniona, jednak na parterze roiło się od wspólnych znajomych i współwyznawców idei autora: Argüelles, Pepin Queipo de Liano, Quintana, Mexia Lequerica, Toñete Alcalá Galiano i inni. Nie brakowało pań. Oklaski wybuchały w wielu zabawnych momentach sztuki, a punktem kulminacyjnym okazała się chwila, kiedy francuska bomba, gdzieś w połowie przedstawienia, niemal musnęła dach teatru i spadła w pobliżu. Nastąpił prawdziwy zamęt i kilku przestraszonych widzów umknęło, inni jednak, powstawszy, domagali się, by spektakl kontynuowano, co się też stało dzięki zimnej krwi aktorów, których długo oklaskiwano. Lolita Palma należała do tych, którzy pozostali do końca.

– I nie bałaś się? – pyta Miguel Sanchez Guinea. – Curra przyznała się, że razem z mężem wybiegła z teatru.

– Pędziłam jak pocisk – potwierdza Curra Vilches.

Lolita wybucha śmiechem.

– Byłam o krok, żeby wyjść razem z nią... Już nawet opuściłam lożę. Ale widząc, że Fernandez Cuchillero, Toño i inni nie ruszają się z miejsc, zostałam tam jak niemądra, myśląc: Jeszcze jedna bomba i zmykam"... Na szczęście kolejnej bomby nie było.

– A sztuka jest dobra?

– Trochę nienaturalna, ale jest zabawna i warto ją zobaczyć. Zabawna postać pana Melitona szczególnie udana... Znacie Paco de la Rosę i jego dowcip.

– I słabość do zabawnych panów – dodaje Curra Vilches, lekko szarżując.

– Nie bądź okropną wiedźmą... Ci, którzy zostali, głośno bili brawo.

– Jasne! Bo są tacy sami jak on.

Poczęstunek przygotowano w Angielskiej Gospodzie, znajdującej się przy placu Pozos de la Nieve, obok kawiarni Cadenas. Jest ona własnością pewnego Brytyjczyka mieszkającego od dawna w Kadyksie, cała obsługa jest angielska, to jeden z najbardziej eleganckich lokali w mieście. Docierają kolejni goście i zasiadają w jadalni na piętrze, dużej i przestronnej, z widokiem na morze i pobliski dom nieszczęsnego generała Solano, nadal w ruinach po grabieży i pożarze sprzed trzech lat. Dla pań i dzieci, na ogromnych tacach z meksykańskiego srebra, pochodzących z prywatnej zastawy rodziny Sanchez Guinea, leży całe mnóstwo biszkoptów z Majorki, pierniczków, ciastek z kremem, cukierków sabaudzkich, a obok stoją lemoniada, napój pomarańczowy, czekolada z mlekiem po francusku, herbata po angielsku i mleko z cytryną i cynamonem po hiszpańsku. Panowie mają do dyspozycji, poza kawą, likiery i świeżo otwarte skrzyneczki cygar. Już po chwili całe piętro gospody wypełnia się dymem i gwarem rozmów przyjaciół i krewnych, którzy świętują chrzest i rodzinne zgromadzenie. Na stolach leżą torebki z atlasu lub srebrnej nici, wachlarze z macicy perłowej, cygarnice z delikatnej skóry. Jest tutaj cała śmietanka lokalnego towarzystwa zamożnych przedsiębiorców, świętuje chrzciny potomka kupieckiego rodu. Znajdą się od zawsze, od pokoleń spotykają się na chrzcinach, komuniach, ślubach i pogrzebach. Kupiecka elita wypełnia dziś towarzyski obowiązek wobec samej siebie w przekonaniu, że jest prawdziwą krwią tego miasta, potężnym roboczym mięśniem i miejscowym bogactwem. Tuzin rodzin zajmujących teraz całe piętro w Angielskiej Gospodzie reprezentuje ten najprawdziwszy Kadyks: pieniądze i interesy, ryzyko, porażki i sukcesy, które utrzymują przy życiu miasto i jego pamięć, atlantycką i śródziemnomorską, antyczną i zarazem nowoczesną, społeczeństwo dość dobrze wykształcone, dość liberalne, dość bohaterskie. Ale też dość niespokojne, nie tyle przez wojnę – będącą w sumie też interesem – ile z powodu trosk o swoją przyszłość. I kiedy panie rozprawiają o dzieciach, niańkach, służących, modelach sukien szytych przez ich krawcowe na ulicy San Juan de Andas, nowinkach docierających z Anglii do eleganckich

sklepów przy placu Świętego Antoniego, przy ulicach Cobos i Ancha, o kilimach i narzutach z białego włókna kokosowego – to ostatnia moda w sypialniach – i o sztandarze haftowanym przez panie z Towarzystwa Patriotycznego, który ma zostać podarowany artylerzystom z Puntales, ich mężowie rozmawiają o zawinięciu do portu tego czy innego statku, o złej sytuacji finansowej wspólnego znajomego, o kłopotach, niepokojach i nadziejach związanych z francuskim oblężeniem i rosnącą falą powstań w zbuntowanych koloniach w Ameryce, zachęcanych z całą bezczelnością przez samych Anglików, którzy w Kadyksie, poprzez swojego ambasadora, od miesięcy sabotują postęp wynikający z konstytucji i sprzyjają stronie konserwatywnej.

– Trzeba będzie wysłać więcej wojska do kolonii, żeby skończyć z ich niełojalnością – ktoś się odzywa.

– Ich wstrętnym barbarzyństwem – dodaje ktoś drugi.

– Najgorsze, że jak zazwyczaj, stanie się to naszym kosztem. Za nasze pieniądze.

Włącza się do rozmowy trzeci z gości, pełen sarkazmu:

– A za czyje, jeśli nie za nasze? Nie ma już innych pieniędzy w Hiszpanii, które mogliby chapnąć.

– Nie mają wstydu. Regencja i Kortezy próbują nas wykrwawić jak rzeźnik wieprza.

Don Emilio Sanchez Guinea – w prostym ciemnoszarym fraku i w spodniach z pończochami z czarnego jedwabiu – oddalił się na chwilę razem z Lolitą i siedzą na końcu stołu obok okna wychodzącego na zatokę. Oni też rozmawiają na temat złej sytuacji finansowej. Kadyks w ubiegłym roku oddał milion peso na wsparcie wysiłków wojennych, a teraz jest zmuszany do udzielania państwu nowych kredytów, jak ten w wysokości sześciu i pół miliona reali, z którego niedawno sfinansowano bezowocne ekspedycje wojskowe do Cartageny i Alicante. Krąży pogłoska – a w przypadku podatków najgorsze pogłoski okazują się prawdą – że planowane jest nałożenie nowych bezpośrednich kontrybucji w zależności od majątku, na podstawie podanych do publicznej wiadomości spisów. Sanchez Guinea jest oburzony. Jego zdaniem ujawnienie takich informacji zaszkodzi w równym stopniu tym, którzy dobrze prowadzą swoje interesy, jak i tym, którzy prowadzą je źle: od tych pierwszych wyciśnie się jeszcze więcej pieniędzy, a tym drugim dlatego, że interesy opierają się na dobrej opinii przedsiębiorstwa, zatem upublicznienie złej sytuacji firmy nie pomoże jej w utrzymaniu kredytu. W każdym razie jest sprawą delikatną szacowanie majątku w okresie zastoju na rynku towarów kolonialnych i braku kapitału.

– To szaleństwo – stwierdza doświadczony kupiec – żeby nakładać bezpośrednie podatki w mieście handlowym, takim jak to, gdzie jedynym godnym zaufania miernikiem jest prestiż firmy... A jego nie da się oszacować bez wtykania nosa w księgi rachunkowe. Co byłoby nadużyciem.

– To pewne, że moich ksiąg nie zobaczą – mówi zdecydowanie Lolita.

Jest zamyślona. Ponura. Jej usta zaciskają się w twardą linię.

– Już wymyślę, jak to załatwić – dodaje.

Teraz jej koronkowa mantyla spoczywa na ramionach, włosy zebrane na karku i spięte szylkretowym grzebieniem są odsłonięte. Przy jej dłoni, kruszącej na obrusie migdałowe ciasteczko, leży zamknięty wachlarz i aksamitna portmonetka, obok stoi szklanka zimnego napoju z mleka i cynamonu.

– Mówi się, że masz kłopoty. – Sanchez Guinea ścisza głos.

– To znaczy, ja też je mam, chciał pan powiedzieć.

– Jasne. Tak samo jak ja i mój syn... Jak wszyscy.

Lolita potakująco kiwa głową, nie mówiąc nic więcej. Podobnie jak wielu kupców z Kadyksu, jest wierzycielem skarbu państwa i z publicznego długu wysokości pięciu milionów reali do dziś udało jej się odzyskać jedynie dwadzieścia pięć tysięcy peso, czyli jego dziesiątą

część. Niespłacenie tego długu przez państwo może doprowadzić ją do bankructwa. A przynajmniej do utraty płynności.

– Wiem z dobrego źródła, moje dziecko, że rząd musiał zapłacić rachunki Londynowi i tak pięknie rozdysponował pieniądze, że dla tutejszych wierzycieli nie zostało ani centa... Podobnie zrobił z ostatnimi kapitałami przesłanymi z Limy i Hawany.

– Wcale mnie to nie dziwi. Dlatego jestem tak niespokojna... Żadnemu poważnemu ciosowi nie stawię czoła bez gotówki.

Sanchez Guinea kręci głową z rezygnacją. Lolicie on też wydaje się zmęczony, tak jakby nawet chrzciny wnuka nie były w stanie go cieszyć. Zbyt wiele zmartwień i utrapień burzy spokój człowieka, który był przyjacielem i współnikiem jej ojca. To koniec pewnej epoki, często słyszy jego słowa. Mój Kadyks znika, a ja gasnę razem z nim. Nie zazdroszczę wam, młodzi, którzy będziecie tutaj za piętnaście, dwadzieścia lat. Coraz częściej mówi o przejściu na spoczynek i pozostawieniu wszystkiego Miguelowi.

– A co słyhać u naszego korsarza?

Twarcz weterana ożywia się przy tym pytaniu, jakby powiew morskigo powietrza pobudził jego myśli. Nawet lekko się uśmiecha. Lolita przysuwa dłoń do szklanki z napojem, lecz jej nie dotyka.

– Nieźle sobie radzi. – Przez chwilę spogląda przez okno na zatokę. – Jednak sąd morskigo działa niespiesznie. Między Gibraltarem, Tarifą i Kadyksem wszystko toczy się bardzo powoli... Pan wie równie dobrze jak ja, że „Culebra” jest pomocą, ale nie rozwiązaniem. Poza tym coraz mniej statków francuskich i obcych ryzykuje pływanie po tych wodach. Powinien ruszyć poza przylądek Gata. Tam miałyby lepsze łowy.

Mężczyzna kiwa głową rozbawiony. Zapewne wspomina początkowe opory Lolity, żeby angażować się w interesy z udziałem korsarzy.

– Widzę, że i ty w końcu podchodzisz do tego poważnie, moje dziecko.

– Nie mam wyjścia. – Teraz z kolei uśmiecha się ona, z ironią wobec samej siebie. – Nadeszły ciężkie czasy.

– Może zdobyliśmy nowe łupy. Dziś rano wpisano na tablicę wiadomość, że jakiś kuter z innym statkiem płynie po tej stronie od Torregordy... Może to nasz kapitan Lobo z kolejnymi zdobyczami.

Lolita trwa nieporuszona. Ona też zna wieści z wieży obserwacyjnej.

– W każdym razie – stwierdza – powinniśmy namówić go, żeby od razu znów wypłynął w morze.

– W stronę Lewantu, mówisz.

– Właśnie. Po upadku Alicante będzie się tam wzmagał francuskigo ruch morskigo. Cartagena może być jego portem bazowym.

– To niezły pomysł... Naprawdę niezły.

Oboje milczą. Sanchez Guinea patrzy w okno, zamyślony, a potem obrzuca wzrokiem salę pełną gwaru. Słuchać rozmowy, głosy pań, śmiechy i powściągane okrzyki dobrze wychowanych dzieci. Święto toczy się swą koleją, obojętne na to, co nieuniknione – rzeczywistość świata, który się sypie wszędzie wokół i z którego docierają tu jedynie, od czasu do czasu, odgłosy wystrzałów francuskich dział. Miguel Sanchez Guinea, który bawi gości, widząc, że jego ojciec i Lolita Palma rozmawiają na stronie, podchodzi do stołu z uśmiechem, z cygarem w jednej i kieliszkiem likieru w drugiej ręce. Jego ojciec zatrzymuje go jednak spojrzeniem. Miguel, podniósłszy kieliszek w geście pozdrowienia, posłusznie zavraca.

– Masz jakieś wieści o „Marku Brutusie”?

Don Emilio znów ściszył głos. W jego tonie słyhać troskę. Ogromne zaufanie. Pytanie chmurzy twarcz dziedziczki rodu Palma. Nazwa tego statku od dawna spędza jej sen z powiek.

– Jeszcze nie. Spóźnia się... Powinien był wypłynąć z Hawany w połowie ubiegłego miesiąca.

– Nie wiesz, gdzie jest?

Kobieta przybiera niepewną minę. Szczera.

– Jeszcze nie. Ale spodziewam się go każdego dnia.

Tym razem milczenie jest dłuższe i znaczące. Obydwoje są doświadczonymi kupcami i dobrze wiedzą, że można stracić statek – nieszczęście na morzu, francuscy korsarze. Zwyczajny pech. Niekiedy jeden rejs rujnuje armatora. „Marek Brutus”, ciągle jeszcze najlepsza brygantyna w firmie Palma – 280 ton wyporności, obity miedzią, wyposażony w cztery sześciofuntowe działa – płynie do Kadyksu z ładunkiem o nadzwyczajnym znaczeniu. Emilio Sanchez Guinea wie, że statek przewozi cenny ładunek zboża, cukru, indygo i tysiąc dwieście sztab miedzi z Veracruz, zresztą do jego firmy należy pewna niewielka część tego frachtu. Jednak nie wie – sentymenty to jedno, a interesy to coś zupełnie innego – że wśród miedzianych sztabek ukryto dwadzieścia tysięcy peso w srebrze, należących do Lolity, mających służyć temu, by odzyskać płynność finansową i utrzymać miejscowe kredyty. Ich stratę byłoby trudno odrobić, zwłaszcza że tym razem – ponieważ sprawa jest wyjątkowo delikatna – całe ryzyko operacji morskiej ponosi przedsiębiorstwo Palma i Synowie.

– Wiele ryzykujesz tym statkiem, moje dziecko – odzywa się wreszcie Sanchez Guinea.

Dalej wydaje się zamyślona, zapatrzona w pustkę. Tak jakby nie słyszała ostatnich słów przyjaciela ojca. Po chwili wzdraga się ledwo dostrzegalnie i uśmiecha zatroskana. Smutno.

– Nawet pan nie wie, jak bardzo, don Emilio... Przy obecnym stanie rzeczy ryzykuję wszystko.

Lolita, z twarzą odwróconą w bok, znów wpatruje się w morze, które do Kadyksu docierają fortuny i nieszczęścia. W oddali, tuż obok siebie, żagle dwóch statków zbliżają się powoli z północno-wschodnim wiatrem, kierują się w głąb zatoki i żeby zachować bezpieczną odległość od francuskich baterii, opływają Puercas i Diamante.

Oby brygantyna jak najszybciej przyplęnęła, myśli z niepokojem. Oby przyplęnęła.

Opierając się przy dziobie o burtę „Culebry”, z lunetą przystawioną do oka, Pepe Lobo przygląda się żaglom statku szybko zbliżającego się do nich od przylądka przy Rocie: dwa maszty lekko odchylone do rufy, bukszpryt z wysięgnikiem foka, trójkątne łacińskie żagle naprężone pod bocznym wiatrem.

– To kecz – mówi. – Po jednym dziale na każdej burcie i dodatkowo jedno myśliwskie. Płynie bez bandery.

– Korsarz? – pyta Ricardo Marańa stojący obok i patrzący w tym samym kierunku z ręką przyłożoną do czoła, żeby osłonić oczy.

– Bez wątplenia.

– Widząc, jak się zbliża, myślałem, że to feluka z Roty.

– Ja też. Ale tamta zatoka jest pusta... Feluka grasuje na innych pastwiskach.

Lobo podaje lunetę swojemu pierwszemu oficerowi, a ten przygląda się uważnie jednostce, której żagle oświetla zachodzące słońce.

– Wcześniej nie widzieliśmy go na tych wodach... Może to korsarz z Sanlucar?

– Może.

– Ciekawe, co robi tak daleko na wschodzie?

– Jeśli feluka jest na polowaniu, ten pewnie zajął jej miejsce. Z nadzieją, że coś złowi.

Marańa nadal wpatruje się przez lunetę. Gołym okiem można obserwować manewry kecza.

– Próbuje szczęścia... Chce nas wybadać.

Pepe Lobo patrzy na nawietrzną, tam gdzie w konwoju z „Culebrą”, prowadzona przez ekipę abordażową, płynie ostatnia zdobycz kutra: neapolitański bryg o wyporności 90 ton,



„Cristina Ricotti”, przejęty bez walki przed czterema dniami naprzeciwko przylądka Cires, kiedy płynął z Tangu do Malagi z ładunkiem wełny, skór i solonego mięsa. Zanim skierował się do zatoki, przewidując obecność korsarzy i zagrożenie ze strony francuskiego fortu Świętej Katarzyny, skąd zawsze strzelają do statków płynących zbyt blisko lądu, Lobo wydał polecenie, żeby bryg trzymał się po sterburcie „Culebry”, w odległości dwóch kabli, po to, żeby lepiej ją chronić, zasłaniając przed ewentualnym atakiem. A sam kuter płynie ostrożnie, kierując swój długi bukszpryt ku zatoce Roty, ostro na północno-wschodni wiatr, ze wszystkimi żaglami podniesionymi, z połową załogi czuwającą przy brasach i szotach. Bosman Brasero opiera się o kabestan, dwa kroki za kapitanem i pierwszym oficerem: jednym okiem obserwuje manewry, a drugim – osiem sześciofuntowych dział, załadowanych i gotowych do strzału; reszta załogi czeka uzbrojona na rozkaz od chwili, kiedy nieprzyjacielskie żagle wyłoniły się zza przylądka Roty.

– Robimy zwrot czy ciągniemy tym halsem? – pyta Maraña, składając lunetę.

– Zostańmy tak jeszcze chwilę. Kecz nie jest problemem.

Porucznik kiwa głową, oddając lunetę Lobo, i odwraca się, żeby rzucić okiem na bryg płynący po nawietrznej, w stałej odległości, ostrożnie manewrujący zgodnie z sygnałami dawanymi z kutra. Marana wie, podobnie jak i kapitan, że nieprzyjacielski korsarz nie jest dość silny, żeby stanąć do regularnej walki, dysproporcja między jego trzema działami a ośmioma „Culebry” sprawia, że każda próba sił oznaczałaby samobójstwo. Ale na morzu nic nie jest wiadome aż do ostatniej chwili, a francuski korsarz, śmiały, jak każde ich rzemiosło, robi to, co oni zrobiliby na jego miejscu: podpływa najbliżej, jak może, obserwując ewentualną zdobycz niby ostrożny drapieжник, bo może łut szczęścia – zmiana kierunku wiatru, niewłaściwy manewr, ogień z fortu Świętej Katarzyny, łamiący maszt kutra – popchnie ofiarę w jego szpony.

– Nie przejdziemy obok Cochinos i Fraile z jednym tylko zwrotem – stwierdza Marana. – Byłoby trzeba popłynąć daleko w stronę Roty.

Powiedział to ze swoim zwykłym chłodem, jakby obserwował wszystkie manewry z lądu. Jest to obiektywna opinia, porucznik nie zamierza wpływać na decyzje kapitana. Pepe Lobo patrzy na przylądek na wrogim brzegu, zza którego wyłania się osada. Potem odwraca się w drugą stronę, ku Kadyksowi, rozległemu, bielejącemu nad wspaniałym pasem murów obronnych. Obserwując morze i wiatrowskaz powiewający poziomo na górze jedyne masztu kutra, oblicza siłę i kierunek wiatru, prędkość, kurs i odległość. Aby płynąć do zatoki, omijając podwodne skały znajdujące się przy wejściu do niej, powinni zrobić hals w kierunku Kadyksu, następny w stronę Roty i jeszcze jeden ku miastu. Co oznacza dwukrotne zbliżenie się do francuskich baterii, czyli że nie można sobie pozwolić na najmniejszy błąd. Tak czy inaczej, trzeba kecz utrzymać na dystans i zająć czymś jego uwagę. Na wszelki wypadek.

– Gotowi do manewrów, poruczniku!

Marana odwraca się do bosmana Brasero, ciągle opartego o kabestan.

– Majster! Gotowi do zwrotu przez sztag!

Podczas kiedy Brasero odwraca się i przebiega przez cały pokład w mocnym przechyle, ustawiając ludzi na właściwych miejscach, Pepe Lobo informuje o swoich zamiarach pierwszego oficera.

– Wystrzelimy z dział w kecz, żeby się zbyt do nas nie zbliżył... Popłyniemy ostro na wiatr, wytrzymując jak najdłużej, zanim zmienimy hals.

– Po jednym strzale z każdego działa?

– Tak. Nie sądzę, żebyśmy jedną salwą stracili jego maszt, ale trzeba go dobrze przestraszyć... Czy weźmie pan na siebie pierwszy wystrzał, poruczniku?

Ten uśmiecha się ledwo zauważalnie. Wiernie odgrywając swoją rolę, Ricardo Maraña spogląda na morze z roztargnieniem, jakby myślał o innych sprawach; Lobo jednak dobrze wie, że w myśli zestawia istniejące warunki z zasięgiem dział. Ciesząc się perspektywą walki.

– Może pan być spokojny, kapitanie.

– Do roboty. Zwrot za pięć minut.

Z rozsuniętą lunetą, starając się utrzymać stały krąg widzenia pomimo kołysania pokładu, Pepe Lobo znów wpatruje się w nieprzyjacielski statek. Ten lekko zmienił kurs, ostrząc na wiatr. Łacińskie żagle pozwalają mu zwinnie manewrować i zdobyć więcej wysokości w stosunku do kursu, jakim i kuter, i kecz będą płynęły przy następnym halsie. W okularze Lobo widzi wyraźnie dwa działa, po jednym na każdej burcie, a także długie, myśliwskie, na dziobie, wysunięte przez drzwiczki znajdujące się na prawo od bukszprytu. Zapewne sześć-, może nawet ośmioletowe. Nie stanowi specjalnego zagrożenia, ale nigdy nie wiadomo. Jak mówi przysłowie ukute przez niego samego, na morzu nigdy dość ostrożności: jeden ref więcej to jedna chwila zgrozy mniej.

– Przygotować się do zwrotu!

Kiedy załoga szykuje brasy i szoty, Lobo idzie do rufy, przechodząc obok artylerzystów pochylających się przy działach pod nadzorem porucznika.

– Żebyście tylko mnie nie ośmieszili – mówi – przed całym Kadyksem.

Odpowiada mu chór śmiechów i przechwałek. Ludzie są w dobrym humorze z powodu i bogatych łupów, i perspektywy bliskiego zejścia na ląd. Mają też dość bojowego doświadczenia, by wiedzieć, że kecz nieprzyjacielskich korsarzy nie jest groźnym przeciwnikiem. Obok szalupy, umieszczonej pod długim bomem grota, członkowie załogi, którzy nie są zajęci przy manewrze ani przy działach, przygotowują broń do ewentualnej walki z bliska: strzelby, pistolety i brązowe działka, które mocują w otworach pod relingiem, gotowe, by je nabić niewielkimi ładunkami. Lobo przygląda się z przyjemnością swoim ludziom. Po wspólnym pływaniu przez pół roku wokół Gibraltaru portowe męty, które zebrał w okolicach Santa Maria, Merced i El Boquete, pracują jak całkiem niezłą, doświadczoną załogą, skutecznie manewrując, kiedy wymaga tego pochwylenie zdobyczy, a gdy to konieczne – do dziś dwa abordaże i cztery poważne bitwy – potrafią walczyć i ponosić ofiary. Na pokładzie „Culebry”, w zgodzie z literą podpisanego kontraktu, wszyscy ryzykują tylko tyle, ile trzeba, mając w perspektywie łupy, nikt jednak nie unika trudności czy niebezpieczeństwa. Na kutrze nie ma bohaterów, dobrze wie Pepe Lobo. Ale tchórzów też nie ma. Są tylko ludzie, którzy wykonują swoje rzemiosło: zawodowcy zdecydowani wieść twarde okrętowe życie, korsarstwem zarabiając na niełatwy chleb.

– Na znak, załoga, gotowi do zwrotu!

Czerwona chorągiewka wznosi się i szybko opada po lewej stronie, aż do noku najniższej rei. Na rufie Szkot wspólnie z drugim sternikiem sztywno trzymają długi rumpel na ustalonym kursie. Kapitan staje przy nich po zawietrznej, trzymając się jedną ręką obudowy nad zejściówką, i patrzy ponad relingiem na rząd dział, których lufy wystają z otwartych okienek strzelniczych. Bosman Brasero dołączył do tej części załogi, która obsługuje manewr, i zwrócony ku rufie oczekuje przy maszcie na rozkazy. Tak samo jak Ricardo Maraña, stojący przy pierwszym dziale na bakburcie z fałem w prawej ręce, którym uruchomi zapłon, i z lewą uniesioną w górę na znak, że jest gotów. Trzej pozostali strzelcy na bakburcie trwają w tej samej pozycji.

– Kuter, zwrot!

Teraz w kierunku topu wędruje niebieska trójkątna chorągiewka i w tej samej chwili „Cristina Ricotti” staje w linii wiatru, jej żagle łopoczą. Lobo rzuca ostatnie spojrzenie na wiatrowskaz, na morze i na nieprzyjacielski kecz. Jest niecałe trzy kable od nich. Niemal w odległości strzału, jeśli wziąć pod uwagę, że burta, z której oddadzą salwę, znajduje się po zawietrznej i jest mocno pochylona.

– Ostrzyć dwa rumby – mówi do sterników.

Ci odciągają rumpel ku lewej burcie i bukszpryt „Culebra” odchodzi od zatoki, celując teraz w stronę nieprzyjacielskiego fortu Świętej Katarzyny. Brasy i szoty natychmiast uciszają lekki łopot płótna, mocniej wypełnionego przez wiatr. Kecz znalazł się teraz po trawersie lewej burty, w zasięgu ich dział.

– Podnieść banderę!

Bandera statku handlowego – dwa pasy czerwone i trzy żółte, z herbem pośrodku, co oznacza, że „Culebra” jest korsarskim statkiem króla Hiszpanii – wznosi się teraz na swoim fale, powiewając na wietrze. Kiedy tylko dotarła na szczyt grotu, Lobo spogląda na pierwszego oficera.

– Okręt wroga należy do pana – krzyczy.

Nie spiesząc się, pochylony nad celownikiem działa, Marana liczy odległość do celu i ocenia kołysanie morza, cichym głosem wydaje polecenia artylerzystom, którzy przesuwają działo z kołyską i stemplami, czeka kilka chwil z fałem do lontownicy w dłoni, wreszcie go pociąga i działo skacze, zatrzymane w łożach, z hukiem i chmurą dymu z prochu, który ciągnie się wzdłuż burty. Pięć sekund później strzelają pozostałe trzy, a dym jeszcze się nie rozwiął całkiem za burcią i rufą kutra, kiedy Pepe Lobo wydaje rozkaz do zmiany halsu.

– Ostro na wiatr! Wypuścić szoty!

– No to z Bogiem – mówi Szkot, zegnając się, i odciąga rumpel na burtę zawietrzną.

Łopoczą żagle nad bukszprytem, dziób idzie w prawo, a wiatr przechodzi na drugą stronę. Pod masztem marynarze pod wodzą bosmana Brasero przeciągają pospiesznie żagle, żeby te pchnęły statek w nowym kierunku.

– Wybrać szoty! Tak! Rumpel na wprost!

Na nowym kursie, z wiatrem z lewej strony, „Culebra” tnie z całą siłą fale, płynąc równolegle, lekko z przodu, w odległości około kabla od keczka, bezpieczna pod naprężonymi dwoma wielkimi żaglami i fokiem, z dużą prędkością. Ricardo Marańa znów jest na rufie: ręce w kieszeniach wąskiej czarnej kurtki, na twarzy zwykły u niego grymas znużenia, jakby przed chwilą wrócił ze spaceru po plaży. Pepe Lobo rozsuwa lunetę i spogląda na nieprzyjacielski statek, który pozostaje z tyłu, stając w linii wiatru w połowie manewru. Grotżagiel ma dziurę, którą południowo-wschodni wiatr coraz bardziej rozdziera, a w końcu całe płótno rwie się na strzępy, z góry do dołu.

– Pieprzyć ich – mówi Marańa obojętnie.

Partię skończyli przed kwadransem, jednak figury wciąż stoją na szachownicy w ostatniej pozycji: biały król osaczony przez czarną wieżę i czarnego gońca, i jeden biały pionek, osamotniony na przeciwnym krańcu pola bitwy, o jedno pole od uzyskania tytułu hetmana. Od czasu do czasu Rogelio Tizón rzuca spojrzenie na planszę. On niekiedy czuje się podobnie. Samotny pomiędzy pustymi polami, po których poruszają się niewidzialne figury.

– Być może w przyszłości nauka pozwoli określić podobne rzeczy – mówi Hipolito Barrull. – Dzisiaj jednak to bardzo trudne. Nawet niemożliwe.

Pomiędzy zbitymi pionkami stoi brudna popielniczka, pusty dzbanek po kawie i dwie filiżanki z fusami na dnie. Jest już późno, poza dwoma szachistami kawiarnia Pocztaowa świeci pustkami. Taka cisza jest niezwykła. Prawie wszystkie światła na patiu są już zgaszone, przed chwilą kelnerzy ustawili krzesła na stolikach, opróżnili mosiężne spluwaczki, pozamiatali i zmyli podłogę. Tylko ką, gdzie siedzą Barrull i komisarz, jest zajęty, oświetlony przez zawieszony pod sufitem świecznik z niemal wypalonymi świecami. Właściciel lokalu, w samej koszuli, zagląda od czasu do czasu do sali, żeby sprawdzić, czy nadal tam siedzą, jednak nie przeszkadza im i wycofuje się dyskretnie. Jeśli tym, kto łamie miejskie rozporządzenie dotyczące godzin otwarcia lokali publicznych, jest komisarz do spraw

włóczęgów, próżniaków i ulic Kadyksu – na dodatek znany ze swoich humorów – nic nie można powiedzieć. Nie poradzą na to nawet mędracy świata.

– Trzy zastawione pułapki, profesorze. Z trzema różnymi przynętami... I do dzisiaj nic.

Barrull przeciera szkła okularów chustką ze śladami po tabace i kichaniu.

– Z tego, co pan mówi, rozumiem, że jednak nie zabił kolejny raz. Może się przestraszył, kiedy go pan zaskoczył... Może już nie będzie zabijał.

– Wątpię. Ktoś, kto posunął się tak daleko, nie zatrzyma się z powodu jednej niespodzianki. Jestem pewien, że tylko czeka na następną okazję.

Nauczyciel założył okulary na nos. Na brodzie, którą golił rankiem, widać cień siwego zarostu.

– Jestem pod wrażeniem pana opowieści o tym francuskim wojskowym. Udało się panu namówić go do współpracy... No cóż, to przerażające. W każdym razie jestem wdzięczny, że mi pan o wszystkim powiedział. To dowód zaufania.

– Jest mi pan potrzebny, profesorze. Tak samo jak i on. – Tizón podniósł ze stołu czarnego konia i obraca go w palcach. – Obydwoj dajecie mi to, czego mi brak. Pomagacie mi dotrzeć tam, gdzie sam nie byłbym w stanie. Pan swoją wiedzą i inteligencją, a on – bombami.

– Niewiarygodne. Gdyby ludzie wiedzieli...

Policjant szczerzy zęby w uśmiechu, pewny siebie. Pogardliwie odnosi się do możliwości zdobycia tej wiedzy przez ludzi.

– Nie dowiedzą się.

– Ten francuski oficer nadal współpracuje z panem?

– Jeszcze tak.

– Jakże, do diabła, udało się panu go przekonać?

Tizón patrzy na niego z policyjną przewrotnością.

– Dzięki wrodzonemu urokowi.

Odstawił hebanową figurę na stół, obok innych. Barrull przygląda się Tizonowi z zaciekawieniem.

– Jest prawdą to, co panu powiedział o Laplasie i teorii prawdopodobieństwa – odzywa się wreszcie. – Jeszcze inny matematyk, Condorcet, zajmował się tą sprawą.

– Nie wiem, kto to taki.

– Wszystko jedno. Opublikował książkę, której tym razem nie będę mógł panu pożyczyć, bo jej nie mam, pod tytułem *Refleksje nad metodą określania prawdopodobieństwa przyszłych wydarzeń...* Po francusku, rzecz jasna. Zadaje w niej, na przykład, pytanie, czy jeśli do jakiegoś zdarzenia doszło określoną liczbę razy w przeszłości, innymi razy zaś – nie miało ono miejsca, to jakie jest prawdopodobieństwo, że wydarzy się, lub nie, w przyszłości.

Komisarz, wyciągnąwszy skórzaną cygarnicę z kieszeni, pochyła się niemal poufale z cygarem w ręce.

– Skutki działania natury są niemal stałe – mówi czy raczej recytuje – jeśli rozważamy je w wielkich liczbach... Idę w dobrym kierunku, profesorze?

– Coś takiego. – W końskim, żółtym uśmiechu wyraźnie widać podziw. – Komisarzu, był pan diamentem czekającym na szlif!

Tizón, który rozparł się na krześle, też się uśmiecha.

– Po wielokrotnych próbach nawet głupcy się uczą. Czy raczej – uczymy się... Myśli pan, że znajdę gdzieś tę książkę w Kadyksie?

– Mogę spróbować poszukać jej dla pana, choć to będzie trudne. Czytałem ją przed laty, u mojego przyjaciela w Madrycie... W każdym razie czym innym jest prawdopodobieństwo, a czym innym – pewność. Różnica między nimi jest ogromna. I ryzykowna, jeśli zaczynamy używać wyobraźni, a nie naukowej metody.

Barrull gestem ręki odmawia Tizonowi przyjęcia cygara i wyjmuje z kieszeni w kamizelce tabakierę.

– Tak czy inaczej – ciągnie – rozumiem pańską zachłanność. Choć nie jestem pewien, czy cała ta teoria... No cóż, myślę, że nawet może być szkodliwa. Rozumie pan. Dobry pomysł może zostać zduszony nadmiarem erudycji.

Milczy przez chwilę, bierze w palce szczyptę zmielonego tytoniu, podnosi go do nosa i głęboko wciąga. Potem kicha, wyciera nos i patrzy na Tizona z zaciekawieniem.

– Ogromna szkoda, że wtedy umknął panu... Myśli pan, że podejrzał zasadzkę?

Policjant zaprzecza z przekonaniem.

– Nie sędzę. Wszystko wyglądało na całkowity przypadek. Jeśli morderca działa na ulicy, to normalne, że wcześniej czy później może się natknąć na kogoś, kto mu przeszkodzi w popełnieniu zbrodni... To tylko kwestia czasu.

– Jednak później spadały na miasto bomby w innych miejscach. I były ofiary.

– Nie moja sprawa. To pozostaje poza zasięgiem mojej jurysdykcji, że tak powiem.

Kolejne pełne namysłu spojrzenie profesora. Może wręcz analityczne.

– Jednak nie jest pan zupełnie niewinny. Już nie.

– Mam nadzieję, że nie odnosi się pan do zbrodni.

– Jasne, że nie. Mówię o pewnej wrażliwości, która sprawia, że pana oceny bywają zbieżne z ocenami mordercy. O ich dziwnej bliskości.

– Zbrodnicze pokrewieństwo.

– Na Boga, komisarzy, to brzmi okropnie.

– Ale tak pan myśli.

Po chwili zastanowienia w ciszy Barrull odpowiada, że nie. Przynajmniej, zaraz precyzuje, nie w ten sposób. Uważa, bo jest to naukowo dowiedzione, że pomiędzy niektórymi żywymi istotami, czy między nimi a naturą, powstają związki, których rozum nie jest w stanie wytłumaczyć. Dokonano ważnych doświadczeń na zwierzętach, a także na ludziach. Może to stanowić wyjaśnienie dla tych czynów zabójcy, kiedy mordował, zanim spadły bomby, podobnie jak i dla przeczuć komisarza odnośnie do zamiarów mordercy i miejsc, gdzie będzie działał.

– Myślenie na odległość, chce pan powiedzieć? Magnetyzm i te sprawy?

Barrull żywo potakuje, potrząsając siwą czupryną.

– Właśnie, coś takiego.

Właściciel kawiarni znów się pojawia na patiu, żeby sprawdzić, czy nadal tam siedzą. Powinniśmy już iść, mówi nauczyciel. Zanim Celis zbierze się na odwagę, żeby nas stąd wyrzucić. Komisarzy, powinien pan dawać przykład. I tak dalej. Tizon podnosi się niechętnie, bierze kapelusz z białej słomki i laskę i obaj ruszają w stronę drzwi, a Barrull nadal wyklada swoją teorię. On sam poznał kiedyś, mówi, dwóch braci, których wzajemna wrażliwość była tak doskonała, że kiedy jeden skarżył się na ból, drugi odczuwał identyczne symptomy. Pamięta też przypadek pewnej kobiety, której tego samego dnia i o tej samej porze otworzyły się identyczne rany jak jej przyjaciółce, oddalonej o wiele mil, jakich doznała w nieszczęśliwym wypadku w swoim domu. Z pewnością też sam Tizon w snach widział rzeczy, które potem wydarzyły się rzeczywiście, albo przeżył coś, co było powtórzeniem wcześniejszych doznań.

– Istnieją w umyśle takie zakamarki – dodaje na koniec – do których tradycyjny rozum i nauka jeszcze nie dotarły. Nie chcę przez to powiedzieć, że stworzył pan most z mózgiem i zamiarami mordercy... Mówię tylko, że być może, z nieznanymi mi powodów, dostał się pan na jego teren. W jego pole odczuwania. To pozwoliłoby panu dostrzegać rzeczy, których my, cała reszta, nie możemy widzieć.

Powolnym krokiem doszli do ulicy Santo Cristo. Idą w ciemności, jedynie światło księżycy oświetla tarasy i pobielone wieże ponad ich głowami.

– Gdyby tak było, profesorze, gdyby moje zmysły utworzyły taki pomost... No cóż. Być może w mojej naturze są podobne skłonności.

– Do zbrodni?... Nie sędzę.

Barrull przez chwilę milczy. Jakby się zastanawiał. Wreszcie odchrząkuje, jakby odrzucał tę opinię. Lub jakby tego chciał.

– Szczerze mówiąc, sam nie wiem. Być może raczej trzeba by mówić o zdolności dostrzegania zła... Tych ciemnych grot, jakie my, istoty ludzkie, mamy w sobie... Ja sam na przykład. Za pańską sprawą dostrzegłem, że kiedy gram w szachy, staję się człowiekiem bardzo nieprzyjemnym. Wręcz okrutnym.

– Bezlitosnym, proszę wybaczyć to określenie.

Salwa śmiechu w ciemności.

– Wybaczam.

Dalej kroczą w ciszy. Każdy jest pochłonięty swoimi myślami.

– Stąd do dziewczyn zabitych kańczugiem jeszcze daleko – odzywa się w końcu Tizón.

– Jasne. Myślę, że żaden z nas do tego nie doszedł. Pan jednak od przeszło roku ma obsesję na punkcie ich śmierci. Oczywiście, ma pan ku temu racje zawodowe. I podejrzewam, że również jakieś powody osobiste, choć to nie moja sprawa.

Rozzłoszczony, niemal dotknięty policjant macha laską.

– Być może pewnego dnia opowiem panu...

– Nie chcę, żeby mi pan cokolwiek opowiadał – przerywa mu nauczyciel. – Sam pan wie, że człowiek jest niewolnikiem tego, co mówi, i panem tego, co przemilcza... Z drugiej strony, po tylu latach spędzonych razem nad szachownicą udało mi się nieco poznać pana. Chciałem tylko powiedzieć, że ta długotrwała obsesja może prowadzić do pewnych...

– Zaburzeń?

– Konsekwencji, oto właściwe słowo. Moim zdaniem myśliwy zawsze jest naznaczony polowaniem, którym się zajmuje.

Ulicą Comedias zeszli do tawerny Manzanilla. Smuga światła wydostaje się na ulicę spod zamkniętych drzwi. Barrull wskazuje lokal.

– Wiem, że jest pan abstynentem, komisarzu. Ale mam ochotę przepłukać gardło. Od tylu hipotez poczułem pragnienie... Może nadużyłby pan jeszcze trochę swoich przywilejów, teraz na moją korzyść?

Tizón zgadza się i gałką laski stuka do drzwi, aż pojawia się w nich góral, właściciel tawerny, wycierając ręce o szarą koszulę. Jest młody i wygląda na zmęczonego.

– Właśnie zamykam, panie komisarzu.

– No to zaczekaj chwilę z tym zamykaniem, kolego, i podaj nam dwa kieliszki białego wina.

Opierają się o kontuar z drewna pociemniałego od częstego używania, na wprost wielkich ciemnych beczek ze starymi winami z Sanlucar. W głębi sklepu, obok beczek ze śledziami i wiszących szynek, ojciec właściciela je na kolację ziemniaki z kalmarami, czytając gazetę przy świetle kaganka. Barrull podnosi swój kieliszek.

– Za polowanie, tak jak mówiłem wcześniej!

Tizón idzie w jego ślady, choć ledwo moczy usta. Nauczyciel pije krótkimi łydkami, przegryzając dwiema z czterech oliwek, które właściciel położył przed nimi na talerzyku. Prawdę mówiąc, ciągnie swój wywód, przykład myśliwego jest całkiem dobry: to ktoś, kto poświęcił dużo czasu tropionemu zwierzęciu, poruszając się po tym samym co ono terenie, odkrył miejsca, gdzie pije, śpi, je. Poznał jego kryjówki i zwyczaje. Po pewnym czasie myśliwy naśladuje wiele poznanych zachowań i całą tę przestrzeń traktuje jak własną. Przystosowuje się do terenu, zagospodarowuje go, aż wreszcie trafia na zdobycz, której szuka.

– Tak, to niezły przykład – przyznaje Tizón.

Barrull, który wydaje się zastanawiać nad tym, co właśnie powiedział, spogląda na górala, który w zlewku myje szklanki, a potem na jego ojca, czytającego w kącie. Kiedy się odzywa, zniża głos.

– Gdy swojego czasu rozmawialiśmy na ten sam temat, odwołał się pan do gry w szachy. Pewnie ma pan rację... Nasze miasto jest szachownicą. Przestrzenią, którą, czy się to panu podoba, czy nie, dzieli pan z mordercą. Dlatego widzi pan Kadyks w inny sposób niż my wszyscy.

Spogląda na talerzyk, jeszcze zamyślony, i zjada dwie oliwki Tizona.

– I choć sprawa skończy się pewnego dnia – dodaje – już nigdy nie będzie pan widział tego miasta tak samo jak przedtem.

Wyjmuje portmonetkę, żeby zapłacić za wino, ale Tizón robi przeczący gest i woła właściciela. Dodaj do mojego rachunku, mówi. Wychodzą na dwór i powoli kierują się w stronę placu przy Ratuszu. Ich kroki rozbrzmiewają na pustych ulicach. Latarnia świecąca na rogu ulicy San Juan de Andas wydłuża ich cienie na bruku, przed zamkniętymi drzwiami sklepów z materiałami krawieckimi.

– Co pan teraz zamierza robić, komisarzu?

– Trzymać się swojego planu tak długo, jak to możliwe.

– Wiry? Rachunek prawdopodobieństwa?

W tonie dźwięczy odrobina niepozobawionej sympatii ironii, co jednak Tizonowi nie przeszkadza.

– Gdyby można było to wyliczyć... – odpowiada szczerze. – Jest kilka takich miejsc, które mam na oku. Starannie je obejrzałem i od wielu dni, nawet tygodni przyglądam się tam każdemu detalowi.

– Dużo ich jest?

– Trzy. Jedno pozostaje poza zasięgiem francuskich bomb. Dlatego odrzucam je, w zasadzie... Dwa pozostałe są bardziej dostępne.

– Dla mordercy?

– Oczywiście.

Policjant milknie na chwilę, podnosząc połę surduta. W odległym już świetle latarni widać rękojeść małego ketlanda, dwulufowego pistoletu, który nosi za pasem po prawej stronie.

– Tym razem już mi nie ucieknie – mówi poważnie. – Jestem przygotowany.

Dostrzega, że Barrull przygląda mu się uważnie, wyraźnie skonfundowany. Tizón wie, że od kiedy się znają, nauczyciel pierwszy raz widzi go uzbrojonego w broń palną.

– Nie pomyślał pan, że swoją interwencją zmienia pan terytorium mordercy? Zakłóca jego myśli, wpływa na zamiary?

Teraz Tizón wygląda na zaskoczonego. Docierają do placu San Juan de Dios, gdzie czują świeży wiatr i słony zapach pobliskiego morza. Stoi tam powóz z woźnicą śpiącym na koźle. Po lewej stronie, pod podwójnym pinaklem Bramy Morza, oświetlonej od strony lądu latarnią nadającą murom żółtawy odcień, strażnicy mają właśnie zmianę warty. W ciemności, na tle budek, odcinają się białe lederwerki i widać błyski bagnatów.

– Nie pomyślałem o tym – mruczy pod nosem policjant.

Przez chwilę milczy, rozważając nowy punkt widzenia. Wreszcie kiwa głową, godząc się z nim.

– I dlatego od tak dawna nie zabija, chce pan powiedzieć?

– Jest to możliwe – potwierdza Barrull. – Być może pańska manipulacja z bombami, która wpłynęła na, nazwijmy to, ślepy przypadek, jaki wcześniej determinował strzały francuskiego artylerzysty, zmieniła także plany mordercy. Jest tym zaskoczony... Może już nie będzie więcej zabijał.

Tizón pochyla głowę z ponurą miną, klepiąc się lekko w miejscu, gdzie czuje twardy kształt pistoletu.

– Albo może zaakceptuje reguły gry – mówi – i pojawi się tam, gdzie na niego czekam.



## Rozdział XVII

Sączy się ostatnie światło popołudnia, przed wieczornym mrokiem rozplywając się fioletowymi tonami pod tarasami, wieżami, dzwonnicy. Kiedy Lolita Palma dociera powozem do placu Mentidero w towarzystwie swojej służącej Mari Paz i porucznika z pokładu „Culebry”, Ricarda Marani, w oknach domów wychodzących na stronę zachodnią odbija się czerwony blask, który teraz gaśnie w morzu. Zaczyna się pora typowa dla Kadyksu, którą bardzo lubi, słabej morskiej świetlistości, kiedy głosy i dźwięki wydają się przytłumione i odległe: stukot ciesielskiego młotka na łodzi w porcie, rozmowy rybaków wracających z murów z wędkami na ramieniu, przechodzących pod niezapalonymi jeszcze latarniami, komentarze gapiów wracających do domów po obejrzeniu zachodu słońca za latarnią Świętego Sebastiana; wewnątrz sklepów i w podcieniach zapalają się świece, kaganki i lampy – wzmagając efekt zmiany światła – nakrapiając płomykami niezdecydowany, spokojny mrok, w jakim codziennie pogrąża się miasto.

Kiedy zapada wieczór, plac Cruz de la Verdad, zwany popularnie Mentidero, wygląda jak odpust. Poleciwszy służącej i woźnicy, żeby poczekała na rogu ulicy Veedor, Lolita Palma, opierając się na dłoni podanej przez Ricarda Marańę, wysiada z powozu, poprawia czarny koronkowy szal na głowie i ramionach i idzie w towarzystwie młodego porucznika pomiędzy namiotami, bawiącymi się i biegającymi dziećmi, całymi rodzinami, które siedząc na ziemi, gotują kolację na zaimprovizowanych paleniskach i przygotowują się do spędzenia tam nocy. W ostatnich tygodniach francuskie bombardowania zwiększyły swój zasięg i stały się intensywniejsze.

Teraz bomby spadają z systematyczną częstotliwością i choć liczba ofiar nie jest zbyt wysoka – wiele pocisków nieprzyjaciela nie wybucha, nie powoduje zbytnich strat – mieszkańcy dzielnic narażonych na ostrzał, korzystając z nocnego ciepła, chronią się w tej części miasta, gdzie nie sięga francuska artyleria. Budują schronienia z koców, sienników, prześcieradeł i płótna żaglowego, zajmując plac i część nadmorskiego bulwaru, który tuż obok rozciąga się między fortami Candelaria i Bonete. Każdego wieczoru cała dzielnica i Mentidero zmieniają się w koczowisko, a oprócz tawern i tradycyjnych kiosków ucztuje się też na środku ulicy, wino, rozmowy, muzyka i piosenki towarzyszą mieszkańcom Kadyksu i emigrantom, którzy spędzają tak czas aż do świtu, ciesząc się towarzystwem i zapominając o niewygodach swojej sytuacji.

Pepe Lobo je kolację naprzeciwko kawiarni Petit Versailles, przed drzwiami pulperii<sup>5</sup> Czarnego, mieszczącej się na rogu ulicy Herculesa – jest to lokal o wątpliwej sławie, specjalizujący się w pieczonych ośmiornicach, sardynkach z różną i czerwonym winie. Kiedy nastaje dobra pogoda, jego właściciel wystawia na ulicę trzy, cztery stoły, zajęte najczęściej przez marynarzy i cudzoziemców, zwabionych tam przez kobiety, które po zapadnięciu zmroku przechadzają się na tej ulicy i na pobliskim niemieckim placu Perejil. Lolita Palma, dostrzegłszy korsarza, zatrzymuje się, zanim ten zauważył jej obecność, i pozwala Marańi iść dalej samemu. Od przeszło godziny szuka Lobo po całym mieście: najpierw w biurze

---

<sup>5</sup> Lokal, w którym specjalnością są potrawy z ośmiornicy.

Sancheza Guinei, gdzie, jak jej powiedziano, był po południu przez chwilę; potem w porcie, gdzie stoi „Culebra”, gotowa podnieść kotwicę, kiedy tylko osłabnie silny wiatr z północnego zachodu, który od dwóch dni wieje w zatoce. Zawiadomiony przez wysłańca na łodzi pierwszy oficer natychmiast zszedł na ląd – to sprawa życia i śmierci, powiedziała mu Lolita bez żadnych dodatkowych wyjaśnień – proponując uprzejmie, z tym samym chłodem i poprawnością co zwykle, swoje towarzystwo w drodze na plac Mentidero, gdzie, jak mu wiadomo, jego kapitan ma jeść kolację. Teraz, z daleka, Lolita widzi, jak porucznik podchodzi do stolika Pepe Lobo, pochyla się i zamieniają kilka słów. Kapitan odwraca się w jej kierunku i spogląda na nią ze zdumieniem, a potem mówi coś do Marańi, który wzrusza ramionami. Lobo odkłada serwetkę na stół, wstaje i, bez kapelusza, idzie przez tłum w stronę Lolity. Ona nie daje mu czasu nawet na wypowiedzenie słów: co pani tu robi?, które ma na ustach.

– Mam problem – mówi od razu.

Korsarz wydaje się skonfundowany.

– Poważny?

– Bardzo.

Kapitan rozgląda się wokół. Zakłopotany. Porucznik usiadł przy stole i obserwuje ich, nalewając sobie wina do szklanki.

– Nie wiem, czy to jest odpowiednie miejsce – stwierdza korsarz.

– Wszystko jedno. – Lolita mówi ze spokojem, który ją samą zaskakuje. – Francuzi pochwycili „Marka Brutusa”.

– Coś takiego... Kiedy?

– Wczoraj, naprzeciwko przylądka Candor. Dziś rano kanonierka Floty Królewskiej przywiozła tę wiadomość. Widzieli mój statek podczas zwiadu w zatoce Roty. Tam stoją na kotwicy, razem „Marek Brutus” i korsarska feluka, która go zdobyła... Pewnie płynął zbyt blisko lądu i Francuzi stanęli mu na drodze.

Czuje na sobie spojrzenie mężczyzny, który obserwuje ją z troską. Przyszła tu zdeterminowana, dobrze wcześniej przemyślawszy, jak dużo powinna powiedzieć. Przygotowała każdy gest i każde słowo. Jej spokojny wygląd to jednak wynik ogromnego wysiłku woli. Wewnątrz jest bardzo wzburzona. Niełatwo jej znieść oceniające spojrzenie jasnych oczu, w których jest pytanie. Bliskość wpółotwartych ust tuż przed sobą.

– Bardzo współczuję – mówi Lobo. – To pech.

– Nie chodzi o współczucie czy jego brak. To nie jest pech, tylko tragedia.

To, co następuje dalej, nie ma wiele wspólnego z nagłą szczerością. Lolita Palma mówi mu wszystko, wiedząc, że nie ma innego wyjścia.

To wniosek, nieodparty i ostateczny, do jakiego doszła. Informuje go więc o wysokiej wartości ładunku miedzi, cukru, koszenili i indygo, który przewoziła brygantyna, oraz o dwudziestu tysiącach peso, mających żywotne znaczenie dla dalszego istnienia jej rodzinnej firmy. Nie licząc już wartości statku i jego całego wyposażenia.

– Z tego, co udało mi się sprawdzić – dodaje na koniec – Francuzi mają zamiar zaprowadzić statek do Sanlucar i tam go rozładować, jednak silny wiatr spowodował, że schronili się za przylądkiem przy Rocie... Kiedy zmieni się wiatr, podniosą kotwicę. Tamtejsze nabrzeże jest zbyt małe, żeby mogli do niego podejść.

Marynarz, który był lekko do Lolity pochylony, wyprostował się po wysłuchaniu jej słów. Milczy. Znów rozgląda się w obie strony, wreszcie wzrok zatrzymuje na niej.

– Ten wiatr z północnego zachodu może potrwać jeszcze parę dni... Dlaczego nie rozładują statku na plaży?

Lolita Palma tego nie wie. Może nie mają odwagi, bo hiszpańskie i angielskie kanonierki są zbyt blisko. Poza tym główną bazą feluki jest Sanlucar, może dlatego chcą tam zaprowadzić zdobycz. Na dodatek w okolicach rzeki Salado działają partyzanci. A w związku z tym Francuzi nie mają zaufania do transportu lądem.

– Naprawdę interesuje pana to, co mówię, kapitanie?

Stawia to pytanie z cieniem irytacji w głosie. Z nutą złości. Widzi, że kolejny raz odwrócił wzrok, jakby nie poświęcał całej uwagi jej słowom, spogląda na świeczniki i kaganki zapalające się w sklepach i na straganach w pobliskich budynkach. Po chwili przyryka powieki.

– Szukała mnie pani, żeby mi o tym powiedzieć?

Wreszcie znów na nią patrzy. Nieufnie. W ten sam sposób patrzy na morze, stwierdza Lolita. I na życie. Teraz muszę to powiedzieć.

– Chcę, żeby pan odbił „Marka Brutusa”.

Powiedziała to – udało jej się to powiedzieć – głosem cichym i spokojnym. Po czym podnosi brodę i wpatruje się w niego bez mrugnienia, intensywnie i uparcie, starając się uspokoić rytm bicia serca. To byłoby śmieszne, nagle przebiega jej przez myśl, gdybym teraz padła na ziemię. Bez słoiczka z solami.

– To żart – mówi Pepe Lobo.

– Wie pan, że nie.

Wcale nie jest pewna, czy teraz nie zadrżał jej głos. Zielone oczy zdają się analizować każdy cal jej skóry.

– Po to pani tutaj przyszła?

Właściwie nie jest to pytanie, nie ma w jego słowach zaskoczenia. Lolita Palma nie odpowiada. Nie jest w stanie. Czuje, jak opanowuje ją dziwne znużenie, niemal chorobliwe, i na chwilę odbiera jej siły. Mocne, nieregularne bicie serca już się uspokoiło, teraz jedno uderzenie zbyt jest odległe od następnego. Dotarła tam, gdzie mogła dotrzeć, i dobrze o tym wie. Korsarz niewątpliwie też wie, bo po chwili wahania zbliża rękę do lewego ramienia kobiety: na tyle tylko, żeby lekko dotknąć jej łokcia, jakby ją zachęcał do zrobienia kilku kroków. Do poruszenia się. Ona posłusznie pozwala się prowadzić. Idzie za wskazaniem słabego gestu mężczyzny. Stawia kilka kroków bez wyraźnego celu, on idzie obok niej. Po chwili znów słyszy jego głos:

– To niemożliwe, nie da się dostać do Roty... Pewnie zakotwiczyli, jak zwykle, na głębokości trzech i pół sążnia, pomiędzy przylądkiem a skałami. Pod osłoną baterii w Gallinie i Puntilli.

Nie roześmiał się, Lolita myśli z ulgą. Nie mówi też niczego niestosownego, czego się obawiała. Tylko jego sceptycyzm brzmi poważnie. Poprawnie. Wydaje się, że ma szczerzy zamiar wyjaśnić jej, dlaczego nie da się tego zrobić. Dlaczego nie może spełnić jej prośby.

– Można spróbować nocą – mówi Lolita zimno. – Jeśli utrzyma się wiatr z północnego zachodu, wystarczy zerwać kotwicę i postawić jakiś żagiel, żeby brygantyna oddaliła się od lądu i dryfowała.

Milknie, żeby dobrze zrozumiał jej słowa. Żeby zobaczył sprawę tak, jak ona ją widzi po całym dniu rozmyślań, z wyrytą w pamięci mapą morską, która leży rozłożona na biurku w jej gabinecie. Zauważa, że marynarz znów jej się przypatruje z zainteresowaniem. Może podziwem. Z czymś wyczekującym w spojrzeniu albo z rozbawieniem. Ton zaskoczenia wydaje się jednak szczerzy.

– Widzę, że przeanalizowała pani rzecz dokładnie.

– Od tego zależy wszystko.

Mentidero zwręcza się w kierunku bulwaru, murów i morza, pomiędzy baterią artylerii a wojskowymi pawilonami Candelarii. Pośród namiotów rodziny uchodźców zbierają się w grupy i zapalają się kolejne ogniska, na których gotują jedzenie. Słychać krzyki dzieci i pojedyncze, melancholijne dźwięki gitary, którą ktoś właśnie stroi. W ostatnim rzędzie domów jest skład węglowy, pęczki mioteł powiązanych wikliną stoją oparte o drzwi, w których starsza kobieta w czarnej chustce drzemie, siedząc na krześle. Z tyłu, za jej plecami, słaby płomień oliwnej lampki oświetla worki i kosze pełne węgla.

– Kiedy zmieni się wiatr, „Marek Brutus” wypłynie z zatoki – rozważa Pepe Lobo. – Tego, o czym pani mówi, można spróbować dopiero, kiedy będzie na otwartym morzu, z dala od baterii.

– Wtedy może już być za późno. Będą przygotowani, może nawet pod eskortą. Stracilibyśmy przewagę wynikającą z zaskoczenia.

Lolita dostrzega sceptyczny uśmiech na ustach korsarza. Od tamtej karnawałowej nocy nic, co ma cokolwiek wspólnego z tymi ustami, nie umyka jej uwagi.

– To zadanie dla Królewskiej Floty, nie dla nas.

Zbierając całą zimną krew, Lolita znów kieruje swój wzrok ku zielonym oczom. Mężczyzna tak na nią patrzy, że przez chwilę nie wie, co powiedzieć. Rany boskie, myśli. Może chodzi o to, jak dziś go widzę. O to, co mu robię albo chcę, żeby zrobił on. O to, co chcę zrobić jemu, jego statkowi i jego ludziom.

– Flota nie będzie się zajmowała prywatnymi sprawami – odpowiada mu w końcu całkiem spokojnie. – Najwyżej, jeśli uda się wyprowadzić kuter z zatoki, kilka kanonierek z Calety podpłynie, żeby osłaniać odwrót z tej strony... Nikt jednak niczego nie gwarantuje.

– Była pani w biurze gubernatora?

– Rozmawiałam osobiście z samym Valdesem. Tak sprawa wygląda.

– Ale „Culebra” to statek korsarski, a nie okręt wojenny... Ani statek, ani moi ludzie nie są przygotowani do robienia rzeczy, o które pani prosi.

Wyszli na wiatr wiejący na bulwarze, przy okrągłym placu i niewielkim ogrodzie, na wpół uschniętym, tuż obok prochowni. Nieco dalej są mury, ich strażnice i działa spowija fioletowa jasność, która powoli się rozplywa. Wilgotny, słony mistral zwiewa koronkę szala na twarz Lolity.

– Proszę posłuchać, kapitanie. Powiedziałam panu o dwudziestu tysiącach peso, które przewozi „Marek Brutus”, ale jest coś, czego jeszcze panu nie mówiłam... Poza ustalonymi kwotami, jakie się wam należą za odbicie statku, dodam dziesięć procent tej sumy.

– Czterdzieści tysięcy reali? Mówi pani poważnie?

– Absolutnie. Dwa tysiące peso na czysto. To podwyższyłoby o jedną piątą sumę, jaką pańscy ludzie zarobili do tej pory. Nie licząc, jak mówię, części należnej zgodnie z umową.

Milczenie. Oceniające. Przedłużające się. Lolita zauważa, że Pepe Lobo składa usta do gwizdania, lecz tego nie robi.

– Jak widzę, to ważna sprawa – mówi korsarz.

– Żywotna! Nie sądzę, żeby firma Palma i Synowie mogła się utrzymać po takiej stracie.

– Sytuacja jest aż tak zła?

– Zatrważająca.

Nieoczekiwana, szczerza, niemal brutalna własna odpowiedź zaskakuje ją. Przez chwilę wstrzymuje oddech oszołomiona, nie odrywając spojrzenia od mężczyzny, który przygląda jej się z powagą. A może błędem było powiedzenie mu tego, myśli z niepokojem. Posunęłam się zbyt daleko. Jest prawdą, że ani z don Emiliem Sanchezem Guineą, ani z jego synem Miguelem nigdy nie posunęła się do podobnych zwierzeń. Nie użyła tego słowa. Ani z nimi, ani z nikim innym. Lolita Palma ma zbyt wiele ostrożności i zbyt wiele dumy. I zna swoje miasto. W jednej chwili uświadamia sobie, że Pepe Lobo zdaje sobie sprawę z tego wszystkiego, jakby czytał w jej myślach. Co dziwne, to ją uspokaja.

– Byłoby samobójstwem tam się pchać – mówi korsarz po chwili milczenia.

Stoją przy poręczy na murach obronnych – tak samo jak tamtej nocy w karnawale, myśli Lolita – i Lobo przygląda się, podobnie jak i ona, linii, która ponad wodą wzburzoną przez wiatr i przypływ przy skale Cochinos rysuje się pojedynczymi, migotliwymi i słabymi światełkami w oddali, które zaczynają zapalać się za przylądkiem Roty, po drugiej stronie sześciu mil wody pofałdowanej białymi barankami piany.

– Przy tak silnym wietrze – ciągnie marynarz – jedyny możliwy manewr to podpłynąć do francuskiego zamku Świętej Katarzyny, a potem spaść jak najbliżej plaży... Co oznacza trzykrotne wystawienie się na działa wroga.

– Nie ma księżycy. To daje pewną przewagę.

– Ale i stwarza niedogodności. Ryzyko. Na przykład można wpaść w ciemności na skały przy Gallinas... To trudny brzeg.

Kapitan opiera obie dłonie na zwieńczeniu muru, jakby to był reling na jego statku. Przygląda się zatoce, stwierdza Lolita, w takiej postawie, jaką zapewne przyjmuje, gdy jest na pokładzie „Culebry”. Z wyrazu jego twarzy można odgadnąć, jak bardzo jest pochłonięty myślami i nieufny, niczego nie jest pewien, ani na morzu, ani na lądzie. Jakby nigdy nie ufał nikomu ani niczemu.

– Do tego – dalej mówi Lobo – kiedy już tam dopłyniemy, trzeba będzie zaatakować brygantynę i zlikwidować ludzi, którzy będą na pokładzie... Tego nie da się zrobić bez hałasu. Pomijając fakt, że feluka stoi na kotwicy tuż obok i jest dobrze uzbrojona: dwie karonady dwunastofuntowe i cztery działa po sześć funtów... A pani chciałaby, żebym wystawił kuter i moich ludzi pod ogień baterii na lądzie, zdobył brygantynę i być może na dodatek walczył z feluką...

– Właśnie tak.

Na miłość boską, znów myśli w duchu Lolita, słysząc swoje słowa, nie wiem, skąd u mnie ta trzeźwość myśli, ale Bogu niech będą dzięki. I za tę siłę, która pozwala mi w ten sposób do niego mówić. I za spokój, dzięki któremu nie rzucam mu się na szyję i nie zmuszam go, żeby znów mnie objął.

Korsarz powoli kiwa głową, pochylając ją mocno. Wydaje się, że doszedł do jakiegoś wniosku, którego ona nie zna.

– Nie wiem, jakie ma pani zdanie na mój temat. Lecz zapewniam panią...

Milknie, czy raczej pozwala temu zdaniu zginąć w nieokreślonym westchnięciu, przedziwnie męskim. Pod wpływem tego westchnięcia i następującej po nim ciszy skóra Lolity Palmy pokrywa się gęsią skórą. Jej dreszcz ma podwójną naturę: pożądanie fizyczne i egoistyczną nadzieję. Nadzieja bierze górę nad pożądaniem i pozostaje tylko gwałtowna chęć zadania tego nędznego, nieuniknionego pytania:

– Czy to można zrobić?

Pepe Lobo teraz się śmieje. Cichym, spokojnym śmiechem, którego nie stara się ukryć. Można byłoby pomyśleć, że ktoś niewidzialny właśnie powiedział mu coś zabawnego tak cicho, że Lolita nie dosłyszała. Ten śmiech budzi w niej nadzieję i równocześnie ją zaskakuje. Ktoś, kto nigdy wcześniej nie słyszał diabelskiego śmiechu, myśli nagle, nie mógłby tak się śmiać.

– Można spróbować – mruczy korsarz pod nosem. – Na morzu zdarzają się różne rzeczy... Jedne się udają, a inne – nie.

– Właśnie o to pana proszę. Niech pan spróbuje.

Mężczyzna opuszcza wzrok na szumiącą wodę, już niemal czarną w dole, pod murem, a morską pianą, unoszona wiatrem wśród skał, nadaje wodzie dziwnej fosforescencji.

– Przyzna pani, że prosi o zbyt wiele.

– Przyznaję.

Korsarz nadal przygląda się strzępom świetlistej piany. Ze wszystkich mężczyzn na świecie, myśli nagle Lolita, wszystkich, których znałam i których poznam, tego znam najlepiej. I tylko raz mnie całował.

– Dlaczego miałbym to zrobić?

Lolita zwleka z odpowiedzią, nadal jest zadziwiona tym, co właśnie odkryła. Niestłuchaną władzą, której pierwszy raz jest świadoma. Teraz wszystko jest takie proste. Takie oczywiste, że aż ją przeraża własna naiwność: tamtej nocy – bardzo odległej, dziś już niemożliwej –

przytuliła się bez względu na wszystko do piersi korsarza, czuła zapach jego ciała i dotykała, zadziwiona i niezręczna, silnych męskich pleców. Tak krzepkich i mocnych, jakich nigdy sobie nie mogła wyobrazić. I do dziś nic nie wiedziała o straszliwych konsekwencjach, jakie wskutek tamtej krótkiej chwili ponosi mężczyzna, który teraz patrzy w morze z opuszczoną głową.

– Bo pana proszę o to.

Mówi w sposób zdecydowany, oszczędna w słowach i intonacji. Świadoma, iż jeden fałszywy krok sprawi, że Lobo podniesie wzrok, spojrzy na nią inaczej, otrząśnie się z hipnotycznej fosforyzującej piany i wszystko nieodwołalnie rozplynie się w fioletowej nocy, która zaczyna rozciągać się w niskich cieniach pod murami.

– Mogę zostać zabity – odpowiada cicho, ze wzruszającą prostotą. – Ja i wszyscy moi ludzie.

– Wiem.

– Nie wiem, czy oni będą chcieli to zrobić... Nikt nie może ich zmusić. Nawet ja.

– To też wiem.

– Pani...

Uniósł twarz i przygląda się jej w resztkę ostatniego światła; ale dla niego jest już za późno. Słyszając to ostatnie słowo, Lolita Palma zawahała się przez moment, teraz jednak czuje, jak się umacnia jej silne postanowienie. Zachowuje milczenie. Słychać tylko wiatr i fale odpływu na skałach.

– Przekleństwo – szepcze Pepe Lobo.

Lolite zadziwia sucha precyzja tego słowa. Dlatego milczy. Nie każde zwycięstwo jest słodkie, myśli. A to na pewno nie.

– Nigdy niczego nie wiedziała pani o mnie – odzywa się korsarz.

Nie ma w tym żalu, zauważa Lolita. To obiektywna opinia. Najwyżej smutek. Albo rezygnacja.

– Myli się pan. Wiem o panu wszystko.

Powiedziała to z dużo większą czułością, niżby chciała. Kiedy to sobie uświadamia, milknie. Niezdecydowana. Znowu zaskakuje ją króciutka słabość chwilowego wzruszenia. Tym razem jest zbyt daleko, żeby mogła poczuć zapach jego ciała.

– Wszystko – powtarza bardziej oschle.

Teraz zastanawia się nad swoimi słowami i dochodzi do wniosku, że taka właśnie jest prawda.

– Dlatego do pana przyszłam – zaraz dodaje. – Bo wiem wszystko, co trzeba mi wiedzieć.

Widzi, że mężczyzna odwraca wzrok. Unika jej twarzy, a może nie chce pokazać swojej.

– Muszę się zastanowić... Porozmawiać z załogą. Teraz nic więcej nie powiem.

– Rozumiem pana. No tak. Ale nie ma zbyt wiele czasu.

Nagły plask. Mężczyzna uderza obiema rękami w zwieńczenie murów. Podwójne kłaśnięcie dźwięczy na nagich kamieniach.

– Proszę posłuchać. Nie mogę pani tego obiecać. Zresztą nie może pani wymagać, żebym się zgodził.

Lolita patrzy na niego intensywnie, niemal z zaskoczeniem. Głupi ci mężczyźni, myśli. Nawet on.

– Już panu mówiłam, że tak, mogę.

Cofa się, widząc, że on robi krok w jej stronę.

– Pocałował mnie pan kiedyś, kapitanie.

Powiedziała to tak, jakby samo wspomnienie wystarczyło, żeby trzymał się na dystans. Kapitan znowu się śmieje, tym razem jednak inaczej niż wcześniej. Teraz śmiech jest głośniejszy i bardziej gorzki. Lolicie się on nie podoba.

– I to – mówi mężczyzna – daje pani prawo do dysponowania moim życiem.

– Nie. To daje mi prawo, żeby na pana patrzeć tak, jak teraz patrzę.

– Przeklęte to pani spojrzenie! Przeklęte miasto!

Robi kolejny krok w jej stronę, a ona znów się cofa, wyzywająca. Wreszcie nieruchomieją, jedno naprzeciwko drugiego. Patrząc na siebie już prawie w ciemności.

– W innym miejscu na świecie ja...

Pepe Lobo nagle przerywa. Jakby gasnące światło odbierało mu słowa, obalając każdy argument, obecny czy przyszły. Z całą pewnością ma rację, myśli Lolita poruszona. Jestem mu to winna.

– Ja też – odpowiada miękko.

Nie ma w tym wyrachowania. Jej głos zabrzmiał niby cichy szczery jęk, który łagodnie prześliznął się między nimi. Nie widzi już oczu mężczyzny, ale dostrzega, że kiwa głową z przygnębieniem.

– Kadyks – słyszy, jak korsarz mówi cicho.

– Tak. Kadyks.

Dopiero wtedy pozwala sobie dotknąć go nieśmiałym gestem dziewczynki, która zbiera się na odwagę podejść do rozszalałego zwierzęcia. Opiera na ramieniu mężczyzny dłoń, lekką, jakby pozbawioną ciężaru. I czuje pod palcami, poprzez sukno rękawa, jak dreszcz wstrząsa napiętymi mięśniami korsarza.

*Plan portu w Kadyksie sporządzony przez brygadiera Królewskiej Floty don Vicentego Tofiño de San Miguel.* Pepe Lobo stoi pochylony nad rysunkiem zatoki, obliczając odległości cyrklem rozstawionym na miarę jednej mili według skali znajdującej się w prawym górnym rogu mapy. W świetle kinkietu przykręconego do grodzi w ciasnej kajucie przygląda się mapie morskiej rozłożonej na stole stojącym pod bulajem pokrytym cienką warstwą soli. Sól zamazuje widok na rozgwieżdżone, bezchmurne niebo, krążące powoli nad osią wyznaczoną przez Gwiazdę Polarną świecąca ponad wydłużonym bukszprytem ze zwiniętym fokiem i jedynym masztem kutra. Cicho skrzypią grodzie i wręgi, kiedy silniejsze poddmuchy północno-zachodniego wiatru, który wyje w olinowaniu, naprężają łańcuch kotwiczny, a wtedy „Culebra”, wstrząsana silnym dreszczem, obraca się powoli to w lewą, to w prawą stronę, ponad kotwicą spoczywającą na głębokości trzech sążni w piasku i mule, pomiędzy końcem nabrzeża Świętego Filipa a skałami Corrales.

– Ludzie są zebrani na górze – mówi Ricardo Marana, pojawiając się w zejściówce.

– Ilu brakuje?

– Właśnie przyszedł bosman z ośmioma marynarzami... Na łodzi zostało jeszcze tylko sześciu.

– Mogło być gorzej.

– Mogło.

Podszedłszy do stołu, Marańa spogląda na mapę. Końcówki cyrkla, obracając się między palcami Pepe Lobo, pokonują na grubym papierze odległość dokładnie trzech mil, oddzielającą kuter od francuskiej baterii umieszczonej we francuskim forcie Świętej Katarzyny na wschodnim krańcu zatoki przy Rocie. Od tego miejsca wybrzeże wygina się w kierunku zachodnim w podwójnym łuku długości pięciu mil, tworzącym zatokę: od fortu do niewielkiego przylądka Puntilla, a stamtąd do przylądka Roty. Kapitan Culebry zakreślił ołówkiem kręgi wokół każdej z sześciu francuskich baterii broniących tej części wybrzeża: poza Świętą Katarzyną, wyposażoną w działa dalekiego zasięgu, na mapie zaznaczone są też baterie w Ciudad Vieja, Arenilli, Puntilli, Gallinie i dwa szesnastofuntowe działa, jakie cesarskie wojsko ustawiło na niewielkim nabrzeżu przed wioską Rota.

– O tej porze będą nam sprzyjały ciemność i przyptyw – wyjaśnia Lobo. – Możemy popłynąć lewym kursem ostro na wiatr, aż do głębiny Galera... Potem jednym halssem zbliżylibyśmy się do Puntilli, a dalej spadalibyśmy bardzo blisko plaży, uważając na sonde,

wykorzystując cały tylny wiatr. Na naszą korzyść działa też to, że nikt się nie spodziewa wroga z tej strony... Jeśli ktoś nas zobaczy, trochę potrwa, zanim sobie uświadomi, że nie jesteśmy Francuzami.

Pierwszy oficer nadal pochyla się nad mapą z absolutnie obojętną miną. Pepe Lobo dostrzega, że z uwagą przygląda się trzem kółkom narysowanym ołówkiem w lewym krańcu zatoki. Młody człowiek nic nie mówi, lecz kapitan wie, co sobie myśli: zbyt wiele dział zbyt blisko. Żeby dotrzeć do celu, „Culebra” musi przemknąć w ciemności przed bardzo wieloma lufami. Wystarczy jakiś podejrzliwy strażnik, jedna rakietka świetlna czy łódź patrolowa, żeby któraś z tych baterii zaczęła strzelać do nich z bardzo bliska. A dębowe pokrycie kutra, szybkiego i lekkiego jak hoże dziewczę, nie jest takie jak na okręcie liniowym. Krótkie będzie cierpienie przed pójściem na dno.

– Co o tym sądzisz, pilocie?

Porucznik robi nieokreślony gest. Pepe Lobo wie, że zachowałby się tak samo, gdyby mu zaproponowano kurs prosto na fort Świętej Katarzyny i potyczkę z tamtejszymi działami wielkiego kalibru.

– Jeśli odkręci się tam wiatr – mówi – choćby o dwa rumby, nie będziemy się mogli nawet zbliżyć do kotwicowiska.

Powiedział to tak obojętnie jak zazwyczaj. Z pełnym dystansem, jak marynarz do marynarza. Ani słowa o bateriach. Jednak, podobnie jak jego kapitan, Maraña dobrze wie, że jeśli nie uporają się ze wszystkim przed świtem i francuska artyleria zauważy ich w świetle dnia, ani „Culebra”, ani statek, który mają odbić, nigdy nie opuszczą tej zatoki.

– Wtedy, trudno – mówi Lobo. – Opłyniemy je z daleka i cześć pieśni.

Obaj wstają, a Pepe Lobo chowa mapę. Potem przygląda się Ricardowi Marani. Nie wypowiedział najmniejszego komentarza, od kiedy kapitan zwierzył mu się z zamiaru odbicia „Marka Brutusa”. Wszystkie pytania, jakie postawił, były czysto profesjonalne, odnosiły się do tego, jak trzeba będzie manewrować, organizować załogę i wyposażyć statek, aby wykonać zadanie. Teraz, w zapiętej pod samą szyję eleganckiej wąskiej kurtce o długich połach, porucznik zachowuje się ze zwykłą dla siebie obojętnością, jakby to, co mają do zrobienia w najbliższych godzinach, było czymś codziennym. Rutynową i nudną pracą.

– Co mówią ludzie?

Maraña wzrusza ramionami.

– Wszystko można usłyszeć. Ale dodatkowe czterdzieści tysięcy reali i perspektywa udziału w zyskach z odebranego towaru bardzo pomagają.

– Czy ktoś chce wrócić na ląd?

– Jeśli dobrze wiem, to nie. Braserero ma ich pod kontrolą.

– Zabierz swój pistolet, pilocie. Na wszelki wypadek.

Kapitan otwiera szafę w grodzi i bierze nabitą broń, którą zatyka za pas, pod kurtką. Nie martwi się bardziej niż zwykle, ale wie, że trudny moment może nastąpić teraz: bezpieczny stały ląd jest blisko, nic jeszcze się nie zaczęło, jest dość czasu, żeby zadać pytania i porozmawiać z kolegami o problemach. Choć pływa pod banderą z zamkiem i lwem zwieńczonymi koroną, na statku korsarskim nie ma tak ostrej dyscypliny jak w Królewskiej Flocie, a granicę między niezadowoleniem a buntem łatwo można przekroczyć. Potem, kiedy już wypłyną w morze i wszyscy będą w gorączce akcji, każdy będzie robił to co zwykle, pochłonięty manewrami lub bitwą. Walką o statek i własne życie. O swój interes. Spędzili wiele miesięcy na pokładzie, znosząc niepowodzenia i ryzykując. Należy się im więcej pieniędzy, niż dotąd otrzymali, i gdyby się wycofali, mogliby ich nie dostać z powodu zerwania kontraktu. Jest zbyt późno, żeby się wycofać.

Ricardo Marana czeka przy zejściówce, tłumiąc chustką kaszel. Pepe Lobo kolejny raz podziwia zimną krew swojego zastępcy. W świetle olejnej lampy jego sine wargi, przed chwilą otarte płótnem, na którym jak zwykle zostały czerwone kropelki, wydają się jeszcze



bardziej blade. Ich wąska linia wygina się w słabym grymasie uśmiechu, kiedy Lobo podchodzi do niego i przybiera oficjalny ton, jakiego używają na pokładzie.

– Jest pan gotowy, poruczniku?

– Tak jest, panie kapitanie.

Pepe Lobo, już na schodkach, zatrzymuje się na chwilę.

– Czy ma mi pan coś do powiedzenia?

Uśmiech Marani staje się wyraźniejszy. Jest zimny i pełen dystansu. Taki uśmiech porucznik ma w podejrzanych spelunkach, kiedy tasuje karty nad sukniem pokrytym monetami, pieniędzmi, z którymi rozstaje się tak samo lekko, jak je zarabia, bez mrugnięcia okiem, równie niewzruszony wobec hazardu, jak i wobec życia, z którym jego zrujnowane płuca wiodą zawody w samobójczym wyścigu. Żeby osiągnąć tak absolutną obojętność, stwierdza Lobo, potrzebne były liczne pokolenia ludzi dobrze wychowanych lub tracących wiele. Prawdopodobnie i takich, i takich.

– A niby dlaczego, kapitanie?

– Ma pan rację. Idźmy na górę.

Kiedy wychodzą na pokład, śliski od wilgoci pod rozgwieżdżonym niebem, widzą grupki ciemnych postaci na dziobie, pomiędzy masztem a grubą podstawą bukszprytu. Wiatr, którego kierunek się nie zmienił, nadal świszczy, wibrując w naprężonym jak struny harfy olinowaniu. W niewielkiej odległości pobłyskują światła miasta palące się za lewą burta, ponad czarnymi kształtami sześćofuntowych dział, osadzonych w swoich otworach.

– Majstrze!

Krępa postać bosmana Brasero wychodzi im naprzeciw.

– Na rozkaz, kapitanie.

– Ilu jest ludzi?

– Czterdziestu jeden, nie licząc panów.

Pepe Lobo podchodzi do pompy żezowej, umieszczonej za korbą łańcucha kotwicznego. Załoga rozsuwa się, żeby zrobić mu przejście, równocześnie przerywając rozmowy. Kapitan nie widzi twarzy swoich ludzi, a oni nie widzą jego miny. Nawet wiatr nie jest w stanie rozwiać odoru, jaki wydzielają ich ciała i ubrania – pot, wymioty, wino z tawerny opuszczonej przed godziną, świeża wilgoć brudnych kobiet. Zapach, który od najdawniejszej starożytności towarzyszy wszystkim marynarzom, kiedy wracają na pokład.

– Popłyniemy po pewien statek. – Lobo rozwiewa ich wątpliwości, podnosząc głos.

Potem mówi zaledwie przez minutę. Nie jest człowiekiem elokwentnym, a i jego ludzie nie przepadają za dyskursami. Zresztą są to korsarze, a nie nieszczęśni rekruci siłą zwerbowani do służby na okręcie wojennym, którym trzeba co tydzień odczytywać regulamin Królewskiej Floty, żeby wpoić im lęk przed Bogiem i oficerami, grożąc karami cielesnymi, łącznie z karą śmierci, a potem jeszcze wszelkimi mękami piekielnymi. Ludziom takim jak ci z nawiązką wystarczy opowiedzieć o czekających łupach, z detalami – jeśli to możliwe. I to właśnie robi. Zwięźle, w zdaniach krótkich i jasnych, przypomina, ile zarobili do tej pory, mówi o pieniądzach, jakie dostaną po wyroku Trybunału Morskiego, i o czterdziestu tysiącach reali, które poza zwyczajowymi procentami zostaną podzielone pomiędzy wszystkich, podwyższając o jedną piątą to, co każdy ze zwykłych żołnierzy zarobił od czasu, kiedy się zamustrował. Po drugiej stronie są francuscy korsarze, kończy, i może się zdarzyć, że „Culebra” blisko lądu przeżyje trudne chwile; ale noc, wiatr i przybór będą pomagać. A ich powrót – tę możliwość podaje, jakby była całkiem pewna, domyślając się sceptycznego spojrzenia Ricarda Marani – będą osłaniać kanonierki aliantów.

– Przy okazji – dodaje na zakończenie – damy szkołę tej cholernej feluce, którą trzymają tam Francuzi.

Śmiechy. Lobo milknie i idzie na rufę, czując, jak załoga poklepuje go po plecach i ramionach. Resztę pozostawia starym odruchom, więziom, jakie stworzyły się między nim a

załogą podczas długiej kampanii korsarskiej. Rzecz polega nie na emocjach czy dyscyplinie, ale raczej na skuteczności w działaniu i konieczności posłuszeństwa. Na pewno, że dowodzi nimi kapitan ostrożny, efektywny, który ryzykuje tylko tyle, ile niezbędnie trzeba, dba o łupy, statek i swoich ludzi, a na lądzie dobrze prowadzi interesy związane z ich zdobyczami. Udowadniając wszystkim, że praca i wysiłek się opłacają. Dzisiejszej nocy Pepe Lobo po swoich ludziach spodziewa się lojalności, sprawnego manewrowania, gdy w ciemności będą płynąć w głąb zatoki, i zaangażowania w walce, i liczy na powrót z „Markiem Brutusem” na holu.

Dotarli do drabinki znajdującej się obok działa numer trzy na sterburcie i obok szalupy umieszczonej na pokładzie, Lobo wychyla się przez reling do człowieka czekającego w łódce chroniącej się po zawietrznej od kadłuba kutra – służącego rodziny Palma, starego marynarza, który bywa łącznikiem, kiedy stoją w porcie na kotwicy.

– Santos!

Mężczyzna w dole otrząsa się. Zasnął.

– Na rozkaz, panie kapitanie!

– Wyruszamy. Zanieś swojej pani taką wiadomość.

– Pędzę jak strzała.

Słychać chłupot pagaja, łódka odsuwa się od burty, Santos wiosłuje przy bocznym wietrze w kierunku czubka mola. Pepe Lobo idzie na rufę, mija rumpel, znajdujący się pośrodku, i chwyta za reling, na którym oparty jest bosak, obok skrzynki z przyrządami i znakami. Drewno jest mokre, ale temperatura, pomimo wiatru nasyconego wilgocią znad zatoki, jest przyjemna. Lobo, rozpiąwszy kurtkę, wyjmuje zza pasa pistolet i chowa go do skrzynki. Potem patrzy na uśpione miasto ponad pasmem murów obronnych, na podwójną wieżę Bramy Morza ukrytą w mroku za mołem. Na sylwetki statków stojących na kotwicy i na nieliczne światła odbijające się w czarnej wodzie pomiędzy barankami piany podniesionymi przez silny mistral.

Może ona nie śpi o tej porze, myśli. Może siedzi z książką w ręce, podnosi czasem wzrok, żeby sprawdzić, która godzina. Wyobraża sobie, co w tej chwili robi on i jego ludzie. Może, zaniepokojona, liczy godziny. A może – co jest najbardziej prawdopodobne, sądząc po tym, co Lobo o niej wie – śpi spokojnie, beztrąsko, śniąc o tym, cokolwiek to jest, o czym śnią wszystkie kobiety nocami. Przez chwilę korsarz wyobraża sobie ciepło jej ciała, wyraz twarzy zaraz po otwarciu oczu rano, powolność pierwszych ruchów, słońce wpadające przez okno i oświetlające jej twarz. Słońce, którego prawdopodobnie kilku ludzi spośród tych, co teraz są na pokładzie „Culebry”, nigdy więcej już nie zobaczy.

Wiem wszystko o panu. Takich słów użyła, gdy stojąc przy murach, pomiędzy dwoma światłami, prosiła go, by popłynął swoim statkiem, ze swoimi ludźmi, prosto pod lufy dział w zatoce Roty. Wiem tyle, ile trzeba, powiedziała, i dlatego mam prawo prosić pana o to, o co proszę. Patrzeć na pana tak, jak patrzę. Opierając się o mokre drewno tekowe, korsarz przypomina sobie teraz, jak to spojrzenie spod przezroczystych fałd rozwiewanej przez wiatr mantylki niknęło w fioletowym mroku, podczas kiedy padały słowa zimne i wyrachowane, precyzyjne jak skala na sekstancie. W tym samym czasie on, niezręczny jak wszyscy mężczyźni starający się racjonalnie reagować na tajemnicę ciała, śmierci i życia, widział, jak jej twarz rozplywa się w mroku, i nie odważył się nawet jej pocałować. Nie zabierając ze sobą w drogę ku nicości, w którą wyrusza – a właściwie już ją rozpoczął, pochylając się nad mapą morską leżącą na dole – niczego poza głosem kobiety i pewnością jej fizycznego istnienia, konsystencji ciała ciepłego, nieosiągalnego pośród mroków, które brały w posiadanie ich losy. W innym miejscu na świecie ja... Tyle zdążył powiedzieć, zanim sobie przerwał, i nie dodał nic więcej, bo z tym szczególnym wyznaniem, nigdy wcześniej niewypowiedzianym, wszystko między nimi zostało ustalone, powierzone nieuniknionemu biegowi rzeczy. Wyjazd został zdecydowany, bez oglądania się wstecz, bez żadnej skargi. Tyle tylko że teraz był

innym człowiekiem, odchodzącym drogą w jedną stronę, morzem bez wiatrów na powrót. Bez lęku czy żalu, bo nic nie zostawiał, niczego nie miał do zabrania. Ale musiała się odezwać ona na koniec, w ostatniej chwili. A to zmieniało wszystko. W tym jej „ja też”, równie rozpaczliwym jak fioletowe światło gasnące nad zatoką, brzmiało dziedziczne, odwieczne przeczucie. Lament kobiety stojącej przy murach starożytnego miasta: wie, że powrót jest niemożliwy, a jego śmierć całkowita. A jej dłoń spoczywająca na jego ramieniu, lekka niby westchnienie, nieodwołalnie go na to skazywała.

– Ludzie są gotowi, panie kapitanie.

Zapach dymu tytoniowego, rozplywającego się od razu na wietrze. Szczupła, ciemna postać Ricarda Marańi odcina się obok przy relingu na rufie, z żarem cygara na wysokości twarzy. Pokład ożywa stukotem bosych stóp, głosami mężczyzn, skrzypieniem i zgrzytami wręg i pokładników.

– Proszę szykować się do manewrów. Odpływamy.

– Według rozkazu.

Ożywia się żar cygara, kiedy pierwszy oficer się obraca.

– Ricardo... Hm... Pilocie.

Krótką chwilą ciszy. Może zaskoczenia. Porucznik zatrzymuje się.

– Słucham.

Jego głos zdradza zdziwienie. Tak jak przy załodze nigdy nie mówią do siebie na ty, tak samo nigdy, nawet na ładzie, Pepe Lobo nie zwracał się do niego po imieniu.

– To będzie podróż krótka i trudna... Bardzo.

Znów cisza. W końcu słychać śmiech porucznika w ciemności, przerywany atakiem kaszlu. Cygaro zakreśla czerwony łuk nad burtą i gaśnie, wpadając do morza.

– Niech nas pan prowadzi do Roty, kapitanie. A potem niech diabli poznają, kto do nich należy.

Siedząc w swoim baraku, w koszuli pocerowanej i nie najczyściejszej, przy skąpym płomieniu ogarka niemal wypalanej świecy, Simon Desfosseux macza pióro w kałamarnicy i zapisuje obliczenia i zdarzenia w grubym zeszycie. Prowadzi coś w rodzaju dziennika całej kampanii. Codziennie pod koniec dnia, dokładny jak zawsze, notuje beznamytnie wszystkie sukcesy i porażki. W ostatnich dniach artylerzysta jest zadowolony: bomby, które stosuje po długotrwałych podchodach z generałem D’Aboville, mają poprawiony ciężar właściwy, dzięki czemu ich zasięg jest większy. Granaty dokładnie kuliste i wygładzone, pozbawione lontu, w których ładunek prochu zastąpiony został trzydziestoma funtami bezwładnego piasku, wystrzeliwane z haubic Villantroya-Ruty’ego, od dwóch tygodni docierają na plac Świętego Antoniego, do serca miasta. To oznacza dwa tysiące osiemset dwadzieścia węzłów, uzyskanych dzięki niezwykle delikatnej równowadze pomiędzy piaskiem i ołowiem, starannie wlewanych kolejnymi warstwami do wnętrza pocisku, równoważąc dziewięćdziesiąt pięć funtów, wagę aktualnych bomb, wystrzeliwanych pod kątem czterdziestu pięciu stopni. To prawda, że skoro nie mają prochu ani lontu, nie wybuchają, ale przynajmniej spadają tam, gdzie spadać powinny, ze sporadycznymi odchyleniami – bardzo niepokojącymi Desfosseux – do pięćdziesięciu węzłów w stosunku do celu, jakim są dzwonnice kościoła. Biorąc pod uwagę stan rzeczy, to całkiem rozsądny wynik i usprawiedliwienie wiadomości opublikowanej, ku zadowoleniu marszałka Soula, w „Monitorze”, bez większego kłamstwa – tylko w jednej trzeciej – że cesarskie wojsko bombarduje już cały obszar Kadyksu. Co do innych pocisków, tych, które wybuchają, to przemyślna kombinacja materiału wybuchowego, stopin i mieszanek miotających – owoc niekończących się obliczeń i ciężkiej pracy z Maurizem Bertoldim – sprawia, że przy odpowiednich warunkach wiatru, temperatury i wilgotności jeden na dziesięć pocisków trafia teraz do celu lub w jego okolice, z lontem płonącym dość długo, żeby bomba wybuchła tak, jak powinna. Informacje docierające z

Kadyksu, choć częściej mówią o strachu i zniszczeniach niż o ofiarach, są wystarczające, by sądzić, że sprawa wygląda na rozwojową, i żeby marszałek był spokojny. Desfosseux jednak ciągle jest przekonany, ku własnemu utrapieniu, że gdyby pozwolono mu użyć moździerzów wielkiego kalibru zamiast haubic i bomb o dużej średnicy i długich lontach zamiast granatów, zarówno zasięg, jak i siła niszczenia byłyby znacznie większe, a jego pociski zrujnowałyby miasto. Jednak zarówno nieobecny już marszałek Victor, jak i Soult i jego sztab generalny, powołując się przezornie na wolę cesarza, nadal nie chcą nawet słyszeć o moździerzach, zwłaszcza teraz, kiedy Fanfan i jego bracia sięgają tam, gdzie mają sięgać, albo prawie. Sam książę Dalmacji – taki cesarski tytuł nosi Jean Soult – pogratulował przed kilkoma dniami Desfosseux podczas inspekcji na Trocadero. Przeciwnie niż zazwyczaj, książę był w dobrym humorze. Pewien kurier, jeden z tych, którzy pokonali przełęcz Despeñaperros, uniknąwszy powieszenia na dębim i wypatroszenia przez partyzantów, przywiózł gazety z Madrytu i Paryża zawierające wzmianki o nowym zasięgu bombardowań; była tam też wiadomość, że konwój z obrazami, dywanami i klejnotami, jakie Soult zrabował w Andaluzji, dotarł bezpiecznie na drugą stronę Pirenejów.

– Naprawdę nie chce pan awansu, kapitanie?

– Nie, panie generale. – Nienaganny stukot obcasów, odpowiedni do chwili. – Choć jestem panu niezmiernie wdzięczny. Jak wiedzą moi bezpośredni przełożeni, wolę nadal nosić ten sam stopień.

– Coś takiego. To samo powiedział pan Victorowi?

– Tak, panie generale.

– Słyszycie, panowie? To rzeczywiście dziwny typ.

Desfosseux zamyka zeszyt i zamyśla się nad inną sprawą. Potem spogląda na kieszonkowy zegarek. Otwiera pustą skrzynkę po amunicji, której używa jako biurka, i wyjmuje wiadomość otrzymaną dzisiaj po południu od hiszpańskiego policjanta. Po trwającym dwa tygodnie milczeniu ten osobliwy człowiek znów prosi go, żeby za pięć dni, po czwartej rano, wystrzelił kilka pocisków w stronę konkretnego punktu w mieście. List zawiera szkic okolicy, gdzie powinny spaść bomby, a kapitan, znający lepiej topografię Kadyksu niż własną rękę, nie potrzebuje planu, żeby określić jego położenie: znajduje się w zasięgu granatów wybuchających, i o ile nie będzie wiał zbyt mocny wiatr zachodni, dotrą one do celu bez problemów. Chodzi o niewielki plac Świętego Franciszka, położony obok kościoła i klasztoru pod tym samym wezwaniem. To cel względnie łatwy dla pocisku z konwencjonalnym ładunkiem prochu i z lontem, o ile – czasem, przekłete, wydają się samodzielnie myśleć – nie zdecydują się skrócić na prawo albo na lewo, albo polecieć bliżej i wpaść do morza.

Ekscentryczny człowiek z tego komisarza, myśli artylerzysta, podpalając róg kartki, która dopala się już na ziemi. Niezbyt sympatyczny, to oczywiste. Ma twarz ponurego orła i oczy błyszczące od hamowanej agresji, z których przebija determinacja i niezaspokojona chęć zemsty. Od potajemnego spotkania na plaży Simon Desfosseux nie odpowiedział pisemnie na żadną wiadomość od Hiszpana. Uważa, że to niepotrzebne i ryzykowne. Nie dla niego – mógłby wytłumaczyć się ze współpracy z konfidentem, który pomaga mu określić cele – ale ze względu na bezpieczeństwo policjanta po drugiej stronie zatoki. W obecnych czasach nie ma miejsca na pomyłki czy obiekcje. Artylerzysta wątpi, czy hiszpańskie władze uznałyby, że jest czymś normalnym współdziałanie z wrogiem i sterowanie lotem bomb, które spadają na miasto, niszcząc dobytek i odbierając życie. Wygląda na to, że ów Tizón spokojnie bierze na siebie takie ryzyko, Desfosseux nie chce jednak swym brakiem dyskrecji go zwiększać. Nawet wierny Bertoldi, który pomógł przygotować ich spotkanie, nie wie, o czym rozmawiali: sądzi zapewne, że chodziło o szpiega albo konfidenta. Kapitan ograniczył się do wykonania swojej części umowy, czyli doprowadzał do tego, że w podanych dniach i godzinach sierżant Labiche i jego ludzie kierowali działami w stronę wskazanych miejsc,

zawsze z granatami wypełnionymi prochem i z lontami. Bo w sumie przecież chodzi o bombardowanie i wszystko jedno, czy pociski spadną w tym, czy w innym miejscu. Co zaś do sprawy zabitych dziewcząt, to wyobraża sobie, że jeśli komisarz odniesie sukces, poinformuje go o takim fakcie. W każdym razie Desfosseux jest gotów nadal wykonywać umowę. Oczywiście, nie w nieskończoność. Wszystko ma swoje granice.

Artylerzysta wstaje i znów spogląda na zegarek. Potem bierze kurtkę i kapelusz, gasi świeczkę i odchyliwszy na bok koc zasłaniający wejście do jego baraku, wychodzi na zewnątrz, w ciemność. Niebo jest rozgwieżdżone, a północno-zachodni wiatr roznieca płomienie pobliskiego ogniska, gdzie kilku żołnierzy pełniących wartę grzeje garnek z ich codziennym napojem z palonego i mielonego jęczmienia, udającego kawę, choć nie przypomina jej ani z zapachu, ani ze smaku, i nie ma w sobie ani ziarenka kawy. Strzelające iskrami ognisko oświetla czerwono-lufy strzelb i widmowe twarze, po których tańczą cienie i odbłaski.

– Może filiżankę, panie kapitanie? – ktoś pyta, kiedy przechodzi obok nich.

– Może potem.

– Potem już nie zostanie ani kropli.

Desfosseux przystaje i przyjmuje aluminiowy kubek, który mu podają, i trzymając go w ręce, odchodzi w ciemność, uważnie stawiając stopy, w kierunku wieży obserwacyjnej wznoszącej się kilka kroków dalej. Wieczór jest przyjemny, pomimo wiatru. Nadchodzi lato z upałami do czterdziestu stopni w cieniu i z milionami komarów, mnożących się w płytkiej stojącej wodzie i dręczących cesarską armię dniami i nocami. Przynajmniej, myśli Desfosseux, mocząc usta w ciepłym napoju, wiatr przegnał poprzednią potworną duchotę, wynikającą z przeciwnego wiatru, zwanego tu *solano* albo *sirocco*, który wieje znad Afryki i niesie ze sobą złe gorączki i skwarne noce, wysusza rzeki, zabija roślinność i doprowadza ludzi do szaleństwa. Mówi się, że większość morderstw popełnianych przez ludzi z tych stron, ze swej natury skłonnych do zbrodni, zdarza się, kiedy wieje *solano*. Ostatni taki głośny wypadek zdarzył się przed trzema tygodniami w Jerez. Pewien podpułkownik dragonów, który żył z Hiszpanką – wielu dowódców i oficerów pozwala sobie na ten luksus, podczas kiedy zwykli żołnierze mogą sobie ulżyć tylko w burdelach albo gwałcąc kobiety na własny rachunek i ryzyko – został zabity nożem przez męża kochanki, gminnego urzędnika, zazwyczaj spokojnego, lojalnego poddanego króla Józefa, i nie dopatrzono się w tej zbrodni niczego poza motywami osobistymi. I poza wpływem gorącego wiatru, przy którym wrze krew i miesza się w głowie.

Simon Desfosseux wylewa fusy z napoju, stawia pusty kubek na ziemi i wspina się po skrzypiącej drabinie prowadzącej na platformę obserwatorium, przekształconego w drewniany fort za pomocą grubych desek z sosen z lasów Chiclany. Za pięć minut porucznik Bertoldi z baterią Fanfana dokona ostatniego z przewidzianych na dziś bombardowań różnych punktów w mieście, między nimi placu Świętego Antoniego, kościoła Świętego Filipa Neri i budynku Urzędu Celnego, wypełniając to, co od wielu miesięcy stało się stałym programem: kilka bomb wystrzelonych na granicę zasięgu przy pierwszym brzasku dnia, dalsze bombardowania w porach obiadu i kolacji i kolejne znów o świcie. Zwykła codzienna rutyna: bomby powodują większe szkody niż dawniej, ale nikt się nie spodziewa, że coś zmieni. Nawet sam książę Dalmacji. Wyglądając przez wąski otwór strzelniczy, Desfosseux melancholijnie obserwuje pejzaż: wielką przestrzeń zatoki i nieliczne światła miasta pogrążonego we śnie z latarnią Świętego Sebastiana rozświetlającą w oddali. Widać kilka oświetlonych okien po stronie Lwiej Wyspy i ogniska palone przez obydwie armie, ciągnące się w kształcie łuku pośród kanałów, aż do Sancti Petri, wyznaczając linię frontu, która nie poruszyła się ani o piędź przez ostatnich czternaście miesięcy, od bitwy pod Chiclaną. I już się nie poruszy, chyba że w tył. Przy złych wieściach, jakie docierają z reszty półwyspu – klęska pod Arapiles zadana marszałkowi Marmontowi przez Wellingtona i wejście Anglików

do Salamanki – pogłoski o planowanym wycofaniu się na północ zaczynają krążyć w wojsku w całej Andaluzji.

W każdym razie Kadyks nadal tu jest. Desfosseux zdejmując osłonę z okularu ustawionej na trójnogu nowoczesnej lunety do obserwacji w nocy, wykonanej przez firmę Thomasa Jonesa, o grubym tubusie niemal metrowej długości – zdobycie jej dla Cabezeli kosztowało go półtora roku uciążliwej papierkowej roboty – i przebiega silnym obiektywem po ciemnych konturach miasta, zatrzymując się na budynku Urzędu Celnego, gdzie ma swoją siedzibę Regencja. Obok kościoła Świętego Filipa Neri, miejsca obrad zbuntowanego parlamentu – bardziej oddalonego, przez co trudniej osiągalnego – Urząd Celny jest jednym z jego ulubionych celów. Po wielu próbach, wahaniach i niepowodzeniach artylerzyście udało się wycelować w budynek i trafić weń kilkoma bombami. Coś podobnego zamierza na dzisiejszą noc, jeśli Bertoldi ma dziś celną rękę i północno-zachodni wiatr nie skomplikuje trajektorii.

Kiedy Simon Desfosseux już chce oderwać oko od okularu, dostrzega wolno wędrujący przez krąg soczewki cień. Kapitan przesuwając obiektyw w prawo i podążając za nim spory kawałek, zaciekawiony. W końcu stwierdza, że cieniem, powiększonym i spłaszczonym przez potężny przyrząd optyczny na ogromnej, czarnej powierzchni zatoki, jest statek, który ze wszystkimi żaglami w górze płynie ostro na wiatr w ciszy i ciemności, niczym zjawa.

Z wieży obserwacyjnej na tarasie, czując świeży chłód wiatru wiejącego prosto z północy, Lolita Palma też patrzy przez lunetę. Linia brzegu, gdzie nika gwiazdy, którymi nakrapiany jest cały firmament, jest ledwo widoczna na rozległej czerni zatoki. Pod mrocznym horyzontem, zabarwionym najintensywniejszą ciemnością, jaka towarzyszy ostatniej godzinie nocy, nie ma innych świateł poza miarowymi błyskami latarni Świętego Sebastiana po lewej stronie i kilka słabo migoczącymi punkcikami – światłami Roty – przypominającymi niskie gwiazdy, przytłumione i drżące w oddali.

– Brzask już się zbliża – zauważa Santos.

Lolita Palma patrzy na prawo, na wschód. W oddali, za czarnymi wzgórzami Chiclany i wzniesieniem Medyny Sidonii, horyzont staje się delikatną niebieskawą linią, gdzie zaczynają gasnąć gwiazdy. Owe jasności zajmie jeszcze jakąś godzinę rozproszenie mroku nad zatoką – tam gdzie ona wpatruje się od dobrej chwili z duszą na ramieniu, starając się wzrokiem przeniknąć ciemność. Szukając jakiegokolwiek znaku zdradzającego, że „Culebra” może być już w pobliżu swojego celu. Jednak widzi tylko noc. W lunecie nie dostrzega niczego wyjątkowego, wszystko wygląda całkiem spokojnie. Może opóźniają się z powodu wiatru, myśli z niepokojem. Albo musieli zrobić więcej halsów, żeby tam dotrzeć. Albo też nie mogli dostać się do końca zatoki i musieli popłynąć ku otwartemu morzu, rezygnując z całego przedsięwzięcia.

– Gdyby ich odkryli, już byśmy wiedzieli.

Kobieta kiwa głową, nie otwierając ust. Wie, że stary marynarz ma rację. Spokój przed ich oczami wskazuje, że gdziekolwiek by się teraz znajdował kuter, nikt dotąd jeszcze go nie zauważył. Gdyby było inaczej, któraś z francuskich baterii położonych pomiędzy zamkiem Świętej Katarzyny a Rotą już otwierałaby ogień, a wiejący z tamtego brzegu wiatr przyniósłby hałas bitwy. Tymczasem panuje zupełna cisza, poza świstem mistrala wiejącego nad zatoką.

– Dotrzeć tam wcale nie jest łatwo – dodaje Santos. – To musi potrwać.

Lolita znów kiwa głową niepewnie. Posepnie. Kiedy zbyt silne podmuchy wpadają do środka przez otwarte okno, drży z zimna mimo wełnianej chusty – włosy ma zebrane pod jedwabnym czepkiem, taftowe pantofle na stopach – zarzuconej na podomkę. Od dwóch godzin nie schodzi z wieży, niemal przez całą noc nie zmrużyła oka. Ostatni raz wspięła się na wieżę po krótkiej drzemce, podczas której służący pozostał na straży z poleceniem, by natychmiast ją obudził, gdyby coś się działo. Po chwili gwałtownie obudzona niepokojącym snem znów była na wieży, niecierpliwie prosząc o lunetę. Teraz jej ręce i twarz są zgrabiłe

od chłodu, czuje odrętwienie po długim wyczekiwaniu, od wysilania wzroku łzawią jej oczy, przyciskane do okularu. Dokładnie przebiega czarną linię wybrzeża od prawej do lewej strony, zatrzymując się na dłużej na ciemnym zakolu zatoki: tam jednak panują ciemność i cisza. Myśl, że „Marek Brutus” i jego ładunek są stracone na zawsze, że jedyna próba ich odzyskania się nie powiodła, napełnia ją przerażeniem.

– Obawiam się, że już nic się nie da zrobić – mruczy pod nosem.

– Coś im musiało przeszkodzić.

W głosie Santosa słychać cierpliwość, dawną flegmę ludzi morza, którzy nieraz stawali twarzą w twarz ze swym przeznaczeniem.

– Proszę tak nie mówić... Kapitan zna swój fach.

Oboje milczą. Silne podmuchy wiatru uderzają w rozwieszoną na pobliskich tarasach bieliznę, poruszając nią tak, jakby to były całuny szalonych widm.

– Czy mogę zapalić, panno Lolito?

– Oczywiście.

– Za pozwoleniem.

W krótkim błysku zapalniczki, którą służący zapala skrzyconego papierosa, Lolita Palma dostrzega głębokie zmarszczki, którymi poorana jest jego twarz. Pepe Lobo, myśli, jest teraz otoczony twarzami takimi jak ta, doświadczonych mężczyzn, zaprawionych do ciężkiej służby na morzu. Może bez specjalnego wysiłku wyobrazić sobie korsarza – jeśli nie zrezygnował i nadal prowadzi okręt przez zatokę – wpatrującego się w ciemność przed dziobem kutra. Z uwagą wsłuchującego się w każdy dźwięk, świst wiatru, skrzypienie drewna i płótna, szelest nawijającej się na bloczek sondy mierzącej głębokość wody pod kilem, podczas gdy wszyscy oczekują w napięciu paraliżującym język i wysuszającym usta na błysk wystrzału wroga, który zmiecie wszystko z pokładu.

Wilgotny mistral znów wyje nad tarasami i kolejny podmuch dociera do okien wieży obserwacyjnej. Drżąca mimo wełnianej chusty kobieta nagle czuje, dokładnie i wyraźnie niczym ranę, próżnię gestów, których nigdy nie wykonała, ciszę słów, których nie wypowiedziała, kiedy mrok ostatniego wieczoru – upłynęło dopiero kilka godzin, a wydaje się, jakby minęły lata – zasłaniał rysy twarzy mężczyzny, którego wspomnienie przyprawia ją o dreszcz: biała kreska na ogorzałej skórze, podwójne odbicie mokrych winogron w jasnych oczach, nieobecnych, zapatrzonych w noc, która nieodwołalnie brała w posiadanie ich uczucia i ich życie. A może on wróci, kiedy wszystko się skończy, nagle myśli. Może powinien albo będę mogła. Choć nie. Raczej nigdy. A może. Może na zawsze.

– Tam! – wykrzykuje Santos.

Zaskoczona Lolita Palma patrzy we wskazanym kierunku. Powstrzymuje oddech, jeży się jej skóra. Przez zatokę wiatr niesie głuchy, stłumiony hałas, jakby odległe grzmoty. W zatoce przy Rocie, nad czarną powierzchnią morza, rozbłyskują maleńkie płomienie wybuchów.

Drzazgi, błyski wystrzałów, krzyczący mężczyźni. Przy każdej kolejnej salwie „Culebra” drży, jakby była żywa czy jakby umierała. Od kiedy kuter odsunął w końcu swój dziób od rufy brygantyny, uginając się na prawą burtę pod naporem wiatru, Pepe Lobo nie miał czasu, żeby sprawdzić, jak idzie Ricardowi Marańi i jego oddziałowi abordażowemu. Kiedy tylko jego ostatni członek wdrapał się na „Marka Brutusa” – cudem nie złamali bukszprytu w ciemności, podczas cichej końcówki manewru, kiedy szli pod wiatr – Lobo musiał zająć się nieoświetlonym statkiem, który strzelał do nich z prawej burty. Nie spodziewał się wroga z tej strony i nagle ostrzeżenie, że coś jest po zawiętrznej, za sterburtą „Marka Brutusa”, zaskoczyło go w ostatniej chwili, kiedy już nie można było przerwać manewru: uzbrojony statek niewielkiej wyporności. Być może korsarski kecz, który pływał po zatoce, a w ostatnich godzinach tu właśnie stał na kotwicy. Pojedynczy wystrzał armatni zdradził atakujących przed czasem, ale teraz to już wszystko jedno. Trzeba zająć się innymi sprawami.

Jak tylko Marana z szesnastoma ludźmi przystąpili do abordażu „Marka Brutusa”, „Culebra” wystrzeliła z prawej burty, z bardzo bliska, salwę z czterech sześciofuntowych dział w stronę kecza, który – jeśli to on – dryfuje teraz na silnym wietrze, zerwany z kotwicy, płonąc jak pochodnia.

Prawdziwe zagrożenie jednak jest po lewej burcie atakowanej brygantyny, czy raczej tam, gdzie Pepe Lobo, idąc na zawietrzną, dostrzega teraz błyski wystrzałów z dział i karabinów korsarskiej feluki, zakotwiczonej bardzo blisko. W ciemności Pepe Lobo nie widzi nawet własnego omasztowania; jednak blask płonącego kecza, nadal dryfującego na wietrze, i przerywane wystrzały dział na „Culebrze” ukazują coraz bardziej posiekane olinowanie i płótno, które łopocze lub się napręża na silnym wietrze: rozerwany w górnej części grotzagiel, którego róg owinał się w połowie masztu, i fok, ich jedyny sprawny żagiel. Na pokładzie pełnym splątanych lin i drzazg, widocznych w świetle wybuchów, załoga kutra stara się sztukować przerwane fały i szoty, żeby zachować zdolność manewrowania, podczas kiedy artylerzyści czyszczą, ładują i znów wystawiają przez prawą burtę cztery działa nabite podwójnymi kulami. Pepe Lobo biega wzdłuż baterii, popędzając opiesziałych, pomagając naciągać liny mocujące lawety.

– Pal! Pal!

Łzawi od palącego prochu, a jego krzyk niknie we wrzawie walki. Są bardzo blisko feluki przeciwnika, nadal stojącej na kotwicy i prowadzącej żywy ogień w ich kierunku. Trzy sześciofuntowe działa i po jednej dwunastofuntowej karonadzie na każdej burcie, dobrze wie Pepe Lobo. Karonady strzelają kartaczami i z tej odległości sieją spustoszenie na pokładzie kutra. Przy każdym trafieniu pokrycie statku wpada w drganie, wskutek którego wibruje też omasztowanie, a porwane wanty tańczą w powietrzu. Zbyt dużo ludzi leży na pokładzie – martwi i ranni, a także ci, którzy przerażeni kulą się w dole, żeby uchronić się przed kulami i fruującymi w powietrzu drzazgami, świszczącymi z każdej strony. Lobo cieszy się, że szalupę spuścił w morze jeszcze przed wejściem do zatoki, bo na pokładzie, pod ogniem, raziłaby śmiertelnymi drzazgami każdego, kto znalazłby się w pobliżu.

– Jeśli chcecie wrócić do domu, nie przerywajcie ognia!

Po każdym wystrzale działa podskakują i zatrzymują się w łożach. Zaczynają odczuwać brak ludzi. Wyjście oddziału abordażowego sprawiło, że nie wszystkie działa mają wystarczającą obsadę, co widać było jeszcze przed bitwą. Ci, którzy nadal walczą, kaszlą i ocierają łzawiące oczy, mamrocząc pod nosem przekleństwa, kiedy naciągają pęta dział i ustawiają je w baterię. Lobo dołącza do nich i ciągnie liny z całej siły, ścierając dłonie do krwi. Potem biegnie na rufę, pomiędzy połamanymi deskami pokładu a leżącymi ciałami. Ma dziwne poczucie zbliżającego się nieszczęścia, nad czym nie można zapanować, zaczyna tracić zimną krew. Wiatr przegania dym wybuchów bardzo szybko i Lobo dostrzega coraz bliższą smukłą czarną sylwetkę zakotwiczonego statku z prawą burtą rozbłyskującą wystrzałami artyleryjskimi i skrzącą się ogniem muszkietów. Na szczęście, myśli przelotnie, jest za blisko nas i baterie z lądu nie decydują się na strzelanie, żeby nie trafić w felukę.

– Rumpel na burtę! Cała na burtę! Jeśli wpadniemy na felukę, już się stąd nie wydostaniemy!

Jeden ze sterników – czy raczej jego zwłoki, zmasakrowane i pocięte niczym mięso w jatce – leży na stewie rufowej. Szkot popycha rumpel w przeciwną stronę, z całych sił. Pepe Lobo stara się mu pomóc, ale ślizga się na zakrwawionych deskach. Kiedy się podnosi, kula z działa uderza w poszycie statku niczym cios gigantycznej pięści, z suchym trzaskiem, otwierając na pokładzie długą szparę, jakby ktoś uderzył siekierą. Lobo, który znów się przewrócił, zamyka oczy i otwiera je, ogłuszony, po kilku sekundach. W jasności od armatniego ognia i od płonącego kecza, nadal dryfującego, widzi, że rumpel swobodnie przelatuje z boku na bok, a Szkot czołga się na czworakach po pokładzie, z flakami na wierzchu, na które następuje kolanami i wyje jak zwierzę. Kapitan wstaje, odsuwa go jednym



pchnięciem i chwyta za rumpel, czuje jednak, że ster nie odpowiada. „Culebra” jest niesterowna. W tym momencie dzieją się różne rzeczy: rakietą z bengalskim ogniem wznosi się ponad wybrzeżem, oświetlając koniec zatoki; grotzagiel kutra rozdziera się z góry na dół, maszt spada z długim trzaskiem niczym walące się drzewo, a gdy z góry spadają sznurki, skuwki, szekle, płótno i drzazgi, bok statku skrzypi i nieruchomieje, uderzywszy w felukę nieprzyjaciela, zniszczone olinowania obu statków splatają się.

Nie ma dalszych komend. Nie ma też komu ich wydać. Bezsilny Pepe Lobo w ostatnim świetle gasnącego na niebie ognia bengalskiego widzi, jak umiera bosmanowi Brasero, próbującemu usunąć resztki want, szotów i żagli, które spadły na działa, kartacz odrywa pół głowy. Ludzie z obu statków strzelają sobie niemal w pierś z muszkietów, pistoletów i krótkich strzelb. Lobo puszcza rumpel i odwraca się do skrzynki na rufie, wyjmując z niej nabitą broń i chwyta za jej rękojeść. W tym samym czasie słyszy dalekie wystrzały i spogląda nad burtą w stronę morza, gdzie widzi rozbryzgującą się pianę. Francuskie baterie rozpoczynają ogień od strony plaży. Przez chwilę zastanawia się, czy próbują trafić „Culebrę”, która stoi szcepiona z feluką. Wtedy, w coraz słabszym poblasku dogasającego kecza, który oddala się coraz bardziej, widzi, jak bardzo powoli i bardzo blisko umierającego kutra przesuwa się ciemna sylweta „Marka Brutusa”, z rozwiniętym marslem i z wybranymi szotami, na dziobie dostrzega szczupłą, wyprostowaną, niewzruszoną postać, w której, jak sądzi, rozpoznaje Ricarda Marańę.

Korsarski kapitan obojętnie odwraca się do tego, co zostało z jego statku. Świadomość, że klęska jest nieodwołalna, przywraca mu spokój. Ostatnie, co jeszcze widzi i słyszy, to wybuchy, dym, krzyki i jęki w płataninie płótna, porwanych sznurów i okaleczonych ciał, trzask łamiących się desek, świst kul i kartaczy, wrzaski i przekleństwa. Rejka żagla nieprzyjacielskiej feluki też spadła na kuter, pogłębiając jeszcze zamęt na pokładzie, gdzie w czerwonym, gęstym i lśniącym lakierze odbija się każdy błysk bitwy. Można byłoby powiedzieć, że jakiś pijany bóg wylał na pokład niezliczone kubły krwi.

Kolejny pocisk z karonady rozbija rufę, trzeszczą rozpryskując się deski obudowy zejściówki i wznosi się obłok drzazg. Odrętwiały od nagłego chłodu Pepe Lobo patrzy w dół z przerażeniem i dotyka swoich zakrwawionych spodni: ciecz jest ciepła, lepka i wypływa regularnymi chluśnięciami, jakby wyrzucała ją pompa. Coś takiego, myśli. Ciekawy sposób pozbywania się krwi. A więc tak to wygląda, stwierdza. Zaczyna brakować mu sił i opiera się o roztrzaskaną zejściówkę. Nie pamięta już ani Lolity Palmy, ani brygantyny, którą ocalił Ricardo Marańa. Myśli tylko, zanim upadnie, że nie został mu żaden maszt, na który mógłby wciągnąć białą flagę.

## Rozdział XVIII

Mgła bardzo przeszkadza Rogeliowi Tizonowi. Kapelusz i surdut, zapięty aż po krawat, ociekają wilgocią, a kiedy dłonią przesuwają po twarzy, czuje, że ma mokre wąsy i bokobrody. Powstrzymując chęć zapalenia cygara, policjant klnie przez zęby, barwnie i długo, między kolejnymi ziewnięciami. W noc taką jak ta Kadyks wydaje się na wpół zatopiony w otaczającym go morzu, jakby linia oddzielająca wodę od lądu nie była wyraźnie określona. W tym rozproszonym półmroku, przyszarzonym przez wąską lunę wokół księżyca, zaznaczającą kontury budynków i rogi ulic, mgła zwilża bruk i żelazo krat i balkonowych balustrad, a miasto przypomina widmowy statek osadzony na mieliźnie na końcu mierzei.

Jak zazwyczaj, Tizón starannie przygotował zasadzkę. Mimo poprzednich niepowodzeń – to już trzecia próba w tym miesiącu, a ósma od samego początku – nie zaniedbuje niczego. Pali się tylko jedna latarnia, oświetlająca fragment pobielonego muru klasztoru Świętego Franciszka, ciągnącego się aż do rogu ulicy Cruz de Madera. Tam niska, lekka mgła zagęszcza się w niezdecydowanym półmroku wśród ciemnych załomów murów. Przynęta najpierw dobrą chwilę spędziła po tej stronie placu, a teraz od niemal pół godziny porusza się po tamtej stronie. Myśliwi są odpowiednio rozstawieni, obserwują cały teren: jest sześciu agentów, między nimi Szafot, prawie wszyscy młodzi, o sprawnych nogach, każdy z nich zaopatrzonego w nabity pistolet i gwizdek, żeby wezwać pomocy w razie pogoni lub innych niespodzianek. Komisarz pod połą surduta też nosi broń – niewielki dwulufowy pistolet, gotowy do strzału.

Niedawno słychać było trzy dalekie eksplozje w okolicach San Juan de Dios i Bramy Ziemi, teraz jednak panuje zupełna cisza. Ukryty w bramie blisko skrzyżowania z ulicą Consulado Viejo Rogelio Tizón zdejmując kapelusz i opiera głowę o ścianę. Nieruchome stanie wśród nocnej wilgoci trawi mu kości od środka, jednak nie rusza się, żeby nie przyciągnąć czyjejs uwagi. Byłby teraz zbyt widoczny. Blask księżyca i zapalona latarnia na murze klasztoru tworzą po tej stronie placu słabą czerwono-szarą jasność, pomnażając ją w milionach kropli wody zawieszonych w powietrzu. Komisarz z rezygnacją przenosi ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Już zaczynam się robić, myśli z irytacją, za stary na takie rzeczy.

Nie było kolejnych morderstw od tamtej nocy, kiedy Rogelio Tizón gonił zabójcę, póki nie zgubił jego tropu. Nie ma pewności, dlaczego tak jest. Albo morderca przestraszył się tamtym wypadkiem, albo późniejsze działanie komisarza, który w miejscach, gdzie spadały bomby, rozstawiał umyślnie potencjalne ofiary – dzisiejszej nocy też zatrudnił młodą prostytutkę – pokrzyżowało jego plany. Zakłóciło dziwny schemat jego przewidywań i obliczeń. Czasem Tizón się martwi, że być może zbrodniarz nie będzie więcej próbował zabijać, i ta myśl pogrąża go w rozpacz beznadziejnej i pełnej furii. Mimo upływu czasu, bezowocności wysiłków, niezliczonych bezsennych nocy, podczas których zastawiał sieci, by rankiem zebrać je całkiem puste, jego instynkt powtarza mu, że jest na dobrej drodze, że perwersyjna wrażliwość mordercy jest w pewnym sensie zbieżna z jego sposobem odczuwania i że ich drogi krzyżują się bezustannie – nieuniknione, wspólne dla nich obu linie na niezwyklej mapie tego miasta. Poszarzała twarz, oczy rozgorączkowane od ciągłego czuwania po nocach i od litrów wypitej kawy. Opętany obsesją, która stała się główną siłą napędową jego pracy i

wszelkich poczynań, Tizón od dawna żyje, rozglądając się wokół nieufnie, z agresją, wietrząc w powietrzu, niczym szalony pies gończy, subtelne ślady, których kod znają tylko on i morderca. A ten być może krąży w okolicy, mimo wszystko, przyglądając się z daleka przynęcie, lecz nie decyduje się wsunąć głowy w pułapkę, która się za nim zatrzaśnie. Uparty i okrutny szuka okazji. A może nawet – kto wie, czy też nie dzisiejszej nocy – pilnuje pilnujących i tylko czeka, żeby osłabili czujność. A może, myśli znów innymi razy policjant, partia szachów rozgrywa się już na innym poziomie, jest umysłowym wyzwaniem. Subtelnej, chorej inteligencji. Niczym szachiści, niemuszający już poruszać figur na szachownicy, żeby wykonywać kolejne ruchy partii, w którą się zaangażowali. W takim przypadku być może jest tylko kwestią czasu, żeby jeden z przeciwników popełnił błąd. Taka ewentualność, jeśli miałby to być on, przeraża Tizona. Nigdy tak bardzo nie obawiał się porażki. Wie, że ta sytuacja nie może trwać w nieskończoność, że w mieście istnieje zbyt wiele wrażliwych punktów. Zbyt dużo jest przypadków w tym wszystkim i nie ma żadnych przeszkód, żeby morderca działał w jednym miejscu, kiedy on pilnuje innego. Nie mówiąc nawet o tym, że francuski artylerzysta, który współpracuje z nim na drugim brzegu, może mieć już dość i porzuci grę w jakimś momencie.

Stukot kroków na mokrym bruku. Rogelio Tizón przywiera do ściany w bramie, by stać się jeszcze mniej widoczny. Dwaj ludzie w prostych kaftanach i czapkach przechodzą pod słabym światłem latarni, oddalając się w stronę skrzyżowania ulic Cruz de Madera z Camino. Wyglądają na młodych elegantów z ludu, są lekko ubrani. Nie można dostrzec ich twarzy. Komisarz śledzi ich spojrzeniem aż do chwili, kiedy znikają z drugiej strony – tam gdzie Tizón jakieś dwa tygodnie temu stał nieruchomo całą noc, rozglądając się wokół, wsłuchując się, czy nie zanikają dźwięki i nie pojawia się szczególna jakość powietrza wewnątrz tych wyobrażonych pustych kloszy, do których komisarz dostaje się z perwersyjną satysfakcją kogoś, kto znajduje potwierdzenie, że istnieje tajemna przestrzeń miasta. Geometryczny rysunek miasta, niewidzialny dla innych, wspólny dla niego i mordercy.

Teraz wydaje mu się, że dostrzega kobietę poruszającą się we mgle. Zapewne jest to przynęta, która idzie, zgodnie z poleceniem, w kierunku tej strony placu – siedemnastoletnia dziewczyna, wyszukana przez Szafota koło Merced, komisarz nawet nie zadał sobie trudu, żeby sprawdzić, jak się nazywa. Po chwili stwierdza, że to rzeczywiście ona. Idzie powoli wzdłuż klasztornej muru, tak jak jej kazał, po chwili jest widoczna w świetle latarni, a potem zawraca w strefę mroku. Jej znudzony, profesjonalny sposób chodzenia złości policjanta. Znów się nie uda, mówi do siebie, obserwując dziewczynę, której sylwetka odcina się od zamglonego półmroku. Ta myśl rani go niczym cios prosto w twarz. Wszystko stało się zbyt oczywiste, do licha! Zbyt prymitywne. Na tym poziomie taka powtarzalna taktyka to jakby włożyć całą połówkę sera do pułapki na myszy: jeśli morderca chodził po mieście poprzednimi nocami, jest dość spostrzegawczy, żeby nie dać się złapać. Znów, myśli sobie Tizón, mój król jest zapędzony w róg szachownicy, a głośny śmiech przeciwnika grzmi w całym mieście. Żadnych wirów czy bomb. Powiniennem wreszcie iść do łóżka i skończyć z tym wszystkim. Jestem zmęczony. Mam dość.

Przez chwilę zastanawia się, czy może by wyjść z kryjówki, zapalić cygaro, rozprostować nogi i otrzepać się z cholernej wilgoci, która przeżera mu kości. Zatrzymuje go tylko zawodowa cierpliwość. Przyzwyczajenie do tego rzemiosła. Dziewczyna dotarła do latarni i staje na chwilę w świetle, obraca się, żeby wrócić. Z gęstej mgły w głębi placu wyłania się jakiś cień. Tizón czujnie zauważa, że to samotny mężczyzna idący wzdłuż klasztornej muru, któremu kobieta, gdy zbliża się do niej, ustępuje drogi. Ma na głowie okrągły kapelusz, a na ramionach krótką ciemną pelerynę. Mija dziewczynę, nie patrząc na nią ani się do niej nie odzywając, i idzie naprzód, zbliżając się do bramy, w której czai się policjant. Jeszcze nie zdążył się z nim zrównać, kiedy nagle w oddali, od strony ulicy Cruz de Madera, rozlega się gwałtowny, głuchy krzyk mężczyzny, w którym komisarz rozpoznaje, jak sądzi, głos Szafota.

Chwilę później wibruje w powietrzu wysoki gwizd, potem kolejny i jeszcze jeden. Oszołomiony Tizón obserwuje kobietę, która zatrzymała się, jeszcze oświetlana przez rozproszony blask latarni, patrząc w stronę mroku. Co się, do licha, dzieje, zastanawia się komisarz. Skąd krzyk i dźwięki gwizdków? Wreszcie reaguje, opuszcza swoją kryjówkę i wybiega, trzymając w ręce laskę. Wtedy dzieją się dwie rzeczy jednocześnie: dziewczyna, widząc go tam, gdzie być powinien, biegnie przestraszona ku niemu; mężczyzna, który zaraz miał się zrównać z Tizonem, pochyla głowę i rusza przed siebie biegiem. Przez krótką chwilę komisarz nie wie, co robić. Ale jego policyjny instynkt każe wybrać mu, niemal automatycznie, uciekającego mężczyznę. Po dwóch czy trzech susach rozpoznaje go. Tak samo biegł tamtej nocy po zboczach Murgi, ścigany przez Tizona: szybki, cichy, z pochyloną głową. Odkrycie to paraliżuje komisarza na chwilę wystarczającą, żeby mężczyzna minął go i popędził ulicą w dół, we mgle, z naciśniętym na głowę kapeluszem i z krótką peleryną łopoczącą na plecach niczym skrzydła nocnego drapieżnego ptaszyska. Wtedy, zapominając o gwizdku i dziewczynie, policjant wyciąga pistolet, odwodzi podwójny kurek, szybko celuje i przyciska jeden z dwóch spustów.

– Gonić mordercę! – krzyczy po strzale. – Gonić mordercę!

Albo kula trafiła w ciało, albo uciekinier poślizgnął się na mokrym bruku: Tizón widzi, jak upada i zaraz się podnosi z zadziwiającą zręcznością na samym rogu ulicy Świętego Franciszka. Teraz policjant biegnie kilka kroków za nim. Droga prowadzi w dół, to mu pomaga. Nagle uciekający mężczyzna skręca w prawo i znika policjantowi z oczu. Tizón biegnie dalej, jednak skręciwszy za rogiem, widzi jedynie pustą ulicę w szarym półmroku mgły, która moczy wszystko wokół. To niemożliwe, żeby już dotarł do końca ulicy. Zatrzymuje się, próbując złapać oddech i uspokoić się, i analizuje sytuację. Kiedy udaje mu się uporządkować myśli, stwierdza, że jest w górnej części ulicy Baluarte, przy skrzyżowaniu z ulicą Świętego Franciszka. Panuje zupełna cisza. Tizón wyciąga z kieszeni gwizdek i podnosi go do ust, jednak po chwili wahania rezygnuje na razie z jego użycia. Bardzo ostrożnie, starając się stawiać obcas wcześniej niż podszwę swoich wysokich butów, żeby nie hałasować, idzie środkiem ulicy, uważnie jak myśliwy, rozglądając się to w jedną stronę, to w drugą, w prawej ręce trzymając pistolet, a w lewej laskę; puls w bębenkach uszu ogłusza go. Po drodze widzi zamknięte drzwi i puste bramy – wielu mieszkańców zostawia je otwarte o tej porze roku – i przez dobry kawałek, wściekły i zrozpaczony, klnie przez zęby, pewien, że zdobycz mu umknęła. Jeden z ostatnich domów, położony po lewej stronie, niedaleko zakrętu, ma otwarte drzwi od ulicy na przejście, długie i głębokie, prowadzące na patio zamknięte na końcu żelazną kratą. Tizón ostrożnie opiera się o wilgotną ścianę, wsuwa głowę do wnętrza, żeby się rozejrzeć. Kiedy tylko jego sylwetka odcina się w otworze, gwałtownie pojawia się postać, która odpycha go i wybiega na ulicę, choć komisarz zdążył z bardzo bliska wystrzelić drugą kulę szybkim strzałem, trafiając w krótką pelerynę, a z ust uciekającego wydobywa się niemal zwierzęcy skowyt, nagły i rozpaczliwy. Tizón zatacza się wskutek ciosu i upada na ziemię, tłukąc sobie łokieć. Jak tylko udaje mu się wstać, rusza za zbiegiem, który już zniknął za rogiem; kiedy tam dociera, widzi pustą ulicę w świetle zamglonego księżycy. Znowu się wydaje, że mężczyznę pochłonęła mgła. Powstrzymując odruch nakazujący mu biec dalej, komisarz staje, głęboko oddycha i zastanawia się. Niemożliwe, żeby tamtemu udało się dotrzeć do następnego rogu, stwierdza. To zbyt długa ulica. Poza tym jej część zajmuje kościół Rosario, co oznacza, że zbieg nie uciekał dalej, lecz schronił się w kolejnej bramie, a nie ma ich wiele na tym odcinku ulicy. Może to być przypadkowe miejsce, a może tu mieszka w jednym z sąsiednich domów. Prawdopodobnie jest ranny. Zapewne będzie potrzebował jakiejś tymczasowej kryjówki, żeby opatrzyć ranę od kuli. Żeby się uspokoić i chwilę odpocząć. Albo straci przytomność. Nie odrywając ani przez chwilę wzroku od ulicy, policjant przygląda się domom, jednemu po drugim, starając się równocześnie wyobrazić sobie, co w takiej sytuacji zrobiłby on. Jest pewien, że jego ludzie słyszeli strzały i zaraz się

pojawia. Tym razem się uda, stwierdza. Tym razem wilk dopadł zwierzynę i nie zamierza jej wypuścić. Przynajmniej dopóki jeszcze może coś zrobić, żeby ją osaczyć. Przede wszystkim trzeba otoczyć miejsce na tak długo, jak będzie trzeba. Zapuścić sieć. Nikt stąd nie wyjdzie, dopóki nie zostanie sprawdzony od góry do dołu.

Stojąc we mgle, Tizón chowa pistolet do kieszeni, podnosi do ust gwizdek i trzykrotnie długo gwizdże. Potem zapala cygaro i czeka, aż dotrą jego ludzie. W tym czasie stara się uporządkować fakty. Odtworzyć wszystko. Wtedy zadaje sobie pytanie, co się zdarzyło wcześniej, w ciemnej części placu. Dlaczego Szafot krzyczał, o ile to rzeczywiście był on, i dlaczego rozległy się pierwsze gwizdki.

W małym saloniku na parterze, ozdobionym oprawionymi morskimi widokami wiszącymi na boazerii z ciemnego drewna, ciszę wypełnia ciche tykanie angielskiego zegara wahadłowego. Wszyscy milczą, z różnych powodów. Zakłopotanie, smutek, przerażenie. Siedząc w fotelu obitym cielecą skórą, Lolita Palma mnie w palcach chusteczkę. Jej ręce leżą na podołku, na granatowej porannej sukni, w pasie dopasowanej rzędem czarnych kamiennych guzików.

– Jak ją panowie znaleźli? – pyta i wstrząsa nią dreszcz.

Policjant – komisarz Tizón, powiedział, przedstawiając się – siedzi na brzegu kanapy, sztywny, kapelusz leży obok, laska oparta na kolanach. Jego brązowy surdut, prostackiego kroju, jest równie wymięty jak spodnie. Twarz ma zmęczoną: zaczerwienione powieki, sine cienie pod oczami, nieogolona broda pod gęstymi bokobrodami łączącymi się z wąsami. Ma za sobą kiepską noc, bez wątpienia. Jest senny i zmęczony. Duży nos przypomina dziób drapieżnego ptaka. Okrutnego i niebezpiecznego orła, znużonego.

– Przypadkiem, na podwórzu magazynu drewna... Jeden z naszych ludzi wszedł tam za potrzebą i zobaczył zwłoki na ziemi.

Mówi, patrząc jej w oczy, jednak kobieta zauważa jego zakłopotanie. Od czasu do czasu policjant rzuca szybkie spojrzenie na zegar na ścianie, jakby jego myśli zajęte były czymś innym. Można byłoby powiedzieć, że stara się skrócić tę rozmowę. Nieprzyjemny obowiązek, którego wypełnienie tu go zatrzymuje.

– Czy była bardzo... poturbowana?

Policjant robi wieloznaczny gest.

– Nie została zgwałcona, jeśli to miała pani na myśli. Ale poza tym... No cóż... Nie była to przyjemna śmierć. Żadna śmierć nie jest przyjemna.

Milknie, pozwalając Lolicie Palmie wyobrazić sobie resztę. Wstrząsa nią kolejny dreszcz. Nadal nie dowierza. Nagle, wbrew woli, znalazła się na skraju przepaści. Czarnego przerażenia i bólu.

– To było jeszcze dziecko – mówi cicho, jakby ogłuszona. Nadal mnie chusteczkę. Nie chce okazać słabości i na razie jej się to udaje. Nie przed tym człowiekiem. Ani przed nikim innym. Kuzyn Toño, który przybiegł zaraz, jak tylko się dowiedział, teraz jest na piętrze razem z Curą Vilches, z przyjaciółmi i sąsiadami, całkiem załamany. Leży w fotelu i płacze jak dziecko.

– Czy został schwytany ten, kto to zrobił?

Ta sama mina co poprzednio. Pytanie zdaje się tylko pogłębiać zakłopotanie komisarza.

– Pracujemy nad tym – odpowiada obojętnie.

– Czy to ten, który wcześniej zrobił to samo innym kobietom? Od miesięcy krążyły takie pogłoski.

– Jest zbyt wcześnie, żeby to stwierdzić.

– Słyszałam, że chwilę później spadła bomba niemal w tym samym miejscu... Czy jest prawdą, że zabiła dwie osoby i trzy ciężko zraniła?

– Wydaje się, że tak.

- Cóż za nieszczęśliwy przypadek.
- Bardzo nieszczęśliwy, tak.

Lolita Palma zauważa, że policjant spogląda z roztargnieniem na ryciny wiszące na ścianach, jakby chciał zmienić temat rozmowy.

- Dlaczego dziewczyna wyszła z domu?

Wyjaśnia mu w krótkich słowach: poszła do apteki przy ulicy Cruz de Madera. Majordomus, Rosas, leży chory w łóżku. Były mu potrzebne lekarstwa i on sam poprosił Mari Paz, żeby po nie poszła.

- Sama o tej porze?

– Nie było zbyt późno. Mniej więcej dziesiąta, może trochę po. A apteka jest tuż obok, o trzy przecznice od domu... Poza francuskimi bombardowaniami to zawsze była spokojna dzielnica. Porządna i bezpieczna.

- Nikt się nie zaniepokoił, że nie wraca?

– Wcale sobie z tego nie zdawaliśmy sprawy. Już było po kolacji... Majordomus spał w swoim pokoju, a ja byłam na górze, w moim gabinecie. Nie zamierzałam schodzić i nie potrzebowałam jej pomocy.

Przerywa i przypomina sobie wczorajszy wieczór: sama w sypialni na najwyższym piętrze, nieświadoma, co w tym samym czasie działo się z nieszczęsną dziewczyną. Była zajęta do bardzo późna przygotowaniem oficjalnych papierów związanych z odyskaniem „Marka Brutusa” i utratą „Culebry”. Działając jak automat pozbawiony duszy, starała się nie myśleć o czymkolwiek poza kwestiami praktycznymi związanymi z tą sprawą. Miała suche oczy, jej serce biło powoli. A od czasu do czasu stawała w oknie, pośród donic z paprociami, wpatrzona w zamglony krąg światłości wokół księżyca. Przypominając sobie kolor mokrych winogron w spojrzeniu Pepe Lobo. Przyzna pani, że prosi o zbyt wiele. W innym miejscu na świecie...

- To straszne – ubolewa. – Przeróżające.

W głosie policjanta słychać rutynę. Zawodową oschłość.

- Czy miała narzeczonego?... Jakichś chłopców?
- Nie, o ile wiem.
- Jakaś rodzinę w Kadyksie?

Lolita kręci głową. Dziewczyna, mówi, pochodziła z Lwiej Wyspy. Z ubogiej rodziny, ucziwej. Pracowali w salinach. Jej ojciec to dobry człowiek. Nazywa się Felipe Mojarra. Służy w kompanii strzelców don Cristobala Sancheza de la Campy.

- Czy on już wie, co się stało?

– Posłałam mu wiadomość przez mojego stangreta, wiezie list do jego przełożonych, żeby mu pozwolili tu przyjechać... Biedny człowiek!

Zamyśla się, przybita. Jej oczy wilgotnieją w końcu. Wyobraża sobie ból całej rodziny. Nieszczęście matki. Jej dziecina zabita w tak potworny sposób. Miała ledwo siedemnaście lat.

– Niewiarygodne. Przeróżające i niewiarygodne. Czy prawdą jest to, co opowiadano? Że była torturowana przed śmiercią?

Policjant nic nie odpowiada. Tylko patrzy bez wyrazu. Lolita teraz czuje, jak łąza, nieodwołalnie, spływa jej po brodzie.

- O Boże – wzdycha.

Czuje zawstydzenie, że przed obcym okazuje słabość, nie może jednak temu zapobiec. Własna wyobraźnia ją maltretuje. Biedna mała.

- Któż mógłby...

Dławi ją w gardle. Wał został przerwany i łąza płynie teraz strumieniem, mocząc jej całą twarz. Komisarz ze skrępowaniem znów odwraca wzrok, chrząka. Po czym bierze laskę i kapelusz i wstaje.

– Właściwie, proszę pani – mówi niemal łagodnie – każdy może.

Lolita Palma patrzy na niego z fotela, nie rozumiejąc. O czym on mówi, zastanawia się. O kogo mu chodzi.

– Znajdziecie mordercę, mam nadzieję.

Usta policjanta wykrzywiają się w niemal zwierzęcym grymasie. Błyska w nich złoty ząb z boku. Kiel.

– Jeśli nic nam nie stanie na przeszkodzie, zaraz go dorwiemy.

– I co zrobicie temu łajdakowi?

Twarde i zimne spojrzenie mężczyzny przenika Lolitę Palmę, biegnie jakby gdzieś za nią, bardzo daleko. W miejsca mroczne, niewysłowione, które tylko on może widzieć.

– Wymierzmy sprawiedliwość – odpowiada bardzo cichym głosem.

Całe światło południa jest o kilka kroków dalej, pod niebem tak czystym i niebieskim, że aż rani wzrok. Ulica Rosario wygląda zupełnie inaczej niż poprzedniej nocy: biel wapna, złoto morskiego piaskowca i doniczki z pelargoniami na balkonach. I wśród tej jasności spocony, wymięty, z oznakami braku snu na twarzy pomocnik Rogelia Tizona kuli głowę niczym wielkie niezdarne psisko.

– Przysięgam, że robimy wszystko, co tylko możliwe, panie komisarzu.

– A ja przysięgam, że was zabiję, Szafot... Jeśli uciekł, wyrwę ci oczy i naszczam wprost do czaszki.

Zbir mruga, podnosi brew, poważnie zastanawiając się, na ile groźba ta jest przesadzona, a na ile realna. Nie wydaje się przekonany, że istnieje tu granica.

– Sprawdziliśmy całą ulicę, dom po domu – mówi wreszcie.

– Ani śladu. Nikt nic nie wie. Nikt nic nie widział... Jedynie udało się nam ustalić, że jest ranny. Dostał od pana za swoje.

Tizón robi kilka kroków, machając laską. Jest wściekły. Mniej więcej dwudziestu stójkowych i agentów stoi na końcach ulicy i przy drzwiach domów, kontrolują wszystko pod ciekawskim spojrzeniem okolicznych mieszkańców, którzy przyglądają się z okien i balkonów. Szafot wskazuje na bramę w pobliżu rogu ulicy.

– Kiedy położył tutaj rękę, zostawił ślad krwi. A drugi jest tam dalej.

– Sprawdziliście, czy to nie jest któryś z mieszkańców?

– Tak, ze spisem miejskim i listą dzielnicową. Nazwisko po nazwisku. – Szafot wskazuje na ludzi wyglądających z sąsiednich domów. – Nikt tutaj nie jest ranny. I nikt nie wychodził wczoraj wieczorem po dziesiątej.

– To niemożliwe. Ja sam go zapędziłem w ten zaułek. I nie ruszyłem się, dopóki tu nie dotarłeś razem z tą całą bandą gamoni.

Podszedł do bramy i przygląda się burawej plamie na pobielonym wapnem rogu muru. Trzy palce i dłoń. Przynajmniej, myśli ze złośliwą satysfakcją, jeden ze strzałów trafił do celu. Ptaszek nosi w skrzydle ołów.

– A nie mógł panu uciec w tej mgle, panie komisarzu?

– Przecież mówię ci, do cholery, że nie. Byłem blisko za nim, nie miał dość czasu, żeby dotrzeć do końca ulicy.

– A my przetrząsnęliśmy te dwa kwartały domów z lewa na prawo i z powrotem.

– Piwnice też?

Taka wątpliwość to zniewaga, mówi pełna oburzenia mina zbira. Jesteśmy zawodowcami.

– Przeszukane wszystko. Nawet przekopaliśmy węgiel i drewno.

– A tarasy?

– Wszystkie sprawdzone, jeden po drugim. Mam jeszcze ludzi na górze, na wszelki wypadek.

– To niemożliwe.

– Sam pan widzi.

Tizón stuka w ziemię końcówką laski zniecierpliwiony.

– Jestem pewien, że coś schrzaniłeś.

– Mówię panu, że nie. Proszę mi wierzyć. Wszystko zrobiliśmy tak, jak pan kazał. Sam sprawdziłem. – Oprawca drapie się po głowie zdezorientowany. – Gdyby przynajmniej widział pan jego twarz...

– Też mogłeś ją zobaczyć, kiedy przeszedł ci przed samym nosem. Idiota.

Szafot spuszcza głowę rozżalony. Mniej z powodu zniewagi, a bardziej przez sceptycyzm szefa. Rogelio Tizón przestaje się interesować swoim pomocnikiem i rusza w głąb ulicy, rozglądając się wokół.

– Ktoś musiał coś pominąć – mruczy pod nosem. – Na pewno.

Pomocnik idzie za nim z uszami po sobie. Postępuje tuż za nim, jak wierny kundel za swoim panem, mimo że ten go bije.

– Wszystko jest możliwe, panie komisarzu – przyznaje w końcu.

– Ale przysięgam, że zrobiliśmy wszystko, co dało się zrobić. Wczoraj otoczyliśmy bardzo szybko teren. Nie mógł odejść daleko.

W pobliżu słychać wybuch. Na Palillero właśnie spadła bomba. Szafot podskakuje, patrząc w tamtą stronę, a większość gapiów wycofuje się z okien i balkonów. Obojętny, skoncentrowany na swoich sprawach Rogelio Tizón dotarł przed fasadę kościoła Rosario. Jak wiele innych kościołów w Kadyksie także ten nie stoi wolno, ale równo z linią domów przy ulicy. Jedynie dzwonnice odcinają się wyraźnie od potężnych drzwi wejściowych, szeroko teraz otwartych. Wczoraj w nocy były zamknięte. Tizón zagląda do środka, przygląda się ambonie i bocznym nawom. W głębi, przy ołtarzu, świeci lampka przed tabernakulum.

– Poza tym – ciągnie Szafot, dołączając do niego – pozwoli pan, że tak powiem, potraktowałem to... No... Jako sprawę osobistą. Kiedy wszedłem na to podwórze, żeby się odlać, widok tej biednej małej zrobił na mnie wrażenie... Jezus Maria. Słyszał pan, jak krzyknąłem, żeby wszystkich zawiadomić. Dobrze, że był pan akurat blisko tego typu. Inaczej znów by nam uciekł.

Komisarz potrząsa głową z niedowierzaniem, wściekły. Upływają kolejne godziny i znów czuje zapach porażki. Starej dobrej znajomej w tej sprawie. Tego już nie da się znieść.

– Uciekł nam, tak czy inaczej. Ze mną czy beze mnie.

Szafot podnosi rękę, niezdarnie jak zwykle. Przez chwilę Tizón myśli, że położy mu ją na ramieniu. Rozwałę mu łeb tą laską, myśli. Jeśli tylko to zrobi.

– Niech pan tak nie mówi, komisarzu. – Widząc wyraz twarzy swojego szefa, zbir zatrzymuje dłoń w pół gestu. – Musi być jakiś sposób. Mając w sobie kulę z pistoletu, nie mógł odejść daleko stąd... Gdzieś będzie musiał opatrzyć ranę. Albo się ukryć.

Nie mam nawet siły, żeby przeklinać, stwierdza Tizón. Jestem zmęczony. I mam już tego wszystkiego dosyć.

– Mówisz, gdzieś.

– Tak właśnie.

W głębi ulicy, obok wejścia do kościoła Rosario znajduje się sala modlitewna Świętej Groty. Poniżej trójkątnego zwieńczenia wejścia drzwi stoją otworem.

– Tam też sprawdziliście?

Kolejne urażone spojrzenie. Które znów mówi, że taka wątpliwość to zniewaga.

– Naturalnie.

Rogelio Tizón zagląda za kraty, rzuca nieuważne spojrzenie i zamierza ruszyć dalej. Nagle, gdy już niemal wychodzi, coś przykuwa jego uwagę i każe mu popatrzeć jeszcze raz. Chodzi o przedmiot znajdujący się na końcu podwójnych schodów prowadzących w dół do grotty, w ich lewym biegu. Komisarz zna go, jak wszyscy mieszkańcy Kadyksu, stanowi część



konwencjonalnej dekoracji tego miejsca. Jest tam od zawsze albo prawie. Jednak okoliczności sprawiają, że teraz widzi go zupełnie inaczej. Przerażająco.

– Co się stało, panie komisarzu?

Rogelio Tizón nie odpowiada. Nadal się wpatruje, jakby sparaliżowany przez zaskoczenie, w witrynę stojącą po lewej stronie schodów na posadzce z białych i czarnych kamieni, niby na szachownicy. Wewnątrz witryny umieszczona jest rzeźba *Ecce Homo*, postać Chrystusa, jakich wiele spotyka się w kościołach tego miasta, Andaluzji i całej Hiszpanii, ukazująca jego męczeństwo. Od Heroda po Piłata. Nawet w swoim rodzaju, postać ze Świętej Groty jest wyjątkowo wyrazista: przywiązany do słupa człowiek ma ciało porozdzierane niezliczonymi krwawiącymi ranami, śladami uderzeń biczów jego katów. Figura ta przesadnie ukazuje agonię, bezbronność i absolutne cierpienie. I w tym momencie, jakby ktoś zdarł zasłonę z jego myśli, komisarz zdaje sobie sprawę, co to oznacza. Co przedstawia. Ufundowana przed trzydziestu laty przez pochodzącego z arystokracji księdza, już nieżyjącego – ojca Santamarfę, markiza de Valdemigo – Święta Grota jest prywatną podziemną salą modlitewną, znajdującą się jakby w piwnicy tego małego kościoła zbudowanego na planie elipsy. Część dolna przeznaczona jest do ascetycznych praktyk znanego w mieście religijnego bractwa – ludzi z pieniędzmi lub wysoką pozycją towarzyską – ortodoksyjnie przestrzegającego katolickich reguł. Trzy razy w tygodniu członkowie stowarzyszenia czczą tam kult sakramentów i oddają się rygorystycznie tradycyjnym praktykom religijnym. Łącznie z pokutnym biczowaniem. Chłosta, by zadać cierpienie ciału. Okiełznać je.

– A co z grota? – pyta.

Niepewne milczenie. Dokładnie trzy sekundy. Tizón nie patrzy na swojego pomocnika, tylko na szachownicę posadzki u stóp Chrystusa.

– Z grota?

– Tak powiedziałem. U góry jest kaplica, a na dole grota. Dlatego tak się nazywa to miejsce... Rozumiesz? Święta, bo jest święta, i grota, bo to grota. Może mam ci to narysować?

Szafot opiera się na jednej nodze, potem na drugiej. Skonsternowany.

– Myślałem...

– Ciekawe. No proszę, powiedz, co też myślałeś.

– Drzwi na dół są zawsze zamknięte. Stróż mówił, że klucz ma tylko dwudziestu kilku członków bractwa. Nawet on go nie ma.

– No i co?

– Tyle. – Zbir wzrusza ramionami wymijająco. – Nikt wczoraj w nocy nie mógł tam wejść. Bez klucza.

– Tylko członek bractwa.

Znów milczenie. Tym razem dłuższe i bardziej zakłopotane niż poprzednio. Szafot patrzy wszędzie, tylko nie w oczy swojego szefa.

– To jasne, panie komisarzu. Ale to szanowani ludzie. Pobożni. Chciałem powiedzieć, że to miejsce jest...

– Tajemne? Święte? Niedostępne? Poza wszelkim podejrzeniem?

Cielsko pomocnika wygląda, jakby zaraz miało przejść w stan płynny.

– No, nie żeby aż tak...

Tizón przerywa mu z palcem uniesionym w górę.

– Posłuchaj, Szafot...

– Tak, panie komisarzu.

– Niech cię szlag trafi. Ciebie i kurwę twoją mać.

Tizón zapomina o pomocniku. Wstrząsa nim teraz długi dreszcz, przeciągający się jak powstrzymywane ciche westchnienie. Niemal z nutą rozkoszy. Już nie jest zaskoczony ani wściekły, teraz ma skupiony wyraz twarzy, który upodabnia go do wilka. Minę

wytresowanego zwierzęcia, które wreszcie wyczuwa – lub odnajduje – ciepły ślad. Nagle wie, że to już nie przecucie, ale pewność. Schodząc w dół pod udreżonym spojrzeniem biczowanego Chrystusa, komisarz czuje pulsowanie własnej krwi, powolne i głośne, rozpraszające zmęczenie. Jest tak, jakby właśnie znów przeszedł przez jedno z tych niemożliwych czy nieprawdopodobnych miejsc, gdzie cisza staje się absolutna, a powietrze ulega zawieszeniu. Szklany klosz: wir prowadzący na kolejne pole szachownicy miasta i zatoki.

Właśnie zobaczył kolejny ruch. I teraz, zamiast się spieszyć, wykrzykiwać z radości lub mrużyć z zadowoleniem wobec perspektywy odnalezienia tropu, komisarz przechodzi na ukos przez czarno-białą posadzkę, nie otwierając ust, bardzo wolno, przygląda się wszystkiemu, nie gardzi najmniejszym nawet szczegółem, smakuje wrażenie, powodujące cierpienie palców zaciśniętych wokół laski. I tak podchodzi do zamkniętych drzwi do pieczary. Oby, myśli nagle, ta chwila doskonałej szczęśliwości mogła się nigdy nie skończyć.

– Jeśli pan chce, zaraz otworzymy – proponuje Szafot, idący tuż za nim. – To zajmie tylko chwilę.

– Zamknij się, do cholery.

Zamek jest typowy, otwiera się dużym kluczem. Jak wiele innych. Tizón wyjmuje z kieszeni swój komplet wytrychów i zamek ustępuje po niecałej minucie. Dziecinna fraszka. Krótki trask i już można swobodnie wejść do groty, w której nie ma światła. Tizón nie był tu nigdy wcześniej.

– Przynieś świecę z kaplicy – wydaje Szafotowi polecenie.

Z dołu dobiega zapach wilgoci i zamkniętego pomieszczenia – chłód otacza Tizona i potęguje się w miarę, jak wchodzi on głębiej do pieczary przy świetle gromnicy niesionej w górę przez jego pomocnika, idącego tuż za nim. Cień komisarza wciska się w głąb, odbija na ścianach. Każdy krok dudni w pustej przestrzeni. W przeciwieństwie do znajdującej się wyżej kaplicy, grotta jest pozbawiona jakiegokolwiek dekoracji – jej ściany są nagie i surowe. To tutaj biczownicy należący do bractwa odprawiają swoje rytuały. Nad jednym z łuków płomień świecy, którą niesie policyjny oprawca, oświetla czaszkę i piszczele namalowane na suficie. Poniżej widać suchą, burą plamę. Ślad krwi.

– O Matko Boska! – wykrzykuje Szafot.

Człowiek leży skulony w głębi groty, w kącie między murami: ciemny kształt, który sapie i jęczy przez zęby, niby osaczone zwierzę.

– Za pozwoleniem, panie kapitanie.

Simon Desfosseux odsuwa prawe oko od okularu teleskopu Dollonda, jeszcze z obrazem wieży kościoła Świętego Antoniego odbitym w źrenicy: odległość dwa tysiące osiemset siedemdziesiąt węzłów i nie udało się tam dotrzeć, myśli melancholijnie. Największy zasięg to dwa tysiące osiemset dwadzieścia osiem węzłów. Żadna z francuskich bomb, jakie spadły na Kadyks, nie doleciała dalej. I już nie doleci.

– Do roboty, Labiche. Proszę zabierać.

Z pomocą dwóch żołnierzy sierżant demontuje teleskop i składa trójnog, wszystko pakując do odpowiednich futerałów. Pozostałe przyrządy optyczne z wieży obserwacyjnej są już załadowane na wozy. Dollond został do samego końca, żeby obserwować ostatnie strzały z Cabezueli. Końcowy padł z Fanfana, jakieś dwadzieścia minut temu. Stufuntowa bomba, z ołowianym balastem i bezwładnym ładunkiem, spadła stanowczo za blisko i ledwo sięgnęła za mury. Smutny koniec.

– Jeszcze jakieś rozkazy, panie kapitanie?

– Nie, dziękuję. Możecie to już zabrać.

Sierżant salutuje i znika na drabinie razem ze swoimi dwoma ludźmi i ze sprzętem. Patrząc przez pusty otwór strzelniczy, Desfosseux obserwuje dym unoszący się pionowo – nie

ma ani krzty wiatru – w zanikającym świetle popołudnia nad większością francuskich pozycji. Wzdłuż całej linii frontu oddziały opuszczają swoje pozycje, palą wyposażenie, zagważdżają działa oblężnicze, których nie mogą ze sobą zabrać, i wrzucają je do morza. Wyjazd króla Józefa z Madrytu i plotka, że generał Wellington wkroczył do hiszpańskiej stolicy, stawiają francuskie wojska stacjonujące w Andaluzji w trudnej sytuacji. Zgodnie z rozkazami należy bezpiecznie przedostać się na drugą stronę przełęczy Despeñaperros. W Sewilli rozpoczęły się przygotowania do ewakuacji, wrzucono do rzeki zapasy prochu z wyspy Cartuja i zniszczono wszystko, co tylko się dało, w odlewni, arsenałach i fabrykach saletry. Cały Pierwszy Korpus wycofuje się na północ: muły, wózki i wozy z łupami zdobytymi podczas ostatnich grabieży, konwoje z rannymi, intendentura i hiszpańskie oddziały zaprzysiężone Francji, zbyt niepewne, żeby mogły zostać na tyłach. Wokół Kadyksu należy maskować te ruchy stałym ogniem artyleryjskim z pozycji pomiędzy kanałami obok Chiclany i z przybrzeżnych fortów od El Puerto do Roty. Co do Cabezueli, tylko mała bateria złożona z trzech ośmioletowych dział ma strzelać aż do ostatniej chwili w stronę Puntales, żeby zająć przeciwnika. Reszta sprzętu, którego nie da się ewakuować, zostanie utopiona w wodzie lub w przybrzeżnym błocie albo porzucona na redutach.

Raaaas. Bum. Raaaas. Bum. Dwa hiszpańskie pociski rozdzierają powietrze nad wieżą i wybuchają w pobliżu baraków, gdzie o tej porze Bertoldi powinien już skończyć palenie wszelkich oficjalnych dokumentów i niepotrzebnych papierów. Simon Desfosseux, który skulił głowę, słysząc przelatujące granaty, prostuje się i rzuca ostatnie spojrzenie na warowny zamek wroga w Puntales. Gołym okiem – w odległości pół mili – może dostrzec upartą hiszpańską flagę, która, choć poszarpana pociskami, powiewa cały czas bez choćby jednodniowej przerwy. Tamtejszy garnizon składa się z batalionu ochotników, starych artylerzystów i kilku Anglików obsługujących najwyższą baterię. Pełna nazwa tego fortu brzmi San Lorenzo del Puntales i kilka dni temu, podczas obchodów święta patrona, Desfosseux i Maurizio Bertoldi ujrzeli zadziwieni przez okular lunety, jak obrońcy fortu, odważnie stojąc na baczność w regulaminowym szyku mimo ognia artyleryjskiego ze strony Cabezueli, wiwatują podczas podnoszenia flagi.

A w głębi na prawo jest Kadyks. Kapitan się zamyśla, patrząc na białe miasto, odcinające się na tle czerwonego zachodu: widok, który po tak długiej obserwacji przez soczewki lunet i na mapach zna lepiej niż rodzinny dom i własną ojczyznę. Simon Desfosseux pragnie z całego serca, żeby już nigdy w życiu tutaj nie wrócić. Podobnie jak tysiące innych mężczyzn, nad tą zatoką podczas oblężenia zmarnował trzydzieści miesięcy i dwadzieścia dni życia, w zastoju nudy i bezradności czas rozkładał się jak brudny muł w tych bagnach. Bez chwały, choć słowo to jest mu obojętne. Bez sukcesu, satysfakcji czy pożytku.

Raaaas. Bum. Kolejny wystrzał. I następny. Bateria ośmioletowych dział nadal ostrzeliwuje Puntales, a hiszpański fort odpowiada ogniem. Kolejne pociski nieprzyjaciela przelatują obok wieży obserwacyjnej, a kapitan, znów kuląc głowę w ramionach, postanawia wreszcie odejść. Lepiej nie kusić losu, myśli, schodząc po drabinie. Wcale nie byłoby zabawnie w ostatniej chwili spotkać się z armatnim pociskiem. W myśli żegna się z panoramą, z pięcioma tysiącami pięćset siedemdziesięcioma czterema wystrzałami z dział różnego kalibru oddanymi z Cabezueli w kierunku miasta, co zostało zapisane w rejestrze operacji, który teraz pokryje kurz wojskowych archiwów. Z tej liczby zaledwie pięćset trzydzieści cztery bomby dotarły do Kadyksu, w większości te, które wypełnione były ołowiem, bez prochu. Reszta nie doleciała do celu i spadła do morza. Straty w mieście spowodowane przez bombardowania też nie będą powodem do odznaczenia Simona Desfosseux Legią Honorową: kilka zburzonych domów, piętnastu, może dwudziestu zabitych, około setki rannych. Oschły wyraz twarzy marszałka Soult'a i jego sztabu, kiedy kapitan został wezwany, by przedstawić ostateczny bilans tutejszych operacji, nie pozostawia wątpliwości. Nie sądzi, żeby jeszcze kiedyś ktokolwiek proponował mu awans.

W Cabezueli panuje chaos. Jak podczas wszelkich odwrótów. To tu, to tam leży na ziemi jakiś popsuty sprzęt, łoża dział i lawety płoną na ogniskach, do których dorzuca się te rzeczy, które mógłby wykorzystać nieprzyjaciół. Saperzy wyposażeni w piki, siekiery i kije niszczą wszystko, a pluton minerów pod dowództwem oficera inżynierii rozmieszcza proch i smołę oraz ładunki z lontami – wszystko to posłuży do podpalenia baraków. Pozostali piechurzy, artylerzyści i marynarze, w typowym dla takich sytuacji nieładzie, chodzą w pośpiechu z miejsca na miejsce, bezczelnie kradną co się da, ładują na wozy swoje manatki i łupy zdobyte w ostatnich godzinach przez grabież wsi i pobliskich domostw, bo teraz nikt nie zwraca specjalnej uwagi na maruderów, którzy gwałcą, rabują czy zabijają. Pokażne bagaże generałów i ich hiszpańskich kochanek rozsiadających się w powozach zarekwirowanych w Chiclanie i w El Puerto wyruszyły już dawno w kierunku Sewilli pod silną eskortą dragonów, a droga do Jerezu jest zapchana wozami, kawalerią i wojskiem pomieszanym z cywilami – rodziny francuskich oficerów, kolaboranci i hiszpańscy żołnierze, którzy przeszli na stronę francuską, a teraz obawiają się zemsty ze strony rodaków. Nikt nie chce iść na końcu, żeby nie dostać się w ręce partyzantów, którzy już się zbierają i kręcą wokół niczym okrutne drapieżniki, coraz bardziej bezczelni, czując w powietrzu krew. Choćby wczoraj dwudziestu ośmiu rannych i chorych, których pozostawiono bez eskorty pomiędzy Conil a Vejer, zostało pochwyconych przez miejscowych, a następnie obłożono ich wiązkami słomy polanej oliwą i spalono żywcem.

Schodząc po drabinie, kapitan widzi, że czterech minerów umieszcza ładunki zapalające przy belkach podpierających wieżę obserwacyjną. Jest bardzo gorąco, więc pocą się obficie w swoich niebieskich kurtkach z czarnymi wyłogami podczas rozkładania girland ze smoły i prochu. Stojący dalej oficer inżynierii, gruby porucznik ocierający brudną chustką twarz i szyję, dogląda swoich ludzi.

– Został ktoś na górze? – rzuca pytanie do Desfosseux, kiedy ten przechodzi obok niego.

– Nikt – odpowiada artylerzysta. – Cała wieża teraz należy do pana.

Porucznik potwierdza ruchem głowy, obojętnie. Jego oczy są wodniste i bez wyrazu. Nawet nie zsalutował Desfosseux, mimo wyższego stopnia. Po czym wykrzykuje rozkaz. Kiedy kapitan odchodzi, nie oglądając się za siebie, słyszy syk zapalającego się prochu, a zaraz potem trzask płomieni wspinających się po belkach i drabinie. Dociera do reduty haubic i spotyka tam Maurizia Bertoldiego, który patrzy na wieżę.

– Oto dwa lata naszego życia – komentuje Piemontczyk.

Dopiero wtedy kapitan się odwraca. Obserwatorium jest jak pochodnia płonąca wśród kłębowców czarnego dymu, wznoszących się prosto do nieba. Ci na drugim brzegu, myśli, będą mieli co podziwiać tej nocy. Sztuczne ognie i iluminacja od końca do końca, nad całą zatoką, prawdziwe pożegnalne święto z użyciem cesarskiego prochu.

– Jak tutaj wyglądają sprawy? – pyta.

Jego adiutant robi nieokreślony gest ręką. Można by powiedzieć, że określenia „wyglądać dobrze” albo „wyglądać źle” nie są odpowiednie wobec tego wszystkiego wokół.

– Już zagwoździliśmy wszystkie dwadzieścia pięć dział czterofuntowych, które zostawiamy – informuje. – Labiche wrzuci do wody tyle, ile zdąży... Cała reszta spalona albo zniszczona.

– Co z moim bagażem?

– Spakowany i załadowany, tak jak mój. Odjechały jakiś czas temu pod eskortą.

– Dobrze. Choć niewiele mamy do stracenia, tak pan, jak i ja.

Obaj oficerowie patrzą po sobie. Dwa smutne uśmiechy, pełne porozumienia. Od dawna są razem, słowa nie są już potrzebne. Obaj odjeżdżają stąd równie biedni, jak przyjechali. Zupełnie inaczej niż ich dowódcy, drapieżni generałowie, którzy wiozą święte kielichy z kościołów i srebrne zastawy z eleganckich domów, w których mieszkali.

– Jakie są rozkazy dla oficera, który zostaje z ośmiofuntowymi działami?

– Będzie strzelał aż do momentu, kiedy wszyscy opuścimy to miejsce. O ile manole nie wylądują tu zbyt wcześnie... O północy zagwoździ działą i odjedzie.

Krótki, sceptyczny śmiech adiutanta.

– Mam nadzieję, że wytrzyma do tego czasu i nie ucieknie wcześniej.

– Też mam taką nadzieję.

Potężny wybuch na brzegu, o dwie mile na północny zachód. Grzyb czarnego dymu unosi się nad zamkiem Świętej Katarzyny.

– Oni też się spieszą – zauważa Bertoldi.

Desfosseux przygląda się wnętrzu reduty haubic. Saperzy już tutaj byli: drewniane łoża są porąbane siekierami, a żelazne – rozmontowane. Ciężkie walce z brązu leżą porozrzucone na ziemi, przypominają trupy pozostałe po krwawej bitwie.

– Tak jak się pan obawiał, kapitanie, udało nam się zabrać tylko trzy haubice. Nie mamy dość ludzi ani środków transportu... Resztę trzeba zostawić.

– Ile Labiche wrzucił do wody?

– Jedną. Ale już nie ma jak zawieźć tam pozostałych. Teraz saperzy włożą do nich dużo prochu i zatkają wylot. Postaramy się, żeby przynajmniej popękały.

Desfosseux wskakuje do środka, między faszynę i połamane deski, podchodzi do dział. Ich widok robi na nim duże wrażenie. Leży tu biedny Fanfón, na szczątkach swojej lawety. Polerowany walec z brązu, blisko dziewięć stóp długości i jedna szerokości, przywodzi na myśl ogromnego ciemnego wieloryba, martwego, wyrzuconego na ląd.

– To tylko działą, panie kapitanie. Odlejemy następne.

– Po co? Na kolejny Kadyks?

Pod wpływem dziwnej melancholii Desfosseux głaszcząc czubkami palców znaki na metalu. Symbol odlewni, świeże ślady uderzeń młotów na trzpieniu. Brąz jest nietknięty, ani zadrażnienia.

– Dobre chłopaki – mruczy. – Wierne aż do końca.

Wychodzi na górę z uczuciem, jakby był zdradzieckim dowódcą, który opuszcza swoich ludzi. Nadal trwa ogień z ośmioletowych dział leżącej poniżej baterii. Hiszpański granat wystrzelony z Puntales wybuchą w odległości trzydziestu kroków, przez co znów się kuli, podczas gdy Bertoldi, zwinny jak kot, skacze z parapetu prosto na niego, pośród kamieni i odłamków, które toczą się bardzo blisko obok. Niemal w tym samym momencie słychać krzyki z miejsca, gdzie spadła bomba: jacyś nieszczęśnicy musieli oberwać, wnioskuje Desfosseux, kiedy razem z adiutantem wstają, otrzępując się z ziemi. Trzeba mieć pecha, myśli. Dostać w ostatniej chwili, kiedy wozy sanitarne już są w Jerezie. Jeszcze nie opadł pył, kiedy widzi, jak na umocnieniu w górze pojawia się porucznik inżynierii z kilkoma spośród swoich ludzi, którzy niosą ciężkie skrzynie z narzędziami i ładunki burzące.

– Wygląda, że te sukinsyny dobrze się bawią.

Pozostawiając Fanfana i jego braci na łasce saperów, kapitan wraz z adiutantem opuszczają redutę i przechodzą po pomoście prowadzącym do baraków, w których wszystko też zaczyna płonąć. Gorąco bijące od pożaru jest nieznośne, wydaje się, że płomienie wprawiają w falowanie powietrze w oddali, gdzie rozproszone szeregi jeźdźców, artylerzystów i żołnierzy piechoty, pchających wozy i niosących ciężary wszelkiego rodzaju, zlewają się w niebiesko-szaroburą lawę, która przelewa się powoli drogą do El Puerto. Dwanaście tysięcy ludzi w odwrocie.

– Mamy przed sobą niezły spacer – stwierdza Bertoldi z rezygnacją. – Aż do Francji.

– Obawiam się, że nawet dalej. Mówią, że teraz idziemy na Rosję.

– Cholerny świat!

Simon Desfosseux spogląda ostatni raz za siebie, w stronę odległego, nieosiągalnego miasta, które teraz powoli barwi się na czerwono w świetle zachodu nad zatoką. Mam nadzieję, że ten dziwny policjant znalazł w końcu tego, kogo szukał.

Ciepła nadmorska noc. Ani najłżejszej bryzy w gorącym, nieruchomym powietrzu. Nie słychać też żadnych hałasów. Tylko głosy dwóch cicho rozmawiających mężczyzn w półmroku przy stojącej na ziemi latarni, pośród ruin na podwórzu zamku Straży Morskiej, obok wyrwy w murze, przez którą widać ulicę Silencio.

– Prosi mnie pan o zbyt wiele – mówi Hipolito Barrull.

Rogelio Tizón milknie na chwilę. O nic pana nie proszę, odpowiada w końcu. Tylko chciałbym poznać pańską wersję zdarzeń. Pański punkt widzenia. Jest pan jedyną osobą na tyle rozumną, żeby dać mi to, czego potrzebuję: racjonalnego wytłumaczenia. Naukowego spojrzenia, które uporządkuje to, czego się dowiedziałem.

– Moim zdaniem niewiele tu do porządkowania. Nie zawsze jest możliwe... Ciągłe natykamy się na jakiś szyfr, do którego nie mamy dostępu. Jeszcze nie mamy, oczywiście. Trzeba będzie wieków, żeby wszystko pojąć.

– Mydlarz – cedzi komisarz przez zęby.

Jest zawiedziony. Nawet zakłopotany.

– Przeklęty, zwykły mydlarz – powtarza po chwili.

Czuje na sobie spojrzenie nauczyciela. Błysk latarni w podwójnym odbiciu szkielek okularów.

– Czemu nie?... To nie ma znaczenia. Chodzi o wrażliwość.

– Proszę powiedzieć, jakie jest pańskie zdanie.

Barrull odwraca twarz. Widać, że czuje się tu niewygodnie. Od dobrej chwili początkowa ciekawość ustąpiła miejsca niechęci. Od kiedy wyszedł z piwnicy zamku, zachowuje się inaczej. Wymijająco.

– Rozmawiałem z nim tylko przez pół godziny.

Tizón nic nie mówi. Tylko czeka. Po chwili dostrzega, że nauczyciel rozgląda się wokół, pośród mroków starego budynku, ciemnego i opuszczonego.

– To człowiek z obsesją na punkcie precyzji – odzywa się w końcu Barrull. – Zapewne związek jego rzemiosła z chemią ma tu znaczenie... Stosuje, że tak powiem, własny system miar i wag. Prawdziwe dziecko naszych czasów... I ma do tego pełne prawo. To duch kwantyfikacyjny, tak to ujmę. Geometryczny.

– A więc nie wariat.

– To słowo, komisarzu, jest obosieczne. Niebezpieczna mieszanka.

– Proszę więc lepiej mi go opisać. Określić.

Gdybym to mógł, odpowiada nauczyciel. Potrafi wyobrazić sobie zaledwie niewielką część całości. Jeśli mowa o obsesji na punkcie precyzji, oznacza to dbałość o szczegóły. Zwłaszcza jeśli się ma umysł matematyczny. Bez wątplenia to ten właśnie przypadek. On posiada obie cechy. Choć nigdy nie odebrał naukowego wykształcenia, jest matematykiem w sposób naturalny. Zdolnym do zauważania regularności, praw ukrytych w ogromnej liczbie danych wszelkiego rodzaju, dotyczących powietrza, wiatru, zakątków w mieście...

– Wie pan, co mam na myśli – mówi na koniec.

– Dlaczego zabija?

– Sądzę, że pycha ma tu pewne znaczenie... Ale też bunt. I żal.

– Ciekawe, że mówi pan o żalu. Ten człowiek miał córkę... Umarła przed dwunastoma laty podczas epidemii żółtej febry. Miała szesnaście lat.

Teraz Barrull przygląda mu się z zainteresowaniem. I rezerwą. Tizón lekko kręci głową. Spogląda w jedną stronę, potem w drugą. Jego oczy wypełnia mrok.

– Tak samo jak moja – dodaje.

Chłodno przypomina sobie długie przesłuchanie na dole. Osłupienie Szafota, kiedy kazał mu przyprowadzić mydlarza tutaj, a nie do więzienia przy ulicy Mirador. Powierzchnowe opatrzenie rany od kuli tkwiącej w kości w prawym biodrze. Pytania i krzyki bólu. Wyrz

twarzą Hipolita Barrulla, kiedy Tizón zaprowadził go do podziemi zrujnowanego zamku. Jego początkowe przerażenie i konsternacja. Od dziesięciu lat mówi pan, że jest moim przyjacielem, profesorze. Proszę teraz mi to okazać. Ma pan pół godziny, żeby doskrobać się do duszy tego typu, zanim stanie twarzą w twarz ze wszystkimi demonami, swoimi i moimi.

– Proszę, niech pan mówi dalej. Proszę powiedzieć, co pan myśli.

Barrull zwleka chwilę z odpowiedzią, tymczasem Rogelio Tizón rozmyśla nad rozmową, przy której był obecny przed chwilą, oparty o ścianę, paląc cygaro. Obserwował nauczyciela, który siedząc na rozwalającym się krześle, przy świetle olejnego kaganka, rozmawiał z człowiekiem, którego nadgarstki i kostki zakute były w żelazne kajdany, leżącym na starym sienniku na ziemi, z marnym opatrunkiem wokół pasa. Szelest słów wypowiedzianych po cichu, szeptów niemal, gdy olejny płomień błyskał odbity od tłustej skóry mydlarza i w jego źrenicach rozszerzonych kroplą laudanum – tylko jedną – wlaną do szklanki wody. Chcę, żeby był przytomny i nie odczuwał zbytniego bólu, wyjaśnił Tizón. Zdolny do rozumowania. Tylko przez chwilę, po to, żeby pan z nim porozmawiał. Potem jest mi wszystko jedno, czy będzie go bolało, czy nie.

– Jest jasne, że człowiek ten buntuje się przeciwko naszej prozaicznej wizji świata – odzywa się w końcu Barrull. – Produkcja mydła nie jest dla niego zwykłą pracą, ale dziełem najwyższej precyzji: wymaga absolutnej dokładności w zestawianiu poszczególnych ingrediencji, z którymi pracuje. Których dotyka i wacha. I które znajdują się na skórze innych. Przede wszystkim młodych kobiet... Tych, które codziennie wchodziły do jego sklepu, żeby zamówić to czy tamto.

– Sukinsyn.

– Proszę nie upraszczać, komisarzu.

– Może chce pan powiedzieć, że to nie tylko naukowiec, ale i artysta?

– On sam za takiego się uważa, prawdopodobnie. Być może dzięki temu czuje się uwznioślony ponad zwyczajnego wytwórcę mydła. Zapewne ma wrażliwą głębię. I w związku z tą wrażliwością zabija.

Wrażliwość. Słyszając to słowo, Tizón śmieje się kwaśno.

– Ten kańczug z plecionym drutem... Miał go przy sobie. Znaleźliśmy go w grocie.

– Myślę, że bractwo biczowników podsunęło mu pomysł.

– Nie był nawet jego rzeczywistym członkiem. Do Świętej Groty przyjmowane są wyłącznie osoby ze szlacheckim pochodzeniem... Był pomocnikiem przy odprawianiu ceremonii. Kimś w rodzaju lokaja albo ministranta.

Tizón spogląda w niebo. Ponad wyszczerbionymi, ponurymi murami pogrążonego w mroku zamczyska świecą gwiazdy. Równie zimne jak teraz jego myśli. Nigdy nie doświadczył podobnej precyzji rozumowania. Jasności co do chwili obecnej i przyszłości.

– Jak mógł przewidywać spadnięcie bomb?

– Wytrenował to u siebie. Potrafił wyczuć, że Kadyks jest szczególnym miejscem, złożonym z morza, wiatru i takiej struktury miejskiej, która je ze sobą zestawia i doprowadza gdzie trzeba.

Dla niego to nie tylko zespół budynków zamieszkałych przez ludzi, ale konglomerat ruchu powietrza, ciszy, dźwięków, temperatury, światła, zapachów...

– Czyli byliśmy na dobrej drodze.

– Najzupełniej. Pan to wykazał. Podobnie jak ten człowiek, ułożył pan w głowie zupełnie szczególną mapę miasta, utworzoną z podobnych elementów. Miasto równoległe. Ukryte.

Następuje długie milczenie, którego policjant nie chce przerywać. Wreszcie Barrull porusza się nieco w słabym świetle lampy. Niespokojnie.

– Do diabła – mówi. – Skomplikowana sprawa, komisarzu... Tylko mogę sobie to wyobrazić. Rozmawiałem z nim ledwo pół godziny. Nie jestem pewien, czy powinienem mieszać się...

Tizón unosi dłoń, jakby odrzucał wymówki. Niecierpliwym gestem. Tej nocy nie ma zbyt wiele czasu.

– Co do bomb... Proszę mi powiedzieć, gdzie się pojawiają, po i przed.

Tym razem milczenie jest krótkie. Z refleksją. Barrull znów siedzi nieruchomo. Mógłbym zaryzykować pewną teorię, mówi w końcu. To tylko taka myśl, bez żadnych podstaw naukowych. Kiedy zaczęły grzmieć francuskie działa, skomplikowany świat chemika-mydlarza rozwijał się w nieprzewidywalnych kierunkach. Być może początkowo obawiał się, że stanie się ofiarą nieprzyjacielskiego pocisku. Może chodził oglądać miejsca, gdzie spadły bomby, przyciągany tam przez satysfakcję, że udało mu się wyjść z niebezpieczeństwa bez szwanku. Mogło się zdarzyć i tak, że to odczucie ulgi utorowało drogę innym emocjom.

– Pragnieniu wystawienia się na strzał? – pyta Tizón. – Chęci ryzyka?

– Niewykluczone. Być może chciał się znaleźć na samym końcu potencjalnej krzywej balistycznej, w niebezpiecznej części... Jego instynkt i wrażliwość skłaniały go do próby wpływania na rzeczywistość.

– Zabijając?

– Tak. Dlaczego nie? Proszę się zastanowić: zabrać życie ludzkie w miejscu, gdzie spadła bomba, nie zabijając. Zrównoważenie błędu nauki. Współpraca z niedoskonałą techniką dzięki zmysłowi precyzji. W ten sposób życie i miejsce wybuchu bomby zbiegają się z absolutną dokładnością.

– A jak przeszedł do etapu wyprzedzania bomb?

Światło lampy oświetla od dołu grymas na końskiej twarzy Barrulla. Prawie wygląda to jak uśmiech.

– Tak jak zrobił to pan, w pewnym sensie... Obsesja, której towarzyszy skrajna wrażliwość, może stwarzać potwory. A człowiek ten opętany jest taką właśnie obsesją. Wywnioskował, że przypadek nie istnieje, i poczuł pragnienie, żeby precyzyjnie przepowiadać, gdzie spadną kolejne bomby. Rzucając wyzwanie oszukańczemu bastardowi ignorancji.

– I wtedy zaczął myśleć.

Policjant widzi, że Barrull spogląda na niego z zainteresowaniem, jakby zaskoczyła go trafna ocena.

– Właśnie. Sądzę, że tak właśnie było. Tylko to robił: myślał i myślał. A jego chora inteligencja i nadzwyczajna wrażliwość dokonały reszty z pomocą zimnej precyzji. Rezultatem było jego wyjątkowe okrucieństwo...

– Tylko techniczne?

Ma świadomość, że powiedział to jak ktoś, kto dobrze wie, o czym mówi. Jednak rozmówca nie wydaje się przypisywać znaczenia do jego tonu. Nadal jest skupiony na swojej teorii.

– Tak uważam – odpowiada. – Techniczne, obiektywne... Przywracał światu jego reguły, rozumie pan?

– Rozumiem.

Policjant rozumie naprawdę. Już od dobrej chwili. Odległości redukują się w zawrotnym tempie, stwierdza. Wręcz niepokojącym. Jakich to słów użył nauczyciel? Tak, już pamięta: bunt i żal. Wizja świata zgodna z prawdą natury. Kondycja ludzka i kondycja wszechświata. Mrówki pod butem okrutnego boga, obojętnego na wszystko. Sprawcza dłoń. Stalowy kańczug.

– Porządkował chaos – mówi Barrull – poprzez redukcję cierpienia do prostych praw naturalnych. Znając dobrze miasto, mydlarz odszukał w Kadyksie wrażliwe węzły. Może nawet miał na to wpływ zmysł węchu, właściwy jego rzemiosłu – powietrze, zapachy. I wtedy zadał sobie pytanie... Czy czasem te właśnie punkty nie są najczęstszym miejscem trafień francuskich bomb – ze względu, na przykład, na kierunek i zbieżność wiatrów? Zaczął więc



analizować, tak jak później zrobił to pan, miejsca wybuchów. W ten sposób w swojej głowie nakreślił mapę miejsc, gdzie spadły bomby, i zaczął im przypisywać stopnie prawdopodobieństwa. I na tej wyobrażonej mapie różnymi barwami zaznaczył strefy prawdopodobieństwa mniejszego i większego... Jego matematyczny umysł przeanalizował cały teren i dostrzegał różne rzeczy, nieregularności, krzywe i trajektorie. Określił puste miejsca, które się wypełnią. To rachunek prawdopodobieństwa, nie przypadek... Dokładna matematyka.

Tizón przerywa mu z perwersyjną satysfakcją.

– Nie tak dokładna – mówi. – Raz się pomylił. Na ulicy Laurel nigdy nie spadła żadna bomba.

– To czyni naszą teorię jeszcze bardziej racjonalną. Przyznaje jej margines błędu... Nie sądzi pan?

Tym razem też policjant nie odpowiada. Daremne oczekiwanie i pokusa, żeby odwrócić wszystko. I własne błędy na szachownicy, ich cały łańcuch. Łącznie z ostatnim błędnym posunięciem: królewskim gambitem.

– Rzecz polega na tym – kontynuuje Barrull – że w tych pustych miejscach czekających na swoje bomby mydlarz zabijał... Już nie chodziło o usunięcie braku precyzji w nauce czy technice. A nawet nie o wypełnienie cudzym bólem pustki po utraconym dziecku... Chciał potwierdzić, raz za razem, że posiadał arkana wiedzy.

– I stąd to ostateczne wyzwanie.

– Tak sądzę. Wiedział, że ktoś jest na jego tropie, i podjął grę. Dlatego tak długo czekał, nikogo nie zabijając. Czyhając na czyhającego. I kiedy uznał, że jest gotów, postanowił zbić panu inną figurę, niż się pan spodziewał. Udało mu się to, ale zabrakło mu zaledwie kilku minut.

Policjant wybucha śmiechem, który odbija się echem od czarnych zamkowych murów. Jest równie złowrogi jak okolica.

– Przez to, że Szafotowi zachciało się sikać... Przypadek!

– Właśnie! Mydlarz tego nie przewidział w rachunku prawdopodobieństwa.

Obaj milkną. Powietrze nadal stoi nieruchomo, nie ma najmniejszego powiewu bryzy. Niebo jest czarną kurtyną, podziurawioną szpilkami.

– Jestem pewien – dodaje Barrull po chwili – że nawet nie czuł przyjemności, gdy zabijał.

– To prawdopodobne.

Odgłos kroków. Dwie sylwetki rysują się po drugiej stronie otworu, od strony ulicy. Jedna jest wielka, masywna, odcina się w mroku nieco z przodu. Tizón rozpoznaje Szafota.

– Jest tutaj, panie komisarzu.

– Przychodźcie sami?

– Tak. Jak pan kazał.

Policjant odwraca się do Hipolita Barrulla.

– A teraz poproszę, żeby pan odszedł, profesorze... Jestem panu bardzo wdzięczny. Ale teraz powinien pan odejść.

Barrull spogląda na niego z troską. Pytająco. Kolejne dwa błyski lampy w szklach okularów.

– Kim jest ten drugi?

Tizón waha się przez moment. Zresztą wszystko jedno, stwierdza. Przy tej wysokości stawki.

– Ojciec ostatniej zamordowanej dziewczyny.

Barrull się cofa, jakby starał się ukryć przed czymś w ciemności. Narzucić dystans. Jak koń na szachownicy, myśli policjant. Wycofuje się skokiem z niebezpiecznego pola.

– Co pan zamierza zrobić?

To jedno z pytań, które lepiej, żeby pozostało bez odpowiedzi. I Tizón nie zadaje sobie trudu, żeby jej udzielić. Jest tak spokojny, że choć wokół panuje gorąca noc, ma zimne dłonie.

– Proszę już iść – mówi. – Nigdy tu pana nie było. Nikt o tym nie wie.

Nauczyciel chwilę jeszcze pozostaje bez ruchu. W końcu robi krok w stronę Tizona. Jego twarz znajduje się teraz w kręgu światła. Ciemności od góry i od dołu, podwójny refleks płomienia w szklach. Jest poważny.

– Proszę być ostrożny – szeptem. – Czasy się zmieniły. Konstytucja... Sam pan wie. Nowe prawa.

– Tak. Nowe prawa.

Uścisk dłoni, mocny uchwyt, przedłużony ze strony Barrulla, który patrzy na Tizona, jakby widział go po raz ostatni. Przez moment wydaje się, że chce jeszcze coś dodać, ale tylko wzrusza ramionami.

– To był dla mnie zaszczyt, komisarzu. Ze mogłem pomóc.

– Żegnam, profesorze.

Nauczyciel odwraca się plecami bardzo szybko, przechodzi przez otwór w murze i znika na ulicy Silencio. Tizón wyjmuje skórzane pudełko, a z niego cygaro, podczas gdy podchodzą do niego Szafot i druga postać. Światło lampy stojącej na ziemi oświetla, obok oprawcy, człowieka średniego wzrostu, o ubogim wyglądzie, który robi kilka kroków i staje nieruchomo, milcząc.

– Możesz już iść. – Tizón wydaje polecenie swojemu pomocnikowi.

Szafot wykonuje je posłusznie, odchodząc przez dziurę w murze.

Komisarz odwraca się do przybysza. Zauważa błysk metalu za jego pasem.

– Jest na dole – mówi.

Kręcone schody toną w głębi niczym czarna spirala w koszmarnym śnie. Felipe Mojarra schodzi nimi po omacku, opierając ręce na wilgotnym, zimnym murze, unikając kawałków gruzu leżących na stopniach. Czasami staje i nasłuchuje, jednak czuje wyłącznie dziwne piwniczne powietrze. Przerazenie i ból – do wszystkiego można się przyzwyczaić z upływem godzin i zwykłym biegiem życia – ustąpiły miejsca kompletnej rozpacz, nieodwracalnej, spokojnej niczym gładka woda kanałów w spokojną noc. Czuje suchość w ustach i szorstkość skóry, niewrażliwej na nic poza miarowym pulsem, powolnie i mocno bijącym w nadgarstkach i skroniach. Czasem bicie to wydaje się ustawać na chwilę, a wtedy doświadcza dziwnej pustki w piersi, jakby oddech i samo serce się zatrzymały.

Warzelnik soli dalej schodzi po stopniach. Bardzo wyraźny obraz stoi mu przed oczami albo w nich, choć mruga i zaciska je, zstępując w zawrót głowy przez ponurą spiralę, która wydaje się nie mieć końca: nagie ciało, martwe i bezosobowe, leżące na marmurowej bieli stołu. Jeszcze trawi mu gardło własny jęk osłupienia, beznadziejna skarga, głucha i uparta, wobec tego, czego nie da się wyjaśnić, wobec absurdalności tego wszystkiego. Niesprawiedliwości. A potem, niby kropla zimnej żółci w trzewiach, przeraźliwy smutek, że nie rozpoznaje w tych bladych, rozdartych zwłokach – które czuć otwartymi wnętrznościami, mimo że były myte wiadrami wody stojącej jeszcze na ziemi w miejskiej kostnicy – miękkiego, drobnego ciała, które kiedyś trzymał w ramionach. Ani zapachu lekkiej gorączki, snu. Delikatnego, ciepłego ciała małej dziewczynki, której nie będzie już więcej pamiętał takiej jak przedtem.

Na ostatnich stopniach w dole widać jasność. Felipe Mojarra zatrzymuje się z ręką opartą na murze i czeka, żeby serce znów zaczęło mu bić, a puls wrócił do normalnego tempa. Oddycha głęboko kilka razy i wreszcie pokonuje ostatni kawałek schodów. Prowadzą one do pustej izby z łukowym sklepieniem, którą ledwo oświetla łojowa świeca, niemal wypalona, ustawiona w zagłębieniu muru. W chwiejnym płomieniu widać nagiego mężczyznę z narzuconym tylko na ramiona kocem i brudnym bandażem wokół pasa. Siedzi na podartym

sienniku, oparty plecami o ścianę; opuszczona głowa spoczywa na ramionach założonych za kolana, jakby drzemał, ręce i nogi ma skute żelaznymi kajdanami. Widząc go, Mojarra czuje, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa, i siada na ostatnim stopniu. Pozostaje tak przez dłuższą chwilę, bez ruchu, patrząc na więźnia. Ten na początku nie daje poznać po sobie, że zauważa jego obecność. Wreszcie podnosi głowę i patrzy na warzelnika, który wbija wzrok w nieznajomego – człowieka w średnim wieku, o rudawych włosach i piegowatej skórze. Siniaki po biciu na całym ciele. Oczy mocno podkrążone od bólu i braku snu. Od dolnej wargi, szeroko rozdarłej, ciągnie się aż do brody strup zaschniętej krwi.

Żaden z nich nic nie mówi. Patrzą na siebie przez chwilę, po czym więzień znów kładzie głowę na ramiona obojętnie. Felipe Mojarra czeka, aż wypełni się pustka w jego sercu, po czym wstaje z ogromnym wysiłkiem. Drobne, ciepłe ciało, wspomina. Miły zapach śpiącego dziecka. Kiedy otwiera nóż w ciszy podziemia i rozbrzmiewa trzask siedmiu trybików, zakuty w kajdany człowiek podnosi głowę.

Rogelio Tizón pali oparty o mur. Księżyc, wschodzący za wyszczerbionymi blankami wieży zamku Straży Morskiej, rozlewa mleczną światłość, nadającą kształty gruzom i pojedynczym kamieniom na podwórzu. Wydaje się, że jedynie żar cygara policjanta, jaśniejący co jakiś czas, jest tu żywy; gdyby nie ten jasny punkt, to mimo latarni, której ostatni płomień dogasa powoli, obserwator mógłby wziąć komisarza za jeden z cieni, pośród których stoi nieruchomo.

Krzyki i jęki ustały przed chwilą. Przez blisko godzinę Tizón słuchał ich z zawodową ciekawością. Docierały, stłumione przez odległość i grube mury, od schodów prowadzących do piwnicy, których wylot kryje ciemność, kilka kroków od niego. Słyszał krótkie, suche krzyki, szybkie jęki od razu gasnące. Inne znów brzmiały dłużej, niekończące się rżenie w agonii, jakby ten, kto je wydawał, wyczerpał całą energię i desperację. Teraz jest już cicho, komisarz jednak się nie rusza. Czeka.

Powolne, niepewne kroki. Bliska obecność. Postać, która wyszła z szybu schodów, porusza się chwiejnie w stronę Tizona. W końcu staje przy nim.

– Gotowe – mówi Felipe Mojarra.

W jego głosie pobrzmiwa zmęczenie. Bez słowa policjant wyjmuje z pudełka cygaro i mu je podaje, dotykając jego ramienia, żeby to zauważył. Mężczyzna nie reaguje od razu, wreszcie dostrzega gest i bierze cygaro. Tizón zapala o mur zapałkę i podsuwa płomień. W tym świetle przypatruje się warzelnikowi, który nieco pochyła się, żeby zapalić: bokobrody okalają jego twardą twarz z oczami patrzącymi w pustkę, pochłoniętymi jeszcze widokiem własnych i cudzych horrorów. Dostrzega też lekkie drżenie wilgotnych czerwonych palców, które plamią krwią cygaro.

– Nie wiedziałem, że można krzyczeć nawet bez języka – odzywa się w końcu Mojarra, wypuszczając dym.

Wydaje się naprawdę zdziwiony. Rogelio Tizón śmieje się w ciemności. Wygląda tak samo jak zwykle: niebezpieczny, podobny do wilka, odsłania kiel. Błysk złota z boku ust.

– Sam pan widział. Można.

## Epilog

Pada deszcz nad zatoką Roty. To ciepła, letnia mżawka – niebo rozjaśni się od południowego zachodu jeszcze przed zmrokiem – dziurawiąca drobnymi kropelkami nieruchomą wodę. Nie ma ani odrobiny wiatru. Ołowiane niebo, niskie i melancholijne, odbija się w zatoce, tworząc ramę dla dalekiego miasta, niczym rycina lub obraz, na którym pejzaż ma tylko dwa kolory, biały i szary. Na końcu plaży, gdzie piasek przecinają pasma czarnych skał i wiechcie martwych alg, stoi kobieta patrząca na wrak statku na mieliźnie, w niewielkiej odległości od brzegu: skorupa pozbawiona masztu, na pokładzie można wyraźnie zobaczyć ślady po kulach i po pożarze. Kadłub, którego wysmukłej linii można się jeszcze domyślić, leży na burcie, ukazując ładownie, zniszczony pokład i część wewnętrznej konstrukcji – stępkę i wręgi, przypominając szkielet, który upływ dni i fale burzowe powoli odzierają z ciała.

Patrząc na to, co zostało z „Culebry”, Lolita Palma stoi nieruchomo w letnim deszczu, wsiąkającym powoli w mantylkę przykrywającą jej głowę i ramiona. W dłoniach, blisko przy piersi, trzyma torebkę. I już od dobrej chwili próbuje sobie to wyobrazić. Stara się odtworzyć w głowie ostatnie chwile statku, którego wrak ma przed sobą. Jej spokojny wzrok przesuwając się z jednego końca na drugi, oblicza odległość od lądu, szacuje bliskość skał wystających z wody i zasięg dział, które niedawno jeszcze stały w pustych teraz otworach strzelniczych w fortach wokół zatoki. Odtwarza też w swojej wyobraźni ciemność, niepewność, huk, jasność wybuchów. I za każdym razem, kiedy uda jej się coś ustalić, zobaczyć jakiś obraz, odgadnąć konkretny moment czy sytuację, pochyla lekko głowę wzruszona. Zdziwiona, ku swej rozpaczy, tym wszystkim, co wielkiego, mrocznego i budzącego lęk mieści w sobie serce pewnych mężczyzn. Potem znów unosi głowę i zmusza się do dalszego patrzenia. Pachnie tu mokrym piaskiem, morskimi glonami. Na wodzie w kolorze stali od każdej kropelki koncentryczne kręgi rozchodzą się z geometryczną precyzją, nakładają jedne na drugie, pokrywając całą przestrzeń pomiędzy brzegiem a martwym kadłubem kutra.

Lolita Palma w końcu odwraca się plecami do morza i idzie w kierunku Roty. Po lewej stronie, gdzie molo wchodzi w głąb morza, stoi zakotwiczonych kilka niewielkich łodzi z podniesionymi żaglami łacińskimi, postawionymi po to, żeby wyprał je deszcz, wiszącymi na rejach jak mokre pranie. Obok pomostu widoczne są resztki rozebranych fortyfikacji, zapewne była tu bateria artylerii, jedna z tych, które broniły tego kawałka wybrzeża. Jeszcze widać zwiędłe kwiatki z wieńców, jakimi mieszkańcy Kadyksu przybrali swoje forty tego dnia, gdy wycofały się francuskie wojska; kiedy pod olśniewającym słońcem, przy akompaniamencie wszystkich dzwonów w mieście, bijących na chwałę, setki łodzi popłynęły na drugą stronę zatoki, podczas gdy całe chmury zaprzęgów i wozów posuwały się drogą przez mierzeję, wioząc mieszkańców Kadyksu fetujący wyzwolenie w wielkiej pielgrzymce na opuszczone pozycje nieprzyjaciela. Choć też nie brakowało, mimo oficjalnej radości, ukrywanych oznak żalu za kończącymi się właśnie czasami zyskownych spekulacji handlowych i korzystnego wynajmowania i podnajmowania mieszkań. Jak trafnie zauważył kuzyn Toño pomiędzy dwiema kolejnymi butelkami wina z Jerezu – wreszcie docierającego do Kadyksu bez ograniczeń – widząc posmutniałe twarze wśród swoich znajomych, czasem ojczyzna jest daleko od kieszeni.

Po drugiej stronie murów, w górze, ulice Roty ukazują jeszcze ślady zniszczeń i grabieży. Szare niebo i drobny deszcz, który nadal pada, podkreślają smutek pejzażu: zniszczone domy, ulice poprzecinane zwałami gruzu i barykadami, obrazy okropnej nędzy, ludzie zrujnowani przez wojnę, żebrzący w podcieniach lub kocujący pomiędzy murami budynków bez dachu, pokrytych płótnem i byle jak pozbijanymi deskami. Nawet kraty z okien pozniwały. Jak wszystkie wioski w okolicy, Rota została zdewastowana przy ostatnich rabunkach, morderstwach i gwałtach popełnionych podczas odwrotu francuskich oddziałów. Poza tym wiele kobiet z okolic dobrowolnie wędrowało z cesarskim wojskiem. Z grupy czternastu kobiet schwytych przez partyzantów w okolicach Jerezu, kiedy jechały na wlokących się z tyłu wozach intendentury francuskiej, cztery zostały zabite, a osiem wystawiono na publiczną hańbę, z ogolonymi głowami, pod wielkim napisem: *Dziwki zabojadów*.

Przechodząc między kościołem parafialnym – połamane drzwi, puste wnętrza – a starym zamkiem, Lolita Palma zatrzymuje się, próbuje odnaleźć właściwy kierunek i potem rusza ulicą w lewo, ku dużemu budynkowi, na którym zachowało się nieco tynku w kolorze bieli i ochry, pokrywającego niegdyś jego ściany z cegły. Pod lukiem w wejściu czeka lokaj Santos, paląc papierosa, ze złożonym parasolem pod pachą. Widząc, że zbliża się jego pani, stary marynarz upuszcza na ziemię cygaro i wychodzi jej naprzeciw, otwierając parasol, jednak Lolita powstrzymuje go gestem dłoni.

– Czy to tutaj?

– Tak, proszę pani.

Wnętrze budynku – dawnego magazynu wina, jeszcze z kilkoma wielkimi, poczerńiałymi beczkami pod ścianami – jest oświetlone przez wąskie okienka, umieszczone bardzo wysoko. Szara, widmowa jasność, której prawie nie ma, nadaje temu miejscu atmosferę ogromnego smutku, podkreślaną jeszcze kwaśnym odorem okaleczonych ciał, chorych i brudnych, bijącym od setki cierpiących nieszczęśliwych leżących w rzędach na cienkich materacach z kukurydzianych liści albo na zwykłych kocach rozłożonych na ziemi.

– Nie jest to przyjemne miejsce – zauważa Santos.

Lolita Palma nie odpowiada. Zdjęła mantylkę, strząsnęła z niej krople wody i próbuje powstrzymać oddech, żeby ten widok i przyprawiający o mdłości fetor, którym przesiąknięte jest powietrze, nie wpłynęły na nią do tego stopnia, by straciła panowanie nad sobą. Pomocnik chirurga z Królewskiej Floty, młody, o zmęczonym wyglądzie, w brudnym fartuchu nałożonym na niebieski mundur, z podwiniętymi rękawami, wychodzi jej na spotkanie, składa wyrazy uszanowania i wskazuje miejsce w głębi sali. Zostawiając z tyłu lekarza i Santosa, kobieta idzie dalej sama, w końcu zatrzymuje się przy sienniku przysuniętym pod ścianę, obok którego ustawiono niskie wiklinowe krzeselko. Na materacu leży nieruchomo na plecach mężczyzna przykryty po piersi prześcieradłem, pod którym rysuje się kontur jego ciała. Na wymizerowanej twarzy, której chudość podkreśla jeszcze gęsta broda, niegolona od wielu dni, płonie intensywnie spojrzenie z błyskami gorączki. Widać też brzydką, szeroką fioletową szramę, która dzieli na pół szczeniasty policzek od lewego kącika ust aż po ucho. Już nie jest przystojnym mężczyzną, myśli Lolita z poczuciem litości. Wcale nie wygląda jak on.

Usiadła na krzeselku, z torebką na podolku, układając mokre fałdy spódnicy i mantylkę. Rozgorączkowane oczy widziały, jak się zbliża, śledziły ją w ciszy. Nie są już zielone, ale ciemniejsze, z mocno rozszerzonymi źrenicami – to z pewnością narkotyki, żeby mógł znosić ból. Kobieta opuszcza wzrok, zakłopotana, i wodzi nim wzdłuż ciała nakrytego prześcieradłem, aż po puste miejsce widoczne poniżej prawego biodra: noga amputowana w odległości dłoni od pachwiny. Przez moment przypatruje się tej pustce, zafascynowana. Kiedy po chwili znów spogląda na mężczyznę, stwierdza, że ten nie spuścił z niej wzroku ani na chwilę.

– Miałam wiele przygotowanych słów – odzywa się w końcu.

– Ale żadne się nie nadaje.

Brak odpowiedzi. Tylko spojrzenie, intensywne i ciemne. Widoczny błysk gorączki. Lolita pochyla się nieco nad siennikiem. Wtedy kropla deszczu spływa po jej twarzy z włosów.

– Mam wobec pana wielki dług, kapitanie Lobo.

Mężczyzna zachowuje milczenie, a ona znów przygląda się jego twarzy: cierpienie sprawiło, że skóra przywarła do kości policzkowych, a usta spękane od gorączki pokrywają strupy i rany. Ostry początek blizny na policzku. Te usta kiedyś mnie całowały, myśli ze wzruszeniem. I wykrzykiwały rozkazy podczas bitwy, którą obserwowałam z mojego tarasu po drugiej stronie zatoki. Błyskające punkty wystrzałów w ciemności nocy.

– Zajmiemy się panem.

Zdaje sobie sprawę, że użyła liczby mnogiej, zaraz po wypowiedzeniu tych słów, i dostrzega, że Pepe Lobo też to zauważył. Budzi to w niej pewien lęk. Smutne zakłopotanie. W ten sposób słowo, którego już nie da się cofnąć, zawisa w powietrzu, niewczesny intruz między kobietą a mężczyzną, który nadal się jej przygląda. Widzi lekki skurcz na zniszczonych wargach korsarza. Początek uśmiechu, stwierdza. Albo coś, co miał powiedzieć, ale nie powiedział.

– To straszne miejsce. Postaram się, żeby został pan stąd zabrany.

Rozgląda się wokół posepnie. Zapach – on też tak śmierdzi, myśli, nie mogąc nic na to poradzić – staje się nieznośny. Jakby lepił się do jej ubrania i skóry. Nie może się do niego przyzwyczaić, wyjmuje więc z torebki wachlarz, rozkłada go i wachluje się. Po chwili zauważa, że jest na nim namalowana dracena, smocze drzewo, którego nie udało się im razem zobaczyć, tak jak planowali. Symbol tego, co nigdy nie mogło się zdarzyć i się nie zdarzyło.

– Będzie pan żył, kapitanie... Wyjdzie pan z tego. Jest dość... No tak. Czekają na pana pieniądze. Pan i pańscy ludzie uczciwie na nie zapracowaliście.

Rozgorączkowane oczy, obserwujące wachlarz, którym przestała poruszać, mrugają przez chwilę. Można byłoby powiedzieć, że dla korsarza słowa „żyć” i „wyjść z tego” nie są ze sobą bezpośrednio powiązane.

– Ja i moi ludzie – mruczy.

W końcu odezwał się, głosem zachrypniętym, bardzo niskim. Jego rozszerzone, ciemne źrenice patrzą w pustkę.

– Gdziekolwiek bym był – dodaje.

Lolita pochyla się lekko w jego stronę, nie rozumiejąc. Z bliska rzeczywiście czuć kwaśny odór. Fetor porażki. Starego potu i cierpienia.

– Proszę tak nie mówić. Tak smutno.

Mężczyzna słabo kręci głową. Lolita patrzy na jego dłonie, nieruchome na pościeli. Błada skóra i długie, brudne paznokcie. Niebieskie żyły nabrzmiałe pod skórą.

– Chirurdzy mówią, że szybko pan zdrowieje... Zawsze będzie ktoś, kto się panem będzie opiekował. Będzie pan miał dość środków do życia. I to, czego zawsze pan chciał – kawałek ziemi i dom z dala od morza... Daję panu moje słowo.

– Pani słowo – powtarza za nią, jakby zamyślony.

Skurcz jego warg wreszcie stał się uśmiechem, stwierdza kobieta. Czy raczej grymasem zaskoczenia. Niemal obojętnym.

– Ja jestem martwy – mówi nagle.

– Proszę nie mówić głupstw.

Już na nią nie patrzy. Od dobrej chwili już tego nie robi.

– Zostałem zabity w zatoce przy Rocie.

Może i ma rację, myśli Lolita. Znużony trup, gdyby mówił, uśmiechałby się dokładnie tak samo. Tak jak teraz Pepe Lobo.

– Zostałem pogrzebany na tej plaży, razem z dwudziestoma trzema moimi ludźmi.

Lolita Palma rozgląda się na lewo i prawo, jakby wzywała pomocy, starając się opanować ból, który nasila się w jej piersi. Wzruszona swoim własnym współczuciem. Nagle zdaje sobie sprawę, że wstała mimo woli, i teraz nakrywa głowę mantylką.

– Wkrótce się zobaczymy, kapitanie.

Wie, że to nieprawda. Wie doskonale, cały czas, kiedy odchodzi coraz prędzej pomiędzy rzędami leżących za ziemi mężczyzn, wreszcie wychodząc na zewnątrz, oddycha głęboko świeżym, wilgotnym powietrzem i idzie, nie zatrzymując się, aż na brzeg morza, na wprost białoszarego miasta, rozplywającego się w dali, w deszczu, który pokrywa jej twarz zimnymi łzami.

## Podziękowania

*Oblężenie* to powieść, a nie książka historyczna. Dzięki temu mogłem sobie pozwolić na pewną dowolność w doborze dat, nazwisk, rzeczywistych wydarzeń i ich charakteru do potrzeb opowieści. Muszę podziękować za ogromną pomoc, jakiej udzieliło mi wiele osób i instytucji, w pierwszym rządzie Oscar Lobato, Jose Manuel Sanchez Ron, Jose Manuel Guerrero Acosta i Francisco Jose Gonzalez, bibliotekarz w Obserwatorium Floty. Dyrektor Miejskiego Muzeum w Kadyksie, Urząd Miejski San Fernando i Luisa Martin-Meras z Muzeum Morskiego w Madrycie oddali do mojej dyspozycji niezwykle przydatne mapy i dokumenty, a moi przyjaciele z księgarni w Kadyksie, Falla i Quorum, informowali mnie o wszystkim, co w ostatnich latach zostało opublikowane na temat ich miasta w czasie francuskiego oblężenia i tworzenia konstytucji. Juan López Eady, kapitan statku i inżynier hydrograf, był moim przewodnikiem we właściwych chwilach. Dzięki doświadczonym radom Esperanzy Salas, bibliotekarki z Unicaja, odnalazłem w gazetach z lat 1810-1812 podstawowe dane o statkach, ładunkach i warunkach portowych. Mój stary, dobry przyjaciel, antykwariusz Luis Bardón, znalazł wiele książek o podstawowym znaczeniu dla epoki, historyk z Kadyksu Alberto Ramos Santana i jego żona Marieta Cantos uprzejmie przeczytali ten rękopis, a Iñigo Pastor przyjrzał się z profesjonalną dokładnością finansom Lolity Palmy. Muszę też oddać sprawiedliwość i wymienić tu, między innymi, takie osoby jak Maria Nelida Garcia Fernandez, Manuel Bustos Rodriguez, Maria Jesus Arazola Corvera, Maria del Carmen Cózar Navarro, Manuel Guillermo Supervielle i Juan Miguel Teijeiro, które udzieliły mi specjalistycznej pomocy, wprowadzając mnie w mentalność, zwyczaje i działalność kupiecką w Kadyksie na początku XIX wieku. Moje podziękowania obejmują całe miasto Kadyks i jego mieszkańców, za zawsze okazywane mi ciepło, współpracę i żywą sympatię.

Arturo Perez-Reverte